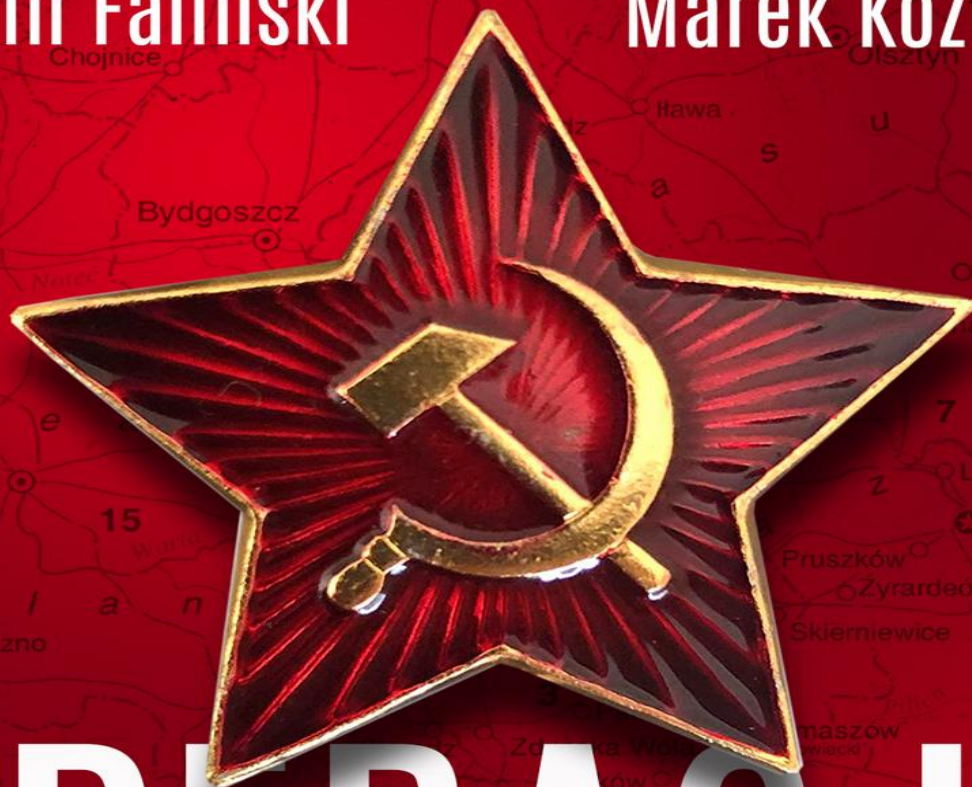


Marcin Faliński

Marek Kozubal



OPERACJA RETEA

**FINAŁ PORYWAJĄCEJ
TRYLOGII SZPIEGOWSKO-HISTORYCZNEJ**

CZARNA OWCA

OPERACJA RETEA

Marcin Faliński Marek Kozubal

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Wstęp](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Epilog](#)

[Posłowie](#)

Redakcja: Jacek Ring
Korekta: Beata Wójcik, Katarzyna Bury/Słowne Babki
Projekt okładki: Magdalena Kuc
Wydawca: Katarzyna Słupska

Copyright © by Marcin Faliński, Marek Kozubal, 2021
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2021

Wydanie I

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5 | DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
00-519 Warszawa | REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
www.czarnaowca.pl | SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Wstęp

Polska – wiosna 2014 rok

Sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni i szybko wyjął z marynarki jedwabną chusteczkę. Spojrzał na wyhaftowaną literę *E* i przypomniał sobie dłonie ukochanej Evelyn, które ją naszyły. Pamiętał, że kiedyś, zawsze przed realizacją zadania, całowała ten kawałek materiału swoimi pełnymi karminowymi wargami i wkładała mu chusteczkę w dłoń. To miało mu zapewnić szczęśliwy powrót do domu.

Ile to już lat minęło od tamych chwil? Trzydzieści?

Ze szklanego stolika podniósł filiżankę kawy. Napój nie miał takiego smaku jak jego ulubiona red bourbon – z lekkim posmakiem suszonych owoców wiśni i aromatem czerwonego wina. Tymczasem zanurzył usta w gorącym, nieco mdłym napoju, który był zbyt kwaskowaty. Zapewne ziarna zmielono zbyt dawno. „Pewnie leżały blisko herbaty i mięty” – pomyślał, wyczuwając ich delikatną woń. A smak, pomimo upływu lat, ciągle miał doskonały.

Wyglądał jak przeciętny turysta, chociaż nieco inaczej ubrany niż zwykle pojawiający się w tej okolicy Warszawy przyjezdni z Wysp Brytyjskich, Niemiec, Rosji czy nawet Japonii. Nazbyt elegancki i ubrany ze smakiem. Wprawny obserwator mógłby jednak zauważyć, że ma na sobie sztruksowe spodnie, które modne były kilkanaście lat temu. Brązowe, lekko wytarte skórzane trzewiki lśniły w słońcu. Jasna koszula i tweedowa jednorzędowa brązowa marynarka Harrisa idealnie opinały jego klatkę piersiową.

Dawno skończył siedemdziesiątkę, ale utrzymywał doskonałą kondycję. Nie tylko ćwiczył na siłowni, ale też codziennie starał się pływać w basenie. Siwe, nadzwyczaj bujne jak na ten wiek włosy kontrastowały z delikatną opalenizną, a piwne oczy mogły wskazywać na jego południowe pochodzenie. Kobiety, które spotykał na swojej drodze, porównywały go z Humphreym Bogartem. Może dlatego, że jego twarz – zawsze gładko ogolona – była lekko pociągła i zakończona podbródkiem z delikatnie zarysowanym dołkiem.

Spojrzał na zegarek i oszacował, że może jeszcze posiedzieć przy kawiarnianym stoliku kilkanaście minut. W tym momencie z głośnika umieszczonego wewnątrz budynku popłynęły dźwięki tak bliskiej mu bossa

novy. Zanurzył się w delikatny rytm *Garota di Ipanema* wykonywanej po angielsku i ponownie odpłynął myślami za ocean. Zmrużył oczy. Przed nimi przepłynął obraz z przeszłości, gdy razem z Evelyn wybrali się z Belo Horizonte czerwoną alfą romeo do Nova Ponta da Fruta nad oceanem. Tam, w barze na nadatlantyckiej plaży, po raz pierwszy usłyszał utwór Jobima i Moralesa w wykonaniu João Gilberto oraz aksamitny głos jego ukochanej Astrud. Tańczyli z Evelyn na piasku do późna w nocy, a potem namiętnie się kochali w wynajętym na weekend niewielkim domku stojącym kilkadziesiąt metrów od brzegu oceanu.

*Yes, I would give my heart gladly but each day as she walks to the sea –
zanucił pod nosem.*

Starszy mężczyzna ocknął się z zadumy. „Zbyt to wszystko sielan-kowe. Sentymentalne? Za bardzo” – pomyślał. Ponownie spojrzął na niebieski cyferblat swojej sekundy. Lubił zegarki tej marki – jednego z niewielu eksportowych radzieckich hitów, które zdobyły zachodnie rynki zdominowane przez szwajcarskie, japońskie czy niemieckie firmy z tej branży. Od momentu wypadku, w którym został poparzony, nosił zegarek na lewej ręce.

Poprawił krawat, a rogowe okulary przeciwsłoneczne założył na nos. Zarzucił na rękę oliwkowy, nieco staroświecki płaszcz i energicznie wstał. W tym momencie odruchowo dotknął wewnętrznej kieszeni. Pod palcami wyczuł charakterystyczny kształt rewolweru – pięciopistoletowego Taurusa 605. Ten dotyk przywrócił trzeźwość jego umysłowi. Musiał być czujny i skoncentrowany na zadaniu, które miał wykonać. Nie mógł sobie pozwolić na jakikolwiek moment zawahania.

Tym razem musiał posprzątać i zatrzeć ślady. Miał przerwać nici, gdyż te mogłyby doprowadzić do odkrycia osoby i służby, która za wszystkim stała. Ale też czuł przez skórę, że coś się kończy. Nie towarzyszyło mu już takie napięcie, jakie niemal zawsze odczuwał w przeszłości, z mniejszą lub większą intensywnością, w czasie realizacji podobnych operacji. A miał ich za sobą wiele. Musiały się mocno wysilić, aby przypomnieć sobie twarze osób, z którymi skrzyżował go los i których linię życia przeciął.

Pod filiżanką zostawił dwadzieścia złotych. Podniósł się i niespiesznie ruszył Chmielną w kierunku Nowego Świata, gdy nagle jego wzrok zatrzy-

mał się na charakterystycznej postaci, a następnie zaczął ją śledzić.

Wysoki ciemny blondyn wyłonił się z bramy kamienicy zaledwie kilkanaście metrów od niego. Przeciął jezdnię i zatrzymał się przy witrynie sklepu z odzieżą. Wszedł do środka. Po chwili wyszedł, ale zatrzymał się na ułamek sekundy w drzwiach. Mogłoby się wydawać, że lustruje otoczenie. Potem spokojnie skręcił w wąski prześwit między kamienicami. Miał na sobie rozciągniętą czarną bluzę z kapturem oraz ciemne spodnie bojówki i różnił się znacznie od wizerunku ze zdjęcia, które starszy mężczyzna oglądał przed przyjazdem do Polski. Mimo to nieco staroświecki dżentelmen był jednak pewien, kogo ma przed oczami.

Włożył oliwkowy prochowiec i ruszył za blondynem. Szedł w takiej odległości, aby nie stracić go z oczu, ale też żeby nie narazić się na dekonspirację. Miał cholerne szczęście, bo zakładał, że spotka tego młodego człowieka dopiero za jakiś czas w pewnej piwiarni przy Nowym Świecie. Informację o tym, kiedy i gdzie może się w niej pojawić, przesłano mu w krótkim esemesie.

Przy Juliana Tuwima ocenił, że przyszedł właściwy moment na realizację zadania. Ulica była pusta, późnowiosenny popołudniowy upał zamknął okolicznych mieszkańców w ocienionych mieszkaniach. Z otwartego okna na drugim piętrze płynął dość głośno hip-hop, który zagłuszał miejski szum. To też mu sprzyjało. Sięgnął prawą dłonią do kieszeni marynarki, wyczuł chłód rękojeści rewolweru i... w tym momencie powoli ją cofnął. Z pobliskiej bramy wyszedł szybko jeden, a za nim drugi mężczyzna. Mieli sportowe buty trekkingowe, dzinsy i przeciwdeszczowe kurtki z goretexu. Jakby wybierali się na wycieczkę w góry, a nie na spacer po stolicy Polski. Po ich ruchach widać było, że kogoś szukają. Zastanawiali się, w którą bramę wejść. U jednego z nich – wyższego z ciemnym wąsem, zauważył w uchu słuchawkę. Po chwili ten ze słuchawką zaczął coś komuś tłumaczyć, korzystając z łączności bezprzewodowej. Z dala wyglądało to tak, jakby rozmawiał sam z sobą.

Miał za sobą dziesiątki podobnych operacji i nigdy przecucie, a w zasadzie wieloletnie doświadczenie, nie pozwalało mu błędnie ocenić sytuacji. I tym razem wyczuł zagrożenie. „Nie wyglądają na jego ochronę. Obserwacja!” – pomyślał i cofnął się w cień pobliskiej bramy.

W tym momencie blondyn na chwilę odwrócił jakby od niechcienia głowę. Na ułamek sekundy ich spojrzenia się skrzyżowały. Blondyn przecesał dłonią włosy. Wyraz twarzy wskazywał, że zastanawiał się nad

czymś przez chwilę. Ruszył dalej. Za nim w pewnej odległości podążyli po czterech, pięciu sekundach dwaj mężczyźni w kurtkach goretexowych. Kiedy wydawało się, że nie tracą z zasięgu wzroku blondyna, z ulicy Górskiego wyszła kilkunastoosobowa grupa przedszkolaków w żółtych kamizelkach. Dzieci, które trzymały się za rękę, przecięły drogę pomiędzy blondynem a podążającymi za nim wywiadowcami. Ci zaczęli miotać się pomiędzy dziećmi. Nie wiedzieli, jak sobie z nimi poradzić. Delikatnie próbowali je odsuwać ze swojej drogi, ale opiekunka grupy zaczęła ostro protestować.

– Panowie, spokojnie, to są dzieci! Uważajcie na nie! Stasiu, odsuń się! – krzyknęła do jednego z maluchów.

Trwało to kilkanaście sekund. W tym czasie blondyn wszedł w martwe pole. „Dziękuję, dzieciaki” – pomyślał. Tak jak planował, wyszedł spod obserwacji. Zawsze marzył, aby tak jak kiedyś oficerowie CIA czy BND wykorzystać system przejść w tym rejonie. Miał w pamięci opowieści chłopaków i dziewczyn z dawnej betki o rozrysowanych przejściach, bramach, zakamarkach, drzwiach, zaułkach między Alejami Jerozolimskimi a ulicą Świętokrzyską. Major Agencji Wywiadu Marcin Łodyna zmierzał na spotkanie ze swoją koleżanką ze służby Magdą Sierpecką oraz oficer CIA Kate. Miał się dowiedzieć, kto jest rosyjskim agentem na Miłobędzkiej.

Gdy dwaj mężczyźni zniknęli mu z oczu, starszy mężczyzna oparł się o ścianę cuchnącą moczem i pomazaną graffiti. Dopiero teraz do niego dotarło, że już przecież widział tego blondyna. „Dlaczego, kurwa, wcześniej nie rozpoznałem go na zdjęciu?! Co jest ze mną?!” Wiedział, że nie wykonał zadania, ale w tych warunkach nie mógł tego zrobić. Dekonspiracja nie wchodziła w grę. To miała być tajemnicza śmierć podbudowana później całym ciągiem działań dezinformujących polskich śledczych.

„Nie teraz. Nie teraz. Okoliczności się zmieniły, a jemu się upiekło” – tłumaczył się przed samym sobą.

Doszedł do ulicy Wareckiej. Zdawał sobie sprawę, że musi wyjść jak najszybciej ze strefy prowadzonych działań obserwacyjnych. W innym wypadku mógł zostać przypadkowo nagrany lub zapamiętany. Nie mógł do tego dopuścić.

Skręcił w lewo, w Nowy Świat. Dotarł do Świętokrzyskiej. Na przystanku wsiadł w autobus, którym dojechał do przystanku rondo ONZ. Przy ulicy Twardej wstąpił do sklepu i kupił kawałek swojskiej, mocno czosnkowej kiełbasy, dwie chrupiące kajzerki i kilka ogórków kiszonych. Potem

podszedł kilkadziesiąt metrów i wsiadł do zaparkowanego granatowego forda fiesty. Zamknął oczy. Dzisiaj miał wyjątkowo intensywny dzień. Zostało mu jeszcze jedno zadanie do wykonania. „Na razie jeden do jednego”. Uśmiechnął się w duchu na myśl, że użył piłkarskiego porównania.

Przed południem był w szpitalu MSWiA w Warszawie przy Wołoskiej. Samochód zaparkował przy ulicy Dąbrowskiego z dala od kamer ochrony. Przeszedł koło wejścia głównego. Minął po lewej park ze stawem. Skręcił w prawo pod niewielki daszek nad bocznym wejściem. Wewnątrz budynku skierował się do windy. Znalazł się na miejscu. Przed wejściem na oddział hematologii i onkologii przygotowany był na wykorzystanie legendy, która miała mu pozwolić dostać się do jednej z sal dla pacjentów. Nie było jednak takiej potrzeby. Miał bardzo dużo szczęścia. Pielęgniarka oddziałowa akurat gdzieś wyszła. Nagle z gabinetu wyłoniła się lekarka, która trzymała w ręku plik papierów, przepuścił ją i wszedł na wewnętrzny korytarz. Uśmiechnął się do lekarki i powiedział z akcentem Kresowiaka:

– Szanowna pani, ja do brata. Romańczuk ma na nazwisko.

Mówiąc to, jakby bardziej się zgarbił. Starał się wyglądać na jeszcze starszego. Lekarka spojrzała na niego badawczo.

– Ależ proszę pana, pan tam nie może wejść. Poza tym płaszcz trzeba zostawić na dole w szatni. No i należy założyć specjalne ochraniacze i maseczkę, sale pacjentów są sterylne. Nie mówiła panu tego pielęgniarka przy wejściu?!

Mężczyzna zdjął prochowiec, niedbale rzucił go na krzesło stojące na korytarzu.

– Pani doktor. Mówiła, mówiła. Ale pani rozumie. To dla mnie wysiłek. Ja tylko na chwilunię – odpowiedział.

– Dobrze. Tam są ochraniacze na buty i fartuch. – Kobieta westchnęła i wskazała palcem na wieszak stojący w korytarzu. – A tu, proszę, maseczka. – Podała mu podłużne papierowe pudełko z jednorazówkami.

Założył jedną i ochraniacze na buty. Potem narzucił na ramiona zielony fartuch ochronny.

– Tak może być? – spytał i popatrzył proszącym wzrokiem na lekarzkę.

– Sala druga, po prawej stronie.

Starszy mężczyzna, zamiast ruszyć we wskazane miejsce, skręcił do męskiej toalety. Wszedł do kabiny. Z kieszeni marynarki wyjął chirurgiczną lateksową rękawiczkę i naciągnął ją, a następnie w tej samej dłoni schował

niewielki atomizer wyglądający jak buteleczka z perfumami. Delikatnie przekręcił jego główkę. Spuścił wodę i wyszedł z toalety.

Romańczuk był sam w szpitalnym pokoju. Spał. Ciężko oddychał. Jego skóra przypominała trochę pergamin, spod którego prześwitywały błękitne pajęczyny żył. Świecąca nad nim jarzeniówka pogłębiała jej bladość, podobnie jak jasnożółte płytki na ścianach. Przy łóżku stała kroplówka, jednak nie była podłączona. Na stoliku obok leżała jakaś gruba książka w czerwono-czarnej okładce z dużym białym napisem. Obok stała szklanka z niewypitą wodą. Mężczyzna sprawdził w szpitalnej karcie chorobowej przytoczonej do ramy łóżka nazwisko pacjenta. Upewnił się, że nie doszło do pomyłki. Mimo że miał w przeszłości do czynienia z Romańczukiem, musiał to zrobić. „Nie ma gorączki? Ciśnienie w normie jak na ten wiek i stan?” – czytał w myślach kartę. Jeszcze raz popatrzył na chorego. „Jednak trochę się zmienił. Postarzał się, schudł, posiwiął, włosy już mocno przerzedzone. Choroba i lata odcisnęły na nim piętno” – doszedł do wniosku.

Ostrożnie podniósł szklanę z wodą. Odwrócił się od Romańczuka. Dłoń w rękawiczce odsunął jak najdalej od swojej twarzy. Wstrzymał oddech i delikatnie spryskał szklane krawędzie. Następnie postawił ją na stoliku i zdjął rękawiczkę. „Szkoda go, szybko się uczył i awansował” – pomyślał.

Wychodząc z sali, spokojnie zlustrował korytarz. Nie zauważył jakiegokolwiek ruchu. Na oddziale panowała senna atmosfera. Kątem oka dostrzegł jednak kamerę przy wejściu oraz nad punktem pielęgniarskim.

Obecność tych urządzeń nie zburzyła jednak jego spokoju. „Pewnie już nigdy nie przyjadę do Polski. To przecież jest koniec. Mogą mnie szukać!” – pomyślał. Ale jednak odruchowo zgarbił się i schylił głowę, kryjąc ją w ramionach.

– Do widzenia. – Uśmiechnął się do pielęgniarki, która pojawiła się przy wejściu i patrzyła w jakieś papiery.

Nawet mu nie odpowiedziała. Zgarnął z krzesła płaszcz i wyszedł. W kieszeni spodni delikatnie wymacał niewielki krzyżyk zrobiony z kamienia – jego talizman, z którym nie rozstawał się niemal od początku swojego życia. Dostał go od opiekuna w dalekiej Afryce. Zawsze miał go przy sobie, wierzył, że przynosi mu szczęście.

* * *

Starszy mężczyzna zaparkował fiestę pomiędzy drzewami kilkanaście metrów od ulicy Topolowej na peryferiach Żyrardowa. Wcześniej na jednej ze stacji benzynowych na trasie z Warszawy kupił kawę. Podjechał na nieodległy parking. Przebrał się w ciemne sportowe ubranie. Miał teraz na sobie granatowe joggera i czarną bluzę, a na głowie czapkę z daszkiem. Ewentualny przechodzień powinien wziąć go za zwykłego biegacza.

Wyszedł i skierował się w kierunku kępy krzaków. Od posesji, która była jego celem, dzieliło go niecałe dwieście metrów. Wyjął z zapinanej na suwak kieszeni spodni małą lornetkę. Zaczął spokojnie obserwować ruch wokół domu. Przed bramą wejściową stał oznakowany radiowóz policyjny, a na terenie posesji czarny volkswagen transporter. Boczne drzwi vana były uchylone, a w środku siedział mężczyzna i coś przeglądał na laptopie. W parterowym, pomalowanym na szaro domu, krytym rudą ceramiczną dachówką, kręcili się ludzie. Co kilka minut ktoś wchodził i wychodził. Ekipa wносиła i wносиła jakieś walizki. Każdy ruch na podwórku gardłowym ujadaniem sygnalizował przywiązany linką do budy owczarek belgijski. Pies, gdyby tylko mógł, skoczyłby na każdego obcego, który pojawił się na jego terenie. W pewnym momencie z domu wyszła szczupła, krótko ostrzyżona kobieta w średnim wieku. Stała z boku i nerwowo zapaliła papierosa. „Chyba żona. Tak, zgadza się” – upewnił się w myślach.

Po siedemnastej część ekipy dochodzeniowej odjechała samochodami, które stały z drugiej strony posesji. Tych pojazdów nie widział ze swojego miejsca obserwacji. Pół godziny później z podwórka na szutrową drogę wyjechał van. Kierowca zatrzymał się jeszcze przy policyjnej kii, uchylił okno i coś powiedział do funkcjonariusza w radiowozie. Chwilę potem ten także odjechał. W tym momencie na posesję wjechał seledynowy citroën C3 kierowany przez kobietę. Zatrzymał się. Z auta wysiadło dwóch nastolatków, którzy zaraz podbiegli do psa. Pies był spokojny, zapewne ich znał. Wyszła do nich żona Romańczuka. Kobiety rozmawiały nerwowo przez kilkanaście minut. Potem goście wsiedli do citroëna i odjechali.

Dziesięć minut później światła w domu zgasły. „Jest zmęczona. Pewnie weźmie środek na sen. W końcu spadło to na nią jak grom. Musi odpocząć” – doszedł do wniosku, nie odrywając oczu od lornetki. Postanowił wrócić do fiesty i odczekać godzinę. Przypomniał sobie o kielbasie, która mocno pachniała czosnkiem w samochodzie. Nie miał czasu nawet czegoś zjeść. Wziął kajzerki. Napił się resztki zimnej kawy w papierowym kubku. Strzepnął z joggerów okruchy po bułkach.

Wrócił na swój punkt obserwacyjny. Właśnie w tym momencie zauważył jakiś ruch koło domu poprzedzony włączeniem światła na ganku. Przyłożył do oczu lornetkę. W uchylonych drzwiach domu stała żona Romańczuka. W jednej ręce trzymała kieliszek wina, w drugiej – papierosa. Paliła łąpczywie. Wrzuciła niedopałek do doniczki z czerwoną pelargonią. Podeszła do wejściowej furtki i zamknęła ją na klucz, następnie spuściła psa z uwięzi. Chociaż ten zaczął się łąsić, nie miała ochoty na zabawę. Zniknęła za drzwiami. Światło na werandzie zgasło.

Mężczyzna wrócił do samochodu. W pobliżu nie zauważył nic niepokojącego. Powoli się ściemniało. Z południa nadciągały chmury burzowe. Wyjął ze schowka fiesty zawinięte w papier pętko kiełbasy oraz niewielką buteleczkę i strzykawkę. Wciągnął w nią centymetr płynu, wbił igłę w kawałek wędliny i nacisnął tłoczek. Włożył rękawiczki, na głowę naciągnął kominiarkę, do zapinanej kieszeni włożył małą latarkę taktyczną. Odczekał chwilę. Robiła się już szarówka. Był znowu na miejscu obserwacji.

W domu nie paliły się żadne światła. „Czas na mnie”. Schylony podbiegł przez porośnięte wysoką trawą pole do ogrodzenia posesji. Pies błyskawicznie znalazł się przy nim, spojrzał na intruza, zastrzygł uszami, a potem, szczerząc zęby, gwałtownie napał na ogrodzenie. Ale właśnie wtedy mężczyzna przez siatkę przerzucił kawałek kiełbasy naszprycowany środkiem usypiającym. Pies jeszcze przez chwilę ujadał, ale po kilku minutach znudził się, bo wywęchał smakołyk. Po kolejnych kilku leżał na boku i się nie ruszał. Mężczyzna sprawnie pokonał niezbyt wysokie ogrodzenie. Latarką omiół brunatne cielsko owczarka, dla pewności delikatnie dotknął go nogą. Pies nie reagował, z pyska wystawał mu jedynie różowy język.

Skierował się do stojącej obok domu niewielkiej drewnianej komórki. Uchylił drzwi. Wszedł do środka i zamknął je za sobą. Działał jak automat. Zapalił latarkę i podszedł do równo poukładanych kawałków drewna. Wyjął z kieszeni zdjęcie z zaznaczonym jednym z nich. Szybko odnalazł ten właściwy, wyciągnął i schował do czarnego worka. Wszedł. W tym momencie zapaliło się światło nad drzwiami do domu. Usłyszał szcęk otwieranego zamka. Biegiem ruszył do ogrodzenia. Pokonał je dwoma sprawnymi ruchami. Spojrzał za siebie i zobaczył przerażoną kobietę. Nie krzyczała. Zamarła ze strachu, patrzyła na nieruchome ciemne ciało psa. Dłonie przyciskała do ust, jakby bała się, że głos wydostanie się jej z gardła.

Mężczyzna dobiegł do samochodu. Błyskawicznie uruchomił silnik i powoli ruszył. Kątem oka spojrzał jeszcze raz na dom. Kobieta uciekła do środka. Jednak posesja cała była rozświetlona. Zerwał z głowy kominiarkę. Wcisnął pedał gazu. Przejechał obok plenerowej siłowni na osiedlu Leśna. Kierował się w stronę Zalewu Żyrardowskiego.

Droga do zbiornika wodnego zajęła mu niecałe pięć minut. W tym czasie nad miastem rozszalała się burza. Wiał mocny wiatr, ale deszcz jeszcze nie padał. Zrobiło się zupełnie ciemno, a niebo rozświetlały błyski. Zwolnił. Wjechał na pusty o tej porze parking. Włączył w samochodzie latarkę i nożem ze swojego multitoolu Leathermana podważył szczelinę w kawałku drzewa. Ze schowka wyjął telefon komórkowy, który Romańczuk wykorzystywał do łączności specjalnej. Telefon i kartę SIM zmiażdżył kombinerkami. Wyszedł z samochodu i rzucił zniszczony telefon i kartę daleko przed siebie, w ciemną otchłań wody. Usłyszał cichy plusk. Odszedł kilkanaście metrów w bok i z całej siły wyrzucił do zalewu swój rewolwer. Wrócił do fiesty. Nie bez trudności przebrał się w eleganckie ubranie. Włożył tweedową marynarkę. Przeglądając się w lusterku wstecznym, poprawił włosy. Sportowe rzeczy i kominiarkę zwinął i włożył do torby foliowej na śmieci. Postanowił wyrzucić ją gdzieś dalej, po drodze.

Stał się zupełnie innym człowiekiem. Dopiero teraz napięcie zupełnie puściło. Rozluźnił się. To było jego ostatnie zadanie. Wciągnął nosem ciepły zapach nocy. W tym momencie zaczął padać rześisty deszcz. „Limit szczęścia na dziś został wyczerpany”. Uśmiechnął się na myśl, że wszystkie ślady, które zostawił na polu w pobliżu domu Romańczuka, niebawem spłyną wraz z wiosennym deszczem.

Ruszył w kierunku Warszawy. Na trasę do stolicy wjechał przez węzeł Wiskitki. Po czterdziestu minutach zostawił samochód na parkingu podziemnym przy lotnisku Fryderyka Chopina. Kluczyki zostawił pod wycieraczką, podobnie jak dokumenty wozu. Wyjął z bagażnika niewielką walizkę i ruszył do terminalu A.

Samolot do Frankfurtu miał za dwie godziny.

Rozdział 1

Rumunia, Turcja – wrzesień 1939 roku

Czarny dodge D-1125 z białym napisem *Taxi* na przednich drzwiach ruszył gwałtownie spod kamienicy przy Calea Victoriei, gdzie mieścił się niewielki hotel Majestick. Minął po prawej Savoy Theatre i nowoczesny budynek centrali telefonicznej nazywany *Thelepone Palace*. Mimo późnej pory na głównej arterii rumuńskiej stolicy panował spory ruch. Piesi przeciskali się chodnikami, co chwila zatrzymując się przed witrynami licznych sklepów, restauracji i kawiarni. Po dwudziestu minutach szybkiej jazdy samochód minął z piskiem opon ostatni zakręt. Światło z jego reflektorów omiotło stojący przy brukowanej ulicy kiosk z kwiatami na rogu Calea Târgoviștei. Zwolnił nieco dopiero przed torami tramwajowymi, ciągnącymi się środkiem poprzecznej arterii. Skręcił w lewo i skierował się w stronę kolumnady z głównym wejściem do dworca kolejowego Gara de Nord w Bukareszcie.

Major Sorin Dumitru, oficer Sectia A II-a Sztabu Generalnego Królewskich Sił Zbrojnych Rumunii, oddelegowany ostatnio do Sekretariatu Generalnego MON, zdążył jeszcze spojrzeć na zegar znajdujący się na pięciopiętrowej wieży dworcowej zakończonej tarasem widokowym. Trochę się uspokoił. Taksówka gwałtownie się zatrzymała. Major uregulował należność, podwajając ją wysokim napiwkim. Był hojny, bo czas był dla niego teraz najcenniejszy. Wszedł z samochodu i rozejrzał się uważnie.

Dumitru był wysokim i przystojnym czterdziestolatkiem. Niewielki czarny wąsik dopełniał jego wyraźnie orientального wyglądu. Nałożył grafitową fedorę, która świetnie pasowała do całości ciemnogrnatowego ubrania. Dwurzędowa marynarka o nieco kwadratowej linii kroju, szerokie spodnie i biała koszula leżały na nim idealnie, do tego dochodził ciemny krawat. Wyjął z kieszeni spodni metalową zapalniczkę i paczkę lucky strike'ów. Zapalił i zaciągnął się. W tym samym czasie szofer wystawił dwie duże skórzane walizki przewiązane solidnymi pasami z mosiężnymi klamrami. Mężczyzna rzucił niedopałek papierosa. Podszedł powoli do drzwi pasażera i otworzył je. Nachylił się i ze środka samochodu odebrał niewielkie zawiniątko. Od razu widać było, że to niemowlak. Potem z pojazdu wysiadła na oko trzydziestopięcioletnia brunetka. Spod niewiel-

kiego, czarnego, ekstrawaganckiego kapelusza wystawały nieco spłaszczone loki. Jak przystało na najnowsze trendy w modzie damskiej, kobieta miała odsłoniętą linię karku, uszu i skroni. Ubrana była w bordową garsonkę ozdobioną haftem. Niosła torebkę oraz wypchaną skórzaną brązową torbę lekarską zapiętą na metalowe zawiasy.

– Dorina, kochanie. Pospiesz się. Wejdźmy szybko do środka – rzucił major, dźwigając walizki.

– Już, już. Jeszcze tylko poprawię kocyk Emilce. Przecież mamy jeszcze czas. Weź ode mnie tę torbę z zakupami – odpowiedziała.

– Jakimi zakupami?

– Jak to! Mówiłeś, że ruszamy w daleką podróż i żebym się przygotowała. Jak wyszedłeś dzisiaj rano na spotkanie w Athene Palace, ja byłam w delikatesach *Dragomir Niculescu* i kupiłam parę rzeczy na drogę.

Major pokiwał głową, uśmiechnął się i wziął od kobiety wysłużoną torbę. Po chwili małżonkowie weszli do nowszej części dworca nazwanego na cześć cesarza Franciszka Józefa *Royal Hall*. Szli wzdłuż głównej hali dworcowej o ażurowej, metalowej konstrukcji sufitu. Major wyglądał, jakby liczył wszystkie mijane, wąskie stalowe kolumny podtrzymujące dach. Odnosił wrażenie, że one nigdy się nie skończą. Gdy dochodzili do peronów, spojrzął za siebie. Wśród spieszących się podróżnych, snujących się kolejarzy, rozmawiających z policjantem dwóch celników, jakiejś grupy żołnierzy i marynarzy z Marina Nationala a Romaniei, nie dostrzegł nikogo podejrzanego.

Okrągły zegar podwieszony pod dachem wskazywał za kwadrans dwunastą. Szli wzdłuż nocnego składu pociągu do Konstancy. Ciemnozielone wagony z bocznymi napisami *CFR* powoli zapełniały się podróżnymi, których zresztą nie było wielu. Major zwrócił uwagę, że przedziały są nieoświetlone. Szukali wagonu pierwszej klasy. Mijali te trzeciej i drugiej klasy. Jego wagon miał namalowany żółty pas nad linią okien i znajdował się zaraz za pocztowym, na początku składu. Przed schodami konduktor poprosił o bilety i dodał:

– Przypominam szanownym państwu, że okna w przedziale muszą być zasłonięte.

– A co się dzieje? – zapytał nieco naiwnym głosem major.

– Szanowny pan nie wie, że w Polsce wojna?! My też musimy się do niej szykować. Pod Bukaresztem budowane są umocnienia i okna muszą

być zasłonięte, a światło wyłączone. Uprzedzam szanownych państwa, że mogą być opóźnienia. Miłej podróży. – Oddał im bilety.

Ich przedział był pusty. Po paru minutach mężczyzna wyszedł i zapalił papierosa, spokojnym krokiem ruszył w kierunku czarnego cielska parowozu. Sapiąca powoli i wyrzucająca na boki parę lokomotywa z fabryki Uzinele de Fierși Domeniile Reșița wyglądała dostojnie. Odwrócił się i popatrzył na peron. Nikt go nie obserwował. To go uspokoiło. Spojrzał na przód lokomotywy i czerwoną tabliczkę z białym numerem 142. 072. Wrócił do swojego wagonu i wskoczył zwinnie na schodki.

– Jestem już, kochanie.

– Wszystko w porządku? Czysto? – spytała.

– Tak, chyba tak. Na peronie nie ma żywej duszy – odparł i zsunął okno. Wychylił się i uważnie jeszcze raz na wszelki wypadek zlustrował peron.

Po paru minutach do ich uszu dobiegł dźwięk kolejarskich gwizdków. Jakby w odpowiedzi usłyszeli przeciągły gwizd lokomotywy. Pociąg szarpnął. Koła parowozu zabuksowały w miejscu, a biała para spowiła perony. Skład ruszył, by po chwili minąć ostatnią tablicę z napisem *Prima platformă*. Bukareszteński dworzec zostawał z tyłu.

Podróż do portowej Konstancy trwała kilka godzin. Pociąg zatrzymywał się częściej niż podczas ostatnich wakacji. Przez szparę w zasłoniętych oknach wagonu major kilka razy zauważył mijane składy towarowe z transportem wojska. Przez całą podróż nie mógł pozbyć się wątpliwości, czy ich mieszkanie w dużej, secesyjnej kamienicy przy Piata Sanatolui, niedaleko Pałacu Sprawiedliwości, zostało dobrze wyczyszczone. Nachodziła go myśl, że zapomniał zlikwidować skrytkę, w której przechowywał materiały do fałszowania dokumentów. Zniszczył większość sprzętu ze swojego niewielkiego, konspiracyjnego laboratorium fotograficznego. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, czy także specjalny mikroskop sprzężony z aparatem fotograficznym, służący do pomniejszania zdjęcia normalnego formatu pocztówkowego do mikrokropki. Wszystko działo się tak szybko. Obawiał się, że mógł popełnić jakiś błąd. Ulgę odczuł dopiero wtedy, gdy zdał sobie sprawę, że nie wróci szybko do Bukaresztu.

Najbardziej żałował, że fiaskiem zakończyła się planowana od wielu miesięcy Operacja Retea. Miało to być pionierskie i wieloletnie przedsięwzięcie.

Pisk kół pociągu obudził majora i jego żonę. Pociąg wyraźnie toczył się wolniej. Zbliżali się do końca podróży.

– Posłuchaj. Zanim stąd wyjedziemy – zaczął major – pójdziemy do restauracji w hotelu Chérica, to koło *plaja modern* i niedaleko portu. Wynajmę dla nas pokój i zjemy tam śniadanie. Potem muszę jeszcze wyjść na chwilę do miasta.

– Sorin, kochanie. Może zostaniemy i odpoczniemy jeden dzień? Wiesz, Emilia może być zmęczona nocną eskapadą. Jakoś słabo ciągnęła mleko z piersi – powiedziała, gładząc z czułością twarz kilkumiesięcznego dziecka.

– Doskonale wiesz, że to wykluczone. Tłumaczyłem ci. Koniecznie dzisiaj musimy opuścić Rumunię. To jedyna szansa na przeżycie. Mamy przecież jeszcze sporo godzin, żeby odpocząć. Może się trochę prześpicie po śniadaniu. Kiedyś w tym hotelu odpoczywali mnisi. Może udzieli ci się trochę ich spokoju – odparł serdecznym tonem i uśmiechnął się.

– Mnisi? Jacy mnisi?

– Prawosławni podróżujący na świętą górę Athos na półwyspie Chalkidiki w Grecji.

Major nie znał zbyt dobrze Konstancy. To nie był jego obszar zainteresowania. Pamiętał tylko z uzyskanych w ostatnich dniach informacji od znajomych, że port ma pływający dok, kilka lat temu wzniesiono nowy budynek dla administracji i zakończono budowę nowego dworca kolejowego, utworzono też giełdę. Dużo słyszał o najsłynniejszej budowli w mieście, czyli Cazinouldin Constanta w stylu art nouveau, zbudowanym na początku XX wieku, oraz o pałacu królewskim. Znajomi rekomendowali także liczne pensjonaty i hotele. Może dlatego zdecydował, aby czas do wyjazdu spędzić właśnie w jednym z nich. Nie chciał pokazywać się z żoną i dzieckiem na mieście, aby nie rzucać się w oczy.

Po zjedzeniu śniadania i krótkim odpoczynku w pokoju major wyszedł z narożnego budynku hotelu. Z portowego nabrzeża co jakiś czas słychać było krótkie albo przeciągłe sygnały dźwiękowe ze statków wchodzących do portu. Nakładały się na nie odległe odgłosy z jednostek oczekujących na redzie. Dumitru popatrzył na zacumowany przy nabrzeżu czarny pasażerski liniowiec z dwoma białymi kominami i czerwonymi pasami wokół. Przez głowę przeszła mu myśl, że może właśnie takim statkiem popłyną z Doriną i Emilią w nieznane. Minął kilka torowisk, na których stały wagony towarowe oraz cysterny do przewozu ropy naftowej.

Nie spiesząc się, szedł równym tempem ponownie w kierunku Gara Martima, dużego, czteropiętrowego białego budynku dworcowego z kilkoma masztami łączności radiowej na dachu. Minął niewielki skwer i stanął na schodach pod kolumnadą wejściową. Spokojnie zapalił papierosa. Miał jeszcze pięć minut do spotkania z łącznikiem i rezydentem NKWD w Konstancy. Jego nozdrza wciągały mieszanek amerykańskiego tytoniu, rumuńskiej ropy naftowej i czarnomorskiej bryzy. Przez kilka minut lustrował otoczenie, po czym naciągnął mocniej kapelusz na czoło. Spojrzał na zegarek. Była punktualnie dziesiąta.

Dworzec morski wypełniony był tłumem przeciskających się podróżnych, pokrzykujących urzędników z agencji celnych i spedycyjnych, marynarzy z dużymi płóciennymi workami na plecach, kolejarzy z charakterystycznymi, skórzanymi torbami. Chaos potęgowały odgłosy w różnych językach: rumuńskim, rosyjskim, angielskim, polskim, tureckim, a nawet arabskim. Podeszedł do ostatniego z prawej strony kontuaru. Zdjął kapelusz, odłożył go obok, wyjął z wewnętrznej kieszeni pióro i zaczął wypełniać dokument celny, który zabrał wcześniej z pliku różnych kwestionariuszy. Następnie złożył go na czworo i wsunął powoli do prawej, zewnętrznej kieszeni marynarki.

– Przepraszam, czy mógłby mi pan pożyczyć pióro? Swoje zostawiłem w hotelu – zwrócił się do majora trzydziestoparoletni mężczyzna o nieco kaukaskich rysach, mówiący z wyraźnym mołdawskim akcentem.

Uchylił lekko czarnego kapelusza w stylu homburg z podwiniętym nieco rondem. Następnie położył na kontuarze złożoną na pół gazetę z czerwonym tytułem „Gazeta Sporturirol”.

– Niestety, muszę odmówić. Spieszę się. Niedługo mam statek do Pireusu – odpowiedział major zgodnie z przyjętym systemem łączności.

– Proszę iść za mną – rzucił szeptem mężczyzna. – A, to przepraszam szanownego pana – dodał głośniejszym głosem, ponownie uniósł swojego homburga i zapiął na dwa guziki granatową kapitańską marynarkę.

Po kilkunastu minutach spaceru, w czasie którego obaj mężczyźni bacznie obserwowali otoczenie, dotarli do modernistycznego hotelu Bellona. Podłużny kształt, biały kolor i balkony ciągnące się wzdłuż budynku przypominały pełnomorski statek pasażerski. Skierowali się do restauracji. Po drodze mężczyzna zamówił dwie kawy i dwa *papanasi* – pączki ze śmietaną i wiśniową konfiturą na wierzchu.

– Kapitan Kazimir Sokołow – przedstawił się tamten. – Towarzysza majora znam tylko ze zdjęcia, no i ze szkolenia w Moskwie. Rozumiem, że ewakuacja przebiegła pomyślnie?

– Kapitanie, pomyślnie przebiegnie, jak będę z żoną i córką poza Rumunią! – odpowiedział poirytowany Dumitru.

– Proszę się nie denerwować. Kiedy dostałem sygnał z Centrali o waszej ewakuacji, natychmiast przystąpiłem do działania. Wszystko przygotowane – zapewnił spokojnie Sokołow i wyjął pękata szarą kopertę. – Rozumiem, że środki towarzysz major posiada?

– Tak. Zlikwidowałem mieszkanie w Bukareszcie i niewielką część pieniędzy ze sprzedaży mieszkania mam przy sobie. Poza tym zostało coś z naszego funduszu operacyjnego. Resztę zamieniłem na brylanty i złotą biżuterię.

– Świetnie. Rozumiem, że ukrył towarzysz major wszystko w skrytce w walizce. Rumuńskie przepisy celne są bardzo restrykcyjne w zakresie wywozu pieniędzy.

– W skrytkach, kapitanie. W walizce pieniądze, w torbie podręcznej brylanty, a biżuteria, co oczywiste, w torebce żony. Trochę zaszyłem też w ubraniach.

– Proszę słuchać, majorze. Wyruszacie do Kairu przez Sztambuł.

– Gdzie?! – Oficer nie krył zaskoczenia.

– Tak. Do Kairu.

Zapadło milczenie. Major patrzył na Sokołowa z niedowierzaniem. Był przygotowany na każdą sytuację, ale spodziewał się raczej, że będzie ewakuowany do Ameryki Południowej. Egipt zaskoczył go absolutnie. Pomyślał o żonie i córeczce.

Sokołow kontynuował:

– Towarzysz major jest od dzisiaj Adamem Ahmadem al-Naggarem, wnukiem ze strony ojca egipskiego kupca robiącego interesy w Turcji. Babcia natomiast była Polką z Adampola. To taka polska osada koło Sztambułu. Ojciec wasz zamieszkał w Odessie i poznał tam córkę polskiego zesłańca carskiego – tłumaczył Sokołow. – Żona wasza natomiast nazywa się Ożanna al-Naggar i jest rosyjską Żydówką z Konstancy, która uciekła wcześniej z Kijowa. Córka ma wystawione dokumenty na Evelyn al-Naggar. Aha. Macie już, *na wsiakij požarnyj słuczaj*, wystawione na te dane karty pobytu w Turcji na rok. Nazywają to *vesica*. Pamiętajcie, że opłata za jedną kartę to piętnaście funtów tureckich.

– A legenda podróży?! – wtrącił major.
– Wracacie do kraju przodków, uciekając przed wojną i bolszewikami. Czyli nami. – Sokołow się zaśmiał.
– Jak się stąd dostaniemy do Stambułu, a potem do Egiptu?
– Towarzysz major mnie nie docenia. Całego statku to ja wam nie wynajmę, bo to kosztowałyby ze dwa i pół tysiąca funtów angielskich. Ale frachtowiec z kilkoma kabinami pasażerskimi można znaleźć. Zresztą wszystko jest napisane. Również i to, jak się macie potem dostać do Kairu. Zapoznajcie się. – Sokołow wskazał kopertę.
– Mówcie dalej, kapitanie.
– Jak już wejdziecie do portu, to idźcie na pierwsze nabrzeże. Tam cumuje nieduży frachtowiec *Stilla* pływający pod banderą maltańską. Łatwo znajdziecie. Obok niego stoi jakiś rozklekotany, mały amerykański statek pod banderą Hongkongu. Nie pomylcie się, towarzyszu majorze. – Sokołow znowu się zaśmiał. – Zgłosicie się do kapitana. Ale dopiero przed samym wyjściem z portu w morze, czyli o piątej po południu. *Stilla* wypłynie o szóstej. Wszystko zapłacone. Jakies pytania, towarzyszu majorze?
– Kto wymyślił tę legendę? Wy?
– Ja? – zdziwił się Sokołow. – Major mnie tym razem przecenia. To decyzja Moskwy. A jak wiecie, z Centralą się nie dyskutuje. Widocznie jesteście potrzebni w Egipcie.
– Czyli mam jeszcze jakieś pięć, sześć godzin.
– Tak jest, towarzyszu majorze. Powodzenia. Czuję, że mi się tu w najbliższym czasie zapowiada dużo roboty z *Poliakami*. Dostałem dzisiaj polecenie z Centrali wyprodukowania albo pozyskania kilkudziesięciu polskich paszportów. Mam też mieć na oku statki pod banderą brytyjską.
Major bez słowa wstał od stolika. Nałożył kapelusz i wyszedł z hotelu. Skierował się do *plaja modern* i hotelu *Chérica*. Na wszelki wypadek postanowił iść małymi uliczkami, pomiędzy nadmorskimi pensjonatami.

* * *

Tygodniowy pobyt rodziny Al-Naggar w *ailepensionu Moda*, prowadzonym przez Greków w Kadıköy-Moda – na przedmieściach Stambułu po azjatyckiej stronie, upłynął szybko. Tylko raz wybrali się na wycieczkę parowym promem na europejski brzeg Bosforu. Major czasem grywał z innymi gośćmi tego rodzinnego pensjonatu w szachy, natomiast jego żona

spędzała dużo czasu z dzieckiem w fantastycznie ukwieconym ogrodzie. Codziennie chodzili na długie spacery na południowym brzegu Bosforu, które kończyli zwykle niedaleko pensjonatu w sąsiedniej kawiarni. Oglądali sylwetki przepływających statków oraz napawali się widokiem Błękitnego Meczetu i Hagia Sophia po drugiej stronie cieśniny. Major i jego żona wykorzystywali te spacery do sprawdzania, czy nie są obserwowani, zarówno przez miejscową policję, jak i wrogów państwa sowieckiego.

Mimo że byli daleko od Rumunii, ciągle czuli niepokój, obawiali się, że niebezpieczeństwo może pojawić się w każdej chwili. W końcu, po siedmiu dniach, kiedy schodzili na śniadanie, grecki recepcjonista zakomunikował majorowi, że jest do niego list. Wewnątrz koperty były trzy bilety na kabinę pierwszej klasy statku płynącego do Hajfy w Brytyjskim Terytorium Mandatowym w Palestynie. Następnego dnia rano rodzina Al-Naggarów wsiadła do taksówki. Czarny, pękaty renault juvaquatre zawiózł ich na pobliski dworzec kolejowy Haydarpasza, z którego odjeżdżały pociągi do Ankary, wschodniej Turcji, a nawet do Bagdadu. Żeby nie zwracać na siebie uwagi, wykupili bilety w wagonie trzeciej klasy.

Jechali przez dwa dni. Pociąg przemierzał zalesione góry Anatolii. Minął Izmit, aż w końcu dotarł do portu w Mersin. Byli zmęczeni podróżą ze Stambułu. Ponieważ mieli jeszcze sporo czasu, zatrzymali się w niewielkim pensjonacie Azak İş Hanı przy głównej ulicy miasta i niedaleko stacji kolejowej. Niewielki statek pasażerski pod cypryjską banderą miał podnieść kotwicę dopiero następnego dnia wieczorem.

– Kochanie, Emilia w końcu zasnęła – powiedziała Dorina do męża, biorąc go delikatnie pod ramię.

Ten obejrzał się dyskretnie na długi pokład pasażerski, który zwykle w słoneczny dzień wypełniony był siedzącymi na leżakach podróżnymi. Popatrzył na bulaje kabin, w których świeciły się lampy. Nikogo nie było. Nikt ich nie obserwował.

– Evelyn, kochanie. Pamiętasz? Nasza córka nazywa się teraz Evelyn.

– Nie mogę się jeszcze przyzwycząić. To wszystko tak szybko... Jak to tam będzie, kochanie? – dodała po paru minutach.

Obejmując ramieniem żonę, major upił łyk z pękatego kieliszka napełnionego martellem. Następnie zdjął zarzucony na plecy ciepły, wełniany biały pulower i okrył nim żonę.

– To w takim razie... *pentru victorie*, jak mówią Rumuni – wzniósł toast.

Uśmiechnął się, pocałował ją czule w czerwone usta. Kobieta wtuliła się mocniej w jego ramię. Major ponownie wziął łyk alkoholu, tym razem większy. Obserwowali powoli zmniejszające się światła portu Mersin i oddalający się zarys wzgórz nad miastem. Lekka bryza, która jeszcze w porcie przynosiła ulgę od ciepła dnia, na otwartym morzu przybierała na sile.

Dopiero wtedy dotarło do nich, że zaczynają nowy etap życia. W miejscu, którego nie znają, wśród ludzi, o których nic nie wiedzą.

Rozdział 2

Tanganika – jesień 1945 roku

Chłopak poczuł ostre uderzenie w bok.

– Aj! – krzyknął, odsunął się i oparł o termitierę.

Witek Nowacki z całej siły znów uderzył go drewnianym mieczem, tyle że w drugi bok. Siedmiolatek osunął się na ubitą glinę. Niefortunnie uderzył się w twarz, z nosa poleciała mu strużka krwi.

– Witek, czego chcesz? Zostaw – wystękał Józek i niezdarnie próbował wstać.

Miał na sobie krótkie jasne spodenki na szelki z guzikami i przybrudzoną koszulkę z kołnierzykiem. Wtem obok nich wyrósł mężczyzna ze sporą czarną brodą i łysiną. Złapał Witka za rękę, wykręcił ją do tyłu, nastolatek tylko zdążył cicho stęknąć i puścił swój miecz.

– Znęcaj się nad starszymi, łachudro jedna! – krzyknął mężczyzna do Witka, który miał na sobie kostium teatralny przedstawiający rzymskiego legionistę.

Ten, widząc, co się święci, ruszył biegiem do baraku, w którym znajdował się sierociniec.

– Wstawaj, mały. – Wybawca podniósł chłopca jedną ręką. – Coś cię boli? – zapytał troskliwie.

– Nie... psze pana – odpowiedział cichutko Józek i wytarł dłonią krew, rozcierając ją po policzku.

– Chodź, przemyjemy. – Ruszyli do beczki z wodą. – No już się nie maź. Jak na ciebie wołają?

– Józio.

Chłopak nagle przystanął, zaczął nerwowo wyłamywać palce i patrzył na czubki sandałów.

– No chodź – popędzał go brodac.

Minęli jeden z domków nazywanych ulami. Był to okrągły budynek z gliny, pobielony i kryty mięsistymi liśćmi bananowca. Przed nimi ukazał się widok na górę Meru, nad którą wisiał wieniec ciężkich równikowych chmur. W tym momencie Wartanian sięgnął do kieszeni i wyjął ołowianego żołnierzyka na koniu – australijskiego kawalerzystę.

– Masz i nie płacz już więcej. Trzeba być silnym. – Włożył zabawkę w małą dłoń Józka i obmył mu twarz chłodną wodą.

Józef stał na środku placu i z każdej strony oglądał figurkę żołnierza. Był zachwycony. Śmiał się do siebie. Podniósł go i spojrzął pod słońce na soczyste kolory i detale, szablę, którą niósł przed sobą Australijczyk, lekko podwinięty kapelusz i spięty ogon konia. W pewnym momencie zaczął wzrokiem szukać brodacza. Ten jednak, jak znienacka się pojawił, tak szybko zniknął w którejś z chat.

Chłopak wszedł do baraku sierocińca i zamarł. Zobaczył Witka, który zdejmował z siebie papierowy szyszak pomalowany na złoto, a z piersi tekturowy biały ryngraf z orłem. Obok leżał hełm przypominający te używane przez Rzymian i drewniany miecz. Niedawno uczestniczył bowiem w przedstawieniu teatralnym opartym na fragmentach *Quo Vadis*. Nowacki nie zwrócił jednak uwagi na Józka. Chłopiec podszedł do swojego łóżka, rzucił się na nie i odwiązał moskitierę. Schował się za siatką. Jego poduszka stała się na krótko stepem, po którym pędził Australijczyk na koniu.

Po kilku minutach wstał, podniósł serwetkę, która leżała na jego blaszanej walizce, służącej teraz za stolik. Uchylił wieko i schował w środku żołnierzyka.

Taki sam leżał na szarym kocu Witka.

* * *

W uzupełnieniu działań związanych z realizacją głównej operacji podjąłem w ostatnim czasie działania w polskich ośrodkach z tak zwaną wzmocnioną strefą bezpieczeństwa. Ustaliłem, że poza kryminalistami z warszawskich żydowskich grup przestępczych oraz kryminalistami ze środowisk socjalistycznych jest grupa osób z band lwowskich i tarnopolskich. W związku z tym spośród prawie pięćdziesięciu osób wytypowałem kilkusobową grupę wykazującą się dużą sympatią do idei komunistycznych (dokładne dane przesyłam oddzielnym szyfrogramem). Podobne działania podjąłem w obozie, w którym przebywa ponad czterdzieści prostytutek różnych narodowości i wyznania z przedwojennych wschodnich terenów polskich. Jednak praca tam jest utrudniona. Dodatkowo zleciłem działania operacyjne agentowi ps. Wiktor w Rodezji, gdzie grupa kryminalistów liczy trzydzieści osób, podobnie jak grupa prostytutek. Wciąż nie mam dostępu do więzienia w Makindu, gdzie kierowano najgroźniejszy kryminalny element z polskich obozów lub wprost z transportów morskich.

Johan

Mężczyzna w polowym tropikalnym mundurze bez oznaczeń odłożył ołówek i wstał od niewielkiego stołu. Popatrzył na drewniany szkielet z drągów stanowiący konstrukcję dachu pokrytego liśćmi bananowca. Wyszedł na moment na zewnątrz. Budynek otoczony był kwiatami i jakimś zielskiem oplatającym ściany. Wyprostował się i przeciągnął, pogładził po łysej głowie i wciągnął w płuca rześkie powietrze, które wiatr przywiał spod Kilimandżaro. Popatrzył na otaczające obóz w Tenger wulkaniczne wzgórza porośnięte gęstą roślinnością. Doskonale się czuł w tym położonym na tysiącu dwustu metrach nad poziomem morza polskim obozie. Nie było tu wszechobecnej nadmorskiej wilgoci czy skwaru i kurzu suchych rejonów sawanny.

Jego myśli po chwili uciekły do małego Józka. Usłyszał o nim zupełnie przypadkowo w czasie rozmowy z ojcem Franciszkiem, który uczył religii. Wartanian co jakiś czas dostarczał zakonnikowi sprowadzane z południowej Afryki pinotage – wytrawne czerwone wino. Ojciec Franciszek twierdził wprawdzie, że to tylko na potrzeby odprawianych mszy, jednak zbyt duże zamówienia wskazywały, że duchowny mógł nadużywać alkoholu. Wskazywały na to jego gwałtowne, niczym niespowodowane napady agresji. Z tego powodu dzieci po prostu się go bały. Bił chłopaków linijką

albo cienką bambusową tyczką, gdy nie potrafili odpowiedzieć na pytania w czasie katechezy. Raz przyznał Wartanianowi, że zlecił chłopakom z grupy Tarzana pobić Janka Niwińskiego, bo w czasie lekcji coś nieprzyjemnego mu odburknął.

– W zasadzie nie słyszałem nawet, co powiedział, ale dostał dla zasady. Dyscyplina musi być! – stwierdził.

Wartanian obserwował siedmiolatka już od pewnego czasu. Wiedział, że może być mu oddany jak mało który z chłopców. Witek Nowacki bez problemu przyjął od Wartaniana zadanie „poszturchania” trochę Józka. Za przysługę dostał ołowianego żołnierzyka.

O grupie Tarzana było głośno w obozie. Przywódcą był piętnastoletni Michał Bartkiewicz. Chłopak tak zapatrzył się w serię filmów ze słynnym amerykańskim pływakiem Johnnym Weissmullerem, że zaczął go naśladować. Uciekał do dżungli i zakładał na drzewach chatki, w których godzinami przesiadywał. Gromadził w nich banany, papaje i daktyle. Imponował tym młodszym kolegom. Niektórzy szli w jego ślady i urywali się z obozu. On zaś, świadomy tego, że jest najodważniejszy, testował ich lojalność. Do jego bandy trafiali tylko ci, którzy najgłośniej ryczeli jak filmowy Tarzan i potrafili bujać się na lianach. A najbliżej byli ci, którzy wytrzymali ukąszenia czerwonych mrówek.

Wartanian obserwował grupę i zdawał sobie sprawę, że łączy tych chłopaków jakaś więź, która nie wynika już tylko z zabawy. Więź, która popycha ich do łamania zasad obowiązujących w obozie, a nawet do popełniania drobnych wykroczeń.

Witek Nowacki pełnił w grupie nietypową funkcję – skarbnika. Zbierał w obozie używaną odzież oraz przedmioty codziennego użytku, takie jak sztucce, scyzoryki, latarki. Potem urywał się na kilka godzin z obozu, jechał zdezelowanym autobusem z panem Zygmuntem do pobliskiej Aruszy i sprzedawał swoje skarby Hindusom i Masajom. Za zarobione szylingi kupował papierosy. Część pieniędzy zakopał przy jednej z palm daktylowych, ale o tym poza nim wiedział tylko Tarzan. Pieniądze te miały im się przydać w czasie ucieczki. Planowali bowiem ruszyć na wschód, na wybrzeże. Tam chcieli wsiąść na jakiś statek, aby popłynąć do Australii. Takie było ich chłopięce marzenie.

Petros Wartanian od kilku lat pracował dla EARA – East Africa Refugee Administration – wyspecjalizowanego urzędu brytyjskiego, który zajmował się sprawami związanymi z pobytem uchodźców. Oddelegowano go

do pomocy kierownikom obozów – *Polish Camp Leaders*, do koordynowania sprawnego systemu dystrybucji towarów w warunkach afrykańskich bezdroży i dużych odległości dzielących osiedla od portów na wybrzeżu.

Mężczyzna podawał się za Ormianina zamieszkałego w Polsce. Utrzymywał, że pochodzi z rodziny, która uciekła jeszcze przed wojną z Rosji Sowieckiej. W rzeczywistości już prawie dwa lata pracował pod przykryciem w polskich obozach w Afryce Wschodniej.

* * *

Wartanian wrócił do tymczasowej kwatery, zdjął buty i postawił je przy łóżku na malutkim dywaniku rozłożonym na glinianym klepisku. Obok stała szafka z wiadrem, ręcznikiem i mydłem. Położył się. Patrzył na jedno z czterech osłoniętych siatką okienek w okrągłej ścianie. Podłożył pod głowę poduszkę i zwinięty koc. Płomień lampy naftowej słabo oświetlał wnętrze. Chciał odpocząć, zanim przystąpi do pisania kolejnego meldunku. Musiał je zawieźć do Dar es-Salaam, do radiooperatora, który w jednym z biur spedytatorów morskich miał dobrze zakamuflowaną radiostację typu *Siewier*.

– Panie Petrosie! Panie Petrosie!

Usłyszał przed domem głośnie dziecięce wołanie. Znał ten głos. Uśmiechnął się do siebie i nie wstając z łóżka, odpowiedział:

– Jestem, Józek, jestem! Co się stało, chłopcze?

– Panie Petrosie. Niech pan przyjdzie do nas na kolację. Poopowiada pan o Polsce? Prosimy, panie Petrosie. Bardzo prosimy.

Wartanian wstał. Przed chatką stał uśmiechnięty siedmiolatek i w rękę trzymał ołowianego żołnierzyka.

Józek był sierotą. Pochodził z żydowskiej rodziny Niczhanserów z Andrychowa. Jeszcze w 1939 roku całą jego rodzinę Niemcy zmusili do pracy przymusowej. Na początku musieli zamiatać ulice, a potem porządkować domy, które szykowano dla niemieckich osadników. Ojciec trafił do obozu pracy w Sosnowcu, tam ślad po nim zginął, podobnie jak po matce i siostrze oraz dwóch braciach.

Nikt nie chciał chłopcu utrudniać i tak już ciężkiego dzieciństwa. Józek żył marzeniami. Tęsknił za bliskimi. Ich zdjęcia traktował jak największą relikwię. W dokumentacji obozowej w Tenger znalazł się zapis, że jego brat Bernard służył w 2. Pułku Strzelców Podhalańskich w Sanoku,

którego kompania zwiadu, dowodzona przez porucznika Jana Skalę, została rozbita w rejonie Baranowa nad Wisłą. Bernard miał się przedzierać do Tarnowa do swojej dziewczyny, ale czy tam dotarł, trudno powiedzieć. Ślad po nim zaginął.

Józka uratował sierżant Karol Marjański, który kilka miesięcy wcześniej uczestniczył w szkoleniu zorganizowanym pod Andrychowem dla żydowskich bojowników i doskonale znał rodzinę Niczhanserów. Zaopiekował się ledwie kilkunastomiesięcznym dzieckiem. Późną wiosną 1940 roku sierżant uciekł wraz z żoną i małym Józkiem na Węgry. Stamtąd dotarli do Splitu, a następnie do Hajfy. W miejscowości Samach w Palestynie zgłosił się do Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich. Żona została z Józkiem, gdy sierżant walczył w Tobruku i został tam ciężko ranny.

Chłopiec z tamtego okresu pamiętał ledwie jak przez mgłę kraciatą flanelową koszulę mężczyzny, pachnącą tytoniem fajkowym. W 1942 roku cała trójka przybyła do Tanganiki. Następnego roku sierżant zmarł, a rok później na malarię zmarła również jego żona.

Chłopiec został zupełnie sam. Wtedy Wartanian, który miał dostęp do obozowej ewidencji, zmienił mu nazwisko, a w zasadzie uprościł na Hanser.

* * *

Józek chwycił Wartaniana małą dłonią i pociągnął w kierunku jadalni. Minęli magazyny, pralnię i budynek kuchenny. W obszernym prostokątnym pomieszczeniu siedziało już kilkunastu małych chłopców i nastolatków. Józek był z nich najmłodszy. Każdy go znał i wszyscy traktowali go z sympatią, bo był bardzo ruchliwy i wszędobylski. Zaglądał w każdy zakamarek obozu, a nieraz nawet podążał do dżungli za chłopakami z grupy Tarzana, chociaż ci go odpędzali. Śmiali się z niego, że nie da sobie rady w gęstym lesie wśród dzikiej zwierzyny, ale on starał się im udowodnić, że nie mają racji.

Na stołach przy wejściu do jadalni, która wieczorami stawała się świetlicą dla młodzieży, leżały czasopisma „Promyczek Afrykański”, „Czuj Duch”, powielaczowy „Brzask” oraz miejscowy „Głos Harcerza”. Liczne tłuste plamy zostawione na papierze wskazywały, że cieszyły się popularnością.

Dla ponad stu polskich sierot w Tender namiastkę normalnego życia organizował Józef Jagielski, były burmistrz Wieliczki. Chłopcy go lubili, a on tworzył drużyny harcerskie i zespoły sportowe, przede wszystkim piłki nożnej. Po udanym wejściu na Kilimandżaro w 1944 roku starsi chłopcy uczestniczyli później w całej serii wypraw górskich.

– Zobaczcie, kogo przyprowadziłem! – krzyknął Józek.

Kilkunastu chłopców, którzy szykowali się do kolacji, odwróciło się w jego stronę. Szybko wstali od stołów i przywitali gościa.

– Zapraszamy pana! Tutaj, do nas! A opowie nam pan coś o polskich górach, opowie? Prosimy! O naszych żołnierzach i o bitwie pod Monte Cassino! Dobrze? Albo o czymś innym! – krzyczał jeden z nich.

– O Lwowie, Wilnie! I o Warszawie! – przekrzykiwał go inny.

– A o moich Baranowicach?! – dokładał kolejny.

– Niech pan nam lepiej powie, kiedy ci cholerni Anglicy nas wyślą do Polski?! Bo to różnie mówią w radiu i w naszym obozie – z głębi sali rzucił Tarzan.

Ormianin wprawdzie pochodził z kresów Rzeczypospolitej, ale jego rodzina została po traktacie ryskim po sowieckiej stronie granicy. Choć znał język polski, niewiele wiedział o kraju. Dlatego wykorzystywał przede wszystkim informacje uzyskane od polskich żołnierzy w Palestynie. Teraz pogłębiał wiedzę, czytając prasę lokalną, czyli „Polaka w Afryce”, a także *Komunikaty Polskiej Agencji Prasowej*, *Komunikaty Radiowego Polskiego Centrum Informacji w Nairobi* i *Komunikaty Informacyjne Polskiego Funduszu Prasowego*. Znał dobrze język angielski, więc korzystał też z prasy anglojęzycznej, głównie z „The East Africa Standard”, gdzie zamieszczano materiały dotyczące spraw polskich.

Za każdym razem kiedy przyjeżdżał do Tenger, dużo czasu poświęcał młodzieży. Starał się tłumaczyć dzieciom otaczającą rzeczywistość, opowiadał o nim, a oni traktowali go niczym okno na świat. Część chłopców obecnych na sali znał doskonale. Poznał ich losy, ponieważ miał wgląd w informacje o ich rodzinach, pochodzeniu, narodowości, wyznaniu, kontaktach towarzyskich, a nawet sympatiach politycznych rodziców – wszystko to znajdowało się w ewidencji obozowej. Obserwując dzieci, starał się też ocenić, jakie mają możliwości intelektualne, fizyczne i językowe, a także poznać ich słabości. To pozwalało mu wpływać na ich uczucia, modelować ich charaktery.

– Chłopaki, cisza! A przede wszystkim to dobry wieczór.

– DOBRY WIECZÓR! – odpowiedzieli chórem zgromadzeni.

– Najpierw coś zjedzmy. Głodny jestem jak wilk, a właściwie jak lew na sawannie. Potem wam opowiem, co tam słyhać w Polsce i na świecie, i co u naszego generała Andersa we Włoszech.

– Ja zaraz przyniosę talerz i łyżkę. – Józek i pobiegł do kuchni.

Gdy wrócił i usiadł dumnie obok Wartaniana, wyprostował się, jakby chciał w ten sposób wydać się wyższy i poważniejszy. Patrzył na niego z uwielbieniem, a jednocześnie z niecierpliwością, jakby nie mógł się doczekać tego, co miał za chwilę usłyszeć z ust swojego ulubieńca. Mężczyzna uśmiechnął się do Józka, po czym odwrócił się do wszystkich i głośno rzucił:

– Smacznego!

– SMACZNEGO! – odpowiedział chór chłopców.

Po kolacji przez ponad dwie godziny opowiadał zgromadzonym, o czym przeczytał lub co usłyszał w radiu, co opowiadali mu marynarze w porcie w Dar es-Salaam. Chłopcy w zupełnej ciszy, z otwartymi ustami i czerwonymi uszami słuchali jego słów. Uwielbiali go i po każdej skończonej opowieści mieli mnóstwo pytań do polskiego Ormianina. Docenili to, że znalazł dla nich czas.

– Jutro po apelu porannym i śniadaniu będę miał do zakomunikowania niektórym chłopcom dobrą wiadomość – oznajmił i wstał od stołu.

W sali zaległa cisza. Słyhać było tylko głos cykad za oknem. Popatrzył na zebranych, nabrał powietrza i dodał:

– Wojna wreszcie się skończyła. Japonia przegrała. Nastął zatem czas, aby powoli wracać do domu! – rzucił krótko.

W pierwszej chwili na twarzach chłopców malowało się zaskoczenie, które nagle eksplodowało wybuchem radości. W stołówce rozległy się krzyki, harmider był głośniejszy niż na boisku piłkarskim.

– Cisza! Cisza! – przekrzykiwał chłopców. – Cisza! Jutro na apelu dowiedzie się, kto jedzie do Egiptu, a kto jeszcze zostaje. Byłem tam i wiem, że wam się spodoba. Pamiętacie ten film *Błękitni chłopcy*? To właśnie tam pojedą niektórzy z was. A może wszyscy – dodał, chcąc ich uciszyć.

– Do Egiptu? Nie do Polski? – zapytał najstarszy z nich. – Co? Znowu nas Anglicy oszukali? – dodał Tarzan, chociaż myślami był na dalekich antypodach.

Ormianin popatrzył na niego i pokiwał głową. Żegnając się, powiedział do Józka, że go odprowadzi do baraku.

Wartanian był zmęczony. Przez cały dzień prowadził rozmowy z kierownictwem obozu, przeglądał raporty oraz wymieniał poglądy z oficerami przebywającymi na rekonwalescencji. Zajmował się też zaopatrzeniem osiedla w żywność z farm prowadzonych przez Polaków, którzy uprawiali warzywa i hodowali drób. Musiał również napisać informację do Centrali w Moskwie. Usiadł ciężko na skraju łóżku siedmiolatka, a ten położył się obok niego na brzuchu i zaczął bawić się ołowianym żołnierzem.

– Podoba ci się?

– Jest klawo – chłopak starał się naśladować slang używany przez starszych kolegów.

– Widziałeś film *Dumbo*?

– Tylko słyszałem. To o takim śmiesznym słoniu?

– Tak. Wiesz, mogę ten film załatwić do naszego kina. Chcesz?

– Tak.

– Pójdziemy wtedy razem do kina. A wiesz, że ty też możesz tak jak ten słoń...

– Latać?

– Nie, ale tak jak on realizować swoje marzenia. A właśnie? Jakie one są?

– Chciałbym mieć rodzeństwo, i mamę, i tatę.

– Cóż, nie wszystko jest możliwe. Ale możesz mieć rodzinę. Ja mogę być twoim wujkiem. Chcesz?

– Naprawdę?! – Oczy chłopaka stały się jakby większe.

Józek odwrócił się na plecy na łóżku i patrzył na zwiniętą w ogon moskitierę. W pewnym momencie delikatnie ujął dłoń Wartaniana i uśmiechnął się. Kilka minut później zwolnił uścisk, zasnął. Mężczyzna włożył w dłoń chłopaka niewielki kamienny krzyżyk z dziurką i wyszedł.

Ormianin wpisał go wraz z kilkoma chłopakami z bandy Tarzana na listę dzieci przeznaczonych do ewakuacji do Egiptu. Nie chciał z nim tracić kontaktu, Józef był mu potrzebny.

Korzystając ze swych układów w BOAC – British Overseas Airways Corporation, załatwił, że jedna z dakot DC3 z dywizjonu nr 1, z polską załogą, na początku następnego roku zabierze chłopców przez Chartum do Kairu.

* * *

Polacy bardzo przesiąkają imperialistyczną atmosferą tworzoną przez Brytyjczyków. Nie przejawiają szczególnego zrozumienia dla wolnościowych i niepodległościowych ambicji rdzennej ludności Afryki. To w oczywisty sposób kłóci się z podkreślanym na każdym kroku narodowym etosem Polaków. Przyjmują punkt widzenia Afrykanerów i Rodezyjczyków. Uwypukła się w tej postawie solidarność ludzi białych wobec obcego cywilizacyjnie i rasowo świata czarnych mieszkańców kontynentu.

Część Polaków chce wracać do kraju, część chce emigrować do Ameryki Południowej bądź Północnej albo nawet do Australii. Po ostatnich decyzjach Londynu i Waszyngtonu odczuwa się w obozach atmosferę wyczekiwania i niepewności. Coraz więcej pojawia się głosów o zdradzie Polski przez ich dotychczasowych sojuszników.

Nie odnotowałem przejawów aktywności wywiadu brytyjskiego, a także polskiego z ośrodka andersowskiego. Warunki do pracy werbunkowej korzystne.

Johan

Następnego dnia komendant obozu odczytał na apelu porannym listę dwudziestu chłopców w różnym wieku, którzy pojedą w najbliższym czasie do Egiptu. Mieli być tymczasowo skierowani do prowadzonego od 1943 roku Liceum Techniczno-Lotniczego w Heliopolis na przedmieściach Kairu. Mieszczący się przy lotnisku RAF-u ośrodek miał swoje gimnazjum i liceum. Poza zajęciami w warsztatach mechaniczno-lotniczych, gdzie młodzież starsza uczyła się spawania lotniczego i maszynoznawstwa, mieli lekcje z języka polskiego, angielskiego, geografii i historii.

Najmłodszych, wśród których znalazł się Józef, planowano umieścić czasowo w obozie wojskowym w Qassasin w rejonie Kanału Sueskiego.

* * *

Pierwszy transport polskich uchodźców dotarł do Tanganiki w Afryce Wschodniej w sierpniu 1942 roku. W 1945 roku w obozach afrykańskich przebywało ponad trzysta i pół tysiąca Polaków. Stanowili oni największą społeczność wśród Europejczyków. Przywożono ich do portów na pokładach nie tylko brytyjskich statków, lecz także polskich transatlantyków: Batorego i Sobieskiego. Po zejściu do portu byli kierowani do obozów przejściowych.

Ewakuowani do Afryki uchodźcy zbudowali przedszkola, szkoły podstawowe i średnie zawodowe oraz licea. Działały tam również zespoły artystyczne. Były boiska sportowe i korty tenisowe, szpitale i przychodnie lekarskie. Wzniesiono kościoły, cerkwie i bożnice. Działało harcerstwo, utworzono kluby YMCA. Kolportowana była polska prasa, również dla młodzieży i dzieci.

W połowie 1945 roku pod naciskiem Sowietów sytuacja się zmieniła. Zaczęto zamykać agendy rządu londyńskiego. Rozpoczęły się naciski mające na celu likwidację obozów uchodźców.

Komunistyczne władze w Warszawie nalegały na szybką repatriację polskich sierot do Polski. Ale zaczęły też płynąć do Polaków pierwsze sygnały o możliwościach emigracji do różnych krajów, w czym pośredniczył Watykan. Polscy mieszkańcy obozów w Afryce Wschodniej stanęli przed trudnym wyborem.

Rozdział 3

Egipt – lato 1946 roku

Czterdziestoletni mężczyzna z niewielkim wąsikiem, wyglądający na Egipcjanina, wszedł spokojnym krokiem do kawiarni Groppi w centrum Kairu. Rozejrzał się i skierował się do stolika, przy którym Wartanian siedział i czytał „The Daily Telegraph”.

Spojrzał na stolik, na którym leżała koperta poczty lotniczej zaadresowana dużymi literami:

*Monsieur,
BERNARD SCHEININ
B. P. 503
TEL-AVIV (PALESTINE)*

Koperta poza niebieskim znaczkiem *by air mail* miała naklejonych pięć znaczków z wizerunkiem króla Faruka, przy czym cztery były koloru fioletowego, a jeden pomarańczowego. Właśnie tego wypatrywał mężczyzna, bo to był system znaków pozwalających na nawiązanie kontaktu. Sygnał, że bezpiecznie może przystąpić do rozmowy.

- *Good evening, sir!* Czy może pan Wartanian z Afryki Południowej?
- *Good evening!* Z Afryki, ale Wschodniej. Przyjechałem z Rodezji.
- Ach tak, widocznie coś pomieszali w moim kairskim biurze – odpowiedział mężczyzna i położył przy kopercie starą paczkę egipskich papierosów Mogul z rysunkiem wielbłądów, Arabów i trzech piramid. – W porządku. Jak mogę ci pomóc?
- Nareszcie. Sprawa jest pilna. Wiesz, o co chodzi?
- Zapamiętaj. Nazywam się Adam Ahmad al-Naggar, pracuję w Oddziale Morskim Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Kairze.
- Okej. Wracając do sprawy. Wszyscy chłopcy są na wakacjach w Agany koło Aleksandrii. Wiem, że planowane są już transporty, w tym z ośrodka z Heliopolis, do Anglii – rzekł Wartanian.

– Tak, słyszałem coś o tym. Mam w Trzecim Korpusie generała Wiatra kontakt z byłym komendantem placu w Port Saidzie, a teraz kwatermistrzem Szpitala Wojennego. Polaków transportują pociągami z Aleksandrii przez Banhę, Ismailię i Al-Kantarę do Port Saidu. Przez La Valettę, niekiedy Pireus, płyną do Gibraltaru i do Anglii. Korzystają z dużych statków – takich jak ten Otrano. Prawdziwy kolos. Wysokość pięć pięter i dwa tysiące pasażerów na pokładzie – odpowiedział Adam Ahmad al-Naggar.

– Sam widzisz, że czas najwyższy przerzucić moich chłopców do Lizbony. Jak trafią do Anglii, to wszystko przepadnie. Druga sprawa to grupa kilku mężczyzn i kobiet z obozów specjalnych w Afryce. Pracującym dla nas albo sprzyjającym nam obiecałem szybki przerzut do Egiptu albo Palestyny. Załatw to tu, w polskim sądzie polowym, a następnie po przybyciu na miejsce wyciągnij ich za pieniądze z polskiego więzienia czy jakiegось ichniego obozu internowania. Sprawa jest pilna. Ktoś musi nadzorować to wszystko na miejscu i być gotowy na ewentualną eliminację wszelkich zagrożeń dla naszej operacji. Rozumiesz, Adam?

– Tak, majorze – odparł i pokiwał głową. – A wiesz, jak Polacy nazywają to, co właśnie pijesz? – Wskazał na szklanekę mrożonej kawy na stole. – Osobiście wolę z czekoladą.

– Nie wiem. – Ormianin chusteczką przetarł spoconą łysinę.

– Brazylianka! – Ostrożnie rozejrzał się po kawiarni.

Nie zauważył, aby ktoś się im przyglądał. Ruch gości był całkowicie naturalny. Kelnerzy uwijali się przy zamówieniach, pokrzykując to do barmana, to do obsługi z zaplecza. Z zewnątrz docierał wczesnopopołudniowy uliczny gwar.

– Posłuchaj – rzekł Adam ściszone głosem. – Codziennie sprawdzaj narożnik muru z prawej strony drzwi wejściowych w kościele ormiańskim, niedaleko mostu Ismailia na Zamaliku. Jak będzie krzyżyk koloru ceglastego, to nie spotykamy się tutaj, w Dużym Groppi, ani w miejscu zapasowym w Małym Groppi. Dowiedziałem się niedawno, że po tych lokalach kręcą się często Polacy. Więc nie możemy ryzykować. W takiej sytuacji widzimy się następnego dnia na ostatnim seansie w kinie Metro przy Talaat Harb Street numer trzydzieści pięć, kiedyś to była Soliman Pasha Street. Zapamiętałeś?

– Tak.

– To jedyne kino w Kairze z klimatyzacją.

– Jakoś daję radę z tym upałem. – Wartanian roześmiał się i ponownie przetarł spoconą głowę.

– Jakby coś nie wyszło, zapasowym miejscem jest wejście do kina Miami, które latem jest nieczynne. Czekaj na mnie następnego dnia o szóstej po południu. I tak do skutku.

– Znajdę je?

– Jest naprzeciwko pod numerem trzydziestym ósmym. Taki nowoczesny, wysoki budynek, jakby z wieżą. Wywiad brytyjski ma tu olbrzymie możliwości operacyjne. Hotel Shephard, jak wynika z naszych obserwacji, to stałe miejsce spotkań oficerów SOE. No i jest tu jeszcze trochę polskich niedobitków od Andersa – powiedział Al-Naggar, wstał od stolika i ruszył w kierunku kanciastej, czarnej taksówki.

Po chwili podniósł się również Wartanian. Przeszedł przez postój taksówek, minął policjanta w białym mundurze i czerwonym fezie na głowie, otworzył drzwi beżowego dodge'a D 1125, siadł ciężko w zapadniętej tylnej kanapie i rzucił do kierowcy:

– *Naafi night club!*

Samochód powoli ruszył i wbił się w uliczny potok niemiłosiernie trąbiących na siebie kierowców pojazdów. Między nimi przeciskali się roweryści. Ruch blokowały zaprzęgnięte w wielbłądy czterokołowe wozy i dwukonne dorożki.

Ani Wartanian, ani Al-Naggar nie zwrócili uwagi, że w samym rogu Dużego Groppi siedziało dwóch mężczyzn. Jeden młody, ale lekko już łysiejący, o spokojnym wyrazie twarzy. Drugi starszy, z zaczesanymi do tyłu włosami rozjaśnionymi zapewne od egipskiego słońca.

* * *

– Franek. Dobrze przyjrzałeś się temu łysemu brodaczkowi? – spytał, nie odrywając wzroku od szklanki po brazyliance, porucznik Filip Godlewski. – To niejaki Petros Wartanian. Pracował do niedawna dla Brytyjczyków.

– Zapamiętałem go. Ale wydaje mi się, że tego, który z nim rozmawiał, to ja skądś znam – odparł major Franciszek Wierzbicki.

Wierzbicki załatwiał w Kairze sprawy związane z działalnością firmy Asphaltina, która na zlecenie Oddziału Informacyjno-Wywiadowczego Sztabu Generalnego Naczelnego Wodza miała pomnażać środki finansowe. Wypracowywane zyski zasilają fundusz operacyjny polskich służb specjal-

nych operujących na Bliskim Wschodzie. Major był doświadczonym oficerem wywiadu. Pełnił służbę w Ekspozyturze T w Jerozolimie, gdzie odpowiadał za prowadzenie sprawy o kryptonimie praca X, czyli nasłuchu na kierunku Związku Sowieckiego. Teraz miał rozpoznać aktywność radziecką w Kairze. Czasu było niewiele, bo sytuacja Polaków w tym rejonie stawała się coraz trudniejsza.

– Ustalę to, Filip. Jutro widzę się z Sulimą. A dzisiaj pogadam jeszcze z takim Piaseckim z Ośrodka Rezerwy Personalnej Oficerów. On ma bardzo dobre kontakty w Kairze. Spotkajmy się tutaj, o tej samej porze pojutrze.

– *Yes, sir* – rzucił Godlewski i mrugnął do niego.

– Filip. A co robimy z tą byłą maszynistką z konsulatu ze Stambułu, jak jej tam?

– Lucy Rossi-Buczyńska...

– O właśnie! Według pułkownika Libiecha, który kierował ekspozyturą Bałtona, była agentką niemiecką. Moje kontakty w Bejrucie i w Jerozolimie to potwierdziły. Jako pracowniczka naszego Ministerstwa Informacji i Dokumentacji będzie łatwa do namierzenia. Można to szybko załatwić. W łeb szkopskiej dziwce i do wody. Może wypłynie po paru tygodniach na jakiejś śródziemnomorskiej plaży obgryziona przez rybki.

– Nie dostałem od Czakuckiego takich wytycznych. Poza tym powiem ci coś, ale tylko między nami. Niemcy przestali być dla nas wrogiem. Dużo się o tym mówi już zupełnie jawnie u nas we Włoszech. Teraz liczą się tylko Sowieci.

– Tak, kurwa mać. Tak się liczą, że Angole z Jankesami dogadali się z nimi nad naszymi głowami. Widzę, co się tu dzieje. I wiesz, co jeszcze? Najlepiej na tym interesie wyszli nasi dawni koledzy mojąszowego wyznania. Ci, co prysnęli od Andersa jeszcze w Iraku.

– Pieprzysz. Ty mówisz o wielkiej polityce. A tutaj rozpoczyna się cicha wojna z Sowietami.

– Tylko zauważ, Filip, że naszym kosztem!

Major wyprostował się na krześle. Spojrzał na kelnera, machnął ręką i krzyknął:

– Whisky!

Odprowadził kelnera wzrokiem do baru i wrócił do rozmowy:

– Dobra. Powiedz mi, Filip, jak Czakucki wpadł na tego Ormiaszkę Wartaniana. Przecież Czakucki jest we Włoszech.

– Dostaliśmy sygnał od Brytoli. Namierzyli jakąś radiostację w porcie w Dar es-Salaam. Angole nic nie zrobili. Zdjęli ją tylko, a radiooperator zaginął w portowych wodach. Ze strzępów informacji dla Angoli nic nie wynikało. Ale wiesz, Czakucki to stary lis. I coś wywęszył. A poza tym mieliśmy kiedyś podobną sprawę jeszcze w Iranie i Iraku. Skojarzenia, a potem wnioski z ustaleń były słuszne.

– Rozumiem, że mamy być gotowi do likwidacji. Bo to za gruba ryba, żeby do niego podchodzić.

– Tak. Czakucki też jest tego zdania. Ale przygotuj się jakby co na likwidację obydwu. Ja jednak czekam na twoje ustalenia. Potem niech we Włoszech decydują.

– Sami to mamy zrobić?

– Nie. Przyjedzie jeszcze do pomocy porucznik Winiecki.

– Pewny?

– Pewny to mało powiedziane. Armando? Mogę za niego ręczyć jak za siebie. Znamy się jeszcze z tego śmierdzącego ropą Krasnowodzka. Niejedno razem przeszliśmy. W Rzymie realizowaliśmy trudne zadanie... – Godlewski ugryzł się w język i przerwał. – Odbieram go za pięć dni w Port Saidzie. Ma przyplłynąć z Włoch liniowcem Franconia.

– Cunard Line. Znam ten statek. Nasi w czterdziestym czwartym roku na nim pływali. Dobra, Filip. Masz tu jeszcze najnowszy materiał ekspozytury do wysłania szyfrogramem przez radio. Nie chcę się u nas za często kręcić. To serwus. Widzimy się pojutrze – rzucił i wstał od stolika.

Godlewski wyjął z koperty ostemplowaną pieczęcią z orłem: *Polska Misja Repatriacyjna na kraje Bliskiego Wschodu, Indie i Afrykę w Kairze* złożoną kartkę papieru i zaczął powoli czytać:

Z uzyskanych w ostatnim czasie informacji wynika, że wzrosła aktywność wszelkich czynników sowieckich w Egipcie. Odnotowano wiele kontaktów z miejscowymi partiami opozycyjnymi. Sowietnicy wykorzystują głównie elementy szowinizmu narodowego wszystkich klas społecznych i trudną sytuację gospodarczą, w jakiej znalazł się Egipt po wojnie. Sprzyja to wzrastającemu nastawieniu antybrytyjskiemu. Jednak najbardziej niepokojące są bliskie relacje z lokalnymi partiami komunistycznymi, które w swoich deklaracjach walczą ze znacznym bezrobociem, a jednocześnie żądają wycofania wojsk brytyjskich nie tylko z Egiptu, lecz nawet całego regionu Środkowego Wschodu.

Istotnym elementem destrukcyjnym działań sowieckich jest podważanie deklaracji ze stycznia 1946 roku. W kręgach dyplomatycznych Sowietnicy podważają brytyjskie stanowisko, aby oprzeć stosunki anglo-egipskie na zasadzie pełnego partnerstwa między równymi sobie. Niewykluczone, że po zakończeniu wakacji może dojść do zapowiadanej rewolty studenckiej zapoczątkowanej zimą tego roku. Na kampusie uniwersyteckim również aktywizują się czynniki prosowieckie.

Zakładamy, że te działania wywrotowe będą wspomagane zamachami bombowymi w takich miejscach publicznych jak kina czy restauracje. Stawiam zatem tezę, że Związek Sowiecki zarówno poprzez swoje poselstwo dyplomatyczne, jak i wywiad oraz jego agenturę działającą pod różnym przykryciem próbuje zdestabilizować sytuację w Egipcie wszelkimi dostępnymi środkami.

Godlewski położył na stoliku kopertę i zamyślił się. W Kairze tego lata było wyjątkowo gorąco. Przebywający w mieście Polacy tęsknili za lutym, kiedy temperatury były znacznie niższe. Brakowało im ulicznych sprzedawców bukietów zrobionych z gałązek kwitnących wiśni. Potem nastąpił sezon hamsinów – dusznych wiatrów niosących pustynny piasek i kurz z Sahary. Ten wietrzny czas skończył się półtora miesiąca temu. Wiosenny klimat zastąpiło lato z mnóstwem kwiatów o czerwonych płatkach pokrywających drzewa na miejskich skwerach i w parkach. Kończył się sezon na pomarańcze sprowadzane z Cypru i Jaffy, które tak wszyscy uwielbiali. Zaczął się na kawony, czyli arbuzy, a także truskawki, melony i winogrona.

* * *

Adam Ahmad al-Naggar mieszkał od kilku lat w Kairze. Jego żona Ozanna, poza opieką nad córką i zajmowaniem się domem, tłumaczyła pisma w kairskiej kwaterze głównej Corps of Military Police. Ze względów bezpieczeństwa dostała ostatnio zgodę na pracę w domu. Coraz częściej bowiem dochodziło do ataków nieznanymi sprawcami na siły brytyjskie, policjantów i urzędników.

Tymczasem zamachy koordynował jej mąż. Przeprowadzali je głównie arabscy komuniści z Kairu i Aleksandrii.

Teraz dodatkowo miał on na głowie operację specjalną, którą realizował Wartanian, a w której miał mu okazać wszelką pomoc. Według Centrali w Moskwie Operacja Retea miała najwyższy priorytet. Al-Naggar traktował ją w szczególny sposób, bo to według jego planu została uruchomiona.

Po spotkaniu z Wartanianem Al-Naggar pojechał do niewielkiej restauracji niedaleko głównego wejścia do Wielkiego Meczetu Al-Azhar. Podpułkownik Stanisław Sulima z Kompanii Rezerwy Oficerów Obozu Przejściowego w Egipcie już na niego czekał. Podejrzewał go wprawdzie, że mógł mieć związki z polskim wywiadem, ale uzyskiwane od niego informacje były cenne. Podpułkownik był nader rozmowny. Przykrycie Al-Naggara zabezpieczało go przed ewentualnymi podejrzeniami.

– *Good evening, dear colonel* – przywitał się, podchodząc do stolika.

– Al-Naggar, miło cię widzieć. Co tam w świecie? Słyszał pan o zamordowaniu dwóch brytyjskich policjantów w Aleksandrii? – odpowiedział pytaniem pułkownik.

– Tak, coś u nas w biurze mówiono.

Do stolika podszedł kelner w białej marynarce i postawił na stoliku dwie szklanki z sokiem winogronowym oraz talerzyki z *dukkah* – egipskim specjałem z mielonych orzechów, przypraw i ziół. Obok stały miseczka z oliwą i trzciny koszyk z parującymi jeszcze tureckimi chlebkami posypanymi czarnym sezamem.

Hałas ulicznego ruchu docierał do wnętrza lokalu, mieszając się z pokrzykiwaniem niecierpliwych gości na kelnerów. Zapach jagnięcego mięsa z zaplecza docierał w każdy zakamarek restauracji.

– Wraca pan pułkownik do Polski?

– Pewnie tak. Wie pan, chciałbym zostać nauczycielem w rodzinnym Brzesku. Ale nie mogę się zdecydować. Różnie mówią o sytuacji w moim kraju. Zresztą dokąd mam jechać?

– Tyłu Polaków w Palestynie. Może tam?

– Ahmad! Przecież ja jestem chrześcijaninem. Poza tym zrobiło się tam niebezpiecznie. Dlatego wsiądę w pociąg i pojadę do Port Saidu. Potem statkiem do Anglii przez Lizbonę, a stamtąd już tylko krok do Polski. No i pieniądze też się powoli kończą...

– To ja zamówię wino, panie pułkowniku. Nie wiem, czy pan zna nasze egipskie Cru des Ptolemes.

Po chwili kelner sprawnie otworzył butelkę zimnego wina typu pinot-blanc z różową naklejką i czarnymi napisami.

– To mówi pan pułkownik, że do Polski popłynię przez Lizbonę i pieniądze się kończą. To bardzo dobrze się składa. Bo miałbym dla pana pułkownika pewną propozycję. Można dobrze zarobić i zrobić dobry uczynek. Pan wie, że ja zawsze wam, Polakom, pomagam, jak mogę.

– Wiem, Al-Naggar. Bo wy, Żydzi, zawsze o interesach. Zamieniam się w słuch.

Ten jednak na początku wyjął z wewnętrznej kieszeni jasnej kapitańskiej marynarki kopertę. Położył ją na stoliku. Sulima palcem uchylił róg papieru i dotknął pliku brytyjskich funtów. Wziął ją w dłoń. Popatrzył na Al-Naggara. Zważył ją w dłoni i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Panie pułkowniku, to nie są moje pieniądze. Czerwony Krzyż dostał, powiedzmy, pewną kwotę środków z episkopatu portugalskiego na pomoc dla sierot. To ja sobie tak pomyślałem, dlaczego nie pomóc tak bliskim mi przecież Polakom. No i właśnie jestem tu i mam dla pana ofertę.

– Bardzo ciekawe. To wydusi pan z siebie w końcu, o co chodzi?

– Jest grupa chłopców, polskich sierot. W Portugalii natomiast jest kilka domów zakonnych w Lizbonie i zaproponowało opiekę nad nimi oraz wykształcenie. Ja, nawet będąc w Helio i Qassassinie, zebrałem taką grupę. Chodzi o to, żeby pan zaopiekował się nimi na czas podróży morskiej do Lizbony i rozwiózł po tych sierocińcach.

– A dużo będzie tych urwisów?

– Niestety tylko dwudziestu. Ale może w przyszłości, jak spłyną jeszcze jakieś środki, to wyślemy ich więcej. Mamy obietnicę z episkopatu Francji, z sierocińców w Marsylii.

– Kiedy miałyby nastąpić ten wyjazd? – Sulima wychylił do dna kieliszek chłodnego wina.

– Panie pułkowniku, jak najszybciej. Warunki, jakie teraz mają dzieci, nie są za dobre. Upała. Muszą w tych namiotach mieszkać. Zatem jak naj-

szybciej – dodał Al-Naggar. – Proszę, oto ta lista. Ja załatwię wszystkie formalności. Pan się nie martwi.

Rozdział 4

Egipt – lato 1946 roku

Hotel Palace w Heliopolis robił oszałamiające wrażenie na gościach przebywających tam po raz pierwszy. Był to czteropiętrowy obiekt zbudowany na początku wieku w bizantyjskim stylu. Czterysta pokoi, w tym pięćdziesiąt pięć apartamentów prywatnych. Budynek otoczony był parkiem o powierzchni ponad pięćdziesięciu czterech tysięcy metrów kwadratowych. Sale bankietowe należały do największych na świecie. Właśnie ich luksus uczynił go sławnym. Na plac przed głównym wejściem podjeżdżały samochody, część zaraz odjeżdżała, a zaparkowane maszyny mimo wszechobecnego kurzu były energicznie polerowane przez kierowców.

Al-Naggar wysiadł z taksówki i ruszył wprost między dwie kolumny wspierające niewielki kamienny daszek nad głównym wejściem. Po drodze poprawił biały garnitur i ścisnął wąskie wiązania pasiastego krawata pod kołnierzykiem granatowej koszuli. Wyprostował granatową poszetkę wystającą z bocznej kieszeni jednorzędowej marynarki. Naciągnął mocniej na czoło biały kapelusz z prostym rondem. Minął recepcję. Rozejrzał się dyskretnie po gościach siedzących w lobby. Dostrzegł Wartaniana. Popatrzyli na siebie. Al-Naggar skierował się na schody, a za nim jakby ospale ruszył Ormianin, trzymając w dłoni złożoną „Egyptian Mail”, co znaczyło, że jest bezpiecznie. W drugiej dłoni niósł skórzaną walizkę oklejoną nalepkami z różnych hoteli.

Dotarli na pierwsze piętro, skręcili w szeroki korytarz. Na jego końcu skręcili w lewo. Al-Naggar podszedł do drzwi i je otworzył. Po chwili zza rogu wyłonił się Wartaniani, podszedł do drzwi po niebieskim jedwabnowełnianym perskim dywanie.

Zamknęli się w środku.

* * *

– Wiesz, dokąd poszli? – zapytał Godlewski.

– Pierwsze piętro. Potem nie mogłem iść za nimi. Nikogo nie było na korytarzu, a oni skręcili i straciłem ich z oczu. Mogli pójść następnymi

schodami w górę albo zostać na pierwszym piętrze. A tutaj taki ruch! – odpowiedział Armando, który tydzień temu dotarł z Włoch do Kairu.

– Mogłeś iść dalej. Ciebie przecież nikt tu nie zna...

– Co nikt nie zna?! To pozna za chwilę, jak naprawdę będzie trzeba. Poczekamy na nich. Znasz tego, który poszedł z brodaczem?

– Tak. Już go spotkałem. Wierzbicki ma ustalić, kim jest ten elegancik. Idź do baru po whisky, a ja Frankowi powiem, co się dzieje.

– Dobra, bo to w sumie jest twoje zadanie. Żeby nam tylko nie zniknęli. Przekaż Wierzbickiemu, żeby był czujny. I jeszcze to, że brodacz ma z sobą dużą walizkę – dodał Armando i poprawił colta dyskretnie schowanego za paskiem z tyłu pod marynarką.

Trochę żałował, że nie wziął jak Filip łatwiejszego do ukrycia walthera PPK, ale jakby doszło do jakiejś strzelaniny, to dziewiątka była lepsza. „Skąd Filip wykombinował tego waltherka? Już mi kiedyś mówił o nim. Może mnie też taki załatwi? Dałbym mojej Izie” – zastanawiał się Armando, siedząc w fotelu i mieszając lód w szklance z whisky. W końcu dostrzegł Filipa, który wszedł powoli do hotelu. „Trochę mu ten beżowy sportowy garniturek nie pasuje” – ocenił w duchu.

– Franek już jest, ma ze sobą jeszcze tego Piotrka z tutejszej ekspozytury. Wrócił niedawno z Jerozolimy.

– A co on tam robił?

– Zbierał informacje od naszych. Podobno zaczyna się ostro kotłować między Żydami a Arabami. Sowietci wspierają w Palestynie komunistów z tej ich Arabskiej Ligi Wyzwolenia Narodowego. Do tego komuniści żydowscy z Francji... Szkoda gadać. A poza tym wiesz, trzeba pieniądze zarabiać. Więc z Frankiem jeżdżą tu i tam.

– To nasz Mieciu Kleiner będzie miał pełne ręce roboty. Wiesz, jak on przepada za bolszewikami. Ty, Filip, a skąd dostałeś informacje, że tu dzisiaj będą?

– Kochany, źródeł się nie ujawnia!

– Nie pieprz. Skoro tu jestem i włączę się po tym brudnym Kairze, to mógłbyś powiedzieć.

– Nie wiem. Poważnie. Franek dostał jakiś cynk.

* * *

– Czym przyjechałeś do Heliopolis? – Al-Naggar zaczął wypytywać, kiedy usiedli w fotelach pokrytych ciemnozielonym aksamitem obszytym złotym haftem.

– Z centrum Kairu tramwajem. Potem wsiadłem w taksówkę przy Ibrahim Boulevard.

– Sprawdziłeś, czy nikt cię nie śledził?

– Nikogo nie zauważyłem. Jestem pewien.

– To dobrze. Wszystkie dokumenty podróży dla chłopców mam przygotowane – powiedział Al-Naggar i wstał.

Podszedł do niewielkiego eklektycznego biurka i z szuflady wyciągnął pękatą kopertę. Potem drugą, nieco mniejszą. Rzucił obie na sześciokątny inkrustowany masą perłową stół ze stali damasceńskiej. Wartanian wymownie spojrzał na Al-Naggara.

– Przepraszam, ale jestem ostatnio zmęczony. Do tego upały. Czeka mnie jeszcze rozmowa z tym Sulimą, który ma się opiekować naszą grupą chłopaków. W drugiej kopercie są pieniądze, abyś mógł się zainstalować w Lizbonie. A tu masz listę miejsc, w których mają być umieszczeni chłopcy. Taką samą ma Sulima.

Al-Naggar wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki złożoną kartkę i zaczął czytać: – *Casa do Gaiato*, były klasztor, założony przez ojca Américo. *Colegio Pina*, w dzielnicy Jeronimos, szkoła. *Colegio Dona Maria*, w dzielnicy Beato, szkoła. *Palacio Dos Arcebispos*, nazywany *Palacio da Mitra*, w dzielnicy Santo Antao do Tojal, przekształcona w *Casa do Acolhimento*.

– Ukryj to dobrze. Wiesz, jakie to ma znaczenie dla naszej operacji?

– Jasne. Schowek mam w pasku od spodni.

– Listy polecające z Czerwonego Krzyża i episkopatu Portugalii ma Sulima. Ty masz nadzorować całość na miejscu. Wejdiesz do akcji dopiero po jego wyjeździe do Anglii. Dlatego prosto z tego spotkania jedziesz do Port Saidu. Jutro rano odpływa stamtąd frachtowiec portugalski Corte Real.

– A jak się dostanę do Port Saidu? A tam... – urwał.

– Pojedziesz samochodem, który stoi na podjeździe hotelu. To szary ford 81A de luxe z tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku ze składanym beżowym dachem. Łatwo poznasz. Kluczyki są w stacyjce. Zarejestrowany na szwajcarską firmę Scheppe z Port Saidu, która ma biuro obok latarni morskiej przy samym nabrzeżu. Tam go zostawisz. W kapitanacie

dowiesz się, jak dostać się na statek. Pewnie zawiozą cię łódką. Wszystko załatwione. Jakieś pytania?

– A jak ten... Sulima z grupą dotrze do Port Saidu?

– Załatwiłem z Australijczykami. Wożą teraz bedfordami ludzi i sprzęt z Port Saidu pod piramidy. Ciężarówki wracają przeważnie puste. Za pięć dni ruszają z Heliopolis. Wieczorem okrętują się na frachtowcu Santa Joana II do Lizbony.

– *Otliczno!*

– Aha. Jedź na wszelki wypadek przez Al-Mansura. I enfielda miej przy sobie przez cały czas. Tutaj, w hotelu, jest zamieszanie i bałagan, bo jakiś kongres lotniczy mają urządzać. Nikt nie zwróci na ciebie uwagi. Zatem powodzenia, towarzyszu majorze. I może do zobaczenia w Lizbonie.

– Uścisnął dłoń Ormianina.

Pożegnali się. Wartanian wziął walizkę i zszedł do lobby hotelu. Na dole panowało zamieszanie. Wnoszono jakieś meble, kartony z winem, skrzynie. Przecisnął się do wejścia. Z daleka dostrzegł szarego forda. Rozejrzał się. Otworzył drzwi samochodu. Walizkę położył na miejscu pasażera, uruchomił silnik i ruszył.

* * *

Za nim powoli podążał beżowobrazowy dwudrzwiowy triumph gloria, prowadzony przez Piotra. Dalej zaś w czterodrzwiowym bmw 326 jechali Armando i Godlewski.

– Niezłe auto ma Wierzbicki – zwrócił się Winiecki do skupionego na jeździe Filipa.

– Jakbyś miał źródelko w postaci funduszu operacyjnego, to też byś takim jeździł. Za to nasz niemiecki szajs jest szybki. Zobaczysz.

– Filip! Franek jedzie za blisko brodacza. Zorientuje się bolszewik, zanim go dopadniemy! Cholera jasna! Zwolnijmy!

Nagle ford Wartaniana jakby przyspieszył. Za nim to samo zrobił triumph. Samochody zbliżyły się do siebie. Wjechały na Abbas Boulvared. Triumph z piskiem opon ostro wszedł w zakręt przy narożnym domu z wieżycą.

Z bocznej uliczki wyjechała gwałtownie wysoka dorożka na cienkich drewnianych kołach. Dwa konie zarżały. Woźnica w czarnej galabii i białym nakryciu głowy ściągnął lejce, chcąc uniknąć zderzenia. Ford ominął

go, ale triumph, choć ostro zahamował, i tak uderzył w pojazd. Dorożka się przewróciła, konie z przerażającym kwikiem upadły na jezdnię, a obok nich wylądował Arab. Chociaż zwierzęta próbowały od razu wstać, nie dawały rady, blokowała je przewrócona dorożka. Samochód polskich oficerów nie miał na szczęście wielkich uszkodzeń, ale zjechał na bok jezdni i zatrzymał się przy wysokim krawężniku. Chromowany zderzak zgiął się, jakby był z gumy.

Widząc to, Wartanian skręcił obok domu z podcieniami i kolumnadą w boczną uliczkę i zatrzymał się. Wyskoczył z samochodu i stanął za jedną z kolumn. Cel miał jak na dłoni. Wyszarpnął zza paska enfielda i zaczął strzelać. Ranni i zakleszczeni Polacy nie mogli się wydostać z pojazdu. Wartanian opróżnił cały bębenek. Załadował ponownie pociski. Zatrzasnął broń. Wzdłuż kolumnady ruszył w kierunku rozbitego samochodu. Wycelował. Jednak w tym momencie na wysokości jego głowy uderzyło kilka pocisków. Z pędzącego bmw przez otwarte okno strzelał Armando.

Godlewski zatrzymał auto i sprawnie wyciągnął walthera. Dołączył do kolegi. Odpryski z kolumn opadły na biały garnitur Wartaniana, który schylił się i zaczął biec do swojego auta.

– Armando, zostaw go! Jeszcze dorwiemy to bolszewickie ścierwo. Trzeba ratować chłopaków! – krzyknął Godlewski. – Tam jest jakiś sklep z materiałami. Biegnij i przynieś coś na opatrunki.

Armando wyprostował się, nie wypuszczając z dłoni pistoletu. Teraz żałował, że nie miał ze sobą stena jak kiedyś pod Chanakinem w Iraku, kiedy zdejmowali sowiecką radiostację. Pistolet maszynowy miałby inną siłę ognia.

Po chwili przybiegł ze sklepu z kawałkiem atłasu. Godlewski w tym czasie zdołał już wyciągnąć oficerów z triumph. Gdy zaczęli opatrywać kolegów, Wierzbicki oponował:

– Zostawcie nas. Nic nam nie jest. To tylko draśnięcie. Jedźcie za nim!

– Jak jedźcie?! Czym?! Na tych kapciach?! – krzyknął Armando i kopnął w przedziurawioną oponę bmw.

– Może do żandarmerii zgłosić. Złapią go – zaproponował po chwili namysłu Filip.

– Ci flegmatycy! Zanim zaczną działać, to przeprowadzą śledztwo, co my tu robiliśmy. Chyba wiesz, jacy oni są, psiakrew! I co im powiemy? Że urządziliśmy sobie strzelaninę do czerwonych?! Tysiąc pytań i w ogóle... do dupy to wszystko.

– Armando ma rację. Będziemy musieli się tłumaczyć tylko, gdy przyjedzie policja. Trzeba coś wymyślić, co on tu robi. Bo chyba nie przyjechał na wakacje z Włoch – wtrącił Wierzbicki, wskazując na Armanda. – Powiemy, że to był napad bandycki, i tyle. Nie mówimy nic o Wartanianie.

– Franek dobrze mówi.

– Teraz musimy szybko zmienić koło w bmw i zawieźć Piotrka do Szpitala Wojennego. Filip wie gdzie. To niedaleko. Ja zobaczę, co z woźnicą.

Rozdział 5

Portugalia – wiosna 1948 roku

Brat Mauro ujął delikatnie dłoń dziesięciolatka i wskazał na swoje kolana. Chłopak niepewnie usiadł na nich, biały sznur z węzłkami oraz przywiązanym do niego drewnianym różańcem uwierały go w plecy.

Franciszkanin lekko rozchylił nogi, skrzyżował ręce na piersiach chłopaka i przyciągnął go do siebie. Józek poczuł na szyi podmuch, słyszał też cichy oddech zakonnika.

Od starszych kolegów wiedział, że lubi on brać chłopaków na kolana po to, aby przy stole czytać im fragmenty z katechizmu. Miały to być dodatkowe lekcje dla tych, którzy byli najbardziej zdyscyplinowani, którzy mu imponowali, których wyjątkowo chwalił w czasie lekcji. Opowiadali mu też z szerokim uśmiechem, że brat Mauro niekiedy wpadał do łaźni i pomagał myć się chłopakom – mydlił im plecy przyniesionym przez siebie pachnącym różowym mydełkiem. Takiego nie mieli, tylko szare bez zapachu. Raz zakonnik łaskotał Pabla, portugalskiego jedenastolatka, tak intensywnie, że ten ze śmiechu aż posikał się w majtki. To był ubaw! Potem jednak zakonnik, jakby dla udobruchania towarzystwa, przyniósł czekoladę. Każdy chciał dostać srebrny papierek, aby go włożyć do książki na pamiątkę pysznej zabawy.

– Jest to całkiem przyjemne. Nic złego nie robi – usłyszał Józek kilka dni temu od Janka Niwińskiego.

Józek był jednym z sześciu Polaków, którzy zostali umieszczeni w *Casa do Gaiato* – domu dziecka stworzonym w byłym klasztorze na północy Lizbony przez ojca América. To tam chłopak miał poznać swoją nową rodzinę. Wraz z nim byli tu jeszcze Marcin „Tarzan”, Witek Nowacki, Krzysiek Ossowski „Mały” i Szymek Bittner. Miejsce było bajkowe. W budynku unosił się jeszcze zapach farby, którą odnowiono ściany ośrodka.

W *Casa do Gaiato* stawiano na związek człowieka z naturą. Dlatego wokół piętrowego budynku rosła bujna roślinność, był też sad z owocami. Pomarańcze i cytryny miały twardą, mięsistą skórę, pachniały wspaniale i osiągały wielkość dużej męskiej pięści. Dla wszystkich świeżo wyciskany sok z nich stał się ulubionym napojem.

Józek siedział cierpliwie na kolanach zakonnika, słuchając czytanych przez niego w języku portugalskim fragmentów katechizmu, i myślał o tym, że niebawem wybiegnie z salki i na trawiastym boisku dołączy do grających w piłkę nożną kolegów. Nic mu nie przeszkadzało, jedynie powietrze wypuszczane z nosa duchownego łaskotało jego skórę.

Józek podniósł dłoń, aby się podrapać, gdy drzwi się otworzyły. Zakonnika jakby poraził prąd. Gwałtownie wstał, zrzucając chłopaka na zimną kamienną posadzkę.

– Auuu. – Józek rozmasował kolano, na które upadł, i spojrzał w górę. Zobaczył pochmurną twarz Wartaniana.

Mężczyzna chwycił go za rękę i pomógł mu się podnieść.

– Nic ci nie jest? – rzucił krótko.

– Nie! Brat Mauro tylko mi czytał katechizm. W dodatku po portugalsku! – odpowiedział chłopiec z nieukrywaną dumą.

– No tak, ja tylko czytałem... – powtórzył niepewnie franciszkanin.

– Wróć, Józiu, do swojej świetlicy, zaraz do ciebie przyjdę. Poczekaaj tam na mnie.

Chłopak wyszedł na długi, pomalowany na biało korytarz i stanął przy uchylonych drzwiach, zamiast iść dalej. Ciekawiło go, co się zaraz stanie. Jaką tajemnicę mieli dorośli.

– Poszedł? – Usłyszał z wnętrza i w tym momencie doszedł do jego uszu gwałtowny zgrzyt przesuwanego krzesła i głucho uderzenie o ścianę.

Zakonnik ciężko oddychał.

– Puść – wystękał.

– Chcesz wylądować w Afryce wśród dzikich ludzi, lwów i węży? Eee? A może wysłać cię na wieczną zmarzlinę? Powiedziałem ci już raz! Wara, kurwa, od moich chłopaków! Jeszcze raz któregoś dotkniesz, to skończysz tego samego dnia przy jakimś nabrzeżu na dzień Tagu. Masz ich tylko pilnować. Zabawiać możesz się z innymi – wysyczał Ormianin.

Do uszu Józka dobiegło głucho uderzenie, potem zaś ciche stęknienie i czyjś upadek na posadzkę.

– Wstawaj, masz chusteczkę, wytrzyj krew. – Chłopiec usłyszał jeszcze głos Wartaniana i cicho pobiegł wzdłuż ściany korytarza.

Zupełnie nie rozumiał, co się stało. Po chwili skulony siedział w świetlicy i pustym wzrokiem patrzył na metalowy garnuszek z wodą, który przed nim stał. Wkrótce dołączył do niego jego wujek Petros, jak w myślach chłopiec nazywał Wartaniana.

– Jak ci idzie nauka, Józku? – Ormianin ostrożnie dobierał słowa i sprawiał już wrażenie spokojniejszego.

– Dobrze... – odparł niepewnie chłopak.

– Co cię najbardziej interesuje? Zdradź mi.

– Eee... teraz to kopanie piłki z chłopakami.

– No tak. To też jest ważne. Tężyzna fizyczna kształtuje charakter – tłumaczył mu Ormianin. – Ale staraj się też poznawać wszystko, co cię otacza. Przyroda, historia... Jak ci idzie nauka języków?

– Szybko poznaję portugalski, w zasadzie to już go nawet umiem.

– Doskonale! Jeszcze chciałbym, abyś w przyszłości uczył się hiszpańskiego i angielskiego. A potem może jeszcze któregoś. Nie zapominaj też polskiego.

– Trudno, żebyśmy zapomnieli. – Józek się uśmiechnął. – Z chłopakami z Afryki rozmawiamy tylko po polsku, dlatego nikt nas tutaj nie rozumie.

Ormianin wyjął z kieszeni mały mosiężny kompas. Chłopak przysunął się do niego i z ciekawością spojrzął na nieznany mu okrągły przedmiot.

– Dzięki niemu można określać strony świata – o, popatrz – tu jest północ. – Wartanian zaczął manipulować małą busolą. – A to róża wiatrów, tak nazywają ten znak marynarze – dodał, pokazując palcem naniesiony rysunek. – Ona pozwala nam maszerować tam, dokąd chcemy, do celu.

Józek chwycił kompas i zaczął mu się przyglądać. Wskazówka delikatnie drgała.

– Gdy dorośniesz, dostaniesz jeszcze nóż, pokażę ci, jak rzucać nim do celu, a potem może dostaniesz też aparat do robienia zdjęć. Wiem, że jest drogi, ale wujek musi dbać o ciebie – powiedział spokojnie Wartanian.

Chłopak był w siódmym niebie, przytulił się do opiekuna. Ormianin pogłaskał go po głowie i czule pocałował w czoło.

– A jak ci się układa z innymi chłopakami?

– No, dobrze. Lubię z nimi grać w piłkę. Chciałbym kopać tak jak ci Anglicy – rzucił mały rezolutnie.

Zaledwie rok wcześniej drużyna dumnego Albionu pokonała Portugalczyków aż dziesięć do zera. Długo wszyscy w domu ojca América o tym opowiadali.

Chłopak nie wspominał nic o innym zakonniku, bracie Juanie, który, jak odnosił wrażenie, nie lubił swoich wychowanków. Za rozmawianie podczas lekcji bił po twarzy, rozładowując swoją frustrację z powodu ignorancji uczniów. Innym razem kazał robić im przysiady i pompki, aż opadli

z sił. Brat Juan ciągle opowiadał im o grzechach cielesnych i lubieżności. O ile jednak starsi chłopcy uśmiechali się wtedy pod nosem, o tyle Józef nie rozumiał, co zakonnik chce im przekazać. Temat grzechów był ciągle obecny w czasie jego lekcji, które zamieniały się w długie, nudne kazania, podobne do tych z codziennych porannych mszy. Raz kazał on Małemu kręcić się wokół siebie, aż chłopak stracił równowagę i upadł, a i tak dodatkowo dostał wtedy jeszcze od niego kopniaka. Kara była konsekwencją tego, że zakonnik znalazł pod siennikiem jego łóżka komiks Walta Disneya o Kaczorze Donaldzie.

Józek jednak nie opowiedział o tym, bo bał się, że wujek Petros znowu się zdenerwuje. Spojrzał tylko na ścianę, na niebieskie i białe, typowo portugalskie osiemnastowieczne kafelki. Za każdym razem go zadziwiały, odnosił wrażenie, jakby znajdujące się na nich wzory geometryczne się zmieniały.

* * *

Grupę małych Polaków do ośrodka przywiózł w ubiegłym roku pułkownik Sulima, tak jak to zostało uzgodnione jeszcze w Egipcie. Sęk w tym, że jego powrót do kraju z powodu problemów zdrowotnych i formalnych przesunął się o wiele miesięcy. Grupa – pomimo zerwania przez Lizbonę stosunków dyplomatycznych z polskimi władzami – została zaproszona przez portugalski episkopat, a następnie podzielona i skierowana do trzech ośrodków. Do każdego trafiło po kilku chłopaków.

Américo Monteiro de Aguiar, znany jako ojciec Américo, przejął pałacową farmę, którą otrzymał w darze w 1946 roku, i przekształcił ją w dom *Casa do Gaiato*. Zainaugurował on działalność w styczniu 1948 roku. Instytucja, w której zostali umieszczeni polscy chłopcy, składała się z kościoła, warsztatów ślusarskiego i stolarskiego, a także sporego trawiastego boiska sportowego.

Casa do Gaiato był zlokalizowany w dzielnicy Beato. Obowiązujące zasady współżycia oparte zostały na motcie ojca założyciela: *nie ma złych facetów*. W domu tym poza niewielką grupą Polaków przebywały lizbońskie dzieci ulicy, które porzucili rodzice. To miejsce miało być dla nich nie tylko drogą do utrzymania pionu moralnego opartego na surowych zasadach chrześcijańskich, lecz także powinno edukować i wychowywać

poprzez pracę chłopców, dla chłopców, przez chłopców z wykorzystaniem reguły starsi mają opiekować się młodszymi.

O dziwo obowiązywały w nim w miarę demokratyczne zasady, bo liderów wybierali członkowie młodej społeczności, a wolność indywidualna była ceniona, podobnie jak odpowiedzialność za swoje działania. Obowiązywały cnoty: *solidarność, hojność, koleżeństwo, miłość bliźniego*. W czasie jednego z pierwszych spotkań z przełożonymi ośrodka chłopcom szczegółowo wyjaśniono, że dom nie jest ani azylem, ani poprawczakiem czy kolonią karną. Prowadzona była formacja zakonna. Ale w przeciwieństwie do niektórych szkół zakonnych nie obowiązywały mundurki.

Te zasady doskonale pasowały do planów Wartaniana, tym bardziej że chłopakami opiekował się lewicujący franciszkanin, który przyjechał z Włoch, gdzie w czasie wojny służył w komunistycznym oddziale partyzanckim kontrolowanym przez Komintern. Ormianin z optymizmem patrzył na realizację Operacji Retea. Dodatkowo prowadził wśród lewicujących organizacji w Lizbonie aktywną działalność wywiadowczą. Między innymi przywoził dla ich liderów moskiewskie instrukcje międzynarodówki komunistycznej.

Chłopcy niewiele rozumieli z tego, co dzieje się poza murami ośrodka. Byli zachwyceni tym, co spotkało ich w Portugalii. Odkrywali nowy świat. Chłonęli wszystko, co widzieli. Lubili wychodzić na zewnątrz, jeździć na wycieczki i spacerować po uliczkach i zakamarkach starej Lizbony. Największym zaskoczeniem dla wszystkich były spotykane przez nich na ulicach bose kobiety, ubrane w czarne kapelusze i dźwigające na głowach olbrzymie kosze z owocami albo pranie. Takich dziwów nie widzieli ani w Egipcie, ani w obozie w sercu Afryki. Podobnie jak skutków trzęsienia ziemi sprzed kilku lat. Domy w ruinie lub tylko popękane ściany starszym chłopakom przypominały skutki bombardowań w Polsce.

Dla kontrastu idylliczne wrażenie robiło na nich oddalone zaledwie o kilkadziesiąt minut drogi autobusem wybrzeże Estoril, z zalesionymi od strony lądu wzgórzami, gdzie jeździli na niedzielne wycieczki. Chłopców szczególnie olśnił przepych hotelu Palacio Estoril, w którym rezydowały arystokratyczne rodziny. Słyszeli od opiekunów, że mieszkał tam Juan Carlos de Borbón y Battenberg. Wrażenie robiło malownicze wybrzeże, pokryte postrzępionymi skałami i rudymi kawałkami ziemi. Rozłożyste pióropusze palm osłaniały od oceanu eleganckie wille skąpane w portugalskim słońcu.

Józek w czasie jednej z takich wycieczek nad Atlantyk położył się na plaży i zatopił się w kolejnej książce Juliusza Verne'a, tym razem czytał o przygodach rozbitków uwięzionych na tajemniczej wyspie. Zapamiętał dobrze ten wyjazd, bo z plaży pojechali do cyrku. Brat Mauro mówił, że to dzięki wujkowi Petrosowi, który kupił Polakom bilety. To były dla niego dwie godziny radości i emocji, szczególnie w momencie gdy zobaczył akrobacje na linie rozciągniętej pod kopułą namiotu i skoki na trapezie. Chłopak patrzył na te dziwy z dłonią na ustach, aby nie krzyknąć z wrażenia jak siedzące obok portugalskie dziewczynki. Bo jego zdaniem to po prostu nie uchodziło.

Polskie dzieci trafiły w Portugalii w tygiel pełzającej rewolucji, która burzyła porządek nietkniętego wojną państwa. W kraju narastały lewicowe nastroje, wywołane klęską państw Osi. Zrodziła ona nadzieję, że alianci pogrzebią też inne autorytarne reżimy, widoczne były wpływy komunistyczne. Krajem targały próby puczów wojskowych skierowanych przeciwko prawicowym rządóm. Na uczelniach odbywały się demonstracje antyrządowe.

Pod koniec 1947 roku prawicowy rząd zmobilizował siły i ruszyły masowe aresztowania. Kraj po politycznym otwarciu na uchodźców w czasie wojny powoli się zamykał. Zbuntowani lewicujący urzędnicy i nauczyciele akademicki byli usuwani ze stanowisk. Komuniści zeszli do podziemia. Moskiewska Centrala NKWD liczyła, że represje prawicowego reżimu Salazara spowodują wybuch społeczny z jeszcze większą siłą.

* * *

Wartanian wyszedł z *Casa do Gaiato*. Przystanął za kamienną bramą, przypalił papierosa i dyskretnie spojrzął spod kapelusza z szerokim płaskim rondem. Poprawił jednorzędową marynarkę z cienkiej wełny w drobną kratkę. Ściągnął podwójny windsorski węzeł krawata.

Jego wzrok zza niebieskiego dymu wyłowił po drugiej stronie ulicy schowanego w cieniu bramy kamienicy Lwowiaka – swojego ochroniarza, którego wyciągnął wraz z innymi ze specjalnego obozu dla kryminalistów w Tanganice. Przed wojną był on członkiem ferajny lwowskiej. Już w czasie zejścia z radzieckiego statku w irańskim Pahlawi brytyjskie służby uznały go za potencjalnie niebezpiecznego i skierowały do obozu w Afryce Wschodniej.

Mężczyzna ubrany w szary garnitur o dłuższej marynarce zapinanej na trzy guziki i luźnych spodniach mógł budzić u postronnego obserwatora skojarzenia z drobnym kryminalistą lub ulicznym cwaniakiem. Ubranie było wyjątkowo wygodne w razie ucieczki, pościgu czy strzelaniny. Pstryknął palcami w szerokie rondo czarnego kapelusza. Sięgnął do obszernej kieszeni workowatych spodni i również zapalił papierosa. To był znak, że jest bezpiecznie.

W tym momencie z bocznej ulicy wyjechał szybko czarny citroën 8CV. Za kierownicą siedział mężczyzna o ciemnej karnacji, z wąsikami. Samochód przeciął im drogę. Mężczyźni popatrzyli badawczo na siebie. Lwowiak odruchowo sięgnął pod marynarkę, gdzie miał ukrytą broń. Wartanian był bardziej opanowany i obserwował rozwój sytuacji. Patrzyli na kierowcę citroëna, który zapewne próbował zmienić bieg, bo skrzynia niechętnie zgrzytała. Skupiony był na tym, jak ominąć leżącego na środku ulicy zdechłego kota. Wyhamował nieco, aby ominąć truchło. Po wąskiej uliczce ponownie rozszedł się metaliczny dźwięk z wnętrza pojazdu, a po chwili ryk silnika na wysokich obrotach. Wydawało się, że szofer nie zwrócił na nich uwagi.

* * *

Nie mogli wiedzieć, że kierowca miał sprawdzić ich reakcję i skupić na sobie uwagę. Zza pobliskiej kamienicy wysunęła się w tym momencie ręka z aparatem fotograficznym marki Leica. Po chwili fotograf schował się za narożnik i odszedł szybkim krokiem w boczną uliczkę.

Stojący przed *Casa do Gaiato* nie wiedzieli również o tym, że Marcel prowadzący wysłużonego i dawno niemytego citroëna kątem oka widział zaskoczenie Wartaniana oraz Lwowiaka sięgającego pod marynarkę.

* * *

Tego samego dnia wieczorem pięciu mężczyzn spotkało się w klubie w hotelu Avenida Palace. Hotel znajdujący się w centrum Lizbony zaprojektowany został pod koniec XIX wieku przez portugalskiego architekta José Luísa Monteirę, który wymyślił także kształt pobliskiego dworca Rossio. Avenida Palace uznawano w okresie belle époque za jeden z najlepszych w Europie ze względu na styl, lokalizację i standard usług. Często

odwiedzany przez osoby ze świata finansów, polityki, religii, literatury i sztuki, stanowił tło dla intryg politycznych i szpiegowskich.

Nad mężczyznami w delikatnym przyćmionym świetle unosił się gęsty dym papierosowy, a na stoliku stały butelka whisky Talisker i kawa. Byli sami. Siedzieli na wysokich obitych czerwoną skórzaną tapicerką stołkach barowych. Przed nimi stał kredens wypełniony po brzegi najbardziej wyszukаныmi trunkami świata. Ściany w pomieszczeniu wyłożono politurowanym orzechowym drewnem. Oni sami wyglądali jak typowi handlowcy lub kupcy, którzy ustalają plany sprzedażowe. Ubrani byli w jasne garnitury w amerykańskim stylu – z typowymi marynarkami o szerokich ramionach. Elegancko, jak przystało na to miejsce. Mówili w niezrozumiałym dla większości gości hotelowych języku. Nikt ich nie niepokoił. Wyglądali, jakby nie zwracali uwagi na innych w barze. Jednak uważny obserwator mógł dostrzec, że co kilka chwil któryś z nich dyskretnie spoglądał na wielkie lustro, aby sprawdzić, czy ktoś zbyt się nimi interesuje.

Kapitan Adam Ehrenberg wyjął ze skórzanej aktówki szarą kopertę, otworzył ją i wysunął z niej plik zdjęć.

– To po wyjściu z sierocińca. Ten po lewej, z brodą, to wasz Wartanian. – Wskazał palcem. – Też podejrzewamy, że to sowiecki szpieg. A ten po prawej czekał na niego przed *Casa do Gaiato*. Potem w pewnej odległości poszedł za nim. Na moje oko to jego ochrona. Może jakiś Polak? – tłumaczył oficer dawnej placówki polskiego wywiadu w Lizbonie noszącej kryptonim Ekspozytura P.

Pułkownik Feliks Albiński pseudonim Marcel przyglądał dwoma palcami czarny wąsik à la Zorro, charakterystyczny dla mężczyzn w Portugalii.

– Wsiedli do taksówki i ruszyli do portu w Santa Maria Dos Olivais. Weszli do starego magazynu. Zeszli do piwnicy. Było tam chyba jakieś zebranie. Nasi bolszewicy niespecjalnie się z tym kryli. Chyba czują się tu pewnie. Jak ustaliliśmy, w zebraniu wzięło udział kilkadziesiąt osób. Z ich wyglądu wnioskuję, że to robotnicy z portu i jacyś raczej miejscowi marynarze. Zauważyliśmy, że dyskretnie obserwowała ich policja. Wychodzi na to, że mogło to być spotkanie z członkami jakiejś bojówki czy grupy komunistycznej. Po dwóch godzinach obaj pojechali do Marvila. Wartanian spędził tam ponad godzinę u niejakiej Marisy Pinto, prostytutki. Kojarzą ją w okolicy, bo zawsze ubiera się na czerwono i jest wyższa niż inne.

W sumie ładna dziewczyna. Tak trochę polskiej urody. – Marcel, kontynuując, przekładał kolejne czarno-białe fotografie.

– Wartanian mieszka w kamienicy przy Beco do Grilo, w jakiejś dziurze. Sprawdziłem potem. Tam znajduje się niewielka firma spedycyjna. W dzień i w nocy kręcą się różni ludzie. Typowa portowa klientela – dodał Ehrenberg.

– Ale najciekawsze jest to, że po wizycie u tej dziwki i w firmie spedycyjnej pojechali do dzielnicy Jeronimos. Wartanian odwiedził szkołę *Colegio Pina*. Po półgodzinie wyszedł. Złapali taksówkę i pojechali w kierunku dzielnicy Beato. Nie jechaliśmy dalej, aby się nie zorientowali, że mamy na nich oko – powiedział Marcel. – Coś w tym jest na mój nos. Przecież bolszewicy nie zapalali nagle miłością do nauki i katolickich szkół!

– Tak, masz pan rację, pułkowniku. Coś w tym może być. Trzeba sprawdzić te miejsca... – rzekł Romuald Czakucki, oficer polskiego wywiadu, który niedawno dotarł do Lizbony z Londynu.

Czakuckiemu towarzyszyli Piotr Winiecki „Armando” i Filip Godlewski, jego najbardziej zaufani oficerowie, z którymi służył w Iraku, Palestynie, a potem we Włoszech. Mieli za sobą kilka poważnych operacji specjalnych. Byli wobec niego wyjątkowo lojalni. Ta lojalność została wystawiona na próbę, gdy w Rzymie zajmowali się tajnymi polskimi funduszami, które pewni politycy i wojskowi z Londynu chcieli sobie przywłaszczyć.

Armando pachniał jak zawsze mocnymi perfumami, a jego skóra na twarzy była tak gładka, jakby ogolił się chwilę przed spotkaniem. Palce miał wymuskane, paznokcie równo obcięte i lśniące niczym pociągnięte bezbarwnym lakierem.

Można było odnieść wrażenie, że się nudzi. Rozglądał się po ciemnych drewnianych ścianach, podziwiając kunszt stolarski zwieńczenia baru, wykończoną spływającą kaskadą dmuchanych szklanych rurek. Za to Filip Godlewski sprawiał wrażenie, jakby dopiero się obudził. Był zmęczony. Miał dwudniowy zarost na twarzy. Lekko przerzedzone włosy nie dbale zaczesał do tyłu.

– Pułkowniku... To on nam uciekł w Heliopolis! – Armando wziął w dwa palce jedno ze zdjęć. – Ale, ale... To ciekawe. Ten gość mi kogoś innego przypomina. W Egipcie widzieliśmy go z Filipem z daleka i przez chwilę. Teraz na tych zdjęciach wygląda inaczej, jakby wyraźniej. – Delikatnie uniósł kryształową szklanę z bursztynowym płynem i kostkami

lodu. Bezwiednie zakręcił nimi, jakby zbierał myśli, a słodkawy aromat miał mu pomóc znaleźć właściwą odpowiedź.

– Gdzie jest, kurwa, twoja głowa, Armando?! – zapytał Czakucki.

Winiecki w tym momencie sprawiał wrażenie nieobecnego.

– Pułkowniku... Irak! – rzucił i powoli podrapał się po głowie. –

Obława na bolszewicką radiostację pod Chanakinem. Wygarnęliśmy ich z Mietkiem Kleinerem. Pamięta pan? Bo ja tak sobie myślę...

– Pamiętam. No wyduś wreszcie, co ci tam świta. – Czakucki tracił cierpliwość.

Pułkownik, który dobrze znał swojego podwładnego, wiedział, że może to być dłuższy wywód. Dlatego wskazał barmanowi na stojący pod wielkim lustrem humidor z tekowego drewna – specjalny pojemnik, dzięki któremu cygara nie wysychają i zachowują świeżość. Poprosił o kubańskie. Czakucki z wprawą odciął srebrną gilotyną jego czubek i zapalił.

Był zmęczony. Raptem dwie godziny wcześniej zszedł ze statku, którym przyłynął do Lizbony z Plymouth. W rejonie Zatoki Biskajskiej nie miłosiernie huštało. Czakucki przeżywał katusze. Takiej choroby morskiej nie miał nigdy wcześniej. Dlatego od początku był źle nastawiony do wizyty w Lizbonie.

Został do niej wezwany przez dwóch oficerów ze zlikwidowanej ekspozytury wywiadu. Trzy lata wcześniej Portugalia pod naciskiem Sowietów zerwała stosunki dyplomatyczne z polskim rządem na uchodźstwie, a po ewakuacji ambasady rezydentura Dwójki formalnie zaprzestała swoich działań. Jednak na rozkaz generała Władysława Andersa i w porozumieniu z brytyjskim wywiadem MI6 polscy oficerowie nadal prowadzili działania operacyjne.

W czasie wojny Lizbona odgrywała niebagatelną rolę w działaniach polskiego wywiadu. Na mapie szpiegowskich stolic dorównywała Genewie, Stambułowi, czy Sztokholmowi. Przez tamtejsze porty uciekali z podpalonej przez Hitlera Europy niektórzy Polacy. Portugalia stała się przystanią dla polskich arystokratów. Zamieszkiwali tam członkowie rodów Czartoryskich, Orłowskich, Sanguszków, Lubomirskich czy Sobańskich.

Polscy dyplomaci w Lizbonie, podobnie jak ich koledzy z placówek RP w Szwajcarii i Turcji, uczestniczyli w wydawaniu paszportów żydowskiemu uciekinierom. Operacje wywiadowcze prowadził tam pułkownik Jan Kowalewski. W 1940 roku wraz z oficerem wywiadu Zdzisławem Żórawskim zorganizowali spektakularną ucieczkę króla Rumunii Karola II wraz

z jego kochanką Eleną Lupescu z Hiszpanii do Portugalii. Kowalewski, który rezydował w willi *Giralda* w Monte Estoril pod Lizboną, poza operacjami wywiadowczymi prowadził też tajne rokowania z przedstawicielami Węgier, Rumunii i Włoch w sprawie wycofania tych krajów z wojny. W dialogu tym, nazywanym Akcją Trójnóg, uczestniczył przebywający w Lizbonie Jan Szembek, były wiceminister spraw zagranicznych RP. Placówka wywiadowcza w Lizbonie prowadziła także rozmowy z niemiecką opozycją antyhitlerowską, w tym z kurierami szefa Abwehry admirała Wilhelma Canarisa – Erwinem Lahousenem oraz generałem Alexandrem von Falkenhausenem.

* * *

Pułkownika Czakuckiego nie niepokoiło, że Sowieci zintensyfikowali swoje działania wywiadowcze w Portugalii, bo taką aktywność odnotowywano po wojnie w wielu innych krajach: Francji, Włoszech, Palestynie, Egipcie. Bardziej martwiły go poczynania Wartaniana, gdyż ten po raz kolejny odwiedził sierociniec, w którym przebywały polskie dzieci. Działania te wymykały się utartym schematom pracy wywiadowczej. Nieznany był cel jego wizyt. Nie wiadano, z kim się spotykał w *Casa do Gaiato*. To wymagało wyjaśnienia. Z oceną Czakuckiego zgodzili się w centrali MI6.

– Mam! Teraz jestem już pewien, pułkowniku! Jak popatrzyłem na te fotografie. To było wtedy, w tym kotle pod Chanakinem. To był ten Ormiaszka, tylko bez brody, za to z bujną kruczą czupryną. W każdym razie Kleiner po krótkim przesłuchaniu kazał go wypuścić. Podobno taki był rozkaz. Warszawiak się wkurwił mocno, bo chciał bolszewika potraktować serią z brena. Jak mu tam było, pułkowniku...?

– On się przewijał też w sprawie Singe. Pamiętasz naszą wizytę w więzieniu brytyjskim w Jerozolimie. O czym wtedy nam ten nasz bolszewik na przesłuchaniu mówił? – odparł skupiony Czakucki.

– Pogosjan! Tak! Pogosjan! – Armando spojrzął z satysfakcją na przełożonego i wypuścił z ulgą powietrze.

– Napsuł nam trochę krwi. Trzeba to sprawdzić w dokumentacji procesowej prokuratury z Trzeciego Korpusu o siatce sowieckiej w Palestynie. Wtedy urwał nam się wątek z sowieckim oficerem z Moskwy. Myślałem, że chodzi o tego Sokołowa. Dopiero teraz zaczęło mi coś świtać, jak w czterdziestym szóstym roku otrzymaliśmy informację z Tanganiki od Angoli. No

i nasze działania i ustalenia w Egipcie... – Czakucki urwał i wypuścił z ust siwy dym cygara.

– Co robimy, panowie? – Marcel ponownie rozlał do szklanek whisky.

Oficer sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej ulotkę z dużym rysunkiem sierpa i młota.

– Spójrzcie na to. To zapowiedź jutrzejszego spotkania... – Zawiesił głos.

– Na razie idziemy spać. Muszę to jeszcze przemyśleć. Pułkowniku, chciałbym jutro z rana skorzystać z naszej radiostacji. Jest to możliwe? Macie jeszcze aktualną książkę szyfrów?

– Tak – odpowiedział Marcel i ponownie przetarł swoje wymuskane wąsiki.

W tym momencie Czakucki odniósł wrażenie, jakby zauważył na nich jakiś błysk. „Nakremował je?” – pomyślał.

Po powrocie do hotelowego pokoju Czakucki pobiegł do toalety i zwymiotował. Poczul ulgę. Ciężko zaległ w wielkim łóżu małżeńskim, nie miał siły nawet zdjąć butów. Przymknął na moment oczy i intensywnie myślał. W jego głowie powstawał plan działań na najbliższe godziny.

Rozdział 6

Portugalia – wiosna 1948 roku

Z czarnej płyty kręcącej się na patefonie sączył się w hotelowym barze amerykański jazz w wykonaniu Caba Callowaya. Po pierwszych gościach, którzy rano opuścili hotel, nie było śladu.

Czakucki z Marcellem zdążyli nawiązać rano łączność radiową z Londynem. Od pułkownika Wincentego Bąkiewicza – oficera do spraw specjalnych generała Andersa – dostali zielone światło dla realizacji zadania. Radio ukryte było w lokalu konspiracyjnym w pomalowanej na kolor bordowy pięknej kamienicy w Alfamie. Na parterze znajdowała się restauracja, a na piętrach obszerne mieszkania. Ich okna osłonięte były półokrągłymi markizami. Kolorytu budynkowi dodawały: zwisająca z balkonów na wyższych piętrach wietrząca się śnieżnobiała pościel i schnące kolorowe ręczniki.

Ekspozytura P za pośrednictwem zaprzyjaźnionego z Polakami Portugalczyka od kilku lat wynajmowała mieszkanie na poddaszu, z którego roztaczał się piękny widok na dziesiątki lizbońskich kamienic pokrytych rudymi, wypalonymi z gliny dachówkami. Po ewakuacji polskiej ambasady i jej personelu możliwości działania wywiadu zostały znacznie ograniczone. Dlatego w lokalu tym znajdował się też zakamuflowany schowek na dokumenty potrzebne do legalizacji oraz niewielki skład broni z zapasem amunicji.

Pułkownik czuł się zdecydowanie lepiej niż dzień wcześniej. Jego organizm minionej nocy wyrzucił z siebie wszystkie toksyny, a koszmarna podróż powoli odchodziła w niepamięć. Adrenalina zaczęła działać. Zszedł na dół. Zbliżała się godzina spotkania.

Na porcelanowym półmisku leżały okazałe, tłuste i soczyste smażone sardynki z ziemniakami. Marcel sięgał po nie widelcem i popijał tradycyjną, mocną portugalską herbatą *cha*. Co kilka minut przecierał delikatnie chusteczką swoje równe wąsiki.

– Widzę, panowie, że macie jakieś wątpliwości. Ale plan jest prosty. Powtórzę jeszcze raz. Pułkownik i kapitan, jako że znają miejscowe uwarunkowania i język, wchodzą do środka. Jeśli Wartanian będzie sam, wyprowadzają go spokojnie do samochodu, gdzie przejmują go Armando

i Filip. Jeśli będzie z ochroną, to wiecie, co robić... To samo, gdyby ochroniarz był na zewnątrz w momencie wyprowadzania Ormiaszki i podjął jakieś... powiedzmy wrogie działania, to zajmują się nim Armando i Filip. Potem wywozicie go do doków przy... – Czakucki przerwał.

– ...Santa Apolonia nad Tagiem – dokończył Marcel.

– O właśnie, tam. Tylko panowie, bez fuszerki – zwrócił się do słuchających Armanda i Filipa. – Bo kolejnej okazji może nie być. Po Iraku schował się nam na długo, potem po wpadce w Kairze znowu się ukrył... – Spojrzał wymownie na Armanda.

– Pułkowniku, no wiadomo.

– Już dobrze, dobrze.

Zawiesił na moment wzrok na długonogiej piękności w plisowanej czerwonej sukience z załamaniami i fałdami. W jej sukni dostrzegł antyczne inspiracje. Jego myśli o klasycznym greckim stylu psuł mocny, wyzywający makijaż niepasujący do wystroju wnętrza baru. Kobieta sprawiała wrażenie, jakby kogoś szukała. Typowym dla prostytutek spojrzeniem omiotła od niechcienia siedzących w pomieszczeniu i szybko się wycofała. Sprawiała wrażenie wytwornej *exclusive girl*.

– Przypominam panom również, że przede wszystkim musimy się dowiedzieć, co oni tu knują z tym *Casa do Gaiato*. Angole też na to naciskają. Ale wiecie, jacy są. Nie chcieli nic powiedzieć.

– Albo sami nie wiedzą i udają cwaniaków. Albo mają jakieś swoje ciągle zmieniające się interesy – wtrącił Marcel. – Rozumiem, że najlepiej, jakby obeszło się bez strzelaniny.

– Tak. Ale broń dokładnie sprawdźcie po wyjęciu ze skrytki w Alfamie.

– Po akcji spotykamy się w browarze Gambrinus przy Rua das Portas de Santo Antão numer dwadzieścia pięć. – Tym razem Czakucki nie miał problemu z nazwą. – Kapitanie, jest jakiś pewny samochód dla chłopaków? Bo ta cytryna, jak widziałem, to ledwo ciągnie – dodał i na koniec odprawy.

– Mamy tu wciąż naszego polskiego chevroleta mastera, wcześniej był na stanie ambasady – rzekł Ehrenberg.

* * *

Marcel miał na sobie popielaty garnitur o londyńskim kroju. Górna część rękawów marynarki zapewniała swobodę ruchów. Jednak wysokie pachy

spowodowały, że Marcel na akcję wcisnął swojego visa wzór 35 za pasek. Tym razem pod marynarkę nie zmieściły się szelki z kaburą na walthera PP. Całości dopełniała jedwabna szara koszula z ciętym kołnierzykiem we włoskim stylu. Na głowę nałożył kapelusz, a na nos owalne rogowe okulary ze zwykłymi szklami. Przed akcją farbą pociemnił lekko szpakowate włosy. Wąsików nie ruszał. Chciał, aby ewentualni świadkowie akcji zapamiętali właśnie te elementy jego wyglądu.

Ehrenberg też starał się zmienić nieco swój wygląd. Miał dwudniowy zarost, zaczesane gładko do tyłu włosy pokryte brylantyną, której nie cierpiał. Włożył marynarkę z brązowego tweedu w jodełkę, ciemną bawełnianą koszulę i flanelowe spodnie bez kantów. Wyglądał raczej na oksfordzkiego studenta. Spod za dużej zapiętej marynarki wystawała lufa amerykańskiego pistoletu maszynowego M3.

* * *

Armando i Godlewski zaparkowali czarnego chevroleta przy Beco Re. Z kilkudziesięciu metrów obserwowali wejście na teren warsztatów, które od ulicy oddzielała solidna kuta brama. Dalej był mur, a za nim sad z drzewkami pomarańczowymi. O dziewiętnastej zaczął się ruch. Niewielkie grupki robotników wchodziły do środka. Przy wejściu stał nieogolony mężczyzna. Można było odnieść wrażenie, że uważnie lustruje każdego i wpuszcza tylko znajomych. Z niektórymi zamieniał słowo, serdecznie się witał. W pewnym momencie drzwi się zamknęły, a mężczyzna stanął przy nich tak, jakby już nikogo nie miał zamiaru przepuścić. Zapadła cisza. Na ulicy nikogo nie było. Wokoło rozbrzmiewała tylko wieczorna gra cykad.

Armando sięgnął dłonią na tylne siedzenie, gdzie w natłuszczonej papierze leżała *alheira* – tradycyjna portugalska, naczosnkowana kiełbasa z cielęciny, z dodatkiem chleba, oleju i papryki. Urwał pętko i podał je Filipowi.

– Przyjdzie nam tu trochę poczekać – powiedział i wsadził do ust kawałek *alheiry*. Po chwili skrzywił się, złapał haust powietrza i ze świstem, prawie jak lokomotywa, wypuścił je. – O kurwa! Pierońsko ostra, pewnie z tą ich małą papryczką – wydusił z siebie. Pot wystąpił mu na czoło. Wyjął z kieszeni w drzwiach butelkę chłodnego białego wina.

– Pamiętasz, jak w Pahlawi kupowaliśmy od przemytników wino i dzin? I te imprezy w górach z dziewczynami! Ale to były czasy, Filip! *Life*

is bordello! Pamiętasz? – Pociągnął łyk wina.

– No. Daj tego twojego sikacza – odezwał się Godlewski.

Filip uważnie obserwował okolicę. Czakucki siedział trzydzieści metrów od nich przy kawiarnianym stoliku, popijając kawę i przegryzając ją żółtymi babeczkami *pastéis de nata*. Za każdym razem po odstawieniu filiżanki na spodek nerwowo uderzał palcem o szklany blat przykryty białoniebieską serwetą. Był skoncentrowany na operacji. Wyglądał trochę jak wilk gotowy do ataku.

Kwadrans po dwudziestej uchylła się brama warsztatów. Uczestnicy spotkania niewielkimi grupkami w kilkuminutowych odstępach zaczęli opuszczać budynek. Niektórzy nadmiernie gestykulowali i głośno rozmawiali. Ich wygląd wskazywał, że wśród nich byli nie tylko robotnicy portowi czy marynarze. Pojawiły się też osoby dobrze ubrane, w garniturach. Może nauczyciele, urzędnicy albo studenci? Większość z nich zniknęła w pobliskich, ciemnych już uliczkach. Przez chwilę słychać było jeszcze oddalające się odgłosy rozmów. Zrobiło się cicho.

Nagle, jakby nie wiadomo skąd, przed uchyloną bramą pojawili się Marcel z Ehrenbergiem. Filip starał się odgadnąć, gdzie byli zaledwie minutę temu i jakim cudem ich nie widział.

– Armando! Widzisz? Wchodzimy!

– Widzę, co mam nie widzieć – odpowiedział tamten i sprawdził odruchowo swojego colta wciśniętego za pasek spodni.

Marcel w rękę trzymał prostokątną legitymację Polícia Internacional e de Defesa do Estado – portugalskiej tajnej policji, z wklejonym na jasnym kartonie podzielonym czerwonym paskiem zdjęciem, które przy dobrej woli oglądającego można było przyporządkować do twarzy pułkownika. Oficerowie, którzy pozostali w Portugalii, nie mieli już bowiem odpowiednich narzędzi do przygotowywania porządných dokumentów.

– *Bom dia policial* – rzucił.

Oficer ominął strażnika, wszedł na zakładowy plac. Za nim jak cień podążał kapitan. Gdy mężczyzna przy bramie próbował protestować, Ehrenberg odwrócił się, rozpiął tylko marynarkę i przesunął do przodu przewieszony na pasku pistolet maszynowy. To wystarczyło.

Marcel skupił się na kilkusobowej grupce stojącej przy nieco zdezelowanej zielonej ciężarówce Renault AGCL z połataną plandeką nad skrzynią ładunkową. Podeszli do nich. Zauważyli, że młody mężczyzna podbiegł do ściany budynku warsztatów. Szybkim ruchem zerwał zawieszony tam

czerwony sztandar, na którym widniały wizerunki Karola Marksa i Józefa Stalina. Schował go za plecy.

Jednak obu oficerów interesował jedynie elegancko ubrany Ormianin. Podeszli powoli do Wartaniana. Marcel ponownie pokazał legitymację i powiedział po portugalsku, z lekką domieszką mirandyjskiego, aby rozmówcy odnieśli wrażenie, że pochodzi z dystryktu Bragança:

– Chcielibyśmy z wami porozmawiać o nielegalnej agitacji, którą tu prowadzicie. Za godzinę wróćcie. Oczywiście, jak w czasie przesłuchania będziecie z nami szczerzy – rzekł spokojnym i pewnym głosem pułkownik.

W tym momencie Ehrenberg wysunął lufę MP3 w kierunku Wartaniana. Sprawnym ruchem zarepetował broń. Stojący obok Ormianina trzech mężczyźni zamarli i podnieśli ręce.

– Mamy użyć jeszcze innych argumentów? Czy poprosić kolegów, którzy są na zewnątrz, aby zgarnęli wszystkich i zamknęli tę czerwoną budę? Chcecie kłopotów?

Wartanian już nieraz oglądał w akcji funkcjonariuszy PIDE. Wiedział z doniesień swoich współpracowników, że są wyjątkowo brutalni, no i zawsze mają przewagę, bo chodzą z bronią maszynową. Liczył na to, że na przesłuchaniu w jakimś komisariacie wyłga się czymś i zaraz wróci do towarzyszy. A jak nie, to zaproponuje im porządną łapówkę.

– Dobrze – zgodził się.

W tym czasie stojący za nim Lwowiak wykonał jakiś ruch, jakby gdzieś sięgnął ręką. To wystarczyło. Ehrenberg przesunął się błyskawicznie o krok w jego kierunku, nie wypuszczając broni, i z całej siły kopnął go w piszczel. Ochroniarz Wartaniana stęknął i upadł na kolano. W tym momencie kapitan wymierzył mu kopniaka w twarz. Dało się słyszeć chrupnięcie nosa i mężczyzna zalał się krwią.

– Jeszcze coś? – Ehrenberg stanął nad jego głową z wymierzoną lufą.

– Stop! – krzyknął Wartanian. – Panowie, idę z wami! Po co jakieś problemy? Ja spokojny człowiek. Tylko rekrutuję ludzi na statek. Na pewno jakoś się dogadamy.

Lwowiak ciężko dyszał, na bruk dziedzińca powoli kapąły czerwone krople wymieszane ze śliną. Krew obficie wypływała z nosa i ust. Próbował tamować ją dłonią. Pozostali mężczyźni ciągle stali z rękami w górze. Nie wiedzieli, co może się jeszcze wydarzyć, ale ich nabiegłe krwią oczy wskazywały, że zapewne z chęcią rzuciliby się na intruzów. Teraz jednak paraliżował ich strach przed torturami w kazamaty aresztu PIDE.

Wartanian ruszył do bramy, za nim szedł Marcel. Tyły zabezpieczał kapitan z pistoletem maszynowym wymierzonym w grupkę mężczyzn. Gdy trójka pojawiła się w bramie wejściowej, Czakucki głęboko wciągnął w płuca ciepłe lizbońskie powietrze. Obserwował okolicę, nie widział nic, co mogłoby go zaniepokoić. Armando i Filip, widząc, że sytuacja jest opanowana, wsiedli szybko do chevroleta i podjechali pod bramę warsztatów. Armando wyskoczył, otworzył drzwi. Popatrzył na Wartaniana, założył mu kajdanki i gestem wskazał miejsce na tylnej kanapie. Miejsce obok zajęł Armando.

„No, bolszewik, wypierdalaj z tym swoim kapelusikiem” – pomyślał i jednym ruchem zrzucił go z głowy Wartaniana. Następnie bez słowa wciągnął mu na głowę poplamiony olejem silnikowym jutowy worek. Wycelował w niego lufę swojej czterdziestkopiątki, a potem wcisnął jej wylot pod pachę Ormianina. Filip bez słowa ruszył. W tym samym czasie pułkownik i kapitan zniknęli w ciemnościach. Po chwili z pobliskiego placu cicho wytoczył się Citroën. Na chwilę przystanął obok kawiarni, aby do pojazdu mógł wsiąść Czakucki. Marcel ruszył ostro. Po kilku minutach wyprzedził pojazd kierowany przez Filipa. Pułkownik nie zauważył w lusterkach, aby podążał za nimi jakiś samochód. Spojrzał też na kapitana, który patrzył przez tylną szybę. Jechali na wschód, wzdłuż Tagu.

* * *

Lwowiak, gdy tylko Wartanian zniknął za bramą, błyskawicznie wstał.

– *Estou levando!* – krzyknął do zaskoczonego mężczyzny, który zorganizował spotkanie.

Podbiegł do zaparkowanego obok warsztatu harleya-davidsona WL. Wskoczył na niego. Wykonał kilka szybkich ruchów: kranik, ssanie, zapłon w lewej manetce, odkręcenie przepustnicy, mocny kopniak.

Pochodzący z demobilu i przemalowany na szary kolor motocykl ryknął. Po chwili wyjechał na ulicę, czemu towarzyszyły pisk opon i miarowy dźwięk silnika. W oddali majaczyły tylne światła samochodu. Lwowiak dostrzegł jeszcze przed sobą obstawę. Po chwili pojazdy skrzyły ostro w lewo.

Lwowiak przyspieszył.

* * *

– Dokąd jedziemy? – Wartanian zaniepokoił się, gdy droga się przedłużała.

Nie usłyszał odpowiedzi. Armando przypatrywał się głowie w czarnym worku. Zastanawiał się, czy uda się go w ogóle złamać. Czy nie lepiej byłoby go od razu odpalić, a zwłok pozbyć w rzece. W pewnym momencie rzucił po polsku do Filipa:

– Tam! – Wskazał palcem. – Podjedź jak najbliżej nadbrzeża.

Samochód skręcił w prawo. Chevrolet zatrzymał się przed żeliwnym polerem. Kierowca zgasił silnik. Wszedł i gwałtownym ruchem otworzył tylne drzwi. Ryknął do Wartaniana:

– Wypierdalaj z samochodu, bolszewik! Koniec wycieczki! Teraz trochę porozmawiamy. A mamy o czym, czerwona szmato – dodał Armando, po czym zerwał z głowy Wartaniana worek.

Ormianin był oszołomiony. Patrzył rozbieganym wzrokiem to na jednego, to na drugiego prześladowcę. W myślach wściekał się, że tak łatwo dał się im podejść. „Polacy? Skąd oni tutaj? Czego chcą? Może mnie z kimś pomylili?”

– Kładź się twarzą do ziemi – nakazał Filip i linką wyjętą z bagażnika związał nogi więźnia. – Wstawaj!

Wartanian, chwając się i próbując łapać pion, oparł się o samochód. Tymczasem za budynkiem nieczynnego o tej porze terminalu pasażerskiego zatrzymał się Citroën. Trzej Polacy z oddali obserwowali scenę jak z nie-mego filmu. Tyle że cienie aktorów wydłużyły się, bo najbliższa portowa latarnia znajdowała się kilkadziesiąt metrów dalej.

Jedynie kapitan Ehrenberg wysiadł z pojazdu, przeładował broń i lustrował okolicę.

Armando wyciągnął z kieszeni spodni miękką paczkę miejscowych portugalskich papierosów i zapalił papierosa.

– Co, Pogosjan, boisz się? – Popatrzył na niego uważnie, wypuszczając w jego kierunku dym z papierosa. – Tak, tak. Wiemy, jak naprawdę się nazywasz.

Wyraz twarzy Wartaniana nagle się zmienił. Niepewnie stojąc, patrzył na Polaka i jakby szukał w zakamarkach pamięci jego twarzy, która pasowałaby do znanego mu z przeszłości głosu.

– Ty, bolszewik. Ty jednak nie masz do mnie szczęścia. Znowu się spotykamy. Wiesz, nigdy nie było czasu na dłuższą rozmowę. A teraz, kto by pomyślał, że tutaj, w Lizbonie, po tylu latach wreszcie będziemy mogli sobie w spokoju pogawędzić. Topiełeś się kiedyś? – Armando wskazał głową

na czarną otchłań Tagu. – Ty wiesz, że nie potrafisz pływać bez wolnych nóg i rąk – dodał.

– Czego ode mnie chcecie? Aaaa, już wiem. Już wiem. Przypomniałem sobie.

Wartanian uśmiechnął się krzywo, a jego twarz jakby pojaśniała. Armando popatrzył zaskoczony na Wartaniana.

– Pamiętam cię, chuju. Ty byłeś wtedy w Chanakinie. Nic się nie nauczyłeś, żeby nie wpierdalać się między sojuszników? Mało razy do spółki z Anglikami przytrzasnęliśmy wam łapki tu, w Lizbonie? Chcesz mieć razem ze swoją panienką problemy? – Skinął głową na Filipa. – Jestem radzieckim oficerem...

– Nie pierdol! Zamknij ryj, jak cię nie pytają! – krzyknął zwykle spokojny Filip.

W tym momencie usłyszeli odgłos syreny ze statku powoli płynącego Tagiem. W ciemności majaczył kształt pustej barki ciągniętej przez holownik. Zapanowała cisza. Armando przez dłuższą chwilę przyglądał się oficerowi NKWD. W końcu podszedł do niego. Chwycił go za twarz jedną ręką, a drugą, w której miał papierosa, gwałtownie przybliżył do jego oka. Ten odruchowo się cofnął. Upadłby, gdyby nie stał blisko samochodu. Armando pstryknął w bok niedopalonego portugalskiego papierosa. Z całej siły wymierzył więźniowi cios pięścią w splot słoneczny. Ormianin zgiął się wpół, stracił oddech i upadł.

– Interesuje mnie tylko jedna sprawa. *Kakowo chriena...* po co chodziłeś do sierocińca *Casa do Gaiato*? Wstawaj! Eee, bolszewik. Słyszysz?! – Armando złapał go za kołnierz marynarki i mocno pociągnął do góry.

– Ja mam tam tylko łącznika, który ma kontakt z pozostałymi. Przekazuję mu zadania i odbieram informacje albo raporty z wykonanych działań.

– Nie pierdol! Bolszewik, jak jesteś pierwszym, znasz tu wszystkich. Jak się nazywa ten łącznik?! Mów, do kurwy nędzy! – Po raz drugi walnął go w splot słoneczny.

Ormianin upadł, w tym momencie jego ciało przeszył skurcz i mężczyzna gwałtownie zwymiotował.

– *Poniał tawariszcz razwiedczik?*

– Nie zatłuczecie mnie tu, bo wam Anglicy jaja urwą za to w Londynie. – Wartanian charczał, plując krwią i resztkami wymiocin.

Armando kopnął klęczącego Wartaniana. Ten przewrócił się i potoczył w kierunku krawędzi nabrzeża. Polak podszedł do niego i pomógł mu

wstać.

– Widzisz, bolszewik. Zdziwisz się. Ja mam w dupie Anglików i te wasze zdradzieckie układy.

W tym momencie, kilkadziesiąt metrów od nich, nagle pojawił się patrol umundurowanych policjantów. Biegli w ich kierunku. Jeden z nich trzymał w dłoni francuski pistolet maszynowy Mas 38, drugi właśnie wyszarpywał z kabury broń. Armando usłyszał tylko niezrozumiały dla siebie okrzyk:

– *Para policial!*

W tym momencie padł strzał. Kula świsnęła nad jego głową, odbijając się rykoszetem od dachu chevroleta.

Nie namyślając się, Armando pchnął silnie Wartaniana. Ten bezwładnie z wysokości dwóch metrów wpadł do wody. Przez moment widać było, że rzuca się jeszcze rozpaczliwie. Jednak z każdą chwilą słabł. Aż w końcu powierzchnia wody zrobiła się prawie gładka. „I chuj. Lepiej tak, niż miałyby nam się wymknąć i gdzieś zaszyć na zawsze” – pomyślał Armando.

Armando i Filip powoli podnieśli ręce. Policjanci portugalscy zatrzymali się i zaczęli powoli do nich podchodzić, nie opuszczając wycelowanej w nich broni. Byli już przy samochodzie. Akurat w tym momencie, gdy Armando kątem oka zobaczył, że woda oddała ostatni oddech Wartaniana.

– Kurwa, skąd oni się tu wzięli? – zaklął Czakucki, widząc z daleka, jak zatrzymują jego ludzi.

– Co robimy, pułkowniku? – Marcel trzymał pistolet w ręku, a Ehrenberg przyklęknął i oparł się o czarny tylny błotnik samochodu, podnosząc do strzału MP3.

– Czekaj! Ruszajmy! Nie będziemy tu urządzić strzelaniny z policją. Może nie widzieli, jak Armando wepchnął Wartaniana do rzeki – powiedział ze spokojem Czakucki. – Odczekaj chwilę, kapitanie, i bierz ich chevroleta. Staraj się ich, kurwa, nie zgubić! Muszą mieć niedaleko posterunek – dodał.

– My jedziemy z Marcelem do Gambrinusa. Jak będziesz coś wiedział, dzwoń tam albo przyjeźdź – rozkazał.

Wsiedli do auta i szybko ruszyli. Kapitan po chwili pobiegł do chevroleta.

* * *

Lwowiak ukryty w ciemnościach nocy z oddali obserwował wydarzenia przy nabrzeżu Santa Apolonia. Widział, jak obydwie samochody pojechały w kierunku rzeki, a potem ustawiły się w większej odległości od siebie. Wtedy wyłączył silnik, a jego motocykl powoli, z wysiłkiem wtoczył się w zaułek koło jakiegoś magazynu. Wiedział, że jego szef jest twardy. Przez myśl przeszedł mu pomysł, żeby wybiec i tłuc tajniaków pięściami, ale zdawał sobie sprawę, że nie ma szans. Nie miał przy sobie parabelki, gdyż Wartanian zakazywał mu zabierać broń na spotkania i wiece polityczne. Powtarzał, że zawsze trzeba się wtedy liczyć z zatrzymaniem.

Nogi się pod nim ugięły, kiedy zobaczył, jak jeden z tajniaków zepchnął z krawędzi nabrzeża zmaltretowanego i związanego Wartaniana. Wydawało mu się nawet, że słyszał plusk ciała wpadającego bezwładnie do wody. Potem oniemiał, widząc wychodzących z ciemności mundurowych. Nie rozumiał, co się dzieje. Policjanci podeszli w pewnym momencie do krawędzi nabrzeża i gestykulowali, pokazując na wodę. Po odejściu całej czwórki zobaczył, że tajniak, który go pobił w warsztatach, wszedł do chevrolata.

Dopiero wtedy postanowił działać. Wypchnął motocykl, uruchomił go i ruszył za tajniakiem.

* * *

Patronem piwiarni Gambrinus był król pochodzący z Flandrii i Brabancji, doskonały piwowar. Jego postać uwidoczniła została na witrażach Sá Nogueiry, który był też prawdopodobnie autorem arrasów wiszących w głównej sali.

Lokal otwarty został w 1936 roku przez Hansa Schwitalla i Claudino Sobral Portela. Słynął na początku z doskonałych wyrobów wędliniarskich, a potem również z piwa. Czakucki nie miał ochoty ani nawet nie był w stanie skupić się na oglądaniu bogatych w detale wnętrz, które przenosiły w średniowiecze.

Oficerowie zamówili piwo i usiedli przy stole. Czakucki powoli, bezwiednie masował policzek, a Marcel delikatnie gładził wąsiki. Przebłyśki wspomnień niedawnych zdarzeń, zmęczenie podszyte troską o los podwładnych i buzująca adrenalina powodowały, że obydwaj rozważali różne warianty działań. Czakucki pociągnął łyk piwa, otarł pianę z ust i ciężkim wzrokiem spojrzął na Marcela. Każdy z nich wychodził z wielu nawet trud-

niejszych sytuacji. Do obydwu w przeszłości strzelano. Ale teraz odpowiadali za życie swoich ludzi. Nie mogli ich zostawić, tym bardziej że sytuacja mogła się różnie rozwinąć i zakończyć skandalem dyplomatycznym.

Siedzieli tak już godzinę i milczeli, gdy do ich stolika podszedł kelner i poprosił Marcela do telefonu. Po kilku minutach Albiński wrócił, po drodze zamawiając kolejne piwo. Czakucki spojrzał pytającym wzrokiem na kolegę.

– Pułkowniku. Zróbmy to jeszcze raz według podobnego scenariusza. Muszę tylko zdobyć jeden oryginalny dokument. Zajmie mi to nie więcej niż pół godziny. Daję słowo, wyprowadzimy ich z tego posterunku, póki tam jeszcze są. Do budynku PIDE przeniosą ich pewnie jutro rano. A stamtąd nie będzie już tak łatwo ich wydostać – zaproponował Marcel. – Idę, a pan niech na mnie tu czeka.

Albiński wstał i bez słowa wyszedł z lokalu. Czakucki zamarł, a potem już tylko jak otępiały nad kuflem piwa czekał na powrót oficera. Było to chyba jego najdłuższe pół godziny w życiu.

– Mam! – Usłyszał za swoją głową zdyszany głos.

Marcel położył na stoliku oryginalny blankiet tajnej policji z wszystkimi wymaganymi pieczętkami i podpisami o poleceniu wydania zatrzymanych.

– Dawne kontakty operacyjne są jeszcze czynne. Trochę mnie to kosztowało. Na szczęście dla nas korupcja w PIDE jest dość powszechna – powiedział nieco tajemniczo i po raz kolejny przygładził wąsiki. – To do roboty, pułkowniku. Musimy wypełnić formularz.

– Kolego, zdajesz sobie sprawę, że to może być twoja ostatnia akcja tutaj? Wprawdzie nie mogę ci nic rozkazać, ale... nie uważasz, że powinieś się z nami stąd ewakuować? Kapitan zresztą także – rzekł z troską Czakucki.

– Tak, zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Tyle że poukładałem sobie tu parę spraw i życie. Jeżdżę w interesach do Agadiru w Maroku. Paru naszych chłopaków załapało się tam przy kopalniach cyny. Interesami na miejscu kieruje Leon Śliwiński. Może pan go zna? Też od nas, z Dwójki. Poza tym nie jestem pewien reakcji swojej żony na taki koncept! Zwłaszcza po tym, jak kupiła sobie do kuchni nowoczesny i w dodatku elektryczny sprzęt gospodarstwa domowego!

– Miejskowa? Portugalka?

– Tak.

– To może Brazylia?

– Może.

Marcel rzucił na dębowy stół dwie monety po pięćdziesiąt escudo. Polacy wstali i wyszli z Gambrinusa. Wsiedli do zaparkowanego przy wyjściu Citroëna. Powoli ruszyli. Po kilkunastu minutach zatrzymali się przed wjazdem do tymczasowego posterunku policji, który został urządzony obok terminalu pasażerskiego.

Z dwóch okratowanych okien na bruk rozlewał się przydymiony żółty blask słabej żarówki, a za szybą widać było jakiś ruch. Mignęły światła stojącego w pobliżu chevroleta, w którym siedział Ehrenberg. Po chwili kapitan stał już obok nich.

– Wchodzimy na bezczela. Wołamy dowódcę posterunku i oznajmiamy, że przenosimy zatrzymanych. Pokazujemy mu papier – wyjaśnił zwięźle Marcel. – Ty, majorze, pilnujesz naszych tyłów – dodał.

Ruszyli. Energicznie otworzyli metalowe drzwi. Posterunkowemu Manuelowi José Pereirze nie trzeba było długo tłumaczyć zasad, które od niedawna wprowadzono w kraju. Doskonale wiedział, że poważnymi sprawami zajmuje się tylko PIDE. Zresztą sam nie chciał mieć kłopotów z dwoma cudzoziemcami, z którymi nie mógł się dogadać i u których na dodatek znalazł dwie sztuki broni. Podejrzał, że posługiwali się rosyjskim, ale nie miał co do tego pewności. Parę razy już miał do czynienia z takimi marynarzami.

Pułkownik, gdy pokazał wypełniony formularz nakazujący wydanie więźniów i oddanie z depozytu rzeczy, które posiadali, poinformował go, że następnego dnia w miejscu wypadku, jak to określił, pojawi się zespół do poszukiwania ciała kompana zatrzymanych.

Armando i Filip byli w dobrej kondycji, tyle że kajdanki zostawiły na ich nadgarstkach czerwone okrągłe ślady. Pułkownik rozkuł ich, gdy już znaleźli się w samochodzie.

– Pan, pułkowniku, przenieś się teraz do hotelu Britannia, a Filip z Armandem dla bezpieczeństwa zamelinują się w kamienicy w Alfamie – oznajmił Marcel.

* * *

Za nimi w pewnej odległości na motocyklu ciągle podążał Lwowiak. Nie mógł pojąć tego, czego tej nocy był świadkiem. W głowie miał mętlik, nie

wiedział, dlaczego zginął jego szef i kim byli zabójcy, dlaczego raz policja ich łapie, potem wypuszcza i oddaje w ręce bezpieki.

* * *

Bar hotelu Britannia, zaprojektowany w latach czterdziestych XX wieku przez portugalskiego architekta modernistycznego Cassiano Branco, utrzymany był w stylu art déco. Wnętrze lśniło mosiężnymi okuciami i podłogą z portugalskiego korka. Ściany miały stonowane kremowe kolory z dodatkiem matowego złota.

Czakucki jadł śniadanie serwowane w formie bufetu. Teraz próbował pachnących plastrów *jamon ibérico* – miejscowej szynki, a także sera, świeżych owoców i żółtych babeczek, czyli *pasteis de nata*. W barze pojawił się zmęczony zapewne nadmiarem nocnych wrażeń Marcel.

– Witam, pułkowniku. O, jaka zmiana. Gratuluję odwagi. – Czakucki cmoknął, komentując zgolone przez Marcela wąsiki. – Może kawy?

– Tak. Poproszę cariocę. Zaraz musimy jechać do chłopaków. Nie ma czasu. Sądzę, że Sowieci mogli się jeszcze nie zorientować, co się stało. A miejscowi nie będą sobie zawracać na razie głowy jakimiś cudzoziemcami. Ale na poszukiwania mogą ruszyć. Ambasador sowiecki ma tu dobre wejścia. Na wszelki wypadek niech pan zabierze swoje rzeczy, zapłaci za jedną noc, ale nie oddaje klucza.

– Rozumiem. Po drodze trzeba im kupić coś do jedzenia.

– Wszystko już mam w samochodzie.

– A kapitan?

– Kapitan obserwuje kamienicę.

* * *

Po szybkiej jeździe wąskimi uliczkami Lizbony oficerowie dotarli do kamienicy w Alfamie. Weszli na samą górę. Zapukali. Otworzył im Filip.

– Panowie, mieliśmy kupę szczęścia! – zaczął od razu Czakucki. – Czas się stąd wynosić. Pułkownik uważa, że im prędeej, tym lepiej. Ja się z nim w pełni zgadzam. Jeszcze nie ruszyły poszukiwania. Zjedzcie najpierw śniadanie. Na głodniaka żadna robota.

Marcel postawił na kwadratowym stole pleciony z trzciny duży kosz wypełniony pachnącymi, słodkimi bułkami typu *massa sovada*, owiniętymi

w papier kawałkami sera i wielkimi, cienkimi plastrami *jamon ibérico*. Obok stała butelka białego wina.

– Jestem głodny jak wilk. Filip! Popatrz, jakie pyszności nam tu panowie pułkownicy przynieśli! Usiądźmy. Zamieniamy się w słuch.

Filip otworzył cylindryczne drzwiczki kredensu i wyjął talerze, sztucce i szklanki. Armando zacierał ręce na widok smakołyków.

– Smacznego – powiedział po chwili Czakucki. – Nie przerywajcie sobie. Robimy tak. Ja z Armandem płyniemy do Anglii. Pułkownik organizuje nam dzisiaj w nocy miejsca na frachtowcu do Plymouth. A ty, Filip, wreszcie możesz zrealizować swoje plany...

– Afryka Południowa? A Ela? – zapytał z ustami pełnymi szynki.

– Jak skończy naukę, dobieje do ciebie. Może być?

– Może – odparł i przełknął. – Przepraszam, ale dawno nie jadłem.

– Polecisz do Dakaru – wtrącił się Marcel.

– Polecę?

– Załatwiłem ci już przelot hydroplanem do Dakaru. Tam zaokrętujesz się na statek do Kapsztadu – Marcel wręczył Filipowi kartonowy bilet z logo linii Pan American.

– Szczegóły są w kopercie, adres i kontakt na miejscu. Pułkownik ustawi cię tam w firmie zarządzającej kopalniami złota albo zrobi zarządcą jakiejś farmy. Biedy nie będziesz klepał. Dokumenty o demobilizacji dostarczy ci Ela – wyjaśnił Czakucki.

– Czyli wreszcie na własny rachunek... – Filip się zamyślił. – A jak z łącznością z pułkownikiem?

– Na razie na ten kontakt i adres od Marcela. Potem coś ustalimy. Dostaniesz zadania i nowy kanał łączności. Zresztą zobaczymy, jak to z nami będzie w przyszłości.

Po kilkunastu minutach Czakucki wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki dwie koperty, jedną cienką, drugą pękatą.

– Pieniądze na początek. W drugiej masz nowy paszport. Południowoafrykański! I wszelkie informacje. Tylko, Filip, naucz się swojego nowego nazwiska. Zbierajmy się. Pora na nas. – Uścisnął dłoń Godlewskiego.

– A co z wami, chłopaki? Zostajecie w Lizbonie? – Czakucki odwrócił się i kiwnął głową do Marcela.

Ten tylko lekko się uśmiechnął.

– Pułkownik Bąkiewicz sugeruje, żeby zakończyli panowie misję w Portugalii.

– Ja zostaję. Wyjadę na parę tygodni do Maroka. Sprawa ucichnie. Poza tym rozmawiałem już z moją Marią Luisą. Nic z tego.

– Poradzi pan sobie? Politycznie tutaj trochę gorąco się robi...

– Dam radę. Wbrew pozorom da się tu dobrze żyć. A jak będzie się palił grunt pod nogami, to się zaokrętuje z żoną na *Pátrie* albo *Angra do Heroísmo* i ruszymy jak Filip do Afryki Południowej albo do Brazylii, jak pan sugerował.

W tym momencie gwałtownie otworzyły się drzwi do mieszkania. Armando sięgnął błyskawicznie po colta, Marcel wyszarpnął z kabury na szelkach pod pachą walthera. Wycelowali broń w drzwi. Czakucki i Filip nie drgnęli, jedynie porozumiewawczo spojrzeli na siebie.

– Witam wszystkich! – krzyknął w przedpokoju kapitan Ehrenberg.

– Kurwa, kurwa! – szepnął głośno Armando, a Marcel z głębokim westchnieniem opuścił broń.

– Słuchajcie! Wydaje mi się, że jakiś motocyklista kręci się koło nas. Ma takie oksfordzkie brogry na sobie.

Spojrzeli na niego. A ten, widząc ich zdziwienie, wyjaśnił:

– No takie wiązane trzewiki, czarno-białe, z dziurkowanymi noskami. Znowu go przed chwilą widziałem. Może to ten jego ochroniarz? Cholera wie. Mogli nas namierzyć. Sporo się kręciliśmy ostatnio po mieście. Nie ma czasu.

– A pan, kapitanie? – zapytał Czakucki.

– Co ja?

– Ewakuuje się pan ze mną i Armandem na Wyspy?

– Ja? Ja zostaję, pułkowniku. Ale niebawem zniknę i nikt mnie już nie odnajdzie – dodał tajemniczo.

Rozdział 7

Wielka Brytania – jesień 1948 roku

Czakucki spojrział na tekturową teczkę, którą trzymał w dłoniach. Rzucił okiem na dane osobowe, zdjęcie legitymacyjne, notatki napisane na maszynie. Naprężył się i sprawnie porwał ją na kilka kawałków, a potem zamachnął się i wrzucił do ognia. Chciał w ten sposób choć trochę przyspieszyć spalenie dokumentów. Powiew wiatru otulił jego sylwetkę gryzącym dymem. Pułkownik zakasłał i splunął na trawę. Odsunął się od ognia i sięgnął po cygaretkę. Po chwili podniósł z małego, eklektycznego stolika szklanę z whisky. Opróżnił ją jednym haustem.

Stał już od kilku godzin na niewielkim podwórku budynku przy Upper Mall w dzielnicy Hammersmith w Londynie. Od frontu półkoliste okna domu wychodziły na Tamizę, po której sunęły barki. Obok znajdowały się zniszczony w czasie bombardowania klub wioślarski i jakiś ostaniec.

W osłoniętym z każdej strony ceglanym murem ogródka rozchodził się szelest dorzucanych do ogniska papierowych akt. Nikogo tu specjalnie dym nie dziwił, bo kopały już niemal wszystkie okoliczne kominy, a ciężki smog majestatycznie wędrował nad dachami budynków.

W rogu ogródka na krześle siedział Armando w brązowej ciepłej kurtce pilotów amerykańskich i bawił się swoim waltherem PPK.

– Właśnie palę Filipa. – Czakucki ożywił się na chwilę.

– Kogo, pułkowniku?

– Naszego Godlewskiego. Wysłałem mu decyzję ministra obrony o demobilizacji, a teraz niszczę jego papiery. Dobry był chłopak. Dobry oficer. Miał zmysł analityczny. Może kiedyś zawitamy na jego farmę w Afryce – rozmarzył się Czakucki.

W tym momencie pod wpływem płomienia zdjęcie porucznika zwinęło się w niewielki rulonik, który rozsypał się w pył, a po ogrodzie poniósł go powiew wiatru.

Decyzję o zniszczeniu pozostawionych po podobnej akcji jeszcze w 1945 roku resztek archiwum Dwójki, szczególnie materiałów dotyczących działań na styku z sowieckimi służbami, podjął pułkownik Bąkiewicz – oficer do zadań specjalnych generała Andersa. Oficerowie MI6 naciskali na niego, aby przekazał im wszystkie dokumenty. Generał wprowadził obie-

cał im to, ale jednocześnie za ich plecami wydał dyspozycję, aby oczyszczono materiały z danych dekonspirujących byłych współpracowników polskiego wywiadu czy informacji, które mogłyby kompromitować oficerów polskich sił zbrojnych lub stanowić dla nich zagrożenie.

Ogień strawił również teczki osobowe oficerów wywiadu, którzy już odeszli ze służby, zginęli lub sami, wbrew decyzji rządu londyńskiego, zdecydowali się na powrót do Polski. Anders nie ufał MI6. Miał świeżo w pamięci zdradę polskich interesów dokonaną w Teheranie, Jałcie i Poczdamie, która skutkowałą oderwaniem wschodnich kresów Rzeczypospolitej i przekazaniem ich pod okupację sowiecką, a także przejęciem w kraju władzy przez komunistów.

Generał ciągle żył nadzieją na wybuch III wojny światowej. Utrzymywał część zdemobilizowanych żołnierzy w gotowości. Budował też w całej Europie, i nie tylko, siatkę swojego wywiadu. Miał nadzieję na powrót do kraju, może nawet, jak to opisywano w prasie, jako ojciec opatrnościowy, aby wyrwać Polskę z sowieckich rąk.

Część jego ludzi pozostała na etatach wywiadu brytyjskiego, a on zaczął szybko tracić nad nimi kontrolę. Jednak niektórych oficerów zamroził, licząc na ich lojalność w lepszych czasach. Planował przywrócić ich do służby w politycznie dogodnym momencie. Pomagał im zagospodarować się w różnych krajach: na południu Afryki, w Rodezji, Ameryce Południowej, Kanadzie czy Australii. Kupował kutry czy niewielkie statki, a nawet lasy w Argentynie. Polskie osady czy gospodarstwa rolne powstawały dzięki wykorzystaniu zgromadzonych funduszy operacyjnych. Żołnierze dostali pod opiekę zakupione nieruchomości w Londynie i Brukseli. Asy polskiego lotnictwa wojskowego przeniosły się na cywilne maszyny i przewoziły towary w Afryce albo szkoliły pilotów w Pakistanie.

– To nam się przyda! – burknął Czakucki pod nosem i odłożył na bok teczkę Januskiewicza, który przewijał się w sprawie operacyjnego rozpracowania Singe, dotyczącej zniknięcia cennych, przedwojennych dokumentów polskiego państwa.

Na zlecenie generała Andersa Czakucki wraz z pułkownikiem Bąkiewiczem dokonali szczegółowego przeglądu aktywów polskiego wywiadu. Zdecydowali, że niektóre materiały mają zostać przerzucone wraz z wybranymi oficerami do USA, Brazylii i Argentyny. Z innych dokumentów pułkownik wraz z Armandem wykonywali odpisy. W ich rękach zostawały pewne informacje, które mogły przydać się w przyszłości. Wykonali foto-

kopie akt najważniejszych polskich agentów pozostawionych na Bliskim Wschodzie, w tym w Izraelu.

Czakucki z Bąkiewiczem zajęli się też organizacją punktów przesyłowych we Francji, Niemczech, Austrii, Włoszech i na Węgrzech. Placówki wywiadowcze zorganizowano między innymi w Bremie, Meppen, Monachium, Ratyzbonie, Innsbrucku, Salzburgu, Grenoble i Rzymie.

– A co na to nasi sojusznicy Angole, że nasza agentura idzie z dymem?

– Gdyby o tym wiedzieli, toby nam jaja urwali – odpowiedział spokojnie Czakucki. – A na poważnie? Byłby problem, no i skandal. A jakby to jeszcze wyszło na zewnątrz, to Sowietom mieliby nieźle paliwo do wojny propagandowej przeciwko nam i generałowi. Jest tylko jedna zagwozdzka...

– Tak, pułkowniku? – Armando sięgnął po szklanke whisky.

– Spierdoliliśmy robotę w Portugalii...

– Nie pierwszy raz. Raz na wozie, raz pod wozem. Taka służba.

– Nie pierdol. On nam się wymknął.

– Eeee. – Armando zakręcił pistoletem na palcu jak Doc Holliday rewolwerem w *My Darling Clementine* – westernie, który niedawno obejrzał w kinie.

– Męczy mnie ta sprawa, Marcel kilka miesięcy temu zrobił objazd za tym Pogosjanem. I wtedy tamten odwiedził kilka sierocińców w Lizbonie. Mam ich adresy. Nie wierzę, że w każdym miał łącznika. Pewne jest, że w każdym były polskie sieroty. Czuję, że to jest związane z jakimś niestandardowym działaniem.

– A może... Anglicy...

– Też nad tym myślałem. – Spojrzał na teczkę z materiałami z Portugalii. Otworzył ją, ponownie przejrzał, zawahał się i odłożył na bok. – Dobra, dostaną ją, może nad tym tematem jeszcze popracują. My nie mamy już ani takich sił, ani czasu.

– Kogo teraz wywozimy, pułkowniku? – Porucznik Winiecki robił wrażenie znudzonego grzaniem się przy ognisku.

Czakucki przemieszał palenisko metalowym pogrzebaczem przyniesionym spod kominka w salonie, aby ogień dotarł do wszystkich stronic pękających teczek. Następnie wzięli się ze swoim podwładnym do segregowania kolejnych materiałów leżących oddzielnie w dużej drewnianej skrzyni. Podzielili je na kilka pakietów, które mieli z sobą wziąć oficerowie ekspediowani do Argentyny.

– Zygmunt Wojewódzki jeszcze w tysiąc dziewięćset czterdziestym był przy sztabie cesarskiej armii japońskiej, plastyk major Mieczysław Kamski, no i major Henryk Paszkowski kiedyś nasz człowiek we francuskim *Resistance*.

– To wszyscy, pułkowniku?

– Nie. Jeszcze kapitan Konstanty Hartingh, który rozliczał we Włoszech pieniądze tego... Hańczy. Jest jeszcze Tadeusz Werner. Zresztą też z tej sprawy. Ciekawostką, Armando, jest to, że miał wyjątkowe zdolności z zakresu techniki operacyjnej, no i jest ekonomistą. Zdolny oficer. – Zagwizdał cicho.

W Buenos Aires miał na nich czekać Jerzy Junosza Kowalewski. Czakucki poznał go w kasynie oficerskim przy ulicy Bon Campani w Rzymie. Kowalewski ukończył w wyzwolonej Italii szkołę handlową, potem popłynął do Argentyny. Tam zupełnie przypadkiem poznał Evitę Peron, która przyszła do niego na konsultacje, kiedy pracował w gabinecie rehabilitacyjnym w Instituto Diagnostico i Frataniento.

Do Londynu dotarły plotki, że tańczył nawet tango z boską Evitą. Kobieta zainteresowała się nim na tyle, że został jej sekretarzem. Potem załatwiła mu pracę w Ministerstwie Pracy i Polityki Socjalnej na stanowisku kontrolera godzin pracy urzędników. Młody Kowalewski miał na tyle dobre kontakty, że mógł pomóc oficerom po ich przybyciu do Argentyny.

– Jutro wyruszamy rano pociągiem do Plymouth. Czekaj na mnie na Paddington, na czwartym peronie, na wysokości parowozu – powiedział pułkownik.

– Okej, szefie. Muszę jeszcze wpaść do Izy.

– Chyba pamiętasz, że jedziesz na kilka tygodni do Brukseli?

– Jak nie? Pewnie, że pamiętam!

– Poza tym oswajaj Izę powoli z myślą, że jeszcze w tym roku spróbujemy przetrząść was do Polski.

– Wiadomo, pułkowniku. Ona nie jest zachwycona tym pobytem na obczyźnie. Tęskni do kraju. Pan wie. Zawsze taka była.

– I mocno ją ode mnie uściskaj i ucałuj!

Armando uśmiechnął się i pokiwał głową.

Czakucki kilka dni wcześniej rozkazał Winieckiemu wyjechać do Brukseli i sprawdzić działalność przykryciowej firmy spedycyjnej Le Gasoll, prowadzącej na dużą skalę działania wywiadowcze i kontrwywiadowcze za granicą. To miała być jego ostatnia misja przed powrotem do kraju.

Armando wyszedł z domu Czakuckiego, gdy już się ściemniało. Ruszył do Cheltenham General Hospital, gdzie leżała Iza – jego wojenna miłość. Poroniła, ale powoli dochodziła do siebie. Po drodze zaszedł do kościoła przy Devonia Road i zamówił w jej intencji mszę świętą.

* * *

Siódemka polskich oficerów wsiadła na stacji Paddington do ekspresu *Pacific*, który zmierzał z Londynu do portowego Plymouth. Rozproszyli się po całym składzie. Jedyne Winiecki usiadł obok Czakuckiego. Wrzucił jakby od niechcienia na półkę swój Buffalo Feather bag kupiony od polskich pilotów.

Pięciu z nich wyglądało trochę podobnie, bo mieli na sobie solidne, grube wełniane płaszcze, kapelusze i obcisłe skórzane rękawiczki. Targali ze sobą wysłużone, zapinane na paski i zabezpieczone na rogach walizki i mniejsze, również mocno zużyte podręczne walizeczki. Znajdowały się w nich nie tylko rzeczy osobiste, lecz także powiązane sznurkiem i zalakowane pakiety z materiałami wywiadu. Zakamuflowane były one w dokumentach rodzinnych, albumach z fotografiami, wśród dużych zeszytów z odręcznymi notatkami.

Przypadkowy obserwator mógłby założyć, że czeka ich długa podróż. Nie przyciągali jednak specjalnej uwagi, bo doskonale posługiwali się językiem angielskim. A ponadto w tym czasie wciąż wiele osób jeszcze się przemieszczało, chociaż powojenny czas najbardziej intensywnych wędrówek ludzi stopniowo wygasał. Czekala ich trzystukilometrowa jazda luksusowym pociągiem ciągniętym przez słynną, bijącą rekordy szybkości lokomotywę LNER A4.

Czakucki bez słowa zasłonił twarz płaszczem, oparł głowę o ścianę przedziału i zasnął. Po godzinie ocknął się, rozmasował dłonią twarz i wyjął z podróźnej torby bagażowej z koziej skóry metalowy termos z kawą. Nalał jej do kubka i wypił jednym haustem. Ponownie napełnił i podał go porucznikowi.

– Jak z Izą? – zagadnął.

– Jeszcze ma krwawienia. Doktor twierdzi, że po kilku dniach wszystko powinno wrócić do normy. Brzuch ją czasami pobolewa.

– Jak przyjedziesz z Belgii, dam ci urlop, abyś mógł się nią zająć. Musi wyzdrowieć przed podróżą. No, ale wcześniej czeka was kurs przygo-

towujący do przerzutu do kraju. Co na to Iza?

– Mówiłem już, pułkowniku. Oczy jej się świecą, gdy o tym wspomina. Ech, to chyba ta nadzieja na powrót do Polski pomaga jej teraz walczyć z problemami zdrowotnymi. Może w Polsce nam się coś urodzi. – Armando uśmiechnął się pod nosem.

– Ale wiesz, że to nie będzie bajka i powrót do krainy szczęśliwości? Musisz być gotowy i na to, że wpadniesz w łapy ich bezpieki, a oni mają sowieckich doradców i przejmują ich metody. Sam wiesz, że w Londynie działa ich rezydentura. A oni rozglądają się za takimi jak ty.

– Cóż. Takie są dzisiaj reguły gry, że nie ma reguł. Trzeba być twardym. Oboje mamy doświadczenie z pobytu w ich pieprzonym sowieckim raj. Tych wszy, brudu, głodu, ropiejących ran i upodlenia nigdy nie zapomnę.

– W sytuacji awaryjnej spróbuj nawiązać kontakt z podpułkownikiem Stanisławem Mrazkiem, który wraca do kraju. Słyszałem, że chce jechać do Warszawy. Jako zapalony inżynier elektronik będzie budował pewnie jakąś hutę albo inny zakład przemysłowy. Ale to w sytuacji wyjątkowej... bo wiesz...?

– Co, niepewny?

– Nie, nie to. Widzisz, wydaje mi się, że MI6 za bardzo się przy nim kręci. Normalnie robiliby to przez nas. A teraz nie. Ale takie czasy...

– Tak, pułkowniku. Takie cholerne czasy. Jeszcze kawy?

Po kilkugodzinnej podróży wysiedli w Plymouth. Stali pod szerokim dachem dworca i patrzyli na miasto, na którym wojna odcisnęła wyraźne piętno. Wszędzie widać było wprawdzie oznaki odbudowy, ale ciągle całe dzielnice leżały w ruinach, z których wyrastały kikuty opalonych domów.

Z niewielkiego dworca, na którym kończyły bieg wszystkie pociągi z Londynu, skierowali się na już uporządkowane nabrzeże. Czakucki i Armando odprowadzili na nie oficerów, którzy wypływali za ocean. Przed budynkiem służącym za terminal pasażerski pożegnali się, ucałowali po męsku w policzki i pokleпали po plecach. Wsiedli na statek obsługiwany przez Blue Star Line, który zawijał najpierw do Brestu. Następnie przez Lizbonę, Maderę, Teneryfę płynął do brazylijskiego Rio de Janeiro. Potem miał rzucić cumy w Santos i Montevideo, aż w końcu dotrzeć do Buenos Aires. Polaków czekała co najmniej trzytygodniowa podróż.

Po pożegnaniu piątki oficerów pułkownik odprowadził Armanda na francuski statek, który wypływał do Hawru. Stamtąd autobusem Winiecki

zamierzał dotrzeć przez Amiens i Lille do Brukseli i po kilku dniach wrócić zupełnie inną trasą, popłynąć do Dover jakimś kutrem rybackim z odbudowywanego Calais.

* * *

Po południu Czakucki wszedł do pubu Minerva, gdzie w powietrzu poza trunkami unosiło się jeszcze wspomnienie czasów szesnastowiecznych kaprów, którzy pod brytyjską banderą łupili flotę hiszpańską, holenderską i portugalską. Zresztą część drewnianego wystroju pochodziła z rozbitej hiszpańskiej Wielkiej Armady. W pubie tym pił Francis Drake, który w 1577 roku właśnie z Plymouth wypłynął wraz z towarzyszami w rejs dookoła świata i z powodzeniem zakończył go po trzech latach. Przywiózł do Anglii złoto i przyprawy korzenne. Królowa Elżbieta wyniosła go do godności szlacheckiej i uczyniła admirałem floty angielskiej.

Jakimś cudem ten pub ocalał w czasie niemieckich bombardowań. Ostał się w morzu gruzów. Nad wejściem ciągle chybotąca się drewniana tablica z nazwą i wizerunkiem bogini Minerwy.

Czakucki usiadł pod ścianą na drewnianej ławce i zamówił whisky. Dopiero teraz się rozluźnił, bo w bezpieczny sposób wyekspediował swoich ludzi. Był też jednak świadomy, że bezpowrotnie coś się kończy. „Zwijamy się, zostaliśmy sami” – pomyślał. Zapalił cygaretkę i patrzył na rycinę pirata, która wisiała na drugiej stronie kiedyś śnieżnobiałej, a teraz szarej ściany, poprzecinanej czarnymi dębowymi belkami.

Spojrzał na zegar ścienny. Do odjazdu nocnego pociągu londyńskiego miał jeszcze kilka godzin. Zastanawiał się, czy nie przenocować w Plymouth. Zarezerwował nawet pokój w pobliskim hoteliku. Jednak czas go naglił. Przed podróżą postanowił coś zjeść. Zawołał barmana, a ten przysłał jakiegoś młodego chłopaka, który przyjął zamówienie na jedyną gorącą potrawę o tej godzinie – *bangers and mash*. Po kilkunastu minutach kelner wrócił z talerzem parujących kiełbas jagnięcych podanych na tłuczonych ziemniakach. Zapach nie pozostawiał wątpliwości, że wszystko polane jest sosem cebulowym. Postawił obok kufel piwa.

* * *

Czakucki zdusił w popielniczce żar z cygaretki. „Czas wracać” – pomyślał i ciężko wstał.

Kołysząc się na boki, uchylił pomalowane na czarno drzwi. Od morza czuć było wyraźnie wilgoć, w twarz uderzył go ostry, jesienny powiew wiatru, który przyniósł z sobą ciężki kurz z pobliskiego gruzowiska. Poczul w ustach pył, a w nozdrzach smród padliny.

Zielony szal podciągnął na twarz, aby osłonić usta przed wszechobecnym pyłem, postawił kołnierz czarnego płaszcza i mocniej wcisnął kapelusz na głowę. W tym momencie usłyszał huk strzału i poczuł ostre palenie w prawym ramieniu, jakby ktoś dotknął go rozgrzanym do czerwoności żelastwem. Bezwiednie osunął się na czarną futrynę wciąż otwartych drzwi pubu. Po chwili nastąpił kolejny huk. Tym razem pocisk przeszył jego udo.

Usłyszał jeszcze krzyk barmana, który coś wrzeszczał do uciekających ulicą mężczyzn:

– *Fucking bastards!*

Czakucki próbował się podnieść. Chciał sięgnąć po swojego colta, ale ręka odmówiła mu posłuszeństwa. Myśli galopowały. „Co się stało?!” W tym momencie zapadł w ciemność. Stracił przytomność.

Po chwili usłyszał dźwięk gwizdka policyjnego. Ocknął się, gdy nachylał się nad nim żandarm wojskowy w czerwonej czapce. Zrozumiał jedynie:

– *Lives!*

Czakuckiego ponownie ogarnął mrok. Potem, jakby patrząc przez mgłę, wychwycił jeszcze, jak ktoś go przeszukuje i wyjmuje z jego kieszeni służbową legitymację oficera Drugiego Korpusu Polskiego. Ktoś czytał na głos jego nazwisko i formułkę, że posiadacz legitymacji może chodzić po cywilnemu i nosić broń, aby użyć jej jak wartownik. „Ale jakie to miało teraz znaczenie?” – przebiegło mu przez myśl i poczuł nagłe uderzenie mroźnego powiewu.

– *This is a soldier!*

Ponownie obudził się już w sanitarce. Zobaczył nad sobą jasną twarz pięknej kobiety o spiętych blond włosach i dużych niebieskich oczach, pochylała się nad nim. Rozcinała nożycami marynarkę, koszulę i spodnie. Coś do niego mówiła, ale nic nie rozumiał. Znów przeszył go zimny dreszcz. Dygotał. Tracił przytomność.

– Sir! Spokojnie, ratujemy pana. Wszystko będzie dobrze. – Usłyszał to od pielęgniarki albo anioła, jak mu się wtedy wydawało. Miał omamy.

Samochód sanitarny Austin z czerwonym krzyżem na drzwiach gnał wśród ruin do Royal Naval Hospital.

Rozdział 8

Portugalia – wiosna 1958 roku

Był bardzo zmęczony i trochę podrażniony. Egzamin ze wstępu do inżynierii chemicznej nie poszedł mu tak, jak by sobie marzył. Doktor Manuel José Carvalho był wyjątkowo wymagający dla studentów.

Józef Hanser czuł ból głowy i był rozkojarzony. Wyszedł przed biały budynek Instituto Superior Técnico Universidade Tecnica de Lisboa w kampusie Alameda, gdzie studiował chemię przemysłową, i podszedł do stojaka z rowerami. Na bagażniku umieścił związane paskiem dwa podręczniki do obliczeń matematycznych, zeszyt i worek z ołówkami. W momencie gdy wsiadał na rower, ziemia pod nim lekko zawirowała – kręciło mu się w głowie. Pomimo to mocno nacisnął na pedały i ruszył Príncipe Real Rua da Escola Politécnica. Ujechał zaledwie pięćdziesiąt metrów, gdy pod koła wskoczył mu niewielki czarny kundel. Józef zachwiał się i runął bokiem na wyszlizgany uliczny bruk. Poczował ból w nodze. Leżał na ulicy i przez chwilę się nie ruszał.

W tym momencie zobaczył nad sobą skupioną twarz młodej kobiety, która pochyliła się nad nim i coś mówiła. Jej wielkie oczy w ciemnej oprawie błyszcząły. Dziewczyna chustką ścierała spod jego nosa jasnoczerwoną strużkę krwi. Chwilę potem zobaczył przed sobą jej palec.

– Spójrz na niego. Dobrze? Nic cię nie boli? – Dziewczyna przybliżyła się do niego i ujęła fachowo jego rękę.

Zaczęła sprawdzać, czy nie ma złamania, potem w podobny sposób zbadała nogi Józefa.

– Możesz już wstać? – zapytała go z nieznanym mu miękkim akcentem, jakby była cudzoziemką.

Delikatnie chwyciła jego głowę i zaczęła sprawdzać, czy pomiędzy włosami jest krew. Po chwili Józef siedział już na wysokim kamiennym krawężniku.

– Nic poważnego nie widzę, chyba nie uderzyłeś się zbyt mocno w głowę?

– Chyba nie. Wiesz... dziękuję ci bardzo za pomoc, ale już pojadę. Jestem dzisiaj zmęczony. Często mi cieknie krew z nosa.

– To możesz spróbować przepalić prądem żyłki w nosie, no i trzeba brać więcej witaminy K, która powoduje szybsze krzepnięcie krwi – odpowiedziała fachowo.

– Znasz się na tym?

– Trochę. Masz szczęście, że przypadkowo tędy przechodziłam.

Dopiero w tym momencie Józef dokładnie przyjrzał się dziewczynie, która mu pomogła. Wyglądała na jego rówieśniczkę, mogła mieć około dwudziestu lat. Jej ciemne włosy związane były białą wstążką. Miała duże piwne oczy, nad nimi zaś doskonale zarysowane brwi. Jej pełne usta śmiały się do niego.

„*Linda garota*” – pomyślał. W tym momencie ona się odwróciła i lekko kołysząc biodrami, odeszła. „Kim jesteś, piękna? Czy jeszcze cię kiedyś zobaczę?” – przebiegło przez jego nieco obolałą głowę.

Lekko oszołomiony i poobijany Józef podniósł rower. Sprawdził, czy nie ma uszkodzeń, i wsiadł na siodełko. Chciał jechać za nią, ale już zniknęła wśród innych studentów spieszących się na zajęcia. Ruszył więc do niewielkiego mieszkania, które wynajmował wraz z dwoma innymi studentami politechniki w popularnym Domu Studentów Cesarstwa w centrum Lizbony. Gdy zamknął za sobą drzwi studenckiej kwatery, zmęczony padł na łóżko. Myśli o niezbyt udanym, chociaż zaliczonym egzaminie, zupełnie przykryła chwila spędzona z nieznajomą. Zasnął. Do spotkania miał trzy godziny.

* * *

Wokół było gwaro. Przy licznych stolikach Cukierni Cysterskiej, schowanych pod wielką błękitną markizą, siedzieli głównie studenci pobliskiej uczelni. Palili papierosy i gestykulowali, dyskutując o polityce i rozrywkach. Rozmawiali o niedawnym cudzie techniki, czyli przekazie obrazu za pomocą fal radiowych. Kilka miesięcy temu rozpoczęły się regularne transmisje RTP – portugalskiej telewizji. Józef spojrzął na gazetę, która leżała na stoliku. Dziennikarz pisał o skutkach erupcji wulkanu Capelinhos w Faial na Azorach oraz niedawnej wizycie królowej angielskiej Elżbiety II w Portugalii. Inni spierali się o wywiad udzielony prasie przez generała Humberta da Silva Delgado, który rozpałał umysły wielu przeciwników reżimu Salazara.

Józef zamówił brazylijską kawę red bourbon i szklanę wody oraz dodatkowo ciasto alzackie z jabłkami. Miał na sobie czarne bawełniane spodnie i białą koszulkę polo oraz ulubione białe, a w zasadzie już szare, trampki. Bawił się bezwiednie okularami przeciwsłonecznymi.

W pewnym momencie z tłumu podążającego chodnikiem w palącym majowym słońcu wyłuskał elegancką postać wysokiego, szpakowatego mężczyzny ubranego w letni beżowy jednorzędowy garnitur. W rękę trzymał gazetę sportową „A Bola”.

Józef pomachał do niego. Po chwili obok na metalowym krzeselku usiadł Adam Ahmad al-Naggar.

– Mam ochotę na porto. – Delikatnym ruchem dłoni przywołał kelnera. – Ty też sobie życzysz?

– Nie, dziękuję. Zostanę przy kawie. Muszę dojść do siebie po dzisiejszym egzaminie.

Al-Naggar zamówił kieliszek trzydziestoletniej tawny.

– Jak sobie radzisz?

– Na razie dobrze, pierwszy rok jest najtrudniejszy. Chyba... Dzisiaj miałem egzamin, nie był łatwy, ale go zaliczyłem – powiedział jakby od niechcenia i pomasował poobijaną nogę.

– Czegoś ci brakuje?

– Nie! Jakoś dam radę. Niebawem poszukam pracy. Zarobię na mieszkaniu. Jeszcze raz chciałem ci, wujku, podziękować za wszystko. Bez ciebie mógłbym tylko marzyć o studiowaniu. Jak ja się za to wszystko odwdzięczę?

– Nauczono nas wspierać potrzebujących. A na twoją wdzięczność przyjdzie czas... A wiesz, że ja tylko realizuję testament Petrosa. Pamiętasz go jeszcze?

– Jak mógłbym go zapomnieć? Wspaniały człowiek. Przecież dzięki niemu znaleźliśmy się w tej bezpiecznej przystani. On nas uratował. Wiele razy o nim myślałem. Śni mi się czasem. Zawsze był dla mnie taki dobry.

– Nie zastanawiałeś się, dlaczego tak nagle zniknął?

– Tak, zawsze mnie to gryzło. Wciąż podkreślałeś, że nas nie opuścił, nie odrzucił, że coś mu się stało, ale co? – Spojrzał w skupieniu na mężczyznę. – Może właśnie przyszedł czas, abyś o tym opowiedział? Jestem przecież dorosły. Przede mną jeszcze pięć lat studiów. Ale jak bardzo się postaram, to mogę zaliczyć dwa lata w rok...

– Mam propozycję. – Al-Naggar sięgnął po kieliszek wina, upił łyk i zastanawiał się przez chwilę. – Spotkamy się w niedzielę. Podjadę pod twoją kwaterę samochodem. Niech będzie w samo południe. Wybierzemy się na wycieczkę...

W tym momencie dwaj mężczyźni siedzący przy sąsiednim stoliku gwałtownie wstali i zaczęli okładać się pięściami. Z boku wyglądało to nieco komicznie, do momentu gdy z ust starszego pociekła strużka krwi. A ten wtedy krzyknął:

– Delgado jest najlepszy...

– To pieprzony zdrajca. Świński ryj – odpowiedział mu młodszy.

W tym momencie wokół szarpiących się pojawiło się dwóch kelnerów w białych marynarkach i dwuosobowy patrol policji, który akurat znajdował się w pobliżu. Rozdzielili mężczyzn, wykręcili im do tyłu ręce i wyprowadzili poza kawiarnię. Wszyscy skręcili za róg kamienicy. Jeszcze przez chwilę słychać było podniesione głosy, a potem raptem wszystko ucichło.

Delgado w latach 30. atakował zarówno „monarchę oszustów”, jak i „republikę bandytów”. W czasie wojny nie ukrywał swoich sympatii do Hitlera. Uważał go za geniusza polityki. Z czasem jednak został zwolennikiem porozumienia portugalsko-brytyjskiego. Po mianowaniu go dyrektorem Secretariado Nacional de Aeronáutica Civil stał się jednym z twórców portugalskich linii lotniczych. W 1952 roku został mianowany attaché obrony w Waszyngtonie. Zaczął flirtować z liberalnymi demokratami, co popchnęło go do podjęcia decyzji o kandydowaniu w 1958 roku jako polityka niezależnego na stanowisko prezydenta Portugalii. Niepokornego generała poparła klasa średnia, intelektualiści, monarchiści, a nawet niektórzy faszyci. Na wiecach pojawiały się tłumy jego zwolenników. Jednak Portugalska Partia Komunistyczna ciągle nazywała go faszystą i generałem Coca-Coli.

– Co o tym myślisz? – Al-Naggar wskazał na pusty już stół obok, wokół którego uwijali się kelnerzy sprzątający rozbite filiżanki.

– O tej bójce? Gorąca krew.

– Nie. O tym generale lotnictwa.

– No cóż, chyba ma poparcie społeczne. Jest szansa, aby odsunąć od władzy Salazara. Dał popalić tym wczorajszym wywiadem w kawiarni Chaved 'Ouro. Czy ktoś inny, zapytany o to, jaką pozycję zajmie w stosunku do szefa rządu, odpowiedziałby: „Po prostu go zwolnię!”? To świadczy o jego odwadze!

– Dla mnie on nie jest poważną alternatywą dla reżimu. To jest taki sam faszysta jak Salazar – odparł krótko Al-Naggar.

– Moi koledzy ze studiów myślą zupełnie inaczej. Uważają, że to promyk nadziei. Nie dość, że dobry żołnierz, to jeszcze liberał.

– Liberałem stał się, gdy wrócił z Ameryki, a w zasadzie został kupiony przez amerykańskich imperialistów.

– Ale, wujku, on przecież dąży do tego, aby w pokojowy sposób obalić rządy Salazara.

– Musisz myśleć bardziej do przodu. Możemy obstawiać, że albo go oszukają, albo sfalszują wybory. A potem zostanie zdegradowany i wyrzucony z kraju. A może pojawi się na niego... zlecenie – powiedział tajemniczo Al-Naggar.

Józef w milczeniu zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

– Pożegnaj się już z tobą. Pamiętaj, w południe podjadę pod twoją kwaterę. Gdy będę na miejscu, dwa razy przeciągle zatrąbię. Pamiętaj! Dwa razy! To oznacza, że czekam na ciebie i bezpiecznie możesz wyjść z mieszkania. Rozumiesz?

– Nie. A dlaczego dopiero wtedy mogę być bezpieczny? Po co to wszystko? Coś nam grozi? – Józef nie krył zaskoczenia.

– No cóż, policja nie zawsze nas lubi. – Al-Naggar wymownie wskazał palcem na siebie i uśmiechnął się. – Wyjaśnię ci to kiedyś. Mam nadzieję, że wtedy więcej zrozumiesz.

* * *

Józef czekał w niedzielne południe w swoim mieszkaniu do momentu, gdy usłyszał dwa przeciągłe sygnały klaksonu. Wyszedł z kamienicy. Miał ze sobą drelichową torbę z demobilu z ręcznikiem. Przewiesił na niej niewielki koc.

Gdy podszedł do samochodu, drzwi uchyliła ona – pielęgniarka, którą spotkał zaledwie kilka dni wcześniej w pobliżu budynku politechniki. Józef zamarł z wrażenia, bo nie spodziewał się, że ją jeszcze zobaczy. Chociaż o takim momencie marzył od czasu, gdy ujrzał jej śliczną, uśmiechniętą twarz, wielkie piwne oczy i lekko rozchylone wargi pokryte delikatnie warstwą czerwonej szminki.

Po chwili zaskoczenia na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Miała na sobie letnią białą sukienkę w duże niebieskie grochy, na głowie zaś błę-

kitną obręcz. Na ramiona narzuciła kaszmirowy biały półgolf. Przez uchylone szeroko drzwi szarego citroëna 2CV zobaczył jej zgrabne nogi i niebieskie pantofle na słupku. Wyciągnęła do niego dłoń.

– Evelyn – powiedziała.

Józef patrzył na nią zauroczony. Przez chwilę nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Dopiero po kilku sekundach jakby się ocknął. Ujął jej delikatną, ciepłą rękę i pocałował.

– Józef.

Dziewczyna zgrabnie wstała z miejsca z przodu i usiadła po chwili na tylnej kanapie.

– Wsiadaj, no, wsiadaj – odezwał się zza kierownicy Al-Naggar. – To moja córka. Jest na pierwszym roku studiów medycznych na lizbońskim uniwersytecie.

– Ach! To dlatego tak doskonale się mną zaopiekowała – rzucił pod nosem Józef. – My się już poznaliśmy. W dziwnych okolicznościach. Po moim egzaminie.

– Znacie się? – Al-Naggar nagle spoważniał.

– Niezupełnie. Po prostu przypadkiem się spotkaliśmy. Pomogła mi ochłonąć po niewielkim wypadku rowerowym – wyjaśnił Józef i opisał, co go niedawno spotkało.

– Jasne. Przypadek – uzupełniła Evelyn. – Akurat wracałam z Hospital de Santa Maria z zajęć prowadzonych przez profesora Jorge Augusto da Silva Horta.

– Czytałem gdzieś, że jest orędownikiem oddawania krwi? – wtrącił Józef.

– Tak. To bardzo dobry człowiek.

Józef siedział obok kierowcy. Dach pojazdu był zrolowany do tyłu. Ciepły wiatr targał ich włosami i chłodził rozgrzane wnętrze wozu. Samochód miękko podskakiwał na każdej nierówności drogi. Z daleka widać już było wzgórze wokół Estoril, które tonęły w soczystej, nasyczonej wodą zieleni. Zwolnili. Wjechali w wąską uliczkę. Ogrody pachniały i pulsowały feerią barw kwiatów. Józef co kilka chwil dyskretnie spoglądał w lusterko wsteczne. Raz odbijały się w nim tylko lekko przymrużone oczy i rozwiane czarne kosmyki, innym razem czerwone usta ze śnieżnobiałymi zębami. Lusterko drgało.

– Józek! A słyszałeś o doktorze Agostinie Neto? To lekarz i poeta. Mówią nawet, że rewolucjonista. Pochodzi z Angoli. Jest bardzo zaangażo-

wany w odkrywanie rdzennej kultury Afryki. A zresztą nie uważasz, że kolonializm to przeżytek?

– Tak. Przypomina czasy amerykańskiego niewolnictwa. Czas z tym skończyć! – włączył się zapatrzony w drogę Al-Naggar.

Podróż do Estoril przywołała u Józka wspomnienia z kilku wyjazdów, które dla grupy polskich wychowanków zorganizował Wartanian, gdy jeszcze przebywali w sierocińcu. Za każdym razem Józef chłonał piękno tego miasteczka. Przyjazny klimat, błękit nieba i oceanu, wielobarwność kwiatów. Potem, gdy był już starszy, pociągała go też ekskluzywność znajdujących się tam willi. Wyobrażał sobie, jak za kratami solidnych bram i wysokimi murami, ponad którymi wychylały się pióropusze palm, mogą wyglądać ogrody czy kamienne sadzawki pełne tropikalnych rybek. „Tak mógłby wyglądać raj na ziemi, miejsce pełnego relaksu, rozrywki, obcowania z absolutnym pięknem” – myślał. Gdy słyszał tę nazwę, wspominał też wujka Petrosa, który opiekował się nim oraz kilkoma chłopakami z bandy Tarzana.

Al-Naggar zaparkował samochód blisko zejścia do plaży, obok budki, w której sprzedawano świeżo wyciskane soki owocowe i lody na patyku. Zatrzymali się po kilku minutach spaceru po piaszczystej plaży. Rozłożyli koce i usiedli. W pobliżu bawiły się dzieci.

Gdy dziewczyna poszła przebrać się w kostium, Al-Naggar wyjaśnił:

– Postanowiłem, że będzie studiowała medycynę, bo ma do tego dryg. Zawsze o tym marzyła. Przyjechała ze mną i tutaj zostanie. Jej matka mieszka w Egipcie.

„To doskonale!” – krzyknął w myślach Józef, ale nie dał po sobie poznać, że akurat to go ucieszyło. Nie wiedział, jak zareaguje jej ojciec, którego od zawsze nazywał wujkiem, chociaż w zasadzie był to jego opiekun i *benfeitor* – dobroczyńca.

Al-Naggar po zniknięciu Wartaniana przejął opiekę nad grupą polskich chłopaków z Tanganiki. Interesował się ich postępami w nauce. Dyskretnie modelował ich zachowanie, podpowiadał, czym w przyszłości powinni się zająć. Pilnował, aby uczyli się języków obcych, dbali o tężyznę fizyczną. I co najważniejsze, finansował ich naukę w szkole, a potem studia. Przyjeżdżał do Portugalii z Egiptu kilka razy w roku, aby mieć z nimi kontakt. Dotychczas sam.

– Po ostatniej rozmowie zastanawiałeś się pewnie, co stało się z Petrossem. To już dziesięć lat... – Al-Naggar pokiwał głową.

– Tak.

– Posłuchaj, Józku. To może być dla ciebie przykra wiadomość... – Zawiesił głos. – On został zamordowany w okrutny sposób...

Józek milczał, ale jego oczy zaszklily się od łez.

– Ale przez kogo? Kto to zrobił? Policja? Faszyści? Jacyś bandyci? – Józef zmarszczył brwi.

– Banda Polaków. W porcie. Z zimną krwią go utopili.

– Jak to? Dlaczego? Polacy? Niemożliwe! – prawie krzyknął.

– Może to być dla ciebie nieprawdopodobne, niedorzeczne, ale oni uznali, że jest ich wrogiem. Bo inaczej myślał. Wierzył w coś innego niż oni.

– Czyli zabili go z pobudek ideologicznych? To jakiś absurd! Petrosa?! Takiego dobrego człowieka! Nie wierzę! – Znowu podniósł głos.

– Niestety. Właśnie tak. Z zimną krwią i w bestialski sposób, wcześniej go katowali, znęcali się nad nim...

– Dlaczego to przede mną ukrywałeś?

– Po wojnie różne rzeczy się działy. Sam wiesz, jak tu było. Nie ukrywałem, tylko chciałem ci oszczędzić bólu, który mógłby ci wszystko przesłonić. Złe emocje nie mogły kierować twoim rozwojem. Teraz jesteś mi bardzo potrzebny. Nie po to, aby go pomścić, bo złość może zacierać obraz i racjonalne myślenie, ale żebyś poszedł jego drogą. Tą, którą on podążał. Abyś kontynuował jego dzieło.

– Czyli?

Józek przypatrywał się uważnie mężczyźnie. W głowie początkowo czuł gonitwę myśli, ale po chwili zastąpiła ją pustka.

– Józku. Razem z innymi wybrańcami będziesz oczyszczał ten świat ze zła. Z różnych chwastów, które powodują, że ludzie w wielu krajach są prześladowani, traktowani jak niewolnicy, że nie mogą podnieść wysoko głowy i zerwać kajdan. Wielu gnije w imperialistycznych czy syjonistycznych więzieniach. Trzeba im pomóc się wyzwolić. Rozumiesz?

– Tak. To wielka i wspaniała rzecz.

– No właśnie. Będziesz dbał o bezpieczeństwo demokracji. No, może w trochę nietypowy, specjalny sposób.

– Ale ja? Teraz?! Co ja mogę?

– Teraz to masz się uczyć i skończyć studia. Krótko mówiąc, rozwijać swoje ciało i umysł. – Przerwał, widząc, że jego córka wyszła właśnie z przebieralni.

Al-Naggar nie powiedział mu, że jego starsi o kilka lat koledzy z obozu w Afryce już zostali wysłani w różne zakątki świata: na przykład Witek Nowacki do Ameryki Południowej, Krzysiek Ossowski do Europy, gdzie zamieszkał w Wiedniu, a Szymek Bittner wrócił do Polski. Przez Czerwony Krzyż odnalazła się jakaś jego dalsza rodzina.

Al-Naggar nie wchodził w szczegóły. Zdawał sobie sprawę, że przypadkowe spotkanie tych osób może spowodować wiele szkód, a utrzymywanie przez nich znajomości bez jego wiedzy – skutkować dekonspiracją prowadzonej operacji.

Józef odwrócił się i zamarł. Evelyn szła w jego kierunku z przebiegalni, rozglądała się, poprawiając długie czarne, rozpuszczone włosy. Była w dwuczęściowym biało-różowym kostiumie kąpielowym, jakie dotychczas widział głównie w amerykańskich kolorowych czasopismach, przeglądanych w męskim towarzystwie w akademiku. Góra bez ramiączek niczym opaska opinała jej kształtne piersi, a biodra falowały w rytm ruchu jej smukłej sylwetki. „*Bonito*. I ten śliczny odkryty pępek, ten brzusek gładki jak aksamit. Jak delikatnie stąpa na paluszkach po piasku. A te rozwiane oceaniczną bryzą włosy...” – pomyślał i spuścił oczy, a na jego policzkach pojawił się delikatny, w zasadzie niezauważalny rumieniec.

– Idziesz ze mną do wody? – spytała Evelyn, zatrzymując się przy kocu.

– Tak, chętnie... – odpowiedział niepewnie.

Wbiegli do chłodnej jeszcze o tej porze roku wody, przeskakując fale. Śmiejąc się, pokonywali kolejne spienione bałwany.

– Uważaj, Evelyn! To Atlantyk. On jest zdradliwy. Kiedyś mojego kolegę nieźle sponiewierało o dno. A był zwinny jak Tarzan! – przekrzykiwał huk fal Józek.

– Nie martw się. Wakacje i każdą wolną chwilę spędzaliśmy na plażach koło Aleksandrii – odparła i skoczyła w wysoką, załamującą się właśnie falę.

Po chwili płynęli obok siebie. Usłyszeli uderzenie kolejnej fali i przecięli ją, nurkując. Było widać, że dziewczyna doskonale pływa. Przez kilka chwil patrzyli na siebie bez słowa. Jakby zapomnieli o wszystkim wokół. O Al-Naggarze, plaży w Estoril i studiach.

Nagle naparła na nich olbrzymia grzywa fali. Zdążyli się mocno złapać za dłonie. Pochłonęła ich wodna kipiela. Józek uderzył pośladkami o dno i przejechał na nich kilka metrów, przecinając materiał swoich kąpielówek.

Kilka większych kamieni uderzyło go po kostkach. Evelyn trzymana przez niego z całych sił znalazła się nad nim, co uratowało ją przed spotkaniem z szorstkim dnem. Fala przeszła nad nimi. Wypłynęli. Sól szczypała ich w oczy. Pierwszy otworzył je Józek i zaniemówił. Zobaczył dwie bielsze niż reszta ciała piersi kobiece. Ich brązowo-różowe sutki wydawały się Józekowi najpiękniejszym widokiem w życiu. Jednak trwało to tylko kilka sekund. Evelyn zobaczyła, że fala zsunęła z jej piersi górę bikini. Krzyknęła.

– Zamknij oczy! Proszę! – Zaczęła poprawiać różowy kostium w drobne biało-różowe paski.

Józek ciągle na nią patrzył. Chciał, aby ta chwila trwała jak najdłużej.

– Czego się tak gapisz?! Nigdy nie widziałeś kobiety?! – rzuciła ze złością, poprawiła górę bikini i popłynęła do brzegu.

– Tak pięknej nigdy w życiu. Mógłbym tak patrzeć na nie i patrzeć... całe życie – odpowiedział i ruszył za nią.

– Na co mógłbyś...? Lepiej spójrz na swoje rozerwane spodenki. – Roześmiała się.

– No... na ciebie, Evelyn...

Gdy wychodzili z zimnego, wzburzonego oceanu na brzeg, delikatnie dotknęła jego ręki. Na chwilę przytrzymała ją i puściła, jakby lekko spłoszona tym, co zrobiła. Może bała się reakcji ojca, który z oddali patrzył na nich spod przeciwsłonecznych okularów Aviator, odrywając się od lektury „Diario de Lisbóa” z dużym zdjęciem Delgada. Uśmiechnęła się i popatrzyła na niego wzrokiem, który Józek już znał. Rozchylone lekko usta, mokre, opadające na ramiona włosy, z których z wdziękiem zaczęła wyciskać wodę, rozbudziły jego wyobraźnię. Poczul ucisk w brzuchu.

Rozdział 9

Portugalia – lato 1962 roku

Józef czekał nad filiżanką kawy i drożdżówką *pao de deus* w Cukierni Cysterskiej przy Rua da Escola Politécnica. Do popołudniowego spotkania z Al-Naggarem miał jeszcze pół godziny. Ustalili, że zawsze ma być trzydzieści minut przed każdym spotkaniem.

Był piątek, dzień nieparzysty. W parzyste dni spotkania, a właściwie nawiązanie kontaktu, miały się odbywać w cukierni przy Rua da Escola Politécnica 84/90. Wtedy Józek, aby zasygnalizować, że jest możliwość nawiązania bezpiecznego kontaktu, do kawy miał zamawiać jakieś ciastko. Tym razem stała przed nim tarta alzacka z pachnącym boczkim, pokrojoną w kosteczkę czerwoną cebulą i *crème fraiche* na wierzchu.

Po półgodzinie Józef zauważył zatrzymującego się obok kawiarni mężczyznę w popielatej sportowej marynarce w kratkę i cienkim szarym golfie. Sprawdził godzinę na zegarku i popatrzył na Józefa. W dłoni trzymał gazetę „Diário da manhã” z dużym nagłówkiem na wierzchu. „Dobrze, jest bezpiecznie” – pomyślał Józef, powoli wstał, wziął marynarski worek i ruszył za Al-Naggarem.

Po ponadgodzinnym kluczeniu po lizbońskich uliczkach dotarli do dworca kolejowego Santa Apolónia, który od kilku lat był jednym z wielu lokalnych węzłów kolejowych w Lizbonie. Al-Naggar wszedł do taksówki. Po dłuższej chwili do czarnego peugeota 403 wszedł też Józef i kiwnął głową na znak, że wszystko w porządku. Znajdująca się na środku jasnozielonego dachu samochodu lampka z napisem *Taxi* zgasła. Peugeot ruszył.

– Skąd masz ten amerykański sweterek? Bo co do literki *E* to się domyślam?! – Al-Naggar się uśmiechnął.

– Teraz wszyscy na uczelni tak się noszą. Myślisz, że nie czytamy i nie oglądamy „Life’a” albo „Time’a”? U nas każdy w drużynie piłkarskiej ma taką literkę z inicjałem swojej dziewczyny na swetrze! Zresztą w mojej pływackiej *equipe* też takie literki niektórzy sobie przyszywają.

– Widzę, że dbasz o kondycję. To dobrze. A jak z nauką?

– Przecież zawsze mi powtarzałeś, że teżyzna fizyczna kształtuje charakter. Z nauką? Dobrze. W zasadzie kończę już studia. Jeszcze jakieś egz-

miny i obrona pracy, ale mam na to kilka miesięcy. Nawet do końca następnego semestru.

– Wiesz, może się to wydawać śmieszne, ale lubię, gdy mówisz do mnie wujku. Bo jest w tym coś, co mocniej nas wiąże, jest to oparte na relacjach emocjonalnych, rodzinnych. – Al-Naggar spojrział w bok na mijane domki rybackie.

Taksówka po kilkunastu minutach jazdy zatrzymała się na parkingu przed niskim białym budynkiem przykrytym czerwoną dachówką z napisem na froncie *Estação Fluvial*. Obok budynku wznosiła się kilkunastometrowa wieża z zegarem i napisem *Belém*.

Byli na przystani promowej. Niewielki drewniany prom czekał na ostatnich pasażerów. Miał ich zawieźć do Trafarii po drugiej stronie Tagu. Po półgodzinnym rejsie czekała ich droga do rybackiej osady Cova do Vapor, która w ostatnich latach coraz bardziej nabierała wyglądu letniska.

Pułkownik Al-Naggar wykorzystał ten czas na dodatkowe sprawdzenie, czy nie jest obserwowany przez miejscowe służby bezpieczeństwa. Uprzedził Józka, że szkolenie będzie wyjątkowo intensywne.

W końcu dotarli do niebieskiego, parterowego drewnianego domu krytego czerwoną dachówką. Posesja otoczona była niewysokim białym murem. Wokoło rosły drzewa dające życiodajny cień. Al-Naggar popchnął drewnianą furtkę.

Po chwili siedzieli na przeszklonej werandzie. Pułkownik lubił tę okolicę. W cichej osadzie było kilka barów, w których zawsze podawano świeże ryby i krewetki z grilla. Zapach z palenisk rozchodził się pomiędzy wąskimi uliczkami białych i niebieskich domów dekorowanych tradycyjną majoliką z wizerunkami ryb, koników morskich, muszli czy szesnastowiecznych żaglowców z czerwonymi krzyżami na żaglach.

– To co dzisiaj zjemy? Proponuję na obiad okonia morskiego. W tym barze przy przystani rybackiej.

– *Robalo...* – wtrącił Józek.

– Tak, *robalo*. Posłuchaj, Józku, poza szkoleniem mam dla ciebie pewną wiadomość. W zasadzie dwie. Po pierwsze, związaną z twoją podróżą do Izraela w najbliższym czasie...

– Ale wujek obiecał, że będziemy mogli razem z Evelyn wybrać sobie miejsce pracy, miejsce swojego życia. Nie chcę jechać do Izraela...

– Józek! To jest rozkaz. Nie muszę ci tego przypominać! Już ci mówiłem, nie chcę słyszeć o żadnych waszych wspólnych planach. Obiecałeś

zakończyć tę znajomość.

– Ale my się kochamy. Nie rozumiesz tego?! To nie jest zwykła znajomość!

– Dość. Posłuchaj do końca, co mam ci do powiedzenia.

Al-Naggar zrobił przerwę. Wiedział, że związek jego córki z Józkiem może być źle odebrany w Centrali, dlatego ukrywał tę informację przed przełożonymi. Nie wspominał o nim na spotkaniach z łącznikiem oraz moskiewskimi przełożonymi przyjeżdżającymi do Kairu. Wiedział, że balansuje na krawędzi. Ciągle liczył, że młodzi znudzą się sobą, zerwą znajomość, że będzie to tylko przelotny związek. Coraz częściej jednak odnosił wrażenie, że jego przypuszczenia były nietrafione. Od momentu gdy się poznali w Estoril, byli w sobie zakochani. Na początku nie miało to wpływu na zadania realizowane przez Józefa, jednak teraz ich miłość stanowiła przeszkodę. Dlatego musiał szukać innych rozwiązań.

– Józku. Mam coś dla ciebie. – Wręczył mu kopertę. – Przeczytaj i zastanów się. Proszę cię.

Mężczyzna zagłębił się w miękki fotel nakryty cieniutkim pledem. Nalał z karafki do szklanki chłodnego białego wina. Uważnie przyglądał się reakcji Józefa. Chłopak wyjął z błękitnej koperty nietypową pocztówkę i zaczął szeptem czytać:

*SOCIETATEA NATIONALA DE CRUCE ROSIE A ROMANIEI
SECTIUNEA PRIZONIERILOR DE RAZBOI.*

Piata Amzei 12 – Bucuresti.

CARTA POSTALA.

Karol Marjański, Andrychów, Germania

Wydawało się, że przez Józka przeszedł jakiś prąd. Jakby czuł, co może być napisane na drugiej stronie. Wujka Karola, dzielnego sierżanta, o którym tyle słyszał w obozie w Tenger, widział w swojej wyobraźni jak przez mgłę. Bardziej pamiętał jego żonę, która stała się dla niego matką. W pamięć wryło mu się wspomnienie, jak się nim opiekowali w Afryce, potem oboje zmarli i jak bardzo za nimi tęsknił. Te wspomnienia powróciły.

Odwrócił kartkę i zaczął czytać.

Bucuresti, 30 XI 1942 r.

Kochany Panie Karolu!

Jestem w Rumunii zdrów. Zasiłam Panu serdeczne pozdrowienia. Życzę Panu i Pana wielce szanownej małżonce wesołych Świąt. Niech Was Bóg pociesza w nieszczęściu. Ja już tu trzeci rok. Dużo chorowałem, ale dobrzy ludzie pomogli. Nie zapominajcie, że macie w Rumunii wielkiego przyjaciela Pana i Pańskiej małżonki. Uścisk braterski z daleka. Mam nadzieję, że już niedługo napiszę do was z cieplejszych stron.

Bernard Niczhanser

Józek patrzył badawczo na pułkownika. Na werandzie rybackiego domu zapanowała cisza. Z daleka dochodziły tylko ledwie słyszalne dźwięki syren statków wpływających do portu. Al-Naggar, widząc bladą twarz chłopaka, powiedział spokojnie:

– Nie chciałem ci mówić przed ukończeniem szkolenia. Kilka miesięcy temu od naszej rezydentury w Genewie otrzymaliśmy informację o korespondencji z Izraela. Dokładnie z Hajfy, ulica Herzla. Był to tak zwany list zwrotny, który dotarł do nadawcy i został ponownie wysłany do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

– Czy ja dobrze rozumiem?

– Tak. Twój brat Bernard żyje w Izraelu. – I wtedy Al-Naggar natarł: – No widzisz. Teraz musisz wybrać. Brat czy Evelyn...

– Nie muszę niczego wybierać! Pojadę zgodnie z rozkazem do Hajfy i odnajdę brata. Potem wrócę z nim i on pozna Evelyn. Potem zdecydujemy, co dalej.

– Wrócisz albo i nie wrócisz.

– Ale wujku, zrozum... Zrobię wszystko, co każesz, ale nie stawiaj mnie przed takim wyborem. Zobacz, co mi wyhaftowała na chusteczce. Zawsze gdy idę na mecz, całuje ją. Mówi, że to na szczęście. Zrozum to! Zrozum...

– Umówmy się, że wrócimy do tej rozmowy po twoim powrocie z pracy w Izraelu.

– Może być, wujku...

– Dlatego dzisiaj zjemy tylko dobry obiad. Przejdziemy się na plażę i odpoczniemy. Opowiem ci o sytuacji na Bliskim Wschodzie, o zadaniach

dla ciebie. Jutro je dokładnie omówimy. To co? Napijmy się za odnalezienie brata?!

Nalał wino do szklanek. Józef podniósł naczynie do ust.

* * *

– Rozumiem, że pojąłeś wszystkie zadania? To teraz bardzo ważne. Na Bliskim Wschodzie toczy się walka demokratycznych państw z imperializmem, do tego syjoniści wyzyskują i tłamszą w Izraelu robotnicze masy, wciskając im religijne bzdury – zaczął po śniadaniu Al-Naggar. – Musisz wybrać dla siebie pseudonim na tę operację. Tylko w żadnym języku, który znasz, i niezwiązany z krajem pobytu.

– Zun, wujku... Niech będzie Zun.

– A co to znaczy?

– Nie wiem. To jedyne, co pamiętam z dzieciństwa.

– Niech będzie. Później podpiszesz instrukcję wyjazdową i łączności już nowym pseudonimem. Od dzisiaj tylko jego używaj. O nim wiemy ja i nasz przełożony w Moskwie.

Pułkownik czuł, że opanował sytuację. Teraz chodziło tylko o przygotowanie Józefa do misji. Wstał i utkwiał wzrok w murowanym domu naprzeciwko, z niebieskimi rybami na białych kafelkach. Patrzył przez chwilę przez kwadratową szybkę werandy, odwrócił się i powiedział tonem nieznośnym sprzeciwu:

– Przejdźmy do omówienia sposobu przekazywania informacji i utrzymywania kontaktu ze mną, a co za tym idzie, z Centralą. Potem omówimy sprawy związane z obserwacją.

– Tak jest.

– Miesiąc po przyjeździe do Izraela w pierwszą sobotę pojedziesz do Jaffy. Tam udasz się o piętnastej do piekarni Abulafiya. Godzina zapasowa to dziewiętnasta. Zapasowy termin to następna niedziela. Jeśli jest bezpiecznie, trzymasz w dłoni „The Jerusalem Post”. Jasne na razie?

– Tak, jasne.

– Potem pójdziesz na spacer. Zaczyniesz od wieży zegarowej, później ruszysz w kierunku ogrodów. Wejdiesz do kościoła Świętego Piotra. Posiedzisz kilka minut w ławie. Następnie wybierzesz się do latarni morskiej, tam zatrzymasz się na chwilę. Później skierujesz się do portu. Tam na nabrzeżu znajdziesz wypiętrzenie z kilkoma polerami do cumowania

i kamiennymi schodami. Usiądziesz i zjesz coś kupionego w piekarni. Zaraz prześledzimy tę trasę na mapie.

Pułkownik wstał, podszedł do kuchenki i nalał z niewielkiego garnuszka do dwóch filiżanek aromatyczną brazylijską kawę red bourbon, która bulgotała na ogniu od kilku minut. Postawił filiżanki na stoliku na werandzie i usiadł. Rozłożył mapę Tel Awiwu i Jaffy. Józek podszedł i pochylił się nad stolikiem. Zaczęli ją studiować.

– Rozumiem, że nasz człowiek sam zdecyduje, czy i kiedy nawiązać ze mną kontakt.

– Tak. Ale to nie koniec. On w odpowiednim momencie podejdzie i poinformuje cię jedynie, gdzie i kiedy się z nim spotkasz. Potem dopiero przekaże ci szczegóły systemu bieżącej łączności. Poza tym twój kontakt przeprowadzi z tobą kilka szkoleń, które można zrobić tylko za granicą.

– To jeszcze nie wszystko?

– Nie. Jeszcze dużo przed tobą nauki. Dzisiaj i jutro co pewien czas będę cię odpytywał jak w szkole, na wyrwyki. – Uśmiechnął się. – Aha. Przed upływem miesiąca i nawiązaniem kontaktu z naszym człowiekiem nie podejmuj prób znalezienia brata. On ci pomoże. Tak będzie bezpiecznie. To rozkaz!

– Tak jest!

Pracy było więcej, niż Józef początkowo się spodziewał. Do tego stopnia, że nawet w czasie jedzenia w barze przy plaży *camarão à portuguesa*, czyli krewetek z czosnkiem, limonkami i kolendrą, cały czas Al-Naggar przypominał podopiecznemu zasady bezpieczeństwa, zasady tworzenia tras sprawdzeniowych, wskazywał, na co ma zwracać uwagę w trakcie ich pokonywania i jakie elementy topografii miasta wykorzystywać.

Pułkownik był wyjątkowo czuły na punkcie ekonomii pracy, zatem sporo czasu poświęcał na zagadnienia dotyczące gospodarki i spraw obronnych Izraela. Przypominał, jak Józef ma się zachować w razie zatrzymania. Podkreślał, że takie aresztowanie może być elementem sprawdzającym lub grą ze strony służb izraelskich. Do znudzenia powtarzali całą legendę wyjazdu, opartą na podróży studenta wydziału chemii lizbońskiej politechniki, który szuka brata.

Popijając domowe różowe wino pochodzące z niewielkiej winnicy właściciela, siedzieli w barze do sobotniego wieczoru.

– To było gdzieś tam. Tam go zamordowali. – Al-Naggar wskazał na przeciwległy brzeg rzeki.

W milczeniu patrzyli na mieniące się światełkami nadmorskiej miejscowości szklanki z winem. Al-Naggar uśmiechnął się do Józka.

– To co? Teraz do domu. Po drodze odpoczniemy i wracamy do szkolenia. Jutro po wschodzie słońca przejdziemy się kilka kilometrów plażą w kierunku Fonte da Telha. Tam powtórzymy strzelanie, walkę wręcz i nożem. Masz ubranie sportowe?

– Tak. Zabrałem wszystko. Czy będę miał do dyspozycji szyfrową łączność radiową w Izraelu? Tyle czasu poświęciłem na te cyferki, liczby, gamy i alfabet Morse’a.

– Ty nie, ale twój łącznik tak. To byłoby dla ciebie zbyt niebezpieczne. To mały kraj, łatwo pelengować teren. Jesteś dla nas zbyt cenny. System łączności bezosobowej przekaże ci nasz człowiek, który nawiąże z tobą kontakt w Jaffie. On też powie ci, gdzie jest zlokalizowany schowek ewakuacyjny w Izraelu. Znajdziesz w nim ubranie, dokumenty, broń, pieniądze i informację o trasie ucieczki. Ale to ostateczność. Pamiętaj.

– Kiedy mam ruszyć do Izraela? Jak tam dotrę? Samolotem?

– Otrzymasz informację w akademiku w liście. Mikrokropka będzie podklejona pod znaczkiem poczty lotniczej.

– A co mam powiedzieć Evelyn?

– Jej? Tylko prawdę, że jedziesz szukać brata. Ona to zrozumie. Aha, w niedzielę w czasie drogi na prom opowiem ci jeszcze o strukturze izraelskich służb bezpieczeństwa i o tym ich Instytucie.

– O czym?

– W niedzielę, Józek. W niedzielę.

Rozdział 10

Izrael – jesień 1962 roku

Józef przeglądał jeszcze raz materiały dotyczące sytuacji w Izraelu. *Zapowiedź nowej polityki gospodarczej, która miała polegać między innymi na dewaluacji izraelskiej waluty... Stała tendencja rosnąca... Podwyżki... Reformy, które mogą wywołać zamieszki społeczne, liczne protesty i demonstracje. Pierwsze zapowiedzi strajków w Hajfie...* – czytał szeptem.

W pewnym momencie zaczął cichnąć dźwięk silników cypryjskiego frachtowca, którym podróżował od wielu dni z Lizbony. Józef usłyszał kroki drugiego oficera wchodzącego do pomieszczenia socjalnego załogi w pierwszej ładowni. Marynarz poinformował go, że zaraz staną na redzie w Hajfie i musi się przygotować do zejścia ze statku, bo przez radio dostali komunikat, że mają pierwszeństwo w wejściu do portu. „Widać marokańskie boksyty i cyna młodemu państwu żydowskiemu bardzo potrzebne” – pomyślał Józef.

Wstał, oklepał nogawki swoich beżowych chinosów, poprawił ich wywinięcia na kostkach. Wsunął stopy do brązowych mokasynów. Wcisnął w spodnie kraciastą, czarno-szarą koszulę. Czarny sweter z filcową, małą czerwoną literą *E* i harringtonkę – lekką białą kurtkę do bioder, upchnął do marynarskiego worka. Mimo wczesnych godzin burty ładowni były już nagrzane. On sam wyglądał jak student wzorujący się na amerykańskim stylu *preppy*.

Po kilku minutach wybiegł z pomieszczenia z workiem marynarskim na plecach. Wyrzucił do morza porwane kawałki notatek. Przeszedł wzdłuż sterburty i po chwili znalazł się na mostku.

– Dzień dobry, kapitanie Kypraniou! – odezwał się zdyszany.

– *Geia sou, Josef* – odpowiedział wąsacz. – Nie masz się co spieszyć. Czekamy na tego tam. – Wskazał palcem na płynący z portu czarny holownik z wysokim kominem. Lepiej zejść pod pokład i idź na śniadanie, żeby pilot cię nie widział.

– Mogę trochę popatrzeć?

– A popatrz, młody, na tę twoją ziemię obiecaną. Ostatnio, jak tu byliśmy, to cała keja była pełna twoich pobratymców. Patrz, młody, patrz...

Józef pogrzebał w worku i wyjął mapę Hajfy. Poprawił włosy i zaczął obserwować na horyzoncie ląd i górę Karmel.

– Bierz lornetkę, będziesz lepiej widział.

Józef przesuwiał powoli lornetkę i przypominał sobie informacje przekazane na szkoleniu. Spoglądał na mapę, chcąc zlokalizować charakterystyczne punkty. Strefa przemysłowa rozciągała się na północ od portu wzdłuż nadmorskiego pasa wydm aż do Akki. Na wschód od tej strefy ciągnęła się dzielnica mieszkaniowa miasta. W wąwozach na górze Karmel były parki i sady. Centrum Hajfy rozciągało się na zachód i na południe do obszaru nazywanego wybrzeżem Karmel. Nagle na bliższym planie zobaczył trzy kecze – dwumasztowe żaglowce z wydętymi przez morską bryzę skośnymi żaglami. „Jakieś regaty?” – pomyślał.

– Cumujemy w porcie pomocniczym, przy ujściu rzeki Kiszon. O tam, przy silosach. – Kapitan wskazał palcem. – Podobno Żydzi budują tam stocznię remontową dla kutrów rybackich. Tylko pamiętaj, ja nic nie wiem. Na dworzec masz niedaleko. Powodzenia, młody, powodzenia. Zmiataj pod pokład. Już, już...

* * *

Jeszcze przed południem frachtowiec kapitana Kyprianou rzucił cumy przy nabrzeżu. Bosman nakazał opuścić trap z bakburty. Pierwszym ze schodzących był Józek. Wydawało mu się, że szybko zanurzy się w ponadstuszećdziesięciotysięczne miasto. Przebiegł przez dwa tory zagłębione w nabrzeżu. Minął czarną, krótką, spalinową lokomotywę manewrową, która ciągnąc za sobą wagony, szykowała się do rozładunku cypryjskiego statku. Skierował się do wskazanego przez kapitana trzypiętrowego budynku z okrągłymi narożnikami. Powiewała nad nim biało-niebieska flaga z gwiazdą Dawida. „Terminal pasażerski?” – pomyślał. Przyspieszył. Po kilku minutach znalazł się wewnątrz.

W myślach jeszcze raz powtórzył legendę. Al-Naggar przed wyjazdem tłumaczył mu, że jego studia związane z chemią nieorganiczną, a zwłaszcza zagadnienia związane z atomistyką, mogą zainteresować izraelskie służby. I na to liczył.

– *Duiung. Come in* – krzyknął stojący przed kontuarem policjant w granatowym mundurze.

– Ja? – zapytał po polsku Józek.

– Ty, *dajer*. Ty się nie pytaj, tylko zmiataj do nas – rozkazał policjant.
– To pan rozumie po polsku?!
– A co ty się tak pytasz? A po jakimu mam rozumieć. Paszport pokaż.
Izaak! Mamy studenta z *Lisbona*. Wakacje, student?

– Student chemii, proszę pana.
– To ja tu widzę, Lewi, ty nie masz dla mnie litości – powiedział wyglądający na zmęczonego mężczyzna w ciemnych spodniach i białej koszuli z wyłożonym na wierzch szarej marynarki kołnierzykiem.

Podszedł do kontuaru.

– Ja tu słyszę, że ty mądry człowiek jesteś. Po co tu przyjeżdżasz? Ty Żyd jesteś? – zapytał i zaczął przeglądać jego paszport.

– Ja Żyd? Może trochę Żyd.

– Jak to może trochę? To *tate* i *mame* ci nie powiedzieli? Słyszysz, Lewi, jakie to cuda na świecie się zdarzają.

– Ja sierota, proszę pana.

– SIEROTA? Hmm...

Nagle tajniak stał się jakby innym człowiekiem. Wypoczętym, nieznużonym ciężką służbą w porcie. Zniknął z jego twarzy grymas zaspanego urzędnika. Zaczął się przyglądać Józkowi. Potem znowu popatrzył w paszport. Zaczął go wertować.

– Ty jak ci tam? Józef, znaczy Josf. Ty mi gadaj, dlaczego ty nie masz pieczątki wyjazdowej z Lizbony? Ja tak sobie myślę, Lewi, że nasz Josf uciekł – zwrócił się do mundurowego, który uchylił granatową czapkę i przetarł czoło.

– Izaak! A po co on tu ma uciekać? Może on jaki wywrotowiec?

– Może? Ale wiesz, Lewi, ty jesteś jednak mądry żydowski policjant. To trzeba sprawdzić. Słyszysz, Josf?! Siadaj tu i czekaj! – Wskazał mu ławkę pod ścianą.

Józek nie rozumiał, o co chodzi. Czyżby tak szybko miał wejść w kontakt z ludźmi z izraelskich służb bezpieczeństwa?! Szybciej, niż to przewidział Al-Naggar? W pierwszym odruchu chciał wspomnieć o bracie. Ale milczał. „A jak mnie nie wpuszczą i każą wracać?! Co będzie? Nie odnajdę brata? A może im powiedzieć? Może to jakaś durna policja?” – rozważał. Spojrzał na okrągły zegar. Minęły już prawie dwie godziny.

– Josf! Chodź tutaj! Masz tu swój worek! – zawołał tajniak, kiwając paszportem. – Pojedziesz na dłuższą rozmowę. Chodź za mną.

– A pieczątki w paszporcie? Że przyjechałem do Izraela!

– Jaka pieczęć? Ty, Josf, student chemii i ty nie rozumiesz? Ciebie jeszcze tu nie ma. Rozumiesz? Chodź!

Wyszli przed budynek od strony miasta. Był jeszcze na terenie portu. Pod drzwiami stał biały borgward isabella. Jego urwana w połowie srebrna cienka listwa na poobcieranych drzwiach wskazywała, że samochód był nowy, ale przeszedł już niejedno. Dwóch mężczyzn niemal jednakowo ubranych opierało się o samochód. Na nosie mieli takie same wayfarery – modne czarne okulary przeciwsłoneczne. Jeden z nich skinął głową. Drugi otworzył porysowane drzwi. Józek wsiadł.

Po kilku zakrętach samochód dojechał do bramy portowej, przy której stały dwa zdobyczne radzieckie transportery BTR-152. Siedzieli w nich żołnierze w oliwkowozielonych hełmach z czarną obwódką. Ich dłonie spoczywały na spustach ciężkich karabinów maszynowych wycelowanych w kierunku miasta.

– Na Herzla – powiedział mężczyzna obok kierowcy, a Józka przeszedł dreszcz, kiedy usłyszał nazwę tej ulicy.

Borgward ruszył powoli w kierunku miasta. Jechali wśród szpaleru drzew i kilkupiętrowych domów. Na jednym z nich z dwoma podłużnymi oknami Józek zobaczył dużą gwiazdę Dawida. Ruch był niewielki. Przed nimi jechał przedwojenny czarny opel kapitan. Po chwili wyminęli się z biało-niebieskim autobusem wycieczkowym firmy Egged. „*Airconditioned*” – przeczytał w myślach czerwony napis nad linią okien autobusu.

Józek starał się patrzeć na każdą mijaną osobę. Choć wiedział, że było to zupełnie nieracjonalne. Przecież nie pamiętał, nie wiedział, jak Bernard może teraz wyglądać.

Kierowca milczał. Po pewnym czasie minęli tablicę z napisem *Halissa*. Samochód jechał pod górkę. Z lewej minęli stare zabudowania zlokalizowane poniżej drogi. Po prawej zauważył rząd pięciopiętrowych bloków, pomiędzy którymi rosły nieco wypalone przez słońce palmy. Zauważył, że obserwowane przez niego przez lornetkę wąwozy poza drzewami i smukłymi cyprysami kryją też nowoczesne budynki. W końcu dotarli na szczyt. Samochód się zatrzymał.

– Palisz? – zapytał po polsku kierowca.

– Nie.

– To nic, możesz wyjść i popatrzeć, jaki piękny jest nasz kraj. – Wyjął beżowo-czerwoną paczkę miejscowych papierosów.

Józek stanął przy niewielkim kamiennym murku. Faktycznie, widok na port i miasto zapierał dech w piersiach. Na horyzoncie majaczyły sylwetki statków czekających na redzie. Dwumasztowce powoli sunęły po wodzie.

– Jedziemy. Już niedaleko.

Po blisko dziesięciu minutach borgward zatrzymał się przed dużym białym dwupiętrowym domem z płaskim dachem, w sąsiedztwie znajdowały się inne, niemal identyczne. Niektóre kwadratowe niewielkie okna były zakryte okiennicami. Na dachu stał cylindryczny zbiornik na wodę. Było to nowe osiedle. Okolica wyglądała trochę półpustynnie, a cyprysy i drzewka oliwne dopiero zostały zasadzone.

Kierowca popchnął furtkę. Weszli po zewnętrznych, złamanych na półpiętrze schodach na balkon. „Wygląda jak mała forteca. Można się w niej długo bronić” – ocenił Józek.

Rozdział 11

Izrael – jesień 1962 roku

– Dobrze. To twoje studia i kierunki mamy za sobą – rzekł po polsku mężczyzna w średnim wieku, który siedział na kanciastej sofie, i kiwnął głową na młodszego.

– To teraz opowiedz nam o swoim dzieciństwie i tak jak wcześniej opisz nam wszystko na kartce. Nie spiesz się. Pisz, pisz, Józef. Dobrze ci idzie – pochwalił trzeci, który przyjechał po godzinie do willi na szczycie jakiegoś wzgórza nad Hajfą. Wyglądał na najstarszego i chyba najbardziej doświadczonego. Też mówił po polsku, z lekkim akcentem, którego Józef nie znał.

Józef początkowo był zaskoczony, ale potem zaczęło mu się to układać w całość. Al-Naggar dokładnie mu opisał, co po kolei będzie robił, o co będą pytać, w jakiej kolejności. Zastanawiał się nawet, skąd on to wszystko wiedział. Im więcej o tym myślał, tym czuł się pewniej. Długie szkolenia w Portugalii nie poszły na marne. Niemożliwe, żeby tak szybko mu uwierzyli. A może? W końcu to młode państwo, przyjmują każdego, kto tu ucieka. Każdy Żyd na świecie może tu się osiedlić. „Czy są tak dobrzy, czy tak słabi?” – zastanawiał się, opisując swoje doświadczenia z Afryki, wspominając sierżanta i jego żonę, chłopaków, *Casa do Gaiato* i szkołę średnią w Lizbonie, potem studia na politechnice. Zgodnie z rozkazem nie mógł nic wspomnieć o Wartanianie, Evelyn i Al-Naggarze.

Opisanie wszystkiego zajęło mu ponad dwie godziny, wreszcie oddał kartki. Wyprostował się na niewygodnym krześle z niskim oparciem. Starał się zapamiętać jak najwięcej szczegółów, kiedy tak obserwował mężczyzn studiujących teraz jego notatki. Wiedział, że będzie je musiał odtworzyć i opisać. Być może dostanie zdjęcia do rozpoznania. Powtarzał ich nazwiska: Tatarkowicz, Schulzklaper i Meisel.

– Posłuchaj, Józef. Jesteś inteligentnym młodym człowiekiem. Nie musimy ci chyba mówić, kim jesteście? Mieszkasz od wielu lat w Portugalii, więc na pewno spotkałeś się jako student z PIDE – zaczął Tatarkowicz i wbił w niego badawczy wzrok.

– Z policją? – zapytał naiwnie chłopak.

– A czy PIDE to policja? Co ty nam tu pieprzysz, chłopcze – dodał stojący przed nim Meisel.

– Ja się do polityki nie mieszam, proszę pana. Czerwoni to zakała nie tylko mojego kraju i uważam tak jak inni moi...

– A jaki jest ten twój kraj? – wtrącił najmłodszy Schulzklaper.

Zapanowała dziwna cisza, jakby wszyscy czekali właśnie na tę odpowiedź.

– Pochodzę z Polski, z żydowskiej rodziny, ale wychowywali mnie w Afryce wujek z ciotką. Bardzo ich kochałem, a oni mnie. Traktowałem ich jak rodziców. Potem z chłopakami takimi jak ja, z polskiego obozu, uczyłem się w Portugalii. Władze kościelne wystąpiły dla mnie o obywatelstwo tego kraju – wyrzucił z siebie na jednym oddechu. – Więc sami panowie mogą sobie odpowiedzieć, który jest mój kraj – dodał po chwili.

– A rzeknij nam, Józek, co się stało z twoimi kolegami? – zapytał nieco innym tonem Tatarkowicz.

– Różnie. Rozjechali się po świecie. Ja byłem mały, oni ode mnie starsi. Traktowali mnie jak smarkacza. Nie wiem, co się z nimi stało. Już nawet ich nazwisk i twarzy nie pamiętam. Wszystko mi się zaciera.

– A masz może kontakt z kimś z obozu w Afryce albo Egipcie? Chodzi mi o dorosłych, nie o twoich rówieśników – drążył Tatarkowicz.

– Nie. Nie mam. Nasza grupa pierwsza opuściła Tanganikę. Słyszałem tylko od starszych kolegów, że jeszcze kilka lat funkcjonował nasz obóz w Tenger.

– Dobrze. Napisałeś, że interesujesz się chemią nieorganiczną. Opowiedz nam o tym teraz. Potem zamówimy chyba coś do zjedzenia – zwrócił się do kolegów Tatarkowicz. – A jutro zaczniemy od rana, od nowa. Jeśli nasz gość się zgodzi? – dodał i uśmiechnął się do chłopaka.

– Hanser. Jak się już domyślasz, nie jesteśmy z jakiejś policji. Słyszałeś kiedyś o Instytucie Koordynacji?

– O czym?

– O wywiadzie izraelskim.

Józek popatrzył po kolei na wszystkich. Potem opuścił głowę, stuknął trzymanym w dłoni ołówkiem o blat stołu i powiedział jakby pewniejszym głosem:

– Czego ode mnie chcecie? Ja się do polityki... nie mieszam. Nie interesuje mnie to.

– Ale polityka zainteresowała się tobą, Hanser, i to poważnie – rzucił poirytowany Meisel. – Nie zauważyłeś tego, że siedzimy tu już kilka ładnych godzin. To ty może nie taki inteligentny i nie taki bystry, jak myśleliśmy?

– Dobra, panowie. Jedźmy na dół. W rejonie kasyna przy Bat Galim coś znajdziemy, coś dla naszego gościa. To co, Józek? Kuchnia polska, żydowska, portugalska, arabska? – Tatarłowicz uśmiechnął się i klepnął go lekko w plecy.

– Słyszałeś, o co kolega pyta? – wtrącił Meisel.

– Może być żydowska...

– Bardzo dobry wybór. Ale jeszcze o tym pogadamy. Mamy dużo czasu – rzekł Tatarłowicz.

* * *

– Słuchaj, Salomon – Schulzklaper zwrócił się do Meisela, kiedy Józek wyszedł. – Może by tak zapytać o chłopaka tego Mosze?

– Którego, kurwa, Mosze? Co ty pierdolisz?

– Jak to którego? Kleinera!

– No co ty? Szef nas wyśmiej, że w sprawie byle gówniarza zwracamy się do naszego guru. Poza tym on operuje ostatnimi czasy w Europie Środkowej, chyba w Szwajcarii czy Austrii, nie na Półwyspie Iberyjskim.

– Jak chcesz, ale ja bym... Wiesz, ta Afryka...

– Eeee tam! Grzebać się w jakiejś prehistorii? Jebał to pies. Chodź, bo zgłodniałem.

* * *

Prawie tydzień rozmów z trzema oficerami wywiadu izraelskiego był dla Józka bardzo męczący. Ostatniego dnia dopełnili z nim wszelkich formalności. Chłopak wypełniał deklaracje, zobowiązanie o współpracy, ponownie napisał życiorys. Nie kończyły się rozmowy o dzieciństwie, kolegach, planach na przyszłość, kobietach i polityce. Na koniec Józek przyjął pseudonim Miriam. Oficerowie izraelscy dziwili się dlaczego taki, ale Józek wytłumaczył im, że to na cześć swojego przybranego ojca, bardzo dzielnego polskiego żołnierza.

Miesiąc wstępnego szkolenia, tym razem na obrzeżach Tel Awiwu, Józek zaczął od spotkania z panią Szulą Wilf, która tłumaczyła zawilości

rozliczeń funduszu operacyjnego. Na co może wydać pieniądze, jak dokumentować, w jaki sposób będą mu przekazywane środki finansowe. Potem w obroty wziął go Szaweł Zayat. Józek na pustyni Negew uczył się strzelania, technik walki wręcz, poruszania po trudnym terenie. Godziny zajęć, wykładów z osobami, których nazwisk nawet nie poznał. Zayat – jego opiekun – każdego dnia rano przychodził i zapowiadał mu, co będzie robił.

W końcu do domu, w którym został umieszczony, przyjechał Tatarkowicz i razem z Zayatem oznajmili, że zakończył szkolenie wstępne i ma tydzień, żeby odpocząć oraz trochę poznać Izrael. To mu się przyda w dalszym, specjalistycznym szkoleniu z łączności.

Józek czekał na ten moment. Trochę się niepokoił, że o tydzień przesunęło się jego pierwsze spotkanie z łącznikiem. Teraz dopiero się przekonał, po co w systemie łączności ustalono zapasowe terminy spotkań. Ponieważ poznał trochę mentalność i sposoby działania Izraelczyków, żywił przekonanie, że ten tydzień wolnego w rzeczywistości będzie kolejnym czasem próby.

Nie mylił się. Kiedy jechał do Jaffy, do piekarni Abulafiya, już w biało-niebieskim autobusie Leyland wyłapał obserwację. Potem potwierdził to na uliczkach Jaffy i na plaży. Był spokojny. „Są, w końcu są. Przecież nie będą mnie pilnować cały dzień!” – rozmyślał, wystawiając twarz do porannego słońca. Miejsce to przypominało mu trochę jego ulubioną plażę w Estoril, na której poznał Evelyn. Przez kilka godzin na plaży Jaffy wspominał spędzone z nią chwile. „Evelyn, moja kochana i śliczna Evelyn. Czy będzie na mnie czekać...? Bernard, Bernard... – zastanawiał się. – Teraz Bernard. Muszę go znaleźć. Chyba już czas?” – pomyślał i spojrzął na cyferblat swojego omikrona. Wcisnął na stopy trampki, włożył amerykańskie spodnie i koszulkę polo. Ręcznik wepchnął do drelichowej wypłowiałej torby z demobilu. Przewiesił na niej kurtkę. Teraz pozostało mu kupić „The Jerusalem Post” i coś do zjedzenia.

* * *

Józek usiadł na ławce w kościele Świętego Piotra. Jak dotąd nie widział ani obserwacji, ani łącznika. „Czy on zdążył? Czy widział znak bezpieczeństwa? Może coś się stało?” – zastanawiał się, oglądając wnętrze neobarokowej świątyni franciszkańskiej. Wstał i wyszedł na zewnątrz. Ruszył w kierunku latarni morskiej i portu. W końcu, kiedy chciał wyjść z wąskiej

uliczki, i skierować się do widocznej grupy polerów na podwyższeniu, ktoś z tyłu podszedł i rzucił:

– Cześć, Józek!

Chłopak się odwrócił. Stał przed nim ubrany w jasną marynarkę typu safari blisko trzydziestoletni mężczyzna, który zsunął na czoło przeciwsłoneczne awiatory. Uśmiechał się do niego.

– Tarzan! – prawie krzyknął Józek.

* * *

– No, tylko ty mogłeś wymyślić spotkanie w kinie na *Ben Hurze* – powiedział Józek szeptem do siedzącego obok Michała Bartkiewicza.

Dzień wcześniej, w Jaffie, Tarzan szybko przekazał mu wiadomość o miejscu spotkania. Było to słynne kino *Esther* przy placu Dizengoff w Tel Awiwie. Specjalnie wybrał takie miejsce, które łatwo było odnaleźć.

– Sprawdziłeś przed spotkaniem, czy nie masz ogona? – zapytał Tarzan.

– Tak. Byli jeszcze, gdy kupowałem jakieś ciastka obok, w tym białym budynku. Potem usiadłem na placu przed fontanną, później pokręciłem się trochę po okolicy. Wtedy już ich nie widziałem. W serwetce po ciastkach, którą wyrzuciłem pod nogi na podłogę, jest mój raport operacyjny. Mam też informacje, ale jest tego sporo, więc może na następną sobotę je przygotuję.

– Dobra. Masz coś jeszcze?

– Tak, proszę. W Hajfie...

– Tak. Wiem, wiem... – przerwał mu. – Posłuchaj. W następną sobotę idź do tutejszego hotelu Sheraton. O piątej po południu nawiążesz ze mną kontakt wzrokowy na basenie w ogrodzie. Z pół godziny popływasz sobie, a ja posiedzę na leżaku. Potem idź do przebieralni, a następnie do Macca-bean Room. To taki egzotyczny lokal. Tam będę czekał. Wypij coś. Obserwuj mnie. Idź za mną na górę do pokoju. Ubierz się odpowiednio. Masz coś?

– Nie. Tylko sweter i tę harringtonkę. – Wskazał na kolana.

– Masz tu pieniądze. Kup coś odpowiedniego. Jak cię spytają, skąd to ubranie, to powiedz, że miałeś odłożone oszczędności. Tylko coś skromnego, pamiętaj! – Wsunął mu kopertę z pieniędzmi pod kurtkę leżącą na kolanach.

– Jasne.

– Bardzo się cieszę, że się widzimy. Będzie o czym pogadać! A teraz oglądaj mojego ulubionego aktora. Aha, teraz nazywam się Michael Bartkowicz. Prowadzę różne interesy z walutą, biżuterią, złotem. Zapamiętaj! Poznaliśmy się w okolicy, gdy pytałeś o kino.

* * *

Słowikowski od niedawna przebywał w Izraelu pod przykryciem pierwszego sekretarza Ambasady PRL w Tel Awiwie. Od swojego poprzednika przejął kilku cennych agentów. Pozyskiwane przez nich informacje i materiały były bardzo wysoko oceniane w Warszawie.

Wszyscy zostali zwerbowani nie tylko przez rezydenturę noszącą do niedawna kryptonim Żłobek, lecz także przez oficerów wywiadu z Centrali. Poza typowo wywiadowczymi zadaniami rezydentura polskiego wywiadu w Izraelu koordynowała działania zasilające fundusz operacyjny. W specjalnie zabezpieczonych pakietach, w poczcie dyplomatycznej szły do Polski tysiące dolarów i złoto. Z tych pieniędzy zasilano fundusze partii komunistycznych w Europie Zachodniej, a w kraju kupowano mieszkania dla MSW, a nawet wspomagano budowę obiektów socjalnych dla Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jego najcenniejszymi agentami w Izraelu byli: pracownik służby bezpieczeństwa Szin Bet, z którym niedawno wznowiono współpracę po wpadce siedzącego w więzieniu Samuela. Drugim był inspektor śledczy policji w Tel Awiwie. Z trzecim agentem o pseudonimie Sabra Słowikowski miał nawiązać kontakt w Maccabean Room.

Józek tym razem zamiast kurtki miał na sobie granatową marynarkę, a zamiast koszulki polo białą koszulę z wyłożonym kołnierzykiem. Żałował trochę, że nie kupił jakiegoś parasola, bo rano zaczęło mżyć. Po wyjściu z basenu w hotelu Sheraton miał jeszcze nieco mokre włosy. Zaczesał je do tyłu. Podeszedł do baru, przy którym siedział Tarzan. Poprosił o zimne piwo Abir. Barman szybko postawił przed nim niewielką butelkę z żółto-czerwoną naklejką.

– Uważaj. Jak odejdę, spójrz na tych dwóch facetów w ciemnych garniturach przy stoliku pod oknem, odwróconych do siebie plecami i popijających kawę – powiedział Tarzan, nie odwracając się do Józka, spoglądając jedynie w lustro nad barem. – Jak wyjdą, przyjdź do pokoju sto osiem. Będę na ciebie czekał. Opowiesz mi, co widziałeś.

Tarzan zapłacił za drinka, zsunął się z barowego stołka i skierował do lobby. W pewnym momencie jeden ze wskazanych przez Tarzana mężczyzn wstał. Za nim ruszył facet w jasnej sportowej marynarce i okularach przeciwsłonecznych. W przejściu wpadł na jakąś kobietę: „Przepraszam szanowną panią” – powiedział po polsku i podążył szybszym krokiem za mężczyzną w ciemnym garniturze.

W lobby dołączył do niego drugi. Józek był pewien, że to izraelska obserwacja. Po kilku minutach wstał drugi mężczyzna i wyszedł. Józek dokończył piwo i powoli skierował się do pokoju, w którym czekał na niego Tarzan.

– I co, jak wrażenia? – zaczął Tarzan.

Józek zrelacjonował ze szczegółami to, co zauważył.

– I nic więcej?

– Poza obserwacją? Nic!

– Pamiętasz, że tych dwóch miało ze sobą parasole.

– Tak. Też żałowałem, bo dzisiaj...

– Dobrze. Prawdopodobnie wymienili się tymi parasolami. Zapewne w jednym parasolu znajdowały się jakieś dokumenty. Zapamiętaj sobie, to było przekazanie materiałów bez kontaktu. Zrobili to bardzo dobrze. Miejscowi tego nie zauważyli.

– Skąd wiesz?

– Bo tamci już siedzieliby w areszcie. Tutejsi ogóle nie zauważyli tego drugiego. To był agent.

Józek chłonał wszystko, co mówił Tarzan, jak kiedyś podczas ucieczek na okoliczne wzgórza w masywie Kilimandżaro.

– Skąd wiesz, że to agent? Czyj?

– Wiem. A czyj, pytasz? Naszych sojuszników – Polaków. Znam go, robi ze mną różne interesy. Po wojnie w Warszawie i na terenie Mazur czy Warmii kombinował jakieś geszefty na pożydowskim mieniu, obrazach, meblach.

– A ten pierwszy?

– To oficer polskiego wywiadu z polskiej ambasady. Dobry jest. Gdybym nie znał tego numeru z parasolami, tobym się nie zorientował. Już to parę razy musieli robić. Widzisz, Józiu, Polacy mieli szczęście. Nie powinni tyle razy korzystać z tego samego rozwiązania przy przekazywaniu materiałów. Zapamiętaj to sobie. Taka nauka z tego płynie.

– Tarzan! Ale wychodzi na to, że ty z Polski, ja z Polski, ten oficer z Polski, ten agent z Polski, nawet ten z bezpieki z Polski! Co tutaj jest, kurwa, grane?! Co w tym Izraelu się odpiędała?!

– Co się dziwisz? To Izrael, Józek, Izrael! To my go budujemy! Chłopa-ki z Polski. – Uśmiechnął się i poklepał kolegę po plecach. – Teraz opo-wiem ci, czego się dowiedziałem o twoim bracie. A potem zaczniesz pisać meldunek informacyjny.

– Czegoś się dowiedziałeś?!

– Spokojnie, kolego. Spokojnie. Posłuchaj. Wieści nie są dobre... – Zawiesił głos i popatrzył na Józka, u którego opadły emocje. – Twój brat Bernard, żołnierz Drugiego Pułku Strzelców Podhalańskich w Sanoku, nie żyje...

– Nie! Powiedz, że to nieprawda. Przecież wujek... – Ugryzł się w język. – Przecież widziałem kartkę z Czerwonego Krzyża.

– Józek, kurwa! Sprawdziłem to przez miejscowych Żydów z Podkar-pacia. Twój brat dotarł do narzeczonej w Tarnowie. Ukrywali się trzy lata poza gettem. Z jakichś powodów był poszukiwany przez gestapo. Potem został aresztowany i zamordowany w tysiąc dziewięćset czterdziestym trze-cim roku razem z tą narzeczoną. Wydali go Polacy, sąsiedzi. Rozumiesz, Polacy!

– A pocztówka, ta kartka z Bukaresztu?

– Wiesz. Bernard miał różne kontakty z okresu służby wojskowej. Pewnie z kimś z wywiadu. Jednostka w Sanoku była specjalna. Być może umyślnie wysłał przez kogoś taką pocztówkę, chcąc zmylić Niemców.

– Bernard, mój Bernard – powtarzał Józek. Zamilkł i spuścił głowę. Nie chciał, żeby jego kolega zobaczył łzy w oczach. Tarzan czekał, aż doj-dzie do siebie. Patrzył na błękitne morze.

– Taki nasz los. Moja cała rodzina z Szustra na warszawskim Mokoto-wie też zginęła. Jeszcze we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Nikt nie został...

Siedzieli w głębokich fotelach, patrząc tępo na stolik.

* * *

W restauracji Shtsupak przy Ben Yehuda we wczesne sobotnie popołudnie nie było tłoku. Przy kilku stolikach siedzieli gestykulujący mężczyźni i kilka ładnych kobiet. Byli zajęci sobą. Józek od kwadransa pochylał się

nad pachnącym posiłkiem. Choć do Nowego Roku zostało jeszcze kilka dni, postanowił zamówić *gefilte fisz* – kulki z siekanej ryby podawane na słodko z przyprawami i cebulą, rodzynkami oraz migdałami. Miał dzisiaj wolny dzień. Kończył szkolenie w izraelskim wywiadzie.

– Przepraszam, czy my się przypadkiem nie znamy? – podszedł do niego Tarzan i się uśmiechnął.

W rękę ścisnął „The Jerusalem Post”.

– A to pan, panie Michaelu. Znowu się widzimy. – Wstał, co oznaczało, że jest bezpiecznie. – Proszę usiąść – zaproponował.

– Może na chwilę, bo się spieszę. Pan wie, interesy nie lubią czekać.

Po kilkuminutowej rozmowie o pogodzie, miejscowej kuchni, planach na niedzielę mężczyźni przeszli do spraw zasadniczych.

– Kiedy cię przerzucą? Jakie otrzymasz zadania? – spytał Tarzan.

– Przerzut do Ameryki Południowej odbędzie zaraz po Nowym Roku. Chyba po tym sukcesie z Eichmannem nie wszystko poszło tak dobrze, jak ogłosili światu. Mieli na wyciągnięcie ręki Mengelego, dlatego siatka szefa została w Argentynie, Brazylii i Paragwaju. Chcą rozpracować nazistów. Również tych miejscowych. Mam im pomóc, bo doskonale znam portugalski. Drugie zadanie związane jest z moją specjalizacją z chemii przemysłowej. Ale mają jeszcze określić, co konkretnie mam robić.

– Ciekawe. Masz to zapisane?

– Nie. Musisz zapamiętać. Co do przebiegu szkolenia z łączności i obserwacji, to wszystko podam po powrocie do Portugalii.

– Rozumiem.

– Przekaż naszym, żeby przygotowali mi kontakt w Buenos Aires i Rio de Janeiro. Sprawa pilna. Muszę to wiedzieć w Lizbonie jeszcze przed wyjazdem.

– Jasne, to oczywiste. To powodzenia, Zun. Biegnę, bo mam kolejny geszeft... z agentem sojuszników.

– Serwus, Tarzan – odpowiedział cicho Józek.

– Do zobaczenia, może znowu w kinie na jakiejś nowości.

Rozdział 12

Portugalia – styczeń 1963 roku

Samolot z Paryża powoli zaczął schodzić do lądowania na lotnisku w Lizbonie. Podróż z Izraela przez Francję do Portugalii kończyła jego pierwszą operację specjalną. Rezultaty były lepsze, niż zakładała to Centrala I Zarządu Głównego KGB.

Poza zwerbowaniem przez Mosad, w czasie rozmów z oficerami wywiadu izraelskiego zgromadził informacje o tamtejszych służbach oraz siłach zbrojnych. Wszelkie dane dotyczące obronności Izraela mogły odegrać olbrzymią rolę w kolejnym konflikcie, do którego mogło dojść w najbliższych latach.

Józef dotarł do danych, które wskazywały, że Izrael przygotowuje gruntowną reorganizację Sił Obronnych. Siły uderzeniowe miały być oparte na korpusie pancerno-zmechanizowanym, spadochroniarzach, elitarnych brygadach piechoty i artylerii polowej. Planowana przebudowa uzbrojenia miała się opierać na negocjowanej z USA umowie o sprzedaży najnowocześniejszych rodzajów broni. Zakładano rychłą zmianę systemu szkolenia żołnierzy oraz systemów dowodzenia. Spodziewano się, że rok 1963 będzie przełomowy w relacjach z Francją i Niemcami. Na ukończeniu były ustalenia z francuskim koncernem Dassault w sprawie kontraktu na stworzenie systemu pocisków balistycznych ziemia–ziemia. Niemieccy negocjatorzy informowali o spodziewanych decyzjach Bonn dotyczących przekazania około sześćdziesięciu milionów dolarów na prowadzenie dalszych badań nad energią atomową i bronią raketową.

Centrala moskiewska zainteresowana była również tworzeniem przez Izrael Narodowego Systemu Wodnego, który miał dostarczyć wodę z Jeziora Tyberiadzkiego i rzeki Jordan na położoną na południu pustynię Negew. Moskwa zakładała, że poprzez umiejętne wykorzystanie tych informacji w relacjach z krajami arabskimi doprowadzi do zaostrzenia konfliktu bliskowschodniego.

Kiedy samolot wylądował w Lizbonie, Józef poczuł ulgę. Uśmiechnął się na wspomnienie słów Al-Naggara, wychowawcy i oficera prowadzącego, który omawiając sprawy związane z bezpieczeństwem, stwierdził, że

operacja wywiadowcza zaczyna się, jak wystartujesz, i kończy, gdy bezpiecznie wylądujesz.

Caravelle podkołowała do terminala zakończonego dwupiętrową wieżą, na której widniał napis *Attitude 110 m*, zwieńczoną wielką kulą i antenami. Józef zszedł po otwieranych z tyłu schodach i skierował się do przeszklonego wyjścia. Na tarasie widokowym wśród osób witających podróżnych wypatrzył Al-Naggara.

Wiedział jednak, że do czasu spotkania z nim będzie musiał jeszcze zrealizować ponadgodzinną trasę sprawdzeniową. Dość szczególną, bo z ruchomą kontrobservacją jego opiekuna. Zakładała ona, że po blisko dwudziestu kilometrach jazdy, czyli jakiejś półgodzinie, miał poprosić kierowcę taksówki o zatrzymanie się w dowolnej przydrożnej kawiarni. Nie wiedział tylko, gdzie ma dojść do spotkania.

Trochę obawiał się kontroli granicznej, ale przed wyjazdem z Izraela Meisel zapewnił go, że portugalskie pieczęcie wyjazdowe są bezbłędnie podrobione.

Wchodząc do hali przylotów w tłumie innych pasażerów, zauważył kątem oka, że zrównał się z nim Al-Naggara i pod osłoną szarego prochowca trzymanego na przedramieniu wsunął mu do kieszeni pudełko zapalek. Później, jak nagle się pojawił, tak nagle zniknął. Józef wszedł do toalety. Tam sprawdził zawartość paczki. Po kilku minutach wszedł do taksówki, czarnego mercedesa.

– *Hotel Turismo da Ericeira por favor* – rzucił do kierowcy zaraz po zatrzaśnięciu drzwi.

Lizbona przywitała go dziesięcioma stopniami i mżawką oraz porywistym, zimnym wiatrem znad północnego Atlantyku. „Co za wstrętna pogoda. Jak co roku o tej porze” – pomyślał z irytacją.

* * *

Hotel, w którym miał się spotkać z Al-Naggarem, stał na kilkunastometrowej skarpie nad samym oceanem. Zauważył go z daleka, bo neon na spadzistym dachu wyróżniał się wśród otaczającej zieleni.

Wąską alejką ograniczoną z jednej strony murem oporowym, a z drugiej gęstwiną krzaków, dotarł pod wejście. Do jego uszu dobiegł dźwięk rozbijających się o brzeg fal, w nozdrzach poczuł słoną wilgoć.

Józef zabrał z taksówki marynarski worek wypełniony paroma rzeczami, które kupił w Izraelu. Wśród nich były prezenty dla Al-Naggara i Evelyn.

Hotel sprawiał wrażenie pustego. Józek nie zauważył bowiem nikogo poza znużonym recepcjonistą i jakąś rozmawiającą parą. Zgodnie z instrukcją otrzymaną na lotnisku skierował się do pokoju numer sześć. Nacisnął kłamkę. Wszedł do niewielkiego pomieszczenia. Al-Naggar siedział w zacienionym rogu w miękkim, głębokim fotelu. Nogi opierał o łóżko. Widząc Józka, uśmiechnął się, wstał i zwolnił sznurkiem zasłonkę zakończoną lambrekinem. Podszedł do chłopaka i uścisnął mu dłoń.

– Cieszę się, że cię widzę, synu. Naprawdę się cieszę.

– Ja też, wujku.

Padli sobie w ramiona.

* * *

– Wiem, że zdobyłeś bardzo ciekawe informacje. Wstępnie dobrze je ocenili w Centrali. Czekają jeszcze na szczegółowy materiał, który przywiozłeś – powiedział Al-Naggar, gdy przy stoliku kończyli makaron z krewetkami w sosie limonkowym.

– Wujku, już kończę. Zaraz zabierzemy się do spraw najważniejszych.

– Uśmiechnął się. – Tych operacyjnych.

– Nie spiesz się. Mamy czas.

Po skończonym posiłku Józek ułożył na wózku z room service’u talerze, sztucce, koszyk na pieczywo i kieliszki po białym winie. W tym czasie Al-Naggar wyjął z wysłużonej brązowej skórzanej torby lekarskiej grubą kopertę, a z niej okazały plik zdjęć. Zaczął je rozkładać.

– Włącz górne światło i siadaj. Pokaż tych, których spotkałeś w Izraelu.

Józek usiadł na miękkim krześle, przysunął się i zaczął dokładnie oglądać fotografie. Po kwadransie zakończył przegląd i odłożył kilka zdjęć na bok.

– To tylko pięciu z tego pakietu i jeszcze ten na końcu. Ale nie jestem pewien. Chyba go spotkałem, to znaczy widziałem podczas szkolenia, ale nie rozmawiałem z nim. Zresztą nie jestem pewien.

– Hmm, to popatrzmy, co my tu mamy.

Al-Naggar wziął fotografie i zaczął pokazywać je Józkowi.

– Ten?
– Tatarkowicz!
– Kapitan Salomon Tatarko. Były oficer Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Potem Departament I MSW. Emigracja do Izraela. Wstąpił do Mosadu w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku – przeczytał zapiski na odwrocie fotografii.
– Ten?
– Schultzklaper.
– Podporucznik Henryk Szulklaper. Kierownik sekcji emigracyjnej polskiego wywiadu. Ten chuj w końcu sam wyemigrował do Izraela. – Uśmiechnął się, czytając zapiski.
– Ten?
– Meisel.
– Kapitan Jan Majzel. Rezydent polskiego wywiadu w Bernie. Wiosną czterdziestego dziewiątego poinformował Centralę w Warszawie, że nie wraca i wyjeżdża do Izraela. Dezerter.
– Ten?
– Szaweł Zayat.
– Paweł Bok. Wykładowca w szkole wywiadu. Emigracja do Izraela.
– O, kobieta w końcu! Co to za ruda Ryfka?
– To Szula Wilf.
– Chorąży Stefania Wilf. Księgowa. Zajmowała się w Centrali wywiadu funduszem operacyjnym. Też emigracja do Izraela.
– A ten ostatni, którego nie jestem pewien, to kto? Zobaczmy.
– Aaaa. Proszę. To już trochę z naszego podwórka. Nie tylko sojusznicy są dziurawi. Dawid Guterman. W latach tysiąc dziewięćset trzydzieści cztery – trzydzieści pięć szkoła Międzynarodówki w Moskwie. Więzienie. Wstąpił po wybuchu wojny do Pierwszej Armii Wojska Polskiego. Kurs oficerski w Riazaniu. Od tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego w polskim wywiadzie. Dyrektor polskiego Centromoru. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym pojechał służbowo do Izraela. Odmówił powrotu do Polski. Świetna robota, Józek. Świetna. Teraz widzisz, jak ci nasi polscy sojusznicy przeciekają? Jak stary durszlak! Jak może iść nasza robota, gdy każdy z nich – wskazał palcem – wywiózł do Izraela wiedzę, a niektórzy i agenturę. A i tak to nie wszyscy! Coś musimy w najbliższych latach zrobić z tymi *jewriemami* w naszych szeregach! – powiedział podniesionym głosem pułkownik KGB.

– Co teraz?

– Bierzesz się do opisanego przebiegu szkolenia w Izraelu. Osobno opisz zadania otrzymane od Mosadu i kontakt z Tarzanem. Jutro i pojutrze to dokładnie omówimy.

– To ty wiedziałaś, że on tam jest?

– A jak myślisz? – Zawiesił głos. – Przykro mi z powodu twojego brata. Pomyłki się zdarzają – dodał po chwili. – Rano jestem u ciebie. Wszystko masz tu opłacone. Ja muszę jechać i przekazać, aby pilnie twoje materiały wysłali do Moskwy. Aha, i żebyś się nie ważyła kontaktować do mojego powrotu z Evelyn. Odpocznij po wrażeniach ostatnich miesięcy.

– Ale...

– Żadne ale. Nie martw się, coś wymyślimy. – Uśmiechnął się i wyszedł z pokoju.

Józek rzucił się na łóżko. Z worka wyciągnął prezent dla Al-Naggara, o którym zupełnie zapomniał – niewielki humidor z arabską inkrustacją i arabskimi napisami, wykonany z drzewa wiązowego. „Jutro mu dam. A jemeński srebrny pierścionek z oczkiem z czerwonego koralu poczeka jeszcze kilka dni na moją ukochaną Evelyn”.

Rozdział 13

Paryż – zima 1963 roku

Z każdej strony otaczał ich miejski chaos. Paryż pulsował dźwiękiem klaksonów kolorowych samochodów, które przetaczały się Polami Elizejskimi. Nad nimi unosił się kurz wymieszany z płatkami świeżego śniegu. Powietrze było suche, a promienie mocno świecącego słońca przypominały o nadchodzącej wiosnie.

Evelyn i Józef siedzieli za szklaną ścianą cukierni przy samym chodniku, a obok nich przesuwał się tłum modnie ubranych paryżanek. Na niewielkim metalowym stolczku stały dwie kawy i woda. Evelyn co jakiś czas sięgała delikatną dłonią po chrupiącego croissanta. Maczała go w kawie i wkładała do ust.

– Evelyn, nie bój się. Do Rio de Janeiro latają z Paryża samoloty i dotychczas nic się nie stało. Nie będziemy się przecież tydzień albo dwa tłuc jakimś śmierdzącym statkiem. Teraz? Wiesz przecież, jakie zimą są sztormy! – tłumaczył Józef narzeczonej.

– Na pewno nic się nie stanie? – Spojrzała na niego niepewnie wielkimi piwnymi oczami.

– Uwielbiam, jak tak na mnie patrzysz. Jesteś taka... taka, wiesz... – Ujął jej dłoń, pocałował i przytulił do swojej gładko ogolonej twarzy.

Od godziny siedzieli przy jasnozielonym budynku kawiarni Ladurée na rogu Rue Lincoln. Mieli szczęście. Pogoda się poprawiła, słońce wyszło po kilku dniach dżdżystej aury, którą przywiało znad Wysp Brytyjskich.

– Jak tam będzie, powiedz mi, kochanie. W tej Brazylii. Jak będziemy żyć?

– Jak to jak? Ty otworzysz prywatną praktykę lekarską albo pójdiesz do pracy do szpitala, a ja zatrudnię się w jakiejś firmie. Może zajmę się handlem kamieniami szlachetnymi. Wiesz, szmaragdy, diamenty, rubiny... Przy tym zawsze jest kasa. Na pewno potrzebują chemika. A jak nie, to może w jakichś zakładach chemicznych. Jakoś sobie poradzimy. – Mocniej ją przytulił. – Za chwilę mam spotkanie biznesowe, być może po nim będę wiedział coś więcej.

– Ładny ten Paryż. Przejdę się w tym czasie po sklepach. Jestem taka szczęśliwa, że tu razem jesteśmy. – Objęła Józka i mocno przytuliła.

Jej policzek dotknął jego gęstych, ułożonych i pokrytych brylantyną włosów. Poczowała intensywny aromat męskich perfum Yves Saint Laurent, które kupiła mu dzień wcześniej w jednym z paryskich domów towarowych. Wybrała zapach, w którym wyraźnie pobrzmiewała nuta orientального kardamonu oraz słodycz bergamotki i lawendy. Podświadomie przypominały jej rodzinny Egipt.

– Świetnie, Evelyn, ale puść mnie, bo tracę oddech!

– Ale wiesz? Tu jest pięknie, majętni ludzie, czyste i nowoczesne samochody. Ale tak myślę, że nie to mnie cieszy, to bogactwo wokół nas. Nie to jest najważniejsze.

– Tak? A co?

– Że w końcu możemy być razem, że nikt nas nie zna, że możemy robić, co tylko zapagniemy.

– Tak...

– Kochanie, my jesteśmy najważniejsi, nasza miłość, nasze życie – dodała.

– Oczywiście. – Józef był już jednak myślami na spotkaniu, które go czekało. Do końca nie wiedział, kogo zobaczy i co go czeka. Przypuszczał tylko, że zostanie włączony w niezwykle ważne zadanie realizowane przez izraelski wywiad. O tym go uprzedzono. Atutami miały być jego świeżość, otwarty umysł i doskonała znajomość portugalskiego.

– Spotkamy się w naszym hoteliku na Montmartrze pewnie dopiero wieczorem. – Evelyn podniosła się i pocałowała Józka w usta.

Józek popatrzył na jej zgrabne nogi w długich winylowych botkach na płaskich obcasach. Potem na opinającą falujące biodra dżersejową niebieską sukienkę mini z krótkimi rękawkami. Całości wyglądu typowej paryżanki dopełniały gładkie włosy z wywiniętymi na zewnątrz końcówkami i pełną grzywką. Fryzurę podkreślała gruba biała opaska na środku głowy. Dochodząc do drzwi kawiarni, włożyła pudełkowy płaszcz w czarno-białe poprzeczne pasy. Odwróciła się i z uśmiechem na ustach zamrugła do Józka wielkimi oczami, których rzęsy skleił tusz. Gdy odeszła, on zapłacił rachunek.

Przed zaplanowanym spotkaniem postanowił zrealizować jeszcze krótką, improwizowaną trasę sprawdzeniową. Zastanawiał się, po co właściwie ma to robić, bo ani Izraelczycy, ani przełożeni w KGB tego nie wymagali. „Kto miałby mnie obserwować? Służby francuskie, egipskie, bojownicy palestyńscy?” – zastanawiał się.

Jednak doszedł do przekonania, że chce to zrobić dla bezpieczeństwa własnego oraz Evelyn. Uświadomił sobie, że musi kontrolować informacje, które będzie przekazywać obydwu stronom, być ostrożny i unikać zagrożenia.

Wyszedł z kawiarni i skręcił w prawo. Szedł równomiernym tempem, zatrzymując się co chwila przed oświetlonymi witrynami butików, w których klienci prowadzili dyskusje z gestykującymi sprzedawczyniami. Przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do dużego domu towarowego. Wnętrze przypominało mu nieco salon do gier, z głośną muzyką i młodymi sprzedawcami. Liczył na to, że wmiesza się w tłum i postara się wyłapać ewentualną obserwację, a potem w martwym polu zmieni nieco swój wygląd zewnętrzny. Przyspieszył tempo marszu. Postanowił w jednej z kabin przymierzalni zdjąć krótki czarny płaszcz, a tweedowy kaszkiet wcisnąć głęboko do kieszeni. „Nie ma szans, aby ktokolwiek obstawił wszystkie wyjścia z domu towarowego. Jest ich kilka”.

Po czterdziestu minutach marszu przez liczne sklepy i delikatnej zmianie wyglądu wyszedł schodami ewakuacyjnymi na Rue de Ponthieu. Szedł przez kilka minut, obserwując przed sobą równoległy chodnik. Bacznie przyglądał się jadącym w obie strony samochodom. Tylko raz odważył się i obejrzał za siebie, przecinając boczną uliczkę. Nic podejrzanego nie zauważył. Za rogiem kamienicy ponownie włożył płaszcz na obcisłą zieloną marynarkę bez kołnierza i wcisnął na głowę kaszkiet. Przyspieszył.

Kwadrans później stał przed okazałą piętrową kamienicą ulokowaną przy Avenue du Président-Wilson, blisko tak zwanego złotego trójkąta łączącego aleje: Champs-Élysées, George V i Montaigne. Dochodząc do wskazanego adresu, poczuł na sobie spojrzenia mężczyzn siedzących w dwóch oddalonych nieco od siebie peugeotach 403 – niebieskim i czarnym. Było za późno, aby zmienić trasę. Wyglądałoby to na ucieczkę. Wszedł do kamienicy. Wbiegł po schodach na czwarte piętro i zapukał w białe drzwi trzy razy. Potem odczekał chwilę i zapukał cztery razy według ustalonego kodu. Po chwili usłyszał jakiś ruch w środku. Przez moment ktoś go obserwował przez wizjer. Drzwi się uchyliły.

– Pan do kogo?

– Ja tylko przyniosłem list do pana Xaviera – odpowiedział Józef ustalonym hasłem.

– Pan Xavier będzie za pół godziny. Proszę na niego poczekać. – W tym momencie drzwi się uchyliły szerzej.

Za nimi stał mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna o ogorzałej twarzy, z obciętymi krótko czarnymi włosami. Miał na sobie czarny golf. Bez słowa poprowadził go długim korytarzem do sporego salonu, w którym przy wielkim stole zastawionym różnymi potrawami, kilkoma butelkami wina i rozrzuconymi licznymi notatkami oraz mapami siedziało już pięciu mężczyzn. Józef zauważył, że jego przewodnik miał wciśnięty za pasek pistolet.

Józef zdjął płaszcz i zostawił go na wieszaku za drzwiami. Wszedł do środka. Spojrzał przez wysokie okno z drzwiami balkonowymi. Za nim rozciągała się piękna panorama miasta. Miał przed sobą zimowy, słoneczny Paryż z wieżą Eiffla. Jakby to nie było okno, ale perfekcyjnie wykonane kolorowe zdjęcie. Był oszołomiony tym widokiem.

– Zapraszam, młody człowieku, siadaj z nami. – Od stolika odszedł niski, uśmiechnięty łysiejący pięćdziesięciolatek o wysokim czole, który miał na sobie czarne spodnie od garnituru i białą koszulę z zapinanym na guziczki kołnierzem.

Ruchem ręki zaprosił go bliżej, następnie przytulił do siebie i ucałował w obydwie policzki.

– Panowie, oto nasz nowy kolega Miriam. Wejdzie w skład naszej grupy – przedstawił go Isser Harel.

Zaskoczony Józef oderwał wzrok od bajecznego widoku za dzielonym na cztery oknem balkonu. Po gonitwie myśli rozpoznał w mężczyźnie szefa Mosadu. Jego zdjęcie pokazał mu Al-Naggar na drugim spotkaniu po powrocie z Izraela. Dodał też, że jest niezwykle niebezpieczny dla Związku Radzieckiego. Jego ludzie zdobyli w 1956 roku, jeszcze przed Amerykanami i Brytyjczykami, tajne wystąpienie Chruszczowa z posiedzenia plenum KPZR, w trakcie którego opisał on przypadki kultu jednostki i zbrodnicze działania Stalina. Opublikowanie tego dokumentu, jak mu tłumaczył Al-Naggar, było poważnym ciosem dla międzynarodowego ruchu komunistycznego na świecie.

– Oto Ariel – przedstawił ochroniarza, który wprowadził go do pokoju.

– To Mosze Kleiner, ekspert od operacji specjalnych, obok Zvi Aharoni, szef naszej grupy – wskazał na czterdziestolatka, który na nosie miał grube rogowe okulary i ani na chwilę nie oderwał wzroku od jakiegoś dokumentu, który studiował.

– Gideon Hausner. – Józef rozpoznał w nim prokuratora generalnego Izraela, głównego oskarżyciela w sprawie niemieckiego zbrodniarza Adolfa

Eichmanna. Jego zdjęcie publikowały gazety na całym świecie.

– Dalej siedzi Peter Zvi Malkin.

Ariel na chwilę wyszedł do kuchni, z której docierały intensywne zapachy potraw. Wrócił. Ustawił na stole nowy kieliszek z grubego szkła i nalał do niego wina. Następnie przyniósł na drewnianej tacy dużą patelnię z jeszcze parującą szakszuka.

– Siadaj. Częstuj się, Miriam. Tylko człowiek najedzony może dobrze myśleć, a my mamy dzisiaj do rozstrzygnięcia kilka trudnych kwestii. No i wspólne biesiadowanie zbliża, jak w rodzinie, bo w zasadzie nią jesteśmy – powiedział Kleiner.

Józef zdjął powoli marynarkę i powiesił ją na krześle. Usiadł i włożył kawałek bagietki do ust. Tego człowieka Józef nie rozpoznał. Nie widział go na żadnym zdjęciu, które pokazywał mu rezydent KGB w Kairze odpowiedzialny za Operację Retea. Józef nałożył sobie na talerz smażone, posiekane pomidory posypane ostrymi przyprawami i szczypiorkiem, oraz mocno ścięte jajko na środku.

– Potrzebujemy twojego świeżego umysłu i młodzieńczego wigoru – odezwał się Aharoni i odłożył na bok kilka kartek zapisanych w języku hebrajskim.

Józef nie znał tego języka, dlatego wszyscy rozmawiali po angielsku. Jednak uczestnicy spotkania co jakiś czas wymieniali się krótkimi spostrzeżeniami w języku państwa Izrael.

– Zastanawiasz się pewnie, o co nam chodzi, młody człowieku. – Harel przygładził swoje kruczoczarne resztki włosów.

– Słyszałeś o Mengelem? – zapytał Malkin.

– Tak. Czytałem w gazetach. Zbrodniarz wojenny. Zdaje się, że to lekarz z obozu w Auschwitz. Piszą, że to następny, który stanie przed sądem po Eichmannie. Podobno ukrywa się w Ameryce Południowej.

– Zgadza się. Tylko nie podobno, ale na pewno. – Malkin świdrował go swoimi ciemnymi oczami. – W zasadzie jest na wyciągnięcie ręki. I mamy ostatnią szansę, aby go złapać.

– Ostatnią? Może się wymknąć? Ukryć? Gdzie?

– To też... hm... – tym razem odpowiedział szef Mosadu i nalał czerwonego wina do wszystkich kieliszków. – Mogą się zmienić nasze priorytety... – Przerwał w pół zdania.

– Ale to nie będzie dotyczyło ciebie, młody człowieku. Masz za nim podążać jak ogar. To taka polska rasa psów myśliwskich, prawda? – dodał

Kleiner i uśmiech pojawił się na jego twarzy.

– Ale tylko podążać, do czasu gdy padnie rozkaz, co z nim zrobić. Zlikwidować czy przywieźć do kraju – doprecyzował prokurator Hausner.

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku do naszego MSZ-etu dotarła informacja, że w Argentynie mieszka jeden z najważniejszych realizatorów niemieckiego planu eksterminacji Żydów – Adolf Eichmann. Premier Ben Gurion podjął decyzję o schwytaniu zbrodniarza. Skutkiem tego przewieziono go do Izraela, postawiono przed sądem i skazano na śmierć. Już wtedy jednak udało nam się namierzyć Mengelego – tłumaczył Harel. – Porwanie Eichmanna było wprawdzie głównym zadaniem naszej wyprawy, jednak miała ona jeszcze jeden ukryty cel: uprowadzić Anioła Śmierci z Auschwitz.

– Wiedzieliśmy, że Mengele zamieszkał w Argentynie. Niespecjalnie się ukrywał. Używał nawet własnego nazwiska – wtrącił Kleiner. – Żona, Martha, figurowała pod swoim nazwiskiem w książce telefonicznej. Ustaliśmy firmę, której był współwłaścicielem.

– Tak. Podjąłem decyzję, aby za jednym zamachem porwać obydwu zbrodniarzy. Wtedy, w maju tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku moi ludzie wciągnęli do samochodu idącego ulicą Eichmanna, zakneblowali go i przewieźli do przygotowanej wcześniej kryjówki – rzekł Harel.

– Pytałem go, gdzie mieszka Mengele. Najpierw odmawiał odpowiedzi, ale potem zdradził, że Mengele czasami pojawia się w domu noclegowym w Buenos Aires – odezwał się ponownie Malkin.

– Zarządziłem ścisłą obserwację willi. Do czasu, aż jeden z młodych, który siedział w punkcie, zapytał któregoś razu o Mengelego listonosza. Wyobrażasz sobie, Miriam? Tak po prostu! – Harel się zaśmiał. – Młody pokazał mu zdjęcie i dowiedzieliśmy się, że podobnie wyglądający mężczyzna wyprowadził się jakiś czas temu. A wszystkie przesyłki do niego były zwracane do nadawców. Nie zostawił adresu – ciągnął szef służby.

– Szefie, wtedy wydawało się, że cała operacja zakończy się fiaskiem. Że wszystko na marne, że wszystko psu w dupę. Pamięta pan? – zwrócił się do szefa Mosadu Kleiner.

– Tak, Mosze, tak było. Jak ja lubię te twoje polskie powiedzonka. Ty musisz mi je kiedyś wszystkie spisać... A wracając do sprawy. Wiedzieliśmy, że w Buenos Aires działa niewielki zakład stolarski należący do doktora, w którym produkuje się części do maszyn. Wiedzieliśmy, że Mengele posługiwał się wtedy nazwiskiem Gregor. Wysłaliśmy tego młodego od

listonosza do tego zakładu w celu nawiązania kontaktu z señorem Gregorem. Młody wszedł do biura i złożył ofertę handlową. Sekretarka przeprosiła i wyszła do drugiego pomieszczenia z kimś skonsultować sprawę. Po chwili wróciła, przyjrzała mu się, po czym ponownie wyszła. Kilka minut później oznajmiła, że w firmie nie pracuje nikt nazwiskiem Gregor, a zakład nie zajmuje się produkcją obrabiarek – opowiadał Harel.

– Kryli go, bez dwóch zdań – dodał Hausner i zapalił papierosa. – Dla nas było jasne, że Mengele się ukrywa i zaczął zachowywać większe środki bezpieczeństwa. W każdym razie trop się urwał. Mieliśmy zbyt mało czasu, bo przecież priorytetem było przerwienie Eichmanna do Izraela. Pamiętaj, że on wtedy ciągle czekał w kryjówce.

– Skontaktowałem się wobec tego z Centralą i poprosiłem o przysłanie zespołu komandosów. Plan zakładał, że dom noclegowy, w którym doktor miał sypiać, zostanie przez nich opanowany, a lokatorzy skontrolowani – ciągnął Harel. – Wstępne rozpoznanie wypadło jednak negatywnie, a zespół specjalny – spojrzął na Kleinera – odwołany.

Józef przez dwie godziny słuchał opowieści o tropieniu Anioła Śmierci. Co chwila Ariel donosił nowe potrawy i zabierał puste naczynia. Na stole pojawiały się też kolejne butelki ubiegłorocznego, młodego wina, ale też czulent i pulpety rybne. W salonie unosił się zapach napoju bogów oraz przygotowywanych na świeżo potraw przyprawionych pikantnie ostrą czerwoną papryką i czosnkiem. Mieszał się on z gęstym dymem papierosowym. Ariel, który co chwila wstawał i wracał do stołu, nie odzywał się, jakby był ochroniarzem i kucharzem w jednym.

– Miriam. Przeczytaj sobie jeszcze tę notatkę informacyjną dla najwyższych władz naszego państwa. A my w tym czasie trochę przewietrzmy mieszkanie. I nie martw się, że jest poplamiona. Zaraz ją spalisz – Kleiner wręczył kartkę zadrukowanego papieru, wstał i uchylił drzwi balkonowe.

Józek wziął ją do ręki i zaczął uważnie czytać. Wiedział, że musi wszystko zapamiętywać, bo niebawem będzie musiał to opisać swoim moskiewskim mocodawcom.

Informujemy, że w latach 1961–1962 do krajów Europy Zach. i Ameryki Płd. wysłano kilka zespołów agentów. Ich zadaniem było prowadzenie obserwacji grona przyjaciół rodziny Mengele (dalej obiekt), dotarcie i przeniknięcie do nich. Jeden z zespołów w Niemczech obserwował członków rodziny, którzy prowadzili firmę produkującą m.in. maszyny rolnicze w miejscowości Günzburg. Ustalono, że część zysków z jej działalności trafiała do obiektu. Założono w związku z tym, że obiekt będzie starał się skontaktować w Niemczech z synem Rolfem. Natomiast inna grupa starała się w tym czasie przeniknąć do kręgu jego znajomych w Ameryce Płd. Na podstawie uzyskanych informacji wytypowano dodatkowe cele. Stały się nim środowiska niemieckich nazistów, w tym byłych SS-manów. Postawiono tezę, że to oni mogą go ukrywać lub finansować. Przyjęto założenie, co wydawało się logiczne, że po porwaniu Eichmanna obiekt głębiej się zakonspiruje. W tym samym czasie, poprzez kontakty w mediach, zaczęto kolportować dezinformujące dane o naszej aktywności na tym kierunku. Wypuszczono informację o tajnej grupie żydowskich mścicieli. Efektem tego był oficjalnie złożony do władz argentyńskich przez Bonn formalny wniosek o ekstradycję obiektu. Założono, że musi to wywołać przerażenie obiektu i osób go wspierających. Ustalono krótko po tych działaniach, że obiekt próbował dokonać operacji plastycznej i że nie ma tatuażu SS, co potwierdziło informacje już posiadane... – Józek przerwał nagle lekturę notatki.

Zgromadzeni w mieszkaniu usłyszeli jakiś huk na ulicy. Ariel wyciągnął gwałtownie zza paska berettę 70 z dłuższym, dziesięcionabojowym magazynkiem i przeładował ją. Z opuszczoną bronią spokojnie podszedł do okna i uchylił lekko firankę. Przez chwilę lustrował ulicę.

– *Opruen, es s nor a mashin* – powiedział w jidysz.

– To tylko tłumik na rurze wydechowej samochodu – przetłumaczył Kleiner. – Nieźle w tym modrym fartuszk i z bronią w ręku wyglądasz, Ariel. Dobry kamuflaż – dodał, a pozostali zarechotali. – No, nie przeszkadzajmy Miriam w lekturze – dodał i spojrzał na Józka.

Potwierdzono legalizacyjne nazwiska, na które obiekt miał wystawione dokumenty: Ulmann, Hollmann, Gregor. Prowadzono obserwację mieszkającą w Buenos Aires jego drugiej żony i syna. W wyniku tego uzyskano informacje, że obiekt wyjechał do Paragwaju, do znajomego farmera w Colonia Independencia, a potem do Brazylii do São Paulo. Tam pomocy udzielił mu nazistowski emigrant – W. Gerhard, wykorzystując do tego węgierskie małżeństwo Stammerów, które poszukiwało zarządcy dla swojego gospodarstwa w rejonie São Paulo. Posiadane szczątkowe dane wskazują, że Mengele podjął u nich pracę i tam właśnie przebywa.

– Skąd pewność, że tam jest? – Józef przełamał swoją początkową nieśmiałość i odłożył kartkę.

– Zaraz ci wyjaśnię – odezwał się milczący dotąd Aharoni. – Po pierwsze, utrzymuje luźny kontakt z byłym asem Luftwaffe Hansem-Ulrichem Rudlem. Ale najcenniejszym naszym źródłem jest dla nas były oficer niemieckiej Abwehry, major Matheus Klosse, który mieszka w Urugwaju.

– I tu zaczyna się zadanie dla ciebie, Miriam – wtrącił Kleiner. – Dostaniesz do niego kontakt. Będziesz jego łącznikiem z nami.

– Musisz wiedzieć, że to jedna z największych tajemnic naszej służby. – Aharoni zawiesił na chwilę głos, a następnie wznosił kieliszek z winem i zwrócił się do pozostałych. – Za spotkanie i powodzenie naszej operacji – powiedział i wlał w siebie wino.

– Otóż wyobraź sobie, młody człowieku, że ten Klosse nie wierzył, że Mengele był zbrodniarzem z Auschwitz, do czasu gdy pokazaliśmy mu dowody: filmy, zdjęcia, zeznania byłych więźniów. Zupełnie się rozkleił. Wtedy, w czasie rozmowy, oświadczył, że Mengele zhańbił honor niemieckiego oficera i sprzeniewierzył się ideałom, i takie tam... W każdym razie był szczerze wstrząśnięty i obiecał, że nam go wystawi. Co prawda wzmocniliśmy to jego poczucie winy i oburzenie niezłą kwotą dolarów, ale cóż, cel jest najważniejszy.

– Wywiązał się z obietnicy? – zapytał Józek.

– Tak. Ustalił, że Anioł Śmierci przebywa gdzieś w okolicach São Paulo. Ma z nim kontakt Gerhard. Nasi ludzie go pilnowali. Pewnego pięknego dnia jechali za nim. Doprowadził nas wtedy do gospodarstwa rolnego. Realizujący działania zobaczyli przypadkowo przechodzących drogą trzech mężczyzn. Dwóch z nich wyglądało na miejscowych, a trzeci – na typ-

wego Europejczyka. Potem porównaliśmy posiadane fotografie z tymi wykonanymi na drodze. To był on. Mengele!

– Teraz trzeba było tylko opracować plan porwania i jego wywiezienia z Brazylii. Z naszego rekonesansu wynikało, że teren zapewne jest chroniony, a Mengele może mieć uzbrojonych strażników – dodał Kleiner.

– Moim zdaniem jest sam. Nie chce się rzucać w oczy. Taki pokaz siły zawsze zwraca uwagę. Nawet tam – przerwał mu Aharoni.

– Niemniej przed podjęciem działań musimy to sprawdzić. Wracając do Klossego. Dostaniesz wszystkie namiary, a także hasło do nawiązania z nim kontaktu – kontynuował Kleiner.

– A mogę o coś spytać? – Popatrzył na siedzących przy stole. – Dlaczego ja?

– Ponieważ niebawem wyjeżdżasz do Brazylii i nikogo to nie zdziwi, bo twoja legenda jest doskonała. Poza tym posługujesz się biegle portugalskim, bez żadnych naleciałości. No i jesteś zupełnie nieznany na tym terenie. Nie opatrzyła się twoja twarz jak tego tutaj... – Kleiner uśmiechnął się w kierunku Aharoniego.

– Słuchajcie! – zwrócił się do Kleinera i Józefa Harel. – Omówcie resztę spraw organizacyjnych. Ariel zostaje. Ma sporo do roboty w kuchni. My idziemy się przejechać. Od rana siedzimy w tej norze, którą nam Aharoni zafundował. Zvi, idź na dół i przygotuj chłopaków w samochodach. Zaraz schodzimy. Będziemy za dwie godziny. Mosze. Chcę jeszcze później zamienić z Miriam parę zdań. Trzeba mu pokazać trochę zdjęć! – dodał już z korytarza.

Po chwili Kleiner i Józef zostali sami w pokoju. Ariel, jak słyhać było po dźwiękach naczyń, znowu coś przygotowywał w kuchni.

– Miriam. Masz już jakiś punkt zaczepienia w Brazylii? Pracę? Gdzie chcesz mieszkać? Cokolwiek?

– Nie. I to jest duży problem. Pojedziemy z Evelyn w nieznane.

– Aaa tak! Narzeczona. Widziałem w twoim kwestionariuszu. Pisałeś o niej. Egipska Żydówka. Ona skończyła... – Kleiner nie mógł sobie przypomnieć.

– *Faculdade de Medicina da Universidade de Lisboa...* to znaczy wydział lekarski Uniwersytetu w Lizbonie. Pewnie nie będzie miała problemu z zatrudnieniem.

– Posłuchaj. To nie jest dla nas problem. Żebyś nigdy tak nie myślał. Zróbmy tak... – Kleiner nalał wina do pustych kieliszków, wstał i podszedł

do okna.

– Też rozprostuję nogi. – Józek stanął obok Kleinera.

– Pomogę ci, nawiążesz kontakt z moim znajomym, byłym polskim oficerem.

– Tak, a gdzie on służył?

– Przeszedł cały szlak z generałem Andersem, a potem był w Anglii, coś podobno robił też w Portugalii...

– To bardzo ciekawe...

Dopiero wtedy Józef zwrócił uwagę, że za oknem się ściemniło, a wieża Eiffla była otoczona promieniami światła z licznych reflektorów. Teraz już myślał tylko o czekającej na niego Evelyn, o tym, że niebawem położy się obok niej w łóżku. Marzył, aby jak najszybciej wyrzucić z myśli Mengelego, wywiad i czekającą go misję. Aby ból głowy z nadmiaru informacji i wypitego wina minął jak najszybciej. Czuł, że cały przesiąkł dymem z papierosów.

– Co? Nie palisz? – Kleiner spojrział badawczo na Józka.

– Nie, panie... Mosze.

Rozdział 14

Brazylia – luty – maj 1963 roku

Piotr Winiecki „Armando” otrzepał jasne spodnie z wszechobecnego kurzu i usiadł przy stoliku w kawiarni w miasteczku Congonhas. Miejscowość ta leżała w niewielkiej kotlinie otoczonej łagodnymi wzgórzami. Brukowana droga, na którą akurat spoglądał, wspinała się, a obok niej wyrastały liczne pomalowane na biało parterowe domki, przypominające czasy kolonialnej świetności tego regionu Brazylii.

Miał też przed sobą barokowe sanktuarium *Bom Jesus de Matozinhos* z rzeźbami dwunastu apostołów naturalnej wielkości. Sięgnął po filiżankę z czarną kawą yellow bourbon. Autobus z Belo Horizonte miał przyjechać za pół godziny.

Po Armandzie widać było zmęczenie. Na twarzy miał liczne zmarszczki. Był lekko szpakowaty. Ponad rok temu dzięki pomocy swoich towarzyszy z andersowskiej Dwójki wraz z żoną dokonał brawurowej ucieczki z komunistycznej Polski. Przeszedł przez obóz dla uchodźców pod Wiedniem i wyjechał do Argentyny. Za pieniądze otrzymane od swojego przełożonego, pułkownika wywiadu Romualda Czakuckiego, kupił zaraz po przyjeździe niewielką farmę. Znajdowała się ona na zboczu gór przy granicy z Chile, w osadzie, którą zamieszkiwali też inni uciekinierzy z Polski, dawni żołnierze Armii Krajowej oraz Drugiego Korpusu. Okolica ta przypominała im polskie Podhale, dlatego też domy starali się budować w stylu zakopiańskim.

Jego żona Iza wytrzymała tam tylko trzy miesiące, wychowując syna Filipa, który właśnie się urodził. Przyjechali do Brazylii. Ona nie mogła odnaleźć się w małomiasteczkowym społeczeństwie polskiej osady, a ponadto nie widziała się w roli farmerki.

Winiecki przy wsparciu swoich kolegów z wywiadu, którzy wcześniej zostali przerzuceni do Ameryki Południowej, znalazł pracę w firmie, która zajmowała się wydobywaniem złota oraz kamieni szlachetnych. Miała ona dźwięczną nazwę Diamonds & Gold Mining Company. Jako doświadczony wojskowy został szefem zespołu odpowiedzialnego za ochronę transportów z cennymi kopalinami. Jedyny kłopot polegał na tym, że przez blisko dwa miesiące w roku musiał przebywać na północy Argentyny albo w brazylij-

skim regonie Minas Gerais, bo tam zlokalizowane były liczne kopalnie. Rekompensatą za rozłąkę z najbliższymi była pensja w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów rocznie.

Niejako produktem ubocznym towarzyszącym nerwowej pracy były nasilające się u niego dolegliwości żołądkowe. Często podróżował. Jego organizm nie był jeszcze przyzwyczajony do klimatu podzwrotnikowego oraz południowoamerykańskiej flory bakteryjnej.

Z podwładnymi, o czym przekonał się szybko, też nie miał łatwego życia. Obijali się i na każdym kroku próbowali coś ukraść. Przystępność pospolita była wszechobecna. Dlatego pod marynarką w stylu safari na specjalnych szelkach nosił ulubioną czterdziestkępiątkę, czyli colta M1911.

Rozmyślenia Armanda przerwał wjazd na niewielki plac białego autobusu firmy Bussing-NAG. Armando poprawił na nosie nieco już wytarte przeciwsłoneczne okulary w złotych oprawkach. Zaczął obserwować osoby wychodzące z pojazdu. Poza kilkoma chłopami, którzy wynieśli z niego kosze pełne warzyw i klatki z kurami, wysiadł też elegancki młody człowiek w białej bawełnianej koszuli i zarzuconym na ramiona czarnym pulo- werze. Na głowie miał kowbojski kapelusz z jasnej skóry z małym rondem. W dłoni trzymał mocno wytartą skórzaną teczkę. Armando obserwował go przez chwilę, a gdy ten zaczął się rozglądać, wstał, podszedł i rzucił od niechcienia po polsku:

– Pan od Kleinera?

– Tak. Od Mosze Kleinera. Dzień dobry. Nazywam się Józef Hanser. Pan Piotr Winiecki? – Uśmiechnął się i wyciągnął rękę na powitanie.

– Tak. Jak dobrze spotkać rodaka na tym pieprzonym brazylijskim zadupiu. Witam! – odpowiedział Armando. – Jaki on, kurwa, Mosze? – dodał do siebie szeptem.

Droga z Belo Horizonte zajęła Józkowi niecałe dwie godziny. Autobus miał do pokonania siedemdziesiąt kilometrów. Evelyn została w niewielkim mieszkaniu, które zdążył już wynająć blisko centrum miasta na pograniczu dwóch dzielnic: Lagoinha i Santa Tereza. Zwłaszcza druga dzielnica przypadła im do serca, bo uchodziła za miejsce brazylijskiej bohemy, pełne ulicznych malarzy i barów, w których grały zespoły. Kojarzyła się im z uko- chaną Lizboną.

Na Aeroporto Carlos Prates wylądowali zaledwie tydzień temu. Zdzi- wił się, ale tak jak obiecał mu Kleiner, dostał informację o umówionym

spotkaniu w sprawie pracy. Odebrał ją na poste restante w urzędzie pocztowym w Belo Horizonte.

– Proszę usiąść tutaj. – Winiecki wskazał mu miejsce przy stoliku. – Ja zamówię jeszcze jedną kawę, a pan?

– Tak, też poproszę.

Armando pstryknął palcami na kelnera i złożył zamówienie po portugalsku. Mówił jeszcze w sposób niezdarzy, jakby powoli składał myśli, ale bez problemu sobie poradził.

– Pan tutaj jest od niedawna?

– Mów mi Armando. To pseudo z wojska. – Puścił oko do Józka. – To prawda, ale powoli jakoś przeszedłem przez okres aklimatyzacji, no i przede wszystkim przyspieszony kurs uczenia się brazylijskiej ulicy, żeby wiedzieć, kto tu rządzi i co się liczy. Niestety, bardzo często siła i pieniądze – podsumował krótko.

– My zaczynamy życie od zera...

– Tak, wiem od Mietka. Z grubsza naświetlił mi sprawę w telegramie. Co mogę poradzić?

– Od czego powinienem zacząć?

– Okej. Musicie, po pierwsze, szybko załatwić nowe dokumenty, a zwłaszcza prawo jazdy. Wiesz, gdzie jest *prefeitura*? Taki nowoczesny, charakterystyczny budynek z wieżą i zegarem. Mam w ratuszu znajomego. Pomoże. A mieszkanie jakieś już macie?

– Tak. Nawet udało nam się wynająć jasne, w miarę czyste w starym domu. W dzielnicy artystycznej.

– O! To jesteście prawie sąsiadami. My z Izą na razie mieszkamy w dzielnicy Floresta, blisko centrum. Ale kupiłem niedawno dużą działkę nad jeziorem Pampulha, niedaleko stadionu, który zaczynają budować. Taka parcela to dobra inwestycja. Tutaj – przesunął po stole kartkę papieru – masz adres biura mojej firmy przy Rua da Bahi sześć przez osiem.

– To tam, gdzie jeżdżą te pomarańczowo-białe tramwaje?

– Tak. Pójdiesz do działu kadr. Powołaj się na mnie. Tam już o wszystkim wiesz. Potrzebują chemików, a jak jesteś specjalistą chemii przemysłowej, to tym bardziej. Oczywiście na początku zatrudnienie będzie na okres próbny, na jakieś pół roku. Będziesz pewnie w zespole, który bada razem z geologami wielkość złóż, a potem też czystość, czyli jakość kruszcu. Praca ciężka, brudna, no i w terenie. Najpewniej w okolicach rzeki

Jequitinhonha. Będziesz w ciągłym ruchu, ale też szybko powinieneś dostać przydział na samochód – ciągnął Armando.

– To akurat mi nie przeszkadza...

– A żona?

– Narzeczona na razie... – Józef się uśmiechnął. – Jest lekarzem, mam nadzieję, że bez problemu znajdzie pracę. Zresztą już była w takim starym szpitalu w Belo Horizonte Santa Casa i rozmawiała z dyrektorem. Pewnie się tam zatrudni.

– Jesteście dzielni. A teraz powiedz szczerze, czym się masz tutaj zająć? Czy Mietek Kleiner jest dla ciebie kimś bliskim?

– Niedawno odkryłem swoje żydowskie korzenie. W ubiegłym roku dostałem informację z Czerwonego Krzyża, że mój brat tam się odnalazł. No i prysnąłem do Izraela na statku. Trochę nielegalnie. Potem okazało się, że to była pomyłka. A na pana Kleinera trafiłem przypadkowo na placu Dizengoff w Tel Awiwie. Szukałem kina Esthera. Pamiętam jak dzisiaj, grali *Ben Hura*. Zupełny przypadek. Ot, i cała prawda. A on postanowił mi pomóc. Mówił, że ma tutaj jakieś kontakty. A ja jestem sierotą. Wiesz? *Shoah*...

– A nie chciałeś zostać w tej ich Ziemi Obiecanej? W końcu jesteś ich człowiekiem.

– W Izraelu? A jaki tam ze mnie Żyd! Co, ten kawałek skórki z napletka?! Wychowali mnie Polacy, z nimi dorastałem w katolickiej wierze... – Ugryzł się w język. – A poza tym w Lizbonie czekała na mnie moja Evelyn. Eee, to nie dla mnie. Cały czas tam się tłuką z Arabami. A po cholere mi to?

– Tak, tak. – Armando nie dał po sobie poznać, czy uwierzył w to, co usłyszał.

Natomiast odniósł wrażenie, jakby byli obserwowani. Dyskretnie rozejrzał się po lokalu i ulicy. Ale niczego szczególnego nie zauważył. Wrócił szybko myślą do momentu przyjazdu chłopaka do miasteczka. Ale nie mógł nic nienaturalnego wyłapać w obrazie, który zapamiętał. „Jakaś banda? Służby? Tutaj? Jakie, kurwa, służby?” – zastanawiał się.

– Podobno był pan w Portugalii, tak powiedział pan Mosze.

Winiecki spojrział na niego z uwagą, przygryzając paznokieć.

– Krótko, przed laty, po wojnie, to był tylko taki epizod, niewiele znaczący...

– Czym się pan tam zajmował?

– Cóż, bolszewicy wtedy podnosili głowę, ale to nie było nic istotnego...

Przez kolejną godzinę rozmawiali, w jaki sposób najszybciej aklimatyzować się w Brazylii. Armando opisywał zdobyte w ciągu kilku miesięcy doświadczenia, zwracał uwagę na fawele, czyli miejsca biedy i wszechobecnej przestępczości, a także korupcję policjantów i urzędników. Opowiedział też Józkowi historię poszukiwań złota i kamieni szlachetnych w okręgu Minas Gerais oraz Mato Grosso. Jakie samochody najlepiej się sprawdzają na bezdrożach. Jak rozmawiać z miejscowymi, z policjantami, urzędnikami, handlarzami czy Metysami znad Amazonki. Doradził mu też, aby kupił sobie jakąś broń.

– Najlepiej pogadaj z tym moim znajomym z ratusza. Wiem, że ma kontakty na bazarze... Mercado Central. Kupisz tam wszystko, ale lepiej mieć zaufanego dostawcę. Osobiście polecam colta, czterdziestkępiątkę. – Poklepał się pod pachą. – I duży magazynek, a i przypierdolić można rękojeścią jakiemuś czarniawemu baciarowi albo innemu, jak tu mówią, *filho da puta*, który cię zaczepi. Znasz się trochę na tym?

– Raczej nie. Nie wiem, czy mi to potrzebne. Może...

– Słuchaj się starego polskiego żołnierza.

– *Estábem*.

– A wracając do spraw zawodowych. W okręgu Minas Gerais złoża diamentów spotyka się głównie wzdłuż lewobrzeżnych dopływów rzeki Paranaíba, które są bardzo bogate w osady aluwialne. Wiele stanowisk jest bardzo starych – mówił fachowo.

– Tak, zdążyłem przed wyjazdem trochę o tym poczytać. Poza tym mieliśmy zajęcia z geografii gospodarczej Brazylii i innych byłych i obecnych kolonii portugalskich.

– W okręgu Caramandel znaleziono diament Prezydent Vargas. Jeden z największych odkrytych na świecie. To duuuuże pieniądze! – opisywał z pasją Armando.

– Tak, oczywiście słyszałem. Waży ponad czterdzieści osiem karatów. Należy tak jak i inne do diamentów o doskonałej strukturze, czyli pozbawionych zanieczyszczeń atomami azotu – wykazał się fachową wiedzą Józef.

– Brawo. A wiesz, że kamień wysłano zwykłą paczką za siedemdziesiąt centów do Nowego Jorku? – dodał Winiecki. – Ale co tam! Nie będziemy tutaj siedzieć o suchym pysku. Zamówię dwie *caipirinha*. Piłeś?

Pewnie nie! To brazylijski koktajl na bazie alkoholu z trzciny cukrowej, zwanego *cachaça*, z limonką i lodem. – Ponownie pstryknął na kelnera i poprosił o dwie szklanki miejscowego specjału.

– Faktycznie, trochę się dzisiaj zrobiło gorąco. Bardzo proszę. Chętnie spróbuję.

Po kilku minutach przed mężczyznami stały dwie wypełnione kruszonym lodem wysokie szklanki z zielonkawym od limonek orzeźwiającym napojem.

– I kończąc. Na południe rozciągają się złoża Coccoes. Tam właśnie rozmieszczone są nasze kopalnie. Diamenty z tych złóż są drobne, nieregularne i w większości wydłużone. Mają zróżnicowane kolory, od białego przez żółte, zielone do brązowych i różowych. Niektóre wykorzystujemy w przemyśle ze względu na ich twardość. Wiesz już zatem prawie wszystko! – Klepnął Józefa lekko w dłoń. – Na mnie już czas, muszę wracać do pracy. Widzimy się w firmie. Wszyscy mnie znają, więc zawsze wiedzą, gdzie się kręcę. Zostaw w kadrach namiar na siebie w Belo. Podjedziemy do was w ciągu najbliższych dni. Załatwimy sprawę, wiesz z czym. Na razie uważaj. Serwus. Ucałuj narzeczoną! – dodał i pożegnał się.

Skierował się na drugą stronę ulicy i wsiadł do zaparkowanego w pobliżu kremowego pikapa – forda rangera.

Niebawem Józef siedział w autobusie jadącym do Belo Horizonte. Zdecydował, że następnego dnia załatwi wszystkie formalności związane z pracą. Tymczasem za oknem przesuwają się pokryte soczyscie zieloną trawą i kwitnącymi krzakami pagórki *mato* – brazylijskiego stepu. Gdzieś niedaleko jedynie majaczyły w oddali zwarte kępy drzew. Spod kół autobusu podnosił się czerwony kurz. Co jakiś czas małe kamyczki uderzały w błotniki.

* * *

Emerytowany major Abwehry Matheus Klosse sięgnął po kieliszek *martella*. Józef zauważył na jego dłoni ślad po ranie. Były oficer wyłapał jego spojrzenie.

– Tak, to pamiątka wojenna. Cóż, zostałem postrzelony przez Polaka w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku we Lwowie – powiedział.

Józef zwrócił również uwagę na coś innego. Ręce Niemca ledwie widocznie drżały. „Czy to objaw jakiejś choroby, strachu czy może alkoholo-

lizmu?” – przemknęło mu przez głowę. Siedzieli na tarasie widokowym przy plaży Praia do Mar Casado jakieś sto kilometrów na południe od São Paulo. Od morza czuć było lekką bryzę, temperatura powietrza wynosiła około dwudziestu pięciu stopni Celsjusza. Do ich uszu dochodził krzyk ukrytych w koronach drzew ptaków, przerywany głuchymi, równomiernymi uderzeniami ciężkich fal Atlantyku.

Józef wywołał spotkanie z byłym oficerem Abwehry, wysyłając do niego do Montevideo list. Znalazł się w nim fragment zrozumiały tylko dla nich dwóch – ustalony jeszcze przez poprzedniego łącznika. W kopercie był opis znaku, po którym rozpozna Klossego chodziło o najświeższy numer gazety „Jornal do Brasil”, która miała leżeć złożona pod filiżanką z kawą. Natomiast on sam miał położyć obok niej bieżący egzemplarz „Gazeta Esportiva” z wystającą starą pocztówką z hotelem Balneario Pocitos w Montevideo. Hasłem dla łącznika była sekwencja słów: *pozdrawienia od znajomego dyrektora hotelu z Montevideo*. Teraz obie gazety leżały przed mężczyznami na stoliku. Pocztówkę Józek schował do wewnętrznej kieszeni zielonej marynarki.

Na początku wojny major Klosse został skierowany do Krakowa. Tam rozpracowywał polskie podziemie. Ścigał niezwykle groźnego człowieka nazywanego przez nich i gestapo – N. Przy okazji wpadł na trop pokątnego handlu zarekwirowanymi dziełami sztuki. Odkrył, że co cenniejsze eksponaty zamiast do przyszłego muzeum Hitlera w Linzu trafiały w prywatne ręce, a Hans Frank pod tym względem konkurował z marszałkiem Göringiem. To nie spodobało się gubernatorowi i wymógł na szefie Abwehry, admirale Canarisie, odwołanie go i wysłanie gdzieś na „koniec świata”.

Po odbyciu w Berlinie specjalnego szkolenia, pozwalającego na pracy w niemieckiej służbie konsularnej, pod koniec 1943 roku Klosse wylądował w Argentynie. Zaczął kierować placówką Abwehry w Buenos Aires. Do zakończenia wojny prowadził pracę operacyjną wśród osiadłych w tym kraju Niemców, którzy sympatyzowali z nazistami. Przygotowywał jednocześnie grunt pod ewentualne lądowania tam notabli III Rzeszy w razie przegranej wojny.

Wywiad izraelski dotarł do majora trochę przypadkowo pod koniec lat 50. przy okazji rozpracowywania Eichmanna. Okazało się to kluczowym posunięciem izraelskiej służby. Wkrótce po zwerbowaniu Klosse wskazał miejsce zamieszkania zbrodniarza, którego znał. Zresztą, SS-man darzył go

dużym zaufaniem. To on przedstawił mu w Argentynie Mengelego. Kilka lat później były major Abwehry poinformował Mosad, że pośrednikiem w dotarciu do Mengelego może być austriacki nazista, niejaki Gerhard, który pomógł Aniołowi Śmierci osiedlić się w Brazylii.

– Tak jak prosiliście, ustaliłem parę spraw – stwierdził teraz Klosse.

– To świetnie. Zamieniam się w słuch – odpowiedział Józef.

– Chociaż wydaje się, że Mengele jest ostatnio mocno przestraszony i obawia się o swoje bezpieczeństwo, to moim zdaniem nie ma ochrony. Zarówno kiedy podróżuje – bardzo rzadko – do São Paulo, jak i gdy przemieszcza się w najbliższym sąsiedztwie farmy. Co jeszcze? Ciągłe mieszka u Stammerów w gospodarstwie *Santa Luzia* w Serra Negra, na północ od São Paulo. Występuje jako Peter Hochbichler, obywatel Szwajcarii. Miejscowi zwracają się do niego: senhor Peter – dodał.

– Proszę pamiętać. To teraz bardzo ważne, majorze. Wszelkie informacje o ewentualnej zmianie miejsca zamieszkania Mengelego mają trafiać natychmiast do mnie na adres poste restante – wyjaśnił Józef i przesunął na stole kopertę z pieniędzmi. – Na kopercie jest adres korespondencyjny. Łatwo zapamiętać.

Ten zważył kopertę w rękę, zajrzał do środka. Potem zamknął i przeczytał: *Correios. Belo Horizonte. Brasil.*

– Tylko tyle? Żadnego numeru telefonu czy adresu hotelu lub mieszkania? – zapytał i schował kopertę do wewnętrznej kieszeni sportowej białej marynarki.

– Tak. Tylko tyle. Pięć tysięcy dolarów. Zgodnie z umową – dodał Józef.

– Aha. Mam jeszcze jedno pytanie. Pan jest Żydem? Takim jak pańscy koledzy?

– Nie... Brazylijczykiem, majorze Klosse. To ma dla pana jakieś znaczenie?

– Nie. Nie ma. Po prostu zapytałem. Chcę wiedzieć, z kim pracuję.

Pożegnali się. Józef wsiadł do służbowej granatowej simki chambord i ruszył na północ. Dwuletni samochód dostał zaraz po załatwieniu wszystkich formalności związanych z zatrudnieniem. Dodatkowo otrzymał sporą zaliczkę na zagospodarowanie. Firmie zależało na posiadaniu fachowca wykształconego na portugalskiej politechnice. Przed przyjazdem na miejsce spotkania Józef zabrudził błotem obie tablice rejestracyjne.

Po godzinie jazdy zobaczył duży napis na przydrożnej tablicy: *Mer-cado. 2 quilômetros*. Po chwili zjechał na pobocze i przystanął przy niewielkim sklepie. Opuścił samochód i dopiero teraz wytarł tablice rejestracyjne. Wszedł do środka sklepu. Asortyment obejmował wszystko: żywność, alkohol, maczety, ale też ubrania. Józef sięgnął po flanelową koszulę, słomkowy kapelusz z dużym rondem i jasne płócienne spodnie robocze, które miejscowi rolnicy nosili do pracy w gospodarstwie.

Gdy minął São Paulo, w Bragança Paulista skręcił w lewo. Zatrzymał się na poboczu, przebrał w kupione ubranie i ruszył dalej. Zatrzymał się dopiero jakiś kilometr przed Serra Negra, blisko zjazdu na farmę *Santa Luzia*. Wjechał ze sto metrów drogą w zarośla. Wysiadł z auta i zdjął buty, następnie ręce, twarz, spodnie i koszulę pobrudził rudą ziemią. Pogniół rondo kapelusza. Miał wyglądać jak miejscowy robotnik, który chce nająć się do pracy na farmie.

Ruszył pieszo. Po przejściu kilkudziesięciu metrów, idąc po ostrej trawie, kamieniach i resztkach krzaków, obtarł sobie trochę stopy. Nie rezygnował jednak. Polna, nieutwardzona droga prowadziła go w kierunku widniejącego w oddali gospodarstwa. Po kilku minutach marszu zobaczył przed sobą wystającą nad drzewami drewnianą wieżę. Zauważył też, że teren miejscami poprzecinany był niskim ogrodzeniem. Ściemniało się. Cykady jakby ciszej grały. Zrobiło się przyjemnie chłodno.

Postanowił przedzierać się przez łąkę, ta droga wydała mu się łatwiejsza. Wtedy dostrzegł dwóch mężczyzn, którzy z sobą rozmawiali i szli w jego kierunku. Wokół nich kręciły się cztery wychudzone psy. Zwierzęta zauważyły go i zaczęły ujadać, ale nadal trzymały się blisko swoich przewodników. Józef podszedł bliżej. Wydawało mu się z daleka, że mówią coś w języku niemieckim. Nic nie rozumiał. Jeden z nich krzyknął:

– *Amigo! Vocêvemaqui* – i machnął ręką.

Józek podszedł do nich. Starając się używać jak najbardziej niezdarnej wymowy, zagadnął:

– Panowie. Szukam jakiejś roboty.

Obydwaj spojrzeli na niego z zaciekawieniem. Jeden z nich w rękę trzymał drewniany kostur, którym się podpierał. Mężczyzna był wychudzony albo chory i lekko przygarbiony. Miał zapuszczone siwe wąsy, ale nie na tyle duże, aby zasłonić jego charakterystyczną szczelinę między jedynekami. Józefa zmroziło, gdy na jego czole zobaczył sporą czerwoną,

świeżą bliznę. „Czyli to prawda, próbował operacji plastycznej” – pomyślał i był już pewien, że stał przed nim Mengele.

Rozpoznał też jego towarzysza. Widział go na zdjęciu w Paryżu. To był Sedlmeier – przyjaciel Anioła Śmierci z młodości i członek zarządu niemieckiej rodzinnej firmy Mengelego w Bawarii.

Józek patrzył badawczo na obu mężczyzn i czuł wewnętrzny lęk. Wydawało mu się, że nie może się ruszyć. Z letargu wyrwało go ujadanie i warczenie psów, które wyczuły jego strach. Miesiące szkoleń, treningów, a on nie wiedział, jak się zachować. Pierwszy raz znalazł się w takiej sytuacji. „Czy można coś takiego przećwiczyć? Czy można się na to przygotować?” – pomyślał. Jego serce biło jak oszalałe, a on stał jak kołek i nie mógł wydukać nic więcej.

Wtedy Mengele wydał jakąś komendę psom, obydwaj odwrócili się i ruszyli do zabudowań. Józef bezradnie patrzył na odchodzących i posłusznie idące obok nich zwierzęta. Nie wiedział, co ma dalej robić. Zaczął się cofać. Po przejściu kilku kroków odwrócił się i ruszył biegiem. Nie zważał na ostre kamienie, w jego głowie coś pulsowało, podświadomie czuł, że musi jak najszybciej stamtąd uciec.

Usłyszał za sobą jakiś krzyk. Obejrzał się. Ktoś za nim podążał. Józef miał sporo sił w nogach. Ćwiczenia i ciągła walka na boisku w czasie gry w piłkę dały mu pewność, że nikt go nie dogoni, chociaż nie miał butów na nogach.

Gdy już dobiegał do samochodu, z oddali padł strzał. Huk go przestraszył, ale nie zatrzymał. Odruchowo skulił głowę. Nikt wcześniej do niego nie strzelał. Wydawało mu się, że kula go nie dosięgła. Potem usłyszał kolejny strzał. Tym razem jakby coś mocno uderzyło o kawał blachy. Szarpnął gwałtownie klamkę drzwi samochodu. Wskoczył na fotel kierowcy, zatrzaskał drzwi. Moment później uruchomił silnik, wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu. Samochód gwałtownie ruszył. Spod kół posypały się drobne kamyczki. Po chwili w lusterku wstecznym widział tylko rudy kurz.

Nikt go nie ścigał ani nie strzelał. Udało się. Pomyślał o swojej Evelyn i wcisnął mocniej pedał gazu.

Skręcił ostro w lewo i ruszył asfaltem na Lindóię. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów zjechał w las eukaliptusowy i zatrzymał się. Wysiadł, aby ochłonić. Oparł się o granatową klapę silnika i zwymiotował. Poczł w ustach smak na wpół przetrawionego martella. Trochę się uspokoił.

Zrzucił z siebie robocze spodnie, usiadł na trawie i zaczął masować obolałe po biegu nogi. Przemył je wodą z butelki, resztę wylał na głowę i dopiero wtedy zauważył, że na dłoń z przedramienia spływa mu strużka krwi. Palcem wymacał centymetrową dziurę. Zerwał z siebie koszulę i zobaczył rozorany pociskiem biceps. Nie czuł bólu, widocznie adrenalina jeszcze w nim pulsowała. Wyjął sznurek z roboczych spodni i związał nim mocno rękę, aby zatamować krwotok z rany. Szybko się przebrał.

Powoli dochodził do siebie. Wyjął z bagażnika butelkę podłego miejscowego piwa, podważył ceramiczny kapsel, usłyszał syk i wlał w siebie ciepły, gorzki napój. Obszedł samochód. W rogu wystającego poza maskę zderzaka znalazł przestrzelinę. Zamaskował ją mokrą grudką ziemi. Miał przed sobą kilka godzin jazdy do Belo Horizonte. Liczył na to, że w domu będzie po północy.

* * *

– Jak ty wyglądasz? Józek? Gdzieś ty był? Co ci się stało, kochanie? Przecież to jest rana postrzałowa! – Evelyn załamała ręce, gdy popatrzyła na swojego ukochanego.

Chłopak był niewyspany, blady, brudny i nieogolony. Kiedy go ujrzała kilka minut wcześniej, siedział bez ruchu w samochodzie na podjeździe. Uchyliła boczne drzwi i pomogła mu wysiąść. Zaprowadziła go do mieszkania, zdjęła mu zakrwawioną koszulę, następnie zdezynfekowała spirytem ranę i założyła na nią trzy szwy. Potem obmyła mu pocięte nogi. Józek nawet nie syknął, tak był zmęczony. Evelyn zrobiła mu zastrzyk przeciwbólowy. Patrzył z podziwem, jak się przy nim uwija, ale myślał tylko o tym, aby jak najszybciej zasnąć. Gdy owinęła jeszcze jego rękę bandażem, spojrzała na niego swoimi wielkimi piwnymi oczami i zapytała: – Powiesz mi w końcu? W co ty się wpakowałeś? Tylko nie kłam.

– Musiałem coś sprawdzić. Nie wiem, czy dobrze zrobiłem.

– Co musiałeś sprawdzić?

– Nie mogę ci wszystkiego powiedzieć. Nie pytaj, proszę.

– Dlaczego? Józiu, jakie masz przede mną tajemnice? No, powiedz mi, proszę.

– Dobrze, kochanie. Ale zapamiętaj. Nie możesz nikomu, ale to nikomu tego wyjawić. Bo inaczej możemy być w niebezpieczeństwie, ja, ty,

a nawet twój ojciec. Rozumiesz? – Popatrzył na nią, a po kilku sekundach dodał: – Pracuję dla twojego ojca.

– Jak to? Przecież on mieszka w Egipcie. O czym ty mówisz? Czy ty dobrze się czujesz? Czy coś ci się w głowie pomieszało? – Zdumiała się tym, co usłyszała.

– Jestem oficerem radzieckiego wywiadu...

– Obiecał mi, że cię nie wciągnie w te swoje ciemne interesy! Jak on mógł nam to zrobić?! O mój Boże. Nigdy mu tego nie wybaczę! – Evelyn odwróciła się i podeszła do okna. Gdy po chwili na niego spojrzała, miała łzy w oczach.

Józef tego już nie widział. Zasnął.

* * *

Następnego dnia Józef wczesnie rano poszedł na pocztę. W rozmównicy podniósł czarną ebonitową słuchawkę telefonu. Wykręcił numer, który dostał od Kleinera w Paryżu. Po drugiej stronie usłyszał tylko:

– *Sim?*

– *É o senhor Eduardo?*

– *Sim.*

– *Eu queriapedirflores. Buquê de rosas. Cafeteria Santa Tereza. Imediatamente!*

Odłożył słuchawkę. Następnego dnia do jego mieszkania zapukał jego izraelski łącznik Alberto Farid. Z rodzaju przekazanego przez Józefa hasła wynikało, że sprawa jest wyjątkowej wagi, a on nie może się stawić na wyznaczonym w instrukcji miejscu. To spowodowało, że musiał odstąpić od żelaznych zasad konspiracji.

Józef zaprosił łącznika do mieszkania. Evelyn miała dyżur w szpitalu.

– Nie mogłem się spotkać na mieście, bo jestem ranny – powiedział do Alberta. – I mam gorączkę. Oto meldunek, zaszyfruj go i przekaż do Paryża. To jest ściśle tajne i bardzo pilne. – Dał mu tekst. – Nie ma czasu na przesyłanie tego normalną drogą, poza tym mam rękę niesprawną i trudno mi operować aparatem fotograficznym, aby wykonać mikrokropkę. A poza tym mikroskop zostawiłem w biurze – wyjaśnił.

Alberto wziął do dłoni karteczkę. Przeczytał ją:

Podjąłem kontakt z Krug. Potwierdzam, że na znanej z wcześniejszych informacji farmie mieszka obiekt. Na czole ma ślad po cięciu chirurgicznym. Inne cechy wyglądu się zgadzają. Towarzyszy mu znany mi ze zdjęć HS. Nie potwierdziłem obecności ochrony. W czasie prowadzenia rozpoznania na farmie zostałem postrzelony. Nie zostałem zdekonspirowany, ani też moje działania. Czekam pilnie na instrukcje.

Miriam

– Jasne. Zrobię to zaraz po powrocie do Rio. – Schował kartkę do kieszeni w rękawie wytartej skórzanej kurtki. – Aha. Pamiętaj. Nie nadużywaj słowa *immediatamente*.

– Ale widzisz, że to sytuacja wyjątkowa. Chyba wiesz, o co chodzi?

– Wiem. Sytuacja wyjątkowa to taka, że zostałeś ranny i nie możesz się ruszyć. A nie że ustaliłeś coś cennego. Rozumiesz? I jeszcze jedno. Znasz Mercado Central?

– Tak. Byłem tam parę razy.

– Świetnie. Jak przetniesz w poprzek taki długi budynek z dwoma wieżkami przy głównej bramie, ale od strony tego starego budynku z kolumnami... kojarzysz?

– Aha.

– To idź prosto do okrągłaka z wieżą w środku. Znajdziesz tam bar Jilo, gdzie przyrządzają tylko wątróbkę wołową z warzywami i cebulą. To będzie miejsce nawiązania kontaktu ze mną w nadzwyczajnej sytuacji.

– Jasne. Zapamiętam.

Alberto wyszedł, uruchomił swój czarny motocykl BMW R26 i momentalnie zniknął w wąskiej uliczce. Józef zdecydował się wywołać spotkanie z łącznikiem z KGB.

Zgodnie z instrukcją łączności do spotkania miało dojść dopiero tydzień po jego wywołaniu, w Rio de Janeiro. Aby trzymać się legendy wyjazdu turystycznego, na spotkanie postanowił zabrać Evelyn.

Rozdział 15

Brazylia – kwiecień – czerwiec 1963 roku

Był piękny sobotni poranek. Józek zapakował do simki dwie walizki. Po chwili zeszła Evelyn, trzymając w ręce kosz z prowiantem, przykryty serwetką w biało-czerwonej kratkę. Józek poprosił w pracy o trzy dni urlopu. Nie dostał. Za to otrzymał polecenie załatwienia w ciągu czterech dni spraw u spedytora morskiego w Rio, który obsługiwał ich firmę. Przedłużała się odprawa narzędzi górniczych z Anglii w urzędzie celnym.

Evelyn ucieszyła się na wieść o wyjeździe, nie miała problemu z otrzymaniem kilku dni urlopu, bo ostatnio często brała dodatkowe dyżury. Od kilku tygodni w mieście było sporo wypadków na budowie nowego stadionu Mineiro.

Przez kilka godzin jazdy próbował jej wyjaśnić, czym się zajmuje, nie wchodził jednak w zawilości związane ze współpracą z izraelskim wywiadem. To by ją zdenerwowało, ponieważ dorastała w Egipcie w środowisku arabskim. Mogłaby tego nie zrozumieć.

– Boję się o ciebie – powiedziała, gdy ruszyli, a wiatr wpadający do samochodu przez uchylone boczne szyby szarpał brązowo-żółtą chustę, którą założyła na głowę.

– Obiecuję, kochanie, że nie zrobię nic, co mogłoby cię narazić na niebezpieczeństwo – odparł. – Pamiętaj, że dzięki tej dodatkowej pracy będziemy mieli więcej pieniędzy. Może kupimy sobie nawet nowy model cadillaca! Czerwonego jak twoje usta, z takimi skrzydłami i chromami z tyłu na błotnikach...

– Jak co? Skrzydła?

– Jak twoje skrzydła, mój aniołku kochany. – Uśmiechnął się i pocałował ją w policzek.

– Pilnuj lepiej drogi, marzycielu! Już ci mówiłam. Pamiętaj! W Paryżu. Nie to jest najważniejsze. Tylko my i nasza miłość.

W tym momencie Józef gwałtownie zjechał z drogi.

– Co się dzieje?!

– Jedziemy nad wodospady *Cachoeira de Secretário*. Widziałem je w folderach. Tam jest pięknie. Zobaczysz. Poza tym musimy coś przekąsić. Od rana nic nie jedliśmy, kochanie.

Zatrzymali się. Józef wysiadł i otworzył jej drzwi. Ujął narzeczoną delikatnie za dłoń i pomógł jej wysiąść. Gdy oparła się o maskę samochodu, namiętnie ją pocałował. Potem wyjął z bagażnika koc i położył na trawie. Przyniósł z tylnego siedzenia kosz piknikowy.

– Chodź. Nigdzie nie musimy się spieszyć. Popatrz na te gładkie skały. Rzeka spadająca po stopniach skalnych. Zjedzmy coś! – Józek zaczął zacieierać dłonie.

– Aż tak jesteś głodny, kochanie? – Pokiwała głową.

Po obfitym posiłku leżeli, patrząc na wodę i wędrujące nad nimi białe chmury. W pewnym momencie z zakola rzeki wypłynęły dwa łabędzie czarnoszyje.

– Spójrz, jak tu jest pięknie. – Evelyn rozpięła bluzkę i przytuliła się do Józefa dużymi piersiami uwiecznionymi w sztywnym biustonoszu.

– Żałujesz? – zapytał.

– Wyjazdu z Portugalii? Nie. Chociażby dla takich chwil – odpowiedziała i pocałowała go. – Od następnego miesiąca na stałe będę pracowała na oddziale intensywnej opieki dziecięcej w Santa Casa. To zawsze chciałam robić – dodała uśmiechnięta.

– Myślę, że za rok, dwa przy tych zarobkach, które mam, będzie nas stać na dom. Całe życie przed nami. Jeden znajomy namawiał mnie na zakup parceli nad jeziorem Pampulha. Sam już kupił. – Józef skrzyżował ręce pod głową i zmrużył oczy, patrząc na słońce.

Po chwili, jakby sobie coś przypomniał, wyjął z kieszeni beżowych spodni niewielkie pudełko, otworzył je, sięgnął do środka. Delikatnie ujął jej rękę i wsunął na środkowy palec złoty pierścionek z brylantami i niebieskim topazem.

* * *

Po przyjeździe do Rio zaproponował, żeby Evelyn w Copacabana Palace, ekskluzywnym hotelu, w którym się zatrzymali, wykupiła sobie wycieczkę po mieście, a zwłaszcza na Corcovado, i obejrzała prawie czterdziestometrową statuę Chrystusa Zbawiciela, plażę Copacabana, *Pão de Açúcar*, czyli skalny ostaniec nazywany Głową Cukru. A po powrocie czekała na niego nad hotelowym basenem. Ostrzegł ją jedynie, aby nie szła do kasyna, bo budżet, który dostał na wyjazd z firmy, mógłby tego nie wytrzymać.

Spotkanie z łącznikiem miał umówione w samo południe w barze popularnie już zwanym *Garota di Ipanema* przy plaży Ipanema.

Wsiadł do simki. Samochód zaparkował przy wejściu do *Copacabana Fort*. Do spotkania miał jeszcze półtorej godziny. Przez ostatnie dni studiował mapy i foldery turystyczne o Rio de Janeiro. Założył, że jego trasa sprawdzieniowa zaczęła się już w Belo, ale przez ponad czterysta kilometrów jazdy niczego podejrzanego nie zauważył.

Widok spod fortu był obłądny. Z prawej strony miał Copacabanę, a z lewej Ipanemę. Czuł się jak w objęciach dwóch pięknych dziewczyn. Od oceanu wiała lekka bryza.

Powolne tempo spaceru, regulowane kontrolowanym na zegarku czasem, i atmosfera pięknej plaży spowodowała, że Józek się uspokoił, jakby zapomniał, dokąd idzie. W barze po drodze zamówił *caipirinha*. Obserwował otoczenie oparty o wysoki stolik schowany w cieniu palmy.

Miał już może sto metrów do celu, gdy coś go tknęło. „Dlaczego wcześniej tego nie skojarzyłem. Co ze mną? – zaczął się zastanawiać. Przecież nie dostałem hasła ani żadnego znaku. Zatem będzie sam Al-Naggar? Może to ktoś z Centrali w Moskwie? Zapewne mnie zna ze zdjęć, może nawet był na którymś ze szkoleń w Portugalii. Musiał być! To bardzo prawdopodobne” – zakończył rozważania.

Józek wszedł do restauracji i go zamurowało. Wprawdzie lekko posiwiał i wyłysiał, ale to był nie kto inny jak Witek Nowacki, którego znał jeszcze z Tanganiki, a potem jego wieloletni kumpel z lizbońskiego sierocińca. Kontakt z nim urwał się kilka lat temu, gdy Witek bez pożegnania gdzieś zniknął. Dopiero teraz skojarzył, że Tarzan wspominał coś w Tel Awiwie, że Witek miał jechać do Ameryki Południowej. „Jak ja, kurwa, mogłem tego nie pamiętać!” Padli sobie w ramiona, jakby od ostatniego spotkania minęło nie kilka lat, ale co najmniej ćwierć wieku.

– Byku, tu cię zatem przywiało!

Usiedli na metalowych krzeselkach przy drewnianym stoliku w głębi restauracji. Zamówili chłodne mojitos z tequilą oraz steki, z których słynął bar. Na ścianach za szkłem połyskiwały zdjęcia muzyków sfotografowanych w tym miejscu – Vincenta Moraes i Antônia Carlosa Jobima.

– Co ty tu porabiasz, Witek! – Józef starał się chłonąć każdą chwilę, którą mógł spędzić ze swoim przyjacielem.

– Pracuję w firmie spedycyjnej. Duży przepływ towarów w porcie, załadunek, wyładunek, celnicy. Wiesz, jak to jest. Do tego szemrane towa-

rzystwo marynarzy, chociaż to i tak lepsze niż śmierdzący rybacy. Ale są i plusy. Piękne dziewczyny na plaży i w nocy w *boate com striptease*! Słyszałem, że załapałeś się do kopalni diamentów. No, no... to jest dobre. Pachnie dużymi pieniędzmi, brachu. – Nowacki cmoknął.

– Na razie bardziej kurzem, brudem, kopalnianym pyłem, a nie kasą. Ale świetnie się składa. Pomożesz mi w jednej sprawie w porcie. Nikogo tu nie znam.

– No pewnie. Już znasz. Mnie! – Uderzył się dłonią mocno w pierś.

Kelner przyniósł napoje i grillowane porcje wołowiny – pokrojonej w plastry, średnio wysmażonej i obłędnie pachnącej.

– Słyszałem, że z nią jesteś?

– Z kim?

– Z Evelyn.

– Tak. Skąd wiesz?

– Słyszałem co nieco. Od niego, no i wiesz...? Al-Naggar nie robi problemów?

– W sumie robił. Ale jakoś się ułożyło po naszej myśli. Już przełknął tę gorzką pigułkę. Kocha córeczkę nad życie. Ale wiesz, Witek, wydaje mi się, że chyba nie puścił tej informacji do naszej Centrali. – Józef się uśmiechnął.

– Ciekawe, cholera. Też miałem przecież parę zakrętów życiowych i mnie wyciągnął. Odniosłem wrażenie, że nie wszystko przekazuje do... Wiesz? Ja dla niego zrobiłbym wszystko...

Potem zaczęli wspominać afrykańskie wyprawy w masyw Kiliman-dzaro, bujanie się na lianach oraz grę w piłkę nożną w sierocińcu i wyjazdy do Estoril na plażę. Witek wypytywał o innych kolegów, ale Józek zbył go tylko ogólnymi informacjami o Tarzanie. Przy kolejnych mojito zaczęli wspominać wujka Al-Naggara, ale też Petrosa. Józek opowiedział, co się z nim stało. Witka to zaskoczyło. Nie wiedział o tym tragicznym wydarzeniu. A sam jakoś się nie dopytywał. Może dlatego, że był nieco starszy, inaczej wtedy patrzył na świat. Mniej był z nim związany uczuciowo. Może nie potrzebował ojcowskiej ręki Wartaniana?

– Spotykamy się raz na dwa miesiące. W ostatnią sobotę parzystego miesiąca, w tym samym miejscu co dzisiaj w południe. Gdy nie będzie to możliwe, to w niedzielę o tej samej porze. Miejsce zapasowe jest w parku *General Osorio* przy straganie, na którym sprzedają malowane kolorowe obrazki drzwi, okien ze starych kamienic i tego typu pierdoły. Cztery

godziny później od zasadniczego czasu, czyli o czwartej po południu. Dotyczy to zarówno soboty, jak i niedzieli. Zapamiętasz?

– Tak.

– Gdyby stało się coś wyjątkowego, to dzwoń do mnie do firmy pod pozorem... tych spraw, które masz załatwić dla swojej firmy. W drugą stronę to samo. Ale tylko w sytuacji alarmowej. Potem wymienimy się namiarami. A, jeszcze jedno, zapomniałbym ci to powiedzieć. Zmieniłem imię i nazwisko.

– Tak? Na jakie?

Nowacki kiwnął głową w kierunku dużego zdjęcia przedstawiającego muzyków.

– Vinicius, senhor José. – Mrugnął do kolegi.

– Jasne. Witek. A teraz przejdźmy do spraw zasadniczych. W gazecie jest meldunek. – Ruchem głowy wskazał leżącą na stoliku „Gazeta Esportivo”. – Ogólnie Izraelczyków interesują esesmani, a konkretnie jeden – Mengele. Namierzyłem go, żyje i mieszka w Brazylii, a nie w Paragwaju czy Argentynie, jak piszą w gazetach.

– Oooo! To ciekawe! Coś czytałem o tym nazistowskim chuju. Myślę, że naszych te informacje mogą zainteresować. Dobra, ale mam dla ciebie główne zadania. Przyszły niedawno.

– Słucham.

– W Moskwie chcą coś wiedzieć na temat miejsc wydobycia diamentów i ruchu związkowego w kopalniach, o ile się pojawi. W ogóle zwracaj uwagę na wszelkie przejawy buntu, niezadowolenia społecznego. Lewicową partyzantkę. Jednocześnie staraj się już na starcie łapać kontakt z organizatorami. Proponuj wstępnie pomoc finansową. Szczegółowe instrukcje mają przysłać niebawem. Przekażę ci przy następnym spotkaniu.

– Jasne.

– Przygotuj się, że Chile, Boliwia, Peru, Kolumbia, no i Wenezuela wejdą w orbitę naszych zainteresowań właśnie z tego powodu. Pewnie Ameryka Środkowa też, tak czuję. Trochę popodróżujemy, kolego. – Uśmiechnął się.

W tym momencie przy wejściu do baru usiadło dwóch mężczyzn z gitarami. Po chwili prób, beładnego brzdąkania, z ich instrumentów popłynęła nostalgiczna melodia. Jeden z nich zaśpiewał miękkim głosem o uroczej wysokiej dziewczynie, która z rozwianymi włosami zmierzała na pobliską plażę i... nigdy nie odwróciła się do autora piosenki.

*Olha que coisa mais linda mais cheia de graça
É ela menina que vem e que passa
Num doce balanço, caminho do mar...*

Józef jakby zastygł i wsłuchał się w dźwięki gitary i słowa płynące z ust młodego mężczyzny. Po zakończeniu piosenki pożegnał się z Witkiem. „Muszę tutaj zaprosić na kolację Evelyn. Ta piosenka jej się spodoba. Na pewno! Jest niesamowita!” – pomyślał i wstał z krzesła.

Chociaż do hotelu miał blisko, musiał wrócić po samochód. Powrót wykorzystał do sprawdzenia, czy nikt za nim nie jedzie.

* * *

Był pewien majowy wieczór, kiedy Alberto Farid wywołał telefonicznie spotkanie na Medcaro Central. Następnego dnia Józef wybrał się o wyznaczonej godzinie pod bar Jilo. Szedł za Albertem po bazarze przez kilkanaście minut. W końcu zatrzymali się przy podobnym barze. Alberto poprosił dwa *choppy* – piwa prosto z beczki.

– Zjesz coś?

– Tak, chętnie.

– W piątki podobno dają tu najlepszą *feijoada*. – Zamówił u grubego Metysa za wysoką ladą dwie porcje.

Przez dłuższą chwilę delektowali się chłodnym piwem i przyglądali kolorowemu tłumowi, wrzeszczącym handlarzom i różnym typkom, którzy dogrywali tu pokątne transakcje. Na ladę wjechały dwa talerze z pachnącą tradycyjną potrawą z fasoli.

– Dostałem instrukcję z Paryża. Nie zdążyłem przepisać, więc ci przekazę ustnie – zaczął szeptem łącznik Józefa.

– Rozumiem.

– Rozkaz sprowadza się w zasadzie do oczekiwania i niepodejmowania działań na tym kierunku.

– Ale jak to?! Miałem odnaleźć obiekt. A teraz tak po prostu koniec?! Jesteś pewien? Potwierdziłeś to?!

– Tak. Poprosiłem o potwierdzenie. Przyszło.

Józef długo nie mógł dojść do siebie. Jadł nerwowo. Wypił piwo i poprosił o kolejny kufel. Czuł, że coś zaczęło się w nim buntować. Alberto, doświadczony oficer Mosadu, widząc to, powiedział:

– Spokojnie. Po prostu zmieniły się nasze priorytety. Powiem ci w zaufaniu. Zmienili Harela. Zastąpił go jakiś generał Amit, który uznał, że zamiast ścigać zbrodniarzy wojennych, musimy jako służba zapewnić bezpieczeństwo państwu Izrael, dla którego zagrożeniem są przede wszystkim sąsiedzi.

– To co mam robić?

– Jak to co? Czekać, obserwować obiekt i zbierać na jego temat informacje. Nie podejmować żadnych działań ofensywnych. Temat trafia do zamrażarki. Nie pierwszy i nie ostatni. Proste. *Ola*, młody. – Zapłacił i wmieszał się w tłum.

Izrael rozpoczął właśnie Operację Damokles, polegającą na wysłaniu bomb do niemieckich naukowców, którzy współpracowali z Egipcjanami przy budowie rakiet. Reszta schodziła na dalszy plan.

Rozdział 16

Brazylia – maj 1967 roku

Wokół było słychać odgłosy lasu tropikalnego, szelest liści i pojedyncze krzyki ptaków. Wydawało się, że podłoże się porusza, a komary atakowały całymi chmarami.

Mężczyzna zapalił latarkę i omiół światłem ziemię oraz pobliskie drzewa. Postawił krok na stopniu drabiny, poczuł, jak pod jego ciężarem lekko się ugięła i zaskrzypiała. Wszedł na prymitywną wieżę obserwacyjną. Gdy znalazł się na samej górze, zauważył, że w rogu stoi puszka z niedopałkami i leży lornetka. „Czyli on też wykorzystuje to miejsce jako punkt obserwacyjny. Boi się” – pomyślał. O psy tym razem się nie martwił. Zdołał je przekupić mięsnymi smakołykami w czasie kilku wcześniejszych rozpoznawczych wizyt. Kupował odpady mięsne, które każdorazowo rozrzucał po *mato*. Kundle od pewnego czasu zaczęły się do niego po prostu łąsić.

Podniósł do oczu wojskową lornetkę, którą miał zawieszoną na szyi na skórzanym pasku. Spojrzał na parterowy dom oddalony o dwieście metrów. W środku panował półmrok. Pomieszczenie rozjaśniał jedynie płomień kilku świec. Widział, że gospodarze domu, małżeństwo Stammerów, kilkanaście minut temu wyjechali z farmy samochodem.

Pokręcił okular i przybliżył obraz. Mengele siedział przy stole i coś notował. Józef patrzył na niego już przez kilka minut, gdy ten nagle odwrócił głowę do okna. Nie, nie mógł go widzieć. Józek odruchowo oderwał jednak lornetkę od oczu.

„Mengele jest człowiekiem przestraszonym, funkcjonującym na skraju wyczerpania nerwowego” – zaobserwował już jakiś czas temu Józef. Wydając robotnikom na farmie rozkazy, zawsze starał się podkreślać swoją wyższość. Jednocześnie sam pracował ciężko od świtu do zmroku. Jakby w ten sposób chciał stłumić strach. Po kilku latach obserwacji Józef doskonale wiedział, jakie ma nawyki, jakie dziwactwa. Niejednokrotnie dochodziło do kłótni ze Stammerem. Józef domyślił się, co mogło być tego przyczyną. Pewnego wieczoru, kiedy obserwował farmę, zauważył, że Mengele całuje jego żonę. Widział też, że co jakiś czas jest odwiedzany przez rodaków z Niemiec, Sedlmeiera, Gerharda i Rudla.

Z centrali Mosadu dostał polecenie, aby zdobyć jego odciski palców. To zadanie nie wydawało się zbytnio skomplikowane. Rozniecił ogień na wieży. Gdy pojawiły się płomienie, zeskoczył z wieży, ukrył się i rzucił w tamtym kierunku związane sznurkiem puszką. Narobiły one sporo hałasu. Mengele zauważył ogień. Pobiegł w tym kierunku.

W tym momencie Józef bezgłośnie wśliznął się do domu. Mieszkanie było niewielkie i pozbawione jakichkolwiek wygod. Jedną z izb zajmował Mengele. Poza kredensem, a także prymitywną kuchnią na drewno stały w nim tylko łóżko przykryte kocem i stół z dwoma krzesłami. Józef podszedł do niego i zabrał szklankę. Dostrzegł notatnik. Zaczął wertować kartki. Potem kilka z nich wyciął nożem. Wtedy usłyszał za sobą jakiś ruch i dźwięk. Odwrócił się gwałtownie i cofnął odruchowo. Ciarki go przeszły. Z ciemności spoglądały na niego oczy wielkiego psa. Józef powolnym ruchem sięgnął do kieszeni, wyjął schowany tam kawałek mięsa i rzucił mu. Wyszedł z domu. Omijając łukiem wieżę, zobaczył, że Mengele zdusił już ogień za pomocą jakiejś szmaty.

Wrócił do samochodu zaparkowanego kilometr od farmy. Gdy usiadł w fotelu, przejrzał zapisane kartki wyrwane z notatnika. Zapiski równym pismem zrobiono w języku niemieckim. Józef zauważył, że zamiast nazwisk są inicjały lub pseudonimy. Ruszył w drogę powrotną do Belo.

Do spotkania z Nowackim w Rio miał jeszcze cały dzień. Postanowił, że jak zatrzyma się na noc w hotelu, zrobi odpis fragmentów z notatnika i przekaże materiał koledze do wysłania do Moskwy. Natomiast oryginalne kartki odda wraz z notatką Alfredowi, z którym wywoła spotkanie po powrocie z Rio.

Jadąc służbowym błękitnym buickiem riviérą do Rio przez cały czas myślał o wspólnych wypadach z żoną nad ocean ich czerwoną alfą romeo giulią, którą niedawno kupili. Była to ich ulubiona rozrywka. Dla Evelyn stanowiła odskocznię od pracy w szpitalu, dla niego od ciągłych podróży w miejsca, gdzie prowadzono poszukiwania i wydobywanie. Razem spędzali wtedy dwa dni, długo spacerowali, potem leżeli w łóżku, karmili się przysmakami z owoców morza i namiętnie kochali. Stanowili jedność. Ich miłość ani trochę nie gasła.

Józef powoli zapominał o Wartanianie, nie szukał odpowiedzi na pytania, kto go zabił i dlaczego.

* * *

– Jak się czujesz po przeprowadzce? – zapytał na początku Nowacki.

– Dobrze. Teraz mamy większe mieszkanie w dzielnicy São Luís, obok nowego stadionu. Piękna okolica. Kupiłem działkę niedaleko i może kiedyś coś zbudujemy. Namówił mnie w końcu znajomy z pracy. Może jakiś basen koło domu? A Evelyn niebawem leci do Londynu na spotkanie z ojcem – skłamał Józef.

– A jak sobie radzisz w pracy? Bo jak byliśmy w Boliwii z zaopatrzeniem dla Che, to narzekałeś, że męczą cię te wyjazdy w teren w poszukiwaniu złóż. Masz swobodny dostęp do dokumentacji technicznej? – Witek był dociekliwy.

Józek odniósł wrażenie, jakby kolega gromadził o nim informacje, które mogły być uważnie analizowane w moskiewskiej Centrali. Trochę go to zaniepokoiło, bo ze wszystkich zadań wywiązywał się bez zarzutu. „Szkoda, że Witek wprost mi nie powie, o co chodzi. Nie może? Nie chce? A może po prostu jest tylko ciekawski?” – zastanawiał się.

– Rozwala życie rodzinne. Jedyna korzyść, że finanse się zgadzają. – Józef się uśmiechnął. – Mam dostęp do papierów. A co, chcesz się u nas zatrudnić? – zapytał wesoło.

– Nie. Centralę interesują metody prac poszukiwawczych, z którymi masz do czynienia. Wiesz, być może chcą je wykorzystać w poszukiwaniach złóż na Syberii. Aha, i te wszystkie informacje o tym naziście Mengelem. Bardzo się nim zainteresowali, tak samo jak te twoje Żydki.

– To ciekawe. Bo ich akurat coraz mniej ten temat interesuje.

– Dziwisz się? Nie czytasz gazet? Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że będzie nowa wojna. Arabowie ruszą na Izrael. To zaprzęta ich uwagę. I właśnie dlatego naszych tak bardzo interesuje ten pierdolony Niemiaszek.

– Bo?

– Chodzi o to, aby pomóc naszym braciom Arabom...

– To oni teraz nasi bracia? Te brudasy? Pamiętasz ich z Heliopolis?

– Oj, pieprzyć ich. Niech ci będzie, naszym egipskim sojusznikom. Pomysł jest taki, aby temat Mengelego ponownie pojawił się w przestrzeni publicznej. Aby wywiad izraelski musiał rozproszyć swoje siły i środki do weryfikacji nowych informacji. Niech ponownie stworzą kilka grup operacyjnych, niech sprawdzają każdy nowy trop. Trop, który my im podrzucimy. Rozumiesz?

– Taak... Cwana i widać poważnie przemyślana taktyka. Ale przecież oni dostają ode mnie meldunki. Doskonale wiedzą, co jest prawdą, co nie?

– To wiesz ty, to wiedzą Żydzi. Nie wie tego opinia publiczna. Nie wiedzą tak zwane autorytety polityczne, społeczne, moralne i chuj wie jakie jeszcze. Możemy ich wykorzystać do wywierania nacisku na państwo Izrael, aby musieli sprawdzać, kto odwiedza tego Niemiaszka na farmie. Kto ma z nim kontakt? Kto go finansuje?

– I to się ma udać?

– Z tego, co napisali w instrukcji, jest duża szansa, aby osiągnąć sukces. Możliwe jest związanie ich sił i odciążenie od tego, co dzieje się na Bliskim Wschodzie. Tym bardziej że okazja jest ku temu doskonała.

– Wychodzi na to, że sprawa jest na już.

– Tak. Centrala pisze, że ten Wiesentahl z Wiednia... Słyszałeś o nim? – Józek kiwnął głową. – Ten mitoman zaraz wyda swoją książkę pełną absurdalnych sensacji i bzdur, a w Niemczech trwa kolejny proces załogi Auschwitz.

– Czyli my możemy wykorzystać ten moment do siania zamętu.

– Doskonale myślisz. Dlatego ty masz zadanie, aby jak najczęściej informować ich o osobach, które go odwiedzają. A my i tak stworzymy wokół jego gości kolejne legendy. Nadmuchamy ich, zrobimy z nich małe bestie, które wspierają dużą bestię z Auschwitz. On będzie wrogiem publicznym numer jeden! Niech się uganiają za nimi po świecie!

– Ale chyba nie chodzi o to, aby zdekonspirować jego kryjówkę?

– Ależ skąd?! Żydki nie mieliby wtedy kogo ścigać. Wrzucimy im na celownik Argentynę i Paragwaj z tym ich śmiesznym faszystowskim dyktatorkiem Stroessnerem. Niech Izrael się gimnastykuje i dementuje plotki, a że nie jest wiarygodny, niech się dalej kompromituje. Komu ludzie wierzą? Komu wierzą więźniowie z Auschwitz? Jak myślisz?

– Nie Izraelowi, który nic nie robi. A temu, jak się sam nazywa, łowcy nazistów Wiesenthalowi, który podąża ich tropem?

– No widzisz. Zrozumiałeś. A dodatkowo obracamy na jednym ogniu drugą pieczeń w postaci osłabienia wiarygodności Izraela jako państwa. Józef! To jest wojna, nowoczesna wojna, w której bronią jest INFORMACJA. Dlatego jak najszybciej coś im podrzuć o tym naziście. Jesteś zdolny, zorientujesz się, co najchętniej łykną. – Witek szeroko się uśmiechnął. – Kończmy nasze steki z *tutu de feijao*. Lubisz fasolę z maniakiem?

– Tak, już się do tego przyzwyczaiłem.

– Ja uwielbiam. Jak coś będziesz miał, to dzwoń.

* * *

– Co się stało? – zapytał stojący przy barze Jilo Alfredo. Grzebał widelcem w talerzu z wątróbką i co chwila popijał zimne piwo, spoglądając na przepychających się ludzi na targowisku.

– Mam dla was ważną informację. – Józek wziął oddech. – A w ogóle dlaczego tutaj rozmawiamy?

– Bo coś mi tu nie gra. Miałeś czysto? Nic nie zauważyłeś? Zwłaszcza faceta, który wygląda na nietutejszego.

– Nie. Ale niespecjalnie sprawdzałem. Tyle razy...

– Na tym to polega. Przeciwnik czeka na ten jeden raz. Na moment twojej słabości. Chodź za mną. Uważaj.

Ruszyli wzdłuż budynku, potem przeszli pod mur. Józek idący kilkanaście metrów za nim, zauważył, że zmierzają do narożnego budynku z trzema bramami. Kiedy Alfredo do niego wszedł, a Józek był zaledwie metr od wejścia, nagle w mur uderzyły dwa pociski. Józek odruchowo schylił się i wbiegł wprost na Alfreda, który już celował ze swojego browninga. Usłyszał pięć, może sześć strzałów oddanych z budynku.

– Uciekaj. To o ciebie chodziło. Słyszysz?! – Ponownie strzelił kilka razy.

Handlarze rozbiegli się w panice. Józek biegł w poprzek bazaru. Przedzierał się przez tłum zdezorientowanych ludzi. Im bardziej oddalał się od miejsca strzelaniny, tym bardziej sytuacja stawała się normalna. Kiedy zdyuszany wychodził bramą naprzeciwko białego kolonialnego budynku z kolumnadą, panował tu zupełny spokój. Jakby nic się nie stało. Zapewne miejscowi byli przyzwyczajeni, że lokalni gangsterzy nie zawsze dogadują się co do ceny towaru bądź terminu dostawy i wtedy dochodzi do głosu siła.

Kiedy Józek szybkim krokiem szedł do zaparkowanej alfy romeo, Alfredo wskakiwał już na swój motocykl i nie oglądając się, ruszył w kierunku Rio. Po chwili Józek pędził samochodem przez miasto, mijając niebieskie trolejbusy z białymi zderzakami, sznur kolorowych aut i przecinające mu drogę biało-pomarańczowe tramwaje wypełnione ludźmi. Zatrzymał się przy ratuszu. Wybiegł z auta i podszedł do telefonu przy portierni. Wybrał numer domowy.

– Evelyn?!

– Tak! Miałeś już być! Jak ja mam wyjść do pracy?! Nie pamiętasz? Mówiłam ci. Wzięłam dzisiaj dyżur, żebyśmy pojechali w końcu na wycieczkę w sobotę.

– Zaraz będę, kochanie, zaraz będę... – powiedział nieco przestraszonym głosem, ciężko łapiąc powietrze.

Odłożył słuchawkę. Wspomnił teraz, co mu mówił kiedyś Armando, żeby kupił sobie porządnego gnata. „Kurwa, miałeś rację, miałeś rację” – powtarzał w myślach. Ruszył już spokojnie do domu.

* * *

Rano w biurze Józek przeglądał gazety. Otworzywszy na ostatniej stronie „Gazeta de Minas”, jeszcze przed działem sportowym zobaczył w rubryce *Kronika kryminalna* opis wczorajszej strzelaniny na bazarze. Policja informowała, że doszło do porachunków gangsterskich grupy miejscowej z kimś z bandy z Manaus. Pod spodem było zdjęcie ofiary, doskonale mu znanego byłego majora Abwehry Matheusa Klossego. „Porachunki? Jakie porachunki! O co poszło?” – pomyślał.

Józef musiał teraz przekazać raport dla Izraelczyków. Szczegółowy opis akcji i starannie przemyślaną informację sporządził na papierze, który następnie sfotografował za pomocą aparatu sprzężonego z mikroskopem. Kiedy było już późno w nocy, w łazience spreparował odpowiednio kliszę, zdejmując z niej emulsję. Następnego dnia, podklejając mikrokropkę pod znaczek *correio aéreo*, wysłał list do Paryża.

Zaraz potem pojechał do Piedadedos Gerais, miejscowości oddalonej o sto dwadzieścia kilometrów. Miał tam swój sad owocowy i niewielki domek z budynkiem gospodarczym, w którym znajdowała się prasa do robienia soków. To było miejsce, w którym odpoczywał, które dodawało sensu jego życiu.

Już w czasie studenckich uciezek na wzgórze i do parku *Altodos Gaios* w Estoril postanowili z Evelyn, że kiedyś założą niewielki sad, gdzie będą hodować drzewka owocowe.

Na kablu doprowadzającym prąd do wiejskiego domu siedziały dwa tukany z pomarańczowymi dziobami.

Prasę do tłoczenia owoców z twardych desek, bo takie są odporne na działanie czasu i wilgoci, zlecił wykonać miejscowemu rzemieślnikowi. Trzy stalowe kręgi, na których ułożył deski, stworzyły beczkę. Dno beczki

zamknięte było blachą z dziurkami. To wszystko umieszczone zostało metr nad ziemią na stelażu. Beczka postawiona została na blasze większej niż obwód beczki tłoczącej. To do niej wpływał wyciskany sok. Blacha była tak wyprofilowana w jedną stronę, żeby sok spływał do stojących na ziemi szklanych pięciolitrowych słoików. Mechanizm docisku składał się z grubej blachy, do której przyspawane były pręt z gwintem i dźwignia do kręcenia. Tłok gładko wchodził w środek beczki, dociskając znajdujące się w środku owoce.

Przed tłoczeniem Józef środek beczki wyklepał uszytym z bawełny workiem, tak żeby przepuszczał sok z wyciskanych owoców, a jednocześnie nie pozwolił pulpie wydostać się na zewnątrz.

Tym razem postanowił zrobić sok z pomarańczy i jabłek sprowadzonych z Parany, z okolic Kurytyby. Zaczął obierać owoce ze skórki. Zajął mu to kilkadziesiąt minut. W tym czasie zupełnie zapomniał o tym, co niedawno go spotkało. Strzelanina na bazarze była już tylko wspomnieniem. Po obraniu pomarańczy i jabłek dodał do nich bombę witaminową – acerolę. Te małe owoce zawierają mnóstwo witaminy C i nadają wyciśniętemu sokowi lekko kwaskowaty posmak. Smak aceroli Józef poznał w trakcie studiów w Lizbonie. Kiedy z Evelyn chodzili na długie spacerowanie zakamarkami miasta, nieraz natrafiali na stragany z dziwnie wyglądającymi jagodami.

Gotowy sok schłodził, a potem dodał do niego garść świeżych liści mięty. Już sama pomarańcza z acerolą i miętową nutą była lokalnym przysmakiem na upalne dni. Zdarzało się, że po pięciolitrowe baniaki przyjeżdżali do nich znajomi. Wielkim amatorem tych soków był Armando. Mówił, że nuta jabłka przypomina mu Polskę.

Czasem Józef robił sok z ananasów kupowanych na miejscowym targu. Przed tłoczeniem musiał obrać owoc ze skóry i w całości włożyć do lodówki lub zamrażalki. Nie na długo. Chodziło o to, żeby miąższ był zimny. Najlepsze soki wychodziły ze średnio dojrzałych ananasów.

Niekiedy na specjalne okazje wyciskał też soki z papai nazywanej owocem aniołów, i to był ulubiony sok jego Evelyn. W tym wypadku pracy było jeszcze więcej. Do owoców pokrojonych w kostkę musiał dodać sok z pomarańczy, który wcześniej tłoczył, ale też sok z cytryn i miód. Miód nadawał sokowi lekko oleistą konsystencję.

Taką mieszankę pili zawsze mocno schłodzoną, z dodatkiem białego rumu. Zabierali ją na wycieczki nad Atlantyckie Wybrzeże. Tam, siedząc na plaży

o zachodzie słońca, wsłuchiwali się w rozbijające się z hukiem oceaniczne fale.

* * *

Do Józefa od pewnego czasu dochodziły echa dezinformacji na temat Mengelego. Prasa została zalana spekulacjami o jego poszukiwaniach. Niemieckie gazety co jakiś czas rozpisywały się o tym, że jest chroniony przez uzbrojony oddział w Paragwaju, a jego tropem podążają agenci Mosadu i nie są w stanie go dopaść. Nikt nie wierzył w dementi ze strony izraelskich władz, wszyscy byli przekonani, że kłamią, aby ukryć swoje rzeczywiste zamiary, czyli porwanie Mengelego.

Oliwy do ognia dolewał co jakiś czas Wiesentahl, który podawał, że nie tylko jest na tropie zbrodniarza, lecz także że Mengele morduje osoby, które go rozpoznawały. Karmiony umiejętnie między innymi informacjami z Brazylii *via* Moskwa, puszczał do prasy rzekome informacje, jakoby nazista otoczony uzbrojonymi ochroniarzami bywał w najbogatszych restauracjach Asunción. Miał poruszać się luksusowym czarnym mercedesem. Innym razem ogłaszał, że Mengele ukrywa się w bazie wojskowej w Paragwaju albo pławiał się w południowoamerykańskim luksusie.

Moskwa wykorzystywała w swojej operacji mieszkającego w Wiedniu od początku lat sześćdziesiątych polskiego Żyda, Cezarego Barylczyka. Prowadził on antykwariat, w którym obrazy zamawiał właśnie Wiesentahl. Sprawę w Wiedniu nadzorował kolega Józefa z Tenger Krzysiek Ossowski „Mały”, występujący teraz jako Christopher Vespa, oficjalnie zatrudniony w wiedeńskim oddziale Raiffeisen Bank International AG.

Rozdział 17

Brazylia, Polska – wiosna 1979 roku

Na początku 1979 roku Józef spotkał się z jednym z pracowników zatrudnionych u Mengelego. Potem zredagował do moskiewskiej Centrali pilną informację.

W dniu 7 lutego br., w godzinach wieczornych, w czasie kąpieli w oceanie obiekt prawdopodobnie dostał udaru mózgu i utopił się. Świadkiem jego śmierci był Wolfram Bossert. Został pochowany na cmentarzu Nossa Senhora do Rosário na wzgórzu w Embu, dwadzieścia kilometrów na zachód od São Paulo. Dokładnego miejsca pochówku i nazwiska na grobie nie znam.

W czasie pilnie wywołanego spotkania z Nowackim Józek dostał polecenie, aby o śmierci Mengelego nie powiadamiać Izraelczyków. Miesiąc później łącznik poinformował go, że Centrala w Moskwie odwoływała go tymczasowo do wykonania zadania w Polsce. Sprawa nazistowskiego zbrodniarza została dla niego zakończona.

* * *

Beżowy fiat 125p z napisem *Radio taxi*, rysunkiem stylizowanej słuchawki i numerem 919 na drzwiach zatrzymał się przed pięciopiętrową kamienicą w stylu wczesnego modernizmu. Na pierwszy rzut oka widać było, że budynek wzniesiony przez Marcusa Schwarcmachera na początku XX wieku swoją świetność ma już za sobą. Ale przetrwał zawieruchę wojenną, o czym świadczyły liczne ślady po pociskach.

Józek wysiadł z samochodu. Kierowca, licząc na solidny napiwek w twardej walucie, wyciągnął z bagażnika dwie okute na rogach walizki. Już mocno zużyte. Przez ramię Józek przewiesił skórzaną torbę. Poprawił szarą marynarkę w trzyczęściowym garniturze. Z małej kieszonki w kamizelce wyjął banknot pięciodolarowy. Wręczył go kierowcy.

Stanął przy bramie wejściowej z numerem 18. Spojrzał na zniszczone zwieńczenia półkolumn z rzeźbami dziewczynki trzymającej gołębie oraz chłopca z winogronami. Kiedy szedł powoli po schodach, pod jego czar-

nymi mokasynami Gucciego zgrzytały drobinki piasku i kawałki odpadającej lamperii.

Józek zatrzymał się przed dużymi drzwiami z numerem 4. Zgodnie z instrukcją zadzwonił trzy razy z wyraźnymi odstępami. Odczekał chwilę. Zapukał w ten sam sposób cztery razy. Drzwi się otworzyły. Józek od razu zrozumiał, dlaczego od swojego łącznika w Brazylii nie dostał hasła ani znaku rozpoznawczego. Mógł się tego spodziewać, ale jednak trochę był zaskoczony. W drzwiach stał Szymek Bittner, jego najlepszy kolega z obozu w Tenger.

– Tobie też nie powiedzieli! – odezwał się Józek i wpadł w ramiona Szymka.

– Wchodź! Nic się nie zmieniłeś. Masz ze sobą tego ołowianego Australijczyka?! – Uśmiech nie zniknął z ich twarzy.

– Zawsze go wożę ze sobą.

Drzwi się zatrzasnęły.

– Poczekaj, muszę włączyć alarm. – Szymek się schylił.

Jakieś pół metra nad podłogą na ścianie znajdowała się niewielka metalowa skrzynka z trzema wyłącznikami i drzwiczkami na kluczyk. Mężczyzna zaczął przy niej manipulować.

– Zaraz ci to objaśnię. Nigdy nie otwieraj drzwi bez włączenia alarmu i zawsze go włączaj, jak wychodzisz czy idziesz spać. W dzień wyłączaj, bo on może zareagować w przedpokoju i przy drzwiach wyjściowych na drugi korytarz – dodał.

Józek stał w długim pięciometrowym korytarzu wyłożonym kasetonami i z wielobarwnym parkietem. Wysokie prawie na cztery metry mieszkanie sprawiało wrażenie zadbanego.

– Chodź, zapraszam! Po prawej masz sypialnię – rzucił Bittner i ruszył w kierunku salonu.

Józek minął trzydziiałowe przeszklone drzwi i wszedł do dużego pokoju. Z sufitu zwisał kryształowy żyrandol, nad nim znajdowała się stylowa okrągła rozeta, a wzdłuż ścian ciągnęły się sztukaterie z motywami roślinnymi. Postawił walizki, zawiesił torbę na oparciu krzesła. Zaczął się rozglądać po pokoju. „To tu będę teraz żył. Bez Evelyn, bez moich kwiatów i owoców w ogrodzie” – pomyślał.

– Nie martw się, Józek! – Bittner klepnął go mocno w ramię. – Będzie ci tu wygodnie. Ponad sto sześćdziesiąt metrów porządnego, przedwojennego mieszkania burżujów. Z salonu masz wyjście na balkon, obok

z pokoju też, nawet przy pokoju służbowym masz mały balkonik – zachwalał Bittner, otwierając wysokie drzwi balkonowe. – Przygotuję coś do zjedzenia i picia. Siadaj i odpocznij. Mamy dużo do obgadania.

– Nie jestem specjalnie zmęczony. W końcu te dwie i pół godziny lotu z Londynu nie takie wyczerpujące.

– Teraz będziemy pracować razem. – Józef westchnął i wychylił kieliszek zimnej wódki, którą momentalnie przyniósł z lodówki Bittner.

Wziął w dłoń półlitrową butelkę żytniej i ponownie napełnił kieliszki.

– Powiedz mi, Szymek, co to w ogóle za mieszkanie. Bardzo ładne, kilka pokoi...

– Najważniejsze, że nasze. Posiadamy tu łączność specjalną. Po kablach mamy wejście na centralę polskiego MSW i dalej na centralę międzynarodową. Z mieszkania jest kilka wyjść. Drugie przez klatkę oficyny na Nowogrodzką albo na Jerozolimskie do bramy. Niedaleko masz biuro Aeroflotu i sklep *Pekari*. Tam zawsze dużo ludzi się kręci, ale możesz też przejść piwnicami na dwa zaplecza – sklepu i knajpy.

– Jestem pod wrażeniem.

– Musisz wiedzieć coś jeszcze. Obok, w kamienicy, na drugim piętrze, swój punkt zakryty mają Polacy ze Służby Bezpieczeństwa. Jeszcze kilka lat temu mieszkał niedaleko, właśnie w tym domu nad biurem Aeroflotu, ten cały Leopold Trepper. Wiesz, ten z Czerwonej Orkiestry.

– Słyszałem. Ale on chyba w końcu wyjechał do Izraela.

– Tak. Bambus teraz tylko co jakiś czas się tu pokazuje. Przyjeżdża turystycznie. Przynajmniej oficjalnie.

– Kto? – Znowu wychylił kieliszek, wcześniej stukając o szkło Szymka.

– U Polaków ma taki pseudonim. Centrala zobowiązała mnie, żebym dodatkowo go nadzorował, kiedy mieszkał na stałe. Bo kiedyś dziennikarze belgijscy próbowali go wywieźć, potem wywiad francuski kręcił się koło niego. Sam rozumiesz.

– Sojusznik sojusznikiem...

– Tak, do czasu. Właśnie. Mamy dodatkowo naszą technikę u niego w mieszkaniu. Ale tego towarzysze polscy nie wiedzą. Dlatego uważaj, żeby niepotrzebnie nie na nich wpaść.

– Szymek, no co ty?! Siedzę w tym... Sam wiesz ile.

– Tak? Bambus też był taki cwaniak, a kiedyś podobno, jak chciał się urwać, to przy Kruczej wpadł przypadkowo na obsługę punktu. Akurat była

zmiana obsady.

– I co?

– Co się stało?! Pewnie pogadał sobie, sobaczy chuj, z jednym z nich i rozeszli się. Ale wychodzi na to, że ten młody z безпеki nie puścił pary z ust. Bo miałyby przejebane na Rakowieckiej. I coś dotarłoby do nas.

– A na kogo jest to mieszkanie? To znaczy jak z jego legalizacją? Żebym wiedział.

– Nakaz najmu załatwiony jest wiele lat temu na jakiegoś starego Polaka. Byłego powstańca warszawskiego. Tyle że to żaden, kurwa, powstaniec. Nasi zwerbowali go zaraz po wojnie właśnie do tego typu spraw legalizacyjnych w Polsce. A jakie w Krakowie mamy fajne mieszkanie! Mniejsza z tym... Podaje się za rodowitego warszawiaka, za przedwrześniowego podoficera Korpusu Ochrony Pogranicza, bohatera walk na Śródmieściu, że przepłynął Wisłę pod koniec powstania i takie tam... Taka jest jego legenda. Podbudowaliśmy ją mocno przedwojennymi dokumentami. Nawet nie wiem, skąd u nas w Centrali mieli takie kwity. Mówię ci, stary, oryginalne! Przysłali kurierem cały pakiet. Zresztą nikt nie będzie się czepiać. Tylko cieciowej daj czasem parę zielonych. Będzie trzymała mordę na kłódkę. A niedługo to załatwimy inaczej.

– Kiedy zaczynamy. Chciałbym trochę się zaaklimatyzować. Nie mogę się jeszcze pozbierać po tym, jak się dowiedziałem, że wujek miał wylew i zaraz po tym zmarł w szpitalu w Kairze. Wiesz, on dla mnie...

– Józek! A myślisz, że dla mnie nie! Jak mi łącznik specjalny powiedział, że sprawę będzie prowadził w Polsce kto inny, bo Al-Naggar umarł, to co myślisz! Napijmy się za spójnik jego duszy, która nie istnieje według naszego oglądu świata. – Tym razem on rozlał do kieliszków wódkę, już z drugiej butelki.

Ta wypłynęła z kieliszków na obrus na dębowym stole. Strużka dotarła do półmiska z pokrojoną szynką konserwową, salcesonem, żółtym serem i ogórkami kiszonymi. Charakterystyczny zapach zmieszał się z dymem extra mocnych bez filtra i cygarem Montecristo.

– Za wujka! Za bohatera!

– Za Adama! – dodał Szymek.

Milczenie przerwał Józek:

– Szymek. A co ty tu robisz?

– Józiu, ja jestem coraz bardziej wpływowym opozycjonistą. Piszę artykuły, drukuję i kolportuję je w podziemnym wydawnictwie naszego

Komitetu Obrony Społeczeństwa, którego jestem zaszczytnym członkiem. Jestem nie byle kto, Józiu... – Zaśmiał się głośno.

– To ty taki kontrrewolucjonista. – Józek się uśmiechnął.

– Powiem ci tak. Centrala zdecydowała, że trzeba tu posprzątać. Bo towarzysze polscy to nie bardzo... no wiesz? Bo władza i przewodnia rola partii jest niepodważalna, a oni tu... no, kurwa – bełkotał, a głowa mu lekko opadła.

Józek patrzył na niego ze zdziwieniem. Raziły go ideologiczne sformułowania. Przeciwnika zawsze trzeba postrzegać realnie, a nie przez pryzmat propagandy. I nigdy nie można go lekceważyć. To ścieżka do porażki. „Co on pierdoli?! Nawalił się” – pomyślał.

– Słuchaj. Musimy się spieszyć. – Bittner jakby trochę otrzeźwiał. – Niedawno jakieś gnoje próbowały wysadzić pomnik Lenina w Nowej Hucie. Ale jest gorsza sprawa. Za trzy tygodnie przybywa tu, wyobraź sobie, *papa rimskij*. Ten ich cały Wojtyła czy jak, kurwa, mu teraz... Jan Paweł... Drugi, kurwa! Jakby Pierwszy był taki ważny! Centrala naciska na zintensyfikowanie działań.

– Tak. Wiem. Dlatego tu jestem.

– No widzisz!

Józek popatrzył na kolegę. Dokończył kieliszek wódki. Zakąsił. Wtedy przypomniał mu się smak, którego od lat nie czuł. Pamiętał, jak jego przybrani rodzice dawali mu do jedzenia w Afryce takie same kwaśne ogórki.

– Jak z ludźmi?

– Są na różnych poziomach przygotowania. Ale miejsca i sposoby planowania są już wyznaczone. Można zaczynać. No dobra. – Bittner nabrał powietrza, a po chwili je wypuścił. – Rano przekażę ci ich fotografie, namiary i hasła do wywołania spotkań. Resztę już sam musisz ciągnąć. Oczywiście jestem do twojej dyspozycji. Aha. Jutro otrzymasz ode mnie wszystkie dokumenty legalizacyjne.

– Pamiętałeś, żeby imię zostawić?

– Pamiętałem. Pamiętałem... mówił mi kurier. – Wstał i poszedł chwiejnym krokiem do pokoju, z którego było wyjście na boczną klatkę schodową i dziedziniec oficyny. – Nie zapomnij włączyć alarmu! – rzucił na odchodnym.

Józek odprowadził go wzrokiem, następnie podniósł się, podszedł do skrzynki i zgodnie z instrukcją Bittnera włączył zabezpieczenie. Zabrał walizki i torbę do przestronnej sypialni. Zdjął grafitowy krawat, rozpiął nie-

bieską koszulę. Zrzucił mokasyny. Odpiął wąski skórzany pasek i ściągnął spodnie. Ułożył wszystko na czerwonym fotelu klubowym z czarnymi drewnianymi podłokietnikami. Rzucił się na łóżko. Sięgnął po chwili do torby i wyjął z niej białą chusteczkę z literą *E*. Obejrzał ją i powąchał. Położył na szafce. Obok postawił figurkę australijskiego kawalerzysty na koniu. Zapomniał go pokazać koledze z sierocińca.

Zgasił światło.

* * *

Józek stał oparty o drewnianą balustradę balkonu wynajętego na weekend pokoju w Ośrodku Wypoczynkowym Urzędu m.st. Warszawy w Białobrzegach nad Zalewem Zegrzyńskim.

Widok na jezioro i żaglówki przecinające taflę wody na pełnych żaglach był wspaniały. Czuł się trochę jak na statku. Te wypełnione wiosennym wiatrem żagle przypominały mu moment, kiedy wpływał do portu w Hajfie. „Ile to już lat? Piętnaście, siedemnaście...?” – zamyślił się.

Usłyszał przeciągły gwizd. Spojrzał w lewo i zza cypla wyłoniła się sylwetka białego statku turystycznego. Z niewysokiego komina zakończono czerwonym i czarnym pasem unosił się szary dym. W wysokiej przeszklonej sterówce majaczyła postać sternika.

Na ten moment czekał. Zgasił cygaretkę. Poprawił swoją granatową koszulkę z wyhaftowanym czerwonym graczem polo i wcisnął ją za pasek błękitnych spodni. Zarzucił na siebie szary blezer. Zszedł do kawiarni.

Usiadł przy stoliku najbliższym przeszklonej ścianie. Miał świetny widok na niewielką przystań, a w zasadzie na dwa trapy i kilka pali wbitych w dno, służących do cumowania jednostek białej floty. Z głośnika kolejny raz sączyła się ta sama piosenka, która wpadła Józkowi w ucho na tyle, że zaczynał ją nucić: *...do lata, do lata, do lata piechotą będę szła, aaa, aaa.*

Józek nalał do szklanki gazowany mdło pomarańczowy napój o nazwie mandarynka.

Tymczasem statek powoli zaczynał podpływać do drewnianych pali. Ludzie wychylali się z zadaszono pokładu. Gestykulowali, opierali butelki i kubki od termosów na rzędzie zielonych skrzynek z kwiatami zawieszonych wzdłuż burty. Statek zacumował. Z pokładu zaczęli schodzić podróżni. Wśród nich była jedna osoba, na którą czekał Józek. Po kilku minutach ją rozpoznał. Był to wysoki dwudziestoparoletni chłopak. Zszedł

z pokładu ostatni. Skręcił w lewo i ruszył powolnym krokiem za innymi w kierunku ośrodka i kawiarni – jedynej obok piaszczystej plaży atrakcji w Białobrzegach.

Po blisko dwóch minutach wszedł do środka. Wiele osób przeciskało się od razu do bufetu. Chłopak, zgodnie z instrukcją, stanął na końcu kolejki. Miał być ubrany w żółtą koszulę, dżinsową marynarkę oraz czerwoną torbę na ramię z biało-zieloną prostokątną naklejką ze stylizowanym orłem i napisem *AZS*, a także białe biodrówki, mocno rozszerzane na dole, i trampki. Chłopak dyskretnie się rozejrzał. Zgodnie z przyjętym systemem nawiązywania kontaktu zdjął z nosa duże brązowe okulary przeciwsłoneczne. Poprawił długie, proste włosy. Okulary schował do bocznej kieszeni w torbie.

Józek dopił napój, wstał i ruszył do kolejki.

– Pan ostatni po mandarynkę? – zapytał.

– Ostatni, ale po cytronetę. – Usłyszał odpowiedź.

– Sporo osób jest przed nami! Nie będę tyle czekał! – Zdjął szary blezer i przerzucił go przez prawe przedramię. W tym samym momencie Józef lewą dłonią ukrytą pod blezerem wrzucił do kieszeni marynarki chłopaka karteczkę.

– Lewa kieszeń – powiedział szeptem, a chłopak kiwnął głową. Józek powoli ruszył w kierunku schodów, a chłopak wyjął dyskretnie karteczkę i przeczytał: *pokój numer dwanaście w tym ośrodku, za pięć minut*.

Wszystkiemu przyglądał się od stolika stojącego w głębi lokalu Szymek Bittner, który przyplłynął z Warszawy tym samym statkiem wycieczkowym. Obserwował chłopaka w czasie podróży po Wiśle, Kanale Żerańskim i Zalewie Zegrzyńskim. Zwracał uwagę na wszystkie osoby na pokładzie. Na wszelkie zachowania, które mógłby uznać za nienaturalne. Z pokładu statku zszedł jako jeden z pierwszych. Potem wyprzedził całą rozkrzyczaną grupę turystów i wszedł do kawiarni. W pewnym momencie, kiedy zobaczył w drzwiach chłopaka, postawił na stoliku szaroniebieską torbę sportową z napisem *Polsport* i wyjął z niej termos. Był to znak bezpieczeństwa dla Józefa, wtedy wypił on do końca mandarynkę. Bittner miał ochraniać Józefa, ale też prowadził dla niego kontrobservację.

Po kilku minutach ktoś zapukał do drzwi z numerem 12.

– Proszę! Otwarte! – krzyknął Józef. Do pokoju wszedł niepewnym krokiem chłopak z kawiarni. – Zamknij drzwi na klucz.

Chłopak rozejrzał się po skromnym wnętrzu. Stał przed nim szczupły, wysportowany czterdziestolatek. Uśmiechał się do niego. Spojrzał na stół, na którym ustawionych było kilka żółtych puszek z czerwonym napisem *Sinalco* i wąskie butelki z piwem *Żywiec*.

– Siadaj! Wszystko w porządku, nic nie widziałeś? Nic nie wychwyliłeś?

– Nie, proszę pana.

– Mów mi Józek. – Podał mu dłoń.

– Antoni, to znaczy Antek jestem.

– Mamy dzisiaj niewiele czasu. Jakies dwie godziny. Musisz zdążyć na rejs powrotny do Warszawy.

* * *

– Skończyłeś już?

– Jeszcze tylko coś dopiszę. Już kończę. – Po chwili wręczył Józkowi zapisane kartki.

– W porządku.

Ten zaczął szybko nanosić poprawki.

– Przeczytam teraz na głos jeszcze raz twoją legendę. Z moimi poprawkami. W tej operacji to wyjątkowo ważne.

– Tak, rozumiem.

Urodziłem się w 1955 roku w Lizbonie. Matka była Portugalką, a ojciec Polakiem. Poznali się w Angoli w czasie wojny. Ojciec był żołnierzem. Przeszedł przez ZSRR i znalazł się w Afryce. Nie wstąpił do wojska, bo ciężko chorował na malarię w polskim obozie w Afryce Wschodniej. Potem zaciągnął się do formacji ochronnych w Rodezji. Przy okazji jakiejś podróży służbowej do Mozambiku poznał matkę. Pobrali się. Po przekształceniu w 1951 roku Mozambiku z kolonii w prowincję zamorską przyjechali do Portugalii, do Lizbony. Ojciec pracował w porcie. Był komunistą. Zginął z rąk siepaczy z PIDE w 1961 roku. Żyliśmy skromnie. Mama ciężko chorowała. Rok później zmarła. Ja znalazłem się w sierocińcu w Casa do Gaiato. Umieszczono mnie tam, ponieważ wcześniej były tam jakieś polskie dzieci, a jeden franciszkanin mówił nawet po polsku. Nikt z rodziny matki nie wrócił z Mozambiku. Zostałem sam...

- Wszystko na razie jasne? – zapytał Józek i wypił spory łyk piwa.
- Tak jest!
- Żadne „tak jest”! Po prostu, tak. Zapamiętaj!

...przebywałem tam do matury w 1973 roku. Właśnie wtedy ten franciszkanin, który znał polski, zaproponował mi, żebym pojechał do kraju ojca z pielgrzymką na Jasną Górę w Częstochowie. Wcześniej postarali się w Paryżu, w polskim konsulacie, załatwić dla mnie wizę. Pojechałem. Polska mi się spodobała. Ponieważ dobrze mówiłem po polsku, dzięki pomocy księży z Krakowa zostałem. Poszedłem na studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim.

Józek zamilkł. Wstał i wyszedł na taras. Wzrok wbił w ścigające się żaglówki. Pogoda była wymarzona na regaty. Słońce, dwadzieścia stopni ciepła, lekki wiatr. Dokończył butelkę piwa i wrócił do chłopaka.

– Antek. Czy wszystko dla ciebie jest jasne? Jakies pytania?

– Ale jak ktoś sprawdzi mojego ojca i matkę, to...

– Wszystkie przedwojenne dokumenty ojca są oryginalne, podobnie jak te z Afryki. To samo z papierami matki z Mozambiku i ich obojga z Portugalii. A twoje z sierocińca są wyjątkowo dobre. Może kiedyś odwiedzisz swój grób na cmentarzu w Lizbonie. Zmarłeś, jak miałeś pięć lat. – Józef uśmiechnął się pod nosem. – Dotarły niedawno w pakiecie. Stąd pewne korekty w twojej legendzie. Mam je dla ciebie.

Józef przesunął puszki i rzucił dużą niebieską kopertę na stolik.

– Ale w związku z tym masz też zadanie. Musisz doprowadzić je do takiego stanu, aby wyglądały na mocno zużyte. Rozumiesz?

– To one są nowe?

– Oczywiście. Wszystkie pieczęcie, formularze i druki są oryginalne. Teraz rozumiesz? Schowaj je.

– Chyyyba taaak...

Józek zauważył, że chłopaka jeszcze coś gryzie. Podważył otwieraczem kapsel butelki żywca, potem otworzył drugą. Podał ją chłopakowi. Stuknął o swoją. Po pokoju rozszedł się zapach piwa.

– Mów! Co jeszcze?! Przecież widzę.

– Czy takich jak ja...

– Jest więcej? O to chcesz zapytać? – wtrącił Józek.

– Tak.

Józek popatrzył na niego.

– A jak myślisz?

Chłopak nic nie odpowiedział. A Józek milczał.

– Jak to się stało, że skierowano cię do tego zadania?

– Ale mówiono mi przed wyjazdem, że nie mogę tego nikomu mówić!

– Kurwa, co ty pierdolisz?!

– Pochodzę z mieszanej rodziny polsko-rosyjskiej z Litwy. Ojciec jest zawodowym żołnierzem, choć jego dziadek też był Polakiem. Matka jest z pochodzenia Polką z Nowogródzczyzny, nauczycielką języków obcych. Zna hiszpański i portugalski. Kończyła filologię romańską na uniwersytecie w Wilnie. Ja też chciałem iść na jakąś filologię, ale taki jeden z miejscowego... KGB zaproponował mi... przygodę życia, jak to nazwał.

– *Essa portuguesa é mamãe?*

– Tak, mama mnie nauczyła portugalskiego, znam go bardzo dobrze – odpowiedział ze zdziwieniem, a po chwili z nieukrywaną radością na twarzy dodał: – Hiszpański też.

– A jaka została zbudowana legenda dla rodziców i najbliższych?

– Że wyjechałem na studia do Uzbekistanu, do Taszkienckiego Uniwersytetu Państwowego, że tam kiedyś ojciec stacjonował, że ma wielu znajomych, rodzinę. Zresztą to prawda. Tam się urodził i wychował w rodzinie wojskowej – chłopak zbliżył do ust butelkę piwa i łapczywie wypił całe.

– Co? Gorący dzień czy nerwy? – Józek, uśmiechając się, pokiwał głową.

– Tak. Dobrze. Pieni się. To chyba z pewexu, bo w sklepie to same sika-cze. Może trochę nerwy. Bo ta przygoda życia to chyba teraz zaczyna się na dobre.

– Tak. A rodzice?

– Ojciec załatwił to z matką. – Spuścił głowę.

– Rozumiem. A kiedy cię tu przetrzucili?

– Cztery lata temu zgodnie z ustaloną legendą złożyłem papiery na uniwersytecie w Warszawie. Miałem jako repatriant z Portugalii taką możliwość. – Otwierana puszka sinalco charakterystycznie syknęła, a chłopak wlał do ust napój.

– To przejdźmy teraz do systemu łączności. Potem przedstawię ci harmonogram dalszego szkolenia.

- A zadania?
- Omówimy je za tydzień. Zarezerwuj sobie sobotę po południu i niedzielę. Podoba ci się tutaj nad zalewem?
- Tak! Czasem z kolegami żegluję na Mazurach, ale tutaj też byłem w ubiegłym roku. Teraz mój klub, to znaczy AZS na uniwerku, remontuje, a w zasadzie buduje, nowy ośrodek w Wilkasach nad Niegocinem. Ale jeździmy też w Bieszczady. Taki tam trochę Dziki Zachód.
- Z dziewczynami też jeździsz?
- Oczywiście! Wtedy jest... najlepiej.
- To świetnie. Takie hobby jest bardzo przydatne w naszej pracy. W sumie każde hobby. Antek. Czasu nie ma. Musisz przystąpić do zadań już na tym etapie szkolenia. Mam nadzieję, że wymagasz jeszcze tylko... wyszlifowania?
- Mam taką nadzieję. Nie zawiodę cię.
- Jestem tego pewien.
- Tak?
- Tak, a słyszałeś o katastrofie bułgarskiego samolotu, który leciał z Sofii do Warszawy w marcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku?
- Coś niecoś... Ale chyba bardzo mało, w zasadzie nie było prawie nic na ten temat w gazetach. Jacyś kolarze tam zginęli...
- No i o to chodziło.
- Żeby nie było za wiele w gazetach?
- Nie. Żeby samolot nie doleciał na miejsce. Takie były rozkazy. Rozumiesz? – powiedział wyjątkowo poważnie Józef, chcąc zrobić na chłopaku wrażenie.

Piętnastego marca 1978 roku w bułgarskim Gabare rozbił się samolot TU-134 bułgarskich linii lotniczych lecący z Sofii do Warszawy. W katastrofie zginęły siedemdziesiąt trzy osoby, między innymi grupa polskich sportowców, drużyna bułgarskich gimnastyczek sportowych, Brytyjczyk i polski minister kultury. Z relacji świadka – miejscowego pasterza, wynikało, że samolot eksplodował w powietrzu.

* * *

Mimo że Józek pokój miał wynajęty do niedzieli, późnym wieczorem wsiadł do swojego fiata w kolorze piasku pustyni i ruszył do odległej o pra-

wie czterdzieści kilometrów Warszawy. Kolejne spotkanie wyznaczone było na niedzielne południe.

Józek miał zaparkować auto przy Marymonckiej, obok bloku numer 151. Stamtąd powinien iść na miejsce nawiązania kontaktu, do baru przy karuzeli w Lasku Bielańskim. Jego człowiek miał otrzymać informację, aby po kwadransie ruszyć do przystanku przy cmentarzu włoskim i pojechać stamtąd tramwajem do pętli przy Potockiej. Następnie miał iść Stołeczną do żoliborskiej kawiarni Różanka.

Rozdział 18

Warszawa – wiosna 1979 roku

Antoni przystanął przy tablicy ogłoszeń obok kościoła akademickiego Świętej Anny przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Na ulotce przypominającej nekrolog umieszczona była informacja o mszy świętej organizowanej wieczorem w intencji tragicznie zmarłego dwa lata wcześniej studenta Uniwersytetu Jagiellońskiego Stanisława Pyjasa. Znajdowało się na nim słabo odbite na powielaczu zdjęcie zmarłego z długimi włosami i wąsami. Bardziej przypominał on jakiegoś hipisa niż współpracownika Komitetu Obrony Robotników.

Zmasakrowane zwłoki Pyjasa zostały znalezione na podwórku kamienicy przy Szewskiej w Krakowie 7 maja 1977 roku. Oficjalna wersja milicji głosiła, że student spadł ze schodów, bo był pijany. Przeciwnicy komunistycznego reżimu nie mieli jednak wątpliwości, że został zamordowany na zlecenie funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Śmierć Pyjasa wstrząsnęła środowiskiem studenckim w całej Polsce. W Krakowie, a potem innych miastach, odbyły się manifestacje, zaczęły powstawać SKS-y – Studenckie Komitety Solidarności.

– Interesuje cię to? – Obok stanęła krótko ostrzyżona blondynka.

Miała na sobie dzinsy dzwony obszyte od dołu motywem kwiatowym i niebieski sweterek z wielkim wyszywanym z włóczki sercem. Przypominała trochę Agnethe Fältskog, wokalistkę szwedzkiego zespołu ABBA.

– Może?

– Jeżeli tak, to przyjdź na mszę.

– Zastanowię się. A będziesz tam?

– Tak. Zapraszam. – Uśmiechnęła się i odeszła.

Zadanie, które Antoni otrzymał od Józefa, nie było zbyt skomplikowane. W zasadzie wymagało tylko cierpliwości. Miał wchodzić w kontakt z działaczami tworzącej się w Polsce opozycji antykomunistycznej. Msza, o której właśnie czytał, była ku temu doskonałą okazją. Chłopak miał na sobie dzinsową bluzę, flanelową koszulę w kratę i spodnie z napisem *Texas* spięte szerokim wojskowym pasem – modnym od czasu, gdy w telewizji można było obejrzeć serial o Tolku Bananie.

Usiadł w ostatniej ławce. Nudził się w czasie mszy. Nie słuchał tego, o czym mówił ksiądz, a potem koledzy zabitego krakowskiego studenta. Za to intensywnie rozglądał po kościele, starał się wyłapać twarze osób, których zdjęcia pokazywał mu Józef w czasie ostatniego spotkania. Starał się też zidentyfikować funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Był pewien, że są przed kościołem i na mszy. To miał być również jego sprawdzian. Dwóch pierwszych wyłapał zaraz przy filarze kościoła. Kilka metrów od niego. Stali obok głośnika. Jeden osłaniał, a drugi trzymał w ręku jakieś urządzenie – najpewniej do nagrywania. Tak założył Antoni. Kolejny pojawił się w okolicach chóru i z góry starał się w niezauważalny sposób robić zdjęcia. Ponieważ niespecjalnie mu to wychodziło, Antoni szybko doszedł do wniosku, że nie są to wywiadowcy z Biura B MSW – jednostki odpowiedzialnej w Służbie Bezpieczeństwa za prowadzenie działań obserwacyjnych i rozpoznawczych.

W tym momencie Antoni podświadomie wyczuł, że sam jest przez kogoś obserwowany. Rozejrzał się dyskretnie i z boku zobaczył dziewczynę sprzed kościoła. Stała z jakimś chłopakiem, uśmiechała się do niego. Kiwnął do niej delikatnie głową.

Po zakończeniu mszy, przy wyjściu z kościoła natknął się na patrol Milicji Obywatelskiej, który legitymował osoby opuszczające świątynię. Nie chciał mieć do czynienia z mundurowymi. Cofnął się za ciężkie drewniane drzwi. Liczył, że przeczeka. W tym momencie z tyłu delikatnie objęła go para rąk.

– Nie bój się, chodź... – Dziewczyna o urodzie Agnethy pociągnęła go lekko za rękę.

– Jestem Anka – podała mu kruchą dłoń – a to Paweł. – Wskazała na chłopaka z wąsami i długimi ciemnymi włosami.

– Wyjdziemy bocznym wejściem przez zakrystię – powtórzyła.

Podobnie jak wielu innych wydostali się na wewnętrzny dziedziniec. Tam stała już spora grupa młodzieży. Palili papierosy i dyskutowali. Wśród nich byli młodzi księża. Ktoś roznosił ulotki wzywające do wyjaśnienia śmierci Pyjasa. I w tej właśnie chwili jakiś może trzydziestolatek w dzinsowej koszuli rzucił ponad ich głowami plik broszurek pisma „Droga”. Antek schylił się i zabrał jedno. Spojrzał szybko na nie. Pismo sygnował Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela.

Wtedy na dziedziniec wbiegło czterech milicjantów i zaczęli na wszystkie strony rozdawać razy białymi, giętkimi jak ogrodowe węże,

gumowymi pałkami. Zgromadzeni skulili się i w takich pozycjach próbowali uciekać do pomieszczeń kościelnych. Milicjanci w szarostalowych kaskach na głowach i w błękitnych kurtkach mundurowych bili zgromadzonych na oślep, po plecach, głowach, nogach. Jeden z ich, widząc Antka z broszurą w ręku, zbliżył się do niego. Ciężko dyszał, miał czerwoną od wysiłku twarz. Chłopak dojrzał na niej nabrzmiałe żyły, czuć było od niego alkohol wymieszany z potem. I wtedy na jego rękę padł cios. Antoni był kompletnie zaskoczony. Dopiero gdy poczuł ból, odskoczył. Antek, Anka i Paweł wraz z innymi wpadli zdyszani i przestraszeni do sali katechetycznej. Zablokowali drzwi.

– Nic ci nie zrobił? Pokaż! – Dziewczyna zaczęła metodycznie i delikatnie naciskać jego rękę.

– Zaraz przejdzie. – Antek intensywnie ją masował.

– Nie ma co się tych gestapowców bać. Słuchaj! Mamy zaraz spotkanie grupy porządkowej organizowanej w związku z wizytą Ojca Świętego. Może chcesz do nas wstąpić? Potrzebujemy ludzi... – Anka zmrużyła błękitne oczy, spojrzała na niego w taki sposób, aby wzrokiem wzmocnić zadawane pytanie.

– Przepraszam, ale ze mnie gapa. Nie przedstawiłem się. Antek jestem. Studiuję prawo na uniwerku – odparł z lekko wyczuwalnym obcym akcentem.

– Ty nie jesteś Polakiem? – Paweł wykazał się czujnością.

– Jestem repatriantem z Portugalii, przyjechałem tu na studia.

– To pewnie byłeś w sanktuarium w Fatimie?

– A tak, piękne, uświęcone miejsce...

– Paweł! On był w miejscu objawień fatimskich! Marzę o tym, aby tam kiedyś pojechać na pielgrzymkę!

Usiedli na długich dębowych ławach z pulpitem. Ksiądz, który prowadził spotkanie, na początku poprosił nowe osoby o wpisanie się na listę. Dodał, że każda z nich musi dostarczyć zaświadczenie od proboszcza swojej parafii.

– No to ja już mogę sobie stąd iść – stęknął Antek.

Anka jednak spojrzała na niego, ponownie delikatnie ujęła jego dłoń i powiedziała:

– Siedź! Wszystko da się załatwić. Porozmawiamy z księdzem Mariuszem po spotkaniu.

– Każdy członek *Totus Tuus* podejmuje pracę nad odnową religijną w wymiarze osobistym, rodzinnym i społecznym poprzez uświęcanie życia, pielęgnowanie tradycji katolickich oraz przeciwdziałanie plagom społecznym i zagrożeniom narodowym. Celem członków stowarzyszenia jest życie wiarą oraz zachowanie ścisłej więzi z Kościołem, aby przez to przyczynić się do pomnażania chwały Bożej – mówił monotonicznie ksiądz.

Opisał następnie ramy tworzonej od podstaw męskiej organizacji kościelnej, której członkowie mieli pilnować spokoju w czasie pielgrzymki papieża. Mówił, że powstaje ona w całej Polsce. Podkreślił, że w archidiecezji warszawskiej zapisało się do niej już około dziesięciu tysięcy mężczyzn. W parafiach proboszczowie lub wyznaczeni kapłani mieli stworzyć grupy liczące po dziesięć osób, na których czele stał tak zwany dziesiątkowy.

– Waszymi symbolami rozpoznawczymi będzie beżowa furażerka i identyfikator ze zdjęciem. Otrzymacie je na dzień przed wizytą. Wtedy też dostaniecie informację o odcinku, którego będziecie pilnowali – dodał ksiądz.

Zapytany, jak ma się układać współpraca z milicją, odparł tylko, że w sposób poprawny, i uzupełnił: – Macie pomagać, eliminować zagrożenia, nieść pomoc ludziom.

Spotkanie zakończyło się po przeszło godzinie krótką modlitwą.

– To w takim razie co ty tutaj robisz, dziewczyno? – zapytał po spotkaniu Antek.

– Już cię nie boli? To prawda, że to służba męska, ale ja jestem z duszpasterstwa akademickiego. Wspieram służbę medyczną. A to mi wolno.

– No jasne. Dobra samarytanka?

– Żebyś wiedział. – Uśmiechnęła się i odwróciła do księdza. – Księżu Mariuszu! Nasz kolega jest z Portugalii i studiuje na prawie. Siłą rzeczy nie ma zaświadczenia...

– Tak? Nie ma sprawy. Dla ciebie, Aniu, wszystko... Nie musi go mieć. Wystarczy oświadczenie, że jest ochrzczony i z jakiej parafii pochodzi – odparł kapłan.

– To spotkamy się za dwa dni u Jacka?

– U jakiego Jacka? – Antoni nie wiedział, o co jej chodzi.

– No, na Żoliborzu u Kuronia. Nie słyszałeś o nim?! – Antoni pokręcił głową, choć widział jego twarz na zdjęciach, które pokazał mu Józef. – Mamy w jego mieszkaniu na Mickiewicza wykład uniwersytetu latającego.

Pamiętaj, o siedemnastej. – Anka cmoknęła go w policzek, a następnie zła-
pała za dłoń Pawła.

Wyszli razem z kościoła, milicjantów już nie było, podobnie jak roz-
rzuconych broszur i ulotek.

Józef siedział po drugiej stronie ulicy przy stoliku kawiarnianym nad
wuzetką i kawą. Obserwował okolicę znad płachty „Życia Warszawy”. Gdy
ujrzał Antka w towarzystwie dwóch innych osób, uśmiechnął się pod
nosem. Złożył gazetę i ruszył na pobliski przystanek autobusowy.

* * *

Anka Osińska i Paweł Kozłowski czekali na niego na przystanku autobuso-
wym za placem Inwalidów, naprzeciwko baru Fawory. Antek wysiadł
z autobusu linii 116. Podszedł do nich. Dziewczyna cmoknęła go w poli-
czek.

– Pójdziemy razem! – zdecydowała.

– A co wy w ogóle robicie? Studiujecie?

– Socjologię. Na Karowej – odparła trochę od niechcienia dziewczyna.

Był słoneczny dzień, a ona sama też jakby promieniała. Wiosna prze-
chodziła powoli w lato. Drzewa w parku Żeromskiego obsypane były kwia-
tami, a liście miały intensywną zieloną barwę. Wszędzie pachniało świeżo-
ścią.

Na tyłach długiej kamienicy przy Mickiewicza 27 stało już kilkanaście
osób. Czekali na wejście do mieszkania Kuroniów. W pobliżu kręcili się też
młodzi mężczyźni, ale tylko obserwowali i nie próbowali nawiązać kon-
taktu ze środowiskiem „graczy”. Tak Służba Bezpieczeństwa nazywała
osoby skupione wokół Komitetu Obrony Robotników.

– Karatecy – rzucił Paweł.

– Co to znaczy? – Antek był zdezorientowany.

– Bojówka z ZSMP z Akademii Wychowania Fizycznego, już kilka
razy rozbili spotkania. Ciekawe, czy dzisiaj też się odważą? – odparł.

– To znaczy, że tutaj też można dostać?

– Można, można...

– To jest niebezpieczne.

– Tak, ale chyba nie pękasz? – wtrąciła Anka.

Po chwili znaleźli się w mieszkaniu. W środku było już kilka osób.
Poszli do salonu. Przywitali się i usiedli na parkiecie. Bardziej przypomi-

nało to spotkania bohemy – zakrapiane alkoholem, w oparach papierosów, przy okazji połączone z dyskusją polityczną. Tym razem głównym tematem było znaczenie dla społeczeństwa oczekiwanej wizyty Jana Pawła II. Konstatacja była następująca: wizyta ta może obudzić ludzi z letargu i naładować nową energią. Dlatego ważny jest masowy udział w bezpośrednich spotkaniach z papieżem. To było istotne, bo komunistyczna władza robiła wszystko, aby zniechęcić ludzi do udziału w nich. Tajni współpracownicy SB rozpuszczali plotki o rzekomym zagrożeniu dla uczestników, możliwych rozruchach i stratowaniu wiernych. Media rządowe propagowały zbiorowe oglądanie transmisji telewizyjnych w parafiach. Kuroń przewidywał, że może dojść do blokowania przyjazdu pielgrzymów do stolicy, a także, co wydawało się nieprawdopodobne, skoszarowania pracowników w zakładach pracy. Spodziewał się też nasilenia działań prewencyjnych SB, czyli zamykania działaczy opozycyjnych na czterdzieści osiem godzin w milicyjnych aresztach.

Antoni oprócz Kuronia wśród uczestników spotkania rozpoznał jego żonę oraz Janusza Kotańskiego, zauważył też jakiegoś księdza. Nie znał jego nazwiska. Nie był pewien, czy był na zdjęciach, z którymi zapoznawał się co jakiś czas w mieszkaniu konspiracyjnym przy Nowogrodzkiej. Nie pytał też o niego, aby nie wyjść na ignorantę.

– Niewykluczone, że Ojciec Święty się z nami spotka – wtrącił w czasie spotkania Kuroń.

Antoni cicho siedział i całym sobą wszystko chłonał. Dotychczas nigdy w życiu nie uczestniczył w spotkaniu, w którym pojawiło się aż tyle wywrotowych i antysocjalistycznych sformułowań. W ciężkim dymie taniego tytoniu unosił się duch nieskrępowanej dyskusji i wolnej myśli. Był trochę pod wrażeniem.

Gdzieś około osiemnastej do salonu wtargnęło trzech młodych ludzi, około dwudziestoletnich. Coś krzyczeli. Antoni przy ogromnym zamieszaniu, które powstało, nic z tego nie zrozumiał. Może pijani? – zastanawiał się.

– Prowokatorzy! Spokojnie! Nie reagujemy! – Usłyszał tylko od Osińskiej.

Kilku stojących przy drzwiach uczestników wykładu rzuciło się na nich i siłą wypchnęło z mieszkania. W ruch poszły pięści. Jeden z ciosów dosięgnął twarzy Antka. Odruchowo chciał przyłożyć napastnikowi, ale Osińska go powstrzymała.

– Nie dajmy się sprowokować. Im o to chodzi, żeby doszło do burdy – krzyknęła tylko.

Po chwili odgłosy przepychanki się oddaliły. Napastnicy zostali wypchnięci na korytarz.

– Wychodzimy grupkami! Pamiętajcie, kochani! Nie dajmy się sprowokować panom z bezpieki – ostrzegął Kuroń, zapalając kolejnego papierosa.

Na zewnątrz nie było już karateków. Ruszyli szybszym krokiem w kierunku placu Inwalidów do przystanku autobusowego, gdy za rogiem budynku natknęli się na patrol milicji.

– Milicja Obywatelska! Kontrola dokumentów! – Sierżant z pałąką u boku niedbale zasalutował.

– No szybko! Szybko, panienko! – dodał stojący obok plutonowy.

Anka i Paweł podali im dowody osobiste, Antek legitymację studencką.

– A dowodzik?

– Mam tylko paszport.

– Aha, cudzoziemiec?

– Tak.

– Z...?

– Portugalii.

– Student. Wydział prawa Uniwersytet Warszawski. – Sierżant czytał na głos, a plutonowy pisał w notatniku. – Ale panie Antoni? Nazwisko to wy macie jakieś polskie.

– Bo ojciec stąd pochodził.

– I pod tę kamienicę to przez przypadek zawędrowaliście? Tak?

– W sumie tak...

– Aha, to dziękuję. – Oddał legitymację i dowody osobiste. – No bo z państwem to my już się znamy. – Plutonowy spojrzął na Ankę i Pawła, zasalutował i odszedł.

Antoni przetarł dłonią spocone czoło.

– Eee tam. Nie przejmuj się. To jeszcze nic nie znaczy, chociaż informacja o tobie może trafić do dziekanatu. Nie bój się.

– Łatwo ci mówić!

– Dobra. Jesteś zielony. Słuchaj! Jakby cię zahaczył jakiś esbek, no wiesz, chciał się z tobą umówić na spotkanie, to zasada jest taka: nic nie podpisuj i powiedz zaraz potem o wszystkim nam lub znajomym. W ten

sposób unikniesz posądzenia, że jesteś ich kablem, rozumiesz? – Paweł klepnął go w plecy.

– Kablem?

– No, współpracownikiem, donosicielem.

– Jasne.

Rozdział 19

Warszawa – wiosna 1979 roku

Odprawy przed wizytą papieża w Warszawie odbyły się pierwszego czerwca w salce katechetycznej kościoła Świętej Anny. Rozłożone były w czasie, bo kościół ten wystawiał kilka grup porządkowych. Na początku Antoni odebrał beżową furażerkę z herbem watykańskim, plakietkę z hasłem pielgrzymki *Gaude Mater Polonia* oraz identyfikator ze zdjęciem. Potem wysłuchał krótkiej informacji o tym, gdzie jego grupa ma stać i na co zwracać uwagę. Poznał też innych członków swojej dziesiątki. Byli w niej sami studenci z różnych uczelni, wśród nich także Paweł. Jego dziesiątkowym został doktorant z wydziału historycznego Uniwersytetu Warszawskiego Jarek Kamiński. To on miał koordynować działania grupy porządkowej. Następnego dnia Antoni miał się stawić przy kościele o piątej rano.

Była jeszcze szarówka, gdy wychodził z domu, a także nadzwyczaj chłodno. Miał na sobie obowiązkową białą koszulę z krótkim rękawem i ciemne spodnie. Dotarł na miejsce. Po zebraniu wszystkich jego grupa została skierowana na krawędź chodnika przed samym gmachem kościoła akademickiego. Zaraz przy wybudowanym białym ołtarzu przypominającym ściętą piramidę, z którego drugiego dnia wizyty w Polsce miał przemawiać papież do młodzieży.

Stali najbliżej ulicy. Po pewnym czasie za nimi ustawiono milicjantów i pozwolono podejść pielgrzymom. Wśród nich, co Antoni od razu wyłapał, krążyli funkcjonariusze SB, a także funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu MSW. Łatwo można było ich rozpoznać. Mimo że wszyscy byli po cywilnemu, to w kłapy marynarek mieli wpięte jednakowe odznaki z czterolistną zieloną koniczyną. Niektórzy z nich zostali wyposażeni w krótkofalówki. Dzięki temu, że były one włączone, Antoni wiedział, gdzie jest obiekt zero, czyli samochód z papieżem.

Na placu Zamkowym i dalej przy Trakcie Królewskim zgromadził się wielotysięczny tłum. Antoni był zaskoczony, bo informacja o trasie przejazdu papieża nie była podawana przez rządowe media, a mimo to ludzie jakoś się o niej dowiedzieli i tłumnie wylegli na ulice. Byli ubrani odświętnie. Mieli z sobą chlebaki z jedzeniem i piciem, a niektórzy też małe tury-

styczne składane krzeselka. Niektórzy w rękach trzymali białe i czerwone goździki lub tulipany. Rzucali je na ulicę, którą miał pokonać w swoim białym samochodzie papież. W oknach widać było biało-żółte oraz biało-czerwone chorągiewki, obrazki Matki Boskiej lub po prostu przymocowane taśmą klejącą wycięte z gazet zdjęcia Jana Pawła II.

...*obiekt wylądował* – zacharczał o godzinie dziesiątej miękki, urywany głos w krótkofalówce funkcjonariusza BOR-u, który stał najbliżej Antoniego.

Ktoś obok słuchał w małym tranzystorze w skórzanym pokrowcu: ... *samolot Alitalia z Rzymu wylądował na lotnisku Okęcie. Za moment na jego części wojskowej papież zostanie powitany przez przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego oraz prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego...*

Po kilkudziesięciu minutach Jarek Kamiński przeszedł wzdłuż szpaleru swoich ludzi, komunikując nieco podekscytowanym głosem:

– Jedzie! Już jedzie! Słuchajcie, jedzie!

Papież z lotniska zmierzał powoli do warszawskiej katedry Świętego Jana na Starym Mieście, gdzie zaplanowane było krótkie spotkanie z księżmi i wiernymi miejscowej archidiecezji. Kiedy papież mijał kolejne fragmenty miasta, zgromadzony tłum jakby ożywał. Zaczynał falować. Nad głowami zgromadzonych pojawiały się tak zwane lizaki, czyli plakaty z wizerunkiem papieża umieszczone na cienkich tyczkach albo tylko z oznaczeniami grup pielgrzymkowych w kształcie krzyża. Gdy w oddali pojawiła się kawalkada pojazdów, na której czele jechały radiowozy oraz cywilne samochody ochrony, a potem motocyklowa asysta, ludzie zaczęli śpiewać. Ktoś zaintonował *Boże coś Polskę*. Tłum podłapał tę pieśń. Po chwili płynęła ona z ust wielu tysięcy pielgrzymów.

Antoni poczuł na plecach ciarki. Ktoś obok niego krzyknął:

– Niech żyje papież! – a ktoś dorzucił:

– Zostań z nami!

Ludzie coraz bardziej napierali na szpaler milicjantów. Ci zaparli się, a on miał przed sobą tylko ulicę. Spojrzał w lewo, papież był w pomalowanym na biało, przerobionym specjalnie na tę okazję samochodzie ciężarowym Star 660 M2. Jego nadwozie miało kształt gondoli opasanej żółtą szarfą. Obok głowy państwa watykańskiego siedzieli dostojnicy kościelni. Jan Paweł II stał przy tronie i pozdrawiał wiwatujący tłum, rzucający setki kwiatów pod koła pojazdu.

Samochód jednak szybko przemknął. Tłum ponownie zafalował i ruszył w kierunku katedry. W tym momencie Antoni zobaczył dziwną scenę. Dziesiątkowy Kamiński razem z milicjantami zaczął wskazywać im w tłumie osoby, które stały z żółtymi plakatami z wizerunkiem papieża. Nie wiedział, dlaczego Kamiński to robił. Funkcjonariusze ruszyli do kilku takich osób. Dwie powalili na chodnik. Sam Kamiński odebrał w tym czasie plakat starszemu mężczyźnie, łapiąc go za ramię.

– Ty! Jak ci tam?! Potrzebuję twojej pomocy! – krzyknął do Antoniego.

– Weź go i odprowadź do radiowozu, o tam, na placu Zamkowym. – Wskazał palcem dach milicyjnej nyski wystającej zza głów zgromadzonych.

Mężczyzna miał może sześćdziesiąt lat. Ubrany był w garnitur. Na głowie miał szarą czapkę z daszkiem.

– Panie, ja nic nie zrobiłem. – Spojrzał błagalnym wzrokiem na Antoniego.

Ten trzymał go za rękaw i nie za bardzo wiedział, co ma zrobić.

– Idziemy, proszę pana – powiedział tylko i popchnął go w kierunku placu.

Gdy weszli w tłum, Antoni rozejrzał się i oddał mu plakat.

– Panie, idź pan stąd, żeby znowu pana nie złapali. – Puścił młodą, a po chwili wrócił na swoje miejsce.

Po kilkunastu minutach doszło do kolejnego incydentu, którego Antoni nie mógł zrozumieć. Ktoś rzucił ponad głowami pielgrzymów plik ulotek z napisem: *Żądamy wolności dla Kościoła i Polski* oraz stemplem ze znakiem Polski walczącej. Milicjanci rozpoczęli pogoń za młodym mężczyzną. W tym momencie Kamiński nakazał swoim ludziom pozбиieranie ulotek i przekazanie ich milicjantom. Antoni zebrał ich kilkadziesiąt, bo się posklejały. Kilka schował do kieszeni dla Józefa, a resztę wbrew nakazom porządkowego zaczął rozdawać pielgrzymom.

– Podawajcie to tak, aby nikt nie widział – doradził dziewczynie, która stała za nim.

Po chwili ulotki zaczęły trafiać do kolejnych rąk.

Po godzinnej mszy w katedrze kawalkada samochodów ruszyła w kierunku Belwederu na spotkanie papieża z władzami państwowymi, na czele z I sekretarzem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Edwardem Gierkiem. Antoni nie zwracał już na ten przejazd takiej

uwagi. Był zmęczony i głodny. Dostał tylko wodę do picia. Po południu razem ze swoją grupą poszedł na plac Zwycięstwa, gdzie papież miał odprawić mszę świętą. Ruszyli tam tylko ci, którzy mieli specjalne żółte wejściówki rozprowadzane w całej Polsce przez parafie. Kiedy był przy bramkach wejściowych, okazało się, że zostały one odsunięte i każdy, nawet bez specjalnej przepustki, mógł tam wejść. Wśród szczęśliwców znalazła się wycieczka Japończyków.

Za to milicjanci wyprowadzili z placu kilku starszych mężczyzn, którzy mieli czarne berety na głowach z oznaczeniami stopni wojskowych, a także biało-czerwone opaski z napisem *B.Ch.* Antoni nie miał pojęcia, dlaczego zostali zatrzymani.

W tym momencie echo odbiło od pobliskich budynków głos papieża i jego słowa:

...niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!

Po chwili ciszy usłyszeli nagły aplauz ponad stu siedemdziesięciu tysięcy pielgrzymów zgromadzonych na placu Zwycięstwa.

Po mszy dziesiątkę, w której był Antoni, przesunięto pod pałac prymasowski na Miodowej. Tam zgromadziło się kilka tysięcy młodych ludzi. Młodzież przez kilka godzin śpiewała pieśni religijne albo po prostu *Sto lat!* Potem wrócili pod kościół Świętej Anny. „Kiedy ten dzień się skończy?!” – pomyślał i usiadł na krawężniku chodnika. Wypił wodę i zjadł w końcu bułkę z żółtym serem, którą dostał od Anki. Miała niebieską furazerkę i opaskę sanitariuszki z czerwonym krzyżem na rękawie białej koszuli. Na ramieniu wisiała jej apteczka.

– Zmęczony? – Odwróciła się do niego. – No widzisz, i ja mogę się przydać. – Uśmiech nie zniknął z jej ust. – Lecę dalej, Antek. Zobaczę, co się dzieje w okolicy. Jeszcze tu wrócę.

Obok przycupnął Paweł. Przełknął kęs bułki, rozejrzał się i zagadnął do Antka:

– Coś jest nie tak, Antek. Ten skurwysyn Kamiński. Nie wiem, czy jest po naszej, czy po ich stronie. Może to jakiś pierdolony ubek. Albo tylko nadgorliwiec.

– Wiesz... Puściłem rano starszego pana z plakatem.

– Tak. Widziałem. I bardzo dobrze. Nie ma co pomagać komunistom. Z tymi ulotkami też widziałem. Jak skończy się to całe zamieszanie, pogadamy. Będę miał dla ciebie pewną propozycję...

- *Sim, claro...*
- Co? – Kozłowski nie zrozumiał.
- Tak. Jasne...

Przed dwudziestą drugą zaczęło się spotkanie ze środowiskami twórczymi.

– Chłopaki, posłuchajcie – wysapała zdyszana Anka. – Na spotkanie z twórcami esbecy nie chcieli wpuścić ludzi z KOR-u. Kolega mówił mi, że widział, jak zatrzymali Mikołajewską i profesora Kielanowskiego – opowiadała, z trudem łapiąc powietrze.

Ci jednak popatrzyli na nią zmęczonym i obojętnym wzrokiem. Antoni dopiero przed północą wrócił do domu. Był wyczerpany i głodny. Następnego dnia musiał wstać już o trzeciej rano.

* * *

W wyznaczonym miejscu przy kościele pojawił się przed piątą rano. Był niewyspany. Wyglądał jak wymięty. Kamiński zebrał ich wokół siebie i przekazał komunikat od milicji:

– W czasie porannego spotkania papieża z młodzieżą szykuje się prowokacja. Mają zostać rozrzucone ulotki i pojawić się transparenty antyrządowe. Gdyby ktoś z was zauważył tego człowieka, natychmiast należy poinformować milicjanta. – Pokazał fotografię mężczyzny w rogowych okularach, z gęstymi włosami zaczesanymi do góry. – To niejaki Leszek Moczulski.

Antoni spojrział na zdjęcie. Nie było go wśród fotografii Józefa, więc tym bardziej chciał zapamiętać jego twarz i nazwisko.

Na placu Zamkowym zgromadziło się ponad sto tysięcy osób, głównie uczniów, studentów, młodych robotników. Papież mówił do zgromadzonych ze stojącego przy kościele Świętej Anny podestu, a zaraz po spotkaniu odleciał śmigłowcem z placu Zwycięstwa do Gniezna. Dopiero wtedy Antoni mógł odpocząć.

Wrócił do swojego mieszkania przy Grójeckiej. Wypił pół szklanki wódki i padł ciężko na łóżko. W głowie jednak huczały mu odgłosy tłumu w religijnej ekstazie, które mieszały się z fragmentami zapamiętanych przez niego pieśni religijnych i słowami papieża. Podświadomie czuł, że w Polsce stało się coś niezwykle ważnego, wręcz przełomowego. W głowie układał treść raportu, który będzie musiał napisać dla Józefa. Zasnął.

* * *

Następnego dnia rano ktoś zadzwonił do drzwi jego mieszkania. Zaspany Antek ledwo wygrzebał się z pościeli. Dłuższą chwilę zajęło mu dojście do drzwi. Spojrzał przez wizjer. Za nimi stało dwóch mężczyzn. Uchylił je. I dostrzegł na wysokości oczu rozłożone na płasko legitymacje funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Cofnął się do wnętrza mieszkania, a ci bez słowa weszli do środka. Na początku się rozejrzeli. Zaspany, ledwie zobaczył, że mieli ciemne spodnie, czarne mokasyny i ciemne marynarki. Wyższy, nieco starszy, miał siwe włosy i wąsy, młodszy ostrzyżony była na rekruta. Ten starszy podszedł do drzwi, na których wisiał przyklejony plakat Jacka Zajdlera, tytułowego bohatera młodzieżowego serialu *Stawiam na Tolka Banana*, pstryknął palcem w papier.

– Dobry serial. U mnie na dzielnicy akcja się dzieje. Nie ma nikogo u ciebie?

– Nie – odparł Antoni.

– Poprosimy o paszport.

Antek podszedł do wiszącej w przedpokoju skórzanej kurtki i wyjął dokument w granatowej okładce. Bez słowa go podał. Funkcjonariusz przejrzał książeczkę, sprawdził, czy wbita jest w niej wiza. Spisał do notatnika jakieś dane.

– Dobrze. Co robiliście na Mickiewicza w mieszkaniu Kuronia? – zapytał.

– Byłem na wykładzie.

– Na wykładzie organizacji wywrotowej, antypaństwowej i antysocjalistycznej.

– Tego nie wiedziałem.

– Toś ty taki nieświadomy? W jakim świecie żyjesz? Wiemy, że twój ojciec był komunistą, zabił go faszystowski reżim. Tak?

– Co ma wspólnego jedno z drugim? O co panom chodzi?

– Twój ojciec zginął za wartości, które wprowadza w życie nasze socjalistyczne państwo. Jeżeli nie będziesz przestrzegał polskiego prawa, będzie ci cofnięta wiza i zostaniesz deportowany z Polski. Będziesz zmuszony przerwać studia – tłumaczył spokojnie młodszy.

– Chyba że będziesz z nami współpracował... – dodał drugi.

– Jak to?!

– Ano tak. Co jakiś czas będziemy się spotykać w jakiejś kawiarni na mieście. Porozmawiamy o tym i owym. Na przykład, co robiłeś, co widziałeś, co słyszałeś o swoich kolegach ze studiów. Proste, prawda?

– Ale... co panów interesuje?

– Wszystko! Ludzie wokół ciebie.

– Na razie trudno mi cokolwiek odpowiedzieć.

– Zastanów się. Przemysł. My się z tobą skontaktujemy. Aha, zapomniałem. – Starszy esbek sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął jakieś pismo. – To dla ciebie. Wezwanie na rozmowę do dziekana do spraw studenckich.

– Ale po co?

– Może chce z tobą porozmawiać na temat twojej przyszłości na studiach?

Funkcjonariusze bez pożegnania wyszli z mieszkania. Antek nie wiedział, co ma myśleć o najściu. Zastanawiał się, jak powinien to rozegrać, aby nie doszło do dekonspiracji. Jedno było pewne, musiał natychmiast powiadomić przełożonego. Spojrzał na powieszony na drzwiach do pokoju plakat. Dostał go od Józefa.

„Zobacz koniecznie w telewizji ten serial! Potraktuj to jako polecenie służbowe. Dużo mówi o współczesnej polskiej młodzieży. O ich marzeniach, o ich słabościach” – przekonywał go Józef.

Poszedł do najbliższej budki telefonicznej. Wybrał numer do mieszkania Hansera.

* * *

Spotkali się dwa dni później w pokoju Ośrodka w Białobrzegach. Tym razem Antoni dotarł tam pekaesem. W pokoju było gorąco. Cienkie ściany nie izolowały od promieni słonecznych. Na kwadratowym stoliku stało pięć schłodzonych butelek żywca.

– Jesteś. Częstuj się – rzucił Józef.

Chłopak nerwowo otworzył jedną z nich i spragniony wypił od razu pół butelki. Józef stał na tarasie oparty o balustradę. Podziwiał gładką tafłę wody rozcinaną przez sunące na silnikach jachty ze zwiniętymi żaglami. Na jeziorze panowała flauta. Antoni podszedł do niego i stanął obok. Czuł się spięty, jakby trochę niepewny. Józef to zauważył.

– Co się dzieje?

– Polska bezpieka chce ze mnie zrobić swojego współpracownika?
– Kto? Który departament?
– Nie wiem. W ogóle mało pamiętam. Zaspany byłem po tym cyrku z papą rzymskim.

Józef uśmiechnął się szeroko i klepnął chłopaka w rękę.

– Bardzo dobrze. Musiałeś wejść w ich zainteresowanie operacyjnie. Nie przypuszczałem, że stanie się to tak szybko. Ale to się zdarza. Też tak kiedyś miałem.

– Co dalej?

– Nie wiesz? To ja ci powiem. Po pierwsze, spotkasz się z nimi. Po drugie, trzymaj się swojej legendy. Oni znają życiorys, który złożyłeś na studia. Mają też twoje dane z wniosku wizowego. Nic więcej. Po trzecie, nic wartościowego im nie mów. Po czwarte, niczego nie podpisuj. Po piąte, ociągaj się z ustaleniem następnego spotkania. Po szóste, koniecznie opowiedz o tym spotkaniu swoim znajomym, szczególnie tej Osińskiej i Kozłowskiemu. To będzie dla nich ważne, bo będzie oznaczało, że im ufasz. Ale pamiętaj, nie lekceważ miejscowej Służby Bezpieczeństwa. Przygotuj się dobrze do tego spotkania.

– Czyli wychodzi na to, że mam takie same zalecenia od nich, jak i od nas. Sprytne.

– Chodzi o to, aby widzieli w tobie kogoś, kto sprzyja opozycji, żeby twojateczka współpracownika puchła, ale nie od cennych dla nich informacji, tylko od notatek o tym, jak próbują cię rozpracować. Bo oni mają taką sprytną i zarazem prymitywną metodę, że jak coś nie wychodzi, to robią wszystko, aby człowieka skompromitować i oczernić. A potem puścić wśród jego znajomych przez agenturę plotkę o rzekomej współpracy.

– Rozumiem. – Dokończył piwo.

– Chcesz jeszcze jedno?

– Tak.

– Otwórz... *por favor*. – Uśmiechnął się do chłopaka, który przyniósł dwie butelki. – Posłuchaj. Szczepionką na to będzie twoje działanie wyprzedzające. Jak najobszerniej opowiadaj znajomym bliższym i dalszym o każdej próbie kontaktu ze strony bezpieki. O spotkaniach, o ich zainteresowaniach operacyjnych.

– A jak się bezpieka polska zorientuje, że z nimi pogrywam? Albo co gorsza, ktoś doniesie na mnie, że gadam takie rzeczy? – Przechylił butelkę.
– Mogą przypadkowo rozpiżdzić naszą operację.

– Teraz już stąpasz po kruchym lodzie. Ale nie martw się, Antek. Na razie jesteś dla nich płótką. Jeżeli pojawi się jakiegokolwiek zagrożenie ze strony SB, wtedy ja się tym zajmę. Ale to będzie absolutna ostateczność, bo to zawsze może grozić twoją dekonspiracją.

– Jasne.

– A teraz zrobisz tak. Przez kilka dni będziesz dzwonił do swoich znajomych, tej Anki i Pawła, ale z budki telefonicznej. Najbliższą masz chyba przy Grójeckiej obok bazaru. Ale telefonuj do nich o różnych porach dnia i nocy. Tak, nocy! Powiedzmy o drugiej, trzeciej nad ranem. Nie odzywaj się. Mają to być takie... głucho telefony.

– I co dalej? Jaki jest sens tych telefonów?

– Jak to, jaki sens?! Nie rozumiesz?! W czasie rozmowy z nimi powiesz, że dostajesz anonimowe telefony, że ktoś się na ciebie wziął, że grozi ci, próbuje zastraszyć. Oni to rozumieją, bo sami tego doświadczą. W ten sposób staniesz się dla nich bardziej wiarygodny. Poza tym pokażesz im, że SB na serio interesuje się waszą grupą. To zmusi ich do zejścia głębiej do konspiracji i otworzy ci kolejne drzwi. Poznasz ludzi, którzy są teraz w cieniu.

– Teraz wszystko rozumiem. Popatrz, jaka gładka tafla jeziora. Trochę mi to przypomina...

– Ale zrobisz też jeszcze jedną rzecz. Po kilku dniach od spotkania z nimi porozwieszaj na mieście dwa typy ogłoszeń o tym, że chcesz tanio sprzedać syrenkę 105 lux z małym przebiegiem. Tanio! To ważne, aby było tak zaznaczone! W jednym ogłoszeniu podaj numer telefonu jego, a w drugim jej. Nieświadomi niczego ludzi urzędują im piekło. Pamiętaj, oni są tylko takimi małymi kluczami, które umożliwią ci stopniowe wejście dalej, za kolejne drzwi.

– Ciekawe. Bardzo ciekawe. – Pokiwał głową Antek.

– Zatem wznieśmy toast za powodzenie twojej kariery polskiego opozycjonisty antysocjalistycznego. – Józef uśmiechnął się, poszedł do pokoju i otworzył kolejne butelki piwa.

Wrócił, postawił jedną na balustradzie i stuknął o nią swoją.

– Zaraz wszystko opiszę. W końcu trzeba uważać na takie szczegóły.

– Józek, jest jeszcze jedna sprawa.

– Mów. Słucham.

– Dziekan wydziału chce się ze mną spotkać. Nie wiem, o co chodzi, ale może to być jakaś rozmowa dyscyplinująca. Wezwanie do niego dosta-

łem od tych esbeków.

– Nie przejmuj się. W Polsce już dawno minęły czasy, że za działania wywrotowe wyrzucają ze studiów. To może być tylko forma nacisku z ich strony, żebyś się zgodził na współpracę. Zakładam, że to będzie jakaś forma rozmowy wychowawczej, bez działań represyjnych. Być może ten dziekan został do niej zmuszony. Tylko tyle. A może on ma też kontakty w opozycji? Tak czy inaczej obrócimy to na naszą korzyść.

– Idąc tokiem twojego myślenia, najlepiej, żebym takie kontakty miał.

– Uczysz się! Brawo! Właśnie tak byłoby najlepiej. Wiesz, Antek, chciałbym, abyś robił na tych swoich znajomych wrażenie człowieka, który niespecjalnie interesuje się polityką, ale pomaga opozycji z pobudek czysto moralnych. Taka postawa wzmocni twoją pozycję. Będą cię postrzegali jako ideowca.

Antek zamyślił się i pomasował czoło.

– To nie jest takie proste.

– To prawda, ale trzeba iść w tym kierunku. No cóż, na nas już czas. Termin i miejsce następnego spotkania bez zmian. Trzeba będzie poszukać czegoś nowego. Bo wezmą nas za pedałów i doniosą do bezpieki. I ja też znajdę się w tej ich kartotece. – Roześmiał się.

– W czym?

– Nic takiego. Zbierają informacje o wpływowych homoseksualistach. Opowiem ci o tym przy okazji. A teraz – Józek spojrział na zegarek – masz trzy, cztery godziny na napisanie raportów. Ostatni pokaes do Warszawy odjeżdża o chyba o dziewiętnastej.

– Tak, o dziewiętnastej – powtórzył Antoni.

– Zaczynaj ogólnie od opisu atmosfery pielgrzymki, nastawienia ludności, postawy służb państwowych, ciekawych zdarzeniach. Potem o poznanych osobach z opozycji, podaj ich dane. Na koniec opisz kontakt z polską bezpieką. Idę po karton piwa do samochodu. Lodówka działa doskonale – klepnął dłonią urządzenie w kształcie sześcianu z napisem *Igloo*.

Rozdział 20

Warszawa – lipiec 1984 roku

Pułkownik Romuald Dragun, szef Dyżurnej Służby Operacyjnej Sztabu Warszawskiego Okręgu Wojskowego, kolejny raz miał problem z awansem. Pod znakiem zapytania stała jego dalsza kariera zawodowa. Kilka tygodni temu jego foksterierka Dora zżarła dokumenty sztabowe, przygotowywane przez niego po spotkaniu z towarzyszami radzieckimi z Północnej Grupy Wojsk. Gdyby nie znajomość i wstawiennictwo samej góry oraz fakt, że Dora znana była radzieckim generałom ze wspólnych polowań, jego los byłby inny. Brak awansu to najłagodniejsza kara.

Dragun urodził się na Nowogródczyźnie. Słabo pamiętał ojca, choć wiedział, że matka przed wojną spotykała się z nim w Lidzie, ale nie chciała o tym mówić, bo to był mezalians. Potem wybuchła wojna. Już jako nastolatek wykonywał wyroki na sowieckich partyzantach, niemieckich żandarmach i esesmanach oraz litewskich policjantach. Zostały wydane za nimi trzy listy gończe. Wstąpił do Wojska Polskiego, które nadeszło ze Wschodu, ale nigdy nie ujawnił, czym się zajmował w czasie wojny. Zmienił swoje niektóre dane personalne.

Po wojnie walczył z Werwolfem – jego oddział zlikwidował trzydziestu dwóch Niemców na Pomorzu Zachodnim – oraz z UPA. Działając na pograniczu dwóch grup operacyjnych *Lublin* i *Rzeszów*, poznał swojego obecnego przełożonego – generała Wojciecha Jaruzelskiego. Łączyły ich podobny życiorys, utrata ojca, tak zwane dobre wychowanie, szlacheckie pochodzenie oraz nieukrywana wzajemna sympatia. Generał wielokrotnie mu pomagał. Zwłaszcza kiedy Dragun miał problemy dyscyplinarne wynikające raczej z jego trudnego charakteru niż niesubordynacji. Tak stało się w 1947 roku, gdy został niesłusznie aresztowany, a potem szybko zwolniony.

W 1961 roku jego warszawskie mieszkanie przy Pivnej 7 odwiedził Piotr Winiecki „Armando”, podwładny jego ojca z okresu służby w Dwójce Drugiego Korpusu. Po przełamaniu początkowej nieufności i przeczytaniu listu od pułkownika Romualda Czakuckiego Dragun złamał zasady, których miał strzec. Pomógł uciec Winieckiemu i jego żonie Izie przez Bieszczady i Czechosłowację do Wiednia. Zobowiązał się również przejąć przedwo-

jenne archiwum Dwójki, ukryte przez jego ojca w kościele w Dynowie na Podkarpaciu. Znajdowały się w nim dokumenty związane z realizacją różnych operacji specjalnych przedwojennego wywiadu. Dragun przeniósł je do specjalnego schowka na swojej działce. Miały czekać na lepsze czasy albo przerzut na Zachód.

Od tego momentu poprzez kuszetkowego PKP na trasach międzynarodowych Mietka Marszałka, znajomego Czakuckiego, utrzymywał kontakt listowny z ojcem.

O tym, kim był pułkownik Czakucki, wiedział jedynie generał Jaruzelski. Nigdy nie znalazło się to w jakiegokolwiek notatce czy aktach osobowych.

To była ich tajemnica.

* * *

Był wczesny letni, niedzielny poranek. Dragun wjechał jasnozielonym fiatem 125p na mokotowską uliczkę Ikara. Zatrzymał samochód przed domem generała. Ochrona była powiadomiona o jego przyjeździe. Lubił tę okolicę. Zwłaszcza kiedy przyjeżdżał tu ze swoim psem na spacer. Okolice dawnej skarpy wiślanej, podobnie jak Lasek Bielański, były ulubionymi miejscami ich wspólnych spacerów. Ile razy opowiadał swojemu przełożonemu, jak to Dora na Bielanach umorusała się w nadwiślańskich zaroślach, Jaruzelski z kolei zawsze się dopytywał o klasztor pokamedulski marianów, w którym uczył się przed wojną.

Generał powitał pułkownika w przedsionku domu. Miał na sobie jak zwykle o tej porze ulubioną zielonoszmaragdową bonzurkę, nieco staroświecką, jakby ze szlacheckiego domu. Skręcili z korytarza w lewo, do niewielkiego pokoiku, gdzie zwykle Jaruzelski przyjmował gości. Dragunowi zawsze kojarzył się z miejscem ponurym, mrocznym, jakby z innej epoki.

– Jadłeś śniadanie, Romek?

– Nie. A, co proponujesz? To co zwykle?

Generał zaprosił pułkownika do okrągłego stołu.

Na ścianach od wielu lat wisały te same obrazy. Jak zawsze z magnetofonu sączyła się muzyka Chopina – jedyna, jakiej generał słuchał. Ponieważ była niedziela, to na stole obok białego sera z miodem, który generał jadł w dni powszednie, jego żona Basia postawiła jajecznicę.

– Widzę trzy nakrycia. – Dragun wskazał na puste ciemne krzesło.

– Tak. Jeszcze minister Czesław do nas dojedzie. Telefonował, że się trochę spóźni. Coś musi u siebie na Rakowieckiej załatwić. Może się poczęstujesz. – Wskazał na mieszankę wedlowską w szklanej misce. – Lekarze mi zabraniają, ale nie mogę się powstrzymać. W końcu czekolada to jedyny mój nałóg.

– Drugim, o ile pamiętam, na szczęście przejściowym, było wypalanie przez ciebie paczki carmenów na początku stanu wojennego. Chyba po Wujku?

Generał skinął lekko głową.

– Muszę chyba wreszcie coś zmienić w tym domu. Córkę denerwują te stare meble. Mówi, że jak chodzi po innych domach, to są tam nowoczesne, a nie takie jak te. – Wskazał gestem wystrój pomieszczenia. – Jak w muzeum.

– Moja Ania na szczęście już wyrosła z takiego postrzegania rzeczywistości, od czasu gdy z dziesięć lat temu przestała być hipiską. A była nią kilka dni. Nawet twierdziła, że też powinienem zostać hipisem!

– A tego to nie wiedziałem. Hipis, pułkownik Wojska Polskiego!

Roześmiali się akurat w momencie, gdy pod dom podjechał samochód. Trzasnęły drzwi. Potem furtka w ogrodzeniu.

– O! Kiszczak na śniadanie zmierza! Z hałasem. A to raczej nie w jego stylu – rzucił generał, nie odrywając się od ciepłej jajecznicy.

Szef MSW przywitał się i przysiadł do obu mężczyzn. Był głodny. Bez słowa zaczął jeść jajecznicę. Po dziesięciu minutach skończyli śniadanie.

– Posłuchaj, Romek. Już ustaliliśmy pewne sprawy z towarzyszem ministrem. Zdecydowałem, że musisz się czymś zająć. Czymś, co nas bardzo zaniepokoiło, ale też daje pewne możliwości. Proponuję wyjść przez salon do ogrodu.

Wyszli na tył domu.

– Chciałem od razu zaznaczyć, że ze strony resortu spraw wewnętrznych wszystko jest gotowe. Są wytypowani funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, którzy ci pomogą. To zaufani ludzie, głównie z Biura B. Ci sami, którzy brali udział w realizacji naszej operacji w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku, zaraz przed wprowadzeniem stanu wojennego – zaznaczył Kiszczak. Chodziło o kontrolowaną ucieczkę na Zachód oficera Sztabu Generalnego.

– Świetnie. To może zaczniemy... – Jaruzelski zastanawiał się przez chwilę.

Usiedli w fotelach ogrodowych. W otoczeniu soczystej zieleni ptaki dawały poranny koncert. W oddali było słycać dzwonki tramwajów jadących Puławską. Zapowiadała się piękna niedziela. Dragun z kamienną twarzą czekał na rozwój sytuacji. Takie towarzystwo go zaskoczyło. A zaczęło się od telefonu generała do warszawskiej Cytadeli, gdzie akurat pełnił służbę. Był pewien, że chodzi o coś wyjątkowego. Tak mu podpowiadała intuicja zwiadowcy i desantowca.

Generał spojrział na szefa resortu spraw wewnętrznych.

– Czesiu, może jednak ty zacznij.

– Pułkowniku, to, co wam powiemy, jest największą tajemnicą. Wiedzą o niej nieliczni. O całości tylko my dwaj. Od dzisiaj także wy. – Zawiesił głos. – Jak wiecie, sytuacja polityczna w kraju jest bardzo złożona. Otoczenie międzynarodowe, to dalsze, jest mocno niesprzyjające Polsce. Mimo przekazanego przez nas w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku sygnału do władz amerykańskich o planach wprowadzenia stanu wojennego nie zareagowali oni odpowiednio.

– Nie bardzo rozumiem, towarzyszu ministrze – wtrącił Dragun.

– Romek, chyba nie myślisz, że ucieczka pułkownika do Berlina Zachodniego odbyła się bez naszej wiedzy?! Tak mogą sobie myśleć Amerykanie w Langley. Wiesz, o kogo chodzi?

Dragun kiwnął głową.

– W końcu byliście sąsiadami. – Generał uśmiechnął się lekko, aby rozluźnić nieco atmosferę.

– Dalekimi. On z Nowego Miasta, ja ze Starówki...

Dragun zmarszczył jasne brwi i popatrzył uważnie na generała, a potem na ministra. Milczał. Poluzował zielony krawat i rozpiął ostatni guzik pod szyją w mundurze. Zrozumiał, że sprawa jest poważna.

– Formalnie, aby uwiarygodnić go w oczach Amerykanów i towarzyszy radzieckich, bo zapewne i jedni, i drudzy mają u nas swoich ludzi, w listopadzie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego na moje polecenie powołano specjalną grupę operacyjno-śledczą w ramach struktur WSW – dodał generał.

– Myślicie, pułkowniku, że oficerowie naszego kontrwywiadu nie zauważyli, jak się urywał w czasie szkoleń na jakieś spotkania? Albo że ma jacht. Przyzna pan, że dom miał w dość ekskluzywnej okolicy, o zachodnim samochodzie nie wspomnę. Ma pan znajomych po misjach zagranicznych w Egipcie, Wietnamie, Libanie i wie, że aż takiego luksusu nie mają! –

powiedział nieco poirytowany minister. – I myśli pan, że jako oficer Sztabu Generalnego dostawał tak po prostu zgody na rejsy na Zachód?!

– Czesław chyba przez skromność nie dodaje, że podlegli mu oficerowie Departamentu I kontrolowali jego spotkania w Kopenhadze, gdy z ambasady amerykańskiej podjeżdżały po niego do portu samochody. Chodziło o to, aby mieć możliwość uruchomienia jednorazowego kanału komunikacji z Waszyngtonem – dodał i podniósł porcelanową filiżankę z herbatą.

Generał i minister w milczeniu patrzyli na Draguna, sprawdzając, jak zareaguje na te informacje.

– A co ja mam z tym wspólnego?

– No widzisz, i tu właśnie wchodzisz ty...

Draguna przeszył dreszcz, wyprostował plecy, bardziej poluzował krawat i trwał tak przez kilka chwil jakby lekko oszołomiony.

– Ale zanim powiemy ci, jakie zadanie dostaniesz, to jeszcze musisz ustalić pewną rzecz. Słyszałeś o Biurze Studiów MSW?

– Nie. Ale ono chyba podlega pod towarzysza ministra?

– Widzisz, Romku, mamy z Czesławem pewne podejrzenia graniczące z pewnością... a w zasadzie pewne informacje, że nad tą jednostką ktoś może przejąć kontrolę albo już przejął. Niestety nie możemy wykonywać w tej sprawie gwałtownych ruchów. Sprawa jest delikatna, bo może dotyczyć naszych sojuszników. Dlatego zajmiesz się jedną osobą, bo według nas ona jest kluczem do sprawy. Będziesz miał do dyspozycji żołnierzy ze służb podległych MON...

– Ale nikt nie może się domyślić, kto jest obiektem naszego zainteresowania. Dlatego służby podległe MSW muszą być wykluczone z tej części operacji. Rozumiecie? – wtrącił minister.

– Tak, a kim jest ta osoba? Dowiem się? – zapytał niepewnie Dragun.

– Naturalnie, dostaniesz do wglądu założenia operacji. Jednak uprzedzam, że wszelkie materiały, które poznasz, zostaną potem zniszczone.

– A dlaczego ja?

– Bo jesteś wolny od jakichkolwiek podejrzeń.

Dragun spojrział badawczo na generała.

– Gdybyśmy nie ufali tobie, gdybym ja ci nie ufał, nie uczestniczyłybyś w tym przedsięwzięciu. – Minister przytaknął. – Niełatwo znaleźć osobę, która podjęłaby się tak trudnego zadania. Do tego twoja legenda będzie bez zastrzeżeń. Tak jak mówiłem, rozwiązanie mamy gotowe. Przetestowaliśmy

je w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku, a teraz chcemy udoskonalić z waszą pomocą, pułkowniku.

„O co im chodzi? Co oni kombinują?” – zastanawiał się Dragun.

– To co, Romek? Muszą cię zatem kolejny raz zawiesić w obowiązkach. Zostaniesz oddany do dyspozycji dowództwa WOW, bez konieczności stawiania się w jednostce macierzystej. Na razie bezterminowo, to pozwoli ci na swobodne działanie w naszej sprawie – dodał generał.

Rozdział 21

Dynów, Warszawa – lipiec 1984 roku

Brak na rynku był mocno nagrany. Mietek Marszałek siedział na ławce na rynku w Dynowie, przy pomniku króla Władysława Jagiełły, i czekał na spotkanie z Dragunem.

Marszałek w zasadzie powinien już kończyć pracę kuszetkowego PKP na trasach międzynarodowych i przejść na emeryturę. Jednak zyski, jakie czerpał na boku z przemytu drobnych towarów i handlu deficytowymi produktami, powodowały, że nie spieszył się z odejściem z przedsiębiorstwa. Przebywał właśnie na urlopie u rodziny na Podkarpaciu, gdy do jego żony w warszawskim mieszkaniu dodzwonił się syn Czakuckiego. A zaraz potem wysłał do Dynowa telegram:

Mieczysław Marszałek. Stop. Jadę pojutrze na polowanie w Bieszczady. Stop. Będę przejeżdżał przez Dynów. Stop. Powinienem być na miejscu o godzinie 18. Stop. Zapraszam na dobry obiad. Stop.

Roman

Czekając na Draguna, trochę się niepokoił, bo z wiekiem coraz bardziej obawiał się jakichś akcji z jego udziałem. „Jestem już za stary na szpiegowskie sztuczki” – powtarzał w myślach.

– Dobry wieczór! – Z zamyślenia wyrwał go znajomy głos.

– Już myślałem, że nie przyjedziesz. – Odwrócił się.

Wstał i przywitał z wysokim mężczyzną, który ubrany był jak na polowanie.

– Chodźmy na obiad. Mam pilną sprawę do ojca.

Marszałek spojrzał z niepokojem na Draguna.

– Naszą ulubioną Pod Kłosem zamknęli niedawno. Została tylko Pogórzanka. Na górze jest jeszcze kawiarnia, a z tyłu piwiarnia, ale to mordownia dla miejscowych.

Ruszyli wolnym krokiem do pawilonu stojącego na rynku, popularnie nazywanego handlowcem, gdzie mieściła się jedyna w mieście restauracja.

Usiedli w głębi sali. W środku było kilku gości zapewne jadących jak on w Bieszczady.

– Pamiętasz, jak mi się tu NSU rozkraczył? Ile to już lat temu? Dzie sięć? Zabrałeś mnie do swoich. Ale poszło wtedy bimbru... – zaczął Dragun.

– Tak, bo jak Pod Kłosa dotarliśmy, wyjąłeś visa i krzyczałeś coś o wolnej republice podkarpackiej! Że nas wtedy milicja nie zwinęła? To zawdzięczmy tylko twojej trzeźwo myślącej żonie i jej kolezance, z którymi jechałeś nad Solinę.

– Aaa. Wiesz, fantazja...

– Fantazja fantazją... Nigdy cię o to nie pytałem, bo... nie było jakoś okazji. Skąd ty w ogóle masz to kopyto?

– Visa? Mam go jeszcze od wojny.

– Pieprzysz. Jak one poszły wtedy na komisariat, to komendant mało się nie zesrał, bo nie wiedział, co robić. Błagał, żeby same cię odholowały do domu.

– Ale to były czasy... – dodał Dragun. – A wiesz, ta koleżanka wpadła potem na pomysł, żeby mi wlewać do butelki po jakimś koniaku herbatę. Ale się przez to wstydu najadłem na polowaniu. Wyciągam piersiówkę do radzieckich, a ona bez prądu!

– To gdzie ty pracujesz, Romek?

– W Warszawie, Mieciu. A po co ci to wiedzieć? Nie lepiej spokojnie robić interesy na trasach do Wiednia i Paryża? A tak to... będziesz miał niespokojne sny. Po co ci to wiedzieć, chłopie?

Do stolika podeszła kelnerka w ciemnej sukience i białym fartuszku i przyniosła cztery wódki oraz nóżki wołowe w galarecie. Oznajmiła, że ozorki w sosie chrzanowym z tłuczonymi ziemniakami i ćwikłą będą gotowe za kwadrans.

– Ja mam do ciebie interes. Interes życia.

Marszałek lekko pobladł i opróżnił dwa kieliszki z wódką.

– Spokojnie, Mieciu, spokojnie. Jak utrzymasz takie tempo, nie pogadamy. Ale zamówię jeszcze po dwa. – Machnął do kelnerki, pokazując cztery palce i wskazując puste kieliszki.

– Dobra, dawaj, o co chodzi?

– Skontaktuj się z ojcem. Kiedy jedziesz?

– Za kilka dni do Wiednia, potem do Paryża.

– Dobra. Zadzwoń do niego i powiedz, że to bardzo ważna sprawa. Żeby skontaktował się ze swoimi angielskimi kolegami z czasów wojny i później. Niech się spotka z tobą w Paryżu. Przekażę dla niego list. Wszystko opiszę. Aha, dodaj, że to ważne nie tylko dla nich, ale i dla niego. Chodzi o przerzut materiałów ukrytych przez niego w czasie wojny. – Dragun skinął głową w kierunku wieży kościoła Świętego Wawrzyńca.

– Aaaa, to! Te skrzynie, które z Armandem wyciągnęliśmy jakoś dwadzieścia lat temu, przed jego ucieczką z Polski! Ciągle się zastanawiałem, co w nich było. To on wtedy do ciebie je zawiózł?

– Do mnie.

– Nie bałeś się?

– Nie. Zapamiętasz wszystko?

– Jasne.

– Dokładnie za tydzień. Dobra. Wyjątkowo, Mieciu, będę czekał na ciebie na peronie. Opowiesz mi wtedy, co ojciec zdecydował. Kiedy jedziesz do Paryża? O! Pani szanowna ma już dla nas obiad i kolejne kiełiszki z wódką! To za spotkanie. – Zdjął jeden z tacy, podał Marszałkowi, a drugi sam wychylił.

* * *

Dragun z boku wyglądał, jakby był nienaturalnie wyprostowany, nazbyt sztywny, jakby kij połknął. O takich jak on mówili, że byli w kompanii reprezentacyjnej. Oficer skręcił z Marszałkowskiej w lewo, w Nowogrodzką.

Warszawskie wakacyjne popołudnie było nieco senne. Nie było takiego ruchu jak zwykle. Minął po lewej podjazd do hotelu Forum i przeszedł na drugą stronę ulicy. Po przeciwnej stronie miał przed sobą sporą kamienicę z numerem 18. „W dobrym stanie, na szczęście ocalała w czasie powstania” – zauważył.

Zatrzymał się na chwilę i rozejrzał. Na drugim piętrze dostrzegł nie-duży balkon, a na nim opartego o balustradę mężczyznę palącego papierosa. „Cygaretką, cygaro...?” – przeszło mu przez głowę.

Wyjął z kieszeni białej koszuli z kołnierzykiem i krótkimi rękawami carmeny, które zabrał żonie. Zapalił. Spojrzał jeszcze raz w górę. Na moment wzrok obu mężczyzn się spotkał. Dragun ruszył dalej. „Czy to on? Wygląda na to, że tak. Adres się zgadza”.

* * *

Józek siedział na balkonie i rozłożył na stoliku „Express Wieczorny”. Przeglądał doniesienia z Ameryki Południowej:

...przez Peru wciąż przelewa się poważna fala strajków. Trwają starcia wojsk rządowych z partyzantami z organizacji Świetlisty Szlak. Sytuacja wygląda na wojnę domową, tym bardziej że w walce z rządem uczestniczą także członkowie mniej licznej MRTA, czyli Ruchu Rewolucyjnego im. Tupaca Amaru...

Odłożył gazetę i wziął drugą, tym razem „Życie Warszawy”. Otworzył na czwartej stronie z nagłówkiem *Ze świata*:

...sytuacja gospodarcza Ekwadoru ponownie się pogorszyła, wciąż tlą się konflikty graniczne z Peru i Kolumbią. Sytuacja społeczno-polityczna kraju jest bardzo trudna. Coraz bardziej nabrzmiewają inne problemy: wzrost roszczeń terytorialnych rdzennej ludności stanowiącej większość mieszkańców Ekwadoru...

„To Nowicki ma pełne ręce roboty” – pomyślał. Zaczął się zastanawiać, czy na pewno nazwa tworzonej pod jego nadzorem komórki zapewni absolutną konspirację prowadzonych działań. Biuro Studiów MSW właśnie zaczynało działalność. Komórka zapewniła sobie zupełną niezależność od innych służb podległych resortowi spraw wewnętrznych. Jedyne ślad znalazł się w niejawniej części budżetu MSW, nie wyszczególniono w nim jednak danych o liczbie pracowników i funkcjonariuszy, a także wewnętrznej ochronie. Nie było żadnej informacji o jej strukturze, własnej kartotece i archiwum, a przede wszystkim o pozyskiwanych na własne potrzeby osobowych źródłach informacji i planowanych operacjach specjalnych. Lokalizacja biura została utajniona. Biuro Studiów z założenia prowadziło działania długoterminowe. Perspektywa realizowanych operacji miała sięgać kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu lat. W projekcie przygotowanym przez Józka miały być realizowane niezależnie od sytuacji politycznej. Gdyby

w Polsce doszło do zmian, co też zakładał, czyli przejęcie władzy przez siły antysocjalistyczne, struktura, czyli agentura i część oficerów, miała przejść do konspiracji, pod bezpośrednią kontrolę i prowadzenie źródeł przez oficerów I Zarządu Głównego KGB. Struktury i współpracownicy mieli przenieść się do firm przykryciowych miejscowych lub zagranicznych, w tym tak zwanych polonijnych, fundacji, stowarzyszeń, organizacji kościelnych, a nawet partii politycznych. Dla podejmowanych działań istotne było utrzymanie sieci niezależnych, obecnie określanych przez rządową propagandę jako wywrotowych, wydawnictw, które w przyszłości mogły się stać opiniotwórcze. Moskiewska Centrala nakazała również Józefowi, aby przyglądał się wszelkim inicjatywom związanym z powstawaniem rozgłośni radiowych. Wszędzie tam należało wprowadzać oficerów o statusie nielegalów, a także agentów.

* * *

– Dzień dobry, pan Edward?

Naprzeciwko Draguna stał trzydziestoparoletni, lekko przygarbiony szczupły mężczyzna.

– Tak. Proszę wejść. – Zamknął drzwi. – Bez trudu znalazł pan adres?

– Tak. Obejrzałem cały kwartał. Wszedłem bramą od Jerozolimskich.

– Kiedyś tu się działo. Zaczynałem tu swoją karierę.

– Tutaj?

– Tak. W tym punkcie. Ale to było... ze dwanaście lat temu. Jestem do pana dyspozycji. Takie polecenie mam z góry. Tu są klucze do mieszkania. Na jak długo to mieszkanie będzie panu potrzebne?

– Zakładam, że najwyżej na miesiąc.

– Rozumiem. Jak pan skończy, proszę zatelefonować na Stanowisko Kierowania Biura B. – Wskazał na aparat telefoniczny bez tarczy. – Wystarczy podnieść słuchawkę. – Mężczyzna pożegnał się z Dragunem.

Ciężkie drzwi trzasnęły. Pułkownik został sam. Podszedł do okna wychodzącego na wewnętrzne podwórko. Był na drugim piętrze, przed sobą miał kamienicę pod adresem Nowogrodzka 18. Górowała nad nią bryła hotelu Forum przypominająca wielki herbatnik.

Draguna interesowało w zasadzie mieszkanie na drugim piętrze, na którego wejście od strony oficyny miał doskonały widok. Usiadł na chybo-

ciągłym się krześle. Wyjął z tylnej kieszeni dzinsów „Express Wieczorny”. Rozłożył gazetę.

Szukał na drugiej stronie tylko jednego artykułu. Znalazł.

Trwają przygotowania do startu pierwszej misji promu kosmicznego Discovery. Planowany jest na trzydziestego sierpnia...

Od czasu powrotu z kursu w Leningradzie w Akademii Wojsk Rakietowych fascynował się techniką rakietową, a także lotami w kosmos. Tym bardziej że kilkakrotnie spotykał się służbowo z pierwszym polskim kosmonautą, pułkownikiem Mirosławem Hermaszewskim.

Ale teraz miał zupełnie przyziemne zadanie. Zaczął się zastanawiać, jak powinien zabrać się do sprawy. Nie był oficerem służb specjalnych. Jedyne doświadczenie, jakie posiadał, wynikało ze służby w rozpoznaniu, zwiadzie, desancie. Ale to było za mało. Szybko skontaktował się z pionem technicznym WSW, aby zamontowali zewnętrzne instalacje podsłuchowe w obserwowanym mieszkaniu, kamerę ustawioną na wejście główne oraz dostarczyli mu sprzęt fotograficzny.

Nie musiał się martwić o biurokrację. Nie miało być żadnego obrotu pismami, zleceniami czy meldunkami. Tylko ustne polecenia i odręczne notatki bez jakichkolwiek oznaczeń. Zrozumiały jedynie dla generała i ministra. Ekipa techniczna z WSW potrzebowała kilku dni, aby dyskretnie zrealizować wszystkie zlecenia. Technicy wykluczyli wstępnie tajne przeszukanie lokalu, bo jego mieszkaniec prowadził bardzo nieregularny tryb życia. Poza tym zauważyli alarm w drzwiach i z mieszkania było aż pięć wyjść. Kolejny dzień zajęło im poinstruowanie Draguna, jak obsługiwać urządzenia. Pułkownik robił tylko notatki z obserwacji, a taśmy i zdjęcia niszczył w ognisku na działce koło Chynowa.

Wracając do domu, podjeżdżał na Ikara i referował generałowi, co zobaczył. Czasami dostawał jakieś dodatkowe informacje, na przykład że właścicielem lokalu jest powstaniec warszawski uchodzący za przyzwoitego człowieka. Dragun podejrzewał, że to tylko figurant.

Po kilkunastu dniach obserwacji mieszkania numer 4 Dragun doszedł do wniosku, że lokator o imieniu Józef kontaktuje się z kilkoma funkcjonariuszami Biura Studiów MSW. Zaczynał też rozumieć, jaką pozycję ma

w Polsce i kto odpowiada za te działania. Zrozumiał, dlaczego generał ostrzegł go, że stąpa po kruchym lodzie.

Po kolejnych dwóch tygodniach inwigilacji Dragun odkrył coś, co nie pasowało do poprzednich ustaleń. Do mieszkania o różnych porach dnia przychodzili młodzi mężczyźni. Byli dobrze ubrani, schludni. Początkowo myślał, że odwiedziny Józefa mają związek z jego preferencjami seksualnymi, ale nic takiego nie wynikało z podsłuchu.

Zauważył też coś, co go zastanowiło i czym powinien podzielić się z generałami.

* * *

W ogrodzie na Ikara czuć było lekki podmuch wiatru od strony skarpy wiślanej. Ściemniało się. Na krzesłach ogrodowych siedzieli w zasadzie w półmroku.

– Jesteś pewien, Romek?

– Tak. Mieszkam na Piwnej siedem. Pod numerem dziewięć mieścił się Prymasowski Komitet Pomocy. Nawet służbowego GAZ-a kiedyś tam parkowałem! Dwóch, może trzech z tych młodych gości od tego Józefa kojarzę.

– To bardzo ciekawe pułkowniku, co mówicie – wtrącił Kiszczak.

– A tego wysokiego kojarzę z okolic kościoła Świętej Anny. Czasem chodzę na spacer z Dorą na Mariensztat.

– Z kim?

– To foksterier pułkownika. Wyjątkowo żywotny. Czy ty wiesz, że ten pies z Cytadeli od Romka na Stare Miasto sam wraca? A on go wozi tam specjalnie, żeby był spokojny i nie zżerał mu kanapy, kapci, raportówki czy bechatki... Co tam jeszcze, Romek? – Jaruzelski się uśmiechnął. – Wracając do sprawy: jeśli chodzi o tych mężczyzn, jesteś pewien?

– Tak.

– Wiesz, co to oznacza? – zwrócił się Jaruzelski do Kiszczaka.

– Wydaje mi się, że struktury, a w zasadzie społeczne organizacje kościelne też są w obszarze ich zainteresowania.

– Jeśli mogę jeszcze dodać... – wtrącił pułkownik. – Bez wejścia do tego lokalu nic więcej nie ustalimy. Ale jeśli zlecicie prowadzenie ustaleń przez podległe wam służby, sprawa może się wydać.

– Co zatem proponujesz? – zapytał generał.

– Trzeba wybrać odpowiedni moment na wejście na... ostro. Ten facet bardzo się kontroluje. Sporo gości. Ale z tego, co usłyszałem, będzie niedługo wyjeżdżał na kilka dni. W ciągu miesiąca, jeszcze w wakacje. Chyba do Londynu. Rozmawiał z kimś, że ma tam jakąś sprawę. – Przerwał na chwilę, zaraz jednak dodał: – Pewnie jak wyjedzie, to zamieszka tam ktoś inny. To już ludzie towarzysza ministra muszą pomóc go wywabić z mieszkania albo... zneutralizować. Resztę ja załatwię. Znajdę ludzi spoza resortów. Mam zaufanego, który na Różyckim robi interesy. Zna takie osoby. A tu kasiarz pewnie potrzebny. I to dobry.

– Z tymi kasami pewna sprawa? – wtrącił generał.

– Pewna. Tak jak i alarm. Tam pracuje dozorczyńni, która jest też zatrudniona na pół etatu jako sprzątaczką w Sejmie. Sprząta w gabinecie marszałka. Nasza oficer obiektowa podpytała ją kiedyś na wielkanocnym jajeczku. Oczywiście w ramach swoich obowiązków – odpowiedział Kiszczak.

– Ale to oznacza, że trzeba będzie wykorzystać obserwację od towarzysza ministra. Tylko bez strzelaniny, towarzysze! – spuentował Jaruzelski.

– Generale, ja już zaczynam rozumieć, jaka jest stawka. I jak będzie trzeba, to może warto nawet tę strzelaninę urządzić.

– Zgadzam się z pułkownikiem. – Minister kiwnął głową. – Ale wiecie, pułkowniku, po tej akcji nie będziecie mieli odwrotu. Żadnego. My się wszystkiego wyprzemy. Być może oplujemy was...

– Im bardziej mnie potępicie, tym bardziej będę wiarygodny i odsunę od was wszelkie podejrzenia – przerwał Dragun Kiszczakowi. – Mam tylko prośbę, to dla mnie najważniejsze.

– Żona i córka? – odgadł Jaruzelski.

– Tak. Żona działa zapewne w podziemnych strukturach Solidarności, a córka już jest dorosła, na studiach na AWF. Ale rozumiecie...

– Sam mam córkę, co mam nie rozumieć!

Wiedzieli, że powodzenie operacji może zależeć w dużym stopniu od przypadku lub po prostu szczęśliwego losu.

– Chodźmy zatem do domu na herbatę i mieszankę wedlowską – zaproponował gospodarz spotkania.

* * *

Dragun nie miał zaufania do ludzi z półświatka. Ale nie było wyjścia. Choć Marszałek mocno się przestraszył, ale jednak mu pomógł. Teraz on i dwóch grypsujących, opłaconych z funduszu operacyjnego WSW, czekało w samochodzie Draguna naprzeciwko bramy przy Nowogrodzkiej 18. Wcześniej dostali informacje techniczne o zamkach, alarmie, rodzaju kas.

Pod bramę podjechała taksówka. Józef jak zawsze był elegancko ubrany. Wyszedł z kamienicy z walizką i skórzaną torbą na ramieniu. W tym samym czasie na balkonie salonu stał nieco od niego starszy mężczyzna. Patrzył na odjeżdżający samochód. Dragun poznał go. To on najczęściej bywał w mieszkaniu.

– To co, szefie. Idziem na grandę? Idziem w ciemno na zakupy czy dalej melinujemy się w tej samotni na kółkach? – zapytał jeden z nich.

– Zamknij ryja, brajda. To czysta robota, ma być bez umoczenia. Czekamy, aż frajer wyjdzie. Mamy sobie nie zagrywać! – odpowiedział drugi.

– Idziemy. To ten – rzucił Dragun do nich.

Gdy taksówka zniknęła za rogiem, Szymek Bittner postanowił wyjść do sklepu. Chciał jeszcze dokupić wódkę i coś do popitki. Poszedł Nowogrodzką, potem skręcił w Kruczą i skierował się do hotelu Grand. Zakładał, że panienki będą tam tańsze niż te z Forum. Melinowe raszple z Poznańskiej wykluczył od razu. Ale wtedy przypomniał sobie, że miał być jeszcze w kościele Świętej Anny i w salce pod kancelarią spotkać się z Antkiem. „Może młodego namówię na imprezkę? Dziwki później. Nie mieli kiedy tej konspiracji robić!” – pomyślał i zamiast do hotelu poszedł na plac Trzech Krzyży na przystanek autobusu numer 116.

Od momentu wyjścia z mieszkania znalazł się pod obserwacją Biura B MSW. W razie gdyby zaczął nagle wracać do lokalu, mieli go zatrzymać. Tymczasem Dragun obstawiał wejście do klatki od strony oficyny. Poprawił pod pachą uszytą specjalnie przez żonę kaburę. Po kwadransie usłyszał:

– Szefie, idziem na hawirę. Czysto. A ty, brajda, nie stercz, tylko tachaj graty. Śmigamy.

Dragun wszedł za nimi do mieszkania Józka. Oni zniknęli w korytarzu i przysiedli przy skrzynce z alarmem.

– Szefie, to idziem do sypialni, tam na parkiecie te dwie kasy czekają – powiedział kasiarz.

Dragun przez cały czas uważnie rozglądał się po mieszkaniu. Coś wydawało mu się dziwne. Bo w zasadzie jego wyposażenie i wygląd nie

wskazywało, kim byli mieszkańcy, nie mówiły nic o ich upodobaniach, zawodzie, zainteresowaniach. Wszedł do sypialni.

– Szefie, ale wygląda, że pacjent nie jest jakiś bogaty. Nie ma w nim co obkoczyć – zwrócił się jeden z mężczyzn do Draguna, nie odrywając się od nakładki z rozetkami. – Chyba że tylko o kipisz chodzi? Możemy sobie nieźle nakitrać tym włamem, szefie, mam pietra.

– Paczka baniek zmieściłaby się w tych kasach z okładem. Może w środku jakieś zielone są? – dodał drugi.

Po półgodzinie jedne drzwi puściły, po następnych piętnastu minutach drugie. Dragun zobaczył uśmiechnięte twarze obu mężczyzn.

– To co dalej, szefie, z tymi fantami?

– A jaka była umowa? Czekać na klatce w oficynie.

– Szefie, to nie nasza działka. To na szefa dyni już teraz wszystko. Teraz szef doklepał do grandy. Ciecuijemy i czekamy na szefa.

– Damy dulcem w dudy na schodach. Chodź i nie uskuteczniaj tutaj drętwej nawijki. Zajaramy. Co masz? Ja ekstrasy bez filtra – i wyszli.

Dragun w brązowych skórzanych rękawiczkach zaczął przeglądać dokumenty. Wyjmował i czytał:

*schemat tworzenia Biura Studiów w strukturze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych jako rozwiązania modelowego w zakresie organizacyjnym w krajach demokracji ludowej,
wykaz wydawnictw opozycyjnych i kościelnych,
schemat tworzenia Komitetu Walczącego,
wskazówki organizacyjne do budowy ruchu społecznego i partii politycznej,
schemat budowy pistoletu maszynowego PM3 na amerykański nabój. 45 APC.*

Pod schematem broni były jeszcze jakieś dokumenty, w zasadzie kilka kopert z listami z nadrukiem *CGT – Confédération generale du travail*.

„Francuscy komuniści też w tym siedzą?” – pomyślał. Wyjął je i poukładał obok kopert. Wyciągnął z kieszeni mały srebrny aparat Minox, włączył latarkę i wszystko sfotografował. Potem zaczął chować dokumenty, starając się je ułożyć tak, jak je zastał, choć wiedział, że nie będzie to zupełnie możliwe. Uchylił drzwi drugiej kasy. Tam zobaczył stertę dwudziestu, może trzydziestu paszportów z różnych krajów. Zaczął je fotografować,

jeden po drugim. Spojrzał na zegarek. Mijały dwie godziny od wejścia kasiarzy do mieszkania. Trochę się zdenerwował, ale wiedział, że tymczasowy mieszkaniec jest pod obserwacją ekipy z Biura B. Skończył. Ułożył paszporty. Przeszedł korytarzem do kuchni, następnie do schodów prowadzących do klatki od strony oficyny. Machnął na mężczyzn, a ci natychmiast rzucili papierosy i ruszyli w jego kierunku. Po kilku minutach jeden z nich odezwał się, wychodząc z pokoju:

– Szefie, wszystko zamknięte. Alarm pan włączy, wciskając lewy przycisk pod skrzynką. Potem w prawo dwa przekręcenia i masz pan pięć minut na wyjście. Skrzynka jest otwarta.

– W porządku, tu jest reszta waszej doli. Nigdy się nie widzieliśmy, a was tu nie było. Jasne? – Wręczył im dwie koperty.

– A jaki utarg w kasach? Trefne fanty? Dobra, nie pytam. Dajemy dęba z zakupów, brajda – rzucił do kolegi.

– Drzwi od oficyny zatraskowe, szefie – dodał szeptem już z korytarza przy kuchni.

Dragun nie odpowiedział. Odprowadził ich wzrokiem do drzwi, które delikatnie zamknęli. Potem zerknął na dziedziniec. Bezszelestnie wyszli z klatki, przecięli podwórko i zniknęli w ciemnej bramie. Odetchnął. Usiadł na chwilę. Odczekał kilka minut. Ruszył do drzwi, gdy usłyszał zgrzyt zamka, zaraz potem zobaczył, że ktoś je otworzył. W drzwiach kuchennych stał mężczyzna, którego widział wcześniej na balkonie.

– Kim pan jest, co jest, kurwa?! Milicja!!! – krzyknął.

Dragun od razu się zorientował, że mężczyzna jest na lekkim rauszu.

– Zaraz cię, kurwa, załatwię. – Przybysz ruszył w kierunku telefonu.

Dragun, nie namyślając się, wyszarpnął z kabury visa, złapał za lufę i mocno zdzielił Bittnera w kark ręką, jak młotkiem. Potem drugi i trzeci raz. Bittner opadł bezwładnie na podłogę. Dragun sprawdził, czy nie leci mu krew. „Nie wyszedłem z wprawy” – pomyślał. Uchylił lekko drzwi. Na mrocznym korytarzu, oświetlanym jedynie słabą żarówką, panowała zupełna cisza. Wyciągnął bezwładne ciało Bittnera z mieszkania, posadził na podłodze i oparł o drewnianą balustradę. Podbiegł do skrzynki z alarmem. Włączył go. Wrócił szybko do kuchni, potem do przedpokoju, rozejrzał się i wyszedł. Zatrzasnął drzwi.

W tym momencie usłyszał szybkie kroki, jakiś młody mężczyzna wbiegał po dwa schody. „Czy to jeden z tych młodych, którzy tu przychodzili? Dwa trupy, nie będzie to dobrze wyglądać” – ocenił sytuację.

Ponownie wyjął pistolet, energicznie przeładował i wycelował w półpiętro, które oświetlone było przez duże okno. Wbiegający usłyszał charakterystyczny zgrzyt zamka i zatrzymał się, po czym szepnął:

– Mieliśmy tego kolesia dla pana pilnować, ale urwał się nam. Nie mieliśmy z panem łączności. Nie dali panu grajki?

– Nie dali. Tak miało być.

– Zdążyliśmy, nie wrócił?

– Podejź bardzo powoli. Bez żadnych gwałtownych ruchów. Nie, nie zdążyliście.

Mężczyzna podszedł i zobaczył siedzącego bezwładnie Bittnera. Dragun opuścił broń.

– Kurwa! Nie żyje?

– Żyje, ale nie może żyć.

– Kurwa. To się narobiło. Ale... – Mężczyzna zamilkł.

– Jak ci tam?

– Rudy.

– Słuchaj ty, Rudy. Wiesz, od kogo ta sprawa? Rozumiemy się?

– Kurwa. Rozumiemy jak cholera. Co robimy?

– Macie transport?

– Mamy na dole całą sekcję, to znaczy trzy samochody, ale nie pod samą bramą. Renault 5, fiat 125p i pościgowy fiat 132p. Ale mogę podać przez radio, żeby podjechali żukiem z szatnią operacyjną. Stoją na Odrze... to znaczy przy Kruczej. Przy garażu piętrowym postawiliśmy czasowy punkt zakryty. Maluch. W zamku od kłapy silnika jest kamera. Nagrywa się. A dalej?

– Nagranie później zabieram. Wołaj tego żuka. I zabieramy się z nim na wycieczkę.

Po kilku minutach ładowali do żuka nieprzytomnego Bittnera.

– To dokąd jedziemy? – zwrócił się Rudy do Draguna, który podszedł do szoferki.

– Wiecie, gdzie jest za klasztorem Kamedułów na Bielanach zjazd do źródelka?

– Wiemy. W dzieciństwie jeździłem tam na sankach – odezwał się z szoferki Irek.

– W takim razie ruszamy. Irek, posuń się, ja prowadzę – rzucił do kolegi Rudy.

Potem pod kolumną kierownicy, przy kolanie włączył samochodową radiostację i wydał polecenie:

Jedynka, dwójka zostają w sektorze. Stańcie na Żywcu. Trójka niech się pokręci w okolicy dolara i patyka. Ale nie wyjeżdżaj poza pierwszy kwadrat. Ja realizuję dziesiątkę. Po tym komunikacie cisza na radiu do odwołania. Jedynka i dwójka w ogóle wyłączyć grajki!

Po półgodzinie żuk zatrzymał się pod estakadą Wisłostrady w rejonie nadwiślanych zarośli. W trójkę wyciągnęli związanego, ciągle nieprzytomnego pasażera.

– Kurwa, w co ja się wpierdalam, Rudy?! Resztką włosów na mojej młodej łysinie mi wyjdzie. Do tego upierdolę się tym szlamem w krzaczorach. Pierdolę takie wakacje. Jutro zaczynam urlop! – rzucił Irek.

– Nie narzekaj, tylko zapierdalaj z tym kolesiem. Zapomniałem ci powiedzieć, urlop ci odwołali. – Pokiwał głową do Draguna. – Jesteśmy na miejscu. Co dalej?

– Wracajcie do samochodu. Ja wszystko załatwię. To zajmie mi chwilę.

Rudy popatrzył na Irka, a ten pobałdł.

– Kurwa, jak to odwołali?! Dzień przed wyjazdem?! Mam domek w Sopocie zarezerwowany od jutra. Wiesz, jak trudno było załatwić! Ile się nachodziłem do kobitek z socjalnego. O bombonierkach i czekoladach nie wspomnę.

– Przed wyjazdem na robotę dostałem taką informację. Ja też nie jadę w Bieszczady. Twoja żona pojedzie z synem sama. Nie gęgaj, kurwa. Za tę robotę dostaniesz skierowanie do Juraty na wczasy. Poznasz towarzyszy z NRD i Bułgarii.

– A skąd oni tam?

– Za zasługi w służbie organów bezpieczeństwa, Ireczku. – W szoferce zapadła cisza.

Po kilku minutach usłyszeli strzał. Podskoczyli instynktownie na siedzeniach. Wkrótce do uchylonego okna podszedł Dragun.

– Muszę jeszcze pozbyć się paru ubrań. Zatrzymajcie się przed mostem Gdańskim, naprzeciwko baru pod rurą. – Mrugnął do nich. – Tam to wyrzucę. Pewnie nieraz takie rzeczy tam lądowały.

– A co z tamtym? – zapytał niespodziewanie Irek.

Dragun nie odpowiedział.

– Nie martwcie się, chłopaki. Nie jestem ani z Trzeciego, ani Czwartego Departamentu – dodał.

Dragun wszedł do szatni operacyjnej. Trzasnęły metalowe drzwi. Gdy pojazd ruszył, zaczął przeglądać wszystkie rzeczy, które wyciągnął ofierze z kieszeni. Poprawił visa w kaburze.

„Bittner Szymon. Miejsce urodzenie Nowogródek, ZSRR. Data urodzenia 1935 rok. Hm, cholera, mój krajan z Kresów. Czy to w ogóle on? Czy to jego dane?” – zastanawiał się.

Rozdział 22

Polska – sierpień – wrzesień 1984 roku

Srebrny ford sierra z niebieskimi tablicami rejestracyjnymi WA 02136 kierował się w okolice jeziora Wdzydze na Kaszubach. Siedziała w nim druga sekretarz Wydziału Politycznego Ambasady Wielkiej Brytanii w Warszawie Ursula Chencinski. Trzydziestopięcioletnia, niewysoka, z krótkimi rudymi włosami z długą grzywką, była doświadczonym oficerem MI6 – brytyjskiego wywiadu. To była jej pierwsza misja dyplomatyczna w Polsce – kraju jej dziadków, którzy na Wyspy Brytyjskie przybyli po pierwszej wojnie światowej. W rodzinie kultywowano polską tradycję, zatem znała ich historię. Chencinski w miarę dobrze posługiwała się też językiem polskim.

Zgodnie z zasadami bezpieczeństwa placówki każdy pracownik miał przy wyjazdach za Warszawę kontaktować się telefonicznie z ambasadą co dwie, trzy godziny. Chencinski postanowiła zatrzymać się na obiad w toruńskiej restauracji Kosmos, w hotelu o tej samej nazwie, w pobliżu Wisły. W recepcji poprosiła, by pozwolono jej skorzystać z telefonu. Wykręciła numer do ambasady na aleję Róż. „Pewnie Mark siedzi na dyżurze i zazdrości mi, że wyrwałam się poza miasto” – pomyślała o radiooperatorze i kanceliście.

– *Hi, Mark.* Jestem w drodze. Wszystko w porządku.

– *Ursula!* Szef mówił, że musisz wrócić, bo trzeba przygotować na poniedziałek jakiś ważny materiał. On bardzo cię przeprosza – rzucił.

Kobieta wiedziała, co znaczy ten kod. Zwłaszcza że padło słowo „poniedziałek”, a na koniec sekwencji słowo „przeprosza”. To oznaczało „pilnie”.

– Tak, rozumiem. No to pobyt nad jeziorem mi się nie udał. Zaraz wracam do Warszawy – odpowiedziała.

Zdenerwowała się, bo pierwszy raz w czasie pobytu w Polsce dostała takie polecenie. Podświadomie czuła, że to może być coś ważniejszego niż jej liczne wyjazdy na Suwalszczyznę, skąd od wielu lat wywiad brytyjski obsługiwał drogą radiową swoją agenturę w Związku Radzieckim. Również na tym terenie realizowano operacje przekazania materiałów poprzez system schowków czy z wykorzystaniem kontaktu bezpośredniego.

Chencinski zjadła obiad i ruszyła wolno na dwugodzinny spacer po toruńskiej starówce. „Jak sprawdzili w hotelu, to wiedzą, że już wracam” – doszła do wniosku.

* * *

Oberek i na bazę. Bolek trzy wraca do siebie na bazar. Bez odbioru.

Popłynął komunikat w radiostacjach samochodów Wydziału II Biura B.

– Rudy, to na Rembertów do bazy od razu jedziemy? – zapytał Irek.

– Tak. Podaj do wszystkich, że tam się spotykamy na odprawie. I niech łebków nie biorą po drodze! Wezmą na bazie przy okazji nowe paski z kodami.

* * *

Józek po powrocie z Londynu czuł się świetnie. Ładował, jak to mówił Evelyn, swoje akumulatory. Oczekiwał też już na wyjazd do Brazylii na Nowy Rok i karnawał. Ciekawy był, jak dojrzewają owoce aceroli, zachwalane przez sadowników z okolic Piedade dos Gerais. Chciał znowu zobaczyć pomarańczowy sad z drzewkami odmiany *laranja pena*. W czasie trwającego już cztery lata pobytu w Polsce brakowało mu tamtejszych zapachów kwiatów i rozrabiających między konarami drzew tukanów. Tęsknił nawet za widokiem mijanych w czasie porannych joggingów kajmanów wylegających się na brzegu jeziora Pampulha w Belo Horizonte.

Mieszkanie było w takim stanie, jak je zostawił przed wyjazdem. Po wejściu zaskoczyło go, że Bittner nawet nie nabałagał. Nie było butelek po wódce ani resztek jedzenia, co by go nie zaskoczyło. W lodówce znajdowały się nieruszone kupione w pewexie konserwy z szynką, butelki piwa Żywiec i Krakus, puszki z ananasami i brzoskwiniami. Na lodówce leżał nienaruszony karton kentów. „Jego tu nie było? O co chodzi?” – zastanawiał się.

W czasie popołudniowej drzemki usłyszał dzwonek do drzwi. Wyłączył alarm, a następnie otworzył drzwi.

To był zasapany Antek. W dłoni trzymał gazetę.

– Czytałeś dzisiejszy „Express Wieczorny”?!
– A co?
– Popatrz tu! – Rozłożył gazetę i skinął głową.
– Rubryka *Spacerkiem po Warszawie*?!
– Nie! Tu, niżej. Komunikat Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych.

Józek spojrział na krótką notkę i zdjęcie. Zamarł. Miał przed sobą fotografię Szymka Bittnera. W komunikacie była informacja, że dwa dni temu w okolicach Kępy Kiełpińskiej, około dziesięciu kilometrów od mostu Gdańskiego w dół Wisły, znaleziono nagie zwłoki zastrzelonego mężczyzny. Józek patrzył na zdjęcie z niedowierzaniem. Policja poszukiwała świadków zabójstwa i osób, które mogły zidentyfikować ofiarę.

„Skoro nic nie było ruszane w mieszkaniu, to może w ogóle go tu nie było? Kurwa! Kurwa! Nie pomyślałem o tym. Już za późno. Za dużo rzeczy dotykałem. Nawet w kasach pancernych. Kurwa!”

Spojrział na Antka.

– Co robimy z Szymkiem? Może to miejscowa Służba Bezpieczeństwa?

– A co on, wierzgający licealista, żeby go uciszać? Szymek był poważnym organizatorem sieci drukarni. Naszych! – dorzucił poirytowany Józef.
– Poza tym jakby ich безпеka wyszła na niego, bo w końcu w podziemiach kościołów instalował drukarnie, to musieliby robić koordynację!

– Co robić?

– Mówiłem ci kiedyś. Zapomniałeś? W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku, jak zaczęła się kręcić koło ciebie polska безпеka.

– Aaaa, no tak!

– Jak chcą kogoś rozpracować albo zwerbować do współpracy, wysyłają karteczki do ewidencji w MSW. My dostajemy informację, kim się interesują, ale oni nie dostają odpowiedzi. Tego pilnuje nasz człowiek w ich Biurze C.

– I co dalej?

– I każemy im się odpiardolić od takiego człowieka. Oczywiście bez jakichkolwiek adnotacji. O właśnie! Nie pamiętasz, niedawno tak też było z tobą.

– Aaaa, jak mnie zwinęli matka i ojciec i zaraz z suki wypuścili!

– Kto?

– MO. Milicja Obywatelska. Na kopach mnie wyrzucili z nyski.

Józek delikatnie się uśmiechnął.

– Tak. I bardzo dobrze! Zrobili ci mocną legendę.

– Nie mówiłeś mi nawet, że coś znowu działałeś w ich bezpiece.

– Nie było o czym. Dobra. Wypijmy, jak to mawiał Szymek, za spokój jego duszy, której nie ma. Byłeś na Pomorzu?

– Tak. Kilka osób już zaprzysiągłem jako członków Komitetu Walczącego, w tym tego rusznikarza z Trójmiasta.

– Jak to widzisz?

– Plany, które do nas dotarły ze Sztokholmu, wyglądają na dobre. Przekazałem je do jednego warsztatu przy stoczni. Zakładam, że niebawem będziemy mieli pierwszy egzemplarz broni. Przestrzelimy go nad morzem.

– Doskonale.

– A potem zaczniemy produkować je półseryjnie.

– Masz już odbiorców?

– Znajdą się, są tacy, co niebawem będą chcieli strzelać do milicjantów. O to nam przecież chodzi?

– A Wrocław? Tych dwóch? Ojciec i synalek?

– Ojciec jest w podziemnej Solidarności, a młody knuje w szkole. Mocno się do tego zapalili. Tylko za dużo polskiej безпеki się koło nich kręci.

– Świetnie. Daj mi znać, jak będziesz z tą sprawą gotowy – Józek się zamyślił. – Dostaniesz materiały dla nich. Zwłaszcza tego rusznikarza. Wiesz, co masz zabrać?

Antek tylko kiwnął głową.

– Niech działają, a reszta niech będzie w gotowości. Zabierzesz też ulotki tej drugiej organizacji, którą budujemy od podstaw. Niech wypływa na szerokie wody.

Antek opuścił mieszkanie, a Józek poszedł do sypialni i usiadł na amerykańce. Nalał sobie koniaku do kieliszka. Ogrzał go dłonią. Intensywnie myślał. Zdecydował, że musi wywołać w trybie alarmowym spotkanie z łącznikiem. Mogło się odbyć za kilka dni w ośrodku konferencyjno-wypoczynkowym Polskiej Akademii Nauk, w pałacu w podwarszawskiej Jabłonnej. Łącznik podawał się za biologa, akademika z Uniwersytetu Łomonosowa w Moskwie.

Józef czuł zmęczenie. Chociaż na zewnątrz było jeszcze jasno, rozebrał się i położył. Tym razem sięgnął po smukłą butelkę żywca. Wolno sączył piwo. „Smakuje jak *abir* w Tel Awiwie”. Poderwał się na łóżku,

jakby wyrwany z nocnego koszmaru. Coś go tknęło. „Dlaczego tego wcześniej nie skojarzyłem?! Telefon do Evelyn!” Wstał.

Wiedział, że nie może zadzwonić z mieszkania, to mogłoby go zdekonspirować. Bał się, że coś może grozić Evelyn. Ubrał się. Międzynarodowa Centrala Telefoniczna była niedaleko, przy Nowogrodzkiej, po drugiej stronie Marszałkowskiej. Z portfela wyjął karteczkę. Tam w sposób zakodowany miał zapisany numer telefonu do Winieckiego, który mieszkał kilka domów od niego w Belo Horizonte. „Poproszę, aby Evelyn pomieszkała u niego przez jakiś czas. Wy tłumaczę mu wszystko, jak przyjadę. Zrozumie. Mam nadzieję, że Evelyn też”.

* * *

Ursula na spotkaniu z rezydentem MI6 w Warszawie usłyszała, że ma trzy tygodnie na przygotowanie operacji specjalnej. Teraz siedziała sama w swoim mieszkaniu na Saskiej Kępie przy Obrońców 2. Jedyne jej pies, kilkuletni buldog o imieniu Boss, kręcił się po mieszkaniu. Samochód stał w garażu. „Trzy wyjścia z domu, ukryty wewnątrz posesji budynek, blisko przelotowej arterii, sieć uliczek. To mogło być skuteczne w latach sześćdziesiątych. A teraz?!” – rozmyślała, jak urwać się obserwacji.

Trzykondygnacyjny, z wysokim podpiwniczeniem dom, otoczony drzewami z żółtymi o tej porze roku liśćmi, mógł sprawiać wrażenie, jakby znajdował się za miastem. Czowała wilgoć przepływającej niedaleko Wisły. Z okna na drugim piętrze mogła obserwować wiślaną plażę i puste baseny, które w upalne dni letnie zapełniały się tłumami. Teraz tylko co jakiś czas Wałem Miedzeszyńskim przemykał samochód, a mostem Poniatowskiego przejeżdżał z hałasem tramwaj. Z oddali dochodziły co pewien czas dźwięki pociągów przemierzających most średnicowy.

Jeden element w założeniach operacji wciąż ją intrygował. Na tydzień przed zakładanym dniem zero miała odebrać z lotniska kobietę, która posługiwała się legendą jej matki. Dlatego Ursula od pewnego czasu opowiadała kolegom w pracy, znajomym w korpusie dyplomatycznym, zatrudnionym w ambasadzie Polakom, że ma ją odwiedzić matka, wieloletni pracownik Foreign Office.

Na biurku przed nią leżała właśnie fotografia tej kobiety w ubraniu, w jakim przyleci na lotnisko Okęcie. Zdjęcie otrzymała pocztą dyplomatyczną. Patrzyła na jej oczy, twarz i figurę.

O momencie rozpoczęcia działań miał zdecydować rezydent MI6 w Warszawie. Centrala brytyjskiego wywiadu zastrzegła, że musi się to stać przed końcem października. Teraz pozostawało jeszcze spotkanie, a może dwa lub trzy, z tajemniczym agentem.

* * *

Ursula zbliżała się sierrą do Przasnysza, w którym mieściła się jednostka wojskowa walki radioelektronicznej, a która często była celem wspólnego z Duńczykami rozpoznania. Dwie osoby z obserwacji jechały w szarym polonezie. „Jak oni nadążają tym brzydkim samochodem?”

Jednak zaraz za Przasnyszem zniknęli. Po godzinie jazdy minęła Szczytno. Po kilkunastu minutach wjechała do wsi Stare Kiejkuty. Na dwóch ostrych zakrętach zdjęła nogę z gazu. Minęła z lewej niski mazurski dom nad samym jeziorem. Zwolniła. Jechała wzdłuż ogrodzonego jeziora, mijając żółte tablice ostrzegające, że jest to obiekt wojskowy, oraz mniejsze tabliczki informujące o zakazie fotografowania. Spojrzała w kierunku prześwitujących zza iglastych, niewysokich drzew, zabudowań ośrodka szkolenia polskiego wywiadu. Jechała wyjątkowo wolno. Liczyła, że nie ujdzie to uwagi polskich służb, zakładała, że mają wokół tajnego ośrodka system zabezpieczenia kontrwywiadowczego.

Kątem oka zauważyła biegnący wzdłuż jeziora w kierunku zewnętrznego ogrodzenia trzyosobowy patrol żołnierzy w mundurach polowych. Przyspieszyła. Minęła z lewej bramę i wartownika. Nerwowo spojrzała na zegarek. Musiała być na umówionym miejscu co do minuty. Miała jeszcze około trzydziestu kilometrów do wsi Cierzpięty. Zakładała, że Polacy z punktu zakrytego znajdującego się naprzeciwko jej mieszkania przy Obrońców odnotowali, że na wycieczkę wzięła z sobą ponton, jedzenie, namiot i inny sprzęt campingowy. Przez telefon powiedziała pracownikom, że planuje nocleg na polu namiotowym Zakładów Przemysłu Odzieżowego Warmia w Cierzpiętach.

Dziesięć kilometrów przed Nawiadami zjechała kilkanaście metrów w boczną, szutrową drogę. Nikt za nią nie jechał. Nie zauważyła też żadnego pojazdu zbliżającego się z naprzeciwka. Zatrzymała się na kwadrans, wypaliła dwa dunhille i ponownie wsiadła do samochodu. Minęła zabudowania wsi. Skręciła ostro w lewo, w polną drogę. Jechała pofałdowanym terenem wśród żółtawozielonych traw. Przejechała przez Cierzpięty. Na

rozstaju dróg nie skręciła z prawo w kierunku campingu. Pojechała kilkanaście metrów prosto. Zatrzymała się przy jakimś starym budynku. Spojrzała w lusterko i przed siebie. Nagle tylne drzwi się otworzyły, a po chwili trzasnęły. Zawróciła. Wiedziała, że ktoś położył się na kanapie jej samochodu. Zauważyła tylko jego zieloną kurtkę.

Po dwudziestu pięciu minutach minęła Ruciane-Nida, po kolejnej półgodzinnej jeździe zatrzymała się nad jeziorem Roś. Spojrzała w lusterko wsteczne. Mężczyzna się podniósł. Był krótko ostrzyżony, szpakowaty, miał pociągłą twarz i jasnoniebieskie oczy. Wsiadł z forda. Ona za nim.

– Dzień dobry, panie pułkowniku. Jestem Ursula Chencinski. – Wyciągnęła dłoń i poprawiła opadającą na oczy grzywkę rudych włosów.

– Roman Dragun. Dzień dobry.

– Jesteśmy na miejscu. Nikt nas tu chyba nie znajdzie. Proszę mi pomóc rozstawić krzesła i stolik. Trzeba zakryć numery rejestracyjne pontonem i coolboxem. Ale pan podobny do ojca.

Uśmiechnęła się.

– Zna go pani?

– Nie, ale widziałam zdjęcia. Poza tym niedługo przyjedzie do Warszawy ktoś, kto go zna. Naprawdę dobre miejsce pan wybrał na spotkanie.

– Trochę znam te tereny. Zaraz po wojnie służyłem niedaleko, no i na poligonie w Orzyszu nieraz bywałem. Dobre miejsce na działkę. Bezpośredni dostęp do wody, blisko las. Kolega oficer milicji niedaleko ma domek letniskowy. U niego zostawiłem samochód. W nocy ruszyłem pieszo do Cierzpiętów.

– Jak partyzant!

– Jak zwiadowca, szanowna pani. Czuję się dzisiaj, jakbym za bandziorami z UPA albo z Werwolfu podążał. Dawno takich emocji nie czułam...

Po rozstawieniu fotelików i stolika Ursula wyjęła z przenośnej lodówki kilka butelek piwa.

– A może jednak whisky? – zapytała.

– Wolę ormiański koniak albo bułgarski *Slantschew brjag*. Ale zostanmy przy piwie – odpowiedział. – Nigdy nie wiadomo, czy nie będzie trzeba się ewakuować do lasu i przejść do działań skrytych w terenie. – Mrugnął do niej.

– Pan pułkownik cały czas na wojnie. – Zaśmiała się.

– Nieustająco, szanowna pani. Nieustająco. – Poklepał się pod pachą.

Ursula spojrzała na niego ostrożnie.

– To mój vis jeszcze z czasów wojny! Nigdy się z nim nie rozstaję. – Uśmiechnął się triumfalnie, a brytyjska oficer tylko niepewnie kiwnęła głową.

– Pewnie to i dobrze, bo takie podejście do tematu wyjątkowo może się przydać. Ale przejdźmy do sprawy. Rozumiem, że ma pan wszystkie dokumenty.

– Szanowna pani. To całe archiwum, jak mnie poinformowano prawie ćwierć wieku temu, to są dwie drewniane kasety. Kiedyś przed wojną robili takie specjalne, z uszczelkami i okuciem. Wyłożone w środku, jak mnie mam, bo wyczułem, płótnem jutowym nasączonym naftą, żeby grzyby się nie rozwijały.

– Jak one są duże?

– Weszłyby w te pani styropianowe czy plastikowe pudełka. – Wskazał na coolboxy.

– Otwierał je pan?

– Za kogo mnie pani ma?! Jestem oficerem. A to sprawa honoru dostarczyć na Zachód te dokumenty. Do prawowitych właścicieli.

– Czyli do kogo?

– Do mojego ojca. To chyba oczywiste. On powinien zdecydować, co z tym dalej zrobić. Nie kto inny. Ale skoro wy w tym uczestniczycie, to rozumiem, że to was wybrał jako... depozytariuszy.

– Tak.

– Więc gdzie ma pan to ukryte?

– Chwileczkę. To nie wszystko...

Ursula odstawiała powoli na stolik butelkę piwa Krakus.

– W zasadzie to archiwum to drobnostka.

– Zamieniam się w słuch. – Kobieta poprawiała grzywkę.

– Proszę poinformować swoich przełożonych, że chcę przekazać im bardzo cenne informacje i materiały. Ważne nie tylko dla pani kraju. Również dla waszych sojuszników za oceanem.

– Ciekawe. Dlaczego w takim razie nie zwrócił się pan bezpośrednio do Amerykanów?

– To proste. Nie zrozumieli w Waszyngtonie kilka lat temu pewnego przesłania i wyciągnęli dla mojego kraju złe wnioski. Poza tym ojciec mi przekazał, że mogę wam zaufać. A to coś dla mnie znaczy. Jestem pułkow-

nikiem Wojska Polskiego, to nie jest takie proste, jak się pani może wydawać.

Wziął ze stołu smukłą butelkę piwa i pociągnął łyk. Odstawił ją. Rozpiął zieloną kurtkę myśliwską.

– Proszę uważnie słuchać. Na terenie mojego kraju Związek Radziecki poprzez swój wywiad prowadzi od lat szeroko zakrojone działania zmierzające do destabilizacji sytuacji w Polsce. Względnie zabezpieczenia tu swoich interesów w przyszłości. Ujawniliśmy... – Przerwał.

– My?

– Na razie... my musi wystarczyć. Ujawniliśmy istnienie pewnych, powiedzmy, niezależnych struktur w naszym Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Wiemy, kto tym kieruje, jaka jest struktura, zadania. Z dokumentacji, do której dotarłem, wynika, że przygotowują oni różnego rodzaju operacje w Polsce. Mamy też informacje, że podobne instytucje stworzone są w NRD i Bułgarii. Natomiast w krajach zachodnich swoje struktury opierają na partiach politycznych, fundacjach, stowarzyszeniach społecznych różnej barwy. Z naszych danych wynika, że w najbliższych latach nastawiają się na organizacje pravicowe i skrajnie pravicowe. W spektrum ich zainteresowania są organizacje kościelne, zgromadzenia zakonne, zwłaszcza te, które mają wydawnictwa albo mają czy chciałyby mieć w przyszłości swoje stacje radiowe, a może nawet telewizyjne, w co trudno mi uwierzyć – tłumaczył.

Ursula patrzyła z niedowierzaniem na Draguna. Wydawało się to wprost nieprawdopodobne. Dragun na chwilę przerwał. Napił się piwa. Otworzył kolejne butelki dla Ursuli i siebie.

– Ale to nie wszystko. Oni opierają wspomniane przeze mnie działania na szczególnych osobach, które, tego jeszcze nie jestem pewien... są bardzo głęboko zakonspirowane. Ktoś nazwał to grupą nielegalów. W zasadzie to jest cała sieć takich osób. Podejrzewamy, że stworzyli jakby uniwersalną strukturę i metodologię pozyskiwania członków organizacji. Działa ona wszędzie tam, gdzie ma swoje interesy Związek Radziecki. To potężna broń, jak oceniamy...

– Dowiem się, kim są ci „my”?

– Nie wiem, czy się pani dowie, przynajmniej na razie. Istotniejsze jest, że mam fotografie ponad dwudziestu paszportów różnych krajów, którymi mogą się posługiwać ludzie z tej struktury. Proszę przekazać bardzo pilnie do Londynu, w zasadzie natychmiast, to, co pani powiedziałem. Nie

ma czasu. Zdaje sobie pani sprawę, jaką wagę mogą mieć dla was takie informacje?

– Tak, panie pułkowniku, zdaję sobie sprawę. Ale musimy to sprawdzić. Proponuję spotkanie za cztery dni, w środę. Proszę przynieść próbkę tych materiałów.

– Szanowna pani, ja nie jestem jakimś agentem, którego można zwerbować. Ja to robię dla ojczyzny, za którą przelewałem krew. My to robimy dla Polski. Proszę to zrozumieć. Pani jest z pochodzenia Polką, więc powinna pani rozumieć. A skoro to panią wybrali w Londynie do tego zadania z przewiezieniem archiwum, to chyba zdawali sobie sprawę z tego, że to istotny czynnik.

Ursula patrzyła z coraz większym zainteresowaniem na Draguna. Coś było w jego słowach takiego, z czym nie spotkała się dawno. Czego nutkę słyszała kiedyś u ojca i dziadka. Wiedziała jedno, że nie jest to zwyczajne zadanie, a jego realizacja może zmienić losy być może chociaż tej części Europy. Poczowała dreszcz emocji. Uśmiechnęła się do Draguna i znów poprawiła uparcie opadające na czoło rude włosy. Wstała i wyjęła kilka kanapek zawiniętych w folię. Wyciągnęła siatkę z pomidorami.

– Proszę, bo na drugie śniadanie nad jeziorem samo piwo to mało. Poza tym chyba jest pan głodny. A pomidory prosto z Polnej.

– Proszę pani. Kiedyś, jak ścigaliśmy upowskich zbirów pod Hrubieszowem i zostałem tam ranny, to jeden dobrze zapowiadający się oficer z Grupy Operacyjnej Rzeszów... Mniejsza o to. Ale dziękuję, miło z pani strony. W zasadzie to dla mnie śniadanie. Kolację jadłem w lesie, w środku nocy.

– Smacznego.

Milczeli przez kilka minut.

– Czy była pani kiedyś w Toruniu?

– Tak. A czemu pan pyta?

– Przy ulicy Żeglarskiej, niedaleko Wisły, są pracownie wydziału sztuk pięknych miejscowego uniwersytetu. Cały czas otwarte, bo studenci kręcą się tam od rana do wieczora. Wnoszą i wynoszą sztalugi, glinę na zajęcia z rzeźby, jakieś blejtramy, kartony. Istny harmider. A teraz dodatkowo zaczyna się sesja poprawkowa. Proszę tam wejść i pójść schodami na górę. Będę czekał na półpiętrze.

– Skąd takie dobre rozpoznanie?

– Koleżanka żony tam studiowała, jeździ co jakiś czas, a kiedyś nawet byliśmy tam razem.

– W porządku. O której?

– Może w samo południe.

– Okej.

– Pani zapewne wie, że to, co robię, jest bardzo niebezpieczne?

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Co pan proponuje?

Dragun spojrział na nią zmęczonym wzrokiem. Wstał z fotelika.

– Nie domyśla się pani? To chyba oczywiste. Zatem do środy, pani Ursulo. Muszę wrócić do kolegi po samochód, a to kawał drogi. – Wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki mapę, kompas i ruszył.

Rozdział 23

Polska – październik 1984 roku

Bolek trzy targa jakieś duże plastikowe skrzynie do samochodu. Nie wyszła ze sznurkiem. Zrozumieliście? – zabrzmiał komunikat w stacji blaupunktu w mercedesie kierownika sekcji.

– Zawsze jak jechała nad jeziora na Mazury czy Kaszuby, to zabierała prowiant w plastikach i swojego kundla – rzucił siedzący za kierownicą Irek.

– A skąd wiesz? – zapytał Rudy.

– Nie było cię akurat. Jakiś czas temu z Drugiego Departamentu dostaliśmy zlecenie. Miała spotkać się z agentem na takim kempingu Warmia w Cierzpiętach.

– Aaaa, ta krzywa akcja. Pozwolili wam z rodzinami pojechać dla kamuflażu. Grzybobranie, wędkowanie.

– Jaka krzywa? Zasadziliśmy się na nią. Człowieku, było od nas z piętnaście osób plus żony, dzieciaki... Rudy, nawet milicja przyjeżdżała, bo wiesz, trochę się popiło...

– I gównem z tego wyszło.

– Bo jak omawialiśmy robotę ze zleceniodawcą, to mówili o kempingu, a nie o drodze w wiosce! Kurwa, ile ja się nastąłem przy tej drewnianej tablicy *ZPO Warmia*. Dobrze, że mały upodobał sobie tam...

Nimfa podała, że Bolek trzy skręcił jednak i jedzie wałkiem do żelaznego. Zakładają, że pojedzie w kierunku patyka. Już tak robił wcześniej...

Dalsza część komunikatu.

– To Dziadek z Olką. Wzięli fiata 131 – rzucił Irek.

– Żeby dzieci z tego nie było! Wiesz, czują do siebie miętę. Marian z Moniką mają fiata 132 – dodał Irek.

– Ruszamy na bazar. Stanowisko! Niech nam podadzą pozycję Bolek trzy z Ateny! – powiedział Rudy.

Atena potwierdza, Bolek trzy jedzie w kierunku bazaru.

Po kilku minutach usłyszeli w głośniku ukrytym pod radiem samochodowym informację, że cel ich działań minął ambasadę USA.

* * *

– Jak pani pobyt w Warszawie? Udał się? Udało się zwiedzić miasto? – dopytywał się Mark, operator radiostacji w brytyjskiej ambasadzie. Przez odsunięte boczne drzwi niebieskiego forda transita, który stał bokiem do budynku, zaczął ładować zaplombowane czerwonym lakiem worki i skrzynie.

– A dziękuję, trochę tu zabawiłam u córki i cóż...

Mark nie przestawał pakować. Po chwili podszedł do niego jeszcze drugi kancelista-radiooperator i pomógł załadować kolejną skrzynię. Połowa transita pozbawionego ostatniego rzędu foteli była pełna. Mark przeszedł na tył samochodu i zaplombował drzwi. Obie klamki związał sznurkiem, za pomocą lakownicy połączył je i przybił pieczęć. Dla pewności włożył w plastikową torebkę i okręcił przezroczystą taśmą klejącą. Sprawdził jeszcze, czy niebieska tablica rejestracyjna z numerem WA 02509 dobrze się trzyma.

* * *

Coś na bazarze majstrują przy zamkach blaszanki. Załadowali sporo towaru na pakę. Matka Bolka trzy też się kręci przy samochodzie. Jest zbiegowisko.

Usłyszeli komunikat ze stałego punktu zakrytego Biura B mieszczącego się w Komitecie Wojewódzkim PZPR.

– Ty, Rudy. Co oni odpierdalają?! Trudno będzie ją z takim towarem zwinąć. Może niech zlecniodawca coś zdecyduje.

– Irek, zamknij się. Nie kombinuj.

– Ale dobry czas wybrali, kurwa. Wiesz, co mi opowiadał cepeeniarz na Samochodowej?

– A co ty tam, kurwa, wczoraj robiłeś?

– Musiałem po kanistry pojechać i zapasowe grajki zabrać z techniki – radmory z zachodnimi bebechami. Ty, i on mówił, że nalewał benzynę tym z czwartego i temu... No wiesz. To ten, co dla niego na Chłodnej tę akcję nasi robili. W tej garsonierze.

– No i co?

– No i to, że widział, kto wystawił zlecenie. Ten sam się podpisał co na zleceniach na radia dla nich. A jakby poszukać, to pewnie na zleceniach na ręczniki i papier toaletowy. Góra! Rozumiesz?

– Jaka góra?

– Dyrektor, nie jakiś naczelniczek. Zobaczysz, będzie większa afera z tym księdzem.

– Hmm, ciekawe.

* * *

Dźwięk wysokoprężnego silnika z bezpośrednim wtryskiem 2.5 DI rozszedł się po dziedzińcu brytyjskiej ambasady. Ursula i jej legendowana matka wsiadły do samochodu. Drugi kancelista-radiooperator rzucił tylko:

– *Good luck, my ladies!*

– Opiekuj się moim Bossem. Jedzenie dla niego jest w lodówce.

– Dobra, dobra. – Zasunął boczne drzwi.

Ciężka brama się otworzyła. Samochód ruszył.

– Mamy dobry czas na drogę. Słyszałaś, co wczoraj w *Dzienniku Telewizyjnym* podali? Urowadzony został ksiądz Popiełuszko. Ten z Żoliborza, kapelan podziemnej Solidarności.

– Tak? To straszne, co się tu dzieje – odparła kobieta.

* * *

Ruszyli spod bazaru. Skręcili w lewo. Atena ich podejmie.

Rozmowę w mercedesie przerwał komunikat ze Stanowiska Kierowania na Rakowieckiej.

– Jest dobrze. Potem przejmą ich ci z punktu nad kempingiem. Jak pojedą prosto, to punkt z Polikliniki MSW na Krakowskim ich przejmie – powiedział Rudy przez radio. – Druga sekcja do dolara i patyka. Potem odbić na prawo.

Po półgodzinie obserwacji samochodu z ambasady brytyjskiej było oczywiste, że pojazd kieruje się na trasę poznańską.

Pierwsza i druga sekcja. Dojeżdżamy. Zaraz skręcą w prawo na północ. Wytniecie ich – podał przez radio kierownik grupy, gdy znajdowali się już na rogatkach Kutna.

– Rudy! Kurwa oni śmigają nie na Kaszuby, tylko na Poznań!

Kierunek koziołki. Potwierdzić!

Rzucił natychmiast do radia.

– Coś mi tu nie pasuje. Zauważyłeś, Irek, że nie ma patroli drogówki? Jak ostatnio do Torunia za nią jechaliśmy, to *Amazonka* działała. Co chwila byli. Teraz pusto.

– Na wjeździe do Poznania mają punkty zakryte miejscowi z Wydziału B. Trzaskają zawsze od cholery zdjęć.

– Tak, tylko skąd będą wiedzieć, że jedziemy. Mamy zakaz zgłaszania się do Poznania na ich częstotliwościach!

* * *

– Pokaż mi swój paszport, proszę. Aleksandra Godlewski... – przeczytała Ursula. – Ładnie ci było w tych długich blond włosach.

– Niestety musiałam je przyciąć i ufarbować na rudo, żeby chociaż im się skojarzyło, że coś nas łączy. Możesz mi mówić Ola – odpowiedziała.

– A dlaczego wysłano cię do Polski? Ten pomysł bardzo mnie zaskoczył! Pierwszy raz w życiu coś takiego robię.

– Były przełożony mojego męża poprosił mnie o to. Wiesz, dziesięć lat temu jeszcze mieszkaliśmy z Filipem, to znaczy moim mężem, w Kapsztadzie. On sporo podróżował po Afryce: Kongo, Uganda, Namibia. I złapał jakąś chorobę właśnie dziesięć lat temu. Wkrótce zmarł.

– Przykro mi, Olu.

– To było coś związanego z brakiem odporności. Teraz już wiem, co to było, wtedy mieliśmy tylko podejrzenia.

– Rozumiem.

– Tak. Pod koniec lat czterdziestych skończyłam studia na mikrobiologii. Po przyjeździe do Afryki kontynuowałam naukę. Chciałam specjalizować się później w wirusologii. Ale po śmierci Filipa przyjechaliśmy wszystkie do Londynu.

– Przyjechałyście wszystkie? – powtórzyła Ursula.

– Tak. Mam dwie córki bliźniaczki: Caroline i Isabellę. Zamieszkałyśmy na Hammersmith w domu przełożonego Filipa jeszcze z polskiego wojska i naszego przyjaciela. To on mnie poprosił o przyjazd tutaj, aby pilotować ten przerzut.

– Musi mieć u nas dobre kontakty... – Ursula popatrzyła badawczo na Olę.

– Zawsze miał kontakty. Filip mówił o nim, że to szczywany lis. Teraz spokojnie mieszka z Elizabeth w domu nad samym morzem w Salcombe, w Devon.

– To wspaniale mieć takich przyjaciół.

– Tak. Powiedział, że możemy mieszkać, ile chcemy.

– A co z córkami?

– Córki poszły chyba do najlepszej szkoły dla dziewcząt w Queenswood w Hartfordshire. To niecałe trzydzieści mil od nas, to znaczy od domu na Hammersmith. Jak się okazało, Filip miał głowę do interesów. Sporo zostawił na wykształcenie córek. Tam jest internat, więc ja, pracując w Oksfordzie, miałam spokojną głowę. Dziewczyny na święta i na weekendy przyjeżdżały do Londynu.

Niebieski transit zbliżał się do Poznania. Była wspaniała polska złota jesień. Miasto tętniło życiem. Kolorowe plakaty informowały o zbliżającej się Międzynarodowej Wystawie Psów Rasowych.

Przecieli ulicę Roosevelta. Po szynach z łoskotem toczył się zielony tramwaj.

– Miałam przyjechać tu na wystawę psów z Bossem. To w końcu londyński champion. Ale nie wiem, czy zdążę po tym wszystkim – odezwała się Ursula. – Mark, możesz przycisnąć za miastem? – Klepnęła go w ramię.

– Może gdzieś nogi rozprostujemy?

– Po przejechaniu granicy. Musisz wytrzymać. Wszyscy musimy.

– Bo coś bym też zjadł.

– Zjesz, gdy dotrzemy do Tempelhof. Jedziesz prosto pod bramę siedem tysięcy trzysta pięćdziesiątej Air Base Group. Wiesz, gdzie to?

– Wiem, wiem.

– Mam nadzieję, że on dobrze się czuje... – Ursula wskazała wzrokiem na pakowną skrzynię.

* * *

– Sekcja druga. Gdzie jesteście? – rzucił trochę zdenerwowany Rudy.

Stoimy ze sto metrów przed szlabanem. Przy linii dla niebieskich tablic. Co robimy? Nie widzę żadnej ekipy, która miałaby ich zdjąć!

W radiu odezwał się głos kobiety.

Czekać!

– WOP ich zdejmować będzie czy co? – denerwował się Irek.

– Słyszałeś. Czekamy. Pilnuj ich i podjeżdżamy bliżej.

– Jak bliżej?! Jorgną się. Nawet tablic nie mieliśmy kiedy zmienić na miejscowe.

– Mają się jorgnąć. Takie mam polecenie.

– Co tu się, kurwa, odpierdala?!

Podjechali bliżej.

Dwójka i trójka oberek. Poczekaście na nas w tym ostatnim motelu, który minęliśmy. To samo sekcja druga. Ruszać spod szlabanu. Widzimy się na dobrej misce.

* * *

– Ursula! Mamy bliskie towarzystwo. Może chcą nas jak tego księdza... co mówili o nim w telewizji – rzucił kierowca transita, spoglądając w boczne lusterko.

– Spokojnie, Mark. – Spojrzała na Olę, która ze spokojem patrzyła przez przednią szybę na wyraźny już biało-czerwony szlaban.

„Ma być angielska flegma i opanowanie”. Spokojnie zaczęła szukać paszportu dyplomatycznego. Mark rzucił przed przednią szybą swój, z wciśniętymi w środek listami kurierskimi. Po chwili się zatrzymali. W ich kierunku ruszył chorąży WOP. Spojrzał na samochód. Nie uszedł jego uwagi również czarny mercedes na warszawskich numerach stojący sto metrów dalej. Wziął wszystkie paszporty:

– *Diplomatic?*

Kierowca kiwnął tylko głową.

Żołnierz jeszcze raz zlustrował uważnie pasażerów. Potem zerknął na podłużne kartki z listą przewożonego ładunku. Zasalutował i skinął do kolegi, aby podniósł szlaban.

Transit ruszył w kierunku granicznego mostu.

* * *

– Rudy! No i co? Spierdoliła. Gdzie są ci z kontrwywiadu, którzy mieli ją zdjąć?! No gdzie? – dopytywał Irek.

– Nie spierdoliła, tylko wykorzystwała transport poczty, aby zabrać matkę na wycieczkę do Berlina. A za co mieliby ją zdjąć? Kto ci w ogóle, kurwa, nagadał, że mają ją zwinąć?

– No, po tej akcji w Cierzpiętach? Tak się mówiło u nas na bazie przed wyjazdem. Nie wiem za co... A zresztą to nie moja sprawa. Jaki napiszemy komunikat?

– Nie będzie żadnego komunikatu. – Rudy wyjął z wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki kilkanaście fotografii zrobionych przy Nowogrodz-

kiej, Obrońców, przed jakimś domem wiejskim, pod przejazdem pod torami kolejowymi na obrzeżach miasta. – Spójrz i zapamiętaj.

– Już w osiemdziesiątym pierwszym ta krzywa akcja mi się nie podobała. Ale byłem szczaw. A teraz znowu dałem ci się namówić. Kurwa! Ty weź sobie kogoś innego do pomocy. Masz w drugim wydziale ze sto osób... – Zaczął przeglądać fotografie.

Z każdym zdjęciem, które zobaczył, jego twarz coraz bardziej tężała. Nawet nie mrugnął. Oddał plik zdjęć koledze.

– Rozumiesz?

Irek tylko lekko kiwnął głową.

– To on tam... był – odpowiedział sam sobie i skupił wzrok na znajdującym się nad budynkami granicznymi wielkim napisie *Polska Rzeczpospolita Ludowa*.

Rudy wysiadł z mercedesa na pobocze i zapalił marlboro. Zaciągnął się, po czym kucnął na trawie i spalił jedno zdjęcie po drugim. Popiół dokładnie rozdeptał.

– Ruszamy do motelu. Muszę zadzwonić. Chyba będę zaraz kurewsko głodny. Podaj im przez radio, że zaraz dobijemy do reszty. Tylko dopalę. – Uśmiechnął się do kolegi.

Rozdział 24

Paryż – jesień 1984 roku

– Panowie, to szaleństwo. – Harel, były już szef Mosadu, stuknął dłonią w blat stołu, wziął do ręki list i ponownie go przeczytał półszepem:

Możemy dopaść Mengelego. Carlos, biznesmen z Paragwaju, chce pół miliona dolarów amerykańskich za informację o tym, gdzie Anioł Śmierci się ukrywa. Kontakt w Asunción, hotel Casa Quinta Montalbetti, San Ramon.

– Szaleństwo! – powtórzył.

– Nie! Nie zgadzam się. To jest szansa, może ostatnia – ostro zaproponował Malkin, który właśnie przyleciał do Paryża z Nowego Jorku, gdzie uczestniczył w wernisażu swoich obrazów.

Wziął od Harela list, który dostał tydzień temu, i ponownie zaczął go studiować. Siedzieli w milczeniu przy drewnianym stoliku, w niewielkiej kawiarni przy placu Saint-Michel w Paryżu. Wzięli kawę, sok pomarańczowy i croissanty z czekoladą i dżemem, czyli francuskie śniadanie.

W spotkaniu uczestniczyli oprócz nich Aharoni, Kleiner i Dov Rubinstein – były spadochroniarz izraelski mieszkający w Kanadzie. Wszyscy zatrzymali się w pobliskim hotelu Royal Saint-Michel.

– Spójrzcie na siebie. Każdy z nas ma co najmniej siedemdziesiątkę. Czy my jeszcze chcemy się bawić w wojnę? – Kleiner pokiwał wymownie głową.

– Tak. Ja chcę. – Rubinstein ruchem ręki poprosił do stołu kelnera i dodatkowo zamówił dla siebie kieliszek bordeaux.

– Panowie, zrobiłem już wstępne rozpoznanie. Carlos powiedział o tym w czasie rozmowy na *offie* z dziennikarzem holenderskim. Potem operacyjnymi kanałami informacja ta trafiła do naszej rezydentury w São Paulo. Wstępnie oferta została potwierdzona przez naszych ludzi – referował Malkin w żołnierskich słowach.

– Jak z finansowaniem przedsięwzięcia? – zapytał Aharoni.

– Jestem po rozmowie... ze sponsorem. Wyłożył je niejaki David Magid...

– Ten Magid? – Kleiner nie ukrywał zdziwienia.

– Tak. Ten deweloper z Meksyku. Aharoni, może ty się tym zajmiesz. Paszporty z wizami do Brazylii, broń, transport, lokal na miejscu... Zresztą sam doskonale wiesz. Jeśli oczywiście chcesz w tym uczestniczyć – powiedział Malkin.

– Okej – rzucił Aharoni.

– Czy wszyscy w to wchodzi? – Popatrzył na pozostałych.

– Dobra. Może to będzie moja ostatnia operacja specjalna w życiu – rzekł Kleiner.

– Ja też się zgadzam. Jaki masz plan? – Rubinstein sięgnął po kieliszek.

– Proponuję powtórzyć operację... z Eichmannem. Zatem zwijamy go z ulicy do samochodu, odurzamy i przewozimy do kryjówki. Pozostaje wtedy tylko kwestia samolotu, który go wywiezie. Tyle.

Były szef Mosadu spojrzał na Malkina, potem w bok na sznur samochodów, który podążał przez pobliski plac, i po dłuższej chwili milczenia powiedział:

– Dobrze. Załatwię ten samolot. – Odetchnął ciężko. – Ale ciągle jestem sceptykiem. Wiecie, że jego odbiór przez załogę samolotu musi być błyskawiczny. Trzeba będzie wybrać lotnisko na kompletnym odludziu, o co akurat nietrudno w Brazylii. Najlepiej gdzieś na pograniczu. Pamiętajcie, trzeba ustalić taką trasę, aby nas nie przechwyciły samoloty brazylijskie. Potem przetrzucimy go do innego samolotu i skok przez ocean.

– Musimy to zrobić w sumie własnymi siłami. Bez udziału naszego rządu. Dlatego – spojrzał na Rubinsteina – będziemy potrzebowali jeszcze trzech, może czterech byłych naszych komandosów... dobrze ostrzelanych – ostatnie słowa Malkin mocno zaakcentował.

– Rozumiem, że to moje zadanie. – Rubinstein sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął notatnik i zaczął coś w nim sprawdzać.

– Wiesz, że ta nieoficjalna operacja dla naszych nie będzie do końca... tajna i trzeba będzie to jakoś załatwić – wtrącił Harel.

– Ale to już zostawiam tobie... – odparł Malkin. – I na koniec. Skoro wszyscy się zgodziliśmy, to ja jutro lecę na kilka dni do Paragwaju. Proponuję, aby towarzyszył mi Kleiner. Wy na razie tu zostanieie. Poczyńcie

wstępne kroki, ale jeszcze bez konkretów. Po naszym powrocie i w zależności od ustaleń przejdziemy do szczegółów – zakończył spotkanie.

Rozdział 25

Paragwaj – Asunción – październik 1984 roku

Turbośmigłowy Lockheed L-188C Electra w barwach Lineas Aereas Paraguayas, który leciał do Asunción w Paragwaju, obniżył lekko pułap. Dwaj emerytowani oficerowie izraelskiego wywiadu podróżowali już prawie dwadzieścia godzin. Byli bardzo zmęczeni. Mieli opóźnienie. Nad Atlantykiem ich boeing brazylijskich linii TAM lecący do Rio de Janeiro parę razy omijał burze. Potem musieli czekać kilka godzin na lotnisku na kolejny samolot do stolicy Paragwaju.

– Myślisz, że się uda? – Malkin pociągnął łyk białego wina, które otrzymał w małej buteleczce od stewardesy.

– To zależy tylko od nas. Doskonale wiesz, jak wyłapać coś, co nie pasuje do układanki. – Kleiner dokończył prostokątną buteleczkę johnniego walkera.

Usłyszeli jakby cichszą i mniej intensywną pracę czterech silników, co wskazywało, że samolot podchodzi do lądowania. Kleiner spojrział przez owalne okienko. Zobaczył zbliżającą się ziemię. Po chwili powoli zaczęło wysuwać się podwozie. Po kilkunastu minutach samolot kołował w kierunku terminalu Aeropuerto Internacional Silvio Pettirossi.

Po przejściu kontroli paszportowej wsiedli do taksówki – białego mercedesa W114.

– *Hotel Villa Victoria por favor* – rzucił Malkin.

Jechali elegancką szeroką aleją, wzdłuż której wznosiły się wieżowce. Droga z lotniska przeciągała się. Powodem były korki powstające w wyniku kontroli prowadzonych przez uzbrojone patrole wojska. Żołnierze ubrani byli w zielone mundury, na głowach mieli hełmy, a w dłoniach trzymali pistolety maszynowe.

Asunción było stolicą państwa, którym od 1954 roku rządził twardą ręką generał Alfredo Stroessner. Na porządku dziennym były zamachy organizowane przez lewicową partyzantkę oraz porwania i mordy dokonywane na przeciwnikach politycznych. Od niedawna jednak coś zaczęło się zmieniać. Stroessner przestał być sojusznikiem USA, a prezydent Ronald Reagan domagał się demokratycznych zmian w państwie toczonym przez raka korupcji.

Mężczyźni podróżowali prawie godzinę i byli już tym poirytowani. Kleiner rozluźnił swój czarny krawat w białe kropki. Jasnobrązową marynarkę rzucił pod tylne okno. Żołnierze, którzy ich kontrolowali, sprawdzili tylko dokumenty. Nic nie wzbudziło ich niepokoju, gdy zobaczyli na tylnym siedzeniu dwóch elegancko ubranych starszych mężczyzn wyglądających na biznesmenów. Malkin wjechał do Paragwaju na paszporcie amerykańskim, a Kleiner na szwajcarskim. W końcu podjechali pod hotel zlokalizowany w parterowym budynku. Wzięli walizki i zameldowali się w recepcji. Poszli do swoich pokoi, aby się odświeżyć i chwilę przespać. Do wieczornego spotkania z Carlosem zostało jeszcze kilka godzin.

* * *

Droga do Casa Quinta Montalbetti zajęłaby im szybkim krokiem zaledwie kilka minut. Jednak zdecydowali się pokręcić po uliczkach, żeby sprawdzić, czy nie są śledzeni. Mijali skąpo ubrane prostytutki, które przed hotelikami czekały na klientów, a także dilerów narkotyków, którzy proponowali im marihuanę lub haszysz. Kolorowy tłum ulicy jakby stał w miejscu. Nikt się nie spieszył. Po półgodzinie weszli do hotelu.

– Dobry wieczór. Szukamy señora Carlosa. Byliśmy z nim umówieni – powiedział Malkin, kiedy obaj stanęli przy recepcji.

– Tak, wiem. Señor Carlos mnie poinformował. Czeka na panów.

– *Tan bonita*. – Malkin obdarzył uśmiechem nieco znudzoną dziewczynę.

– Proszę za mną. Señor Carlos albo jest w swoim pokoju numer dwaście, albo siedzi przy stoliku nad basenem. Poprowadzę – odparła szczupła brunetka ubrana w niebieski mundurek.

Kobieta wyszła zza drewnianego kontuaru i ruszyła przez lobby. Następnie poprowadziła gości obok baru na wewnętrzne patio wypełnione tropikalną zielenią. Byli przy niewielkim, obłożonym kamieniami basenie.

– O! Jest jednak na zewnątrz – rzekła recepcjonistka i skierowała się do stolika.

Przy nim siedział dość otyły mężczyzna w kolorowej koszuli typu hawajskiego z motywami tukanów. Na głowie miał słomkowy kapelusz. Ubrany był w krótkie spodenki, na stopach miał klapki. Widzieli z daleka, że nadmiernie się pocił. W rękę trzymał długie cygaro, z którego wraz z dymem roznosił się intensywny zapach. Carlos spojrział na Malkina.

Uśmiech od razu pojawił się na jego twarzy. Kleiner trzymał się nieco z tyłu. Chciał mieć większe pole obserwacji otoczenia.

– Panowie do mnie. Czym mogę służyć?

– Chcieliśmy porozmawiać o pewnej ofercie.

– Ach, tak! Zapraszam. Proszę usiąść. Catherina! – krzyknął do kelnerki. – Proszę dla mnie i gości ten wasz drink brzoskwiniowy z brandy i *jopara*. Razy trzy! – Dla potwierdzenia zamówienia uniósł trzy palce.

W momencie kiedy siadali, Kleiner zauważył, że za oknem w pokoju znajdującym się najbliżej basenu uchyliła się firanka. Zobaczył mężczyznę w opinającym jego ciało szarym garniturze. Po chwili ujrzał w jego dłoni niewielki aparat fotograficzny. Prawdopodobnie zrobił im zdjęcie. Kiedy kelnerka stawiała na stoliku trzy szklanki pomarańczowego drinka z kostkami lodu oraz listkami mięty, podobnie ubrany mężczyzna jak ten zza firanki wszedł do baru. Usiadł dwa stoliki dalej. Kleiner nie miał wątpliwości, że ktoś się nimi zainteresował. „Być może to policja” – pomyślał. Założył nogę na nogę, wyjął i zapalił papierosa, paczkę winstonów położył na stoliku. Był to ustalony z Malkinem znak mówiący, że są obserwowani.

– Panowie z daleka?

– Z Europy – odpowiedział Kleiner.

– Niemcy? Austria? Ameryka... a może Izrael? – dopytywał Carlos.

– Nie słyszał pan? Przylecieliśmy z Europy. A czy to w ogóle ma dla pana jakieś znaczenie? Chodzi przecież o biznes.

– No, bo wiecie... W interesach wszystko jest ważne. Nawet to, skąd pochodzi partner handlowy.

– Señor Carlos. Interesuje nas pana oferta. To powinno wystarczyć – uciał Malkin.

W tym momencie kelnerka przyniosła w trzech porcelanowych miseczkach gorące, pachnące *jopara* z fasolą. Obok na talerzu położyła kawałek pokrojonej bagietki oraz zestaw sosów.

– Słucham.

– Gdzie jest Mengele?

– Nie ma go tutaj. Ukrywa się w Brazylii.

– A dokładniej?

– Dokładniej? Powiedzmy, że w okolicach São Paulo.

– Z czego się tam utrzymuje? – drążył Malkin.

– Ma spory majątek. No wiecie, panowie, duża hacjenda, bydło...

– Aha, bydło, mówi pan... – Malkin wymownie spojrzął na Kleinera.

– A gdzie dokładnie jest ta hacjenda?

– Señor! Bądźmy poważni! Jesteśmy przecież biznesmenami, prawda? Ta informacja jak każdy dobry towar kosztuje. A ile, to dokładnie wiecie. Prawda?

– Dobrze, a jakie mamy gwarancje, że to, co pan mówi, jest prawdą. Jakież dowody?

– Chwileczkę. Są i dowody. Coś panom przyniosę. – W tym momencie Carlos z trudem wstał i powoli poszedł do swojego pokoju hotelowego.

– Coś kręci... Coś mi tu śmierdzi – rzucił po cichu Kleiner. – Mengelego nie stać by było nawet na pół krowy. Z ostatnich raportów Miriam wynikało, że klepał biedę. Poza tym obserwuje nas pewnie policja.

Po chwili Carlos wrócił. W ręce trzymał czarno-białą fotografię. Podał ją Malkinowi. Przedstawiała mężczyznę w białej koszuli, który stał bokiem, ale twarz miał zwróconą do fotografa. Miał ponad sześćdziesiąt parę lat. Czarne wąsy, wysokie czoło. Mógłby przypominać Mengelego, gdyby nie pewien szczegół, o którym informował przed laty Miriam. Ten ze zdjęcia nie miał na czole szramy po cięciu.

– No tak. A kiedy to zdjęcie zostało wykonane? – Kleiner położył fotografię na stoliku i palcem przycisnął do blatu sfotografowaną twarz.

– No... Może... Miesiąc temu? – Carlos strząsnął energicznie popiół z cygara do popielniczki. – To jak się umówimy, panowie? Czy może być tak, że jedna trzecia kwoty za otrzymaną informację teraz, a pozostała część po sfinalizowaniu sprawy?

W kącikach ust Carlosa pojawił się nerwowy tik. Jednak mężczyzna szybko go opanował.

– Czyli pierwsza transza, gdy potwierdzimy, że informacja jest prawdziwa. A reszta, gdy my do niego dotrzemy. Wtedy wypłacimy resztę – odparł Malkin.

– Panowie. A jaką mam gwarancję, że mnie nie oszukacie?

– To może zrobimy tak – Kleiner postanowił zagrać *va banque* – że ja zostanę z panem, a kolega sprawdzi informację. Gwarantem wypłaty reszty pieniędzy będę ja.

– O! To bardzo ciekawe rozwiązanie... Tylko kim pan jest? To dla mnie żadna gwarancja. Gdyby był pan przedstawicielem jakiegoś rządu, to tak! Ale *pero losiento mucho*, jest pan dla mnie nikim. – Carlos dyskretnie spojrział na mężczyznę w szarym garniturze, który siedział teraz do nich bokiem i popijał kawę.

– W porządku – włączył się Malkin. – Potrzebujemy kilku dni na dogranie szczegółów. Bo jak się pan domyśla, pieniędzy nie mamy przy sobie.

– Oczywiście, ja też muszę coś jeszcze ustalić, żebyście trafili do właściwej hacjendy. To w takim razie zaliczka będzie wynosiła sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Tak?

– Tak. Tak się umówmy – podsumował Malkin.

– Doskonale! Za udaną transakcję. – Carlos stuknął swoją szklanką o szkło obu mężczyzn.

Po toaście Malkin i Kleiner wstali, nie kończąc paragwajskiej potrawy, i pożegnali się z Carlosem.

Przy wejściu do ich hotelu Malkin szepnął do kolegi:

– Ja zostanę jeszcze chwilę w okolicy, ty czekaj na mnie w swoim pokoju. Chcę coś sprawdzić.

– Tylko uważaj na siebie... – Kleiner skinął głową.

Malkina coś dręczyło. Jakaś myśl chodziła mu po głowie. Podeszedł do jednej z prostytutek. Miała na sobie krótką kolorową sukienkę, czarne włosy spięte w kok i małą torebkę. Jej mocno umalowane usta błyszcząły w świetle ulicznych latarni. Mężczyzna machnął na taksówkę. Stary duży buick podjechał po chwili. Malkin otworzył tylne drzwi.

– Chcesz zarobić? – zapytał dziewczynę.

Ta, kręcąc mocno biodrami, podeszła bliżej. Popatrzyła na niego prowokująco, lekko rozchyliła usta i powoli je oblizwała.

– Siadaj mi na kolana. – Malkin skinął głową, gdy już znaleźli się w taksówce, i włożył jej za dekollet banknot dwudziestodolarowy.

Dziewczyna ulokowała się twarzą do niego i zaczęła lekko przesuwając się do przodu i do tyłu. Ścisnęła go mocniej gładkimi udami. Jedną jej dłoń powędrowała do paska spodni i zaczęła go rozpinać. Drugą gładziła spięte mocno stanikiem i sukienką kształtne piersi. W tym czasie Malkin kazał kierowcy jechać do hotelu, w którym spotkali się z Carlosem.

– Zatrzymaj się naprzeciwko wejścia – rzucił do kierowcy. – Jak masz mała na imię?

– Elena.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia. *Americano?*

– *Yeah!*

– Kończymy tutaj czy jedziemy do hotelu?

– Ani jedno, ani drugie. Siedź jak ci wygodnie i nie ruszaj się... za bardzo – szepnął jej do ucha.

– Następny dziwak! – Zrobiła taką minę, jakby się obraziła.

– Słuchaj. Zapłaciłem? To nie pierdol, tylko siedź spokojnie. – Malkin mocno ścisnął jej rękę i pocałował ją koło ucha.

– No już dobra. Spokojnie...

Czekali w takim niby miłosnym uścisku kilkanaście minut, do momentu gdy pod hotel podjechał wysłużony czarny chevrolet. Wsiadł do niego Carlos i dwaj mężczyźni w szarych garniturach. Uważnie się rozejrzeli, po czym samochód z piskiem opon odjechał.

– To wszystko. Możesz już wracać do koleżanek. – Otworzył drzwi i na pożegnanie klepnął ją w pośladek. Dziewczyna odwróciła się z uśmiechem i przesłała mu dłonią buziaka.

Malkin zapłacił kierowcy i wysiadł z samochodu. Zauważył, że do hotelu można dostać się również wejściem dla personelu. Znajdowało się w bocznej uliczce. Skierował się tam. Uchylił ciężkie metalowe drzwi i wszedł do środka. Przeszedł słabo oświetlonym korytarzem, potem skręcił w prawo. Spojrzał na hotelowe patio z basenem. Jakieś osoby pływały, ktoś stał i rozmawiał z kelnerką przy barze. Ruszył w kierunku pokoju numer dwanaście. Przez chwilę nasłuchiwał. W środku było ciemno. Zapukał. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Z kieszeni wyjął komplet kluczy o różnych kształtach, z podwieszoną małą latarką. Spojrzał na zamek w okrągłej gałce. Wybrał jeden wytrych i wprawnym ruchem otworzył drzwi. Wszedł do środka.

Nie czuł strachu, bo wiele razy w swoim życiu wykonywał podobne zadania. Zasłonił grubymi kotarami okno i włączył latarkę, przekręcił gwint przy breloczku, aby wzmocnić promień światła. Metodycznie zaczął lustrować pomieszczenie. Otworzył szafę, przejrzał szybko wiszące w niej ubrania. Zajrzał do szuflady biurka. Na dnie leżał pistolet, a pod nim plik dokumentów. Malkin delikatnie je wyciągnął. Była tam koperta z dużą sumą dolarów, a w środku kartka zapisana w języku arabskim, z adresem placówki dyplomatycznej Izraela w Brazylii. Na kolejnej zanotowane były nazwiska. Malkin, który znał ten język, zauważył swoje oraz Harela. Obok leżała jeszcze szara koperta. Otworzył ją. Poczł wyraźny, kwaśny zapach. Wewnątrz znajdowały się ich fotografie wykonane tego dnia na lotnisku w Asunción. Zajrzał do kieszeni marynarki, która wisiała obok wejścia. Znalazł w niej dwa paszporty ze zdjęciem Carlosa. Jeden wystawiony przez

Niemiecką Republikę Demokratyczną na Andreeasa Hoffmana, drugi, egipski, na Sabriego al-Hakima Amira. Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. Odsunął zasłonę i popatrzył na zewnątrz. Nikogo nie było. Uchylił ostrożnie drzwi. Wszedł i zatrzasnął je.

Opuścił budynek tą samą drogą niezauważony przez nikogo. Skierował się do swojego hotelu, do którego dotarł po dziesięciu minutach. Zapukał do pokoju Kleinera. Jego kolega leżał na łóżku w ubraniu i butach i przeglądał gazetę. Malkin pokazał mu na migi, aby nic nie mówił. Wskazał palcem na sufit i kratkę wentylacyjną, dając znać, że w pokoju może być podsłuch.

– Chodź, przewietrzmy się trochę – zaproponował.

Kleiner wstał bez słowa. Zamknęli za sobą drzwi. Skierowali się do pobliskiego parku i kaplicy. Gdy znaleźli się między drzewami, Malkin wyjął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował kolegę. Zapalili. Wykorzystali ten moment, aby sprawdzić, czy ktoś ich obserwuje. Nikogo podejrzanego nie zauważyli.

– To jest pułapka, mają nasze dane i zdjęcia. A ten Carlos to nie wiem, kim jest. Ma dwa paszporty: komunistyczny niemiecki i egipski.

– No i ta jego obstawa...

– Tak. Wyjechał z nimi z hotelu. Muszę natychmiast zawiadomić naszych ludzi w Paryżu, aby uważali na siebie. Trzeba im przekazać, że rozwiązujemy grupę. Jeszcze dzisiaj wywołaj telefonicznie na jutro spotkanie z naszym człowiekiem z ambasady. – Podał mu niedużą karteczkę.

– Jasne. A miała to być operacja... nieoficjalna. Bez czynników rządowych od nas.

– I tak jest. My jesteśmy nieoficjalnie, ale sprawa już nie. Rozumiesz? Harel mówił przed wylotem z Paryża, jak sprawy się mają. To pilne! Ja za dużo się dzisiaj kręciłem po okolicy. Podjedź gdzieś taksówką do dużego hotelu w centrum. Nie jest jeszcze tak późno.

* * *

Zvi Zamir, oficjalnie konsul w izraelskiej ambasadzie w Asunción, a nieoficjalnie rezydent Mosadu, pojawił się w hotelu Villa Victoria w południe. Przyjechał niebieskim fordem escortem. Malkin i Kleiner siedzieli w barze pochyleni nad szklankami whisky. Przy nogach ich stołków stały dwie torby na ramię. Wszedł. Rozejrzał się. Rozpoznał ich. Znał ich jeszcze ze

szkoleń w Izraelu. Podszedł do baru. Zamówił piwo. Nie odwracając się do nich, powiedział:

– Niebieski ford escort stoi przed podjazdem. Dokończę piwo i ruszajcie za mną. – Odwrócił się plecami do baru i zaczął rozglądać się po hotelowym lobby.

– Jesteśmy pod obserwacją. Nie wiemy, czy to policja, czy ktoś inny – wyszeptał znad szklanki Kleiner, który siedział bliżej Zamira.

– Rozumiem. – Zvi wychylił do końca piwo i ruszył do wyjścia.

Wzięli swój bagaż i poszli za nim. Wsiedli do samochodu i ruszyli.

– Pojedziemy pogadać. Znam takie miejsce koło portu. Ale najpierw zobaczymy, czy ktoś się za nami wlecze. Skoczymy w kierunku lotniska, potem zawrócimy do miasta. Znam taki dobry przejazd przy dawnej zajezdni tramwajowej. Można tam całkiem naturalnie wyjść spod obserwacji, nawet samochodem. Tak na wszelki wypadek – zakomunikował Zamir.

Po godzinie jazdy dotarli w okolice portu. Wyszli i usiedli na ławeczce z widokiem na rzekę Paragwaj. Twarze skierowali do słońca, które mocno grzało.

– Kto weryfikował wiadomości o tym całym Carlosie? – odezwał się Kleiner.

– Informacja sygnałna w sprawie Mengelego przyszła jak zawsze od Miriam. Utrzymał w liście wysłanym do mnie z Londynu, że informacja jest pewna – odpowiedział spokojnie Malkin.

– Jaka, kurwa, pewna! Naraziliśmy się na kompromitację! A skąd on w ogóle w Londynie ma informację z Brazylii?! – wybuchnął Kleiner.

– Spokojnie. Pracuje dla nas od dwudziestu lat! Nie pamiętasz go?!

– Ty mnie pytasz, czy ja go pamiętam?! Coś z pamięcią masz nie w porządku, przyjacielu? Ja mu pomogłem urządzić się w Brazylii! A teraz słyszę, że jest na Wyspach!

– Po prostu Miriam jeździ często do Europy w interesach. W zasadzie od paru lat przebywa tam dłużej niż w Brazylii.

– Panowie, spokojnie. Nie wiem, o czym mówicie, ale coś mi się nie zgadza. Z tym Miriam to od pewnego czasu mamy problem... Rozmawiałem z naszymi w Rio – wtrącił się Zamir.

– Czyli? – zainteresował się Malkin.

– Kontakt jest utrudniony. W zasadzie zamrożony. Od pewnego czasu się nie odzywa. A tu słyszę, że coś wam wysyła, w dodatku jakimś innym kanałem łączności i dość regularnie! Do tego w takiej sprawie!

– Trzeba w takim razie rozpoznać operacyjnie sytuację z Miriam w Belo Horizonte. Ale nie mieszałbym do tego placówki w Rio – już spokojniej powiedział Kleiner.

– Mosze... Tu już nie ma co rozpoznawać. Dla mnie sprawa jasna. Miriam pracuje dla naszych wrogów. Po prostu trzeba się go pozbyć. –

Malkin wystawił twarz do słońca. – A ty, Mosze, trzymaj się od niego jak najdalej, żadnych osobistych kontaktów. Ja cię dobrze znam. Zrozumiałeś?

– Tak. Zrozumiałem.

– I druga sprawa. Zamir, skontaktuj się pilnie z naszą placówką w Paryżu. W hotelu Royal Saint-Michel jest trzech naszych ludzi: Harel, Rubinstein i Aharoni. Niech przekażą im, że sprawa jest nieaktualna. Niech wracają do siebie. I koniecznie nasi ludzie mają zapewnić im ochronę do czasu opuszczenia Francji. Aha, napisz do nich, że ja wracam do Nowego Jorku.

– Tak jest. Zajmę się tym dzisiaj.

– Wczorajem mam lot. A ty dokąd lecisz? – Uśmiechnął się do Kleinera.

– Przez Lizbonę do Tel Awiwu.

Rozdział 26

Warszawa – listopad 1984 roku

Telefon dzwonił już dwie minuty, gdy Józef wyszedł z łazienki, w której się golił. W Warszawie była szósta rano. Za trzy godziny miał umówione krótkie spotkanie z Antonim przy Starej Pomarańczarni w Łazienkach Królewskich.

Uniósł czarną ebonitową słuchawkę i powiedział tylko:

– Hallooo.

– To ja, kochanie. – Usłyszał w słuchawce głos Evelyn.

– Witaj! Masz szczęście, bo jestem w Warszawie dłużej. Wiesz, te rozmowy z Jubilerem. Pamiętasz, mówiłem ci. To taka miejscowa polska firma, ale bardzo solidna. Potem jadę do Pragi na rozmowy w Jablonexie. A co u ciebie? Jaka u ciebie pogoda, bo tutaj plucha, deszcz, błoto i wszystko jest szare?

Józef zawsze uprzedzał Evelyn, kiedy może go łapać telefonicznie. Chociaż w rzeczywistości przebywał niemal przez cały czas w Warszawie, ale ona tego nie wiedziała. On zaś dzwonił do niej podczas swoich krótkich wyjazdów na spotkania z oficerami moskiewskiej Centrali.

– Bardzo za tobą tęsknię – rzekła Evelyn łamiącym się głosem.

– W przyszłym miesiącu już przylecę.

– Przez Londyn?

– Tak, oczywiście przez Londyn i na pewno jeszcze przed Nowym Rokiem. Zrobię ci niespodziankę, kochanie. I nie zgadniesz jaką. A u ciebie wszystko w porządku? Jak ogród i sad? Kapibary nie rozrabiają za bardzo koło domu?

– Wszystko dobrze. Mamy ostatnio więcej pracy w szpitalu. Drzewka rosną, zbiory były umiarkowane, ale niezłe. Ale soków do sprzedaży z pitangi i aceroli będzie dużo. Z pomarańczy tak samo. Senhor Martin Sobeterraba jest doskonałym sadownikiem i przyzwoitym człowiekiem.

– To prawda. To bardzo dobry fachowiec. Dobrze, że go zatrudniłem. A soki jego ręką tłoczone na zimno są świetne. Zresztą sama wiesz, kochanie.

– Aha. Zapomniałabym ci powiedzieć. Był u nas w domu ten ogrodnik.

- Jaki ogrodnik, kochanie?
- Ma na imię Eduardo. Mówił, że cię zna. Chciał z tobą rozmawiać. Chodzi o nowe nasadzenia *mamao* w naszym sadzie.
- Jak wrócę, zajmę się tym. – Józef dawno tak się nie zdenerwował.
- Evelyn wypowiedziała zdanie, które było zrozumiałe tylko dla niego. Oznaczało, że szukali go Izraelczycy. W tym momencie w słuchawce usłyszał jakieś chrobotanie, głos zaczął zanikać.
- Będę za miesiąc, pamiętaj, kochanie. Pa!
- Czekam na ciebie! Tęsknię... buziaki – W tym momencie połączenie międzynarodowe zostało zerwane, co często się zdarzało.

* * *

Józef leżał już w łóżku. Czytał notatkę, którą otrzymał od jednego z agentów w strukturach podziemnych. Usłyszał nierówne terkotanie dzwonka aparatu. Ogarnął go jakiś lęk, niezrozumiały niepokój. Rzucił dokumenty na szafkę koło amerykanki.

Podszedł do telefonu. Chwycił słuchawkę i przyłożył do ucha.

– Będzie rozmowa międzynarodowa. – Usłyszał na początku, potem na chwilę zapadła cisza, jakby telefonistka coś przełączała. Aż wreszcie dobiegło go z drugiej strony:

- Hanser? Józef? To ja, Piotrek Winiecki.
- Skąd masz do mnie numer?
- Wtedy, jak telefonowałeś, żeby Evelyn zamieszkała na trochę u nas, pamiętasz?
- Tak.
- To wtedy Evelyn zostawiła kopertę z kontaktem do ciebie. Dała mi też paczkę jakichś dokumentów czy listów, ale jej nie otwierałem. Jakby się coś stało...
- Ale co miałyby się stać?!
- Bo wiesz... – Armando, który od wielu lat był przyjacielem domu Józefa i Evelyn, jakby się zaciął.
- No co tam u ciebie?! Piotrek! Słyszysz?! – krzyknął Józef.
- Bo wiesz, Józef... Evelyn nie żyje...
- Co ty mówisz?! Powtórz, bo są jakieś zakłócenia na linii.
- Evelyn nie żyje.
- Co...?! – Józef znowu krzyknął i po chwili zamilkł.

– Józef! Powtarzam! Nie żyje! Jej ciało zabrała właśnie policja. Słyszysz?! Józef! Odezwij się! – dobiegał do niego głos Winieckiego.

Usiadł na krześle w salonie. Patrzył tępo przez balkonowe okno na uderzające o balustradę krople deszczu pomieszane z płatkami śniegu. Jego dłoń wypuściła czarną słuchawkę na blat stołu. Nie mógł pozbierać myśli, czuł kompletną pustkę. Łzy popłynęły mu po policzkach.

– Józek! Jesteś tam?! Odezwij się!

Podniósł słuchawkę i spokojnie przyłożył ją do ucha.

– Jak to się stało? To przecież, przecież... – Józef zatopił rękę w gęstych kruczoczarnych włosach i jakiś impuls przeszył jego ciało.

– Nie wiem. Znalazłem ją w waszym garażu. Już nie żyła. Wygląda, jakby popełniła samobójstwo.

– To niemożliwe! Ona?! Dlaczego?! Nie miała żadnych powodów!

– Nie wiem. To już ustala policja. Zdjąłem jej pętlę z szyi.

– Jaką pętlę! O czym ty mówisz?! Evelyn?!

– Wiem, że to tragedia dla ciebie i nie jesteś tego w stanie tak łatwo przyjąć. Ale musisz. Ja też nie potrafię tego wyjaśnić, ale fakty są takie, że Evelyn nie żyje – powtórzył kolejny raz Winiecki.

– Coś zginęło z domu? A zresztą jakie to ma teraz znaczenie...

– Nie wiem. Ale wygląda, że niczego nie ruszono. Wejście na posesję było otwarte. Do domu też. Garaż miał otwartą bramę. Policja tu była, ale nie wiem, co ustaliła. Jak zakończą czynności, pozamykam i zabezpieczę dom. Wszystkim się z Izą zajmujemy do twojego powrotu. – Armando starał się być maksymalnie użyteczny w tej tragicznej sytuacji.

– Dziękuję ci. Postaram się przylecieć jak najszybciej.

Rozdział 27

Brazylia – grudzień 1984 roku

Cztery dni później, już po zmierzchu, Armando zauważył światło w oknie domu swojego wieloletniego przyjaciela, inżyniera Józefa Hansera. Kilka lat temu ich drogi zawodowe się rozeszły, bo Józef wyjechał do pracy w Europie. Winiecki wiedział tylko tyle, że zajmuje się handlem kamieniami szlachetnymi w Holandii, Szwajcarii i na Wyspach Brytyjskich, że próbuje robić interesy w Polsce i Czechosłowacji.

Armando wyjął z szuflady biurka swoją czterdziestkępiątkę, przeładował ją i ruszył w kierunku drzwi.

– Piotrek. Co się dzieje? Co ty z tym pistoletem robisz?! – zapytała Iza, marszcząc nos.

– Weź z kasy pancерnej swojego walthera. Załaduj magazynek. Zamknij za mną drzwi. Nikomu nie otwieraj!

– Co ty mówisz?!

– Zrób, jak powiedziałem. Posłuchaj, proszę.

Armando wszedł na posesję Hanserów. Minął okrągłe oczko wodne obmurowane kamieniami, gdzie Evelyn hodowała egzotyczne rybki. Oparł się o słup pergoli podtrzymującej czerwone pióropusze zwisających kwiatów *jade*. Nasłuchiwał. Poza cykadami i szumem pracujących filtrów basenu nic nie słyszał. Ruszył dalej wzdłuż ściany domu. Podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Popchnął je. W mieszkaniu panował nieład po oględzinach przeprowadzonych przez policję.

W korytarzu natknął się na walizkę. Józef siedział otępiąły na wielkiej białej kanapie i patrzył tępo przed siebie. Wstał ciężko, gdy usłyszał ruch.

Armando po raz pierwszy zobaczył w nim starego człowieka. Hanser był nieogolony, włosy miał przetłuszczzone po długiej podróży, oczy podkrążone.

– Witaj, przyjacielu. Dziękuję za pomoc – powiedział Józef, a Armando zabezpieczył broń.

– Nie ma za co. Przyjmij wyrazy współczucia. – Winiecki pocałował go w obydwie policzki. – Trzeba było przyjść do nas. Wypatrywaliśmy cię.

– Powiedz mi... co się tutaj stało? – spytał szeptem Józef.

– Nie mam pojęcia. Wszedłem do was, bo od kilku godzin widziałem światło, samochód stał przy wyjeździe, brama była uchylona. Zaniepokoiłem się, bo ostatnio niedaleko nas znowu pojawił się jakiś duży kajman. Evelyn wisiała na linie holowniczej na haku w garażu. Odciałem ją. Wezwałem policję. Nie żyła od kilku godzin, jak się potem okazało.

– List?

– Nie rozumiem?

– Czy zostawiła jakiś list, kartkę...

– Nie. Nic takiego nie zauważyłem. Może policja coś wie. Ciało jest w kostnicy szpitalnej. Możesz je odebrać w każdej chwili.

– Dziękuję. Już o tym myślałem. Miałem kilkanaście godzin w czasie lotu na przemyślenie wszystkiego. Chciałbym ją pochować w miejscu dla nas ważnym. Jest taki cmentarz w Estoril koło Lizbony, obok parku Altodos Gaios. Kiedyś z tych wzgórz był piękny widok na ocean. Uciekaliśmy tam z Evelyn schować się przed całym światem... – Zakrył dłońmi twarz, a po chwili dodał: – Wykupiłem tam dla nas miejsce. Niedaleko grobu niejakiego Ernsta de Ratibor e Corvey. Tyle jeszcze mogę dla Evelyn zrobić. Muszę tylko wszystko załatwić.

– Pomóc ci?

– Dziękuję. Jeszcze mam mętlik w głowie. Pomyślę. Powiedz mi, Piotr. Kręcił się ktoś wcześniej w tej okolicy? Jakież samochody zaparkowane na obcych numerach? Może z Rio albo São Paulo? Jakież zagraniczne?

– Ale jakie tu mogą być samochody zagraniczne?

– No nie wiem. Paragwaj, Argentyna?

– Nie, nic takiego. A co, masz jakieś przypuszczenia?

– A widziałeś może coś podejrzanego? – Józek jakby nie słuchał Armanda.

– Ja nie. Ale poproszę moich ludzi, aby się rozejrzeli po okolicy, popytali ludzi. Nie wiem, co ustalą. Mam też dobre kontakty w *Policia Federal*. Jak coś będę wiedział, zaraz cię poinformuję.

– A nie widziałeś naszego sadownika z Piedaledos Gerais?

– Nie, ale rozmawiałem z nim telefonicznie następnego dnia. Dowiedział się o tym wszystkim ode mnie. Przyjechał do nas przedwczoraj. Bardzo to przeżył.

– Tak...

– Ale możemy pojechać do niego. To w końcu tylko sto dwadzieścia kilometrów i niecałe dwie godziny drogi.

W tym momencie Armando zobaczył, że z oczu Józefa płyną łzy. Objął go ramieniem i przycisnął. Po chwili ktoś zapukał do drzwi. Józek nawet nie drgnął. Armando podniósł się gwałtownie i otworzył. Stała w nich Iza w jasnych dżinsach i ścisnęła w dłoni pistolet.

– Iza! Na Boga!

– Józek! – Podbiegła do kanapy, po drodze oddając broń mężowi.

Gospodarz uśmiechnął się i ją przytulił. Z jej niebieskich oczu płynęły łzy, a blond włosy zupełnie się potargały.

Po kilkunastu minutach Winiieccy uznali, że czas na nich.

– Trzymaj się, Józek. Pamiętaj, jak chcesz nocować u nas, to pokój Filipa jest wolny. A Ola wraca z jakiegoś obozu dopiero jutro. Nie będziesz czuł się skrępowany.

– Przygotowałam na twój przyjazd paellę. Taką jak lubiła Evelyn, z krewetkami, z kawałkami homara, w curry... – dodała Iza, wycierając chusteczką nos i mokre policzki.

– Mam coś dla nich z Polski. Dla was też, kochani... Nie, dziękuję. Nie mam apetytu. Muszę tu zostać i jakoś pozbierać myśli.

– Wiesz, gdzie mnie szukać, jakby coś było potrzebne – dodał Armando i wyszli z Izą z domu Hanserów.

Wewnątrz zapadła cisza. Do Józefa dochodził tylko ledwie słyszalny dźwięk cykad i gonitwy tukanów między gałęziami drzew. „Co tu się stało? Dlaczego ona? To moja wina! To przeze mnie! Nie było mnie tu! Jakbym był, to nic by się nie stało! Ona nie mogła się przecież tak po prostu zabić! Nie miała powodu. Depresja? A może? Przez to, że często mnie z nią nie było. Może czegoś nie zauważyłem” – obwinił się w myślach. Zasnął. Po kilku godzinach obudził go jakiś koszmar. Zerwał się z kanapy z krzykiem, ale po chwili się opanował. „Jednak to był tylko koszmar senny, ten prawdziwy jest tu, teraz” – pomyślał.

Sięgnął po w połowie pełną butelkę amerykańskiego bourbona, który tak lubiła Evelyn. Przystawił do suchych ust szyjkę butelki. Pił łapczywie. Chciał stłumić ból. Chciał się upić. Gdy opróżnił prawie całą flaszkę, cisnął ją w kąt pokoju. Roztrzaskała się o ścianę. Gwałtownie wstał, chwycił kluczyki czerwonej alfy romeo GTV i wybiegł z domu.

Z impetem otworzył drzwi pojazdu. Ulokował się w kubełkowym, sportowym fotelu i ostro ruszył. Skierował się na wschód, na trasę, którą

wielokrotnie pokonywali razem z Evelyn, gdy wybierali się nad ocean.

Pędził ponad sto kilometrów na godzinę. Był środek nocy. Co jakiś czas mijały go światła samochodów jadących z naprzeciwka, niektóre go oślepiały, jego wzrok był coraz bardziej rozmazany, mętny. W głowie mu szumiało, czuł, jakby mu ktoś sypnął w oczy piaskiem. Wiatr wpadający do środka przez uchylony dach samochodu szarpał jego włosy, które w ciągu kilku ostatnich dni posiwiały.

Wyprzedził jeden, potem drugi samochód, ściał zakręt, zobaczył zbliżające się światła. Zmrużył oczy. „Kurwa, co ja robię?! Przecież mam dla kogo żyć!” – przez głowę przeleciała mu myśl, jakby wytrzeźwiał w jednej sekundzie.

Wtedy stracił panowanie nad pojazdem. „Co się dzieje, nic nie reaguje!” Odbił kierownicą gwałtownie w prawo, alfa wypadła z drogi. Samochód z łoskotem wleciał do głębokiego wąwozu, a na koniec z impetem uderzył w drzewo. Zaraz potem stanął w płomieniach.

Ogień błyskawicznie objął samochód i wysuszone zarośla wokół.

* * *

Gdy w czerwcu 1985 roku, na wzgórzu cmentarnym w Embu, czterdzieści kilometrów od São Paulo odkopano grób Anioła Śmierci, a wyjętą z trumny czaszkę w triumfalnym geście – przypominającym pogańskie rytuały – pokazał światu asystent koronera w São Paulo, ściganie duchów Mengelego wcale nie ustało.

Szymon Wiesenthal nadal twierdził, że nie jest możliwe, aby on nie żył, bo przebywa przecież w Paragwaju.

Rozdział 28

Warszawa – listopad 1988 roku

Antoni siedział sztywno na drewnianej ławce stojącej na skarpie wiślanej. Żeby nie pobrudzić spodni, ulokował się na złożonym „Sztandarze Młodych”. Jak na początek listopada nadal było ciepło, temperatura dochodziła do dziesięciu stopni. Miał na sobie dżinsy, brązowe mokasyny, sweter i oliwkową kurtkę z dużymi kieszeniami, która mogła przypominać te noszone w czasie wojny przez żołnierzy amerykańskich.

Dotknął delikatnie bujnej czarnej brody, a potem odgarnął na bok długie włosy. Za nim lśnił biały budynek Pałacu Kazimierzowskiego, siedziba władz Uniwersytetu Warszawskiego. W pobliskich krzakach leżały butelki i śmieci. Widać, że to miejsce często odwiedzali miłośnicy spożywania alkoholu pod chmurką.

Antoni patrzył w jakiś niewidzialny punkt przed sobą. Nagle odwrócił głowę w prawo i zaczął intensywnie pocierać rękę o rękę. „Zamach. To był zamach! Broń, nasza broń!” – powtarzał w myślach.

Anka Osińska szła po schodach od ulicy Oboźnej, gdy zobaczyła go w oddali. Zwróciła uwagę na jego nienaturalną sylwetkę. Nazbyt sztywną. Gdy lekko ślizgając się na mokrej trawie, zmierzała do niego na ukos przez park, zauważyła też jego dziwną gestykulację. Przez cały czas dłonią pocierał brodę.

Nie widział jej, gdy z boku podeszła i z uśmiechem rzuciła:

– Cześć, Antek!

Ten gwałtownie się odwrócił. Dostrzegła w jego oczach zaskoczenie.

– To ty, Anka?!

Wstał. Przywitał się i sięgnął po gazetę, która leżała na ławce.

– Patrz! – Wskazał wzburzony na czarno-białe zdjęcie doszczętnie spalonego samolotu Antonow An-24 w barwach PLL LOT, który dzień wcześniej, lecąc z Warszawy do Rzeszowa, rozbił się na polach we wsi Biało-brzegi koło Łańcuta. Zginęła jedna osoba, a dziewiętnaście zostało rannych.

– To nie mógł być przypadek!

– Co ty opowiadasz? A skąd możesz to wiedzieć?

– Mówili mi. Słyszałem...

– Kto ci mówił?

– No, nie mogę ci powiedzieć... To tajemnica. – Wzrok Antoniego błędził gdzieś w oddali, jakby ponownie szukał jakiegoś stałego punktu zaczepienia. – Ale ja to wiem... Tak samo było kiedyś w Bułgarii...

Anka poprawiła opadające na czoło włosy, a pozostałe zebrała z tyłu i związała frotką.

– No dobra. Mniejsza o to. Ale nie o tym chciałam z tobą rozmawiać. Szukałam cię.

– No właśnie, mówili mi. A po co mnie szukałaś? Przecież wiesz, że nie śpię w domu.

– Dlaczego? Co się stało?!

– No przecież wiesz, że mnie obserwują...

– Skąd? Nie wiedziałam! A kto cię obserwuje?

– No, oni! Przecież wiesz!

– O czym ty mówisz?

– Chodzą za mną. Dlatego ostatnie dwie noce spałem u Bartka na Morach, a wcześniej u Zbyszka na Gołąbkach i u Hani w Ursusie. Było ciężko, bo... musiałem przedzierać się do nich przez pola, aby nikt mnie nie zobaczył.

– Antek. Nie wiem, kto za tobą chodzi, ale ja ciebie szukałam na polecenie Komitetu Prymasowskiego. Chcą, abyś reprezentował Komitet Walczący w planowanych obradach Okrągłego Stołu.

– Tak myślisz, że będę dobrym kandydatem?

– Antek, chłopie, pomyśl! Nie ja myślę, tylko Komitet Prymasowski zaproponował!

– A co ty na to? Chyba możesz mi doradzić?! – Sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał, co do niego mówi Anka.

– No wiesz, jesteś jednym z twórców KW. Napisałeś jego program, zorganizowałeś ogniwa terenowe, masz wydawnictwo i grono wiernych zwolenników. Poza tym od lat działasz w podziemiu. Widzą cię przy tych obradach, po prostu mają do ciebie zaufanie...

– Ale z nimi nie można się dogadywać?

– Z kim? Komunistami?

– Tak! Ich trzeba zwalczać. Wyplenić z Polski. Do nich trzeba strzelać!

– Na rany Chrystusa! Antek! Co się z tobą dzieje? Chcesz być taki jak oni?!

W tym momencie stał się jakby nieobecny. Sprawiał wrażenie, że zbiera myśli albo coś intensywnie analizuje. Przesuwał wzrokiem, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Zapomniał o koleżance.

– Antek. Słuchaj mnie! – Chwyliła go za rękę.

– Tak? Czego ty ode mnie chcesz? – W jego oczach ponownie pojawiło się zdziwienie.

– Co mam im odpowiedzieć?

– Nie wiem. Zaskoczyłaś mnie tą propozycją. Zastanowię się. Muszę to wszystko uzgodnić. To nie jest takie proste.

– Dobra. Zróbmy tak. Idź do siebie do domu i prześpij się, bo jesteś jakiś rozkojarzony. Jutro do ciebie wpadnę. W porządku?

– Co? A tak! Dobrze.

Anka bez słowa odeszła. Odczekał chwilę i ruszył za nią w pewnej odległości. Szedł w górę Oboźną. Na początku wstąpił do baru mlecznego na Krakowskim Przedmieściu, nazywanego potocznie przez studentów Karaluchem. Zjadł omlet z czterech jaj na słodko z dżemem. Potem ruszył w kierunku Świętokrzyskiej. Wszedł do apteki, aby wykupić leki. Z plastikowego pudełka wyjął jedną pastylkę i poprosił farmaceutkę o wodę. Dostał szklankę i na miejscu popił lek. Skrzywił się, gdy go przełykał.

Przyglądził długie, rozwiane przez jesienny wiatr włosy. Założył przeciwsłoneczne okulary w metalowej oprawie, z trójkolorową naklejką *Italy*, kupione niedawno na Różycu, i ruszył w kierunku Marszałkowskiej. Po chwili przystanął przy witrynie księgarni. Wszedł do środka. Stał przy regale pod oknem, wziął z półki książkę i zaczął obserwować ulicę.

– Chyba ich nie ma – mruknął pod nosem.

Wyszedł na zewnątrz. Rozejrzał się i powoli przeszedł na drugą stronę ulicy. Wszedł do narożnego budynku Poczty Głównej i skierował się do rozmównic telefonicznych. Zamknął się w kabinie. Do automatu wrzucił monetę pięciozłotową, na tarczy wybrał numer kierunkowy do Rzeszowa. Dzwonił do inżyniera mechanika z warsztatów lotniczych Politechniki Rzeszowskiej, który był lokalnym szefem struktur Komitetu Walczącego.

– Ryszard? Tu Antek. Powiedz mi, czy ktoś zabierał coś z tych skrzyń, które są u ciebie?

Słuchał uważnie, co mówił rozmówca.

– Jesteś pewien? Nieruszane? Dobra. Rysiu, a co się mówi u was o tym zamachu? Jak do tego mogło dojść? Nic nie słyszałeś?! No na ten

samolot koło Łańcuta, co się spalił na ziemi! – W tej samej chwili odłożył gwałtownie słuchawkę, jakby przestraszył się swoich słów.

Wyszedł z rozmównicy. Przystanął i zaczął się intensywnie rozglądać po sali, załatwiających swoje sprawy osobach, okienkach i kobietach w granatowych fartuchach siedzących za nimi. Nikt nie wpadł mu szczególnie w oko. Stał tak przez chwilę i tylko tarł czoło. Odwrócił się i wszedł ponownie do kabiny. Do szczeliny aparatu wrzucił kolejną monetę.

Wykręcił numer i spokojnym głosem powiedział:

– Piotruś?! Wpadnij do mnie za pół godziny. Tak, będę w mieszkaniu.
– Odłożył słuchawkę.

Opuścił budynek poczty. Patrzył na osoby, które za nim szły, które go wymijały, nawet na te, które stały gdzieś daleko. Starał się wyłapać obserwujących go. Potem przeszedł przez Marszałkowską i Świętokrzyską. Podbiegł do autobusu, który jechał w kierunku ronda Daszyńskiego. Na przystanku przy rondzie wyskoczył z autobusu, znowu podbiegł i tuż przed zamknięciem drzwi wskoczył do czerwonego tramwaju. Dojechał do placu Narutowicza. Wsiadł. Przyspieszył kroku. Przeszedł przez jezdnię i wszedł szybko do bloku przy Grójeckiej. Wbiegł po dwa stopnie na drugie piętro.

Przed otwarciem drzwi do swojego mieszkania nachylił się do szczeliny pod nimi. Ostrzem agrafki wyjął z niej kawałeczek zaschniętej farby olejnej z lamperii, który włożył kilka dni temu, aby sprawdzić, czy ktoś ich nie otwierał.

Kawałek farby był na miejscu. Miał pewność, że nikt nie wszedł do mieszkania. I to go zdziwiło. Od kilku dni żył bowiem w przekonaniu, że polska bezpieka przez cały czas go obserwuje.

W mieszkaniu panował ogólny bałagan, dawno nikt w nim nie sprzątał. W powietrzu unosił się kwaśny zapach stęchlizny. W przedpokoju, na którego ścianie wisiał wyblakły plakat z filmu *Stawiam na Tolka Banana*, stały kartonowe pudła z ubraniami, butami oraz różnymi broszurami. Te ostatnie były sprzedawane przez jego ludzi przy wejściach do kościołów.

Nagle usłyszał terkocący dźwięk dzwonka elektrycznego. Spojrzał przez wizjer. Otworzył drzwi.

– Zapraszam, Piotr. Serwus. – Ucisnął dłoń zaufanemu chłopakowi, który zajmował się koordynacją kolportażu pism Komitetu Walczącego.

Piotr Sewkowicz miał na sobie brytyjską bluzę, którą nosili także żołnierze Drugiego Korpusu Polskiego. W klapę wpiął metalowego orła w koronie oraz kilka plaketek z papieżem. Wyglądał jak weteran niemal

wszystkich pielgrzymek do kraju Jana Pawła II. Na nosie miał czarne rogowe okulary z grubymi szklami, co wskazywało na dużą wadę wzroku, a jego twarz okalały wąsy połączone z bokobrodami, modne za sprawą lidera zespołu Motorhead.

– Od kilku dni cię szukałem. – Piotr uważnie spojrzął na Antoniego.

– Aaa, to? Musiałem na kilka dni zniknąć. Szukali mnie. No wiesz, bezpieczeństwa.

– No jasne! Nie pierwszy to przecież raz... – Sewkowicz uśmiechnął się, ale jego wyraz twarzy przypominał bardziej grymas po zjedzeniu plastra cytryny. – Zdrowy jesteś, bo wyglądasz jakoś niewyraźnie?

– Wszystko w porządku.

– Dobrze, że wreszcie jesteś, Antek, bo muszę wziąć od ciebie trochę książek.

Podszedł do wielkiego pudła, nachylił się i zaczął z niego wyjmować szare, wydrukowane na powielaczu publikacje: *Jak rozpoznać żyda* z wielką gwiazdą Dawida i twarzą przypominającą Tadeusza Mazowieckiego na okładce oraz *Spisek masonów, żydów i żydokomuny* z rysunkiem, który do złudzenia przypominał plakat niemieckiego antysemitckiego filmu propagandowego *Żyd Suss*.

– Podrzucę je pod uniwersytet, pod Święty Krzyż i Świętą Annę. Skończyły się – zakomunikował.

– Piotrek. Mam dla ciebie pilne zadanie. Musisz się skontaktować z naszymi ludźmi w Szczecinie. Niech wyciągną ze skrytki w stoczni skrzynię z bronią. Wiesz, o co chodzi? Niech ją wyczyszczą, bo niedługo może się nam przydać.

Sewkowicz powoli się wyprostował, uważnie spojrzął na Antoniego.

– A do czego? – zapytał cicho.

– Nie słyszałeś, co mówili w *Głosie Ameryki*? NRD napadła na naszych marynarzy w Zatoce Pomorskiej. Chodzi o granicę. No, Niemcy nas napadli! Podobno doszło nawet do wymiany ognia – natarł ostro na współpracownika.

– No i...?

– Musimy się bronić. Już przecież zestrzelili nasz samolot pod Łańcutem? Nie rozumiem, w jakim ty świecie żyjesz?

– O jakim ty samolocie mówisz?

– *Dunajec*. Lotowski antonow.

– Aaa, ten? Antek, ale to był chyba wypadek lotniczy.

– Ja tam swoje wiem. – Machnął ręką. – Oni już mi powiedzieli, chociaż nie będą się chcieli do tego przyznać. To był zamach. Piotrek, słyszysz... tak samo jak w Bułgarii na ten samolot, co nim lecieli kolarze, dziesięć lat temu. – Ściszył głos.

– Tak, tak. Rozumiem. Słuchaj, Anka cię szukała. – Sewkowicz celowo zmienił temat rozmowy. Nie rozumiał, o co koledze chodzi.

– Tak? Ktoś mi już o tym mówił. – Zaczął masować czoło.

– Antek, ty jesteś zdrowy?

– Ze mną wszystko w porządku. Tylko głowa trochę mnie boli. Ale mam już lekarstwo.

– No dobra, to ja już pójdę. Pamiętaj, biorę książki. Potem się z nich rozliczę. – Piotrek wyjął z kieszeni kurtki niebieską kopertę i położył ją na stoliku. – To tygodniowy utarg z naszych stoisk. W środku jest kartka, co i za ile poszło. W sumie jest nieźle. Ponad pięćdziesiąt tysięcy. To cześć!

Sewkowicz podszedł do drzwi. Odwrócił się jednak jeszcze przed naciśnięciem klamki. Dyskretnie spojrzął na swojego szefa. Ten stał przy oknie i zza firanki spoglądał na samochody przejeżdżające Grójecką. Szukał wzrokiem czegoś po drugiej stronie jezdni.

Antek posługiwał się pseudonimem Cichociemny znanym tylko członkom organizacji. Pod koniec sierpnia brał udział w strajku w Hucie Stalowa Wola. Pojechał tam, bo w zakładzie oprócz podziemnej Solidarności prężnie działał Komitet Walczący. Na strajku okupacyjnym spędził tydzień. Wykorzystał ten czas do promowania bezkompromisowego stanowiska swojej organizacji wobec władz. W czasie wystąpień jako jeden z liderów KW podkreślał konieczność siłowego odsunięcia od władzy komunistów. Nawoływał do bojkotu telewizji, do organizowania wystąpień ulicznych przeciwko władzy. Jego zdaniem należało dążyć do fizycznego wyeliminowania z życia publicznego działaczy PZPR, funkcjonariuszy milicji i Służby Bezpieczeństwa.

Komitet Walczący miał w całym kraju kilkanaście dobrze zakonspirowanych komórek oraz około stu pięćdziesięciu aktywnych i oddanych sprawie działaczy. Organizacja szczyła się tym, że nigdy nie dała się zinfiltrować przez Służbę Bezpieczeństwa, bo prowadziła działania kontrwywiadowcze i w przeciwieństwie do innych podziemnych struktur przywódcy ukrywali się pod pseudonimami. Nie ujawniali się.

Kilka lat wcześniej, po otrzymaniu rysunków technicznych, zaprzysiężony rusznikarz z Wybrzeża w ścisłej tajemnicy wykonał prototyp kopii

amerykańskiego pistoletu maszynowego M3. Po przestrzeleniu wyprodukowano ponad dwadzieścia sztuk tej broni. Skrzynie z nimi zostały ukryte w Gdańsku, Szczecinie, Rzeszowie i Wrocławiu. Jednak organizacja była w stanie w każdej chwili ruszyć z większą produkcją.

Niektórzy członkowie KW zastanawiali się, skąd pochodziły pieniądze na ich działalność. Wtedy Antek tłumaczył wątpiącym, że dochody czerpane są głównie ze sprzedaży podziemnych wydawnictw. Zawsze podpierał się argumentem, że sieć ich drukarni jest tak zakamuflowana, że nigdy nie zdarzyła im się wpadka.

Teraz zastanawiał się, czy wykorzystanie tłącego się konfliktu granicznego Polski z NRD i niewyjaśnionej katastrofy samolotu nie jest za bardzo na wyrost. Wyczuwał, że wszelkie animozje polsko-niemieckie można świetnie wykorzystać do siania zamętu w Polsce. Przynajmniej tak zakładał Antoni.

* * *

Następnego dnia Anka jak zawsze weszła do mieszkania Antka bez pukania. On sam nie był tym zbyt zaskoczony. W końcu znali się prawie dziesięć lat.

Osińska kilka lat temu wyszła za mąż za Pawła Kozłowskiego, ten jednak w 1985 roku wyjechał z Polski do Włoch i został tam na stałe. Pracował na budowie w Neapolu. Od tamtego czasu się nie widzieli. Nie mieli dzieci, więc łączące ich więzi z każdym miesiącem słabły. Antek był jej powiernikiem, trzymali się razem, ale była to tylko przyjaźń. Nic więcej. Anka współpracowała z Komitetem Prymasowskim, dzięki czemu do tej kościelnej organizacji charytatywnej wspierającej represjonowanych działaczy podziemia wprowadziła kilku współpracowników KW.

– Co tam, panie, ciekawego było ostatnio w Hali Mirowskiej? – zaczęła go żartobliwie.

– Aaa, mówisz o żelaznej premier i jej zakupach!

– A o czym?! Jadłeś już śniadanie?

– Nie. A myślisz, że ona nam pomoże?

– Thatcher? Na pewno. Zrobię ci jajecznicę – wypaliła nagle.

Widziała, że Antek jest w lepszej kondycji niż dzień wcześniej.

– Okej, a ja wykąpię się w tym czasie.

Po kilkunastu minutach siedzieli przy białym stoliku w malutkiej kuchni bez okien. Na desce stała gorąca patelnia z jajkami posypanymi świeżym szczypiorkiem i pieprzem. Antek zrobił kawę zbożową Inka i pokroił chleb.

– Powiedz mi, czy z tobą wszystko w porządku.

– Zdecydowanie. Wyspałem się, czuję się doskonale. A czemu pytasz, Aniu?

– Bo wczoraj nie było fajnie.

– Tak? Przesadzasz. Po prostu miałem gorszy dzień. Każdemu się to zdarza. – Jego wzrok powędrował w dół.

– A pamiętasz, o czym rozmawialiśmy?

– No... o zamachu na polski samolot? O konflikcie w Zatoce Pomorskiej z NRD? Coś jeszcze? Przypomnij mi, proszę. – Antek spojrzał w bok, jakby zbierał myśli.

– Co ty opowiadasz? Jakie to ma dla nas znaczenie? Pytałam cię, czy weźmiesz udział w obradach Okrągłego Stołu. Trwają na ten temat rozmowy w Magdalence. Wiesz, że Kościół w nich pośredniczy. I stąd pytanie od biskupa Orszulika, czy ty też w nim weźmiesz udział jako reprezentant KW? Może w stoliku społecznym lub politycznym?

– Dobrze, dobrze. Pamiętam. – Westchnął. – Znasz moje zdanie, że trzeba być twardym, bezkompromisowym, a takie działanie może być odczytane jako zdrada ideałów organizacji czy zgniły kompromis, ale... – Przerwał i sięgnął po kubek parującej kawy.

– Ale?

– Trzeba też uczestniczyć w wydarzeniach, które mogą być przełomowe. Widzieć je od środka, a potem korzystać z profitów. Poznać przeciwnika, z którym się walczy, wykorzystać jego słabości.

– A zatem?

– Przekaż, że Cichociemny weźmie w nich udział.

– Z pobudek czysto koniunkturalnych? – Anka uważnie patrzyła na mężczyznę.

– Może i tak. Ale jakby coś, to pamiętaj, niczego nie podpiszę. Mogę się wycofać w każdej chwili. Barykady i ulice będą nasze.

Anka dopiła kawę, podniosła się, cmoknęła go w policzek i wyszła. W drzwiach minęła się z Sewkowiczem.

– O cześć, piękna! Widzę, że znalazłaś zgubę. – Uśmiechnął się do niej.

– Tak. Do zobaczenia.

– Co znowu? Po książki? – Antek spojrział na kolegę.

– A zgadłeś. Jest chyba jakieś wzmoczenie polityczne w narodzie, bo biorą wszystko na pniu. Nie boją się już niczego, a i milicja nas nie gania, lepsza atmosfera dla biznesu. A ten się coraz lepiej kręci.

Piotr sięgnął do paczki z kolejnymi książkami. Tym razem wyjął plik broszur o żołnierzach, którzy po wojnie walczyli z komunistami.

– Trzeba uświadamiać naród i uczyć go prawdziwej historii – powiedział.

– Piotrek, usiądź koło mnie. Chcesz kawy?

– Chętnie.

– Ale zbożowa!

Antek podszedł do kuchenki elektrycznej i ustawił na niej aluminiowy czajnik z wodą. Nasypał do szklanki dwie łyżeczki kawy.

– Słuchaj. Musimy wydrukować ulotki na jedenastego listopada. Przypomnieć historię sprzed siedemdziesięciu lat i pokazać analogię do tego, co czeka nas w tej chwili, bo zbliża się moment odzyskania niepodległości.

– Nie ma problemu. Tekst napisze ten historyk z Uniwerku. Chłopaki z drukarni mogą zacząć działać w każdej chwili. Są pod parą. Papieru mamy pod dostatkiem.

– Ale to nie wszystko. Musisz przygotować dwadzieścia butelek z benzyną.

– Koktajle Mołotowa?

– Tak.

– Po co? Ma być pokojowo. Przewodnia siła narodu przecież rozluźnia kajdany. Widać, że się wycofują. Może są gotowi nawet podzielić się władzą?

– Myślisz? A ja uważam, że trzeba podpalić ulicę. Proponuję zacząć na przykład od spalenia biura Aerofłotu w Alejach Jerozolimskich.

– Po co?

– Żeby zerwać ten kruchy rozejm. Wyostrzyć nastroje, a potem dać im solidnego kopa w czerwoną dupę.

– Antek, nie za ostro?

– Piotrek. Zrozum. Nie może dojść do kompromisu. Musimy dążyć do prawdziwego starcia. Czystki. Rewolucji! Niech poleje się krew, to jedyny sposób oczyszczenia Polski z wrogięgo, komunistycznego pomiotu.

A potem rozwalimy ich państwo. – Kiedy to mówił, w jego oczach pojawił się jakiś błysk.

– Polskę?

– Ach, nie! Polskę Ludową! A później oczyścimy ją z kolaborantów. Nikt, kto z nimi współpracował, nigdy nie poczuje się bezpieczny. Wszystkich współpracowników bezpieki ujawnimy i skażemy. Prawda zatriumfuje! – rzucił z satysfakcją.

Sewkowicz milczał, patrząc na niego uważnie.

* * *

Z kraju i ze świata. Jak informuje korespondent Polskiej Agencji Prasowej w Sztokholmie, w dniu wczorajszym nad ranem na wodach terytorialnych Szwecji doszło do tragicznego wypadku. W czasie powrotu do swojej kabiny z pasażersko-samochodowego promu Rogalin, płynącego na trasie Świnoujście–Malmö, wypadły dwie obywatelki Polski: Hanna Dragun i Anna Dragun. Matka i córka uczestniczyły w wycieczce Biura Podróży i Turystyki Almatour po Skandynawii. Feralną noc spędziły na dyskoteci i w kafeterii. Naocznymi świadkami zdarzenia były dwie brytyjskie siostry bawiące się z narzeczonymi na tej samej dyskoteci. Jak mówi korespondentowi PAP szef portowej Polisstation w Malmö, Caroline G. i Isabelle G. nie poinformowały załogi promu o zdarzeniu, ponieważ twierdziły, że były jak większość uczestników zabawy w stanie upojenia alkoholowego. Sprawa śmierci Polek pozostaje w kręgu zainteresowania Konsulatu PRL w Malmö. Prosi się wszystkich świadków zdarzenia o kontakt z najbliższym Urzędem Spraw Wewnętrznych w Polsce... Ciąg dalszy informacji... Nie milkną zagraniczne echa trwającej wciąż wizyty w Polsce premier Margaret Thatcher. Jak donosi agencja Reutersa...

Generał przekręcił gałkę i wyłączył radio. Poprawił zieloną bonzurkę. Wziął ze stolika szklankę herbaty. Poprawił okulary na nosie. Podniósł słuchawkę telefonu:

– Proszę natychmiast połączyć mnie z ministrem Kiszczakiem!

Po chwili oczekiwania dodał:

– Czesław? Żona i córka Romana dotarły do Szwecji. – Odłożył słuchawkę.

Rozdział 29

Irak – jesień 1998 roku

Srebrne mitsubishi pajero minęło bagdadzki most na Tygryście. Nie mógł za bardzo zwolnić, aby nie zwrócić na siebie uwagi irackich żołnierzy oraz kręcących się przy wjeździe do strzeżonej strefy funkcjonariuszy Al-Muchabratu. Chociaż miał mocne dokumenty potwierdzające, że jest mile widziany w Iraku, nie chciał się rzucać w oczy przypadkowym funkcjonariuszom irackiej bezpieki.

Jadąc wzdłuż willowych zabudowań, dotarł do hotelu Al-Rasheed. Samochód wolno wtoczył się na parking. José zatrzymał go, ale nie wyłączył silnika. Miał jeszcze czas do planowanego spotkania z łącznikiem. Zaczął się wsłuchiwać w miarowy dźwięk motoru i szum klimatyzacji. Pomimo że była już jesień, ciągle panował upał. W Iraku przebywał już ponad dwa miesiące.

Przed wejściem jak zawsze panował ruch. Na marmurowej podłodze ułożona była mozaika przedstawiająca twarz prezydenta USA George'a Busha. José niedawno zwrócił uwagę, jak wchodzący na przyjęcie w hotelu szef Sekcji Interesów Amerykańskich ostentacyjnie ją ominął. On jednak nie miał problemu z deptaniem prezydenta. Stanął nawet przez moment na jego czole, przepuszczając wychodzącego szybko mężczyznę. Wszedł do lobby. Rozejrzał się i skierował się do baru. Zamówił herbatę z kardamonem i zaczął lustrować otoczenie. Wtedy o kawę poprosił młody wysoki mężczyzna w granatowej sportowej marynarce. Na ramieniu przewieszony miał czarno-zielony plecak turystyczny.

– Pan z Polski? – zapytał José.

– Tak! – Mężczyzna nie ukrywał zdziwienia. – Co, zdradził mnie akcent? – dodał.

– Niezupełnie. Nazywam się José. Z pochodzenia jestem Polakiem.

– Marcin Łodyna. Ambasada polska w Bagdadzie. – Wyjął wizytówkę i wręczył Josému. Ten spojrzał na nią, uśmiechnął się i schował do kieszeni. W rewanżu ze skórzanego portfela wysunął biały kartonik i dał go Polakowi.

– Kamienie szlachetne. To nie UNSCOM. Ciekawe.

– Nie, nie. Nie pracuję u Richarda Butlera. A paszport mam brazylijski.

– Może usiądziemy na chwilę. Wprawdzie alkoholu tu nie podają... A nie znam tu żadnego kelnera, żeby nam nalał coś, co mam w plecaku.

Polak uśmiechnął się porozumiewawczo. Obaj podnieśli małe szklane czarki z herbatą do ust.

– Widzę, że pan zorientowany w obyczajach panujących w Iraku.

– Trochę. Jestem tu dopiero od kilku miesięcy. Czym się zajmuje w Iraku przedstawiciel takiej firmy? Irak jest rynkiem na brylanty? Chyba tylko Saddam może sobie na nie pozwolić, ludzie z jego otoczenia i synowie?!

– Zdziwiłby się pan. Może tego nie widać, ale ludzie mają tutaj sporo pieniędzy. Choć się z tym nie obnoszą. Muszę zabrać pana w jakiś piątek czy sobotę na giełdę starych dywanów. Zobaczysz pan, jak wysokie są licytacje. Nawet do poziomu dwudziestu, trzydziestu tysięcy dolarów.

– Bardzo chętnie. Tylko proszę do mnie zatelefonować wcześniej, bo wyjeżdżam z kolegami w weekendy. Mamy deskę windsurfingową i pływamy czasem po jeziorze Razaza. W innych miejscach nie zawsze możemy. Pan rozumie... Na jezioro Tartar Muchabarat nas nie wpuszcza.

– Zaciekawiał mnie pan. A skąd deska w Bagdadzie?

– Długa historia. Cóż, Włosi zostawili ją w ambasadzie. To ja uciekam, panie José. I jesteśmy w kontakcie. Do widzenia.

Podali sobie ręce. Łodyna zarzucił plecak na ramię i szybkim krokiem wyszedł z baru. José odprowadził go wzrokiem. Dopiero wtedy skojarzył: „To ten, jak mu tam... Oskar. Polak. Inspektor z UNSCOM!”.

Popatrzył na zegarek. Osiemnasta. Ruszył do windy. Wjechał na piąte piętro, skręcił w prawo. Włożył klucz do zamka. Wszedł do środka. Na jednym z miękkich foteli siedział czterdziestolatek o owalnej twarzy, jasne włosy ledwo przykrywały mu wyraźną łysinę. Na jego szyi zauważył różową szramę wchodzącą na policzek. Przed nim na rzeźbionym drewnianym stoliku leżało kilka kolorowych pism. Wśród nich to, które było znakiem rozpoznawczym. Magazyn muzyczny „Brazil” z marca tego roku.

– Dobry wieczór – powiedział po angielsku.

– Dobry wieczór – odrzekł José.

– Czy interesy jubilerskie w Iraku idą pomyślnie?

– Tak. Szczególnie jeśli chodzi o biżuterię antyczną. Tu mam wszelkie szczegóły – odparł umówionym hasłem.

Położył na stole starą kopertę z naklejonym w rogu zielono-żółtym znaczkiem wartości pięciu fiłsów, przedstawiającym szyb naftowy i rurociąg. Pod spodem był napis: *Republic of Iraq. Sixt Arab Petroleum Congress, Baghdad, March 1967.*

Popatrzył badawczo na siedzącego w fotelu mężczyznę. Ten wziął do ręki kopertę – znak rozpoznawczy, obejrzał ją, przyjrzał się znaczkowi. Przymknął.

– I dołączam coś jeszcze. – José położył na stoliku drugą kopertę, zwykłą, białą. – Tam jest też wizytówka pewnego Polaka. Spotkałem go przed chwilą. Raczej wykluczam przypadek. Na odwrocie napisałem, kogo jeszcze zauważyłem. Przypomnę tylko, że Polacy mają tu świetne rozeznanie. Dziesiątki tysięcy polskich robotników i inżynierów latami budowało autostrady, mosty, cukrownie i cementownie.

Mężczyzna wziął białą kopertę i wyjął z niej wizytówkę polskiego dyplomaty. Odwrócił ją. Pokiwał głową.

– Tak. Oceniamy, że Polacy w Iraku prowadzą pełnoskalowe działania wywiadowcze z wykorzystaniem wszelkich narzędzi, od działań agenturalnych z użyciem zaawansowanych technologicznie środków łączności po różne operacje specjalne czy działania wywiadowczo-techniczne. Niestety, trochę nam się wyrwali spod kontroli. Już pod koniec lat osiemdziesiątych kontakt z nimi był dość ograniczony. Ich ówczesny szef zabronił utrzymywać jakiegokolwiek relacje z naszymi oficerami przebywającymi w Polsce. Trzeba na nich uważać. Rozumiem, że w środku jest wszystko, o co prosiliśmy?

– Tak. Ale...

Łącznik spojrział badawczym wzrokiem na gościa.

– Zastanówcie się, czy jest sens tej pokazówki z miejscowymi. Zrezygnowałbym z tego. Znam ich dobrze, efekt może być zupełnie inny, nie muszą się wystraszyć. Przekaż dalej moją ocenę.

Nad licznymi palmami w oddali majaczyły dwa zakrzywione miecze łuku triumfalnego, obok zaś owalny dach mauzoleum ofiar wojny iracko-irańskiej, a z prawej strony w oddali niebieska kula wieży telewizyjnej na Mansurze. W dole pod budynkiem mieniła się niebieska tafla hotelowego basenu. Gdy José podziwiał panoramę miasta w promieniach zachodzącego słońca, mężczyzna przeglądał jego notatki.

– Świetnie – odparł po kilkunastu minutach. – Co do tej zagrywki, to już jest decyzja. Musimy im trochę nosa przytrzeć. Jutro realizacja. Bądź na

miejscu. A pojutrze ruszamy – dodał z nutą zadowolenia człowiek z blizną.

José popatrzył na niego uważnie. Zmrużył oczy. Mężczyzna miał na sobie szary dwurzędowy garnitur i skórzane brązowe buty. Lekko pociągła twarz była opalona i gładko ogolona oraz lekko natłuszczona kremem. Czuć było od niego delikatny zapach męskich perfum. José przyglądał się delikatnie gęste siwe włosy.

– A ekipa na wyjazd pojutrze gotowa? – spytał łącznik.

– Tak. Dostaniemy wsparcie – odpowiedział pewnie José.

– W porządku. A kierowcy?

– Zgodnie z planem sami Irakijczycy.

Łącznik pokiwał głową, a po chwili zapytał:

– Gdzie zatrzymacie się przed granicą syryjską?

– Jeszcze nie zdecydowałem – skłamał José, nie chciał teraz przekazywać szczegółów operacji.

Drażniły go takie pytania zadawane w pokoju hotelowym, w którym mógł być zainstalowany podsłuch. Pierwszy raz spotkał tego łącznika. Nie wzbudził jego zaufania.

– Aha. Czy to pewne, że na granicy będą ci inspektorzy? Może lepiej przebić się przez jakąś dziurę na granicy jordańskiej i potem do Syrii? Bo kierunek turecki odpada, jak rozumiem – rozważał łącznik.

– Posłuchaj. Jeśli dobrze pamiętam, Turcję wybrali kiedyś Polacy, gdy tych z CIA wywozili. I nie wybrali wtedy z jakichś przyczyn naturalnego kierunku jordańskiego. To coś znaczy, nie uważasz?

– No tak. A wracając do inspektorów ONZ. Oni są pewni? – drażzył łącznik.

– Sporo dostali, żeby być na granicy i żeby w tym czasie nie było tam Polaków z tym... całym Oskarem czy innych z Europy.

– Doskonale. – Łącznik poprawił się w fotelu.

– Czas na mnie.

– Życzę miłego wieczoru.

José zszedł na parter i wszedł do samochodu. Minął z lewej *Zawraa Park*, przejechał most na Tygrysie i skręcił w aleję Al-Raseed. Zawrócił na Mansour, do niewielkiego hotelu, w którym mieszkał.

* * *

Następnego dnia po południu, zmierzając Damascus Street w kierunku mostu, ciągle rozmyślał o Polaku spotkanym w Al-Rasheed. Podświadomie czuł do niego dziwną sympatię. Może zobaczył w nim odbicie samego siebie sprzed wielu lat? Pojechał do dzielnicy Karrada, gdzie znajdowały się polska ambasada oraz Sekcja Interesów Amerykańskich.

Po ponadczterdziestominutowym przedzieraniu się przez korki pajero wjechało na Wathiq Square. Był przy sklepie *Honey Market*. Zatrzymał się na placu niedaleko jego wejścia. Miał jeszcze pół godziny. Opuścił boczną szybę. Otworzył schowek i wyjął z niego czarną krótkofalówkę Alinco. Włączył ją. Ustawił częstotliwość. Sprawdził czas. Czekał na sygnał.

W końcu usłyszał ustalone hasło w języku niemieckim:

– *Bewegung!*

– *Verstanden!* – odpowiedział zgodnie z przyjętym systemem.

Po kilku minutach przy pajero zaparkował granatowy hyundai sonata. Niewysoki, szczupły kierowca wysiadł i przechodząc obok auta, przejechał dłonią po klapie silnika pokrytej popękany od irackiego słońca lakierem. Wszedł powoli do sklepu.

Nagle José usłyszał kobiecy krzyk w języku arabskim, który dobiegł z jego wnętrza. W tym momencie do środka wszedł mężczyzna, który trzymał w ręku kamerę wideo. Widać było, że coś nagrywa. Za nim podążyło trzech innych, mieli na sobie takie same opinające ich sylwetki garnitury. „Na razie idzie zgodnie z planem” – pomyślał José. Kiedy wydawało się, że trzech funkcjonariuszy irackiego Muchabratu wyprowadzi w kajdankach polskiego dyplomatę, który miał obmacywać Irakijkę, José zobaczył dwóch Europejczyków wchodzących do sklepu. Jednego rozpoznał. To był polski dyplomata, którego spotkał w hotelu. Drugi miał z sobą niewielką kamerę wiszącą na pasku na szyi.

Po chwili usłyszał krzyk po angielsku:

– *What is going on?! Who are you gentlemen?!* Stasiu, nagrywaj tych chujów. Zaraz zobaczymy.

„Jak on się nazywał? Łodyna! Tak, Marcin Łodyna!” – przypomniał sobie nazwisko. Gdy wyszedł ze sklepu, omiół wzrokiem okolice, spojrzął też w jego kierunku. Zatrzymał się na moment, jakby chciał mu się dokładniej przyjrzeć. Ich spojrzenia spotkały się na dłuższą chwilę.

„*Filho da puta!* Mówiłem: odpuścić! Mówiłem!” – zaklął José i uderzył kilka razy dłonią w kierownicę. Ruszył ostro spod *Honey Market*

w kierunku Masbah Street. Jadąc wzdłuż Tygrysu, usłyszał głos w krótkofalówce:

– *Nummer zwei abgesagt!*

„Odwołali jednak drugą akcję. Komu była potrzebna ta prowokacja”.

Nie podobał mu się pomysł wspólnego przedsięwzięcia z miejscowymi służbami. Tym bardziej że oparty był na prymitywnym założeniu i metodach działania, których celem miała być kompromitacja Polaków. Ale nie on podejmował decyzje.

Przejechał zjazd w boczną ulicę prowadzącą do obiektów dawnej ambasady amerykańskiej w Bagdadzie. Przycisnął pedał gazu i skierował się do głównej arterii dzielnicy Karrada. „Też bym tak zrobił jak on” – ponownie pomyślał o Polaku z Al-Rasheed. Po półgodzinie był u siebie. Poprosił właściciela hoteliku, aby na następny dzień przygotował około czterech kilogramów kotletów jagnięcych z kością, trzy pojemniki zimnych napojów i kupił pieczywo, warzywa oraz słone sery. Przypomniał mu, aby zapakował do samochodu grill z zapasem węgla drzewnego.

Zapalił cygaretkę i wyszedł na niewielki balkon. Analizował zebrane informacje. Następnego dnia czekała go długa droga. Mimo że na Bliskim Wschodzie operował od kilku lat, nie znosił irackiego krajobrazu, arabskiej mentalności, kultury, wpychającego się w każdy zakamarek kurzu.

Uśmiechnął się do siebie na wspomnienie obrazu, kiedy wychwytał w czasie jazdy do Karbali. Z białobłękitnego i nieco wiekowego forda runera wysiadły cztery kobiety w czarnych hidżabach. Odeszły kilkanaście metrów od pojazdu i przykucnęły. Żywiołowo rozmawiały, gestykulowały. Po kilku minutach zaczęły podsypywać piasek pod hidżaby. Domyślił się, co robiły.

Wypuszczając z ust szary dym, zastanawiał się nad sposobem dostarczenia kolejnej partii pieniędzy do kilku osób w Europie. Musiał jednak jeszcze poczekać, aż środki z paru transakcji w Nowym Jorku i Wiedniu spłyną na konto jego firmy. Ocknął się, gdy poczuł intensywny zapach grillowanej jagnięciny. „Kolacja gotowa” – pomyślał i zgasił cygaretkę.

* * *

Łodyna był zmęczony. Adrenalina już opadła. I wcale nie chodziło o silny wiatr i wysokie fale na jeziorze, które początkującym windsurferom utrudniały żeglowanie, a pod taką legendą pojechali nad jezioro, ale namierzenie

dwóch wyrzutni scudów. Ich przypuszczalne pozycje wskazali Polakom Amerykanie. A gdy już znaleźli się w pobliżu celu, nad jeziorem, w niedużej odległości od ich samochodów zaczęły wybuchać pociski artyleryjskie. Doskonale wiedzieli, że byli na pograniczu poligonu, ale nie spodziewali się, że Irakijczycy zdecydują się na tak ostre ostrzeżenie. Pociski rozrywały się w odległości stu metrów od ich aut, dlatego nie zostało im nic innego jak szybka ucieczka. Stres towarzyszył im w czasie całej drogi powrotnej do ambasady. Gdy już znaleźli się na miejscu, każdy z nich wlał w siebie sporą ilość whisky.

Łodyna spojrzął na zegarek. Do spotkania z agentem pozostawały jeszcze dwie godziny. Ahmad miał luźne związki z ambasadą, dostarczał zaopatrzenie, ale też pośredniczył w kontaktach z urzędami miejskimi. Ale też można było liczyć w sprawach czysto handlowych, że będzie wiedział, gdzie tanio kupić dywan, szablę ze stali damasceńskiej albo paradny pałasz dawnej irackiej Gwardii Królewskiej. Miał świetne kontakty w całym mieście, a do tego dobre układy w armii.

Łodyna i jego przełożony, rezydent wywiadu w Bagdadzie, zakładali, że Ahmad musi przekazywać Muchabaratowi informacje. Ale był szytą, przeszedł przez więzienie i tortury, w czasie których był rażony prądem i obcięto mu trzy palce, a to dlatego, że uczestniczył w powstaniu na południu kraju. Do Saddama i jego służb ciągle pałał nienawiścią. Ahmad stracił też młodszego brata, którego zakatowała bezpieka. Nie chciał nigdy przyjmować pieniędzy za swoje informacje, za to używaną lodówkę wypełnioną piwem przyjmował z zadowoleniem, chętnie też sprzedawał dywany bądź białą broń. Dzięki temu w czasie przesłuchania przez iracką bezpiekę mógł wyjaśnić, skąd ma pieniądze.

Łodyna czekał na informację o tajemniczym Brazylijczyku i jego aktywności w Iraku. Gdyby nie rozpoznał go pod *Honey Market* w czasie irackiej prowokacji, to nie zwróciłby na niego uwagi. Nie liczył tylko na irackiego informatora, ale przez Centralę UOP poprosił o przekazanie zapytania w jego sprawie do partnerów amerykańskich i brytyjskich.

Ahmad miał ze sobą do sprzedania prawie stuletnie wełnianojedwabne dywany modlitewne zwane beludżami, produkowane w Afganistanie.

– *Mister Marcin.* – Ahmad rozwinął dywany z tyłu ambasady, przy klombie z różami, gdzie przed laty mieścił się basen. – Ten José znany jest dobrze w Iraku. Pierwszy raz przybył jakoś jeszcze przed zakończeniem

wojny z Iranem. Prawdopodobnie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku. Przyjeżdża zwykle na miesiąc, dwa. Prowadzi rozległe interesy. Ale od niedawna pomaga mu pewien młody człowiek, obcokrajowiec.

– Kto to jest? Albo inaczej, na jakich papierach jest ten... jego człowiek? – Łodyna nachylił się nad dywanami.

– Federalnej Republiki Jugosławii, wystawionych na Jovana Spasojevicia.

– Ktoś jeszcze im pomaga?

– Jacyś Irakijczycy z okolic Nasiriji. Tak się dobrze składa, że znam brata jednego z nich. To były kierowca ciężarówki. Pracował kiedyś dla brazylijskiej firmy tego Joségo, ale to było jeszcze przed wojną w Zatoce. Stracił nogę w czasie wybuchu amerykańskiej bomby i jest inwalidą.

– I co z tym Josém, mój przyjacielu? – Łodyna odwrócił dywan na drugą stronę i zaczął badać jego splot.

– *Mister* Marcin. Kilka dni temu ten José zorganizował jakiś konwój. Parę ciężarówek. Trzy. Może cztery. Pojechali do Faludży, potem do Habbaniji. Byli w jakichś magazynach. Zabierali albo wyładowywali jakieś zielone beczki. Potem ruszyli w kierunku Al-Hadisy i dalej w kierunku granicy syryjskiej.

– Co oni z tych magazynów zabierali? Co było w tych beczkach?

– *Mister* Marcin. Nie wiem. Nie dopytywałem się. Wiem tylko, że obchodzili się z nimi bardzo ostrożnie. One miały jakieś dodatkowe żółte oznaczenia. Ci, co rozładowywali czy załadowywali ciężarówki, mieli maski przeciwgazowe.

– Jesteś tego pewien?

– *Mister*. Jestem.

– A jak myślisz? Po co oni się przed tą granicą zatrzymali?

– Może chcieli się ukryć czy coś.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo tam, *mister* Marcin, brzegi Eufratu są wysokie, wszędzie wąwozy. Nawet Amerykanie z satelitów niczego by nie zobaczyli.

– No dobra. Słuchaj, biorę dywan w najlepszym stanie. Ile chcesz?

– *Mister* Marcin, dobry wybór. Ma z osiemdziesiąt, może sto lat. Nie-dużo. Osiemdziesiąt dolarów.

* * *

– Marcin! Jest sprawa. – Szyfrant podszedł do Łodyny, gdy ten akurat prał na tyłach budynku ambasady kupiony kilka dni wcześniej od Ahmada dywan.

– Stasiu, coś w sprawie naszej wycieczki nad jezioro?

Szyfrant pokręcił głową.

– Szef go już widział?

– Tak. I dekretował na ciebie. Pilny! – dodał.

Weszli razem do punktu łączności. Pomieszczenie sprawiało przygnębiające wrażenie. Nie było w nim okien, znajdowały się tu tylko stół, szafa pancerna, na regałach stało kilka urządzeń do łączności, a także zasilacz awaryjny podtrzymujący napięcie w czasie licznych wyłączeń prądu, podłogę pokrywało zimne lastryko. Czuć było zaduch i wilgoć, mimo że klimatyzatory chodziły pełną parą.

– Marcin, zostawiam cię. Udanej lektury. – Stalowe drzwi zamknęły się na głucho.

Łodyna usiadł na krześle i zaczął czytać:

...w odpowiedzi na Pana ostatnią korespondencję w sprawie właściciela brazylijskiej firmy Overseas Brasil Logística Belo Horizonte. Partnerzy brytyjscy informują, że JH znany jest im od przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Z posiadanej dokumentacji wynika, że jego działalność odnotowywana była w Ameryce Południowej, Europie oraz od połowy lat osiemdziesiątych na Bliskim Wschodzie. Partnerzy wiążą go jednoznacznie z radzieckim/rosyjskim wywiadem. Nie wykluczają, że może być ważnym ogniwem w prowadzonej od lat zakrojonej na szeroką skalę operacji. Z posiadanych danych może wynikać, że JH odpowiada m.in. za pozyskiwanie funduszy z różnych źródeł spoza budżetu radzieckich/rosyjskich służb.

Partnerzy wyrażają uznanie i dziękują za przekazane informacje nt. JH. Będą wdzięczni za wszelkie dodatkowe dane.

Ponadto. Informujemy jednocześnie, że zainteresowani byli tym, czy przekazaliśmy również nasze zapytanie w sprawie JH do partnerów izraelskich. Nie podali jednak, dlaczego stawiają takie pytania. W najbliższym czasie podejmiemy próbę wyjaśnienia tego z partnerami brytyjskimi na jednym ze spotkań na wyższym szczeblu.

Łodyna odłożył kartkę z odszyfrowanym komunikatem. Założył dłonie za głowę i zarzucił nogi na metalowy stół. Zaczął bujać się na obrotowym krześle.

– José Hanser, kim ty jesteś? – szepnął pod nosem.

Rozdział 30

Kraków – wiosna 2016 roku

Peter Barylczyk rozpiął pasy i się rozluźnił. Chwilę wcześniej koła jego samolotu Diamond DA 42-VI delikatnie dotknęły betonowego pasa i maszyna potoczyła się obok zielonej wojskowej *Bryzy*. Dobiegający sześćdziesiątki mężczyzna zdjął okulary i słuchawki i spojrzał na swojego austriackiego pilota. Pokazał mu uniesiony kciuk i się uśmiechnął.

Na krakowskim lotnisku Balice ruch był niewielki. Peter po uchyleniu kabiny wysiadł z samolotu, otworzył tylne drzwi i ze skórzanej tapicerki fotela wziął marynarkę. Poprawił swoją śnieżnobiałą koszulę. Sięgnął do luku bagażowego, który znajdował się za tylną parą foteli, i zabrał z niego niewielką walizkę, a następnie drewniany kuferek, zabezpieczony metalowymi okuciami i zamkiem szyfrowym. Pożegnał się z pilotem, który powoli ruszył w kierunku miejsca na płycie postojowej.

Przy jednym z hangarów czekał na niego luksusowy lexus z kierowcą. Austriak podał mu swoje rzeczy, które ten szybko zapakował do bagażnika. Wsiadł do pojazdu.

– Muzeum Królewskie, *bitte*. Szybko, szybko, bo mało czasu – polecił niezgrabną, twardą polszczyzną.

Droga zajęła im pół godziny. Barylczyk nie zwracał uwagi na okolice. Wyjął tablet i przeczytał informacje, które przyszły do niego w czasie lotu z Wiednia. Mimo że lot dwusilnikowym odrzutowcem trwał zaledwie kilkadziesiąt minut, informacji było sporo. Potem ponownie przeczytał przemówienie, które napisała mu sekretarka. Miał mówić po polsku. Chciał, aby jego wypowiedź była płynna, bez zacięć. Bo i towarzystwo, które miało go wysłuchać, było wyjątkowe.

Przed Muzeum Królewskim, w starej części Krakowa, stała już kawalkada samochodów. Dominowały nowe, czarne bmw 750 i starsze mercedesy. Kręcili się też funkcjonariusze policji oraz BOR-u, bo na uroczystości miał być wicepremier Korycki. Przed solidnymi drewnianymi drzwiami stała hostessa ubrana w dwurzędową marynarkę w kratę oraz czerwone wąskie spodnie. W ręku trzymała tablet z listą gości. Sprawdziła jego nazwisko i uśmiechnęła się. – Witamy. Zapraszamy do środka. Proszę iść prosto po schodach, a następnie do sali po lewej stronie.

– Proszę pana, proszę tutaj do kontroli pirotechnicznej – wtrącił się niewysoki mężczyzna w granatowym garniturze, z małym znaczkiem z sokołem w klapie. – Bagaż proszę położyć tutaj. – Oficer BOR-u wskazał na podajnik prześwietlarki RTG Heimann.

Po chwili Peter przeszedł przez bramkę. Ponieważ zapaliła się czerwona sygnalizacja, został sprawdzony dodatkowo ręcznym wykrywaczem metalu.

Peter dotarł do sali niemal w ostatniej chwili. Przeszedł środkiem wzdłuż krzeseł, na których już siedzieli zaproszeni. Usiadł na miejscu oznaczonym kartką z jego nazwiskiem, w pierwszym rzędzie. Obok siedział wicepremier. Kurtuazyjnie uścisnęli sobie dłonie, chociaż nigdy wcześniej się nie spotkali. Peter nie wiedział, jak będą wyglądały jego relacje i interesy z nową władzą, która zaledwie od kilku miesięcy rządziła w Polsce. Podskórnie czuł jakąś niepewność, dlatego udział w tej uroczystości miał dla niego tak duże znaczenie. To był jego debiut na salonach zdominowanych przez zupełnie nowych polityków.

Okazja do spotkania była wyjątkowa. Po dwudziestu latach pełnienia funkcji dyrektora, po osiągnięciu siedemdziesiątego piątego roku życia, na emeryturę odchodził profesor Andrzej Kitter, który w zasadzie całe swoje życie poświęcił rozwijaniu Muzeum Królewskiego w Krakowie. Jego zasługi były wielkie, stawiano go obok autorytetów muzealnictwa, takich jak Jan Zachwatowicz, Stanisław Lorentz, Aleksander Gieysztor czy Andrzej Rottermund.

Po krótkim występie muzycznym Tomasza Rittersa, który zagrał na fortepianie Nokturn c-moll op. 48 numer 1 Fryderyka Chopina, zebranych przywitał odchodzący dyrektor. Następnie głos zabrał wicepremier Korycki, który podziękował mu za wieloletnią pracę.

Potem zgodnie z programem nadszedł czas Petera. Kierujący ceremonią dał sygnał i zapowiedział Austriaka. Ten wstał i ruszył sprężystym krokiem na środek sali. Podszedł do mównicy z mikrofonem.

– W wielu krajach obowiązuje zwyczaj, że odchodzący dyrektor instytucji muzealnych otrzymuje prezent. Jest on przeznaczony dla zbiorów muzeum, ale jemu dedykowany – mówił powoli Barylczyk, a oczy zgromadzonych skupiły się na pakunku, który trzymał w ręku. Z niewielkiej walizeczki wyjął drewniane pudełko przewiązane wstążką.

– Niech takim prezentem będzie pas składający się z szerokiego rzemienia, do którego przytwierdzone są metalowe elementy dekoracyjne:

srebrne rozetki oraz motywy liści i kwiatów. – Otworzył pudełko i lekko przechylił do zgromadzonych.

Przez salę przebiegł szept.

– Dodam z zawodowego obowiązku, że takie pasy błędnie nazywano przeworskimi. To nazwa wprowadzona na początku dwudziestego wieku przez pewnego kolekcjonera. Tak naprawdę powstawały one w warsztatach złotniczych Lwowa i Krakowa od szesnastego do osiemnastego wieku – opisywał fachowym językiem Barylczyk. – W rzeczy samej to nowożytna odmiana pasa rycerskiego znanego jeszcze z czasów średniowiecza. Wiem, że to pierwszy taki pas, który trafia do zbiorów muzeum. Tym bardziej cieszę mnie, że mogę go złożyć na ręce odchodzącego pana dyrektora, człowieka tak zasłużonego dla polskiej kultury – zakończył wypowiedź.

Postawił pudełko na stoliku, uściskał dłoń odchodzącego dyrektora i wrócił na swoje miejsce.

– Ciekawy prezent. Dziękuję w imieniu państwa polskiego – zwrócił się do niego ciepłym głosem siedzący obok wicepremier. – Jak pan go zdobył i gdzie? – Uśmiechnął się.

– W zasadzie... to pamiątka rodzinna odziedziczona po ojcu, który wyjechał z Polski w latach sześćdziesiątych. On poszukiwał takich rzeczy w Europie, Afryce, na Bliskim Wschodzie, a nawet w Ameryce Południowej! I właśnie w Brazylii go znalazł.

– Ach tak... – Wicepremier wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki wizytówkę i wręczył ją Barylczykowi. – Nie tylko takie prezenty od naszych rodaków ze świata i nie tylko do muzeów są nam potrzebne. Pewnie ją pan znalazł w jakiejś hacjendzie koło Rio de Janeiro! Kto by pomyślał! – Korycki uśmiechnął się, odwrócił głowę i zasłuchał się w kolejnym koncercie muzyki Chopina.

Spotkanie w muzeum wraz z bankietem trwało dwie godziny. W trakcie pożegnalnego przyjęcia prawie każdy chciał poznać bogatego Austriaka. Muzealnicy wypytywali o historię wyjątkowego pasa, który miał trafić do muzealnego skarbcza. Barylczyk chętnie opowiadał o prezencie, ale zupełnie zbywał pytania o to, w jaki sposób znalazł się w jego prywatnej kolekcji. Powtarzał z uśmiechem na twarzy, że jest to jego sekret rodzinny. Zresztą niejedyny, jak podkreślał z tym samym wyrazem twarzy.

* * *

Po południu pojechał lexusem z kierowcą do hotelu Pod Różą przy Floriańskiej. Samochód czekał na niego, gdy wziął prysznic i się przebrał. Włożył białą koszulę z niebieskim wykończeniem, jasnoniebieskie spodnie bez kantu i w takim samym kolorze buty. Na plecy narzucił błękitny pulower. Wyglądał jak zwykły turysta, których wielu można było zobaczyć na ulicach Krakowa. Przyglądał do tyłu długie, przyprószone siwizną włosy. Wziął z sobą tablet ukryty w skórzanym pokrowcu.

Spotkanie w muzeum kościelnym diecezji krakowskiej zaplanowane zostało na godzinę piętnastą. Znowu się spóźnił. Wszedł po starych, wypaczonych schodach do sekretariatu.

Na korytarzu czuć było charakterystyczną stęchliznę. Do gabinetu dyrektora wprowadził go zakonnik – sekretarz księdza dyrektora. Za wielkim dębowym stołem siedział zarządzający placówką ksiądz Maciej Gryżewski, który zrobił doktorat z historii sztuki. Duchowny wstał, gdy zobaczył gościa. Serdecznie się przywitał:

– Szczęść Boże. – Peter uściśnął ciepłą, miękką dłoń kapłana.

Obok stał wybitny historyk sztuki, profesor Andrzej Tarnowski, który został poproszony na spotkanie jako ekspert. Na stole w śnieżnobiałej porcelanowej filiżance stygła czarna kawa.

– Pan pozwoli. Przedstawię pana profesora. To wybitny znawca. Mój rzeczoznawca. Oczywiście dyskrecja gwarantowana – dodał kapłan, wskazując głową w kierunku profesora.

– Dzień dobry. – Profesor badawczo spojrzął na gościa i podał mu dłoń.

– Zapraszam. Czego pan się napije? Kawa jak pan profesor, herbata, wino, koniak?

– Poproszę kawę i kieliszek koniaku. Co ksiądz proponuje?

– Wyborny ormiański ararat.

– *Ausgezeichnet...* – odparł Austriak i ugryzł się w język. – To znaczy wyśmienity – dodał po polsku.

Barylczyk na każdym kroku zamierzał podkreślać swoje polskie korzenie, to mogło pomóc przełamać lody w czasie rozmowy.

– Co pana do nas sprowadza?

Peter Barylczyk najpierw z pokrowca wyjął tablet. Uruchomił go i wpisał hasło. W tym czasie ksiądz nalał do pękatych kieliszków alkohol i poprosił sekretarza o przyniesienie kawy dla gościa. Po chwili na tablecie wyświetliło się kolorowe zdjęcie.

– Chciałem pokazać coś wyjątkowego. – Obrócił w stronę rozmówców ekran urządzenia.

Były to trzy obrazy zamknięte trochę podniszczoną, połączaną ramą i złączone zawiasami. Historyk sztuki od razu wyłapał, że tryptyk mógł wyjść spod pędzla Jana Matejki. Ksiądz Gryżewski i profesor dotychczas jednak widzieli to arcydzieło tylko na niewyraźnej czarno-białej fotografii z przedwojennego katalogu.

– *Królowa Korony Polskiej* – powiedział Austriak.

Ksiądz patrzył z nieskrywanym zaciekawieniem. Profesor tylko gładził brodę, jakby intensywnie myślał i kontemplował obraz. Tron Matki Boskiej z Dzieciątkiem unosili królewicz Kazimierz i święty Jacek. Procesja w katedrze krakowskiej szła w otoczeniu rozmodlonego tłumu świętych: królowej Jadwigi, księcia Henryka Pobożnego, króla Władysława Warneńczyka, hetmana Żółkiewskiego, świętych Wojciecha i Stanisława. Na lewym skrzydle tryptyku uwieczniono zstępującego z nieba Michała Archanioła z płonącym mieczem. Na prawym zaś archanioła Gabriela z gałązką, a pod nim unickich męczenników za wiarę.

– Obraz główny został namalowany na desce, a boczne na płótnie. Jak na Matejkę nie jest duży – wysoki na siedemdziesiąt dziewięć, a szeroki na sto czternaście centymetrów – objaśniał fachowo Barylczyk. – Matejko dedykował go przyjacielowi. Na odwrocie umieścił w tym celu napis: *Stanisławowi Tarnowskiemu i tak dalej... 1891 rok*.

– Ówczesny rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego – wtrącił profesor, a Austriak skinął głową.

– Ktoś z rodziny pana profesora? – zapytał Barylczyk.

– Tak...

Ciszę, która zapanowała po odpowiedzi profesora, przerwał dźwięk jego smartfona.

– Przepraszam, to pilne. Napiszę tylko esemesa.

Profesor wyjął smartfon i napisał krótką wiadomość, a jej treść przepiował szybko do poczty i do współpracownika wysłał e-mail:

Tryptyk Królowa Korony Polskiej. Jan Matejko. Nazwisko Cezary Barylczyk. Wiedeń. Na cito!

T.

Po chwili Barylczyk przesunął palcem zdjęcie i pokazał dedykację na odwrocie. Biznesmen mówił dalej, ale powoli, jakby ważył słowa. Był wyjątkowo skupiony na tym, aby rozmówcy go właściwie zrozumieli, a on przekonał ich do swoich racji.

– Można rzec, że historia tego obrazu zaczyna być pisana od nowa. Co pan proponuje? Bo jak rozumiem, taki jest cel pana prezentacji – powiedział profesor.

– Proponuję jego sprzedaż do muzeum. Sądzę, że tutaj jest dla niego doskonałe miejsce – odparł niepewnie Barylczyk.

– Gdzie on teraz jest?

– W Wiedniu, panie profesorze, w galerii sztuki, którą przejąłem po moim ojcu Cezarym.

– Kiedy tam się znalazł? – drążył temat profesor.

– Wyjechał do Wiednia w czasie pierwszej wojny światowej i nigdy tego miasta nie opuścił. Przeniesiony był z Krakowa w obawie przed zniszczeniem go przez wojska rosyjskie.

– Ciekawe. Bardzo ciekawe. – Profesor pokręcił głową.

– Ile? – Ksiądz uniósł pod światło pękaty kieliszek z koniakiem i spojrział przez niego na wielobarwny witraż przedstawiający świętą rodzinę, umieszczony w oknie jego kancelarii.

– Dwa miliony euro. Kwota może być oczywiście w złotych polskich. Czyli po aktualnym kursie dnia około ośmiu milionów. Oczywiście obraz zostanie dostarczony do odbiorcy i przed finalizowaniem transakcji będzie do dyspozycji eksperta, który może dokonać stosownych oględzin... – zaproponował Barylczyk, nieco się zacinając.

Ksiądz pociągnął haust alkoholu, a rumieniec pojawił się na jego policzkach.

– Musimy się naradzić. Pan rozumie. – Wskazał na profesora.

Wyszli na korytarz i usiedli na dębowej ławce.

– Nie! Niech ojciec absolutnie odrzuci tę ofertę. Po pierwsze cena jest wygórowana, a po drugie sprawa wygląda, delikatnie mówiąc, niewyraźnie.

– Rozumiem, że cena wysoka. A te zastrzeżenia to jakiej natury?

– Niech ojciec posłucha. Do ostatniej wojny, czyli nie pierwszej, jak on mówi, tryptyk znajdował się w Krakowie u moich kuzynów, w rodzinie Tarnowskich. To po prostu niemożliwe, żeby wyjechał w czasie pierwszej wojny do Wiednia i nie wrócił stamtąd. Owszem, nie zaprzeczam, na krótko tak się stało, ale potem na pewno obraz powrócił do Krakowa.

Ksiądz patrzył na niego uważnie. Ciszę przerwał dźwięk w smartfonie profesora. Otworzył wiadomość i pokazał ją księdzu:

Obraz może być za granicą. Taka sugestia pojawia się w informacji umieszczonej w katalogu dzieł Matejki z 1993 roku. Sroczyńska w publikacji zamieściła następujący opis: dar artysty dla hrabiego Stanisława Tarnowskiego w Krakowie w 1891 roku. W zbiorach jego spadkobierców był co najmniej do 1940 roku. Według Ryszkiewicza w latach sześćdziesiątych pojawił się na wiedeńskim rynku antykwarycznym i był wówczas zakupiony przez osobę prywatną. Szukam dalej.

– Czyli, proszę ojca, nijak to się ma do tego, co mówi ten biznesmen czy kim on tam jest...

– Ale on nam już dostarczał obrazy, które trafiły potem na ściany kilku biskupich rezydencji. Wszystkie pierwsza klasa. Prawnie czyste. Chełmoński, Mehoffer, Brandt, Malczewski, Wyspiański...

– Ksiądz go dobrze zna?

– Wiem tylko tyle, że jego ojciec... Cezary wyjechał z Polski w latach sześćdziesiątych. Miał wywieźć wtedy ze sobą niezły majątek. Jego syn Peter jest uznanym wiedeńskim mecenasem sztuki. Nic nie rozumiem... – Zamilkł.

Profesor ponownie usłyszał dźwięk smartfona.

– Przepraszam, może coś mam w tej sprawie.

Otworzył e-mail:

Znalazłem artykuł prasowy sprzed kilkunastu lat. Dziennikarz wymienia w nim niejakiego Cezarego Barylczyka, który przewija się w głośnej sprawie karnej z lat siedemdziesiątych. Przed sądem stanął wtedy tak zwany gang marszandów. Zostali oni oskarżeni o przemyt złota, nielegalny wywóz dzieł sztuki za granicę i handel walutą. Po procesie, w 1976 roku przywódcy grupy, Witold Mietkowicz i Mieczysław Młynarz, zostali skazani na karę dwudziestu pięciu lat więzienia. Ten dziennikarz ustalił, że Mietkowicz współpracował prawdopodobnie z Departamentem I MSW, czyli wywiadem, i obciążył w zeznaniach Barylczyka, który wtedy mieszkał w Wiedniu. Ustaliłem też, że w zasobach archiwalnych IPN nic o C.B. nie ma. W załączeniu fragment artykułu.

Profesor wpatrzony w ekran wyświetlacza czekał kilka sekund, zanim otworzył się przesłany w formacie PDF dokument.

Cezary Barylczyk miał żydowskie korzenie. W czasie okupacji był żołnierzem Armii Krajowej. Po wojnie najpierw został zastępcą kierownika Wydziału Kwaterunkowego w Warszawie, a potem był rzeczoznawcą dzieł sztuki w antykwariacie przy Marszałkowskiej. Podlegał mu też antykwariat Veritas przy placu Trzech Krzyży, w którym pracował Mietkowicz. Przyjeźdźnili się. Prawdopodobnie w tym czasie Barylczyk dorobił się też, odsprzedając z zyskiem biżuterię i złoto kupione od emigrantów żydowskich, którzy jechali do Izraela przez Polskę. Na początku lat sześćdziesiątych Barylczyk wyjechał do Wiednia wraz z majątkiem. Departament I MSW szacował jego wiedeński majątek w latach siedemdziesiątych na blisko pięć milionów dolarów.

„Czy ten Cezary Barylczyk współpracował z Departamentem I MSW? A może jego akta zniszczyli, dlatego nic nie ma w IPN?” – zastanawiał się Tarnowski.

– I co, profesorze? Coś się nam wyjaśniło? – zapytał po kilkuminutowym milczeniu ksiądz.

– Dla mnie to jakaś wielce niepewna postać – odpowiedział po krótkim namyśle. – Ale to i tak ojciec decyduje. – Spojrzał wymownie na niego.

– Ale to jest Matejko, niewidziany przez nikogo od lat...

– I co z tego, ojczy dyrektorze? To właśnie dlatego, że jest to Matejko, ten handlarz tak winduje cenę. Przecież za granicą nie sprzedałby tego obrazu. Ten autor jest obecny tylko w naszej historii, kulturze... On na to liczy. Nie dziwi księdza, że przychodzi tutaj, a nie chce go sprzedać na licytacji? Liczy na to, że Kościół ochroni go przed okiem wścibskich historyków sztuki.

– No tak, ma pan rację, profesorze. – Ksiądz złożył pulchne czerwone dłonie na brzuchu i kręcił palcami młynka.

– Proszę ojca, powtórzę dla jasności. Ponad wszelką wątpliwość ostatnim przedwojennym właścicielem obrazu był Hieronim hrabia Tarnowski. W rodzinie nigdy nie pojawiła się informacja, aby tryptyk został sprzedany. Owszem, była mowa o sprzedaży obrazu Matejki przez Tarnowskiego, ale zupełnie innego – *Kasztelanki*.

– Jest pan pewny, profesorze, tego rodzinnego przekazu?

– Tak. Niech ojciec nie będzie naiwny. We wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku obraz ten znajdował się w Krakowie, w Pałacu na Szlaku na Kleparzu. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim pałac przejęły niemieckie władze okupacyjne. Co dalej działo się z obrazem, nie wiadomo. Nie interesowałem się tym specjalnie, ale wiem, że do przejęcia pałacu przez Niemców zarządzała nim Jadwiga Komorowska – siostra Bora-Komorowskiego. Może zachowały się gdzieś jej pamiętniki? Jak ojcu tak zależy, proszę napisać, nie wiem, może do Archiwum Akt Nowych w Warszawie czy Instytutu Sikorskiego w Londynie – powiedział zirytowany profesor.

– Ale tego obrazu nie ma w bazie dzieł utraconych w czasie wojny, którą prowadzi Ministerstwo Kultury?

– Zgadza się. Nigdy nie było pewności, w jaki sposób i kiedy tryptyk zaginął. Być może teraz jest czas, aby to zaniedbanie naprawić i wciągnąć go na listę...

– Wtedy legalnie nikt nie mógłby go sprzedać! – rzucił odkrywczoko ksiądz.

– Tak. Czyli jaka decyzja?

– Dobrze, wróćmy do naszego gościa.

Gdy drzwi się uchyliły, Barylczyk stał przodem do okna i spoglądał na ulicę. Słyszając wchodzących, odwrócił się.

– Panowie dzisiaj byłem na spotkaniu w Muzeum Królewskim, przekazałem tam pewien skromny prezent. Miałem też okazję poznać pana

wicepremiera... – Sięgnął ręką do kieszeni spodni.

Wyjął portfel, a z niego wizytówkę. Spojrzał na nią i odczytał:

– Antoni Korycki...

– Pan coś sugeruje w związku z tym? – Przez plecy profesora przeszedł lekki dreszcz. Poczował się tak jak kilka lat temu na obronie pracy pewnego doktoranta, który – przygwożdżony pytaniami – zaczął zachowywać się w sposób na tyle nerwowy i bezczelny, że zaczął podważać jego dorobek naukowy, licząc na wywarcie presji.

– Nie, nic... To co, panowie? Czy mam iść gdzie indziej z tym Matejką? – Chrząknął.

– No, nie... Panie Peterze. – Książdz jakby się zapowietrzył. – My się jeszcze naradzimy w szerszym gronie. Bo wie pan, o takiej transakcji musi też zdecydować rada naukowa muzeum, książdz biskup... To my się odezwiemy, załóżmy, w ciągu dwóch tygodni.

– Dobrze, tyle mogę poczekać. – Austriak pożegnał się i wyszedł z muzeum, wsiadł do lexusa i kazał się wieźć do hotelu. Włączył smartfon i zaczął przeglądać pocztę elektroniczną. Jeden list go szczególnie zainteresował. „Spasojević wreszcie napisał!” – pomyślał i otworzył e-mail.

Przypadkowemu odbiorcy jego treść nic by nie powiedziała. W rzeczywistości była to zaszyfrowana w specjalnej aplikacji wiadomość, której znaczenie mógł odczytać tylko Barylczyk. Mowa była o planowanym kupnie towarów na terenie Serbii.

Niebawem czekała go duża transakcja, a po jej sfinalizowaniu poważne zasilenie konta. Musiał też uregulować zaległości wiedeńskie i przesłać pieniądze do Rio de Janeiro z jednego ze specjalnych rachunków w Raiffeisen na znane od wielu lat konto w Banco do Brasil. Jako że transakcja w Krakowie była w zawieszeniu, przekaz środków finansowych do Brazylii musiał poczekać dwa tygodnie.

Rozdział 31

Warszawa – wiosna 2016 roku

Przez okno wpadały promienie słońca. Z zewnątrz dochodził lekki szum samochodów podążających Trasą Łazienkowską w Warszawie, gdy w mieszkaniu dało się słyszeć dzwonek z melodią *Highway To Hell* AC/DC.

– Pan Marcin? – Usłyszał w słuchawce smartfona Łodyna. – Pan major Łodyna? – dopytywał głos. – Dzień dobry. Mówi Wiatr.

– Aaaa to pan, panie ministrze – odezwał się zaspanym jeszcze głosem. – Wprawdzie już podpułkownik... Słucham, co pana ministra o tak wczesnej porze sprowadza?

– Panie Marcinie, gratuluję awansu. Przepraszam, że tak wcześnie rano. Jak rozumiem, wszystkie pańskie sprawy zawodowe się wyjaśniły?

– Można tak powiedzieć, choć trwało to długo. Wie pan, jaki mamy w Polsce wymiar sprawiedliwości. Po półgodzinie przesłuchania sprawę umorzono. Okazało się, że nie byłem żadnym podejrzanym, tylko świadkiem. A prokuratura okręgowa przy Chocimskiej dopiero po roku oddała komputer żony. W firmie też krwi napsuli... – Zawiesił głos. – Nie wiem, czy zdołam kiedykolwiek odbudować swoją reputację. W każdym razie niesmak pozostaje. Ach, szkoda gadać.

– Przykro mi. Ale ja mam do pana prośbę. Moglibyśmy się dzisiaj spotkać? Dostosuję się do pana.

– Oczywiście. To może niedaleko pana ministra, na placu Na Rozdrożu. O... czternastej.

– Ja już nie pracuję na Szucha, ale rzecz jasna, zaczekam.

* * *

W czasie godzinnej opowieści Wiatr opisał okoliczności związane ze spotkaniem tajemniczego Austriaka o polskich korzeniach z profesorem Tarnowskim, który był przyjacielem ministra.

– Mówi pan: Barylczyk z Wiednia – rzekł w końcu Łodyna.

– No właśnie, dlatego się do pana zwracam...

– Panie ministrze – przerwał Łodyna. – Wyjaśnijmy sobie. Przecież nieprzypadkowo pan o tym ze mną rozmawia. Proszę powiedzieć, czy wie pan, gdzie mam niebawem wyjechać. Ale szczerze.

– Okej. Dowiedziałem się od dobrego znajomego z MSZ, że coś pan załatwiał w związku z jakimś kilkumiesięcznym wyjazdem do Wiednia. Ale to osoba zaufana. Pan wie, on kiedyś u was pracował. Był ze dwa razy ambasadorem i dyrektorem departamentu w Centrali na Szucha.

– No tak. Mnie już takie sprawy nie dziwią. Ale wiem, że stara gwardia w MSZ ma zasady i to są osoby, na które można liczyć.

– Pewnie już niedługo. Bo nowa władza naciska kierownictwo, żeby wszystkich związanych przed tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym rokiem z wywiadem czy studiami w Moskwie na MGIMO wywalić z roboty. Również ich rodziny.

– A to już śmierdzi polowaniem na czarownice. Przykro tego słuchać, ale u nas też pewnie będą majstrować przy tych tematach. A czymże jest zabranie emerytur byłym funkcjonariuszom Departamentu I MSW, także za okres służby po tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku? Nic na to nie poradzimy. Suweren zdecydował, panie ministrze. To w czym mógłbym pomóc? Prywatnie...

– Panie Marcinie. Może mówmy sobie po imieniu... – Łodyna kiwnął głową i upił z wysokiej szklanki kawę latte. – To ważny obraz, ale dla nas w Polsce. Myślę, że nie chodzi też o pojedynczy przypadek. Sądzymy, że to może być jakaś większa ukryta kolekcja, z której co jakiś czas wypływają polskie tak zwane dzieła utracone. Ale na mój nos i ocenę profesora Tarnowskiego to nie są tylko dzieła zrabowane w czasie wojny, ale również wywiezione czy po prostu ukradzione po wojnie. Powiedzmy... do lat sześćdziesiątych.

– Ciekawe, bardzo ciekawe. Być może za tym stali Sowieci i pewnie polskie służby, czyli wywiad. Ale widzisz, Boguś – uśmiechnął się – wywiad do lat siedemdziesiątych, czyli do epoki Gierka, odnotowywał w zasadzie same porażki. Ucieczki oficerów na Zachód i emigracja do Izraela wraz z całymi siatkami wywiadowczymi. Walki wewnętrzne, nepotyzm i polityczne naciski na awanse, duża penetracja służb zachodnich. A do tego w tym wszystkim sowieccy doradcy. To wszystko bardzo osłabiało i dezintegrowało działania za granicą. Ale... też łatwiej było realizować różne podejrzanе przedsięwzięcia. Przemyt, rabunek, może nawet morderstwa na zlecenie...

– Tak, słyszałem co nieco. Jest taka anegdota w kontekście wywiadu. Nie wiem, czy znasz? Na jakimś spotkaniu czy odprawie w KC PZPR Gierk albo Szlachcic powiedział: „skończyło się donoszenie do towarzyszy radzieckich w Moskwie za moimi plecami”.

Wiatr poprawił się na niewygodnym krześle. Popatrzył na zielieniejące się drzewa po drugiej stronie Trasy Łazienkowskiej w Parku Ujazdowskim. Zamyślił się. Po chwili odetchnął głębiej.

– To mogę liczyć, że zainteresujesz się sprawą? Oczywiście nikt o tym poza nami nie wie. Nawet profesor.

Łodyna wyprostował się na krześle. Dyskretnie rozejrzał się wokoło. Nikogo nie było poza dwoma młodymi mężczyznami o modnych fryzurach i z krótkimi brodami, którzy nosili obcisłe garnitury i identyfikatory z białoczerwonym paskiem. „Nowa elita służby zagranicznej?” – pomyślał.

– Rozumiem, że tutaj jest wszystko? Wszystkie informacje? – Skinęciem wskazał białą kopertę z nadrukiem *KPRP*.

– Tak. To, co profesor Tarnowski ustalił, oraz co znaleźli jego współpracownicy. Wszystko o tym Barylczyku i jego ojcu. Adresy w Wiedniu. Numery telefonów kontaktowych, e-mail. Jest też lista gości ze spotkania w Krakowie, gdzie Barylczyk miał wystąpienie. Byli wśród nich wicepremier, jacyś ministrowie i inni urzędnicy. Może się przyda.

– Boguś. Wszystko się przyda, zwłaszcza w takich sprawach.

– Aha. Są tam też informacje, powiedzmy, natury... No, ustalenia od moich znajomych, z naszych placówek w Nowym Jorku i Wiedniu. Jakieś numery kont. Jakieś nazwiska. Bo wiesz, ten Barylczyk jest znany na rynku nie tylko europejskim.

– Zobaczę, co się da zrobić. Nie obiecuję. Jak coś będzie, dam znać. Ale nie rozmawiajmy o tym przez telefon. Będę często w kraju. A jak coś ważnego się pojawi, to w końcu Wiedeń nie jest tak daleko.

– Dziękuję. Powiedz mi, jak to wszystko się skończyło. Pewnie to ciężki czas był dla ciebie, twoich najbliższych? Dla ciebie jeszcze jedna latte?

– Tak, proszę.

* * *

Szlaban opuścił się ze stuknięciem, ale gdy Łodyna przyłożył do czytnika identyfikator, ponownie powędrował w górę, opadła natomiast kolczatka

w bramie wjazdowej do siedziby Agencji Wywiadu przy Miłobędzkiej 55. Uśmiechnął się do wartownika nazywanego żartobliwie Kondorem, którego znał od kilkunastu lat, a ten w odpowiedzi zsalutował. Łodyna zaparkował toyotę. Dotarł do rozsuwanych drzwi. Stuknęły kołowrotki.

– Cześć, Krzysiu! – krzyknął do dyżurnego, który był istną kopalnią wiedzy na temat tego, co działo się w chronionym przez niego budynku.

– Cześć, Marcinku! A więc wreszcie wróciłeś z słuźbowego grobu. – Uśmiechnął się.

– Jasne. Jebać ich, Krzysiu! Co ci mam powiedzieć. – Uścisnęli sobie dłonie.

Po chwili wbiegł po betonowych schodach. Z klatki schodowej skierował się do przeszklonych drzwi. Wszedł do sekretariatu. Szczupła, wysoka sekretarka stała akurat przy drukarce.

– Cześć, Marta! Szefowa jest sama?

– Cześć, Łodyniak. A co ty tu robisz? Znowu pracujesz? – zapytała zdziwiona i jak zawsze niezorientowana.

– Jak widzisz, kochanie.

– Wchodź! – Uśmiechnęła się.

Podpułkownik Magda Sierpecka pochylona była akurat nad plikiem kopert z pocztą specjalną z rezydentur wywiadu za granicą. Na dużym stole przykrytym niewielką serwetką z Isfahanu stały kolorowe ceramiczne miseczki wypełnione pistacjami błyszczącymi od wyschniętego soku z limonek. Na białej ścianie wisiał pomarańczowy, nieco zaplamiony kombinezon pilota z autografami wenezuelskich lotników i mechaników Gwardii Boliwii stacjonujących na lotnisku na karaibskiej wyspie Margarita.

Dwa lata wcześniej Sierpecka wraz z Łodyną realizowali we współpracy z CIA bardzo złożone przedsięwzięcie wywiadowcze na terenie Wenezueli. Ich celem było zidentyfikowanie rosyjskich obiektów militarnych w regionie, które ze względu na bliskość terytorium USA stanowiły szczególnie punkt zainteresowania wywiadowczego Langley oraz politycznego Białego Domu.

– Cześć, Magda! Ale trofeum. Wspomnienia. Przydałaby się jeszcze twoja czerwona sukienka z dużym dekoltem i rozcięciem na dole – rzucił od drzwi i się roześmiał.

– Cześć. Siadaj. Co u ciebie?

– W porządku. Udało mi się pozałatwiać wszystko wcześniej. U nas i w MSZ. Dostałem już oficjalnie potwierdzenie z Wiednia.

Wyjął z kieszeni niebieskiej sportowej marynarki kartkę z nadrukiem: OSCE *Organization for Security and Co – operation in Europe* i położył ją przed Sierpecką.

– Pewnie w ciągu miesiąca wyjadę. I pomyślałem, że zaznajomię się szybciej z tematami. Potem może być krucho z czasem.

– A gdzie będziesz mieszkał?

– Chciałbym wynająć coś niedaleko Hietzinger Hauptstrasse, czyli koło naszego przedstawicielstwa przy OBWE. Do Sekretariatu Generalnego przy Wallnerstrasse miałbym z pięć kilometrów. Ładna okolica. Blisko do pałacu Schönbrunn, jednocześnie nieco dalej od centrum i trochę willowa dzielnica. Jak przyjadą Ewa z Michałem, to jest dokąd iść na spacer... – Uśmiechnął się lekko.

– Zgadza się. Nie samą pracą człowiek żyje. W sumie dobrze, że jesteś. Chciałam nawet do ciebie dzisiaj zadzwonić. Coś dziwnego się dzieje. Chyba wcześniej pojedziesz.

– Kurwa, to Ewa się nie ucieszy. Ma egzaminy ze specjalizacji w szpitalu na Wołoskiej! Ale jakoś to ogarniemy. Mów.

– U Zosi jest jedna sprawa. Drugą prowadzi Michał. I zdaje się, kurwa, że one się łączą. Zadzwonię po nich.

Po chwili weszli do gabinetu uśmiechnięta Zosia w lekko prześwitującej białej bluzce i Michał w różowym podkoszulku w serek. Dźwigali pod pachami opasłe segregatory, ale Michał dodatkowo miał jakieś dokumenty luzem.

– Kurwa, kiedy ja pana nauczę porządku... panie Michale? Miałeś kilka tygodni na uporządkowanie sprawy, a widzę, że gównem z tego wyszło! – powiedziała poirytowana Sierpecka.

– Szefowo, bo to tak, że musiałem jechać...

– Dobra, dobra. Siadaj. Pomyślę o tym w czasie najbliższego dzielenia premii.

– Ale szefowo...

– Zaraz się wykażesz. Zaczynaj referować.

Usiedli. Skinęli tylko głowami Łodynie.

– Według ustaleń i informacji otrzymanych od Bundesamt für Verfassungsschutz und Terrorismusbekämpfung Republik Österreich...

– Od kogo, Michał?! – przerwała Sierpecka.

– No tej BVT, austriackiej służby antyterrorystycznej. Pan Marcin pamięta pewnie ich początki. – Młody oficer spojrzął w kierunku Łodyny. –

A więc oni ustalili, że w Wiedniu jest jakiś Serb czy Czarnogórzec... o nazwisku Spasojević.

– Jakie nazwisko?

– Spasojević... – powtórzył.

– Hmm.

– Co? Coś ci ono mówi? – wtrąciła Sierpecka.

– Coś mi chodzi po głowie albo po prostu podobieństwo nazwisk. Przepraszam. Proszę kontynuować. – Łodyna spojrzał na młodego oficera.

– Twierdzą, że to on kieruje grupą. Ale nic więcej nie mają. I proszą o pomoc. Bo wiedzą, że kręcą się koło niego ludzie z Bliskiego Wschodu. Pewnie wysłali zapytanie do Langley i nie dostali jeszcze odpowiedzi.

– Za to na nasze zapytanie do Waszyngtonu partnerzy amerykańscy zaproponowali *as soon as* spotkanie w tej sprawie. Przy czym na spotkaniu miałyby być też jakiś oficer z ich stacji w Genewie. A to mi jakoś ONZ-tem i Rosjanami pachnie – włączyła się Zosia.

– Na dokładkę Austriacy namierzili jakieś przelewy. W sumie na cały świat. Ale regularnie to Wiedeń, Brazylia, Turcja i oczywiście Dubaj – dodał Michał. – Sądzą, że to jest związane z ugrupowaniami terrorystycznymi z Syrii i Iraku. Jacyś Czeczeni też się pojawiają. Czyli wychodzi na to, że być może mamy w sprawie ISIS. Ale to zaprzecza temu, co Amerykanie odpowiedzieli. Bo odezwał się nie pion CT, tylko... rosyjski.

Zapadła cisza. Młodzi oficerowie spojrzeli na Sierpecką. Łodyna jednak spoglądał na pobliski stadion Gwardii i myślami był na koncercie Stinga oraz licznych imprezach w tym gabinecie organizowanych przed laty. „Ile przykrych słów tu padało, ile pretensji, ile pochwał, ile pomysłów się rodziło. Przyjaźnie, miłość, animozje, nienawiść”. Wydawało mu się, jakby w tym gabinecie wciąż unosił się lekki zapach whisky i kubańskich cygar.

Ciszę przerwała Sierpecka.

– Pokaż, Zosiu, tę pilną korespondencję od partnerów.

Przez kilka minut przeglądała dokumenty sygnowane klauzulą *secret* i dopiskiem poniżej *urgent*. Potem podała je Łodynie. Ten zaczął je uważnie studiować. Popatrzył na Magdę, później na dwójkę młodych oficerów.

– Tylko że tam, Magda, jest też podpisany Montana.

– Zauważyłam. A wiesz, co to oznacza?

Łodyna przytaknął. Michał i Zosia spojrzeli na siebie, a potem na przełożonych. Ich miny wskazywały na to, że nie bardzo wiedzieli, o co chodzi

i kim jest facet z CIA o nazwisku Montana. Bo nie widzieli takiego nazwiska w dokumentach.

– To oficer CIA zajmujący się zwalczaniem rozprzestrzeniania broni masowego rażenia na Bliskim Wschodzie, i nie tylko tam. Znajomy pana pułkownika z Iraku.

– Twój też, Magda. – Mrugnął do niej.

– Czyli reasumując... Mamy terrorystów, broń masowego rażenia, rosyjskie służby. Co jeszcze?

– Ciekawe przelewy – wtrącił Łodyna.

– Tak. – Znowu zapadła cisza. – Marcin, przejrzyj to wszystko dokładnie, a ja wywołam spotkanie z łącznikiem CIA i zorientuję się, co w trawie piszczy. Zadzwoń też do Mariusza do kadr, żeby nacisnął nowego szefa w sprawie twojego szybszego wyjazdu i dopilnował zgody dla ciebie na stałe przyjazdy do kraju. Państwu na razie dziękuję – zwróciła się do młodych oficerów.

Obite wygłuszającą pianką drzwi się zamknęły. Potem drugie, zewnętrzne. W gabinecie Sierpeckiej słychać było tylko sączącą się z cylindrycznego głośnika serenadę na smyczki Antonina Dvořáka.

– Magda. Mam do ciebie jeszcze inną sprawę – rzekł Łodyna po chwili zamyślenia.

– Znam ten wzrok i wyraz twarzy. Widzę, że to coś prywatno-służbowego. Tylko nie mów mi, że jakieś poszukiwania bursztynowej komnaty czy złotego pociągu w modrym Dunaju!

– W sumie komnaty bursztynowej i złotego pociągu to nie...

– Kurwa, nie wierzę! Ty jesteś niepoprawny. Ja pierdołę... – Opadła ciężko plecami na oparcie fotela i jednocześnie wzmocniła dźwięk w głośniku.

– Mów!

Łodyna krótko opowiedział jej o sprawie, z którą zwrócił się do niego były wiceminister Wiatr. Zaznaczył, że sporo jest materiałów, informacji i ustaleń, a on nie zdążył jeszcze ich wszystkich przeanalizować.

– Marcin. Wiesz, jaka była poprzednia ekipa. A teraz nowy szef sprowadził tu wynalazki z zewnątrz. Zresztą jakie on ma doświadczenie wywiadowcze?! Wprowadza jakieś tabelki, statystyki, procenty, sprawozdania, dzienne, tygodniowe, miesięczne, jakieś ręczne sterowanie, czyli jakieś gównno, które ma związać nam ręce papierologią. Do tego jest ten nowy zastępca Sznajder.

– Spotkałem go kiedyś w Afganistanie. Kojarzę. Ale on od zielonych i jakoś politycznie...

– Tak, i politycznie. Ale widzisz, oni oboje się nie cierpią. Wiesz, jak to rozpieprza firmę! Jeden na drugiego czegoś szuka. Węszą. Czuję, że nie długo będzie niezła afera. Do tego jakieś dziwne ruchy przy sprawach finansowych czy zamówieniach publicznych.

– To grubo. Tego jeszcze u nas nie grali. No, poza Caringtonem i wiesz kim...

– Rozmawiałam niedawno z Gajdą. On też się uchował. I wiesz, co mi powiedział? Że nie jest pewien, czy jakieś informacje nie wypływają, jak to określił do „podmiotów zewnętrznych”. Wynika to z analizy danych, które pion informacyjny wyłapuje na zasadzie feedbacku.

– Czyli raczej geszefciki? Nie obce służby?

– Nie wiem. I na razie nie chcę wiedzieć. Bo w każdej chwili może mi szef polecić, żebym sobie do domu poszła odpocząć na dłużej! Rozumiesz?

– No, ale wciąż jakoś trwasz tutaj, kochana koleżanko. Umiesz się jednak ustawić!

– Aaaa tam! Tłumaczę ci. Nie wiem na jak długo. Co nieco dotarło już do mnie. Posłuchaj. Tak zrobimy. Wiatr pracuje teraz w Kancelarii Prezydenta, więc tak zupełnie nie wypadł z obiegu. Jak coś ustalisz, to daj znać. Sojusznicy w Pałacu Prezydenckim mogą się przydać.

– Komu, Magda?

– Jak komu? Nam! – Przysunęła się do stołu.

– Nam czy tobie? W politykę idziesz czy co?

– Nie pierdol. A ile razy ci dupę ratowałam? Jeszcze jedno, Marcin. Jak będzie potrzeba, to podeślę ci Zosię z Michałem. Piotrek Bałtożak wraca z Ad-Dauhy, więc chciałabym, żeby został kierownikiem ich sekcji.

– A jaka to sekcja?

– Nie wiem. Zależy to również od tego, co ustalisz. I od partnerów, którzy powinni wyjaśnić, jeśli w ogóle wiedzą, o co chodzi. – Znowu opadła ciężko na oparcie i popatrzyła przez okno na ogródki działkowe przy Żwirki i Wigury. – Marcin. Umówmy się jakoś razem rodzinnie w najbliższy weekend. Co ty na to?

Łodyna pokiwał tylko głową.

– Znasz tego Sznajdera?

– Eee tam, znam. Spotkałem, i tyle.

* * *

Skład pociągu *EC Polonia* relacji Gdynia Główna Osobowa – Wien Hauptbahnhof wjechał z cichym szumem na peron dworca Warszawa Centralna. Łodyna poza zieloną walizką ciągnął ze sobą przywiezioną z Iraku gorillkę – czarną, plastikową skrzynię bagażową.

Drzwi się rozsunęły. Po wyjściu pasażerów wsiadł i położył na półkach bagaż. Zrzucił z pleców na siedzenie czarny plecak S.O.C., który towarzyszył mu w niejednej operacji specjalnej. Usiadł ciężko w wysokim fotelu. Po jakichś dziesięciu minutach skład delikatnie ruszył. Obok nikt się nie przysiadł. Gdy pociąg minął przystanek Warszawa Zachodnia, Łodyna wyjął z zewnętrznej kieszeni plecaka kopertę z materiałami, którą otrzymał od Wiatra, zaczął je dokładnie studiować. Podkreślał czerwonym długopisem najbardziej interesujące tematy. Miał przed sobą ponad siedmiogodzinną podróż.

W pewnym momencie oderwał się od dokumentów. Srebrno-niebieski skład zwolnił nieco. Byli gdzieś na granicy Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Łodyna popatrzył na znane mu z licznych wędrówek i wspinaczek skalne wychodnie tonące w jasnozielonych barwach wiosny i oświetlane przez ostre poranne słońce. Po chwilowym odpoczynku dla oczu ponownie zaczął przeglądać podkreślone frazy, wyrazy, nazwiska, adresy. Porządkował informacje o tym, czego dowiedział się dwa tygodnie temu w Centrali AW podczas rozmowy z Magdą, która wcześniej spotkała się z łącznikiem CIA, no i dochodziło jeszcze to, o czym wspominał Wiatr.

Podświadomie wyczuł, że obydwa kierunki działania – południowo-amerykański i bliskowschodni – jakoś się łączyły.

Rozdział 32

Wiedeń – wiosna 2016 roku

Łodyna stał oparty o balustradę balkonu, trzymając w dłoni szklanekę z bourbonem. Czyste, niebieskie niebo i wysoka temperatura zachęcały, aby wystawić twarz do słońca. Był w dobrym nastroju. W ciągu tygodnia pobytu w Austrii zdążył już się dowiedzieć o skąpstwie wiedeńczyków – właściciele kamienic, którzy oszczędzali na ogrzewaniu. Jemu na szczęście dzięki doskonałej pogodzie na razie ziąb nie groził.

Widok z wynajętego mieszkania na Breitensee, w czternastej dzielnicy, miał piękny. Za zielonym dachem Domu Mieszkaniowego Emerytów im. Gustava Klimta rozpościerało się zalesione wzgórze Tiergarten. W dole znajdowało się torowisko kolei i ruchliwe arterie po obu brzegach płynącej w betonowej rynnie rzeki Wiedeń. Lokalizacja była doskonała. Niebawem Ewa miała skończyć egzaminy na specjalizację w szpitalu i przyjechać do niego z Michałem na dłużej. Planował, że wybiorą się wtedy do ogrodów pałacu Schönbrunn. Może usiądą na ławce albo na schodach na wzgórzu przed Gloriettą i do wieczora będą upajać się widokiem pałacu, panoramą zachodniej i południowej części miasta oraz wzgórz Kahlenberg i Leopoldsberg na skraju Lasu Wiedeńskiego. On w tym czasie pójdzie po lody do pobliskiej kawiarni w pawilonie.

Łodyna spojrzął na szklanekę z alkoholem, jego głowę zaprzętała myśl, jak zacząć sprawę związaną z bronią masowego rażenia i wykonać zadanie, które otrzymał z Centrali.

Już następnego dnia po przyjeździe do Wiednia był w miejscu wskazanym przez austriackich i amerykańskich partnerów. Wynajął samochód z wypożyczalni, aby tam dojechać. Młody chłopak, Polak, załatwiający formalności w biurze *Sixt* przy Westbahnhof ostrzegł go z uśmiechem, żeby uważał na drodze na samochody z rejestracjami z literami MD, bo z tego miasta podobno pochodzą najgorsi kierowcy w Austrii. Łodyna na miejscu tylko się rozejrzył, zwrócił uwagę, że w pobliżu dziupli znajduje się też strzelnica.

Następnie umówił się z przedstawicielem austriackiej służby bezpieczeństwa BVT. Łodyna odniósł wrażenie, że funkcjonariusz zlekceważył sprawę. Mniej interesowało go to, co może znajdować się w magazynach,

a bardziej, czy wszystkie informacje są potwierdzone, a dowody wiarygodne, czy sprawę zna prokurator i wyda nakaz przeszukania, który zatwierdzi sąd. Krótko mówiąc, piętrzył wątpliwości i można było odnieść wrażenie, że akcja zupełnie go nie interesuje.

* * *

Łodyna miał godzinę przerwy na lunch w spotkaniu grupy roboczej do spraw terroryzmu OBWE. Postanowił wykorzystać ten czas nie tylko na posiłek. Wyszedł z Hofburg Conference Centre. Minał monumentalny pomnik księcia Eugeniusza Sabaudzkiego na koniu i szybkim krokiem przeciął w poprzek zazieleniony Heldenplatz. Szedł w kierunku Michaelerplatz. Tam zawrócił i ruszył niewielką, typową wiedeńską ulicą Spiegelgasse. Znajdowała się ona zaledwie dziesięć minut pieszo od siedziby OBWE.

Przeszedł obok obiektu wskazanego przez Wiatra. Zatrzymał się i udając rozmowę telefoniczną, nagrał film smartfonem. Zaraz potem skręcił w prawo i znalazł się przy iście biedermeierowskiej, wąskiej uliczce prostopadłej do Spiegelgasse. Z daleka poczuł zapach śródziemnomorskiej kuchni zmieszany z wonią smażonych kielbasek unoszący się z okien okolicznych mieszkań. Wszedł do środka. Zamówił *pesce e molluschi* – zupę rybną z małżami i sałatkę ze smażonymi kalmarami.

Gdy na nie czekał, obejrzał film nagrany telefonem. „Wąska uliczka, żeby odskoczyć. Mieszkania powyżej, może jedno połączone z antykwariatem. Nie będzie łatwo. Plusem jest sporo sklepów, firm, punktów usługowych, galerii z zapowiedzianymi weekendowymi wernisażami” – układał w głowie plan.

Kelner postawił przed nim parującą zupę.

– *Guten appetit.*

– *Vielen dank!* – odparł standardowo Łodyna.

„To na dzisiejsze piękne sobotnie popołudnie znowu robota w mniej urokliwym miejscu” – pomyślał i wziął się do jedzenia ulubionych *frutti di marre*.

Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze pół godziny wolnego.

* * *

Zielone spodnie, czarna bluza z kapturem, sportowe buty – tak Łodyna ubrał się na akcję. Na głowę wciągnął zakupioną w czasie powrotu z centrum czarną patrolówkę z czerwoną naszywką i białym, stylizowanym napisem *Tirol*. Na plecy zarzucił ciemny plecak S.O.C.

Metrem trzeciej linii dojechał do Enkplatz w położonej w południowo-wschodniej części miasta, jedenastej dzielnicy Simmering. Stamtąd prześiadł się w autobus linii 76a. Po dziesięciu minutach znalazł się na miejscu.

Było już prawie ciemno. Łodyna szedł wzdłuż płotu ulicą Schusslinie. Na końcu ślepej ulicy, za torami widać było dwa wysokie, biało-czerwone kominy Panzerfabrik Wien. Po obu stronach pustej ulicy znajdowały się bazy logistyczne i garaże. W pewnym momencie Łodyna zatrzymał się przy ogrodzeniu zarosłym zielskiem. Rozejrzał się uważnie. Nikogo nie zauważył na nieoświetlonej ulicy.

Przeskoczył płot. Schował się za dwoma kontenerami ustawionymi jeden na drugim. „Kurwa, już chyba nie ta forma” – pomyślał i zaczął masować się po żebrach.

Wychylił się zza rogu. Podbiegł do zarośli i skierował się wzdłuż wewnętrznej ulicy, garaży i magazynów w kierunku południowym. Przykucnął i znieruchomiał.

Wydawało mu się, że słyszał strzały. Serce zaczęło mu bić szybciej. Żałował w tym momencie, że nie miał ze sobą broni. Jednak coś go tknęło i spojrzał na ścianę budynku i szyld z dużym napisem i przeczytał pod nosem:

– *Schießanlage. Dynamisch. Statische. Cowboy Action Shooting.*

„No tak! Strzelnica”. Przeszedł między kilkoma samochodami. Spojrzał na wielkie drzwi wejściowe z napisem: *Pforte. Nummer. 4.* To był jego cel. Podszedł pod budynek, w którym mieściła się strzelnica. Rozejrzał się jeszcze raz. „Żadnych kamer. Jak to dobrze, że Austriacy są tak zadufani i pewni swojego bezpieczeństwa” – pomyślał i ruszył w kierunku kępy krzaków. Wszedł w nie i znowu przykucnął.

Zdjął plecak. Odczekał chwilę i wyjął z niego kępę sztucznej trawy. Oceniał, że w tym miejscu taki kamuflaż będzie najlepszy. Metalową szarą skrzyneczkę z żółtą nalepką z czarną błyskawicą i napisem *Vorsicht Elektrogeräte* wykluczył. Podobnie jak sztuczną, dużą psią kupę z uschniętym kawałkiem gałęzi drzewa owocowego.

Nacisnął pod spodem włącznik i postawił kępę na ziemi. Szerokokątny obiektyw objął całą bramę oraz boczne ściany. Mimo że mikrokamera wraz

z ruterem GSM miały aktywować się tylko przy ruchu, to Łodyna wiedział, że bateria wystarczy na trzy, maksymalnie cztery dni. Zwłaszcza że ze względu na nocny tryb kamera musiała mieć większą rozdzielczość.

Wstał i szybkim krokiem ruszył w kierunku zarośniętego płotu. Po drodze wyciągnął wysoko rękę ze smartfonem i przyłożył do okna. Włączył nagrywanie. Po kilkunastu sekundach był już na Haidestrasse. Po przejściu jakichś stu pięćdziesięciu metrów usiadł na metalowej ławeczce na przystanku autobusowym. Sprawdził czas. Miał kilka minut do autobusu. „Zdażyłem, kurwa. Uff. Chyba za stary już jestem na takie akcje!” Ze świstem wypuścił powietrze.

Wyjął smartfon i sprawdził aplikację do podglądu obrazu. Wokół kępy trawy nic się nie działo. Niebawem na przystanek podjechał autobus linii 76a.

* * *

Do Cafe Heiner przy Kärntner Strasse, słynnego dostawcy szarlotek na dwór cesarski, Łodyna trochę się spóźnił. Spojrzał na salę, której ściany wyłożono lustrami, oświetloną stylowymi żyrandolami. Wnętrze zastawione było wygodnymi kanapami, giętymi krzesłami i stolikami z marmurowymi blatami. Przy jednym z nich siedzieli Kate i Tom nazywany w Langley Montana – oficerowie CIA.

Łodyna poznał Montanę wiele lat temu. Ten w czasie misji Polaka w Iraku pomagał mu w zdobyciu informacji o poszukiwanym *Portrecie młodzieńca* Rafaela Santi. Zadanie związane z weryfikacją tropu dotyczącego zaginionego w czasie wojny arcydzieła Łodyna wykonywał na polecenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Potem realizowali również wspólne przedsięwzięcie operacyjno-techniczne w irackim Kurdystanie. Dwa lata temu Montana i Kate koordynowali połączoną operację specjalną w Wenezueli oraz zidentyfikowali agenta rosyjskiej Służby Wywiadu Zagranicznego w szeregach Agencji Wywiadu. Okazał się nim szef pionu bezpieczeństwa Tomasz Romańczuk. Kate pracowała od tego czasu w stacji CIA w Genewie, gdzie zajmowała się śledzeniem przepływów finansów rosyjskich oligarchów związanych z Władimirem Putinem.

– Cześć, kochani. W Wiedniu jeszcze nigdy nie byliśmy razem. W dodatku w niedzielne popołudnie. – Roześmiał się i uściskał z amerykańskimi oficerami. – Ale *blondie* jesteś, Kate! – Co zamówiliście?

– Jak to co? Kawę i *Apfelstrudel* na gorąco, z dużą ilością bitej śmietany i koniecznie z lodami – odpowiedziała Kate.

– Ja biorę tort Sachera. Chociaż trochę mojego ulubionego tropikalnego klimatu, bo jest bardzo czekoladowy, a czekolada jakaś szczególna. *Grüss Gott!* – zawołał jedną z kelnerek i złożył zamówienie.

– Przejdźmy od razu do sprawy. Macie coś nowego?

– Mamy, Marcin – rzekł Montana. – Według rozpoznania mojego pionu grupa ta kierowana jest prawdopodobnie przez obywatela Serbii Jovana Spasojevicia.

– Prawdopodobnie obywatela czy prawdopodobnie kierowana? – przerwał Łodyna.

– Skoro jest tu Kate, to prawdopodobnie obywatela Serbii. A to oznacza, że może on być blisko Rosjan. Ten Spasojević przewijał się w sprawie u nas niepopularnej, czyli broni chemicznej w arsenałach Saddama Husajna.

– Tej, której nie było, a która stała się powodem wojny – przerwał Łodyna, a Tom tylko kiwnął głową. – Rozmawialiście o tym z BVT?

Montana i Kate popatrzyli na Łodynę ze zdziwieniem. Następnie spojrzeli wymownie na siebie, ale się nie odezwali.

– No tak. Nie dziwię się. Hmm...

– Teraz rozumiesz, dlaczego ja także tu jestem.

– Domyśliłem się.

– Marcin. A ty nie pamiętasz ze swojego pobytu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku w Iraku tego nazwiska? Nie przechodził on w waszych sprawach? W końcu dużo wtedy robiliście w Iraku. Sam pamiętam. Macie jego zdjęcia...

– Nie kojarzę. Wtedy to jeszcze musiał mieć paszport jugosłowiański. Poza tym mógł się trochę zmienić.

– Mógł. To prawda, ale technika poszła do przodu i są większe możliwości porównania zdjęcia z przeszłości z jego dzisiejszym wyglądem, takie antropologiczne oprogramowanie. Korzystałam niedawno z niego i naprawdę byłam pod wrażeniem.

– Posłuchaj, Marcin. Pewnie chodzi w tym wszystkim o jakieś sprawy związane z bronią chemiczną. Ale nie tylko. Wiemy z niepotwierdzonych informacji, że ten nasz Jovan zainteresowany był jakiś czas temu zakupem urządzeń do produkcji dokumentów. Ale nie mamy pewności, czy kupił takie maszyny.

– A to oznacza, że sprawa może być poważna – wtrąciła Kate.
– Ale to nie wszystko... – Montana zawiesił głos.
– Nie wszystko?! No to ładnie! – rzucił zdziwiony Łodyna i wbił srebrny widelczyk w czekoladowy torcik.

Amerykanie patrzyli na Polaka i czekali, aby dokończył słodkości. Poza nimi w kawiarni było kilka elegancko ubranych pań, wyjętych jakby z innej epoki. Towarzystwa dopełniały pary, które zapewne wybrały ten lokal na randkę. Przy stoliku oficerów wywiadu panowała cisza przerywana stukiem porcelanowych filiżanek o spodki.

– Ale słodkie. Uff – przerwał ciszę Łodyna. – To co jeszcze macie?
– Z przelewów bankowych wynika, że w Brazylii Jovan lub ktoś z jego grupy kupił kilka profesjonalnych dużych jammerów. Ale tylko do zagłuszania częstotliwości GSM, czyli między nadajnikami i odbiornikami – odparła Kate.

– Tu, w Europie? Czyli nie chodzi o zablokowanie komunikacji urzędów GSM za pomocą jammerów na Bliskim Wschodzie, tylko tutaj? Za dużo tego. A ta Brazylia to coś pewnego?

– Tak. Z analizy przelewów wynika, że pieniądze szły w obu kierunkach. Namierzamy odbiorcę i nadawcę – doprecyzował Montana.

– Czyli ktoś wspiera działalność grupy Jovana. To ciekawe.

– No właśnie. On może być kluczem do rozwiązania naszej sprawy – odpowiedział Montana.

– Dobra. To co robimy? Byłem już tam na miejscu. Oczywiście widziałem je tylko z zewnątrz...

– Nawet mnie to nie dziwi. Wspólnie z Austriakami? – przerwał mu Montana.

– Tom, bądź poważny. Już to sobie chyba wyjaśniliśmy. – Montana i Kate uśmiechnęli się. – Zainstalowałem tam zakamuflowaną kamerę. Na zewnątrz. Zbiera już materiał. Jak znam Kate, to masz w tej wielkiej torbie laptopa. Odpal go i zgram wam, co zarejestrowała. Pewnie pochodzi jeszcze ze trzy, maksymalnie cztery dni, ale to zależy od pogody. Wiecie, bateria. Ale myślę, że to wystarczy do wstępnej analizy i podjęcia dalszych wspólnych działań.

– Jakież wstępne propozycje? – zapytał Montana.

– Bez *secret search* się nie obejdzie.

– Jaśniej?

– Trzeba tam wejść. Proponuję od Haidestrasse. Tam jest parking przy magazynach z żywnością. Lepsze podejście. Aha. Naprzeciwko obiektu jest strzelnica. To ważne, bo niewykluczone, że koledzy Jovana tam trenują.

– Daj nam ze trzy, cztery dni. Będziemy mieli wtedy większy materiał z podglądu. Zrobimy jego analizę. Może coś wyjdzie – powiedziała Kate. – Myślę, że Marcin ma rację. Musimy wiedzieć, co tam jest. – Spojrzała na Montanę.

Rozdział 33

Wiedeń – wiosna 2016 roku

Był ciepły wieczór. Montana z Łodyną siedzieli w narożnej knajpie przy Wildpretstrasse, której klientelą byli głównie robotnicy z okolicznych magazynów, składów, firm, niewielkich zakładów usługowych. Przed nimi stały rozklepane *Wienerschnitzel* i *Kochsalat*, czyli sznycle i porcje sałaty rzymskiej z pomidorami, oraz dwa zimne piwa Gösser. Ich szary volkswagen golf zaparkowany był kilkadziesiąt metrów dalej, koło wypożyczalni sprzętu budowlanego.

– Tom, ten Jovan nie wygląda na motorniczego wiedeńskiego tramwaju.

– Skąd to skojarzenie?

– W naszym przedstawicielstwie przy OBWE słyszałem, że chyba Serbowie opanowali tę profesję. – Łodyna się uśmiechnął.

– Aha. No nie wygląda. Reszta też nie. – Montana przesunął palcem po ekranie tabletu. – W ogóle dziwna klientela. Z Bliskiego Wschodu jacyś kolesie, ale i zwykli ludzie, Austriacy. – Patrzył na obraz zarejestrowany przez kamerę podrzuconą pod magazynem przez oficera polskiego wywiadu.

– Fakt. Różni. Ustaliliście coś?

– Jeszcze nie. Ale działamy. Porównują to z innymi bazami. Wiesz, linie lotnicze, banki, operatorzy telefonii, wypożyczalnie samochodów. Ale i wnioski wizowe, tam gdzie jest dostęp. W jaskini nie żyli jak ten, pamiętasz, Kurd z ISIS.

– Ja też wysłałem do Warszawy pytania. Może coś znajdą. Dobrze, że w ogóle zgodzili się na tę operację. Tyle dobrego z tych wszystkich zmian u nas.

– Może się jeszcze nie zorientowali, o co chodzi? A tę historię w górach doskonale pamiętam. Średniowiecze. Lampa naftowa, świeczki. Zero czegokolwiek z dwudziestego wieku. Kurierzy i *hawala*. To co? Kończymy sznycle i do roboty. Kate będzie na nas czekała na parkingu – rzucił Montana po wypiciu piwa z zielonej puszki.

– Wiesz co, Tom? Daj mi jeszcze z jeden magazynek do mojego glocka.

* * *

– Kate? Widzisz bramę numer cztery? Co u ciebie? – zapytał szeptem Łodyna przez wszyty w kołnierz kurtki bezprzewodowy mikrofon.

Bateria działa. Widzę obraz z twojej przy obiekcie i nowej na ulicę dojazdową. U mnie nic się nie dzieje. Jakies furgonetki po warzywa i owoce albo ostatni działkowcy wychodzący ze swoich ogródków. A u was?

– Cisza. Kilka samochodów klientów strzelnicy. Słychać sporo strzałów. Koło magazynu nikogo nie widzieliśmy. Zaraz wchodzimy. Jesteśmy już pod oknem.

Widzę. Copy.

Tom popatrzył na kolegę, sprawdził broń i dwa zapasowe magazynki.

– Kominiarki, włączamy nasobne kamery i ruszamy, Tom!

Łodyna wyciągnął z zarośli na płocie przerzuconą wcześniej niewielką drabinę. Rozłożył ją, a Tom szybko wspiął się po niej. Podważył niewielkim łomem metalową futrynę okna. Wygięła się i puściła. Amerykanin był wewnątrz. Zeskoczył ze stojącej pod oknem skrzyni. Po chwili dołączył do niego Łodyna. Wsłuchiwali się w odgłosy z zewnątrz. W pomieszczeniu magazynowym było dość jasno ze względu na duże okna, przez które wpadało światło z latarni. Mimo to włączyli latarki.

– Ja sprawdzam skrzynie, ty maszyny i te stoły – szepnął Łodyna, a Montana kiwnął głową.

Amerykanin szedł powoli wzdłuż stołów, na których ustawione były duże drukarki z panelami sterowniczymi na wyciągniętych, prasy, monitory, gilotyny do przycinania papieru. W końcu doszedł do stojących na podłodze urządzeń przypominających trochę magiel albo wielkoformatowe drukarki do map. Nachylał się nad każdą tabliczką znamionową. Miał przed sobą czytniki optyczne przeznaczone do przetwarzania informacji zawartych w paszportach, wizach i innych dokumentach podróży. Urządzenie takie połączone było zwykle z komputerem, za pomocą którego weryfikowano zgodność zebranych informacji ze zdefiniowaną przez użytkownika bazą danych. Komputerów jednak nie było, z czytnika zwisały tylko kable.

Łodyna tymczasem unosił po kolei pokrywy skrzyń. Omiałał ich wnętrza zimnym światłem taktycznej latarki. Na razie znajdował różnego typu papier kredowy, sztywne, kolorowe kartony czy przezroczyste folie klejące. W kilku była farba drukarska o intensywnym zapachu, jakieś rozpuszczalniki w dużych puszkach. W jednej, jak wynikało z oznaczeń, znajdowały

się pojemniki z parafiną. Spojrzał na Montanę, który zaglądał pod wielką kserokopiarkę.

Podszedł do niego.

– Masz coś? U mnie sama poligrafia.

– Komputery muszą zabierać ze sobą. Jak coś robią, przywożą. Widać to po wiszących kablach. Podłączałem laptopa i ściągałem, co się da. Może coś się zawieruszyło w podręcznych folderach?

– A reszta?

– Możemy pobrać próbki z podłóża, ze stołów i ze wszystkich zakamarków. Może coś wyjdzie. Zastanawiają mnie te duże beczki po oleju i benzynie. Trzeba koło korków zebrać próbki – powiedział i dał Łodynie kilkanaście strunowych torebek z miękkimi, grubymi wstążeczkami w środku. – Kate. Nie ma nic konkretnego – dodał Amerykanin do mikrofonu.

Szukajcie dalej. Musi coś być. Z takim towarem się nie znika. Za dużo przygotowań z naszej strony, żeby to tak porzucić.

– Copy! – rzucił Montana.

Po kilku minutach Amerykanin podszedł do Łodyny zajętego zbieraniem próbek w kącie pomieszczenia za skrzyniami, które wcześniej otwierał jego polski kolega. Chciał przesunąć jedną, wysoką, ale ta ani drgnęła. Tom zaparł się o ścianę i dalej nic.

– Marcin. Pomóż mi. Przykręcona do podłóża czy co?! Kurwa – wzmocnił pytanie polskim przekleństwem.

– Czekaj. A skończyłeś u siebie przy tych drukarkach?

– Tak. Dawaj.

Mężczyźni pchali, ale skrzynia nie ruszyła się ani o centymetr. Stali przez chwilę zrezygnowani.

– Dobra, pierdolić to. – Łodyna wyjął łom z za pasa i wręczył go Montanie. – Tom! Wskakuj na wierzch. Zobaczymy, co tam jest.

– Okej. – Amerykanin zwinnie wszedł na górę skrzyni.

Podważył jej wieko tak sprawnie, jakby całe życie tylko tym się zajmował. Drewniana pokrywa jęknęła, drgnęła i odskoczyła. W środku zaczął coś przesuwac.

– Fuck. Marcin. Dno na wysokości pół metra! – Zeskoczył na podłogę.

Popatrzyli znowu na siebie i na boczną ścianę skrzyni. Łodyna, nie namyślając się długo, wziął od Montany łom i wcisnął go w szparę.

– Czekaj. Może odkręcić. Może tu jest jakiś ukryty zamek?

– Pewnie masz rację. Ale nie mamy czasu.

Mocno szarpnął. Potem jeszcze raz. Klęknął i przy samej podłodze mocno pociągnął do siebie łapkę. Ściana się odchyliła. Obu mężczyznom ukazała się wykuta w podłodze dziura, a z niej wystawał kawałek metalowej drabiny. Skierowali w jej kierunku światła latarek. Podeszli do ciemnego otworu. Widzieli jego dno i podłogę jakieś dwa metry poniżej.

– Wchodź, Tom. Jesteś mniejszy. Czeka!

Jakieś dwa samochody jadą. Nie. Dobra. Bezpiecznie. Przyjechali kolejni amatorzy wystrzałowych sportów.

– Pospiesz się, Tom.

– Wiesz. Czosnkiem tu coś zajeżdża albo mi się wydaje. Jak twoją kiełbasą, którą robiliśmy na grillu nad basenem. Co to może być?

Łodyna pokręcił głową.

– Obym się, kurwa, mylił. To może być iperyt siarkowy.

Tom błyskawicznie wyjął z małego plecaka maskę przeciwgazową i zszedł po drabinie. Zniknął w ciemnościach. Łodynie waliło serce. Spoglądał nerwowo w wykuty otwór, na bramę, na okno i znowu na otwór.

– Jak tam?!

– Coś jest. – Marcin zobaczył twarz Montany, który stał na drabinie z maską zsuniętą na czoło. – Wracam do piwnicy. Mają tu też broń i amunicję. Ale jest kilka podejrzanych pojemników... chyba z chemią!

– Nie wiesz, co to może być?

– Nie wiem. Ale po tym, co widzę, może to być iperyt. Są jakieś oznaczenia, ale to się później rozszyfruje. Muszę zeskrobać trochę betonu na podłodze i zabrać nieco trocin ze skrzynek, w których stoją pojemniki. Pobieram próbki, kręcę film akcji i wychodzę. – Uśmiechnął się, założył z powrotem maskę i zniknął w wykutej dziurze.

Jadą wzdłuż magazynów od ulicy jakieś dwa vany. Słyszycie? Coś się dzieje. Zbierajcie się już. Za długo to trwa!

– Tom. Spierdalamy. Jakiś ruch przed bramą. Nie słyszałeś Kate?!

– Słyszałem!

Natychmiast! Skręcają w lewo, w waszym kierunku. Tym razem chyba nie na strzelnicę! Słyszycie?! – Kate nerwowo ich ponaglała.

„Skąd oni się tu wzięli. O tej porze?!” Łodyna wyjął pistolet zza paska, przeładował i spojrzał na oświetlone już z zewnątrz światłami pojazdów drzwi garażowe. Tom zaczął wychodzić po drabinie. Zdjął maskę. Popatrzył na Łodynę, który w dłoni trzymał broń. Potem na drzwi. Włożył

wszystkie torebki strunowe w jedną dużą. Zapiął ją. Potem wcisnął je wraz z maską do małego plecaka. Usłyszeli dźwięk odsuwanych drzwi samochodów. Głosy się zbliżały.

– Arabski – rzucił szeptem Łodyna. – Zamykamy tę ścianę. Może zdążymy – dodał i szybko podnieśli ją, aby zamaskować wejście do schowka.

Stuknęli parę razy pięściami w drewniane deski. Montana docisnęła je łokciem. Zakamuflowane drzwi jakoś się trzymały. W momencie kiedy ruszyli w kierunku okna, z łoskotem podniosła się zrolowana ściana drzwi garażowych. Stał w nich jakiś mężczyzna wyglądający na Araba, obok drugi coś do niego mówił. Za nimi wysiadał powoli z granatowego volkwagena transportera Spasojević, który trzymał smartfon przy uchu. Z następnego busa wyszli trzej kolejni mężczyźni z niewielkimi torbami. Kierowca uchylił drzwi, ale został w szoferce. Też rozmawiał przez telefon. Krzyknął coś do Spasojevicia i skierowali się z pozostałymi na strzelnicę. Montana popatrzył na Łodynę.

– Jak tamci wejdą na strzelnicę, to walimy do tych. – Wskazał głową.
– Jeśli do nas dociera dźwięk strzałów, to chyba tam wewnątrz huk jest znaczny. Do tego pewnie wszyscy w ochraniaczach na uszy. Póki element zaskoczenia jest po naszej stronie i stoją obok siebie, na oświetlonym terenie, to mamy szansę. Jak włączą światło w magazynie, to po nas. A jak zaczną walić w te beczki z paliwem i rozpuszczalniki w pojemnikach, to wszystko pójdzie z dymem momentalnie. Łącznie z nami. A jak w tych beczkach jest rozpuszczony iperyt... albo to na dole to jakieś inne chemiczne paskudztwo?! Nie chcę nawet myśleć – wyjął sigsauera P320 i przeładował.

– Rozpuszczony?

– Tak.

– Dobra. Nie ma wyjścia. Jak Spasojević podejdzie do nich albo któryś z nich przejdzie bramę, to walimy – zarządził Łodyna. Montana tylko przytaknęła.

– Kate. Zaczynamy.

...*Copy!*

W tym momencie jeden z mężczyzn, trzymając pęk kluczy, ruszył w prawo do skrzynki z włącznikami oświetlenia. Montana bez namysłu dwukrotnie pociągnął za spust, a potem to powtórzył. Ciało odrzuciło na framugę drzwi, a później na stojący przy wejściu stół warsztatowy z szufladą i tablicą na narzędzia. Wszystko się przewróciło. W magazynie roz-

szedł się metaliczny łośkot upadających na betonową podłogę narzędzi. Zaskoczenie było pełne. W tym samym momencie trafiony dwa razy przez Łodynę drugi mężczyzna przewrócił się na maskę białego forda transita. Po chwili osunął się po niej. Pozostały po nim dwa pasy rozmazanej krwi.

Spasojević odruchowo padł na podjazd i przeturlał się w kierunku samochodu. Unikając gradu kul uderzających w karoserię samochodu, skulony wycofał się na tył samochodu.

Wyciąga pistolet. Czekaście. Biegnie do drzwi strzelnicy. Teraz! Uciekajcie!

Nie mam obrazu! Nic nie widzę! – dodała po chwili.

Montana i Łodyna rzucili się w kierunku drzwi magazynu. Wybiegli z ciemności. Przez ułamek sekundy Łodyna pomyślał, żeby dopaść Spasojevicia. Kiedy podniósł glocka i wycelował, ten właśnie dobiegał do drzwi strzelnicy. Otworzył je i zatrzasnął gwałtownie za sobą.

– Zostaw go. Spieprzamy! – krzyknął Montana i po chwili obydwaj przeskakiwali ogrodzenie.

Wciąż nie mam obrazu – usłyszeli w słuchawkach komunikat Kate.

Nie odwracając się, biegli w kierunku zaparkowanego samochodu. Słowa Kate nie uspokajały ich. Po pół minucie byli przy golfie Łodyny. Montana pobiegł w kierunku brązowego opla astra kombi, w którym czekała na niego Kate. Zgodnie z planem oni mieli zostać na miejscu. Montana zamknął cicho drzwi. Ściągnął kominiarkę i rzucił na tył samochodu plecak.

– Spójrz, Tom! Tam, na ogrodzeniu! – Kate wskazała głową. – To ten Spasojević! Wypatruje czegoś przy skrzyżowaniu z naszą Haidestrasse. Idzie w naszym kierunku – dodała.

Łodyna wcisnął czarny plecak do granatowej sportowej torby. Za nim powędrowała do torby czarna bluza. Włożył na siebie niebieską sztruksową marynarkę. Na głowę wcisnął wypłowiałą, błękitną baseballówkę. Golf Łodyny ruszył powoli.

– Marcin zaraz wyjedzie z parkingu. Spójrz, Kate! Ten granatowy transporter zapieprza. On na niego czeka. Chyba zobaczył samochód Marcina. Spasojević to nie idiota.

Fuck.

Namierzyli cię. Uważaj! – wykrzyczała do mikrofonu Kate.

– Widzimy się u mnie. Czekam na was. Na razie zgodnie z planem działamy. Zabierzcie materiał z drugiego obiektu. Wyłączam się – odpowie-

dział Łodyna i wyłączył smartfon.

Początkowo jechał spokojnie. Na prostej zobaczył przybliżające się szybko światła transportera. Przejechał tunelem pod torami kolejowymi. Skręcił w lewo i ostro nacisnął pedał gazu, przyspieszył, zwiększając momentalnie dystans od ścigających go. Pościg znalazł się w martwym polu obserwacji. Po prawie kilometrze zwolnił silnikiem, nie chcąc naciśnąć hamulca i uruchamiać świateł stopu. Silnik zawył przy redukcji biegów. Łodyna skręcił dość ostro w niewielką, zapchaną zaparkowanymi samochodami Rinnböckstrasse. Po następnych dwustu metrach gwałtownie zwolnił. Tym razem z wykorzystaniem hamulca. Na wysokości tyłów hotelu Simm's wjechał w prawo, w jeszcze węższą Zippererstrasse. Z Polakiem z wypożyczalni w Sixt umówił się, że tu właśnie zostawi golfa. Kosztowało go to pięćdziesiąt euro.

Przecinając Rinnböckstrasse, kątem oka dostrzegł światła skręcającego w nią transportera. „Jedzie powoli, szukają, nie zauważyli mnie”.

Przeszedł przez wąski pasaż i po chwili był w półkolistym, przeszklonym pawilonie, którym wchodziło się do stacji metra Zippererstrasse, pomarańczowej linii numer 3. Korytarzami dotarł na peron wypełniony głównie młodzieżą jadącą na imprezy w centrum Wiednia. Pociąg wjechał po chwili.

Łodyna po dwudziestu pięciu minutach wysiadł z metra przy Hütteldorfer Strasse i skierował się do swojego mieszkania. Miał do pokonania dwa kilometry. Po drodze wstąpił do Lidla zrobić zakupy, bo wiedział, że trochę posiedzą u niego amerykańscy znajomi. A zapewne będą głodni. Wychodząc ze sklepu, zlustrował otoczenie, ale nie zauważył nic niepokojącego. Po godzinie był już w domu.

Nalał do szklanki bourbona, dodał kilka kostek lodu. Wyszedł na balkon i spojrzał na potok samochodów zmierzających do centrum miasta wzdłuż rzeki Wiedeń. Na horyzoncie migają jakieś światełka na wzgórzu Lainzer Tiergarten.

Łodyna dopiero teraz poczuł, że adrenalina puszcza. Do tego momentu jakby znajdował się w jakimś transie, działał jak automat nawet podczas zakupów. Kiedy stał oparty o balustradę balkonu, przypomniał sobie, że wyłączył smartfon do kontaktu z Montaną i Kate, który przed akcją zostawił w mieszkaniu. Włączył go i spojrzał na wyświetlacz. Montana nie nawiązywał jeszcze kontaktu. „Pewnie wciąż są na miejscu albo czekają na mnie” – pomyślał. Potem popatrzył na zegar. Uświadomił sobie, że na bal-

konie spędził prawie pół godziny. Spojrzał na butelkę. Oceniał, że wypił może niecałą ćwiartkę. Otrzeźwiał, w czym pomógł lekki wiatr znad Lasu Wiedeńskiego.

Wybrał numer Montany.

* * *

– Czyli wynika z tego, że tym umazanym krwią transitem wywieźli zawartość z piwnicy – powiedział Łodyna.

– Tak. Na to wychodzi. Pewnie i te dwie skrzynie z bronią, którą namierzyłem w dziurze.

– Nie wszystko było widać, ale na podstawie tych fragmentów, które obejrzałem, można dojść do takiego wniosku. Spójrz, Marcin. – Kate wskazała na ekran laptopa. – Ale dopiero gdy zrzucimy cały materiał, wtedy da się to uporządkować. Jutro trzeba go wysłać wraz z próbkami. Dlatego jeszcze w nocy muszę z Tomem podjechać do naszej stacji w ambasadzie. Trzeba to spakować w pocztę dyplomatyczną.

– Najgorsze, że nie możemy się z tym zwrócić do BVT – dodał Montana.

– A może jednak im przekazać, Tom? Zastanawiałam się nad tym w drodze do Marcina.

– I co im powiemy? Że napad zrobiliśmy, włamanie, że odpaliliśmy dwóch ludzi? Pomyśl, Kate. To Austriacy. Byłaby afera. Tym bardziej że nic się nie stało po tej całej strzelaninie. Tematu nie ma. A trupy pewnie już posprzątały i one pływają sobie w modrym Dunaju. Towar wywieźli.

– Drukarnia została. Mamy próbki – oponowała Kate.

– Drukarnia bez komputerów, bez żadnych śladów. A próbki nielegalnie pobrane, jak zaraz powie jakiś austriacki prokurator czy sędzia – kontynuował Montana.

Marcin sięgnął po szklankę i dodał:

– Poza tym nie zapominajcie o polityce. Oni tu mają od kilku dni nowego kanclerza na czele koalicyjnego rządu. A niebawem zostanie wybrany nowy prezydent Austrii. Będą się bali ruszyć dupy. Wiecie, jak to jest przy zmianie władzy. Przerabiałem to u siebie.

– No tak. Pewnie macie rację – doszła do wniosku Kate.

– Czyli mamy noc do tyłu. Dlatego... proponuję teraz dobre tajskie jedzenie. Sam przygotowałem.

- Sam? Kiedy? – zdziwiła się Kate.
- Mięso zrobiłem wcześniej, a warzywa w kokosowym sosie curry po przyjeździe.
- Dziwię się, że dałeś radę po tej akcji. Ja jeszcze nie mogę dojść do siebie – wtrącił Montana i rozlał do szklanek resztki bourbona.
- To mnie uspokaja, Tom. Polecam taką *cooking therapy*. Smacznego.
- Łodyna zaprosił gości do stołu. Zaczęli nakładać parujący ryż i pachnącą potrawkę. Nalał do kieliszków zimnego rieslinga z doliny Dunaju. Przez dłuższą chwilę nic nie mówili, tylko jedli i popijali wino.
- Długo tam byliście? – przerwał milczenie Łodyna.
- Ponad godzinę. Jak granatowy transporter wrócił do magazynu, po jakiejś półgodzinie, to zaczęli wszystko wynosić. To znaczy te rzeczy z dziury i coś ze skrzyń – odpowiedziała Kate.
- A nie zwrócili na was uwagi?
- Takie samochody jak nasz na tym parkingu to były jeszcze ze trzy...
Prawda, Tom?
- Nie bardzo... rozumiem – zdziwił się Łodyna.
- Co tu do rozumienia, Marcin? Parki przyjeżdżają tam na szybie numerki w samochodach – obrazowo wyjaśnił Tom i wrócił do jedzenia.
- Łodyna uśmiechnął się pierwszy raz tego wieczoru. Otworzył drugą butelkę schłodzonego wina.
- To co, chodźmy na fotele i zobaczmy, co tam przy Spiegelgasse nagraliście – zaproponował. – A w ogóle przeglądaliście to?
- Kilka godzin przed operacją w magazynie amerykańscy technicy na prośbę Łodyny zainstalowali kamerę, która nagrywała osoby wchodzące do antykwariatu Barylczyka. Kate była przeciwna, aby wykorzystać w tym miejscu technikę, ale złamała się po namowach Toma. To był z ich strony taki gest dobrej woli wobec Łodyny.
- Nie mieliśmy czasu – odrzekł Tom, a Kate uruchomiła laptopa.
- Wiecie, kochani. Ktoś poprosił mnie w kraju, żebym zrobił parę ustaleń. Powiedzmy, że prywatnie, ale nie do końca...
- Nawet nie chcę o tym słuchać – przerwała mu ostro Kate.
- I wyobraźcie sobie, że w tej sprawie jest parę zbieżnych sytuacji...
- Z czym zbieżnych? – zapytała nieco poirytowana Kate, ustawiając coś w laptopie.
- Z tą sprawą... – Oficerowie CIA spojrzeli na Polaka ze zdziwieniem.

– Posłuchajcie. O przeczuciu nie będę mówił. Ale sporo jest dziwnych zbieżności. Więc proponuję przejrzeć uważnie materiał.

– A masz coś więcej niż te swoje przeczucia? – zapytała nieco prześmiewczo Kate.

– Mam. I wyprzedzę twoje następne pytania. Dam wam wszystkie dane. W tym nazwiska, numery telefonów, adresy i, co może być bardzo ważne – numery kont bankowych. A więc ustalicie wielkości przelewów, nadawców i odbiorców. – Z wyrzutem spojrzął na Kate.

– Dobra. Mamy mało czasu. Popatrzmy – powiedział pojednawczo Montana. – Siedź, Marcin, a ja zrobię kawę – dodał i klepnął w ramię Łodynę, wstając z fotela.

Kate i Łodyna zaczęli przeglądać zdjęcia poklatkowe z nagrań sprzed wejścia do antykwariatu. Po kilkunastu minutach Łodyna nagle prawie krzyknął.

– Patrz. Tutaj. Ten i ten.

– Który ten i ten?!

– Cofnij i powiększ.

Kate cofnęła nagranie o kilka zdjęć.

– Popatrz. Jakiś elegancki Austriak.

– Który? No ten, który wychodzi ze... Spasojeviciem. Tom, spójrz i ty. Nie było go pod magazynem? – Montana nachylił się nad ekranem.

– *Fucking shit*. Może i on! – Łodyna usiadł i rozparł się w swoim fotelu.

– A mówiłem? Mam nosa – powtarzał podekscytowany Łodyna. – Kurwa, wiedziałem. *Fuck*.

– Na razie to tylko wasze przypuszczenia – wtrąciła sceptycznie Kate.

– Marcin, daj wszystkie informacje, które masz. My porównamy zdjęcia osób wchodzących i wychodzących z naszą bazą danych. Musimy namierzyć, kim jest ten starszy gość. Na Ruska ani Araba nie wygląda.

– Muszę o tym napisać do Centrali. I to jeszcze dzisiaj. Bo ja go, kurwa, skądś kojarzę. Magda musi podjąć decyzję, co dalej, i załatwić u szefa akceptację.

Amerykanie kiwnęli głowami.

Tymczasem Łodyna wstał i zatelefonował do szyfranta w Przedstawicielstwie RP przy OBWE. Uprzedził go, że w nocy będzie wysyłał do Centrali pilny szyfrogram.

Rozdział 34

Wiedeń – wiosna 2016 roku

Kate postawiła na stole torbę ze styropianowymi pojemnikami na jedzenie. Po mieszkaniu od razu rozszedł się charakterystyczny zapach z niemieckich i austriackich ulic zastawionych kramami i budkami z jedzeniem.

– Dzisiaj my stawiamy jedzenie. Po drodze z ambasady zatrzymaliśmy się koło opery przy takiej budzie czy pawilonie. Podobno podają tam z grilla najlepsze *Bratwurst* i *Kaskekrainer* z serem. Jeszcze gorące. Mamy do tego ciemny chleb, musztardę i...

– Widzę pikle – odpowiedział Łodyna.

– Tom poprosił, żeby sprzedawca nałowił ich ze słoja więcej – rzuciła Kate.

„Nawet nie musiała tego mówić. Zapach wspaniały” – pomyślał Łodyna.

– Świetnie. Bo nie zdążyłem jeszcze dzisiaj nic zjeść. Piwo mam w lodówce.

Po chwili siedzieli przy stole i zajadali się austriackimi specjałami.

– Skoro tak szybko przyjechaliście, to rozumiem, że macie coś ekstra?

– Jasne! Chwilę. Daj zjeść. – Tom pociągnął z butelki zimnego edelweissa.

Po chwili odezwała się Kate:

– Zacznijmy od pobranych przez was próbek. Trwało to kilka dni, ale najważniejsze, że nasze laboratorium potwierdziło, że to faktycznie iperyt.

– O kurwa! A nie wiadomo, jakie źródło? Bo chyba nie tak łatwo to wyprodukować poza laboratorium?

– W sumie nie tak łatwo, ale czekaj... to ocena naszych chemików. – Tom wziął tablet i zaczął szybko czytać:

...siarczek 2, 2-dichlorodietylowy...

– To dalej. Moment.

...gotować stężony kwas solny co najmniej trzydzieści minut lub dłużej w temperaturze...

– Nie tutaj – wtrąciła Kate.

...aż na dnie osiądzie gęsty olej. Wymagania laboratoryjne procesu w zakresie zabezpieczenia przed oparami...

– Dalej, Tom.

– O, jest!

...biorąc pod uwagę jego czystość, sposób przechowywania, nie wyklucza się, że może pochodzić z ośrodka wysoko wyspecjalizowanego, czyli z produkcji laboratoryjnej.

– Czyli zostało to przywiezione. Zakładamy, że być może z Bliskiego Wschodu. Chociaż kto wie? – skonkludował Montana.

– Myślisz o Rosji? – zapytał Łodyna

– Może z Rosji, ale czy to rosyjska produkcja, tego nie wiemy – dodała Kate i pociągnęła solidny łyk z wysokiej butelki z biało-zieloną naklejką. – A gdzie to może teraz być, to musimy ustalić. I to szybko!

– Druga sprawa. Cała ta poligrafia, którą znaleźliśmy w magazynie. Nasi porównali wszelkie dane szczątkowe, które zostały w urządzeniach, twarze ludzi z naszych nagrań, numery seryjne sprzętu, a co za tym idzie, nabywców. I wyobraź sobie, Marcin, że wszystkie drogi prowadzą do Turcji oraz Syrii i Iraku.

– Czyli co, Tom? Paszporty dla członków ISIS przerzucanych w ramach... wojny demograficznej do Europy? Czy w tym mogli maczać ręce Rosjanie? – zastanawiał się na głos Łodyna.

Amerykane przytaknęli. Kate wzięła butelkę piwa i wyszła na balkon zapalić.

– Piękny masz widok... Tom, przeczytaj mu, co wynikło z pozostałych ustaleń. Bardzo cię to zainteresuje, Marcin. Będzie robota dla twojej Agen-

cji.

– Posłuchaj. – Montana wziął tablet, przesunął, stuknął kilka razy palcem w jego ekran i zaczął czytać:

Józef Hanser. Urodzony w Polsce...

– Kto?! – Łodyna wyprostował się gwałtownie.

– Józef Hanser – odpowiedział Montana. – Znasz go? Marcin?

Polak zastygł w bezruchu. Mięśnie jego twarzy nie drgnęły. Amerykanie przyglądali mu się badawczo. On pokiwał kilka razy głową. Po chwili milczenia odezwał się:

– Czytaj, Tom.

Józef Hanser... Używa również portugalskiego imienia José. Zamieszkały na stałe w Belo Horizonte w Brazylii. Przedsiębiorca z branży handlu kamieniami szlachetnymi. Ma również duże udziały w firmie spedycyjnej Overseas Brasi Logística – Belo Horizonte. Odnotowane pobyty w Wielkiej Brytanii, Holandii, Francji, Portugalii, Czechach (Czechosłowacji) i Polsce. Liczne podróże po krajach Ameryki Południowej. Ustalono, że przewijał się w materiałach inspektorów UNSCOM w Iraku z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Jego nazwisko i firma OBL przewinęły się też w informacjach z naszej stacji w Khanzad pod Irbilem. Podejrzenia o łamanie embarga – bliższych danych brak...

– A pamiętasz, Tom, jak od razu ci powiedziałem, że w tym hotelu w Kurdystanie była wasza stacja? – Łodyna uśmiechnął się, jakby chciał uciec myślami od tego, o czym Montana przeczytał.

...Liczne przekazy bankowe z różnych oddziałów Raiffeisen w Europie (głównie Wiedeń, Londyn) na rachunek w Banco do Brasil w Rio de Janeiro. Najstarsze odnotowane w 1978 roku, ale prawdopodobnie były już w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Co wynika m.in. z roku założenia konta. Analiza przekazów, kontaktów oraz danych teleadresowych wskazuje na powiązania J.H. również ze światowym rynkiem dzieł sztuki.

– Marcin. Wiemy także, że was wtedy zainteresował. Dlaczego? Tom, pokaż mu jeszcze zdjęcia tego faceta – wtrąciła Kate.

Łodyna spojrział na fotografie wyświetlone na ekranie. Widać było, że wykonane zostały w różnych latach. Odłożył tablet. Kate go obserwowała. Montana dopijał drugą butelkę edelweissa. W końcu odezwał się:

– Słuchajcie. To nie jest jakiś normalny facet. On robi interesy w różnych miejscach. Ja go tam kiedyś spotkałem!

– W Kurdystanie czy... Iraku? Kiedy?

– Bagdad. Hmm. Wiem! Przed drugą wojną w Zatoce go spotkałem. Dwa razy i dwa razy przypadkowo. Drugi raz przy prowokacji miejscowych wobec naszego dyplomaty.

– A to oznaczać może Rosjan? – zapytała Kate.

– Może, ale wiesz, w tamtym miejscu był duży sklep, w którym wielu cudzoziemców się zaopatrywało. Może wtedy wyciągnąłem zbyt pochopne wnioski?

– Może tak, a może nie – odparła Kate.

– Marcin. W każdym razie... jakby twój rodak. Ale nic na niego nie ma – odezwał się Montana.

– Jak nie ma, Tom?! Ludzie, tylko zwróćcie uwagę, że wychodził z antykwariatu kilka dni temu z tym Spasojeviciem. Więc jakiś styk z Rosjanami może być.

– Wiem! Kate. Pamiętam! Kurwa, przypomniałem sobie! Ten Spasojević kręcił się w dziewięćdziesiątym ósmym przy tym Hanserze. Ha!

– Tylko pamiętajcie... – wtrącił Tom. – W końcu mógł to być przypadek albo ten, jak mu tam... Hanser kupował coś, sprzedawał. W magazynie prowadzą normalny biznes. Widziałeś. Sporo interesantów się tam kręci. A między nimi ten właśnie. *Who knows?!* To jak z tym sklepem w Bagdadzie. Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – zakończył.

– Ja podobnie jak *razwiedcziki* z SWR i GRU nie wierzę w przypadki. Choć nie ukrywam, że mogą się zdarzyć – odpowiedział Łodyna.

– Tak, tak... Mówiłeś o tym na Margaricie – skwitowała Kate. – Co proponujesz?

– Otworzyć piwo. – Łodyna uśmiechnął się do Kate i stuknął w butelkę Montany.

Wypił kilka łyków zimnego napoju. Nabrał powietrza i powoli wypuścił je ze świstem.

– Piszę do Magdy, niech i nasi sprawdzą tego całego... Józefa. Pamięć jest zawodna. Poza tym nie było mnie chwilę po powrocie z Iraku. Może coś ustalali? Choć myślę, że trzeba poszukać głębiej niż tylko w naszej kartotece operacyjnej. Że pewnie w starych sprawach coś będzie. Tak mi się kojarzy, że były jakieś zapytania w jego sprawie. Chyba nawet do was? Z tego, co pamiętam... A może Tom ma rację?

– No, skoro u was wszystko ujawniono, wszystkich współpracowników i oficerów sprzed tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, to nie będzie problemu... Albo? Poczekaj! Bo z ich zapowiedzi wynika, że posuną się jeszcze dalej z odtajnieniem archiwów i niebawem to wszystko będzie jak na talerzu, dostępne dla każdego. Rosjanie to lubią – zażartowała Kate.

– Twoje uwagi są jak zwykle wyjątkowo celne, tylko gównu wnoszą do sprawy – obruszył się Łodyna i znowu sięgnął po piwo. – Jak ten Józef jest lepszym cwaniakiem, niż myślimy, to żadnych materiałów nie będzie. Ale mam pewien pomysł. Poza sprawdzeniami w jawnych zbiorach są jeszcze inne kartoteki poszczególnych jednostek organizacyjnych MSW.

– Co masz na myśli? – spytał Montana.

– Wiedziałem, że cię to zainteresuje. Co? Lata osiemdziesiąte i wasze dwie wpadki w Warszawie! Czy te kontenery w Lesie Kabackim?! Nie pamiętacie tego? – Łodyna odgryzł się Amerykanom. – Dobra. Powiem wam. Myślę o pionach B i T, czyli obserwacja i technika oraz Wydział IX kontrwywiadu, czyli Departament II. Oni mieli osobne, wewnętrzne kartoteki. Takie podręczne, techniczno-organizacyjne można by powiedzieć.

– A jak to chcesz sprawdzić? Tak tylko pytam... – rzucił Montana.

– Mam znajomego, który może coś ustalić poprzez swoich znajomych w politycznych sferach. Dawni koledzy ze służby też coś mogą wiedzieć.

– Okej.

– A poza tym... Tom, słuchaj teraz... Mam pewne kontakty w polskim środowisku w Ameryce Południowej i w polskich placówkach jeszcze z okresu pracy w Wenezueli. Wiecie, żołnierze, polscy emigranci...

– Poważnie?! Znowu ten... Anders?!

– *Really, really*. Pomogli wtedy, to i teraz pomogą.

Rozdział 35

Wiedeń – maj 2016 roku

To wydawało się zupełnie naturalne. Przecież w pracy oficera wywiadu potrzebny jest nie tylko łut szczęścia czy nos, albo jak w przypadku Łodyny przecucie, ale też sieć kontaktów w różnych zakątkach świata. Gdy Łodyna otrzymał od oficerów CIA informację o Józefie Hanserze, z której wynikało, że mieszka on na stałe w Brazylii i prowadzi tam interesy, to spędził całą noc na pisaniu e-maili do znajomych. Do ambasady w Brasili, do konsulatów w Rio de Janeiro i Kurytybie. I szybko otrzymywał odpowiedzi. Hansera nie kojarzono. Nikt o takich danych nie przewijał się w dokumentach, notatkach czy sprawozdaniach konsularnych. Marcin pewnie nie byłby tak zawzięty w tych ustaleniach, gdyby nie poznał kiedyś Hansera w Bagdadzie i gdyby wtedy tak go on nie zainteresował.

Jednak najbardziej liczył na pomoc Philippe Winieckiego. Była to pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, kiedy Amerykanie ustalili, kim jest elegancki starszy pan.

Winiecki odpisał mu szybko i poprosił o telefon następnego dnia. Łodyna poznał go kilka lat wcześniej w Caracas, w czasie realizacji operacji specjalnej Agencji Wywiadu i CIA na wyspie Margarita w Wenezueli. Niejako przy okazji, na prośbę polskiego MSZ, badał sprawę zaginionych w czasie wojny dokumentów, które zostały ukryte na wyspie. W dotarciu do tego miejsca pomógł mu wówczas ojciec Philippe'a, były oficer polskiego wywiadu z okresu jego służby u generała Andersa Piotr Winiecki – Armando.

Philippe mieszkał w Rio de Janeiro, ale jako przedstawiciel firmy górniczej podróżował po całym kraju. Natomiast jego rodzice – Piotr i Iza – mieli dom w Belo Horizonte, który po ich śmierci zajmowali teraz siostra Philippe'a Ola i jej rodzina.

Łodyna, telefonując do Philippe'a, zastał go akurat w Belo Horizonte, gdy porządkował razem z siostrą dom rodziców. Winiecki od razu skojarzył, o kogo zapytał Łodyna.

– Przez wiele lat to był nasz sąsiad. Naszych rodziców łączyły bardzo dobre stosunki z Hanserami. Często bywali u siebie. W zasadzie się przyjaźnili. Chyba na początku, gdy przybył do Brazylii, ojciec mu bardzo

pomagał. Pracowali w jednej firmie – powiedział przez telefon Philippe. – Po tym wypadku, a właściwie śmierci żony pana Józefa, jakoś się relacje rozluźniły. Albo mnie się tak wydaje. Nie wiem. Nie pamiętam, bo wyjechałem na studia do Londynu. Nie wiem, co się z nim dzieje. Pewnie Ola wie więcej.

Łodyna poinformował Winieckiego, że interesuje go wszystko, co wiąże się z sąsiadem jego rodziców. Ten obiecał mu pomoc.

Ponieważ Winiecki zdradził, że za dwa dni miał zaplanowany wyjazd biznesowy do Berlina, Łodyna namówił go, aby zgodził się lecieć przez Wiedeń.

* * *

Przed drzwiami mieszkania Łodyny stał mężczyzna ubrany w błękitny garnitur i białą koszulę z włoskim kołnierzykiem. Miał ze sobą obszerną skórzaną aktówkę z zamkiem na kluczyk. Na widok Łodyny otwierającego drzwi wysoki blondyn po pięćdziesiątce z jednodniowym zarostem szeroko się uśmiechnął.

– Dzień dobry. Zapraszam – powiedział Łodyna.

Winiecki silnie uścisnął dłoń gospodarza.

– Wspaniale móc się z panem znowu zobaczyć.

– Ja również się cieszę. Jestem niezwykle wdzięczny, że zgodził się pan spotkać. Bardzo mnie zasmuciła wiadomość o śmierci pana Piotra. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Cóż, taka jest kolej naszego ziemskiego bytowania – rzekł filozoficznie Winiecki. – A wie pan, że przed śmiercią ojciec wspominał o panu i spotkaniu w Caracas? On wtedy przy panu poczuł się chyba znowu oficerem wywiadu. Znając go, podejrzewam, że chciał coś panu przekazać. Ale cóż. Nie zdążył. Dobrze, że odszedł spokojnie w domu, w otoczeniu najbliższych, we śnie.

Weszli do salonu.

– Piękny ma pan widok z okna. Pierwszy raz jestem w Wiedniu. Kiedyś rodzice trochę wspominali pobyt w tym mieście. Pamiętam, jak matka zachwycała się wiedeńskimi lodami w kawiarni, w jakimś parku koło pałacu... To było krótko po tym, jak uciekli z Polski. Nigdy nie chcieli o tym okresie życia za wiele mówić.

– To chyba był dla nich trudny czas?

– Tak. Ja urodziłem się już w Argentynie. Później Ola. No, a potem rodzice przeprowadzili się do Brazylii. Kiedyś obliczałem, że mama, jak byli w Wiedniu, musiała być w ciąży. A może nawet trochę wcześniej...

Łodyna się uśmiechnął. Winiecki podziwiał widok z okna.

– Ile ma pan czasu?

– Jest jeszcze wcześniej. – Winiecki spojrzął na zegarek i odwrócił się.

– Lecę ostatnim samolotem do Berlina. Czyli mam... osiem, dziewięć godzin.

– Świetnie. Mam propozycję. Mówmy sobie po imieniu.

– Jasne.

– Czegoś się napijesz? Pewnie po podróży nie jesteś głodny. Proponuję zatem chłodnego, miejscowego rieslinga. Potem zapraszam cię na typowo austriacki obiad. A na deser zaprowadzę do miejsca, o którym zapewne opowiadała ci matka. To Cafe Glorietta w parku pałacu Schönbrunn.

– Naprawdę?

– Tak! Proszę, siadaj. – Wskazał na dużą kanapę, odkorkował butelkę i nalał do kieliszków wino.

Winiecki postawił aktówkę na podłodze.

– Te ich *trocken*. – Wskazał na butelkę. – Mam dla ciebie naprawdę sporo informacji o przyjacielu ojca, panu Hanserze – odezwał się Philippe.

Na jego twarzy widać było zmęczenie kilkunastogodzinną podróżą.

– Jak wspominałem przez telefon, siostra opowiedziała mi, że pan Józef w ostatnich latach bardzo rzadko pokazuje się w Belo Horizonte. Ale przyjeżdża do Brazylii. Tylko nie wiadomo, gdzie przebywa. Na stałe mieszka chyba w Londynie. Podobno kiedyś miał dłużej przebywać w Polsce. Ola twierdzi, że on jest taką niespokojną duszą.

– Dlaczego?

– Dużo podróżuje, w różnych zakątkach świata ma jakieś interesy. Kiedyś, jak z ojcem pracował, to wiadomo, co robił. Ale od pewnego czasu w zasadzie nikt nie wie, czym on się zajmuje. Oli chyba kiedyś mówił, że ma udziały w jakiejś firmie spedycyjnej czy transportowej. Ale nic konkretnie.

– W zasadzie normalny biznesmen. Nic specjalnie interesującego. A jak on w ogóle zaczął w Brazylii?

– Z tego, co wiem, przybył z Portugalii na początku lat sześćdziesiątych. Ojciec pomógł mu znaleźć pracę w firmie zajmującej się poszukiwaniem i wydobywaniem kamieni szlachetnych. Po kilku, może kilkunastu latach

jednak odszedł z tej firmy. Podobno zajmował się potem tym biznesem na własny rachunek, także w Europie.

Łodyna stuknął o kieliszek gościa. Zamyślił się, jakby chciał poukładać sobie w głowie informacje o Hanserze, które otrzymał od amerykańskich partnerów i teraz od Winieckiego. Wbrew pozorom pewne rzeczy zaczynały się układać. Dopasowywał je do tego, co pamiętał z Iraku. Choć wciąż nie wiedział do końca, kim jest tajemniczy elegancki starszy pan z Brazylii.

– Ale najciekawsza w tym wszystkim jest inna sprawa. Otóż gdy umarł ojciec i pierwszy raz porządkowałem jego gabinet, zacząłem od szafy pancерnej. Wiedziałem, że trzyma tam różne dokumenty, stare albumy ze zdjęciami jeszcze z wojny i broń. To była taka jego... mała świątynia. Znalazłem w niej pakiet, a w zasadzie pudełko, które otrzymał prawdopodobnie na przechowanie od Hansera.

– Otwarte było czy zamknięte?

– Zamknięte i zalakowane. Widać, że Hanser ufał ojcu. Przejrzałem je. Różne druki urzędowe, jakieś listy, dokumenty osobiste, notatnik z adresami i numerami telefonów. Był też tam pamiętnik czy dziennik. Opisywał w nim tragiczne zdarzenia, o których tylko ogólnie słyszałem. Znalazłem też testament potwierdzony notarialnie. Hanser napisał w nim, aby po jego śmierci pochować go na cmentarzu w Estoril koło Lizbony. Podane było dokładne miejsce i załączony dokument z kancelarii potwierdzający fakt wykupienia kwatery.

– To bardzo ciekawe. A o co chodziło z tymi tragicznymi wydarzeniami sprzed lat, o których słyszałeś?

– To było gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych. Doszło do wypadku samochodowego, w wyniku którego Hanser wiele miesięcy spędził w szpitalu. Był poważnie poparzony. Jakiś duży procent ciała. Na szczęście nie na twarzy. To było krótko po tym, jak zginęła jego żona Evelyn. Pamiętam ją. Przeurocza Portugalka. Była lekarką w miejscowym szpitalu. Mama mówiła mi, że bardzo się kochali.

– Zginęła w wypadku?

– Nie. Popęliła samobójstwo. Powiesiła się w domu. Ojciec odkrył jej ciało w garażu. Pamiętam, że bardzo to przeżył. Zresztą mama też. A właśnie. Zapomniałem ci powiedzieć. Ten wypadek miał miejsce po tym, gdy Hanser wrócił z Europy, aby ją pochować. Dopiero gdy wyszedł ze szpitala,

odbyła się skromna ceremonia. Urnę z jej prochami zabrał z sobą. Pocho-
wał pewnie na tym cmentarzu w Estoril.

– Rozumiem. To możliwe – skomentował Łodyna i napił się zimnego
wina.

– I w zasadzie od czasu wyjścia ze szpitala Hanser jakby zniknął.
Ojciec mówił, że przez wiele lat leczył się w Europie. W sumie chyba nie
tak dawno sprzedał dom w Belo. Ale żadnych szczegółów nie znam.
Komu? Za ile? – Winiecki zawiesił głos, przechylił kieliszek i wypił do
końca wino. Wziął głęboki oddech i po chwili dodał: – Dobrze. Bardzo
wytrawne. A wiesz, Marcin, że ja w zasadzie zwracałem się do niego...
wujku.

Łodyna pogładził dłonią brodę i znowu zaczął dopasowywać
w myślach kolejne elementy układanki.

– Mam dla ciebie wszystkie te dokumenty. Zeskanowałem je i zrzuci-
łem na pendrive. Całość schowałem do kopert i zdeponowałem u swojego
adwokata. W końcu może kiedyś wujek zgłosi się po nie. Ola zlikwidowała
tę szafę pancerną, więc oceniłem, że to będzie najlepsze wyjście.

Winiecki wyjął z teczki pendrive i położył go na stole. Łodyna wstał
i poszedł do sypialni. Po chwili wrócił z laptopem. Otworzył go i włożył
urządzenie otrzymane od Winieckiego do gniazda USB. Na wszelki wypa-
dek skopiował od razu jego zawartość.

– Sporo tego, jak widzę.

– W zasadzie to jest wszystko, co znalazłem, nie ma tam żadnych
tajemnic. Ale powiedz mi, dlaczego się nim interesujesz? Wiesz może, co
się z nim dzieje? – zapytał Winiecki. – Marcin, domyślam się, że pracujesz
dla polskiego rządu. Więc jak zakładam, to sprawa poważna – dodał po
chwili.

Łodyna popatrzył na Winieckiego.

– Posłuchaj. Hanser pojawia się czasem tutaj, w Wiedniu. Wiem też, że
kiedyś bywał na Bliskim Wschodzie. I wiesz co, to by się zgadzało. Do
Iraku przyjechał podobno w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. I powiem
ci coś. Ja go tam spotkałem... – Zawiesił głos.

Winiecki skupił się na słowach Łodyny. Rozpiął jeszcze jeden guzik
śnieżnobiałej koszuli.

– Ciekawe. Poczekaj chwilę. Pozwolisz, że zdejmę marynarkę. –
Łodyna skinął głową i uzupełnił kieliszki.

– Wygląda na to, że Hanser prowadzi rozległe interesy w wielu miejscach na świecie – ciągnął Łodyna. – Powiem wprost, chciałbym z nim nawiązać bezpośredni kontakt. Bo odnowić kontakt to za dużo powiedziane. Możesz mi w tym pomóc?

– Skoro się tu pojawia, to nie możesz po prostu z nim porozmawiać?

– Hmm. To nie jest takie proste, Philippe. Chodzi o to, żeby... jak by to ująć? Z innej pozycji nawiązać z nim kontakt.

– Osobistej?

– Tak. Żeby, przepraszam za to, żeby twój ojciec jeszcze się do tego przydał. W zasadzie pamięć o nim. To może być ważne w dotarciu do niego.

– Hm. Ojciec, powiadasz. – Winiecki uśmiechnął się lekko. – Pewnie jakby żył, to chciałby ci pomóc. Pamiętam, że jak miałem kilkanaście lat, to nas z Olą szkolił w składaniu i rozkładaniu swojego colta... M1911. On chyba do końca życia chciał być oficerem wywiadu. Wracając do dokumentów. Jest jedna sprawa, dość tajemnicza.

Łodyna wstał z kieliszkiem w dłoni i podszedł do okna. Otworzył drzwi balkonowe i zaproponował:

– To może wyjdziemy na zewnątrz. Tylko wezmę butelkę. Weź kieliszek, siądźmy tutaj. – Wskazał dwa rattanowe fotele z miękkimi beżowymi poduchami.

– Świetnie. Zapalisz cygaro? Mam cohiby. – Winiecki wyjął żółto-czarne pudełko z teczki.

– Jasne.

Przycięli kubańskie cygara obcinarką i długimi zapałkami je przypalili. Kilka razy wypuścili z ust szary dym.

– Znaczący mówią, że to trzecie pod względem mocy cygara... Ale zacząłeś coś o jakiejś tajemnicy.

– Tak. To chyba jakaś rodzinna tajemnica. Bo z tych dokumentów wynika, że Hanser ma córkę, która mieszka w Londynie. Dziwne, bo nikt o niej nigdy nie opowiadał. Powiem szczerze, że ja też nie wiedziałem. Ma na imię Anna. Ukończyła szkołę dla dziewcząt Queenswood w Hartfordshire pod Londynem. To chyba tyle, co mogę powiedzieć. Resztę musisz sam już dźżyć. Może jakieś adresy czy numery telefonów naprowadzą cię na coś wartościowego i doprowadzą w ten sposób do Hansera.

– Ciekawe. Bardzo ciekawe... – Łodyna kolejny raz się zamyślił.

– A co do nawiązania kontaktu z nim, to myślę, że pośrednictwo córki może być najlepszym rozwiązaniem. To w takim układzie dobrze cię... jak by to powiedzieć?

– Pozycjonuje...

– Tak. Dobrze cię pozycjonuje – powtórzył Winiecki.

– A wyjaśnij mi, co się stało z pistoletem twojego ojca?

– Tak jak ci mówiłem. On cały czas był aktywny. Do ostatnich minut życia oddany był polskim sprawom, żył służbą dla ojczyzny. Mam jego pistolet. Nawet zastanawiałem się, w jaki sposób przekazać go do Polski, do jakiegoś muzeum. To była jego osobista broń, jeszcze z okresu służby w Drugim Korpusie. A pewnie i wiele lat później.

– Później? Co masz na myśli?

– Później, bo on chyba wciąż pracował. Nie chciał o tym mówić. Pamiętam taką sprawę. Właściwie cały ciąg wydarzeń. To było mniej więcej pół roku, może mniej, po tych tragicznych wydarzeniach z Hanserami. Ojciec wrócił z Londynu od swojego byłego przełożonego. Opowiadał mamie o ich wspólnych znajomych z czasów wojny. Państwu Godlewskich, pułkowniku Czakuckim. W zasadzie o Godlewskiej, bo jej mąż zmarł w połowie lat siedemdziesiątych.

Winiecki wciągnął dym z cygara i powoli go wypuścił, jakby zbierał myśli.

– Tak, to chodziło o ucieczkę z Polski pułkownika Wojska Polskiego. Z tych rozmów wynikało, że Ola Godlewska uczestniczyła w tych działaniach. Tego pułkownika przewieziono do Afryki Południowej. Zamieszkała koło Kapsztadu. To była jakaś duża tajemnica. Wynika z tego, że zamieszany w to był brytyjski wywiad.

– Kojarzę chyba taką sprawę, ale z jakiejś opowieści. Bo nie pamiętam, aby było o tym głośno nawet w Radiu Wolna Europa, BBC czy Głosie Ameryki.

– No właśnie. W końcu takie ucieczki jedna ze stron nagłaśniała, żeby wykorzystać propagandowo. A tu nic! To niezwykle. Nie uważasz? – zapytał Winiecki i strząsnął duży kawałek popiołu z cygara do popielniczki.

– Tak. Zgadzam się.

– A jak oni, to znaczy MI6, wyciągnęli go z Polski? To nie było w końcu takie łatwe. Wywieźli go z Warszawy jakimś busem w drewnianej skrzyni. Jako pocztę dyplomatyczną. Podobno jak ją zabili gwoździami

i zalakowali pieczęciami w Warszawie, to otworzyli dopiero w Berlinie Zachodnim.

– Tak. Trasa na Poznań, do granicy i dalej do Berlina Zachodniego. Sporo wtedy, jak słyszałem, jeździło tą trasą zaopatrzenia dla zachodnich placówek dyplomatycznych. Ciężkie czasy. Puste sklepy. Bieda i szarzyzna... Przyniosę jeszcze jedną butelkę. – Łodyna wstał i zaraz wrócił z kolejnym rieslingiem.

– Po latach zapytałem o to ojca. Bo bardzo mnie to intrygowało. Nie dawało mi spokoju.

– I co powiedział?

– Że ten pułkownik, Romuald Dragun, tak się nazywał, w Polsce został zaocznie skazany. Chyba na jakiś wysoki wyrok? I wyobraź sobie, że on był synem przełożonego ojca, tego pułkownika Czakuckiego. Miał też związek z likwidacją jakiegoś opozycjonisty niedługo przed ucieczką na Zachód. Tam znajdziesz opis. Folder zatytułowałem: Szymon Bittner.

– Naprawdę fascynująca opowieść! Kontynuuj! – Łodyna dołał wina do kieliszków.

– Ale ojciec powiedział mi coś, czego w ogóle nie rozumiem. Ten Dragun podobno robił to na zlecenie najwyższych czynników rządowych...

– Jaruzelski, Kiszczak?

– Chyba tak. Wprawdzie ojciec tego nie mówił wprost. I ten Dragun miał rozpracowywać jakiś tajny wydział czy departament, który Sowieci stworzyli i usytuowali w jakimś polskim ministerstwie. Wyobraź sobie, że ten wydział miał tworzyć i kontrolować nowe polskie organizacje opozycyjne, zakładać drukarnie, wydawać pisemka o określonym profilu. Wpływać w ten sposób na nastroje społeczne. Podgrzewać je w odpowiednim momencie. Dziwne, prawda?

– Bardzo, bardzo. Aż niewiarygodne.

– Właśnie. Wtedy myślałem, że ojcu coś się na starość pokręciło. Ale podobno Dragun mówił, że był to też sposób Moskwy na kontrolowanie polskich komunistów.

– Pewnie dlatego, że Sowieci nie byli ich pewni – wtrącił Łodyna.

– Tak podejrzewam. Przypuszczalnie tego typu sowieckie instytucje prowadziły podobne działania w innych krajach. A w ogóle, jak o tym teraz myślę, to wydaje mi się, że ojciec znał wcześniej tego Draguna. Pamiętam też, jak opowiadał, że informację na temat tego wydziału w polskim mini-

sterstwie pułkownik Dragun miał przekazać wywiadowi brytyjskiemu, i to był cel jego misji. Czy osiągnął to, co planował, nie wiem.

– Wiesz, co się z nim stało?

– Zmarł chyba na zawał serca w Kapsztadzie... Wyjątkowo dużo palił. Kilka paczek dziennie, opowiadał ojciec. Ale jest jeszcze coś...

– Tak... – Łodyna sięgnął po kieliszek wina.

– Otóż żona i córka tego pułkownika też uciekły z PRL. Ktoś im pomógł. Sfingowano ich śmierć na promie do Szwecji, no wiesz, miały pijane wypaść za burzę, a tak naprawdę ze statku zeszły z zupełnie innymi paszportami. Pamiętam to doskonale, bo niedługo później ojciec oznajmił nam, że w Anglii zmarł jego dowódca – Czakucki. Poleciał na jego pogrzeb i spotkał się z Dragunem i jego rodziną. Cholernie ciekawe życie mieli nasi rodzice.

– To prawda.

– Ale najciekawsze powiem ci teraz. Ojciec dosłownie w ostatnich dniach życia, jak już gadał trzy po trzy, mieszał fakty, daty, zdarzenia. Jak to stary człowiek. Ale o tym mówił dość przekonująco, jakby na ten jeden moment odzyskał pełną sprawność umysłu. Powiedział, że on, Hanser, w to wszystko był zaangażowany, że tworzył tę tajną komórkę w polskim ministerstwie.

– Czyli pracował dla Sowietów.

– Tak. W sumie wyszło, że pod naszym bokiem mieszkał prawdziwy radziecki szpieg. O ile ojciec naprawdę niczego nie pomieszał. Ale skoro ty pracujesz dla polskiego... rządu i Hanser cię interesuje, to pewnie nie pomieszał.

– To co, kończymy te cohiby i idziemy na obiad. Trochę się zasiedzieliśmy. Prawie trzy godziny.

– No i na te lody, gdzie rodzice chodzili.

– No tak! Opowiedz, jak idą ci interesy? Czy sprzedaliście w końcu to mieszkanie w Caracas? Wiesz co, muszę cię kiedyś odwiedzić w Brazylii i poznać również twoją siostrę Olę.

– Gorąco zapraszam.

– Szkoda, że nie możesz poznać mojej żony i syna. Przyjeżdżają niebawem do Wiednia.

– Czyli zapraszam was troje do Rio. Najlepiej w karnawał. Wtedy zwykle odwiedzają mnie córki Oli Godlewskiej – Caroline i Isabella. Powinieneś je poznać... – Wstali i skierowali się do przedpokoju. – Ale czekaj,

Marcin?! Cholera! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? Przecież one mogłyby tobie pomóc w Londynie! Wyślę ci namiary na nie i uprzedzę, że możesz się z nimi skontaktować.

– Dziękuję.

* * *

Łodyna wrócił wieczorem do mieszkania. Miał w głowie tyle informacji, ale wciąż nie wiedział, co może być kluczem do Hansera – prawdopodobnie agenta, a może i oficera rosyjskiego wywiadu. Musiał to wszystko uporządkować i spokojnie przeanalizować. Prawie cały dzień spędzony z Winieckim pozwolił mu spojrzeć na Hansera z szerszej perspektywy. Usiadł w głębokim, miękkim fotelu i uruchomił komputer. Zaczął przeglądać skany otrzymanych dokumentów. Po godzinie natknął się na dwie notatki, które go szczególnie zainteresowały.

Dokumenty pochodziły z 1984 roku. Sporządzone były przez oddział Superintendência Regional de Polícia Federal – Minas Gerais w Belo Horizonte oraz Superintendência Regional de Polícia Federal – Distrito Federal w Brasílii.

Łodyna nie znał portugalskiego. Jednak znajomość hiszpańskiego ogólnie pozwoliła mu się zorientować, co w nich napisano. Nieznane sformułowania przetłumaczył za pomocą słownika internetowego.

Łodyna znalazł w tych notatkach informacje zebrane przez funkcjonariuszy policji federalnej zaraz po śmierci Evelyn. „Czyli gdy Winiecki ją dostał, to Hanser leżał po wypadku w szpitalu – oceniał. – Czy to jest klucz do Hansera?”

Potem obejrzał zapiski dotyczące niektórych przelewów bankowych Hansera. „Wiedeń i Rio de Janeiro. I to od połowy lat sześćdziesiątych! Bo Londyn, to wiadomo dlaczego”.

Łodyna musiał mieć pewną informację, dlatego wysłał zeskanowane obydwa dokumenty do przetłumaczenia do kolegi Pawła, który doskonale znał portugalski. Widział się z nim ostatnio w polskiej ambasadzie w Caracas podczas realizacji operacji specjalnej w Wenezueli. Po wyborach miał on szansę awansować i objąć funkcję ambasadora RP w Bogocie.

Z gonitwy myśli wyrwały go dwa następujące po sobie dźwięki ze smartfona i laptopa. Otworzył pocztę. Z prywatnego adresu napisał do niego Wiatr.

Marcin. Sprawa jest ciekawa podwójnie. Mam pewne ustalenia dotyczące człowieka, o którego pytałeś. Po pierwsze, brak materiałów na jego temat w kartotece ogólnej. Po drugie, tak jak sugerowałeś, znalazłem tylko kartę informacyjną sygnowaną przez jedną z podanych przez ciebie jednostek organizacyjnych. Jak mam przekazać ci materiały?

Łodyna, nie namyślając się długo, odpowiedział:

Ktoś z tobą jeszcze dzisiaj się skontaktuje i powoła na mnie. Pewnie się nie zdziwisz kto. Przekaż mu materiały. Dotrą do mnie pojutrze.

Okej. Czekam.

Dochodziła północ. Łodyna wybrał na smartfonie numer do Ewy.

Rozdział 36

Wiedeń – maj 2016 roku

Józef Hanser mieszkał w Warszawie, przy ulicy Nowogrodzkiej 18, numer mieszkania 4. Wejście z głównej klatki oraz z oficyny. Z kartoteki wewnętrznej Biura B MSW wynika, że pod tym adresem prowadzone były działania obserwacyjne. Poza jego nazwiskiem (bez imienia) brak innych informacji. Natomiast w archiwum Biura Techniki MSW jest informacja, że do tego lokalu poprowadzona była jakaś niezidentyfikowana linia telefoniczna w tzw. kablu w. cz. Została ona przypadkowo odkryta przez techników przy okazji prac remontowych w znajdującym się niedaleko, w tym samym budynku, lokalu konspiracyjnym (dosł. stały punkt zakryty) Biura B. Była tylko adnotacja tej jednostki: do sprawy o krypt. „Bambus”. Jak udało mi się ustalić, był to kryptonim sprawy prowadzonej przeciwko Leopoldowi Trepperowi (temu radzieckiemu szpiegowi z Czerwonej Orkiestry), który mieszkał niedaleko, w sąsiednim kwartale, w domu nad biurem Aerołotu i sklepem skórzanym Pekari. Bezpieka miała tam jeden z punktów, z którego prowadzono obserwację Treppera. Ciekawe jest też to, że ktoś podpisał (podpis niewyraźny), żeby sprawie nie nadawać biegu służbowego. Materiały zniszczyć (jak rozumiem, chodziło o tę notatkę techników).

Pozdrawiam B.

Łodyna uderzył palcem w pustą już filiżankę po kawie. Odłożył kartkę z informacją do Wiatra oraz wydrukowane skany materiałów archiwalnych MSW. Wstał i poszedł do łazienki. Obmył twarz zimną wodą.

– Przyjdiesz tu do mnie w końcu?! Nie stęskniłeś się za mną?! Mam na sobie tę bieliznę *bondage*, którą tak lubisz. – Usłyszał głos Ewy z sypialni. – Michał w końcu zasnął – dodała.

– Muszę jeszcze coś zrobić. Daj mi kwadrans – odparł i zaczął redagować pilną szyfrówkę do Centrali.

Napisał ją na laptopie zabezpieczonym dwoma szesnastocyfrowymi i literowymi hasłami oraz dwoma specjalnymi programami szyfrującymi znajdującymi się na pendrivie. Postanowił wysłać ją rano.

Zdecydował się przesłać do Sierpeckiej najważniejsze informacje uzyskane od Winieckiego. Jednak nie poinformował, skąd je zdobył. Ukrył to pod określeniem: *luźne kontakty służbowe i prywatne w Ameryce Południowej wśród miejscowej Polonii*.

Do Centrali również nie przesłał materiałów otrzymanych od Winieckiego.

* * *

– Dobrze, że teraz przyjechaliście. Bo za kilka dni będzie tutaj gorąco – powiedział Łodyna do siedzącej obok w parku Ewy.

Wystawiła twarz do słońca.

– Ładnie ci będzie w wiedeńskiej opaleniźnie! Jak cię zobaczyłem na dworcu, to blada byłaś.

– Patrzysz na Michałka?

– Grzebie coś w trawie, jak to on. Może pójdziemy na te lody do kawiarni? Chodź, wstawaj! – Podniósł się i pociągnął ją za rękę.

– Och, ta twoja cholerna praca! Może dałbyś sobie już z tym spokój i zajął się czymś innym?!

– Mówisz: ta moja cholerna praca. Może trzeba o czymś innym pomyśleć? Faktycznie. Najlepiej w show-biznesie, co?

– Ty i show-biznes. Spójrz na Michała. Gdzie jest jakaś toaleta? Zobacz, jak się tą ziemią pobrudził.

Ewa podniosła leżący na plecaku Łodyny błękitny zakiet i włożyła na obcisłą białą bluzkę. Poprawiła džinsy i podeszła do syna. Ten z trudem dał się oderwać od kamyczków i patyka, którymi się bawił. Łodyna zarzucił na siebie sztruksową marynarkę i podniósł plecak, w którym miał kilka pendrive'ów i dwa laptopy do łączności oraz glocka od Montany wraz z dwoma magazynkami. Rozejrzał się po najbliższej okolicy. Zdawał sobie doskonale sprawę, że park i okolice pałacu Schönbrunn z rozległymi, otwartymi przestrzeniami nie są dobrym miejscem na trasę sprawdzeniową. Ruszyli do Cafe Gloriette.

Minęło już ponad dwa tygodnie od akcji w magazynie w Simmering. „Montana i Kate pewnie próbują namierzyć znaleziony przez nas iperyt” – zastanawiał się.

– Stęskniłam się za tobą, kochanie. Podoba mi się tutaj – powiedziała Ewa i dała Łodynie lody w waflowym rożku.

– Może tutaj, na Kahlenbergu, czy w centrum, to tak, ale ja nie przepadam za tymi ich równo ustawionymi domami, ich szarzyzną. To nie mój klimat. I ci ludzie! Ty jesteś tutaj tylko krótko, to co innego.

– Nie przesadzaj. Masz fajne mieszkanie z pięknym widokiem... Michał! Jesz te lody czy mają ci spłynąć na ziemię?! Daj mi chusteczki. Chyba masz coś takiego w tym swoim plecaku?

W tym momencie rozległ się sygnał w smartfonie Łodyny. To była informacja od Magdy Sierpeckiej:

Pozdrawiam serdecznie.

Łodyna zorientował się, że dostał natychmiastową szyfrówkę.

– Ewa. Gdy będziemy wracać do domu, muszę na chwilę wstąpić do biura. Więc zapraszam cię na kuchnię austriacką do Plachutta Hietzing. I tak mieliśmy po drodze zjeść obiad. Zostaniesz na chwilę z Michałkiem i poczekasz na mnie.

– Rano się zrywasz. Wieczorem jeszcze idziesz do pracy! Cały nasz pobyt u ciebie tak ma wyglądać? – odpowiedziała z wyrzutem.

* * *

Pod wskazanym w ostatniej korespondencji adresem prawdopodobnie znajdował się do 1994 r. lokal operacyjny KGB (zakładamy, że potem SWR). Następnie został zakupiony przez Związek Bahaistów w Polsce, a ostatnio przez obywatela RFN. Brak informacji o wcześniejszych właścicielach. Z ustaleń na miejscu wynika, że mieszkanie w latach powojennych należało do nieznanego z imienia i nazwiska mężczyzny, powstańca warszawskiego (bliższych danych brak).

Informuję ponadto, że w świetle pańskich ustaleń i działań z partnerami podjęliśmy decyzję o przygotowaniu przedsięwzięcia operacyjno-technicznego na pańskim terenie wobec drugiego obiektu, który już jest celem rozpracowania. Szczegóły przekazemy w ciągu kilku dni. Przewidywany termin działań: do dwóch tygodni od dzisiaj.

„To wygląda na przyjazd większej ekipy z Centrali. A jednak to nimi porządnie wstrząsnęło! Szybkie ustalenia! Decyzja podjęta w kilka godzin!” – pomyślał z uznaniem o informacji otrzymanej od Sierpeckiej.

Rozdział 37

Wiedeń – czerwiec 2016 roku

Magda Sierpecka patrzyła na pobliski skwer. Poprawiła blond włosy opadające do ramion. Pociągnęła łyk zimnego piwa. Spojrzała na parking, gdzie stało jej czarne renault megane.

Naprzeciwko jej okna na trzecim piętrze stylowego hotelu Viktoria za skwerem znajdowała się ruchliwa ulica, dalej zaś płynęła zagłębiona w betonowej wannie rzeka Wiedeń.

– Jechałam przez Koszyce i Budapeszt. Dziadek i młody przyjechali wczoraj pociągiem z Warszawy, mają apartament w Klimat. Michał z Zosią przylecieli samolotem z Krakowa i od dwóch dni mieszkają w Novum Kavalier. – Sierpecka nie odrywała wzroku od widoku za oknem.

– Czy wszystkie telefony macie czyste, z nowymi kartami SIM?

– Słucham? Cholera. Przepraszam cię, jestem trochę zmęczona – odpowiedziała. – Tak. Karty bułgarskie, słowackie i czeskie. Dla ciebie też mamy. Na smartfonach mamy aplikację do komunikacji tylko między sobą. Co jeszcze? Aha. Płacimy czystymi, zalegalizowanymi kartami kredytowymi, a jak się da, to oczywiście gotówką. Samochody wypożyczą Michał i Zosia.

– Magda, a co to za kolesie? Ten dziadek z wnuczkiem? – zapytał Łodyna.

– Nie kojarzysz? Andrzej z dawnego Biura Techniki UOP, wcześniej był w Wydziale IX Departamentu II MSW.

– Coś kojarzę. Byłem lata temu nawet u nich na Samochodowej na jakimś kursie. Pamiętam, jak tych z Biura Techniki nazywali złodziejami.

– Andrzej ukończył mechanikę precyzyjną na politechnice. Więc jak się dowiedział, że chodzi o kasę sprzed pierwszej wojny z Fabryki Kas Ogniotrwałych Kosiba i Chudzikowski ze Lwowa, to nie musiałam go specjalnie namawiać. Poza tym po sąsiedzku ma działkę obok moich rodziców. Ile razy tam jesteśmy u dziadków z Małgosią, to się z nim widzę.

– Twoja córka to ma już... z osiem lat?

– Tak. To już duża panna.

– A nasi na to poszli? W końcu ten Andrzej to oficer z dawnych czasów, ze Służby Bezpieczeństwa.

– A co mieli się nie zgodzić. Dzisiaj nie ma takich fachowców. A Andrzej przez cały czas w branży, tylko prywatnie. Poza tym sam wiesz, u nas zawsze jest trochę inaczej. Oczywiście na tyle, na ile się da, i Sznajdera politycznie nie przytną na Ujazdowskich.

– Tylko jest jeden problem, Magda. Ta stara kasa to najpewniej stoi na zapleczu. Spojrzałaś na plany pomieszczeń? Tam jest bezpośrednie zejście do sutereny i może być magazyn. Napisałem ci, że Amerykanie namierzili transakcje zakupu trzech szaf pancernych sprzed kilkunastu lat przez ten antykwariat w niemieckiej firmie Hartmann Tresore. A to już wyższa półka i mogą być też zabezpieczenia elektroniczne.

– Dlatego jest z nim Walery – odpowiedziała spokojnie Sierpecka.

– A ten to kto znowu? Co to za imię? Widzę, że u nas w firmie *outsourcing* na całego?

– A tam! ABW namierzyło w ubiegłym roku grupę hakerską *Domestic Fight*. Pisali i mówili o nich sporo w mediach. Zdjęli prawie wszystkich i mają postawić im zarzuty. Walery, chyba z nich najzdolniejszy i najostrożniejszy, nie wpadł. W momencie aresztowania robił jakieś dziwne akcje właśnie z Andrzejem na Ukrainie. A kiedyś, co cię powinno szczególnie zainteresować, nurkował na Krymie i szukał antycznych zabytków pod wodą. Andrzej poprosił mnie, żeby go wyciągnąć z tego gówna i zająć się nim. Trochę mu pomatkować. No i...

– No i?

– No i wyciągnęłam go z tego bagna. Przeszedł wszystkie testy u nas i został przyjęty. Każdy ma prawo błędzić. Sam doskonale o tym wiesz.

– Ale znalazł tam coś?! Może koło Jałty nurkował? – Roześmiał się.

– Zaraz go zapytasz. Wszyscy mają być za kwadrans u mnie na odprawie.

– Kiedy chcesz zaczynać?

– A jak uważasz?

– Według mnie trzeba jeszcze poobserwować antykwariat. Obok jest wynajęte mieszkanie. Proponowałbym, aby przenieść ich tam jutro. To znaczy Andrzeja i Walerego. Dwa, trzy dni powinno im wystarczyć. A Michał i Zosia niech wezmą pod obserwację jego właściciela, tego Petera Barylczyka, i jego kierownika, bo tylko oni mają klucze do lokalu. Zabraliście podrzutki GPS do samochodów?

– Naturalnie. Dwie – odparła i zamyśliła się. – Czyli wychodzi, Marcin, że za pięć dni zaczynamy.

– Tak. Jak Dziadek z młodym zainstalują się w sąsiedztwie, to będzie więcej danych. Zakładam, że do tego czasu Michał i Zosia coś ustalą, chociażby ich nawyki. Kamera założona przez Amerykanów naprzeciwko wejścia ciągle działa. Niech przejmą podgląd ode mnie. Magda, jeśli to jest to, co podejrzewamy, to mamy do czynienia z zawodowcami. Nie mogą się zorientować, że coś się szykuje. Lepiej coś odpuścić, opóźnić przedsięwzięcie, niż miałoby się jorgnąć.

– Zgadzam się. Zaraz im to powiesz. Aha, wracając do tych kas. Nie uważasz, że takich nowoczesnych dużych kas pancernych to oni po takich krętych schodkach w dół do piwnicy by nie znieśli?

– No tak. Masz rację.

* * *

Srebrna toyota auris skręciła powoli z Plankengasse w Spiegelgasse. Dojechała do końca i zawróciła. Zatrzymała się kilkanaście metrów od wejścia do antykwariatu. Kierująca nią Zosia była trochę podekscytowana. Wprawdzie realizowała od kilku lat różne zadania, ale to było wyjątkowe. Wiedziała, że musi być przygotowana na – jak to ujął Łodyna – rozwałkę samochodu.

Od kilku godzin Michał obserwował dom Petera Barylczyka, gdy wrócił on z klubu *Golf and Country Club Brunn*, znajdującego się na południowych obrzeżach Wiednia.

Z ich ustaleń wynikało, że kierownik antykwariatu wyjechał na weekend do Pragi, co potwierdził również lokalizator GPS podrzucony przez Zosię do jego samochodu.

Michał miał natychmiast dać znać, jeśli Barylczyk dokądś miałby wyruszyć. Dlatego na ten dzień wypożyczył białe trzyletnie audi A-4, które nie powinno wyróżniać się w miejscu zamieszkania Barylczyka, w Hernal – siedemnastej dzielnicy Wiednia.

Z dużymi oporami musiał zostawić swoje lekko opadające džinsy i fioletową koszulkę w serek, ubrać się w ciemnogrnatowy garnitur i zawiązać czarny krawat. O ułożeniu włosów na żel szefowa nie musiała mu przypominać. Sierpecka wybrała go do tej roli nie tylko dlatego, że poznał sprawę już w Centrali, lecz także z powodu znajomości miasta i języka. Jego austriacki, czy nawet wiedeński akcent wydawał się bez zarzutu. Na odprawie przedwyjazdowej Michał podkreślał, że wiedeńczycy mówią wręcz

śpiewnie. Wiedział to, bo do matury mieszkał na placówce dyplomatycznej w Wiedniu wraz z ojcem, który był oficerem polskiego wywiadu.

– Misiu, u ciebie bez zmian? – zapytała niepewnie Zosia.

Bezet, Zocha. Jakiś starszy facet siedzi u niego w domu od dwóch godzin. Nie widziałem, jak przyjechał. Nagle pojawił się przy bramie. Nie wiem, czy ja go nie widziałem już na materiałach, które przegląaliśmy. Później porównamy. A co u ciebie? – usłyszała w smartfonie.

– Nuda, Misiu. Jakies parki włóczą się, a potem całują w samochodach. Trochę turystów – odpowiedziała beznamiętnie.

Co, zazdrościsz im? Widziałem, jak się dzisiaj odstawiłaś. Liczyłaś na jakiś numerek czy po prostu na melanz?

– Misiu, odpiardol się. Było polecenie, żeby się tak ubrać. Jaka impreza?! Może potem.

Oj, żartowałem. Przecież wiesz, że cię lubię, Zocha. Nie melanz tylko die Melange, czyli jak mawiają wiedeńczycy, iść na kawę.

– I nie mów do mnie Zocha! Kawę ty stawiasz jutro rano po śniadaniu w jakiejś urokliwej kawiarni. Wyłączam się. Pa.

W tym samym czasie od równoległej ulicy Dorotheergasse do budynku weszli Sierpecka z Łodyną. Przeszli wewnętrznym dziedzińcem do zaplecza antykwariatu. Stanęli przed drzwiami klatki schodowej oficyny. Nacisnęli przycisk domofonu. Magnetyczny zamek puścił. Po chwili byli już w mieszkaniu, w którym Andrzej i Walery mieli rozłożony cały sprzęt. Skanery elektroniczne, aktywne w szerokim widmie częstotliwości, kilka laptopów, czytniki, detektory do poszukiwania urządzeń optycznych, których promieniowanie odbija się echem od matryc urządzeń, niewielka kamera termiczna do szukania różnego sprzętu czy przewodów, narzędzia ślusarskie, pęk wytrychów – wszystko to leżało na podłodze. Na pierwszy rzut oka wyglądało to, jakby ktoś pomieszał sprzęt szpiegowski i ślusarski z różnych epok.

– Dobrze, że jesteście. Słuchajcie... – zaczął Andrzej, nie odrywając wzroku od ekranu z podglądem na antykwariat od Spiegelgasse, dziedziniec i piwnicę.

Jego wygląd świadczył, że niejedno już w życiu przeszedł. Był wyjątkowo szczupły, wręcz wysuszony, na nosie miał druciane okulary. Ale sposób poruszania się pomiędzy narzędziami rozstawionymi w mieszkaniu świadczył, że czuje się w swojej roli jak ryba w wodzie. Każdy jego ruch był przemyślany, a miejsce położenia urządzenia nie było przypadkowe.

W milczeniu przyglądał mu się Walery, wysoki, szczupły chłopak o trochę przerzedzonych jasnych włosach.

– Na mój nos to w tej piwnicy może być zakamuflowane wejście. Tylne od dziedzińca to jedynie wabik dla amatorów. Spójrzcie, jakie szerokie schody prowadzą w dół. Przecież beczek z piwem tu nie magazynują!

– Zgadza się, chociaż może kiedyś... Zauważyłem to już wcześniej – stwierdził Łodyna. – Według mnie tamtędy mogli wnieść te niemieckie kasy.

– Może i wnieśli, ale nie tylko. Trochę z młodym powęszyliśmy po piwnicach. – Andrzej skinął głową na Walerego. – Ja kiedyś robiłem taką akcję w Wiedniu z waszą ekipą techniczną. Pamiętacie grubego Romana... No, mniejsza o to. Też ruskich robiliśmy. Ale teraz odkryliśmy z Walerym piwnicę należącą do antykwariatu. Weszliśmy do niej ostatniej nocy.

– Co? Kiedy? W jaki sposób? – zdziwiła się Sierpecka.

– Normalny. Nieważne. Zatem w piwnicy, za odsuwany na pilota i na rolkach regałem ze starymi segregatorami, w każdym razie niczym wartościowym, stoi ni mniej, ni więcej, tylko porządna KSB-3. Zasłonięta jest dodatkowo grubą pluszową kotarą, która jest przyczepiona do karnisza. To takie dodatkowe zabezpieczenie albo żeby się to, co za nią, nie kurzyło. Bo ja wiem? I wiecie, jak zobaczyłem ten sraczkowatobrazowy plusz, to już wiedziałem, czyja to robota. – Łodyna i Sierpecka popatrzyli na siebie, a potem na Andrzeja.

– KSB-3 to... kasa stalowo-betonowa model trzeci, wyprodukowana w połowie lat siedemdziesiątych przez Specjalistyczną Spółdzielnię Pracy „Skarbiec” w Warszawie. Waży ponad tonę – wyjaśnił milczący dotąd Walery.

– A nie mówiłem – skwitował Łodyna.

– Wiecie, ta piwnica trochę kotami śmierdzi, znalazłem ślady szczurzych czy mysich odchodów. Zresztą rozłożone są trutki. Jest rzadko odwiedzana. Ale to jeszcze nic. Otworzyliśmy ją ostatniej nocy. To znaczy tę KSB-3.

– Jak? – dopytywała się Sierpecka.

– Normalnie. Przecież izotopów tutaj nie mamy!

Sierpecka i Łodyna słuchali z niedowierzaniem.

– Trochę nam się zeszło, nie, Walery? Ale znam ją doskonale. I wiecie co? Ona, ta zielona, obdrapana ślicznotka ma otwieraną tylną ścianę z zaka-

muflowanymi zamkami. Ale tego nie ruszaliśmy. Mogą być jakieś zabezpieczenia i jakby co, trzeba będzie wejść na rympał albo spieprzać.

– Mogli zostawić jakieś niespodzianki. Choć nic nie znaleźliśmy. Żadnego ulotu radioelektronicznego. Skanowaliśmy na różnych częstotliwościach. Ale zawsze może być w środku jakaś ukryta kamera – dodał Walery.

– Powiem wam. To nawet pasuje do Rosjan, bez niepotrzebnej elektroniki. I ta, kurwa, pluszowa zasłona... Jak na dawnych punktach zakrytych. Taki oldschool. Ale skuteczny jak diabli w dzisiejszych czasach.

– W Bagdadzie widziałem takie zasłony u koleśków z Muchabratu, którzy obserwowali naszą ambasadę. Nawet takiego samego koloru.

– Stara szkoła KGB i Stasi – dodał z uśmiechem Andrzej.

W tym momencie wszyscy odebrali sygnał na swoich smartfonach. Łodyna wyjął aparat.

– To Michał. Co tam?

Ten starszy facet wyszedł od niego. Idę zobaczyć, dokąd idzie, czym przyjechał. Jakiś taki tajemniczy jest. Ja go chyba kojarzę z materiałów, ale nie jestem pewien.

– Okej. Ale nie łaż za nim za długo, żeby się nie zorientował. Może uda ci się zdjęcie zrobić. To prześlij do Sophie i do mnie!

Copy!

Michał się rozłączył.

– Sophie, słyszałaś?! – zapytał Łodyna.

Tak.

– Michael, podeślę ci jego zdjęcie. Uważaj na niego, bo może się pojawić koło ciebie. Mógł dostać na przykład klucze do antykwariatu. Cholera wie.

I co wtedy?

– Opóźniaj.

Copy!

– Trzeba poczekać – zwrócił się do wszystkich Łodyna.

– I tak jeszcze musimy coś przygotować z młodym, zanim ruszymy. Poczekałbym tak jeszcze z godzinę, do pierwszej w nocy. Będzie już spokojniej na ulicach – skomentował Andrzej.

* * *

– Przepraszam pana. Jak dojechać do Czartoryskigasse? Wszystko rozko-
pane. Nie ma tych utrudnień na nawigacji. Ciemno i trudno się zorientować
wśród tych pagórków i krętych uliczek. – Michał wychylił się przez boczną
szybę audi i zagadnął starszego mężczyznę wsiadającego do czarnej alfy
romeo guletta.

– *Não sei não entendo* – mężczyzna odpowiedział po portugalsku,
wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

Michał popatrzył na niego pytającym wzrokiem.

– *Entschuldigen Sie mich* – dodał tamten płynnie po niemiecku,
a Michał pokiwał głową i ruszył dalej.

Zrobił kółko i wrócił pod dom Barylczyka.

Łodyna usłyszał sygnał w smartfonie. Spojrzał na ekran. Widniały na
nim dwa zdjęcia: mężczyzny i numeru rejestracyjnego samochodu.

– Spójrz! – zwrócił się do Sierpeckiej.

– To Hanser! Portugalski numer rejestracyjny. Wyszedł od Barylczyka.

– Tak. Znowu jest w Wiedniu. Pewnie nieprzypadkowo. Marcin. Prze-
łożyłabym na jutro tę akcję.

– Zgadzam się. Niepotrzebny nam jeszcze jeden do pilnowania.

– Tak. Tylko że jutro też może być.

– Może być, ale dzisiaj na pewno jest. Kierownik antykwariatu wróci
dopiero jutro z weekendu i zakładam, że nie przyjedzie w nocy do pracy.
Bo jeśli jest tu Hanser, to mogą coś załatwić dopiero w poniedziałek.

– Okej. Panowie, słyszeliście – zwróciła się Sierpecka do Andrzeja
i Walerego. – Przekładamy dosiad na jutro.

– Słusznie, Magda – odparł Andrzej. – Sprawdzimy w tym czasie, czy
ten gość nie będzie się tutaj kręcił.

– Poza tym widział dzisiaj Michała w rejonie domu Barylczyka. Wie-
cie, jacy rusczy są, mogą coś podejrzewać – skwitował Łodyna. – Odwołam
Zosię i Michała. To co, panowie? Niech na razie jadą do hotelu. Magda, ty
wyjdz pierwsza. Złap taksówkę. Ja chwilę odczekam.

– Dobra. Jutro o pierwszej wchodzimy. Czyli widzimy się tutaj
godzinę wcześniej – zdecydowała Sierpecka. – Marcin, przekaz im, żeby
byli na miejscu o tej samej godzinie. Ale niech sprawdzają przez cały dzień
pozycję Barylczyka. Dobranoc – dodała już w przedpokoju.

– Dobranoc – odpowiedział Łodyna.

Rozdział 38

Wiedeń – czerwiec 2016 roku

– A jak Michał i Zosia? – zapytała Sierpecka.

– Bezet. Nic się nie dzieje. Barylczyk siedzi w domu, chyba z żoną. Na ulicy od strony wejścia spokój – informował Łodyna. – Hansera nie widać. Może wczorajszą nocną wycieczką pod antykwariat się zmęczył i dzisiaj już da sobie na wstrzymanie.

– Dobrze, że odpuściliśmy wczoraj – powiedział z nieskrywaną satysfakcją Andrzej. – Panowie się nie golili dzisiaj. Żadnych perfum, dezodorantów, kremów i innych kosmetyków – upewnił się Andrzej. – To małe, niewietrzone pomieszczenia. Zapach może zostać.

– A jak jednak przyjedzie ten starszy gościu? – zapytał nieśmiało Walery.

– To mamy w odwodzie Zosię z jej urokiem osobistym i pomysłami. A jak nie, to...

– To co? – drążył chłopak.

Łodyna podciągnął bluzę. Za paskiem w kaburze Walery zobaczył grafitową rękojeść pistoletu, a obok w plastikowym pokrowcu dwa pełne magazynki. Dopiero w tym momencie dotarło do niego, w czym bierze udział. Dotychczas wszystkie jego działania, czasem niezgodne z prawem, realizowane były w sieci. Teraz nie uczestniczył już w grze na komputerze, ale w realnym życiu, gdzie zagrożeń nie można było wyeliminować jednym przyciskiem na klawiaturze albo wyłączeniem listwy zasilającej.

– Dobra. To teraz cisza. – Sierpecka skinęła głową. – Zaczynajcie.

Dziadek i Walery pociągnęli do siebie stalowo-betonowe drzwi polskiej kasy pancerniej. Najpierw zobaczyli trzy grube, podłużne walce stanowiące skoble zamka, a potem wewnątrz.

– Patrz. Wszystkie bebechy na wierzchu. Pewnie coś majstrowali i nie mogli założyć na to blachy – szepnął Andrzej i wskazał na mechanizmy, przekładnie, stalowe talerze, grube nakrętki i śruby.

Walery wszedł do szafy i za pomocą skanera zaczął sprawdzać wewnątrz. Co chwila spoglądał na ekrany podłączonych do niego dwóch laptopów. Potem coś poustawiał w tunerze. Położył detektor na podłodze. Po kilkunastu minutach wyszedł i skinął głową. Jego miejsce zajął Andrzej. Roz-

łożył przed drzwiami kasy narzędzia. Dopasowywał coś przez kwadrans. Odkręcił listwy zakrywające zamki.

– Uwaga. Otwieram – szepnął, odwracając się do wszystkich.

Czekali w napięciu. Walery włączył podgląd na kamerę przy Spiegelgasse i na dziedziniec. Kiwnął głową. Wszyscy naciągnęli kominiarki.

Łodyna wysłał do Michała i Zosi komunikat:

Uwaga. Wjeżdżamy. Meldować się co trzydzieści minut.

Andrzej przekręcił jeden klucz, potem drugi. Ukryte drzwi w tylnej ścianie kasy puściły. Potem popchnął je mocniej. Po piwnicy rozszedł się delikatny metaliczny dźwięk. Powoli wszedł do środka. Pomieszczenie omiół światłem latarki. Za nim wszedł Walery i zabrał się do sprawdzania, czy nie ma systemu elektronicznego nadzoru pomieszczenia. Pod ścianą stały trzy niemieckie kasy pancerne z elektronicznymi zamkami. Obok jakieś drewniane skrzynie. Łodyna szepnął do Sierpeckiej:

– Wchodź albo zostań. Ktoś musi być na zewnątrz.

– Dobra, wchodzę. Potem mnie zmienisz – odparła.

– Nie ma kamer, żadnych alarmów wewnątrz. Tylko te trzy kasy, w zasadzie szafy pancerne, i te skrzynie – powiedział Andrzej do stojącej obok Sierpeckiej.

– To bierzcie się do nich.

Skinął głową i klepnął Walerego w ramię.

Łodyna usłyszał dźwięk w smartfonie. Potem drugi. Spojrzał na wyświetlacz. To Zosia, potem Michał:

U mnie OK. Cisza.

Wszystko gra. Siedzi w domu.

Po kilkunastu minutach z ukrytego pomieszczenia wyszła Sierpecka. Ściągnęła z twarzy kominiarkę.

– Jak im idzie?

– Dobrze. Mówią, że jeszcze z pół godziny. W końcu to trzy kasy. A co u naszych na górze?

– Barylczyk siedzi w swojej willi. Kierownik antykwariatu wrócił z wycieczki w Alpy i chyba poszedł spać.

– A Hanser?

– Nie było go widać. Widocznie załatwił sprawę i wyjechał z Wiednia.

– Obyś się, Marcin, nie mylił. – Oboje spojrzeli na ekrany laptopów z podglądem na obraz z kamer.

W pewnym momencie ciszę przerwali Andrzej i Walery. Wyszli z zakamuflowanego pomieszczenia. Zsunęli kominiarki. Andrzej otarł pot z czoła. Zdjął okulary i zaczął je przecierać o rękaw czarnej bluzy. Walery usiadł pod ścianą, oparł się i zamknął oczy.

– Co się patrzycie? Ładujcie się, wszystko otwarte. Na wszelki wypadek nie chcemy wiedzieć, co jest w środku. Uważajcie, tam jest czyściutko, nie zostawcie żadnych śladów – rzucił od niechcienia Andrzej.

Łodyna i Sierpecka w tym samym momencie ponownie założyli kominiarki i weszli do środka. Zobaczyli uchylone drzwi w trzech metalowych szafach. Włączyli latarki.

Łodyna spojrzął na początku na wnętrze pomieszczenia. Ściany były pomalowane na biało, pod jedną z nich stały dwie duże drewniane skrzynie. Łodyna podszedł do nich i uchylił wieko. Wewnątrz w rzędzie stało kilka obrazów owiniętych płótnem. Podszedł do drugiej, uchylił wieko i skierował promień światła z latarki do środka. Miał przed sobą jakiś obraz o nietypowym kształcie. Poznał go. Jego zdjęcie pokazywał mu jakiś czas temu Wiatr. To był tryptyk Jana Matejki *Królowa Korony Polskiej*. „Ach tak. Mamy cię” – pomyślał. Odchylił kolejny obraz, tym razem miał przed sobą jakąś scenę batalistyczną. Oceniał, że może to być któreś z dzieł Józefa Brandta. Przy kolejnym nie miał wątpliwości, że to portret pędzla Jacka Malczewskiego. Dalej stały zawinięte w folię stretch obrazy z naklejonymi kartkami z napisami: *Mehoffer*, *Chełmoński* i *Wyka*.

– Coś ciekawego? – zapytała Sierpecka.

– Tak. I to bardzo! Zróbmy im zdjęcia – powiedział do Sierpeckiej.

Szybko wyjmował obrazy, a Sierpecka robiła smartfonem zdjęcia. Potem wkładał je z powrotem.

– Ożeż kurwa, Magda, to istne muzeum! Chyba wszystko z tych skrzyń.

– A te w folii?

– Jak otworzymy, będzie widać. Ale sporo prześwitują, więc eksperci nie będą mieć trudności z ich identyfikacją. – Klepnął koleżankę w ramię i podszedł do otwartej szafy pancernejszej.

Na pierwszej z półek leżały dokumenty w segregatorach. Wsunął głęboko dłoń w rękawiczkę. Wymacał tekturową teczkę. Wyciągnął ją i otrząpał z kurzu. Miała oznaczenie A.D. Otworzył ją. Od razu rozpoznał *Studium oka*, które widział w lwowskim antykwariacie Kuzniecowa trzy lata wcześniej.

– O kurwa... – zaklął pod nosem. Patrzył na rysunek Albrechta Dürera, przełożył kartę. – Kolejny, jeszcze jeden, i jeszcze – powtarzał tylko pod nosem. – Ja pierdolę...

Przeszedł go dreszcz, bo ten rysunek spinał jego wielomiesięczne poszukiwania niezwykle cennych dokumentów dla Polski, utraconych w czasie wojny. Akcja zakończyła się niepowodzeniem, a materiały trafiły w ręce rosyjskiego wywiadu. Rosjanie zaczęli wykorzystywać je w wojnie informacyjnej skierowanej przeciwko Polsce.

– Co jest? – Magda w tym czasie lustrowała wnętrze sąsiedniej szafy.

– Nic. A to co?

Tym razem miał przed sobą poźółkły szkic przedstawiający *Sąd Ostateczny* Michała Anioła z Kaplicy Sykstyńskiej. Po chwili odłożył na miejsce tekturową teczkę. Sięgnął dalej. Na półce jeden na drugim leżały owinięte banderolą pliki banknotów po sto euro. W kąciku wymacał pękaty, oprawiony w skórę album numizmatyczny z wytłoczoną Pilawą, herbem szlacheckim rodu Potockich. Spojrzał do środka, były tam złote monety. Każda inna. Na jednej wypatrzył głowę Stefana Batorego. Odłożył album. Sięgnął po jakąś kopertę. Delikatnie wyjął z niej dokumenty wyglądające na przedwojenne. Szybko zorientował się, że były to akty notarialne na nieruchomości w Krakowie i Warszawie. Jedne były wypełnione, inne tylko z podpisanymi i z przedwojennymi datami jakby... *in blanco*.

– Magda – szepnął.

– Za dużo czasu zabiera robienie zdjęć. Włączam w smartfonie kamerę.

– Okej. Ja też. Sporo tego, kurwa.

Łodyna odłożył wszystko z pierwszej szafy na miejsce i spojrzał do drugiej. Poza plikiem dolarów amerykańskich wymacał dłońmi płócienny woreczek z kolejnymi złotymi monetami.

– Skarb, prawdziwy skarb – powiedział cicho do siebie.

Łodyna z Sierpecką już kończyli, gdy Marcin usłyszał sygnał rozmowy przychodzącej. Spojrzał na smartfon.

„Kurwa. To Zosia. Coś musiało się stać” – przeleciało mu przez głowę. Sierpecka, klęcząc przy najniższej półce swojej szafy, znieruchomiała. Widział tylko jej błyszczące oczy. Kiwnęła głową.

– Tak. Co tam?! – szepnął.

Ten starszy gość idzie od Plankengasse. Ma do mnie ze sto metrów. Co robić?!

- Opóźniaj! Ile się da. Dzwon, jak wejdzie do środka. – Rozłączył się.
– Hanser idzie. Kurwa mać. Zbieramy się!

Sierpecka wybiegła z pomieszczenia. Przekazała informację Andrzejowi i Waleremu. Łodyna nie wybiegł od razu za Magdą. Jakby się zawahał. Po chwili w zakamuflowanym przejściu w kasie prawie zderzył się z Andrzejem.

- Kurwa! Co tak długo! Co tam robiłeś?! Nie słyszysz, co się dzieje?!
– rzucił zdenerwowany Dziadek i wszedł do środka, a za nim Walery.

* * *

Zosia zdecydowała się zagrać *va banque*. Podciągnęła lekko czarną sukienkę. Spod niej pokazały się koronki pończoch. Opuściła jedno ramiączko. Szybko i nazbyt mocno przejechała po ustach czerwoną szminką. Rzuciła ją na fotel. Potem roztrzepała włosy i wyszła z samochodu.

Hanser zbliżał się dość powoli. Przystawał co chwila przy witrynach sklepów. Miała do niego jeszcze ze dwadzieścia metrów. Patrzyła na niego wyzywająco. Ten szybko wyłapał jej wzrok. Dziewczyna zatrzymała się i oparła ręką o ścianę. Uniosła jedną nogę i zdjęła wysoką szpilkę z czerwoną podeszwą. Zaczęła stukać odwróconym butem, udając, że próbuje coś wyrzucić ze środka. Nie uszło to uwagi Hansera. Na lekko uniesionej, zgrabnej nodze Zosi nie tylko widać było koronkę pończochy, ale także podtrzymujące ją paski. Hansera jakby zamurowało. Stanął przy witrynie jubilera i przyglądał się dziewczynie.

Zosia tymczasem spokojnie włożyła but na stopę. Powoli, jakby nigdy nic, ruszyła w kierunku mężczyzny. Po ulicy niósł się stukot jej metalowych fleków. Jej smukła sylwetka i lekko falujące biodra zrobiły na nim wrażenie. Zatrzymała się przy wystawie zakładu złotniczego. Lekko nachyliła się do szyby. Hanser nie spuszczał z niej z oka. Była kilka metrów od niego. Postanowiła go przetrzymać. Wiedziała, że dla ekipy z piwnicy liczy się każda sekunda.

Hanser ruszył. Zosia zrobiła to samo. Odwróciła się w jego stronę i prawie na niego wpadła. Uśmiechnęła się. Stali przez moment nieruchomo. Hanser wyczuł, że nie jest to prostytutka. Te bowiem w zupełnie inny sposób patrzyły na mężczyzn. W czasie swoich podróży widział ich dziesiątki, szczególnie na obrzeżach brazylijskich faweli. W oczach dziew-

czyny zobaczył niewinność, szczerłość. Małe piegi podkreślały jej dziewczęcą urodę. Nie wyglądała na Austriaczkę czy Niemkę, raczej na Słowiankę.

– Przepraszam – odezwał się po angielsku. – Czy mi się wydaje, czy pani mnie obserwuje?

Zosia znieruchomiała, ale wiedziała, że nie może dać po sobie poznać zaskoczenia. „Od tego zależy być może powodzenie operacji” – pomyślała i odparła po angielsku:

– Tak, naturalnie, że pana obserwuję. Interesują mnie tacy eleganccy panowie. Choć teraz bardziej chyba jednak jakiś szewc. Coś mi się z butem stało. On może nie być tak przystojny jak pan – kokietowała.

– Może w takim razie zamiast szewca... Café Hawelka albo jakiś drink bar przy Stephansplatz? To niedaleko, powinno być coś jeszcze czynne. Tyle osób się tu kręci. Turystów.

– Dziękuję, ale nie wiem, czy wypada. Trochę głupio wyszło. Mieszkam daleko – zmyślała Zosia.

– Nalegam. I tak nie mogę zasnąć. Lubię spacerować nocą. Mam sentyment do takich miejsc.

– No dobrze. Ale niech mi pan pomoże, żebym się nie przewróciła. Tylko zatelefonuję po znajomych, to przyjadą po mnie – powiedziała i wyjęła smartfon, wybierając numer Łodyny.

– Cześć. Słuchaj. Wiesz, co mi się stało?

Tak? – cicho odezwał się Łodyna i zorientował się, że Zosia nie może swobodnie rozmawiać.

– Idę z pewnym przystojnym, dystyngowanym panem – uśmiechnęła się do Hansera – do kawiarni przy Stephansplatz. Przyjedźcie po mnie za pół godziny. Okej? – Rozłączyła się.

– No to mamy z pół godziny. Panie...?

– José.

– José? Hiszpania, Portugalia?

– Portugalia – odpowiedział Hanser.

– Zofia. Jestem Polką. – Wyciągnęła dłoń do mężczyzny.

– Polką?! – Nie zapanował nad zaskoczeniem.

– Dziwi to pana?

– Nie! Skąd? A co panią sprowadza do Wiednia?

– Przyjechałam na zawody spadochronowe w Alpach. A pan?

– A ja, jak mówiłem, lubię spacerować starymi uliczkami.

* * *

– No, mieliśmy, kurwa, szczęście – rzucił Łodyna do Sierpeckiej.

– Coś nas ominęło? – odezwał się Andrzej, który spoglądał na tablet i porównywał wraz z Walerym zdjęcia regału z segregatorami sprzed jego odsunięcia. Wszystko miało wyglądać jak przed włamaniem.

– Chyba w porządku – dodał. – Walery, zbieraj kłamoty i wychodzimy z tych kazamatów.

– Zosia się wykazała – rzucił Łodyna.

– To znaczy? – zapytał Andrzej.

– Poderwała tego faceta, który do nas zmierzał.

– Bystra dziewczyna. Macie wszystko, co chcieliście?

– Tak, mamy pełną dokumentację fotograficzną... – Sierpecka nie dokończyła, bo znowu rozległ się głos rozmowy przychodzącej na smartfonie Łodyny.

– Michał!

– Słucham.

Gościu wybiegł z domu. Wsiadł w samochód i kieruje się w stronę centrum. Jedzie ostro.

– Roger. Nie zgub go. – Rozłączył się.

– Barylczyk chyba tu pędzi.

– Dopiero teraz?! Jeśli był jakiś ukryty alarm, to powinien wcześniej ruszyć – powiedział Andrzej. – Coś tu nie gra!

– Może Hanser dał mu znać? A może nie słyszał czy coś?

– Wszystko możliwe. W każdym razie spierdalamy na górę – zarządziła Sierpecka. – Resztę zobaczymy na kamerach.

Chwilę później czwórka siedziała skupiona przed ekranami laptopów i obserwowała widok ze wszystkich kamer. Michał na bieżąco informował, gdzie znajduje się Barylczyk. Po kilku minutach białe bmw X6 zatrzymało się w miejscu, gdzie niedawno Zosia i Hanser rozmawiali. Barylczyk wysiadł z samochodu i skierował się do drzwi prowadzących na dziedziniec.

– To co? Obstawiamy, czy do piwnicy, czy nie? – zażartował Andrzej, ale nikt nie podchwycił tematu.

Barylczyk wszedł na dziedziniec i bez wahania podszedł do drzwi prowadzących na zaplecze antykwariatu. Odblokował alarm, potem zamek szyfrowy. W końcu wyjął klucze i otworzył nimi ciężkie stalowe drzwi.

– Może centralka ukrytego alarmu lub kamery jest w antykwariacie? – kontynuował Andrzej.

– Czekaście, zrobię zbliżenie na maksa – powiedział Walery i zaczął uderzać palcami w klawiaturę laptopa. Obraz się powiększył. – On odpalił po prostu komputer stacjonarny w biurze. Coś pisze. Zastanawia się – relacjonował Walery.

Czekali w milczeniu. Mijały minuty. Barylczyk tymczasem nieruchomo siedział w dużym fotelu.

Ciszę przerwał Łodyna:

– Zosia powinna już być!

– Dzwon do niej. Może za bardzo weszła w rolę!

Łodyna wybrał jej numer.

– Jesteśmy na miejscu. A co z tobą?

No, nareszcie jesteście, kochani. Ileż można czekać?! Przecież rano jedziemy do Innsbrucka. Żegnam się w takim razie, lecę do was – odpowiedziała nieco egzaltowanym głosem, a po dziesięciu minutach była już w mieszkaniu.

– Sprawdziłaś, czy nie ruszył za tobą? – spytała od razu Sierpecka.

– Zostawiłam go z niezapłaconym rachunkiem i wybiegłam na ulicę. Nie zdążył nawet wstać i pożegnać się ze mną. To bardzo blisko stąd, ale ulica była pusta. Weszłam szybko w bramę i byłam w martwym polu – relacjonowała.

– Jutro napiszesz dokładną notatkę z przebiegu rozmowy z Hanserem. – Sierpecka spojrzała na nią z uwagą.

– A skąd wiecie, jak się nazywa?

– Proponuję, abyś się przebrała. Marcin weźmie później twój samochód i pojedzie pod samą bramę od Dorotheergasse. Odwiezie nas do hoteli. Ale odczekajmy jeszcze chwilę – zarządziła Sierpecka, lekceważąc pytanie dziewczyny.

Spojrzeli na Zosię z lekkim podziwem. Uśmiechy nie schodziły im z ust.

– Zosiu, przebieraj się, bo mamy tu jeszcze robotę, a panów rozpraszasz. Co tam w antykwariacie? – Sierpecka nachyliła się nad laptopem.

– Siedzi i myśli. O, znowu zaczął pisać. Może odpowiada na e-maila – powiedział Walery.

Po półgodzinie Barylczyk wyłączył komputer. Wstał i wyszedł z antykwariatu. Wsiadł do bmw i ruszył. Łodyna po kilku minutach zadzwonił do

Michała:

– Widzisz go?

Tak. Mam go. Wygląda, że jedzie w kierunku domu.

– Informuj na bieżąco.

Copy.

Rozdział 39

Wiedeń – czerwiec 2016 roku

Było ciepłe popołudnie. Za oknem hotelu Viktoria śpiew ptaków na pobliskim skwerze mieszał się z szumem samochodów jadących wzdłuż rzeki Wiedeń. Łodyna wziął na ten dzień wolne. Szef Przedstawicielstwa RP przy OBWE poprosił go, aby za to pomógł mu wieczorem, ponieważ przyjeżdżała delegacja rządowa z Warszawy na jakieś robocze spotkanie. W jej skład dość niespodziewanie wszedł wicepremier. Łodyna delegację miał odebrać na lotnisku.

– Jak jesteście już wszyscy, to ruszamy – zaczęła Sierpecka, zamknęła okno i zasłoniła je gęstą, koronkową firaną. – Chciałabym wam podziękować za dobrą robotę. Wszyscy świetnie się sprawili. Każdy wykonał to, co do niego należało. Jestem pod dużym wrażeniem. Myślę również, że to, co widzieliśmy z Marcinem i sfotografowaliśmy, wystarczy do wyciągnięcia odpowiednich wniosków. Ale to będzie przedmiotem głębokiej analizy w kraju. Jakież uwagi? Możemy wracać do Warszawy? – zapytała na koniec krótkiego podsumowania.

– W sumie jestem trochę z zewnątrz – zaczął ostrożnie Andrzej. – Ale ja bym zostawił jeszcze tę kamerę skierowaną na wejście do antykwariatu. Jakoś mam przeczucie, że ten powrót tego, jak mu tam... Barylczyka, nie był przypadkowy. Dwie pozostałe kamery ostatniej nocy, a w zasadzie nad ranem, zdemontowaliśmy.

– Zgadzam się z Andrzejem – włączył się Łodyna. – Coś mi tu nie pasuje. Wychodzi na to, że Barylczyk nie przyjechał zaalarmowany ukrytą kamerą czy jakimś zabezpieczeniem. No i w tym samym czasie pojawił się w okolicy Hanser.

– A może ten Hanser po prostu sprawdzał antykwariat przed jakimś przedsięwzięciem? – dodał Michał. – Może jeszcze coś planowali.

– Hmm. Może macie rację – rzekła Sierpecka, odwróciła się i obserwowała zielony skwer przez firanę.

Zapadła cisza. Czekali na decyzję Magdy.

– Zróbmy tak. Andrzej i Walery wyjeżdżają zgodnie z planem nocnym pociągiem do Warszawy. Ja jeszcze dzisiaj ruszam do Polski. Muszę być rano u Sznajdera, bo już przebiera nogami. Zosia leci do Krakowa wieczor-

nym lotem. A Michał niech zostanie na razie, aby pomóc Marcinowi. Myślę, że dwa, trzy dni – zdecydowała Sierpecka.

– Oki. Tylko, szefowo, to audi to już dzisiaj oddałem.

– Bardzo dobrze. Marcin zdecyduje, czy coś wypożyczysz, czy nie. Ale ucieszysz się. Możesz wrócić do swoich różowych czy fioletowych koszulek w serek. – Uśmiechnęła się.

– A szefowa to jest złośliwa. To znaczy... żartowałem.

– Widzimy się za kilka dni w Warszawie. Musimy obrobić materiał wideo i zdjęcia. Mamy sporo pisania. Szerokiej drogi, kochani. Nie muszę wam mówić, żebyście nie wychodzili razem.

Wstali, powstało lekkie zamieszanie, bo zaczęli się żegnać. Jedynie Łodyna ciągle siedział na miejscu i patrzył na Magdę. Gdy drzwi zatrzaśnięły się za ostatnią osobą, Sierpecka zapytała:

– A ty nie spieszysz się po delegację na lotnisko?

– Mam jeszcze parę godzin. Ale chciałem ci coś dać, w sumie przekazać.

Sierpecka popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Łodyna otworzył plecak i wyjął tekturową teczkę. Otworzył ją. Magda zobaczyła włożony do foliowej koszulki rysunek. Zaniemówiła.

– To... ten... ze Lwowa? – zapytała.

– Tak! I jeszcze trzy inne.

– Marcin, czy ciebie do reszty pojebało?! Wiesz, jaka może być z tego afera?!

– Jaka afera?! Co? Barylczyk zgłosi, że poszukiwane oficjalnie przez Polskę rysunki ktoś mu podprowadził?

– A jak się zorientują, że ich nie ma...

– Jak się zorientują, to co? Gównno! Zaczną szukać u siebie, kto im zapieprzył, a potem wzajemnie na siebie będą zrzucać winę i podejrzenia. Wiesz, jak to u ruskich. Widziałaś, ile tego mieli?! A tych kartek nikt nie ruszał od dawna, były zakurzone. To wygląda na ich magazyn, pewnie tam jest kilka budżetów rocznych SWR.

– Co ty pierdolisz, Marcin?!

– Nie pierdolę! Chyba to oczywiste po tych wszystkich informacjach, że to rosyjski wywiad stoi za tym.

– Ale ja nie o tym. Przecież to oczywiste – odpowiedziała zdenerwowana Sierpecka.

– Aaaa. Eeee. O rysunkach! Magda, czas utrzyć im nosa. A jak myślisz, skąd biorą kasę na różne przedsięwzięcia specjalne za granicą?!

– Ale co ja mam z tym teraz zrobić?! Pójdę do Sznajdera i powiem mu, kurwa, że zapierdoliliśmy polskie dzieła sztuki rosyjskiemu wywiadowi z ich dziupli w Wiedniu! Może konferencję prasową mamy teraz zrobić?! Normalnie nie wierzę!

– O, widzisz, Magda. Dochodzimy do sedna sprawy. Posłuchaj, uspokój się. Weźmiesz to. – Łodyna zamknął tekturowe okładki, wyjął bezpieczną kopertę, włożył do niej teczkę i zakleił kopertę. – Przyda się w końcu twój paszport dyplomatyczny. – Wyjął z plecaka szarą kopertę z naklejoną białą kartką i czerwonymi napisami *Poste diplomatique* oraz poniżej na maszynie do pisania *Ministère des Affairesétrangères à Varsovie*. – Położył kopertę na stoliku.

Łodyna wyjął czerwoną laskę laku. Zapalniczką zaczął ją podgrzewać i powoli polewać miejsce sklejenia papierowej koperty. Wyjął okrągłą mosiężną pieczętę z czarnym uchwytem i przykładał po kolei do gorącego laku. Potem odwrócił ją i polał lakiem kartkę na rogach i znowu przybił pieczęcie. Odczekał chwilę i zakleił wszystkie przezroczystą taśmą.

– A tu masz list kurierski na pakiet DA/1. Wszystko zgodnie z prawem. Tylko nie zapomnij podrzucić tego listu do Wydziału Poczty Kurierskiej na Szucha, żeby im się zgadzało w dokumentacji – dodał do ciągle zaskoczonych takim obrotem sprawy Sierpeckiej.

– I co dalej?

– Dalej coś dla ciebie. Przed wyjazdem powiedziałaś, że minister Wiatr, który pracuje w Kancelarii Prezydenta, może być dla ciebie, dla nas, dobrym sojusznikiem.

– Pamiętam. I co z tego wynika?

– Oddaj mu te rysunki. On będzie wiedział, co z tym zrobić. Zapewne podzieli się z tobą tą wiedzą.

– Tak to wykombinowałaś?

– Tak.

– Ja pierdołę. Ty nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać. Daj mi namiary na niego.

* * *

Łodyna i Michał siedzieli nad dwoma filiżankami kawy w kawiarni przy wejściu do zoo w Schönbrunn. Na stoliku leżał tablet. Pierwsi zwiedzający wchodzili już do ogrodu.

– Popatrz, sporo ludzi się tu kręci. Ale zwróciłem uwagę na tych, których znamy, czyli Barylczyka i Hansera – mówił Michał, który już drugi dzień przez laptopa przeglądał pracę kamery przy antykwariacie. – Poza tym trochę się pokręciłem po okolicy i zauważyłem wczoraj jakieś podniecenie czy podenerwowanie. Barylczyk tego dnia spotkał się ze trzy razy z Hanserem. Byli na obiedzie. Dużo rozmawiali.

– A potem, po tym obiedzie, ktoś był w antykwariacie? Wieczorem?

– Jeszcze nie przeglądałem. Nie zdążyłem. Miałem się do tego zabrać, ale mnie wyciągnęłaś na kawę.

– Czyli moja wina.

– Nie, no, nie twoja. Tak mi się tylko powiedziało.

Łodyna zaczął przeglądać poklatkowe zdjęcia, sącząc gorącą kawę z mlekiem. Nagle coś go zaciekało. Obraz powoli zaczął cofać.

– Michał! O której to było? To zdjęcie?

– Jakoś wieczorem. Już latarnie się palą. Z boku jest godzina nagrania.

– Kurwa. Skąd ja tego faceta kojarzę? Czy ja go ostatnio nie widziałem?!

Nachylili się nad tabletem.

– Tego? Czeka! Powiększ zdjęcie. O kurwa!

– Co, o kurwa?

– Nie wiesz, kto to jest?

– Jeszcze nie, ale może jakoś sobie przypomnę.

– Marcin! To wicepremier Korycki.

– Ja pierdolę. No tak, widziałem go na lotnisku.

W milczeniu patrzyli na zbliżenie sylwetki ze zdjęcia. Łodyna nawet nie postawił na spodku filiżanki.

– Marcin. Może to jakieś sprawy związane z handlem dziełami sztuki czy coś? Bo w końcu dużo go pokazują na imprezach kulturalnych.

– Michał! Kurwa, ochłoń! Polski wicepremier w dziupli czy lokalu konspiracyjnym rosyjskiego wywiadu, w towarzystwie byłego albo czynnego oficera, a może nawet dwóch.

– To ten Barylczyk też oficer?

– Nie wiem. Może ich agent. Ale jakie to ma znaczenie? Wiesz, co to oznacza? Słuchaj! Na razie mordą w kubek, bo będziemy mieć przejebane.

Ja już raz przez to przeszedłem, nie życzę ci tego. Wiesz, jak jest z politykami? Aha, i ojcu też nic nie mów. Rozumiesz?

– Ale co chcesz z tym zrobić?

– W połowie lipca mam zaplanowany urlop. Przyjadę do Warszawy i spotkam się z szefową. Muszę poważnie z nią pogadać. Dawaj ten tablet. Trzeba będzie przekazać partnerom, żeby zdjęli tę kamerę sprzed antykwariatu. Jeszcze dzisiaj wieczorem wracasz do Warszawy.

– Wdepnęliśmy w gówno. Ja pierdolę. – Michał pokręcił głową.

Rozdział 40

Wiedeń – lipiec 2016 roku

Łodyna potrzebował dnia, aby wszystko razem zebrać i jeszcze raz dokładnie przeanalizować posiadane informacje, zarówno te otrzymane od Winieckiego, jak i Wiatra oraz zgromadzone w czasie operacji specjalnej w magazynie i antykwariacie. Siedział w wygodnym fotelu na balkonie. Na stoliku obok laptopa stała szklanka whisky. W głowie układał puzzle.

Zaczął dokładnie przeglądać materiały, które otrzymał od Winieckiego. Ponownie zagłębiał się w te dokumenty, które najcelniej mogły opisać Hansera, jego tajemnice. Nie miał wątpliwości, że to on był główną figurą tej rozgrywki, on pociągał za sznurki i spinał wszystkie elementy układanki.

„Czy Barylczyk to płotka? Agent, oficer, jakiś łącznik? Może tylko pomocnik, zaplecze finansowe? Korycki, o ile uczestniczy w tej grze, a na razie to tylko poszlaki, to zapewnia być może zaplecze polityczne. To cholernie niebezpieczne dla sytuacji w Polsce. Choć przecież nie mam pewności, jaka jest jego rola i kto bezpośrednio za nimi stoi” – rozmyślał. Dolał sobie irlandzkiej whisky o nieco słodkawym posmaku.

Metodycznie otwierał i zamykał poszczególne foldery. Potem długo wpatrywał się w zeskanowane, niektóre już delikatnie pożółkłe dokumenty. Jakby liczył na to, że to pomoże mu dokonać wyboru, że znajdzie odpowiedź na nurtujące go pytania. „A moje przysłowiowe przeczucie?” – przeszło mu przez głowę. W tym momencie spojrzął na zapiski o przelewach Hansera na konto szkoły Queenswood w Hartfordshire pod Londynem, do której według Winieckiego uczęszczała córka Hansera.

Otworzył e-maila i napisał szybko na podane poprzez Winieckiego dwa adresy córek Oli Godlewskiej – Caroline i Isabelle. Tak jak mówił, miał się powołać na niego i poprosić o pomoc. Wysłał. Po godzinie ze studiowania kolejnych dokumentów wyrwał go dźwięk przychodzącej odpowiedzi.

Otworzył. To była informacja od Caroline:

Dzień dobry. Miło mi Pana poznać. Proszę zatelefonować do szkoły w Queenswood. W rozmowie z kimś z dyrekcji proszę powołać się na moją mamę oraz na mnie. Oni matkę świetnie znają, bo jako profesor biologii nieraz przyjeżdżała do nich na gościnne wykłady. My z siostrą też tam chodziliśmy do szkoły. Proszę nas, mnie i siostrę, odwiedzić, jak będzie pan w Londynie.

Caroline Godlewski

Wpisał w wyszukiwarce w laptopie nazwę szkoły Queenswood w Hartfordshire i zanotował numer telefonu do sekretariatu. Sięgnął po smartfon, wybrał numer szkoły. Po kilku sygnałach nawiązał połączenie. Tak jak mu powiedziała Caroline, przedstawił się i powołał na nią i jej matkę.

– Dzień dobry. Jestem znajomym pani profesor Godlewski i jej córki Oli Godlewski. Jestem adwokatem z Brazylii i przyjechałem do Europy. Chodzi o sprawy spadkowe. Jak mógłbym się skontaktować z waszą byłą uczennicą Anną Hanser? To oczywiście prośba... prywatna, więc byłbym wdzięczny za dyskrecję.

– Bardzo prosto. Pani doktor Anna Hanser po studiach wróciła do nas. Prowadzi zajęcia z chemii dla klas maturalnych, przygotowując dziewczęta do studiów na tym kierunku. – Łodyna był zaskoczony tym, co usłyszał. – Dzisiaj doktor Hanser ma akurat zajęcia na uniwersytecie. Ale proszę zapisać numer do niej do domu – bez zbędnych ceregieli, z typową angielską flegmą odpowiedziała kobieta i podyktowała cyfry. – Mam nadzieję, że pomogłam.

– Tak, bardzo dziękuję. – Łodyna się rozłączył.

Nie zastanawiał się. Zdecydował się na dalszy krok. Wpisał do smartfona numer do córki Hansera, o której poza tym, gdzie chodziła do szkoły, nic nie wiedział. Liczył na to, że może zgodzi się z nim porozmawiać. Po drugiej stronie odezwał się cichy, spokojny, miękki kobiecy głos.

Tak? Słucham.

Łodyna się przedstawił.

– Dzień dobry. Pani Anna Hanser?

Tak. W czym mogę pomóc?

– Dzwonię z Polski. Szukam pani ojca, pana Józefa Hansera. Jak mógłbym się z nim skontaktować? To bardzo ważne.

Z Polski, mówi pan?!

– Tak.

Moment. Proszę poczekać chwilę, już mu oddaję słuchawkę. Tata akurat jest u mnie.

Oficer usłyszał w słuchawce stłumioną rozmowę. Po chwili odezwał się męski głos:

Hanser. Słucham.

– Witam pana, z tej strony Marcin Łodyna. Telefonuję z Polski.

Ale ja widzę, że kierunkowy czterdzieści trzy. To chyba... Austria – odpowiedział po angielsku.

– Tak, Austria. Przejazdem jestem akurat w Wiedniu.

Czym mogę służyć?

Łodynie wydawało się, że Hanser jakby przełknął ślinę, kiedy usłyszał nazwę miasta.

– Czy moglibyśmy się spotkać i porozmawiać?

Dlaczego? O co chodzi?

– Chciałbym wyjaśnić kilka kwestii i coś panu przedstawić. Nie bardzo mogę o tym mówić przez telefon. To kwestia spraw osobistych z przeszłości. Poza tym może pan ze mną rozmawiać po polsku. Wiem, że doskonale zna pan język swoich przodków – zaryzykował Łodyna.

Tak? Coś pan wie o moich przodkach? Coś bliżej?

– Przecież pochodzi pan z Polski, prawda? Na pewno to pana bardzo zainteresuje.

Jest pan niezwykle tajemniczy.

Józef odpowiedział już po polsku, z wyraźnym akcentem trudnym do określenia. W jego głosie dało się wyczuć zdenerwowanie.

– Taka natura sprawy. Bardzo proszę, panie Józefie. – Łodyna zmienił tembr głosu na bardziej serdeczny.

Szanowny panie. Przepraszam. Jak panu na imię?

– Marcin.

Panie Marcinie. Ja już jestem stary. Niczego mi nie potrzeba. Jednak zaciekał mnie pan. Co z tego będę miał?

– To już pan oceni, panie Józefie. Na pewno także szerszy ogląd rzeczywistości. Wiedzę na temat tego, co przeminęło, tego, kogo pan cenił, bo ja wiem... kochał?

Kogo ceniłem i kochałem? Ciekawe... – Józef zamilkł. – Czyli znowu ta tajemnicza nutka?

Wrócił po kilku sekundach do rozmowy.

– Możemy się spotkać w Warszawie lub Londynie. W Wiedniu jestem tylko turystycznie, w zasadzie przejazdem.

W słuchawce znowu nastąpiła cisza.

Hmm. Dobrze. W rachubę wchodzi tylko Londyn. Zdrowie nie pozwala na częste podróże. Rozumiem, że będzie pan sam?

– Tak. Naturalnie.

Proszę zapisać Blue Anchor nad samą Tamizą w dzielnicy Hammer-smith. Tylko jak mnie pan pozna?

– Panie Józefie, myślę, że pana poznam. Poza tym aż tylu osób to tam nie będzie?

Łodyna znowu zaryzykował.

Teraz to mnie pan bardzo zaciekał. Jak rozumiem, wie pan, jak wyglądam?

– Można tak powiedzieć. Tak. Wiem.

Hmm. Dzisiaj mamy poniedziałek, proponuję czwartek w południe.

– Doskonale. Jesteśmy zatem umówieni. Do zobaczenia, panie Józefie.
– Rozłączył się.

Zaschło mu w gardle z napięcia. Przechylił do końca kryształową szklanę z bursztynowym, trochę ciepłym alkoholem. Odczekał chwilę. Wziął smartfon. Zatelefonował do szyfranta i upewnił się, że jest na miejscu. „No i co powiem Magdzie? Nic! A może sam wyjaśnię tę sprawę do końca, niezależnie od tego, czego będzie chciała góra?!”

Po chwili w intrenecie zaczął wyszukiwać połączenia lotnicze na czwartek rano z Wiednia na Heathrow.

Po półgodzinie w Przedstawicielstwie RP przy OBWE pisał szyfrówkę do pionu kadr i do wiadomości Sierpeckiej z prośbą o urlop połączony z krótkim wyjazdem do Londynu.

Rozdział 41

Londyn – lipiec 2016 roku

Jovan Spasojević leżał spokojnie na wielkim łóżku w mieszkaniu w piwnicy przy North and Road na West Kensington. Kiedy otrzymał kopertę z adresem i kluczem do swojego londyńskiego lokum, nie przypuszczał, że będzie to obszerne mieszkanie w suterenie, bez okien, do tego komfortowo wyposażone. Wygodne fotele, kanapa, sześćdziesięciocalowy telewizor z dekoderm kablówki, pełna lodówka w aneksie kuchennym, a co najważniejsze, wysokociśnieniowy ekspres ze sporym zapasem kawy. Na ścianie wisiała rycina przedstawiająca przeprawę dyliżansu przez rzekę w czasie deszczu.

Z koordynatorem działań w Londynie, przełożonym z SWR, pułkownikiem Walerijem Aleksandrowem, spotkał się zaraz po przylocie w pubie Famous Three Kings. Dowiedział się, że wszystko potrwa najwyżej cztery dni. Trochę niepokoił go fakt, że broń dostanie bezpośrednio przed akcją i nie będzie mógł się z nią zapoznać.

Z krótkiej drzemki wyrwał go dźwięk sygnału smartfona. To była informacja od Aleksandrowa. Przeczytał pod nosem:

Restauracja Hurricane. Hammersmith. Za dwie godziny.

Spasojević się poderwał. Otworzył laptopa i zaczął przeglądać mapę Londynu. Potem wziął prysznic. Zjadł lekkie śniadanie. Po godzinie wyszedł na ulicę i ruszył w kierunku stacji metra. Postanowił wykorzystać czas na zrobienie trasy sprawdzeniowej.

Szedł wzdłuż malowniczych kamieniczek. Na skrzyżowaniu z Pallisher Road dyskretnie się rozejrzał. Postanowił zamarkować wejście na stację metra Baron's Court. Po chwili minął ją i wszedł na cmentarz Margrave. Pokręcił się tam kilka minut i wrócił na ulicę. Przy Saint Dunstan's Road usłyszał zbliżający się sygnał pojazdu uprzywilejowanego. To trochę go zmroziło, odwrócił się. Zobaczył seledynową karetkę pogotowia. Po lewej znajdował się podjazd ambulansów na izbę przyjęć Charing Cross Hospital. Przeciął uliczkę dojazdową i wszedł na teren kompleksu szpitalnego. Nie zauważył żadnych niepokojących sytuacji i osób, które mogłyby go obserwować.

Miał jeszcze kilkanaście minut do spotkania. Minął restaurację Hurricane i udał się do Hammersmith Shopping Centre. Tam kupił w ciastkarni typowo angielskie ciastko z dżemem. Zawrócił i wszedł do restauracji. Rozejrzał się po wnętrzu. Zobaczył polskie szachownice – oznaczenia samolotów bojowych z czasów wojny i stojące na podłodze w cienkich ramkach zdjęcia pilotów w stalowogranatowych mundurach, a obok fotografie samolotów z drugiej wojny. „Chyba knajpa w likwidacji?” – pomyślał.

Aleksandrow już na niego czekał. Spasojević usiadł obok.

– Punktualny jesteś... Jovan – odezwał się pułkownik.

– To oczywiste.

– Napijesz się? Coś zjesz?

– Nie, dziękuję.

– Czysto u ciebie?

– Tak. Mieszkaniem, a w zasadzie tą dziurą w ziemi, nikt się nie interesuje. Teraz trochę improwizowałem, ale nikogo nie zauważyłem. Dzisiaj sprawę załatwiamy?

– Tak. Pod stołem stoi torba z bronią. Taką jak ustaliliśmy: snajperska *vientovka Chukavinana* nabój NATO-wski oraz *buttstock collapsible*. Z futerałem z karabinkiem ze stałą kolbą łatwo byłoby cię namierzyć na miejskich kamerach. Ma zbyt charakterystyczny kształt.

– Zatem udało się! Brawo, pułkowniku. To chyba będzie jej światowa premiera w takim użyciu! – Spasojević nie ukrywał radości.

– Powinniśmy zacząć za dwie godziny. Wystarczy ci tyle czasu do znalezienia miejsca?

– A gdzie to jest?

– Tu niedaleko. Nad Tamizą. Restauracja Blue Anchor. Ale znając Polaków, mogą być ostrożni. Będziemy teraz w stałej łączności. W torbie masz nowy smartfon, z nową kartą SIM. Wpisany jest tam tylko numer do mnie. Do tego słuchawki bezprzewodowe. Od momentu gdy wyjdiesz, przez cały czas jesteś na łączach. Rozumiem, że swój smartfon zostawiłeś włączony w mieszkaniu?

– Tak. – Spasojević kiwnął głową. – I analogowy dyktafon z uruchomioną funkcją VOICE. Więc jak ktoś wejdzie, wszystko się nagra. Tak na... *wsiakij požarnyj sluczaj*. – Mrugnął do przełożonego. – Dobra, to czas na mnie.

– Po akcji zostaw broń w mieszkaniu.

– Słuchaj, pułkowniku, a ten lokal na West Kensington to pewny?
– U nas zawsze pewne, Jovan. Załatwiony przez zaprzyjaźnionego Pakistańczyka, który kręci interesy na nieruchomościach.
– To... *paka* – szepnął, wstając od stołu.
Aleksandrow po wyjściu Spasojevicia podszedł do baru i wybrał coś do jedzenia z polskiego menu.

* * *

Spasojević przeszedł Hammersmith Bridge i skręcił w prawo, w dół nad rzekę. Po kilku minutach wolnego spaceru szutrową ścieżką dotarł do betonowych schodów prowadzących do rzeki. Zobaczył tam rozłożyste drzewo. Z daleka wyglądało jak parasol, którego końcówki sięgały pokrytego niewielką warstwą mułu, brukowanego, nadbrzeżnego fragmentu dna rzeki. Szedł ostrożnie. „Ślisko, cholera” – pomyślał. Droga do tego miejsca prowadziła przez niewielkie zarośla.

Ruszył ospale, co chwila przystawał i rozglądał się. Po kilkunastu minutach doszedł do wiat, w których stały łodzie, i do zabudowań St. Paul’s School z dużym boiskiem i salą gimnastyczną.

Usiadł na drewnianej ławce i zaczął przyglądać się kaczkom. Jednocześnie starał się zapamiętać szczegóły okolicy, musiał zapoznać się z topografią terenu. Po półgodzinie ruszył w kierunku Lonsdale Road. Zatoczył koło. W pewnym momencie usłyszał sygnał w smartfonie.

Nacisnął zieloną słuchawkę:

Pół godziny. Melduj się.

Aleksandrow się rozłączył.

Spasojević przyspieszył. Zszedł nad rzekę i schował się pod upatrzony naturalny parasol z gałęzi.

– *On site* – powiedział po chwili do bezprzewodowego mikrofonu, który ukryty był pod kołnierzykiem koszulki polo.

Roger.

Usłyszał potwierdzenie od Aleksandrowa, który miał zdecydować o momencie oddania strzału.

Następnie poprawił palcem małą, również bezprzewodową słuchawkę, którą miał w uchu. Wyjął okulary z antyrefleksyjnymi szklami i przetaił je dokładnie szmatką. Założył. Odwrócił baseballówkę daszkiem do tyłu. Poprawił na przegubach dłoni rzepy rękawiczek. Zaciągnął się lekko wil-

gotnym, ale ciepłym powietrzem znad Tamizy. Wziął do ręki małą wojskową lornetkę i przyłożył ją do oczu. Zaczął obserwować mieszczącą się na drugim brzegu rzeki przy Lower Mall restaurację Blue Anchor.

O ponad dwieście metrów od niego przed lokalem ustawione były wielkie niebieskie ławy ze stołami. Siedzieli tam już pierwsi klienci. Po kilku minutach wyjął z torby szeroki, gruby pasek z cordury. Przywiązał go stabilnie do dużego konaru. Potem wyciągnął karabinek. Przed oknami na pierwszym piętrze budynku, w którym mieścił się lokal, w podłużnych donicach rosły czerwone pelargonie – na nich sprawdził laserowym dalmierzem odległość. Zaczął regulować ustawienia broni. Zaczął od bębna odległości, potem poprawek bocznych, aż w końcu przeszedł do niwelowania błędu paralaksy. Wyjął drugi smartfon i ze specjalnej aplikacji zrobił nastawę odległości.

Spasojević podpiął do karabinka dziesięcionabojowy magazynek. Spojrzał na zegarek, dochodziła jedenasta. Był gotowy. Teraz mógł tylko czekać.

– *Ready* – rzucił krótko do mikrofonu.

Okej – usłyszał w słuchawce odpowiedź pułkownika.

Rozdział 42

Londyn – lipiec 2016 roku

Czarna taksówka zatrzymała się naprzeciwko bordowego frontu pubu Old City Arms. Łodyna zapłacił za kurs z lotniska pięćdziesiąt funtów. Otworzył drzwi i wysiadł. Podświadomie czuł jakiś niepokój.

Był w dżinsach, białej koszuli i granatowej marynarce. Z Wiednia wyleciał wcześniej rano, gdy było jeszcze chłodno. Z ramienia zwisał mu plecak, który niemal zawsze brał ze sobą w podróż.

Przeszedł obok wejścia na pomalowany na zielono i wykończony elementami art déco Hammersmith Bridge. Poranne słońce grzało, a od Tamizy powiewał lekki wiatr. Pod mostem płynęły akurat dwie załogi wiosłarskie w łódkach. W oddali słychać było tylko krótkie komendy. Wszedł na bulwar. Po lewej stronie minął zacumowane barki, oparte na mulistym dnie rzeki. Z prawej strony przy wejściu do restauracji Blue Anchor zauważył Hansera. Mężczyzna siedział na dużej niebieskiej ławie przy samym wejściu. Łodyna doskonale znał jego sylwetkę ze zdjęć i filmów wykonanych w Wiedniu. „Ja go gdzieś już niedawno musiałem spotkać. I to, kurwa, nie w Wiedniu” – po raz kolejny przeleciało mu przez głowę.

Hanser ubrany był w brązowe sztruksowe spodnie, ciemną koszulę oraz tweedową marynarkę. Łodyna kiwnął mu głową.

– Dzień dobry. Pan Józef Hanser?

– Tak. Pan Marcin...

Przywitali się. Hanser miał mocny uścisk, twardą dłoń. Na spotkaniu z Aleksandrowem dowiedział się, kim jest jego tajemniczy rozmówca, i to go zaskoczyło. Skojarzył, że miał kilka lat temu zlikwidować Łodynę w Warszawie. Ukrył jednak przed Aleksandrowem zdenerwowanie. Tym bardziej że przypominał go sobie z Iraku. Poza tym, spotykając się z oficerem Agencji Wywiadu sam na sam, w sytuacji, w której to on go znalazł, nie czuł się komfortowo. Nie wiedział też do końca, jakie plany wobec Polaka ma Centrala SWR w Moskwie.

– Panie Józefie. To może ja zapraszam na lunch do innej restauracji. Jakoś tak jak na widelcu tu jesteście. Tyle osób się tu kręci. Nie będzie jak swobodnie porozmawiać. – Łodyna się uśmiechnął.

- To dokąd idziemy? – Hanser zapytał go w taki sposób, aby będący na nasłuchu Aleksandrow też się dowiedział.
- Do Dove. To świetna restauracja. Niedaleko – odpowiedział Łodyna.
- Mówi pan Dove. Hm. To chodźmy do tego... gołębia.

* * *

Czekaj. Coś się dzieje – rzucił Aleksandrow.

– Tak, widzę – odpowiedział spokojnie Spasojević.

Idą dalej do restauracji... Czekaj. Dove! Sprawdź... To wzdłuż rzeki, z dziesięć minut wolnym tempem.

– *Copy.* – Spasojević opuścił broń.

Zmiana miejsca. Potwierdź!

– *Roger* – rzucił Spasojević i spakował broń. Wyszedł spod konarów drzewa i ruszył w kierunku Saint Paul's School.

* * *

Łodyna i Hanser szli wzdłuż rzeki na północny zachód. Minęli klub wioślarski z uchylonymi dużymi białymi drzwiami do pomieszczeń, w których ustawione były łodzie. Uwijało się przy nich kilku młodych mężczyzn w krótkich spodenkach. Mijali w milczeniu kolejne barki, do których prowadziły wąskie pomosty. Niektóre wyglądały na zamieszkane, inne na opuszczone. Co jakiś czas mężczyźni spoglądali na siebie.

– A wie pan, panie Józefie, że ta dzielnica jest związana z polskimi sprawami?

– Tak? A jakimi?

– Tu niedaleko, w Saint Paul's School przy Brook Green, była siedziba polskich służb specjalnych. Teraz ta szkoła zajmuje nowe budynki, tam, po drugiej stronie Tamizy. – Skinął głową w stronę przeciwległego brzegu.

Hanser spojrzął na zabudowania schowane wśród drzew.

– Po wojnie Stalin zażądał od Brytyjczyków zwrotu dokumentacji polskiego wywiadu z okresu drugiej wojny – kontynuował Łodyna.

– No i?

– I gównem dostał. Brytyjczycy dali nam kilka dni. A szef naszej służby, pułkownik Gano, rozkazał najważniejsze dokumenty zniszczyć. Taka jest wersja oficjalna.

– A nieoficjalna, że gdzieś się znalazły, na przykład w Instytucie Hoovera w Stanach Zjednoczonych?

Łodyna na tę zaczepkę nie odpowiedział.

Ścieżka wzdłuż rzeki nagle się zwężyła do szerokości metra. Prowadziła pod filarami domu, za którym znowu się poszerzała. Minęli park, kilka osób leżało na soczyscie zielonej świeżej trawie. Wyglądająca na dwudziestopięcioletnią dziewczyna czytała książkę, leżący obok chłopak miał na uszach wielkie białe słuchawki. Skręcili w lewo i po kwadransie stanęli przed drzwiami do restauracji Dove. Nad wejściem widniała drewniana tablica z namalowaną gołębicą w locie, która trzyma w dziobie gałązkę oliwną, nad ptakiem lśniły barwy tęczy.

– Proszę. Jesteśmy na miejscu. – Łodyna otworzył energicznie drzwi.

Hanser wszedł do środka i szybkim krokiem przeszedł przez pomieszczenie, w którym stały stare fotele i stoły oraz znajdował się bar.

– Może chodźmy na zewnątrz? Ładnie tu – zaproponował Hanser i wyszedł na nasłoneczniony taras z pięknym widokiem na rzekę.

– Chodźmy.

Wspięli się na wąskie, kręcone metalowe schody i znaleźli się na podwyższeniu, na którym był tylko jeden stolik. Znajdowali się ponad dwa metry nad tarasem. Nic nie zasłaniało im widoku na Tamizę. Hanser usiadł obok wysokiej lampy oraz ściany wykonanej z cegieł, po której piął się bluszcz. Łodyna rozejrzał się uważnie. Po lewej stronie znajdował się żelazny mostek prowadzący na barkę. W oddali, po drugiej stronie rzeki, pomiędzy drzew wystawały zabudowania szkoły.

– Co pana do mnie sprowadza? Jak mnie pan w ogóle znalazł? – zapytał Hanser.

Łodyna spokojnie zaproponował:

– To może najpierw coś zamówimy. Piwo, panie Józefie?

– Tak, proszę. – Usłyszał odpowiedź, ale wyczuł w niej ponaglenie.

Polak spojrzał na kelnera, który chwilę po nich wszedł na niewielki taras. Od razu zrozumiał, że goście chcą złożyć zamówienie. Podeszedł do nich.

– Dwa piwa.

– Jakie piwo, panowie?

– Dla mnie honey dew – sprecyzował Łodyna.

– Poproszę guinnessa – dodał Hanser.

Kelner przytaknął tylko i zszedł schodkami.

– Więc zamieniam się w słuch panie... Marcinie. Słucham pana. – Hanser się niecierpliwił.

– Wie pan... Tak się zastanawiałem od pewnego czasu, skąd pana znam. Teraz już wiem.

Hanser spojrział na niego uważnie, na jego twarzy widać było napięcie.

– Tak? Skąd?

– Koniec lat dziewięćdziesiątych, Bagdad. Spotkaliśmy się w hotelu Rashid. A potem jeszcze raz. Pod pewnym sklepem.

– Tak? To nawet możliwe. – Hanser patrzył w dal.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął paczkę chesterfieldów. Zaproponował Łodynie papierosa, ten jednak pokręcił głową. Hanser zapalił, zaciągnął się i wypuścił dym.

– Rzadko palę – dodał.

– Nie przypomina pan sobie?

– Cóż, wielu ludzi spotkałem w życiu... – odrzekł Hanser, a jego twarz przypominała kamienną maskę.

Milczał, po wypaleniu połowy zdusił niedopałek w popielniczce.

– Panie Józefie. Mniejsza o to, czy był pan w Iraku, czy nie. Istotne jest to, co odkryliśmy, co szczególnie i bardzo osobiście pana dotyczy...

– My? Czyli kto? Dobra, nie pytam. Domyślam się, kogo pan reprezentuje.

– Siebie, panie Józefie. W tym wypadku tylko siebie.

– Dobrze. Odkrywa pan karty... panie pułkowniku? Zgadza się?

Łodyna spokojnie spoglądał na Hansera. Nic nie odpowiedział ani nie drgnął. Patrzył na niego spokojnie.

W tym momencie kelner przyniósł piwo.

– To może zamówimy waszą specjalność lunchową, te... *buttermilk chicken schnitzel*. Dwa razy – popatrzył na Hansera.

Chłopak przyjął zamówienie i zszedł po metalowych schodkach.

Osoba słuchająca tej rozmowy mogłaby odnieść wrażenie, że obserwuje starcie szachistów, którzy na początku rozgrywki ostrożnie badają przeciwnika, by w każdej chwili niespodziewanie zaatakować.

– To co z tym waszym odkryciem?

– Za chwilę. Wcześniej coś panu powiem. Trzy lata temu doszło do niewyjaśnionego zabójstwa oficera Agencji Wywiadu. Ktoś otruł go w szpitalu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie. Wcześniej ten oficer został zidentyfikowany jako agent rosyjskiego wywiadu.

– Ciekawe. Nie słyszałem o takiej sprawie. A co ja mam z tym wspólnego?

– Jak mówiłem, przez dłuższy czas zastanawiałem się, skąd jeszcze pana znam.

– Mówił pan, że mnie jakoby spotkał w Iraku.

– Tak. Ale teraz wydaje mi się, że to pana utrwalono na zapisie monitoringu szpitala.

– To tylko pana ocena. Jakby tak było rzeczywiście, to zostałem zatrzymany przez wasze służby albo wysłano by za mną europejski nakaz zatrzymania, jeśli nie zdążyliby mnie na granicy aresztować. Jak pan widzi, jestem wolny. Nikt mnie nie aresztował.

– Tak, to tylko moje przypuszczenia.

– To ja pana zapytam w inny sposób – powiedział Hanser i sięgnął po szklankę z czarnym jak węgiel piwem pokrytym kremową pianką. – To taka moja uwaga do tego, o czym pan wspomniał. Nie pomyślał pan, że śmierć tego oficera mogła być dla was wygodna. Brud się nie wylał. Media nie dowiedziały się o zdradzie. Sprawie ukręcono łeb albo, jak to się mówi w Polsce... zamieciono ją pod dywan. – Hanser ponownie wziął duży łyk piwa.

– Ale zabójca jest na wolności.

– Jak wielu innych. Niech nie będzie pan naiwny. Świat się nie zawalił z tego powodu, a na pewno nie polski wywiad. Może ten zabójca po prostu wybawił was z kłopotu? Oczyszczył szeregi. Nie pomyślał pan tak? Niech się pan zastanowi. – Na jego twarzy pojawił się nieco ironiczny uśmiech.

– Ale moje przypuszczenia możemy zamienić na materiał dowodowy i śledztwo prokuratury zakończone postawieniem zarzutów. A postępowanie karne mogłoby być uzupełnione o inne elementy. Wtedy nawet nasz niewydolny system wymiaru sprawiedliwości mógłby pana osiągnąć tutaj, w Portugalii, a nawet... Brazylii. – Łodyna zagrał *va banque*.

– Jakie elementy? Nie za bardzo rozumiem.

Hanser spojrział w lewo na przepływającą Tamizą kolejną ósemkę wiosłarzy. Lekko przygryzł górną wargę, co nie umknęło Łodynie.

– A nawet jeżeli, założmy hipotetycznie, bylibyście do tego zdolni, to czy jest pan pewien, że wasze władze polityczne na to pozwolą? Czy będą chciały zaognić i tak fatalne stosunki z Moskwą? Do tego narażając się na śmieszność w Unii Europejskiej w przypadku wielce wiarygodnej kompromitacji waszych służb i organów wymiaru sprawiedliwości.

Hanser nabrał pewności siebie. Spojrzał wymownie na Łodynę, a potem odwrócił twarz ku słońcu i lekko zmrużył oczy.

– Ci ludzie nie będą u władzy wiecznie. Możemy odczekać jakiś czas.

– Oj, widzę, że ma pan jednak naiwne przekonanie, że wy, Polacy, kontrolujecie sytuację w swoim kraju. – Twarz Hansera ani drgnęła.

– Zdziwiłby się pan. Pytał pan o nasze odkrycie. Proszę. Zatem przejdźmy do śmierci pana żony. Evelyn.

Hanser uważnie spojrzał na Łodynę. Na jego twarzy po raz pierwszy pojawiła się niepewność, strach przed utratą kontroli nad przebiegiem rozmowy.

Łodyna delikatnie sięgnął po plecak, który stał obok jego krzesła.

– Proszę się nie obawiać. – Spojrzał wymownie na Hansera. – Chciałem panu coś pokazać. – Wyjął foliową koszulkę z wydrukowanym skanem dokumentu. – To oczywiście kopie, ale mam oryginały dokumentów z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku. Sporządzone zostały przez oddział Superintendência Regional de Polícia Federal – Minas Gerais w Belo Horizonte oraz Superintendência Regional de Polícia Federal – Distrito Federal w Brasílii. Podkreśliłem najważniejsze fragmenty, żebyśmy się łatwiej zrozumieli. – Łodyna przesunął je po blacie stołu, a Hanser zaczął uważnie czytać.

Jego twarz momentalnie poszarzała. Hanser skupił się na dokumencie, który otrzymał.

...z ustaleń operacyjnych wynika, że w dniu śmierci Evelyn Hanser (EH) w pobliżu jej domu widziany był samochód marki Opel Kadet (czarny). Został on wypożyczony z Locadora de automóveis Pereira – salon w Brasilii, przez obywateli ZSRR Alexandra Smirnowa i Władimira Kirlejewa. Widziano, jak mężczyźni ci kręcili się tego dnia koło domu tragicznie zmarłej. Jeden ze świadków widział, jak opuszczali posesję EH. Natomiast inny ze świadków utrzymywał, że samochód ten parkował kilkadziesiąt metrów od bramy posesji, następnie szybko odjechał, a potem przejeżdżał wąskimi uliczkami osiedla. Moment wyjścia z posesji i odjazdu wymienionego samochodu zgodne z przypuszczalną godziną śmierci EH. Wymienieni posługiwali się czasowymi wizami dyplomatycznymi wystawionymi w naszej ambasadzie w Moskwie. Cel przyjazdu do Brazylii: konserwacja urządzeń łączności w ambasadzie ZSRR w Brasilii. Z informacji naszego kontrwywiadu wynika, że byli to prawdopodobnie funkcjonariusze KGB. Ponadto dwa dni przed śmiercią EH widziano ich, jak opuszczali ze swoimi bagażami ambasadę ZSRR w Brasilii. Ustalono również, że dzień po śmierci EH wylecieli z Rio de Janeiro samolotem Lufthansy do Frankfurtu nad Menem...

– Skąd pan to ma?

– Proszę przeczytać jeszcze to. Chyba jedno zdanie, które podkreśliłem, wystarczy.

W drugim dokumencie był dokładny opis mechanizmu zbrodni:

...z zabezpieczonych w ogrodzie śladów wynika, że sprawcy dostali się na posesję przez boczne ogrodzenie i weszli przez okno do wnętrza domu. Ze śladów na ciele denatki wynika, że nie broniła się... Prawdopodobnie zaskoczona denatka została odurzona nieznaną substancją (wymaga to specjalistycznych badań laboratoryjnych, próbki substancji są zabezpieczone), następnie powieszona na linie w garażu.

Łodyna milczał. Chciał, aby jego rozmówca przetrawił te informacje, a przede wszystkim, aby przywołały one u Hansera wspomnienia, aby ożyły demony przeszłości.

– Skąd to jest? – powtórzył.

Łodyna sięgnął po szklanę z piwem. Potem włożył do ust zimną frytkę.

– Piotr Winiecki je zdobył. – Hanser jakby tego nie usłyszał. – Tak... pana przyjaciel i sąsiad. Piotr Winiecki. On miał dobre kontakty w policji, wyciągnął to – wskazał palcem dokumenty – gdy leżał pan, panie Józefie, nieprzytomny w szpitalu. Po pana wypadku. Chociaż co do tego mam wątpliwości, może chciał się pan zabić?

Hanser zatopił dłoń w gęstych siwych włosach i jakby się zawiesił. Wróciły wspomnienia o Evelyn.

– Zabili ją. To chyba oczywiste – natarł Łodyna.

– Zabili. Nigdy nie wierzyłem w jej samobójstwo. Myślałem, że mogli to zrobić Izraelczycy.

– Mosad? A mieli jakiś powód? Zresztą nie musi pan odpowiadać. Domyślam się... Podziwiam pana. Naprawdę podziwiam. Wykiwać Mosad. No, no...

– Ale żeby to byli nasi? Nie. Dlaczego? – Hanser jakby nie słyszał ironicznego komentarza Łodyny.

– Może chcieli pana bardziej ze sobą związać. Wie pan, więzy krwi. Wspólna walka. Bliska osoba jako ofiara wroga budzi większą nienawiść do przeciwnika. Choć według mnie to pańska Evelyn przeszkadzała im w tym czasie w jakichś planach.

Hanser wypił do końca piwo. Gestem pokazał kelnerowi, który znajdował się na dolnym tarasie, aby przyniósł podwójną whisky.

– Panie Józefie. Niech mi pan powie, co pan robił w Polsce? Czy działał pan sam, czy w zespole ludzi? Słyszał pan o Szymonie Bittnerze?

Hanserowi nie drgnął nawet najmniejszy mięsień na twarzy. Wzrok tępo wbił w Łodynę, sprawiał wrażenie osoby, która nie usłyszała pytania.

– Jakie to ma teraz znaczenie? Było ich wielu.

– Bittner też? – Hanser przytaknął.

– Dobry pan jest, panie Marcinie. Pan tak sam z siebie?

– Mówiłem, że reprezentuję tylko siebie. Nie wierzy pan?

Łodyna widział, że coś w nim pękło. Miał przed sobą innego Hansera, może tego prawdziwego, kochającego Evelyn, ogród, takiego, jakiego zapamiętali Winnicy, ukrywającego przez lata swoją córkę. „Ukrywał ją także przed KGB!” – Łodyna dopiero teraz to zrozumiał.

Hanser zaczął w tym czasie nerwowo grzebać w wewnętrznej kieszeni marynarki.

– A zresztą. Jakie to ma znaczenie. Pieprzyć to – rzucił ni to do siebie, ni to do Łodyny.

– Słucham? Pan do mnie?

Hanser nic nie odpowiedział, po chwili spojrzął na Łodynę i dodał:

– Mamy swoich ludzi w różnych miejscach. To taka sieć ludzi, których sobie wychowaliśmy, którzy są wobec nas lojalni. Nam oddani. Tworzyliśmy dla nich różne instytucje, firmy, stacje radiowe, wydawnictwa, stowarzyszenia, a nawet partie polityczne.

– Nielegałowie?

– Jeżeli chce pan użyć takiego określenia... Tak można ich nazwać. Ale to coś więcej, więzy rodzinne były dla nas ważne. Myśmy się razem wychowali.

– A pana córka Anna i pana żona Evelyn?

– Evelyn? Nie, ona była czysta. Wiedziała, ale ja ją chronilem od tego brudu. Annę próbowałem ukryć przed światem. Decyzję podjęliśmy zaraz po tym, gdy się urodziła. Pomógł nam w tym ojciec Evelyn. Anna nic nie wie. No, prawie nic. Ma wspaniałą rodzinę, dzieci. Chciałbym, żeby tak zostało. – Popatrzył na Łodynę. – Nie mogę w to uwierzyć. – Po raz kolejny przeczesał dłońmi włosy. Ponownie spojrzął na leżące przed nim dokumenty.

– A Romańczuk?

– Mój wychowanek. Jeden z wielu. On miał wyznaczone inne zadania. Pierwszym było rozbijanie w Polsce w latach siedemdziesiątych tak zwanych latających uniwersytetów.

– Czyli wtedy zaczynał karierę w resorcie?

– Tak. Raz na takim spotkaniu podziemnych struktur, jak wówczas mówiono, obił nawet twarz innemu mojemu wychowankowi, który miał robić karierę w polskiej opozycji.

– Dlaczego zginął?

– Bo popełniał błędy. Skoro o tym rozmawiamy, to doskonale pan wie, jakie zostawiał ślady. My też je odnaleźliśmy. Choć według mnie to nasza Centrala popełniła błąd. Za dużo od niego oczekiwali, za duża presja. Stracił czujność. Zresztą te ślady pokazali wam zapewne wasi sojusznicy zza oceanu.

Łodyna w milczeniu pokiwał głową.

– O tym też pan wie?

– Tak. Wycieka od was wszystko. Ostatnim zadaniem Romańczuka było skompromitowanie pana, panie Marcinie, i innych z pana wydziału. Wie pan pewnie, że to pan został przez niego wskazany jako nasz kret. Jednak Romańczuk przegiął, bo oparł się na durniach, którzy ośmieszyli się, zarzucając panu współpracę z kilkoma służbami.

– Zrobiliście mi prywatne piekło. A kim jest ten Korycki?

– Mój Antoni. To najlepszy wychowanek. Jest teraz na szczycie władzy, prawda? I ma naprawdę spore możliwości. Przyzna pan, że jesteśmy dobrzy? – powiedział tak, jakby chciał zaakcentować swoją wyższość.

– Tak. Jesteście prawdziwymi, kurwa, mistrzami – odparł szeptem oficer AW.

– To prawda. Antoni jest chyba najzdolniejszy – powtórzył Hanser.

– Czyli te wszystkie jego działania związane z ujawnianiem współpracowników służb specjalnych, teczkami, jego fantastycznymi teoriami spiskowymi, fobiami antyniemieckimi, antyunijnymi czy antyżydowskimi to wasza robota? Nie musi mi pan odpowiadać. Zawsze tak myślałem.

– Naszym celem jest polaryzacja społeczeństwa, jego osłabienie, skłócenie. To chyba oczywiste. Przeciwczyliśmy to przed laty w Izraelu. Zwykła, banalna, gorąca wojna jest zbyt kosztowna. Po co umierać, skoro można kontrolować kilku, kilkunastu ludzi, którzy zrobią to samo, ale bez przelewu krwi. My stosujemy humanitarne metody – mówił tak, jakby ciągle był lojalnym oficerem rosyjskiego wywiadu.

– Dużo mi pan mówi. Więcej, niżbym oczekiwał. Nie boi się pan?

– Co? Ja? – Wskazał palcem na siebie. – Moja Evelyn, moja najdroższa. Wie pan, jaki jest widok na ocean z parku Alto Dos Gaios w Estoril! – Zmienił nieco tembr głosu.

Łodyna odniósł wrażenie, że Hanser zaczął tracić poczucie rzeczywistości. Patrzył na starego człowieka, któremu wszystko było już obojętne, który w ciągu godzinnej rozmowy stracił chęć do życia.

Łodyna wstał.

– Przepraszam na chwilę, zejdę do toalety. Zaraz wrócę, bo ta rozmowa z panem jest fascynująca. Zwłaszcza ten żydowski wątek. Chętnie posłucham, jak wystawiliście słynny Mosad do wiatru – powiedział do Hansera, który sprawiał wrażenie nieobecnego, gdy tak wracał myślami do przeszłości.

* * *

Spasojević już ponad godzinę leżał na dachu pomieszczenia, w którym znajdowały się łodzie należące do pobliskiej szkoły dla chłopców. Wspiął się po zakrzywionym starym drzewie, którego grube konary opierały się o budynek. Niewielki, półtorametrowy płotek nie stanowił dla niego problemu. Wykonał szybki pomiar odległości. Wprowadził nastawienia elewacji, później zrobił derywację błędu paralaksy. Patrzył przez lunetę karabinka. Obydwu rozmówców miał jak na dłoni. Obserwował ich, po drobnych zmianach ich wyrazu twarzy starał się wyczuć emocje. Gdy Aleksandrow wydał rozkaz strzału, oderwał na chwilę wzrok od lunety i przeładował broń.

– Powtórz rozkaz! – powiedział do mikrofonu. – Wykonuję!

Skupił się teraz na celu. „Praca na oddechu i lekkie ściągnięcie spustu” – powtarzał w myślach. Wycelował w głowę. Wstrzymał powietrze, naciśnął spust.

Rozległ się głuchy trzask, powietrze wokół karabinka zawirowało. Widział, jak mężczyzna upada na krzesło i osuwa się na stolik, który wywraca się wraz z talerzami i szklankami. Spojrzał jeszcze na taras. Zobaczył przerażoną twarz kelnera, który zaczął wbiegać po krętych schodach.

– Potwierdzam wykonanie. Ewakuuję się – powiedział do mikrofonu.

Przyjąłem – usłyszał spokojny głos Aleksandrowa.

Spasojević sprawnymi ruchami złożył karabinek. Następnie wsadził go do torby. Miejsce na dachu, gdzie leżał, spryskał żrącą substancją z chlorem. Chciał w ten sposób zatrzeć mikroślady i zneutralizować zapach.

* * *

Łodyna poczuł ból w boku, bo uderzył z całej siły o metalowy kant krzesła i upadł na drewniany podest. Schował się na kilkanaście sekund za ceglany murek. Pół metra od niego bezwładnie leżał Józef Hanser. Z jego ust ciekła strużka krwi, martwe oczy ciągle na niego patrzyły jakby z niedowierzaniem.

Łodyna podniósł się, złapał plecak, wcisnął do niego zakrwawione dokumenty brazylijskiej policji. Szybko przeszukał kieszenie marynarki Hansera. Znalazł smartfon. Zrozumiał, że ich rozmowa przez cały czas była podsłuchiwana. Skojarzył moment, gdy Hanser próbował go wyłączyć, szukając czegoś w wewnętrznej kieszeni. Teraz wiedział, że mu się nie udało. Spojrzał na wyświetlacz. Po drugiej stronie był zleceniodawca zabójstwa.

Wydawało mu się przez ułamek sekundy, że usłyszał jeszcze jego oddech. Wyłączył go. Schował smartfon do plecaka. Przeskoczył ciało, ominął przewrócone meble i skacząc po dwa stopnie, błyskawicznie zbiegł po kręconych schodkach. Wpadł do restauracji.

Barman krzyczał coś do słuchawki telefonu, a kelner stał obok. Łodyna ich ominął. Otworzył brązowe solidne drzwi lokalu i wychylił się ostrożnie na zewnątrz. W wąskim przejściu pomiędzy ścianą budynku a murkiem sąsiedniej posesji nikogo nie było. Stał tylko rower. Spojrzał jeszcze raz.

Ruszył szybkim krokiem w prawo i po przejściu kilku metrów znalazł się w parku. Skręcił w najbliższą ścieżkę. W oddali słyszał szum samochodów. Liczył na to, że przy ruchliwej drodze szybko złapie taksówkę na lotnisko. W jego głowie łomotało, adrenalina pulsowała. Nie czuł bólu po upadku, starał się uspokoić krok i oddech. Nie pierwszy raz był świadkiem czyjejś śmierci. Jednak ta sytuacja kompletnie go zaskoczyła. Po kilku minutach siedział w taksówce. Dopiero wtedy rozpiął zewnętrzną kieszeń plecaka i włożył dłoń do środka. Wyłączył nagrywanie w swoim smartfonie. Odpiął z klapy marynarki czerwony znaczek kryjący bezprzewodowy mikrofon.

Rozdział 43

Warszawa, Wrocław – lipiec 2016 roku

– To jesteśmy w komplecie – zaczęła odprawę Sierpecka. – Nie było cię na miejscu, więc krótko może na temat reakcji kierownictwa – zwróciła się do Łodyny. – Sznajder składa wam gratulacje. Zgodził się z moimi propozycjami awansów i nagród, a nawet medali dla każdego. Ale o tym dowiedziecie się indywidualnie w kadrach. Zosiu, może ty zacznij.

– Partnerzy amerykańscy dzięki naszej operacji i uzyskanym informacjom ustalili, że iperyt dotarł do portu w Trieście. Stamtąd przez Stambuł frachtowcem pod banderą maltańską popłynął na Krym do Sewastopola. Czyli sprawa jasna, że za tym stali Rosjanie. Analiza sprzętu poligraficznego i zachowanych szczątkowych zapisów pokazała, że produkowane tam były paszporty oraz wizy. Przesyłane były do Turcji na pogranicze syryjskie. Jak uważają partnerzy amerykańscy, część pieniędzy z ich sprzedaży szła na finansowanie operacji specjalnych SWR. Natomiast druga część była przekazywana bądź również sprzedawana bojownikom ISIS, którzy na terenie państw Unii Europejskiej tworzyć mieli uśpione komórki. Nie wyklucza się, że mogą one również realizować niektóre cele rosyjskiego wywiadu. Amerykanie są zainteresowani dalszą współpracą na tym kierunku. To tyle w skrócie o współpracy z partnerami z CIA.

– Dziękuję, Zosiu. Michał, teraz ty, proszę.

– Sporo było pracy z analizą materiału. Zarówno z obserwacji w Wiedniu, jak i z tajnego przeszukania w antykwariacie. Ale dzięki Zosi się udało. – Uśmiechnął się do koleżanki.

– Panie Michale, wiemy, wiemy. Zosia prezentowała się wyśmienicie – wtrąciła Sierpecka.

– Potwierdzam, Magda – dodał Łodyna.

– Historycy sztuki wskazani przez Marcina potwierdzili ponad wszelką wątpliwość autentyczność i pochodzenie artefaktów. Wszystkie są na liście zaginionych i poszukiwanych dzieł sztuki. Analiza materiału foto i wideo, jaką robiliśmy wspólnie z Walerym, oraz wszelkich informacji wskazuje, że antykwariat to tak zwana dziupla lub po prostu lokal konspiracyjny SWR w Wiedniu. Działa od połowy lat sześćdziesiątych. Przelewy wskazują, że środki uzyskiwane z handlu dziełami sztuki wykorzystywane

były do zasilania funduszu operacyjnego I Zarządu Głównego KGB, a potem SWR. Podkreślę, że przelewy te były realizowane wyłącznie w Wiedniu przez Raiffeisen Bank International AG.

– Rozumiem, że uwzględniliście ustalenia, które zrobiliśmy z panią pułkownik trzy lata temu w Stanach? – zapytał Łodyna.

– Chodzi o tę Nadię, paczkę z obrazami w Danii, aukcję w Nowym Jorku?

– Tak.

– Oczywiście. To potwierdziło sposób działania Rosjan. Łatwiej było zrozumieć ten wiedeński mechanizm. Środki były przesyłane do Brazylii, tam Hanser je dzielił i przysyłał dalej. Niestety nie wiemy do kogo. Po analizie podróży Hansera zakładamy, że szły prawie na cały świat. Również do Polski. Uporządkowane adresy, nazwiska, numery telefonów, adresy e-mailowe, numery bankowe przekazaliśmy partnerom amerykańskim. Czekamy też na decyzję szefa, czy przekazać to do MI6. Być może oni też coś z tego materiału wycisną. – Łodyna popatrzył uważnie na swojego młodszego kolegę. Potem na Sierpecką. – Aha. No i zaproponowaliśmy szefowi, żeby rozważył, czy Polska nie powinna przekazać drogą oficjalną do władz austriackich wniosku restytucyjnego. Czyli pchnąć sprawę przez nasz MSZ. W końcu to wszystko należy do naszego kraju. To nasze straty wojenne – dodał Michał.

– Jeśli mogę. Wstrzymajcie się z tym – wtrącił Łodyna.

– Dlaczego? – zapytała Sierpecka.

– Wytłumaczę ci potem. Według mnie Barylczyk zlikwidował już ten magazyn.

– Skąd taka pewność?

Łodyna nie odpowiedział.

– Dobrze. Napiszcie razem szczegółowy raport. Uwzględniając sprawy techniczne i organizacyjne, w tym wynikające z obserwacji. Ale nie więcej niż dziesięć, najwyżej dwanaście stron. A ja jeszcze porozmawiam z Marcinem. Dziękuję – rzekła Sierpecka, a oboje młodzi oficerowie wyszli.

– To mów, bo widzę po tobie, że coś cię gryzie.

– Magda. Usiądź w fotelu. Powiedz też sekretarce, żeby nikogo nie wpuszczała i z nikim nie łączyła – poprosił.

Sierpecka spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale był śmiertelnie poważny.

– Chcesz whisky?

Łodyna przytaknął.

– Ja też mam sobie nalać? Kurwa. – Wybrała numer do sekretarki. – Nie ma mnie dla nikogo – rzuciła i odłożyła słuchawkę.

Sierpecka nalała po pół szklanki, a Łodyna w tym czasie położył przed nią tablet.

– Włącz – Sierpecka wcisnęła przycisk. – Folder Wiedeń. – Najechała kursorem i otworzyła plik wideo.

Patrzyła spokojnie, ale po chwili jakby z niedowierzaniem cofnęła nagranie.

– To...

– Wicepremier Antoni Korycki. – Sierpecka zbladła, a potem wlała w siebie alkohol.

– Przecież to wejście do antykwariatu!

– Do lokalu konspiracyjnego rosyjskiego wywiadu, a nie jakiegoś pieprzonego antykwariatu!

– No wiesz... On często występuje na jakichś imprezach. W końcu tym się też interesuje prywatnie... Mógł... Bo ja wiem?

– Magda, co ty pierdolisz?! – przerwał jej. – Mało, co? To dołożę. Otwórz folder Londyn.

– Londyn?

– Tak. Pamiętasz, byłem tam na krótkim urlopie. I spotkałem się z Józefem Hanserem.

– Co, kurwa? Jakie spotkanie? Miałeś zgodę? Marcin, będziesz miał przejebane.

– Spokojnie, Magda. Za chwilę... Posłuchaj. – Dał jej małe słuchawki. – Mniej więcej od czterdziestej minuty.

Sierpecka zaczęła odsłuchiwać rozmowę. Łodyna wstał i podszedł do metalowego parapetu okna. Postawił na nim szklankę. I wpatrywał się w bezruchu w okno. W pewnym momencie Magda znieruchomiała i wyciągnęła słuchawki z uszu. Odchyliła się na oparcie fotela.

– Tak, kochana. Jego najzdolniejszy, najlepszy. Jako rosyjski nielegal najdalej zaszedł. Jakies pytania? Bo to nie koniec – wrócił i usiadł na krześle.

– Mówiłeś mu coś o Wiedniu?

– No co ty, Magda?! To tajemnica. Za kogo mnie masz?!

– Kto o tych nagraniach wie?

– O Koryckim wie Michał. O tym, co tu jest, wiesz tylko ty.

Sierpecka zamyśliła się i spojrzała na dawny stadion Gwardii z trybunami coraz bardziej zarastający krzakami.

– Jak później posłuchasz całego nagrania, od razu cię uprzedzam, dowiesz się o Romańczuku. Hanser go załatwił. Nie krył się z tym. W sumie nawet argumenty miał do rzeczy. To był bardzo inteligentny i doświadczony oficer. Miał klasę.

– Można by go ścigać na podstawie tego materiału. – Sierpecka jakby nie usłyszała, że Łodyna powiedział o nim w czasie przeszłym.

– Magda, spokojnie, poczekaj. Na koniec jest jeszcze jedna rzecz, najważniejsza. Chodzi o to spotkanie w Londynie. W trakcie rozmowy Hanser został zastrzelony. Prawdopodobnie przez strzelca wyborowego... – Zamilkł.

– Co ty mówisz?!

– Hanser nie żyje. Został zamordowany, zlikwidowany, usunięty. Jak zwał, tak zwał. Stałem od niego pół metra, gdy pocisk roztrzaskał mu głowę. Jeszcze parę sekund drgał w agonii. Krew zalała całą podłogę, wypłynęła z kawałkami mózgu i odpryskami czaszki...

– Ja... pierdołę! Oszczędź mi tych szczegółów. Co ty mówisz, kurwa, Marcin! Co... my... teraz zrobimy?

– Co ty zrobisz, to ja nie wiem. Wiem, co ja zrobię. Masz tu nagranie. Nie wiem, czy do Sznajdera z tym pójdziesz, czy schowasz w szafie, czy zniszczysz. Twoja sprawa. Hanser niewiele powiedział, ale wystarczająco dużo, żebym się domyślił, jak nas kontrolują, jak nas rozgrywają. Rozumiesz? W ogóle nie muszą wysyłać iskanderów, czołgów czy specnazu.

– Co zamierzasz? – zapytała spokojniej.

– Mam już napisany raport o zwolnienie ze służby. Zaraz idę do Mariusza do kadr. Rzygam tym. Rozumiesz? Rzygam tą naszą indolencją, niekompetencją, amatorszczyzną. Magda! Pieprzę to wszystko!

– Są kopie tych nagrań?

– A jak myślisz?

– A nie uważasz, że to chodziło o ciebie, Marcin? Że to ciebie chcieli zlikwidować?

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

– Ale coś musiało się stać.

Łodyna jeszcze raz sięgnął do czarnego plecaka. Wyjął z niego drugi smartfon.

– Masz. Jeszcze jeden prezent. Hanser miał podczas rozmowy włączony aparat, który był cały czas połączony z kimś, kto koordynował akcję. Na nagraniu usłyszysz zakłócenia. On w pewnym momencie chciał go wyłączyć. Chyba mu się nie udało. Dowiesz się, o czym wtedy rozmawialiśmy. Myślę, że był świadomy, że to jego koniec, że został zdekonspirowany. A może miał już dość życia?

– Może technicy coś z tego wyciągną?

– Kiedy? Magda, rusz głową. Za kilkanaście lat? Jeśli mogę ci coś doradzić, to uważaj na siebie, bo mogą cię szybko zwolnić. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby to przeciekło do mediów?! Afera na cały świat.

– Kurwa. Marcin... Napij się jeszcze – powiedziała i nalała alkoholu do szklanek. – I na koniec mam do ciebie prośbę. Pewnie dostaniesz miesiąc czy dwa na załatwienie wszystkich spraw w kadrach. Musimy jeszcze pojechać do Wrocławia. Dzisiaj przed naszą naradą telefonował Wiatr. Zależało mu, żebyśmy oboje się z nim spotkali właśnie tam.

– Kiedy tam jedziemy?

– Najlepiej jutro rano. Lecimy. Poproszę zaraz Michała, aby zarezerwował bilety.

– Okej. Czekam na sygnał.

– Ale jeszcze jedno, Marcin, nie bałś się?

– Nie. Może to zabrzmie dziwnie...

– Dlaczego żyjesz?

– Może to taka ich gra, Magda! Ja jestem nośnikiem informacji, które mogą rozwalić układ polityczny. Pamiętasz jeszcze o Koryckim, o jego roli, pozycji? Pewnie uważają, że osiągną większe zyski, gdy te informacje trafią do ciebie, Sznajdera, ministra, prezydenta.

– Chaos jeszcze przed nami. Gdy to wyjdzie, politycy skoczą sobie do gardeł, dopiero wtedy zacznie się polowanie na czarownice. – Sierpecka sięgnęła po butelkę whisky.

* * *

Przez szybę kawiarni rozpościerał się wspaniały widok na barokowy ogród i otaczające go mury wrocławskiego Ossolineum, Liceum Urszulanek oraz tak zwane Maciejówki, czyli Ośrodek Duszpasterstwa Akademickiego. Ogród wypełniały równo przyszczyżone żywopłoty. Para młodych ludzi przytulona siedziała na ławce, wsłuchując się w szum fontanny.

Łodyna położył na stoliku przy oknie swoje *Mont Blanc* – przeciwsłoneczne okulary z niebieskimi szklami. Obok usiadła Sierpecka.

– Ładnie dzisiaj.

– Chętnie bym tu została z kilka dni. A ty?

– A ja, kochana, niestety muszę wrócić do Wiednia i wprowadzić w sprawy następcę. Skróciłem urlop. Jadę tylko na kilka dni z Ewą i Michałkiem w góry, do mojej Łodyny. Potem powrót. Czeka mnie komisja lekarska, obiegówka. A to trwa tygodniami. Nie wiesz, kto przyjedzie na moje stanowisko?

– Wszystko wskazuje, że Piotrek Bałtożak. Trochę się burzył, bo w końcu wrócił niedawno z Dauhy, ale to tylko delegacja na dwa, trzy miesiące.

– Piotruś... hm.

– Kierownictwo było zaskoczone, że odchodzisz. W sumie po takim sukcesie w Wiedniu. Szef mocno zapunktował u premiera. Zwłaszcza gdy usłyszał o tych zgarniętych rysunkach. Zdziwiło mnie to nawet.

– Nawet miałem propozycję awansu. Ale wiesz? Ja już mam dość tych gier, donosików, podpierdalania. To już nie ta atmosfera co kiedyś. Ja chyba już się do tego nie nadaję. Poza tym czas wreszcie coś zmienić w życiu. Powiedz, co z Koryckim, co zdecydowałaś?

– Nic. Wciąż się zastanawiam. Nie mogłam przez to spać w nocy. To jest takie gówno, Marcin, które jak się wrzuci w wentylator, to upaprze wszystkich. Firmę też. Możemy się założyć, że od razu pojawią się badacze teorii spisku i piewcy weryfikacji. Bo ta, co już była, nie była ich zdaniem zbyt głęboka.

– Bagno. Jedno wielkie bagno. Hanser miał rację. Jego ludzie, jego wychowankowie...

– Patrz, już są. – Łodyna podniósł się z krzesła.

Do kawiarni Cherubinowy Wędrowiec przy placu Nankiera weszła doktor Monika Sehn, historyk sztuki pracująca w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w komórce zajmującej się restytucją utraconych dzieł sztuki, oraz jej były przełożony Wiatr. Przed wejściem zamienili z sobą jeszcze jakieś słowo, obydwójce się uśmiechali.

– Dzień dobry, panie Marcinie, wiele o panu słyszałam. – Sehn podała Łodynie drobną dłoń.

– Chociaż coś dobrego? – Łodyna odwzajemnił uśmiech.

– A jakże. Tylko. Jestem pod wrażeniem pana zaangażowania w poszukiwanie arcydzieł – odrzekła Sehn.

– A to jest moja szefowa. Pułkownik Magda Sierpecka.

Kobiety uściśniły sobie dłonie.

– Moniko. Pan pułkownik ma przede wszystkim dobrego nosa do takich spraw – powiedział Wiatr. – A nasza pani doktor, pewnie państwo pamiętają, pomagała w sprawie Rafaela z Kurdystanu, a potem przy kolekcji namierzonej przez Marka Kościuszkę w Nowym Jorku, no i przy sprawie tej ryciny Dürera we Lwowie.

– Doskonale.

– To może coś zamówimy? – odezwała się Sierpecka.

– Kochani. Jesteście moimi gośćmi. Proponuję cztery kawy i sernik z polewą wiśniową. Sprawdzony. Wyśmienity. Zasmakujecie wam, zobaczycie – zaproponował Wiatr.

– Ja poproszę jednak herbatę. Kawę już piłam rano w hotelu – wtrąciła Sehn.

Wiatr podszedł do kelnerki i złożył zamówienie.

– Pani Moniko. Jak wiem od pana ministra Wiatra, zrobiliście już wstępną analizę *Studium oka* Albrechta Dürera?

– Tak. Wspomniała rycina. Zresztą podobnie jak pozostałe. Wrocław jest chyba najwłaściwszym miejscem dla tego autora w Polsce. Ossolineum gromadzi spuściznę Lubomirskich z ich lwowskiego muzeum.

– To oni zgromadzili najciekawszą kolekcję rycin Dürera. Niestety, dzisiaj rozproszoną po całym świecie. Ale wiecie, ostatnia wojna... – Wiatr wrócił do stolika i bezradnie rozłożył ręce.

Kelnerka postawiła na stoliku kawę i porcję ciasta.

– Nie było okazji. Ale w imieniu pana profesora Józwiaka, Dyrektora Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich, swoim i pani doktor z całego serca dziękuję państwu za to, czego dokonaliśmy. To naprawdę wielka sprawa. Gdy będę miał okazję porozmawiać w czasie jakiejś imprezy w kancelarii z waszym szefem, to nie omieszkać przypomnieć, że jego Agencja, a w zasadzie Polska powinna być dumna, że ma takich obrońców skarbów – powiedział pompatycznie Wiatr. – Przejrzałem materiały, które państwo mi przedstawili. Nie chcę pytać, w jakich okolicznościach i jak zostały te zdjęcia wykonane, bo przypuszczam, że to ścisła tajemnica. –

Wiatr spojrzał wymownie na oboje oficerów. – Ale powiem wam jedno. Część z uwiecznionych na fotografiach rzeczy została ukradzioną już po

wojnie z Muzeum Narodowego w Warszawie! Pytanie, kto to zrobił. Czy dokonał tego Cezary Barylczyk przed emigracją na Zachód dzięki pomocy ówczesnych służb specjalnych? Polskich? Sowieckich? Czy może uczestniczyli w tym pracownicy muzeum? Czy wiedział o tym jego ówczesny dyrektor? Myślę, że przyjdzie czas, aby takie pytania publicznie postawić.

– Uchodzi za tego, który ocalił najwięcej zabytków w czasie wojny – wtrąciła Sehn.

– Trochę narosło wokół niego mitów. Wojna i okres zaraz po niej to był przecież kompletny chaos, dziwne interesy, interesiki, geszefty – dodał Wiatr.

– Mam propozycję. – Sierpecka zawahała się i spojrzała uważnie na Łodynę. – W Wiedniu jest albo był magazyn z tymi przedmiotami. Służyły one jako swoista lokata kapitału. Pieniądze ze sprzedaży szły na różne aktywności. Często nielegalne. Trzeba rozważyć, czy nasz MSZ nie powinien podjąć oficjalnych działań związanych z ich zwrotem. Polskie władze mogłyby wystąpić do tamtejszych władz i policji austriackiej o ich zabezpieczenie lub odszukanie. Tylko z pewnych powodów nie da się tego zrobić dzisiaj. Trzeba odczekać, powiedzmy, rok. I dopiero wtedy poczynić oficjalne kroki.

– A nie można by już teraz, od razu? – zapytała Sehn.

– Pani doktor. Proszę posłuchać. Jeśli ich tam nie ma, bo magazyn został już opróżniony, a według mnie tak właśnie jest, to ten rok zwłoki może – nazwijmy to tak... uspić ich czujność – ocenił Łodyna.

– Tak, rozumiem. W tej sytuacji to może być dobre rozwiązanie. –

Sehn pokiwała głową. – Może uda się nam wtedy coś od Austriaków wyszarpać.

– W Wiedniu od wielu lat pojawiają się obrazy. Niedawno jeden z naszych współpracowników odnalazł tam miniaturę malowaną na kości słoniowej, przedstawiającą portret młodej kobiety. Prawdopodobnie jej autorem jest Jan Nepomucen Głowacki – opowiadał Wiatr.

– Miniatura została zrabowana w czasie wojny z dworu w Malawie koło Rzeszowa. Wyposażenie opuszczonego dworu zostało rozkradzione przez Sowieców i miejscową ludność. Zdewastowany budynek został rozebrany jeszcze w czasie wojny – dodała Sehn.

– No, szanowni państwo, czeka na nas już, jak mniemam, podekscytowany profesor Józwiak, który przez cały czas nie może się nadziwić, że te ryciny zostały odnalezione. Dopytuje się i dopytuje. Powiedziałam mu, że

o sprawie wiedzą najwyższe władze państwowe – powiedziała Sehn. – Ale profesor oczywiście zdaje sobie sprawę, że to tajemnica.

– Tak – skwitował krótko Wiatr. – Te ryciny trafią do sejfu Zakładu. Zapewne poza kilkoma historykami i konserwatorami nikt ich nie zobaczy. Wicie państwo, gdyby fakt, że to mamy, wyszedł na światło dzienne, to natychmiast mielibyśmy skandal dyplomatyczny i najpewniej zaczęłyby się podchody Ukraińców o ich zwrot. A to nie wchodzi w rachubę. Oni uważają, że wszystko, co znajdowało się na obszarach należących teraz do Ukrainy, to ich dziedzictwo. Ech, jakie nasze skarby tam są... Nawet nie macie pojęcia. – Wiatr wymownie machnął ręką.

– Skandal dyplomatyczny to nic przy tym, co by się działo, gdyby wyszło na jaw, w jakich okolicznościach zostały one odzyskane. – Łodyna spojrział na Sierpecką.

– Ale o tym sza...

– Jeszcze dużo jest do wyciągnięcia na świecie naszych dzieł sztuki. A jak widać, zza biurka ministerstwa nie da się wiele zrobić, w tej robocie liczą się działania niestandardowe – skwitował Wiatr.

Epilog

Brazylia – luty 2017 roku

Kilkunastogodzinna podróż z Warszawy przez Frankfurt do Rio de Janeiro nie wyczerpała za bardzo Łodyny, Ewy i małego Michała. Podróż odbyli w klasie biznes. Łodyna wykorzystał w tym celu punkty bonusowe uzyskane w programie *Miles and More*. Szerokie rozkładane fotele pozwoliły im się wygodnie przespać. Nie narzekali też ani na bar, ani na pokładową kuchnię. Michał, kiedy nie spał, bawił się na niebieskiej wykładzinie w szerokiej kabinie airbusa A 340. Samolot miał prawie komplet pasażerów. Większość zmierzała na karnawał, nie tylko w Rio de Janeiro.

Mieli ze sobą tylko dwie walizki i bagaż podręczny. W końcu była to ciepła pora na południowej półkuli. Przy wyjściu z terminalu Aeroporto Internacional de Rio de Janeiro Antônio Carlos Jobim czekał na nich Philippe Winiecki.

Przywitali się serdecznie. Łodyna przedstawił Ewę i małego Michała.

– Jedziemy do Belo Horizonte do Oli. Poznacie naszą rodzinę. Moja żona i dzieci też tam są. W karnawałowe weekendy staramy się uciekać z miasta. Ale niedługo tu wrócimy.

– Możemy po drodze zatrzymać się przy wodospadach Cachoeira de Secretário? – zapytał Łodyna.

– Jasne. Wiem, dlaczego chcesz tam podjechać... – Ewa popatrzyła badawczo na Marcina, ale nie odezwała się słowem. – Nawet dobrze się składa, zrobimy sobie przerwę w podróży na lunch. Jak będziemy w Rio, to odwiedzimy też Nova Ponta da Fruta nad oceanem. To także było ulubione miejsce Evelyn i Józefa. Nie mogę uwierzyć, Marcin, w to, co się stało w Londynie. Minęło już tyle miesięcy, a ciągle o tym myślę – stwierdził Philippe.

– Chciałbym z wami o tym porozmawiać. To znaczy z tobą i Olą – powiedział Marcin.

– Chętnie. Może nam coś doradzisz. – Winiecki przyłożył do czytnika bilet parkingowy.

Szlaban się podniósł i zielony range rover ruszył.

* * *

– Dom Hanserów jest wystawiony na sprzedaż. Wcześniej to chyba była tylko taka zmyłka – rzekła Ola. – Wiesz, mimo wszystko bardzo przeżyliśmy tę całą sprawę ze śmiercią pana Józefa. Będziesz mógł nam opowiedzieć o tym więcej? Jestem bardzo ciekawa.

– Tak. Oczywiście. Ale zdradźcie mi jedno. Nikt o nich nie pytał? Zupełnie nikt?

– W zasadzie od czasu śmierci Evelyn i wypadku ochłodziły się relacje rodziców i Hansera. Od tamtej pory on przyjeżdżał tu tylko okazjonalnie. Jak telefonowałaś do brata i opowiedziałaś, co się stało w Londynie, to... – Łzy popłynęły jej z oczu.

Zmarszczyła lekko nos i wciągnęła nim powietrze jak mała dziewczynka.

– Rozmawiałem ostatnio ze znajomym ze szpitala, w którym pracowała Evelyn. On pochodzi z Piedadedos Gerais, tam gdzie Hanserowie mieli sad owocowy i tłocznię. Mówił, że widywał w okolicy Józefa z jakąś dziewczyną czy kobietą. Całkiem niedawno.

– Pewnie nie chciał do domu w Belo przyjeżdżać. Wspomnienia... Philipe, a może to była jego córka?

– Może. Bo ten znajomy twierdził, że była podobna do Evelyn.

– Wiesz co, Marcin? Można by się z nią kiedyś spotkać – wtrąciła Ola.

– Czemu nie. W Londynie albo tutaj. Piękny dom wasz ojciec zbudował. Ten ogród, basen, równo przycięta trawa. Michał na pewno nie będzie chciał wyjść z wody. – Łodyna skinął na syna, który podbijał z Ewą piłkę w basenie.

Nagle wszyscy usłyszeli dźwięk dzwonka przy bramie.

– To Caroline i Isabelle przyjechały. Mówiły, że mężowie nie dostali urlopów. Zobaczysz, one to są dopiero ciekawskie. Jak złapią stare albumy ze zdjęciami, to nie mogą się od nich oderwać. Zawsze takie były.

Po chwili przy kilkunastoosobowym ogrodowym stole stały dwie wysokie kobiety o typowo słowiańskiej urodzie. Obie blondynki z długimi włosami związanymi w koński ogon. Ich wdzięk podkreślały niebieskie oczy. W dodatku były prawie identyczne. W tym momencie Łodyna odkrył, że kilka osób wokół niego w jakichś szczegółach, których nie potrafił określić, wydaje mu się znajomych. Pierwszy raz w życiu odniósł takie wrażenie.

– Dzień dobry. Jestem Caroline. Pan do mnie pisał. Z tego, co wiem, udało się panu skontaktować z Anną Hanser? – powiedziała z lekkim

akcentem jedna z przybyłych.

– Po pierwsze, Marcin. Tak, udało się. Dziękuję. Ale...

– Później o tym porozmawiamy. Wszyscy – wtrącił Philippe.

– Ja jestem Isabelle. – Druga z bliźniaczek wyciągnęła dłoń.

– Dobra, dziewczyny. Pewnie chcecie się odświeżyć. Macie godzinę.

Mąż Oli już działa przy grillu, a żona przygotowuje paellę z homarem i krewetkami. Według przepisu naszej mamy, a w zasadzie według przepisu Evelyn – powiedział Philippe i spojrzał na Łodynę.

* * *

Wołowina sprowadzona przez Winieckiego z Argentyny była wyśmienita. W tym czasie do towarzystwa dołączyli synowie Winieckich, a później córka i syn Oli. Wszyscy przyjechali ze swoimi dziećmi. Michał miał kilkuosobowe towarzystwo. Piski i krzyki niosły się po ogrodzie mimo późnej pory.

– Marcin, mam do ciebie sprawę – rzekła Caroline, podchodząc do Łodyny, gdy ten przyglądał się zabawie dzieci w basenie.

Kobieta stuknęła wysoką szklanką z caipirinha o jego szklankę.

– Słucham cię.

– Czym się teraz zajmujesz?

– Teraz? Jestem na wakacjach.

– Ja pytam, czym się zajmujesz zawodowo.

Łodyna popatrzył na nią badawczo.

– Wujek Philippe mówił, że porozmawiamy o paru sprawach sprzed lat, że masz dużą wiedzę...

– No wykrztuś, Caroline, w końcu, o co ci chodzi? Bez kombinowania.

– Interesuje nas sprawa Hansera. Bardzo nas interesuje.

– Nas?

– Nas. Tych, którzy pracowali z Czakuckim, przerzucili na Zachód jego syna Romana i przejęli wasze przedwojenne dokumenty. – Spojrzała na Łodynę badawczo, a ten nie ukrywał zdziwienia.

– Ojoj! Nie powiem, że się tego nie spodziewałem. Ale tu?! Hmm... To teraz tak ludzie z Vauxhall Cross nawiązują dialog operacyjny?

– Daj spokój. Czekaliśmy, aż odejdziesz ze służby. Chociaż i tak stąpamy po kruchym lodzie, bo są jakieś ustalenia między naszymi służbami.

Ale sprawa zabójstwa Hansera, jego rola... kontakty na całym świecie to klucz do rosyjskiego wywiadu. Do ich wielu operacji specjalnych.

– Masz rację. Nawet nie wiesz, ile to już trwa.

– Co ile trwa?

– To, w czym uczestniczył Hanser.

– Ile?

– Na pewno od rozpoczęcia wojny, może wcześniej? Tak myślę.

Caroline znieruchomiała, prawie wypuściła szklanek pełną limonek i lodu.

– Zaskoczyłeś mnie. Dużo wiesz.

– Więcej, droga Caroline. Wiem dużo więcej.

– Co mam przekazać moim przełożonym?

– Na razie chodźmy na homara i krewetki, bo żona Philippe’a przygotowała brazylijskie specjały. Zapach mnie nęci. Ewa zaraz położy Michała spać. Pewnie reszta małego towarzystwa też wkrótce padnie. Po kolacji siądźmy wszyscy razem i wtedy dowiesz się więcej.

* * *

Podczas przekładania kolejnych kart w albumie Piotra Winieckiego do Łodyny zaczęło coś docierać. Nagle zobaczył zdjęcie, które już kiedyś widział:

– Kleiner! Poczciwy pan Mieczysław pokazał mi je w Tel Awiwie! – prawie krzyknął, a wszyscy popatrzyli na niego i zamilkli.

Zapanowała cisza. Domyślili się, że to coś ważnego. Słysząc było tylko dźwięk cykad i odgłosy tukanów między gałęziami drzew. Na jednej z fotografii w szeregu stali polscy żołnierze w jasnych mundurach i charakterystycznych krótkich spodniach. Sfotografowano ich przy dużej płasko-rzeźbie orła z koroną.

– I tutaj też! Słuchajcie, to coś nieprawdopodobnego – mówił podekscytowany.

Na kolejnej fotografii Łodyna rozpoznał Kleinera, któremu towarzyszyły dwie roześmiane blondynki, jakiś przystojny podporucznik oraz stojąca nieco z boku piękna kobieta z rozpuszczonymi jasnymi włosami. Zdjęcie wykonane było na tle Złotego Meczetu w Bagdadzie.

– To Majowa Jutrzenka. Wiecie, bagdadzka miłość generała Andersa. – Uśmiechnął się i wskazał palcem zdjęcie kobiety z rozwianymi włosami.

Dopiero teraz zrozumiał, kogo przypominają ludzie, którzy w milczeniu, ale i z nieukrywaną serdecznością patrzyli na niego.

Postłowie

Operacja Retea (sieć – w tłumaczeniu z języka rumuńskiego) to ostatnia część trylogii, w której skład wchodzi też *Operacja Rafael* oraz *Operacja Singe*.

To powieść szpiegowska z elementami historycznymi, dlatego nie może być traktowana jako dokument, chociaż wątki współczesne oparte są na doświadczeniach współautora, byłego oficera Agencji Wywiadu. Powieść zawdzięcza swój realizm również efektom pracy drugiego współautora powieści, dziennikarza „Rzeczpospolitej”, który zajmuje się m.in. tematyką restytucji zaginionych polskich dzieł sztuki.

Autorzy, przygotowując publikację, starali się zachować staranność w opisywaniu wydarzeń historycznych towarzyszących historycznym bohaterom. Korzystali ze zbiorów zgromadzonych w Centralnej Bibliotece Wojskowej w Warszawie, w Centralnym Archiwum Wojskowym i w Bibliotece Publicznej m.st. Warszawy. Swoją pomoc okazali Rumuński Instytut Kultury w Warszawie oraz Ambasada RP w Buenos Aires.

By opisywana historia oparta była na rzeczywistych wydarzeniach, sięgnęli do publikacji Instytutu Pamięci Narodowej, m.in. *Studiów nad wywiadem i kontrwywiadem Polski w XX wieku* i *Wywiad cywilny Polski Ludowej w latach 1945–1961* pod redakcją Witolda Bagieńskiego. Korzystali z publikacji historyków: Antony’ego Beevora, Rogera Moorehouse’a, Iana Kershawa oraz Grzegorza Rossolińskiego-Liebe i Jana Grabowskiego. Opisuąc losy polskiej emigracji wojennej, korzystali m.in. z pozycji *Róża. Miłość i walka. Opowieść o mojej matce Róży Sobańskiej Chłapowskiej Orłowskiej* Macieja Chłapowskiego, *Poselstwo RP w Bernie. Przemilczana historia Danuty Drywy, Deportacje i praca przymusowa. Dzieci z Polski i ZSRS w nazistowskich Niemczech i okupowanej Europie Wschodniej w latach 1939–1945* Johannes-Dietera Steinerta, Łucjana Królikowskiego *Skradzione dzieciństwo. Polskie dzieci na tułaczym szlaku 1939–1950* oraz wspomnień polskich sybiraków i uchodźców w Afryce, między innymi pani Janiny Muszyńskiej.

Opisuąc działania podejmowane przez polskie służby specjalne w okresie PRL, oparli się m.in. na opracowaniu *Polak nierdzewnie polski. Antysemicka kampania z Marca 68 przeciwko szefowi Towarzystwa Spo-*

łeczno-Kulturalnego Żydów autorstwa Katarzyny Markusz oraz *Tajna operacja, Reagan, CIA i zimnowojenny konflikt w Polsce* autorstwa Setha G. Jonesa. Jeśli chodzi o działania podejmowane przez Izrael w związku z poszukiwaniami nazistów, autorzy oparli się m.in. na publikowanych wspomnieniach sygnowanych przez byłych funkcjonariuszy Mosadu oraz publikacji *Mengele. Polowanie na Anioła Śmierci z Auschwitz* autorstwa Johna Ware'a i Geralda Posnera.

Autorzy dziękują pani Marcie Nichthouser za wspomnienia o jej mężu Józefie, którego barwne życie stało się dla nich inspiracją. Ich wielkiej przyjaciółce, pani Iwonie Szmurchowskiej, za informacje z brazylijskiego Belo Horizonte, pani Beacie Szablowskiej i panu Gasparowi Rodriguesowi za materiały i wspomnienia rodzinne o dawnej Lizbonie, pani Monice Jaruzelskiej za osobiste wspomnienia z rodzinnego domu, pani Annie Dragun za udostępnienie wspomnień o ojcu, pani Urszuli Stachurskiej, a zwłaszcza panu Przemysławowi Klimasowi za informacje z Londynu, również za cenne uwagi o BMR i kwestiach militarnych, pani Elżbiecie Maj za inspirację urokliwym hrabstwem Devon, pani Annie Marszałek za informacje o Dynowie, pani Dominice Tomczyk za opowieści o Wiedniu, pani Krystynie Piękosza za pomoc w dotarciu do materiałów o Izraelu i rozmowy o historii mody, panu Marcinowi Tycowi za informacje nie tylko o tropikalnych owocach i sokach z nich wyciskanych, panu Adamowi Kowalewskiemu za udostępnienie wspomnień o ojcu i stryju Janie Kowalewskim, panu Mateuszowi Ludwiniakowi za nieprawdopodobne historyczne odkrycia w Warszawie, a także pozostającym w cieniu oficerom Biura B MSW i Biura Obserwacji UOP oraz oficerom pionów techniki MSW i UOP. Swoje wsparcie jak zawsze zapewнили byli oficerowie polskiego wywiadu (Departament I MSW, Zarząd Wywiadu UOP, Agencja Wywiadu).

Podziękowania składają też wielu osobom mieszkającym w Polsce oraz za granicą, które inspirowały swoją osobowością, gestami, czasem wyglądem, urywkami wspomnień oraz życiowymi doświadczeniami.

Autorzy składają podziękowania osobom, które pomogły im w zrozumieniu mechanizmów nielegalnego obrotu dziełami sztuki na świecie: doktor Monice Kuhnke, doktorowi Bogusławowi Winidowi, profesorowi Wojciechowi Kowalskiemu, Markowi Skulimowskiemu oraz doktorowi Łukaszowi Wolakowi.

Ponadto autorzy dziękują panu Bartłomiejowi Nawrockiemu z Wydawnictwa Czarna Owca za jego pracę redakcyjną mającą wpływ na

końcowy kształt powieści.

A na koniec jedna uwaga. Jak przystało na klasyczną powieść szpiegowską, również *Operacja Retea*, tak jak dwie pozostałe części trylogii, może pełnić funkcję swoistego przewodnika po wielu miejscach na świecie, w których rozgrywa się akcja: Rumunii, Turcji, Izraelu, Tanzanii, Egipcie, Portugalii, Francji, Paragwaju, Brazylii, Austrii czy Wielkiej Brytanii.